PRZEGLĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO" *Ps. 143.*

ROK LV Tom 218

KWIECIEŃ — MAJ — CZERWIEC

1938

WARSZAWA
DRUKARNIA „WYDAWNICTWA KSIĘŻY JEZUITÓW"

SPIS RZECZY
NA KOŃCU TOMU

Pokój czy Wojna?

I.

Patrząc nocą na gwiezdne niebo odnosimy wrażenie bezruchu. Wiemy jednak, że ciała niebieskie kręcą się dookoła siebie w ramach swoistych systemów, że tych systemów jest niezliczona mnogość, że i one po różnych drogach krążą, że cały wszechświat, kierowany myślą Bożą w bezkresach pędzi w nieznane... Tam, gdzie zacierają się pojęcia przestrzeni i czasu, umysł ludzki korzy się w bezsilności przed Wszechmocnym. Z śródgwiezdnej wycieczki wraca szybko na ziemię. Tu jest dom. O swojej przynajmniej planecie wie wszystko... Czy wszystko? Tak, wie dużo — jeśli chodzi o geologię i geografię, mało — jeśli chodzi o historię i o psychologię ludów, prawie nic — jeśli chodzi o przyszłość państw i narodów na naszym globie. Próby przebicia tych mroków strzałą instynktu i promieniem logicznego rozumowania dają wyniki niepewne, prowadzą do przepowiedni zawodnych. A jednak ta ryzykowna i kusząca praca myśli ludzkiej jest niezbędna. Albowiem aby żyć — trzeba działać, aby działać — trzeba planować, aby planować — trzeba przewidywać.

Nie ma na świecie państwa czy narodu, który byłby w stanie sam decydować o biegu historii. Nie było, nie ma i nie będzie geniusza, który mógłby powiedzieć, że wszystko przewidział i wszystko przygotował. Szaloną byłaby pycha mężów stanu, którzy by tym prawdom zaprzeczali. Taka pycha nie opanowała ludzi odpowiedzialnych za przyszłość Polski. Powierzając p. Józefowi Beckowi kierownictwo Ministerstwa

spraw zagranicznych, powiedział doń marszałek Piłsudski (2 listopada 1932): „Pamiętajcie przede wszystkim, że nie wolno robić planów ponad wytrzymałość instrumentu, który ma je wykonać..." Inny polski mąż stanu, Roman Dmowski, pisał 31 marca 1934 r. na łamach *Gazety Warszawskiej*: „Pozycja tzw. wielkich mocarstw zmienia się w tym kierunku, że coraz mniej mają podstaw do traktowania nas jako małoletnich pupilów i klientów, że coraz bardziej będą zmuszane do liczenia się z nami, z tym czego my chcemy, do czego dążymy. Byleśmy tylko przedwcześnie nie wyobrazili sobie, że za dużo możemy..."

Polska leży w samym środku gęsto zaludnionego kontynentu, którego dzieje były szczególnie burzliwe. Losy Polski — jej powodzenia i klęski, jej radości i smutki — są w pierwszym rzędzie dziełem jej własnych synów. Ale są one również związane z przemianami zachodzącymi nie tylko w Europie, ale i na całym świecie. Albowiem Europa nie jest jakąś zamkniętą w sobie całością. Związek sowiecki wiąże ją z Azją. Imperium brytyjskie stwarza sploty między Europą a wszystkimi pozostałymi częściami świata. Interesy Francji i Włoch w Afryce oraz na bliskim Wschodzie potęgują tę współzależność międzykontynentalną. Nawet Stany Zjednoczone, choć chronią je dwa oceany, nie mogą się od reszty świata izolować. Już w czasach, gdy jedyną siłą popędową w żegludze morskiej był wiatr, a jedynym szybkim środkiem lokomocji na lądzie — koń, już wówczas te elementarne prawdy geopolityczne sprawiały, że rywalizacja dwu wielkich mocarstw europejskich obejmowała także inne kontynenty. Na odebranie im przez Anglików Kanady — Francuzi odpowiedzieli poparciem powstania „trzynastu kolonii", poparciem, bez którego nie byłoby Stanów Zjednoczonych. Nowoczesne odkrycia i wynalazki sprawiły, że świat „skurczył się" ogromnie. Polityka każdego z siedmiu wielkich mocarstw świata — Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec, Włoch, Stanów Zjednoczonych, Japonii i Związku sowieckiego — obejmuje dziś sferę interesów dosłownie planetarnych.

Polityka mocarstw średniej wielkości — do jakich należy Polska — rozwija się w mniejszych regionach, ale nawet

wypadki na teatrach bardzo od nich odległych wywierają na ich położenie skutki bezpośrednie. Na Dalekim Wschodzie lub w basenie Morza Śródziemnego np. Polska nie ma żadnych bezpośrednich interesów politycznych. Któż jednak twierdzić będzie, że cokolwiek się tam dzieje — może być Polsce obojętne? Nie jest i być nie może. Śledzimy za tymi wypadkami z dużym napięciem, tak samo jak przyglądamy się uważnie biegowi spraw wewnętrznych u naszych sąsiadów i sojuszników, nie dlatego, abyśmy chcieli czy mogli w te sprawy się mieszać, ale dlatego, że taki czy inny obrót wewnętrznych przeobrażeń w danym państwie ma zawsze jakiś — czasem bardzo wielki — wpływ na metody i kierunki jego polityki zagranicznej.

Nigdy nie zapominając o c e l a c h własnych, kierownicy polityki zagranicznej każdego państwa — zanim zdecydują, że stosowane dotąd ś r o d k i należy utrzymać lub zmienić — powinni ostrożnie zbadać jak się będą kształtowały w a r u n k i p o w o d z e n i a nowej taktyki.

Oto pytania wagi zasadniczej, na które muszą sobie dać odpowiedź:

1° Czy istniejący układ sił między państwami stabilizuje się na dłuższy okres czasu, czy ulega ewolucji? Jeśli ewoluuje — to w jakich swych elementach i w jakim kierunku?

2° Czy zachodzące przemiany dadzą się pogodzić z utrzymaniem pokoju, czy stwarzają niebezpieczeństwo nowej wojny? Jeśli wojna miałaby być nieunikniona — to kiedy mogłaby wypaść i jak wyglądałyby ewentualne obozy walczące?

II.

Już Heraklit powiedział, że wszystko się zmienia, że nic w miejscu nie stoi. Ale jest rzeczą zrozumiałą, że ludzie znajdujący się w stanie szczęśliwym, pragnęliby go możliwie przedłużyć. *Verweile doch, du bist so schön...* — woła Faust. Toteż historia nas poucza, że już w wiekach minionych monarchowie i ich kanclerze, zadowoleni w danym okresie historycznym z położenia swych państw, wysuwali pomysły zorganizowania „wiecznego pokoju", który by utrwalił ich

stan posiadania. Taki był sens *congregatio concordiae* proponowanej w r. 1460 przez króla czeskiego Jerzego z Podiebradu. Nic innego nie miał na celu *grand dessein* księcia de Sully z 1630 r. Takim samym „realistycznym pacyfistą" był car Mikołaj II, kiedy wystąpił ze zwołaniem do Hagi pierwszej konferencji pokoju (1899). Serca ludzkie, w których obok uczuć małych lub nierozsądnych drzemią także uczucia wielkie, są rzeczywistością polityczną. Nie brak jest na świecie bezinteresownych idealistów, którzy poprą każdą myśl szlachetną bez względu na to, kto ją rzucił i w jakim celu. Każdy zatem pomysł „wiecznego pokoju" znajdzie zawsze zwolenników.

Zestawienie Woodrow Wilson'a z Mikołajem II byłoby dla prezydenta Stanów Zjednoczonych krzywdzące. Wilson bowiem, gdy jeszcze przed końcem wojny światowej wystąpił z projektem Ligi Narodów, był w większym stopniu idealistą niż realnym politykiem. Więcej go porywała wizja przymusowego rozjemstwa sporów międzynarodowych, powszechnego rozbrojenia i bezpieczeństwa, zapewnionego przez wzajemną pomoc niż troska o to, jak się do tych spraw odniesie jego własny naród. Jerzy Clemenceau i Dawid Lloyd George bardzo sceptycznie zapatrywali się na przyszłość idei Wilson'a, ale ją poparli, albowiem w powstającej Lidze Narodów widzieli narzędzie swych polityk narodowych.

Ze spotkania tych rozbieżnych zamierzeń zrodził się *Covenant*. Nikt nie zaprzecza, że jest to najśmielsza próba zorganizowania współpracy międzynarodowej, jaką zanotowała historia. Nawet wierząc, że ten ideał stanie się kiedyś rzeczywistością, byłoby usypianiem swego narodu zapewniać go, że Liga Narodów już jest gwarancją jego całości i niepodległości. Stwierdzając, że do takiego ideału jest ciągle bardzo daleko, nie czynimy Lidze Narodów żadnych zarzutów. Uważamy po prostu, że istnieje tylko pakt Ligi, ale nie powstała jeszcze Liga. Aby Liga mogła powstać i funkcjonować jako organizm wykonawczy zbiorowego systemu bezpieczeństwa — musiałaby być u n i w e r s a l n ą co do formy i w pewnym sensie n a d p a ń s t w o w ą co do treści.

Uniwersalizm Ligi byłby faktem gdyby należały doń wszystkie wielkie mocarstwa świata. Jak wiemy, Stany Zjed-

noczone pierwsze odmówiły przystąpienia do organizmu, którego inicjatorem był ich własny prezydent. Uważając, że stać ich na omnipotencję bez odpowiedzialności, amerykańscy politycy ograniczają się do strojenia swego egoizmu w szaty humanitarnej frazeologii. „Największa demokracja świata" wymierzyła pierwszy wielki cios w ideę Ligi Narodów.

Nadpaństwem Liga nie jest i być nie może. Jeśli mówimy, że powinna być w pewnym sensie organem nadpaństwowym, rozumiemy przez to, że jej członkowie powinniby dobrowolnie delegować jej pewną część swych praw suwerennych. Gdyby chcieli — uczyniliby z genewskiej akademii nadrzędną władzę polityczną, znajdując w pakcie wszystkie elementy tej rozbudowy. Naczelną choć utajoną ideą przewodnią paktu jest bowiem chęć transponowania na stosunki międzynarodowe ładu prawnego istniejącego w państwach cywilizowanych. Skoro w ramach poszczególnych państw istnieją kodeksy i sądy — dlaczego i państwom nie można by narzucić przymusowego rozjemstwa sporów międzynarodowych? Skoro w poszczególnych krajach istnieje policja i więzienie — dlaczego i w płaszczyźnie międzynarodowej nie spróbować metody zbiorowych sankcji i wypraw policyjnych przeciwko napastnikowi? Ale gdy Zgromadzenie Ligi Narodów uchwaliło tzw. „protokół genewski", będący pierwszą próbą zorganizowania zbiorowego systemu bezpieczeństwa — wówczas storpedował go w marcu 1925 r. rząd Wielkiej Brytanii. Druga wielka demokracja świata poderwała tym sposobem wiarę w ideę Ligi Narodów. I dlatego w dziesięć lat później nie mógł sir Samuel Hoare użyć narzędzia złamanego przez sir'a Austen'a Chamberlain'a.

Przyjęcie Niemiec w r. 1926 zbliżyło nieco Ligę do ideału uniwersalności. Poza Ligą pozostawały tylko Stany Zjednoczone, do których Genewa tęsknie wzdychała, oraz Związek sowiecki, którego wówczas nikt nad Lemanem widzieć nie pragnął. Niemcy przystąpiły do Ligi nie z jakiejś *Begeisterung* do idei międzynarodowego nadpaństwa, ale z politycznego wyrachowania. Chodziło im przede wszystkim o przyspieszenie ewakuacji Nadrenii, o zrzucenie ciężaru odszkodowań, o równość praw w zakresie zbrojeń...

Po paru latach zabiegów i wysiłków Niemcy się zorientowały, że w Genewie nie znajdą żadnej istotnej pomocy dla przeprowadzenia swych celów. Doszli do wniosku, że dyplomacja francuska — najwpływowsza w Genewie od roku 1925 — uważa Ligę za narzędzie obrony „owoców zwycięstwa", a o równości zbrojeń w ogóle nie myśli. Nie jesteśmy powołani do udzielania pouczeń francuskiej dyplomacji. Dobrze zresztą wiemy, z jakimi trudnościami wewnętrznymi walczyć jej przychodzi, ilekroć występuje z jakąś pozytywną inicjatywą. Parlament francuski nie potrafi się decydować na poświęcania rzeczy złudnych celem utrzymania istotnych. Można było utrzymać Niemcy w Lidze Narodów, ale trzeba było zgodzić się na *Gleichberechtigung;* można też było stać na stanowisku, że to co Niemcy podpisały musi być szanowane i kwita, a jeśli nie — to się je do tego zmusi... Ponieważ zaś trzecia wielka demokracja świata nie potrafiła czy nie mogła wejść na żadną z tych dwu dróg — nie ułatwiała Lidze Narodów rozwoju zarówno pod względem formy jak i treści. Ach prawda, wprowadziła w r. 1934 do Ligi Związek sowiecki, tę „szóstą część świata"... Nie mamy jednak wrażenia, że Liga na tym wygrała.

Wiemy dobrze o ciosach, jakie Lidze wymierzyły Japonia, Niemcy i Włochy. Ale, zastanawiając się nad przyczynami nieżywotności obecnej Ligi Narodów, pamiętać musimy, że jeśli jej pakt nie został uzbrojony w konieczne przepisy wykonawcze — odpowiedzialność spada głównie na Stany Zjednoczone, na Wielką Brytanię i na Francję. Nazajutrz po wygranej wojnie mogły one zaprowadzić na świecie nowy ład prawny. Miały na to dość siły moralnej i fizycznej. Nie uczyniły tego. Egoizmy narodowe stłumiły humanitarne tęsknoty. Może to było nieuniknione, ale wielka okazja została stracona.

Dwaj wielcy polscy mężowie stanu, których nazwiska nierozerwalnie są związane z dziejami odbudowy Państwa polskiego, od samego początku nie przywiązywali do eksperymentu Ligi Narodów większego znaczenia. Gdy w październiku 1918 r., w Waszyngtonie, Wilson zapewniał Dmowskiego, że w powojennej Europie będzie czuwała nad pokojem „policja międzynarodowa" — polityk polski zapytał:

„Czy Stany Zjednoczone będą trzymały tam swe wojska ekspedycyjne?" Piłsudski zaś pisał 8 kwietnia 1919 r. do Leona Wasilewskiego, jednego z członków Delegacji polskiej na Konferencję pokojową, że „na Bożym świecie zaczyna zdaje się zwyciężać gadanina o braterstwie ludzi i narodów oraz wiara w doktrynki amerykańskie..." Pouczał go więc jak te prądy należy wyzyskiwać. Wierzył natomiast w Ligę hrabia Aleksander Skrzyński. Przemawiając 26 lutego 1925 r. na komisji spraw zagranicznych Sejmu, bronił „protokołu genewskiego" w chwili gdy już było wiadomo, że go Londyn nie chce. „Świat nie powraca do *balance of power*, świat nie powraca do żadnych form przedwojennych" — prorokował.

Można być zdania, że „nie powraca", albowiem z „form przedwojennych" świat po prostu nigdy nie wyszedł. To co Skrzyński uważał za „formy przedwojenne" jest tak stare jak ludzkość. Nie mogło więc rozwiać się nagle pewnego 11 listopada. Przed lat z górą dziesięć Europa i świat cieszyły się pokojem opartym na moralnej i materialnej przewadze zwycięzców, pokojem okraszonym przejściową *prosperity*, finansowaną głównie przez Stany Zjednoczone miliardami zarobionymi na wojnie. Ale próba usztywnienia życia międzynarodowego przez grupę mocarstw zadowolonych z układu sił i z rozdziału dóbr nie udała się. Dlaczego? Trzy są główne przyczyny tego niepowodzenia:

Po pierwsze — wielcy beneficjenci ostatniej wojny albo mało myśleli o jutrze, albo, biorąc życzenia za rzeczywistość, stawiali horoskopy fałszywe zapowiadając upadek faszyzmu we Włoszech, konsolidację demokracji w Niemczech, ewolucję Związku sowieckiego w kierunku jakiejś burżuazyjnej oligarchii lub nieunikniony powrót Stanów Zjednoczonych do Ligi Narodów.

Po drugie — owi beneficjenci, a zarazem strażnicy pokoju statycznego, gdy trzeba było coś powiedzieć na rzecz tezy historycznego dynamizmu, przebąkiwali zawsze o poświęceniu interesów państw mniejszych, przy czym zdarzało się nawet, że lekceważono interesy sojuszników.

Po trzecie — gdy ważyły się sprawy obchodzące bezpośrednio wielkich beneficjentów, sprawy, określane przez

nich samych jako żywotne, zabrakło im w sercach woli na pokazanie siły we właściwym momencie.

Istniejący układ sił wszedł więc w fazę przemian, w okres burzliwych lat, które można by nazwać poszukiwaniem nowej równowagi. Nie zaprzątając sobie głów i serc żadnymi innymi względami jak tylko troską o własne jutro, obliczając na zimno swe szanse, Japonia pierwsza (1931) doszła do wniosku, że można bezkarnie rozpocząć pierwszą fazę wielkiej operacji na lądzie azjatyckim: podboju Chin.

Wraz z dojściem do władzy Hitlera (1933), rozpoczęły Niemcy wyzbywać się wszystkich serwitutów na ich własnym terytorium. Ten nieunikniony proces, za który tylko naiwni zwalają całą odpowiedzialność na „złe" Niemcy, pomniejszył atoli stan politycznego zaufania w Europie i spotęgował istniejący wyścig zbrojeń. Udając, że gotowe byłyby uczestniczyć w stawianiu oporu Niemcom, Włochy przygotowały dyplomatycznie podbój Etiopii (1935). Operacja się udała, ale jej skutkiem jest wielkie oziębienie stosunków brytyjsko-włoskich. Naprężenie na Morzu Śródziemnym, które wzrosło w związku z wojną domową w Hiszpanii, oraz kryzys wewnętrzny w Związku sowieckim, którego widomym znakiem są masowe egzekucje dygnitarzy partyjnych i wojskowych — wyzyskuje z kolei Japonia aby przejść do wykonania drugiej fazy podboju Chin (1937)... Wreszcie Niemcy dokonują w sposób „pokojowy" *Anschluss*'u.

Tymczasowy bilans tych lat przełomowych można by przedstawić w takim skrócie: metodą faktów dokonanych, a nawet z orężem w ręku, państwa totalne wzmocniły swe stany posiadania jeśli nie kosztem, to w każdym razie wbrew woli państw „demokratycznych". Trzy państwa „totalne" są zarazem państwami przeludnionymi oraz biednymi w złoto i w surowce. Trzy mocarstwa „demokratyczne" na przeludnienie nie cierpią, obszary posiadają ogromne, surowce — prawie wszystkie, a złota — dwadzieścia pięć razy więcej niż państwa „totalne". Powiadają Anglicy, że złoto jest „policjantem polityków". Nie przesadzajmy. Niemcy, Włosi i Japończycy nieźle dają sobie radę bez złota. Jak dla jednostek tak i dla narodów złoto — obok zdrowia, miłości i sławy — jest niewątpliwie składni-

kiem szczęścia. Ale celowa praca w ramach należycie zorganizowanego narodu — to także złoto. I jeszcze jedno, najważniejsze: nie gotowość złożenia ofiary złota ale ofiary krwi była, jest i będzie głównym puklerzem bezpieczeństwa, głównym czynnikiem wielkości i głównym źródłem pomyślności narodów.

Odkąd świat powojenny wszedł w fazę przemian, ze stron dzienników, z ekranów kin, z głośników radia i z mównic wiecowych nie przestają rozbrzmiewać alarmy wojenne. Ale gdy obserwatorzy życia międzynarodowego, rozporządzający większą sumą prawdziwych wiadomości i spokojnymi nerwami próbują przeniknąć myślą mrok nadchodzącego dziesięciolecia — widzą pokój.

Jaki pokój? Czy tylko pokój wynikający ze strachu przed wojną, a więc pokój dręczący i z reguły krótkotrwały? Czy pokój stanowiący jedynie nieobecność wojny, a więc pokój bez zaufania, ale z wyścigiem zbrojeń, pokój bez międzynarodowej współpracy gospodarczej ale z pogonią za mirażami autarkii, słowem „pokój bez masła ale z armatami?" Czy wreszcie pokój prawdziwy? W chwili obecnej Europa żyje pod znakiem ograniczonych błogosławieństw tego drugiego pokoju. Nie stoi jednak wobec dylematu: pokój czy wojna? Ma natomiast wybór między pokojem złym a pokojem dobrym, pokojem ponurym a pokojem słonecznym, pokojem dotychczasowej niepewności a pokojem nowej równowagi.

Przepowiednię, że w najbliższym lat dziesiątku nie widzimy żadnej wojny w Europie opieramy na świadomości, że nie ma na naszym kontynencie rządu czy sztabu głównego złożonego z szaleńców, którzy pchnęliby swą ojczyznę w odmęty wojny powszechnej. Otóż w Europie każda wojna pomyślana jako lokalna stałaby się w bardzo krótkim czasie powszechną. Nie dlatego że istnieje pakt Ligi Narodów, ale dlatego, że istniejące zobowiązania międzynarodowe, realne interesy polityczne oraz położenie geograficzne uniemożliwiłoby większości państw zachować neutralność. Do wojny powszechnej nie jest dziś moralnie i materialnie gotowe żadne z wielkich mocarstw. Nie mogą tej wojny pożądać Wielka Brytania lub Francja, które już nic

nie mają do zdobycia, a na wojnie mogłyby tylko stracić. Nie jest do wojny zaczepnej zdolny Związek sowiecki. Wreszcie, dłuższego okresu pokoju w Europie pragną także mocarstwa „nienasycone". Niemcy np. nie są do wielkiej wojny gotowe ani moralnie, ani gospodarczo, ani militarnie. Nie są gotowe moralnie, albowiem żyje jeszcze pokolenie, które odbyło ostatnią wojnę. Nie są gotowe gospodarczo, albowiem nie mają złota, daleko im do samowystarczalności żywnościowej, a samowystarczalność surowca jest dla nich w ogóle nieosiągalna. Nie są gotowe militarnie, bo nie mają wyćwiczonych rezerw. W r. 1914 mieli takich rezerw 12 milionów; na początku r. 1938 mieli ich około miliona, do czego dodać trzeba drugi milion *Ersatzreserve*.

Czy to oznacza, że wojny lokalne są w Europie i na świecie w ogóle wykluczone? Bynajmniej. Są one możliwe w trzech wypadkach: w pierwszym — biją się z sobą dwa małe państwa (Paraguay z Boliwią); w drugim — wielki i mocny sąsiad atakuje małego lub słabego, albowiem inni zainteresowani wielcy sąsiedzi nie chcą lub nie mogą iść z pomocą napadniętemu (podbój Etiopii przez Włochy oraz Chin przez Japonię); w trzecim — wojna domowa w granicach danego państwa może być rozpatrywana jako wojna lokalna jeśli jej wynik ma znaczenie międzynarodowe i jeśli strony walczące otrzymują pomoc z zewnątrz (Hiszpania).

Nie widząc dziś na horyzoncie żadnej wojny powszechnej nie twierdzimy, że wojna taka nie jest możliwa jutro. Powiemy więcej: widzimy trzy możliwości takich wojen. Nie przesądzamy, która z nich jest bliższa i która prawdopodobniejsza; nie twierdzimy, że wojny te są nieuniknione. Ale — aby w naszym logicznym rozumowaniu nie było luki — oto te trzy możliwości: 1^0 wojna Europy i Związku sowieckiego z Niemcami; 2^0 wojna Niemiec i Europy ze Związkiem sowieckim; 3^0 wojna mocarstw anglo-saskich z Japonią.

Pierwsza wojna leży przede wszystkim w interesie Związku sowieckiego, albowiem europejska niezgoda jest kanonem sowieckiego bezpieczeństwa, a wojna między Europejczykami — warunkiem sowietyzacji naszego kontynentu.

W wybuchu drugiej wojny stroną głównie zainteresowaną byłyby Niemcy, które nie pragną aby na terenie Związku sowieckiego skrystalizował się jakiś jednolity i zwarty organizm państwowy. Rozpad Związku sowieckiego na państwa narodowe oraz opanowanie wschodniej Syberii przez Japonię byłyby przez Niemcy mile widziane.

Aby była możliwa wojna trzecia — trzeba by współpracy polityczno-wojskowej Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych i Związku sowieckiego. Ta trzecia wojna łatwo mogłaby wywołać tę pierwszą. I odwrotnie.

Kazimierz Smogorzewski.

Zmierzch materializmu.

I.

Śmiałym wyda się ten tytuł krytycznemu czytelnikowi. Czyż bowiem może on wyrażać coś więcej, niż pobożne życzenia? W dobie obecnej największego triumfu materializmu, gdy stał się on obowiązującą zdogmatyzowaną pseudoreligią znacznej części świata a istotą postawy duchowej większości ludzi dzisiejszych, nawet tych, którzy się do niego jako zasady przyznać nie chcą — może to się istotnie wydać oglądaniem świata przez pryzmat własnego pragnienia.

Spróbujemy więc usunąć wszelką intencjonalność i zapomnieć na chwilę o naszych własnych przekonaniach i dążeniach, by przeprowadzić analizę sytuacji tego ruchu zupełnie na zimno, tak, jak lekarz ocenia stan pacjenta. Wypracowanie pewnych pojęć socjologicznych z dziedziny teorii ideologii, daje nam tu pewne zupełnie nowe możliwości. Niezależnie od tej diagnozy będziemy mogli spojrzeć na sprawę i z naszego, katolickiego punktu widzenia, oddzielając jednak ściśle te aspekty.

Nim przejdziemy do tej analizy faktów, chcemy wyjaśnić pewne filozoficzno-religijne punkty widzenia i wątpliwości.

Zasadniczo rzecz biorąc, należałoby się spodziewać, że materializm będzie istniał zawsze, gdyż odpowiada on pewnemu typowi bardzo rozpowszechnionej postawy duchowej i pewnego stosunku do rzeczywistości. Ze stanowiska aksjologii religijnej jest to wybranie „królestwa z tego świata", a więc odrzucenie celów wiecznych,

mniej lub więcej zdecydowane. Ma ta postawa swoją świadomą, zorganizowaną reprezentację, która od wieków prowadzi akcję niezwykle planową. Nie podobna sobie wyobrazić, by tak głęboko i zasadniczo ugruntowany prąd dziejowy miał się nagle załamać. A jednak nie można tej możliwości zupełnie odrzucić. Bywały już bowiem w dziejach okresy, gdy materializmu jako zasady nie było prawie wcale, a jako postawa duchowa był on bardzo zdeprecjonowany. Tak było niewątpliwie w średniowieczu a raczej w okresie jego rozkwitu. Zmaterializowanie, nawet w okresie jego największego nasilenia, było zawsze uważane za zło i nikt go nie bronił jako zasady. Nie można więc wykluczyć przypuszczenia, że nadejdzie epoka, w której materializm znowu ulegnie deprecjacji i wyjdzie z mody a nawet zostanie uznany za przezwyciężoną już aberację filozoficzną. Bunt przeciw chrześcijaństwu znajdzie sobie jednak wtedy niewątpliwie inne idee jako pokrycie swych dążeń. Nie należy się więc łudzić, że upadek materializmu musi oznaczać ostateczne zwycięstwo chrześcijaństwa. Niewątpliwie pojawią się nowe herezje, może trudniejsze jeszcze do zwalczania, bo subtelniejsze i głębsze. W każdym razie upadek materializmu jako idei byłby tryumfem wielkim, byłby to krok olbrzymi naprzód w pochodzie ludzkości.

Przejdźmy teraz jednak do obiektywnej, eliminującej nasze własne poglądy, analizy danej nam rzeczywistości, by sobie odpowiedzieć na pytanie, czy rzeczywiście szanse rozwojowe ideologij materialistycznych są w chwili obecnej tak fatalne?

II.

Idee materialistyczne występują w dobie obecnej w dwóch głównych postaciach: jako materializm filozoficzny i materializm dziejowy. Normalnie obie te formy wiązały się ze sobą jak najściślej. Ich stosunek wzajemny był stosunkiem założenia do wniosku względnie aplikacji. Materializm filozoficzny, polegający na odrzuceniu istnienia samodzielnej duchowej jaźni był podstawą, na której opie-

rał się materializm dziejowy, pragnący wszystkie ideologie i wydarzenia historyczne wyprowadzić z motywów i form życia gospodarczego. Oba te kierunki uzupełniające się i zależne od siebie miały swą oficjalną reprezentację w marksizmie. Inne kierunki materialistyczne, nie posiadające poparcia potężnego ruchu socjalnego, mogły odgrywać jedynie podrzędną rolę, choć były one może o tyle nieraz nawet niebezpieczniejsze, że nie mając za sobą organizacji, która je nie tylko forsować ale i moralnie obciążać musi, mogły one działać bardziej bezpośrednio na niezależne umysły.

Jak już na tych łamach wykazaliśmy,[1]) ideologie są jakoby pewnego rodzaju organizmami kulturowymi,[2]) które mają swą młodość, wiek dojrzały i starość. Okres młodości, to czas narodzin idei i walki o wypełnienie swej „przestrzeni potencjalnej" czyli zdobycie takiego kręgu wyznawców, jaki odpowiada realnym możliwościom zasięgu danej ideologii. Jest to czas entuzjazmu i twórczości, okres ścisłego związania z rzeczywistością, z której dany ruch wyrasta. Druga faza, to jakoby wiek dojrzałości, gdy ruch już swoją „przestrzeń potencjalną" mniej lub więcej wypełnił, gdy wytworzyły się już mniej lub więcej skrzepnięte formy organizacji, początek tradycji, sformułowań i formuł „urzędowych" mających charakter świętości nienaruszalnej, dalej pewne symbole, kult przywódców i wspólność przeżyć, ale idea jest jeszcze żywą i twórczą. Zasadniczą jest tu rzeczą, że każda ideologia opiera się na pewnych założeniach czyli pewnych, już w danym środowisku panujących, przekonaniach i ocenach. Założenia te są jakby echem po dawnych ideach. Jak wykazał Le Bon, idee potrzebują normalnie kilkudziesięciu lat, by stać się w formie zwulgaryzowanej własnością szerokich mas. Tak było niewątpliwie i z materializmem, w którego rozwoju rozróżniamy dwa okresy główne — materializm francusko-angielski XVIII w. z czasów Hobbesa, Lammetrie'go, Priestley'a, Hol-

[1]) Czy totalizm jest koniecznością historyczną? *Przegl. Powsz.* 1937.

[2]) Terminu „kulturowy" używamy w znaczeniu opisowym w przeciwieństwie do słowa „kulturalny", mającego znaczenie praktycznie wartościujące.

bacha i Helvetiusa oraz materializm niemiecki z XIX i XX w. (Vogt, Büchner, Moleschott i Häckel). Ciekawą jest rzeczą, że żaden z tych odłamów materializmu filozoficznego nie wszedł bezpośrednio w skład ideologii materialistycznej marksizmu. Marx i Engels nawiązali, jak wiadomo, bezpośrednio do Feuerbacha, który głosił antropocentryczny ateizm, ale nie materializm w dosłownym znaczeniu. Systemy materialistów angielsko-francuskich XVIII w. były dla twórców socjalizmu za ciasne a może za oderwane a w każdym razie już przebrzmiałe. Że nie włączyli oni materializmu niemieckiego w swój system, o tym zadecydowały, jak przyznaje współczesny nam obrońca marksizmu, Max Adler, pobudki czysto osobiste. Niezwykle ambitni twórcy marksizmu obrazili się na tych filozofów, którzy nie chcieli uznać ich dorobku i zrewanżowali się zaliczeniem ich do „materialistów drobnoburżuazyjnych".[1]) Mimo to poglądy te niewątpliwie współdziałały w wytwarzaniu się założeń, na których mogły się oprzeć idee Marxa.

Założenia mogą być dwojakie: empiryczne a raczej zwykle pseudoempiryczne jak również teorie filozoficzne stulecia, opierające się na mniej lub więcej przedwczesnych i błędnych wnioskach, wysnutych z poglądów naukowych danego okresu, oraz transcendentne-religijne, wywodzące się z objawienia i odnoszące się do spraw, niedostępnych dla „cyrkla, wagi i miary" — nie dających się na drodze empirycznej ani udowodnić ani też obalić. Są to przedmioty wiary, która zresztą może też być negatywna, jak przeświadczenie bezbożników o nieistnieniu Boga, które tylko na bardzo niskim poziomie intelektualnym może występować w szacie teorii „naukowej" czy nawet empirycznej.

Założenia empiryczne z natury rzeczy są związane z epoką. Ponieważ, jak zaznaczyliśmy, każda idea wymaga pewnego czasu, by przesiąknąć w dół, do umysłów ludzi niewykształconych, więc można powiedzieć, że ideologie żyją o jedno pokolenie później niż twórcy ich założeń i idei fundamentalnych. Tym tłumaczy się fakt, że

[1]) Max Adler: *Lehrbuch der materialistischen Geschichtsauffassung I*, Berlin 1930, str. 95.

materializm przeżywa teraz właśnie swój rozkwit w płaszczyźnie realizacji ideologicznej, gdy umysły twórcze już się od niego odwracają.

Inną jest sytuacja założeń transcendentnych. Te nie przeżywają się nigdy, bo nie są związane z żadną epoką. Zmieniać się mogą i muszą same sformułowania, które są zawsze wysnute z ducha i dążeń epoki i wyrażone w jej języku, ale treść istotna pozostaje nienaruszalna. Ewangelia będzie w dwudziestym piątym wieku tak samo aktualna jak była w piątym, choć inny będzie poziom realizacji i inne rozłożenie akcentów i aktualnych problematów. Są zresztą i pewne postawy o charakterze doczesnym, które zawsze na nowo powracać będą — jak np. odwieczne ideały ładu i wolności, demokracji i egalitaryzmu czy hierarchii. Są to pewne alternatywy, które powracają w pewnym rytmie dziejowym, u którego podstaw tkwi niewątpliwie pewna dialektyka. Polega ona na tym, że każda przesada jednego kierunku wywołuje reakcję przeciwnego. Nadużycie wolności wywołuje tęsknotę za ładem i hierarchią, nadużycie przymusu rodzi dążności wolnościowe.

Idee epoki włączają się zwykle w ten rytm. Materializm związał się w erze Marxa z ruchem demokratycznym. Dziś weszliśmy w okres rytmiczny reakcji w imię ładu społecznego. Jej wyrazem są ruchy faszystowskie. Mają one obecnie bez porównania większą dynamikę, niż występujący na terenie europejskim, na przekór zrealizowanej u siebie (tj. Sowdepii) rzeczywistości, pod firmą demokracji i wolności: marksizm. Miarą tej dynamiki może być wojna domowa w Hiszpanii.

Idee materialistyczne płyną dziś z falą odpływającą. Czy rytm tego falowania nie mógłby się jednak w szybkim stosunkowo tempie zmienić? Toć faszyzmy muszą wywołać reakcję wolnościową. Nie należy jednak spodziewać się tej zmiany nastrojów zbyt rychło. Rozwój w kierunku demokracji trwał całe stulecia i reakcja przeciwko takim długodystansowym prądom nie może być zjawiskiem tylko chwilowym. Wystarczy studiować oblicze duchowe dzisiejszej młodzieży, która o dawnych ideałach wolnościowych swych ojców słyszeć nie chce, lecz marzy o silnej władzy a nie-

stety, w pewnych odłamach czy ideowych odpryskach dochodzi nawet do kultu pięści. Sytuacja demokracji jest tym gorsza — że zakłamana, gdyż, dzięki opanowaniu ruchów demokratycznych przez agentów Kominternu,[1]) staje się ona narzędziem politycznym reżimu najbardziej autokratycznego, jaki kiedykolwiek istniał.

Istotniejsze może jeszcze jest załamanie nie tylko materializmu jako pewnej mody umysłowej, ale i jego podstaw. Materializm filozoficzny jest jedną z zasadniczych możliwości myślowych a raczej alternatyw interpretacyjnych świata, bo właściwie jest on raczej niemożliwością myślową, gdyż wytłumaczenie zjawisk świadomości, zawierającej fakt najbardziej bezpośrednio nam dany: przeżycia jedności podmiotu, odbierającego nieogarnioną wielość wrażeń i wiążącego je w jedność czasowo-przestrzenną, przez traktowanie tego podmiotu jako rzeczy złożonej albo też jako funkcji jakiegoś materialnego substratu — lub wreszcie wynoszenie świadomości z ruchu elektrona czy atomów — wydaje się koncepcją, urągającą wszelkiej logice.[2]) Jeśli mimo to materializm mógł się narodzić jako kierunek, najpierw w starożytności (Demokryt) a później w epoce nowożytnej, to trzeba fakt ten raczej ideologicznie tłumaczyć i to w sensie, w jakim ideologię rozumieją Pareto czy Mannheim,[3]) mianowicie jako pewne zamaskowanie wzgl. uzasadnienie istniejącej w podświadomości tendencji czy postawy życiowej. Nie znaczy to jednak, że nie ma materializm i swego filozoficznego rodowodu.[4]) Wiąże on się niewątpliwie, o ile chodzi o materializm nowożytny, z triumfami nauk przyrodniczych. Wytworzył on pewien kult materii jako tego zjawiska najbardziej „realnego" i uchwytnego dla „cyrkla, wagi i miary". I oto w oczach naszych dokonywa się niezwykły przewrót pojęć. Rozbicie atomu,

---

[1]) Patrz na ten temat ciekawy artykuł Skalińskiego pt: „Demokratyczne drzwi" *Przegl. Powsz.* styczeń 1938.

[2]) Niemożliwość myślową materializmu filozoficznego podkreśla nie kto inny, tylko cytowany już Max Adler, apologeta materializmu dziejowego i marksizmu (l. c. 78).

[3]) *Ideologie und Utopie* Bonn 1930, passim.

[4]) Patrz Lange, *Geschichte des Materialismus.*

tego *ex definitione* niepodzielnego praelementu materii, pokazało nam nagle, że ten najbardziej „realny" czynnik, to tylko — zdaniem niektórych fizyków — złudzenie zmysłów, to tylko układy zmienne jakichś kosmicznych sił, ale nie ta twarda „solidna" masa, która dała to poczucie „realności" wszystkiego, co jest zmysłowo uchwytne. Przecież, jak niektórzy głoszą, po rozbiciu atomów ciało ludzkie dałoby się zredukować do masy, objętości jednego łebka od szpilki a trzy tony żelaza, to... jeden naparstek materii.[1]) Dziwić się nie można, że ekstremiści, których nigdy nie braknie, zaczynają już negować nawet samo istnienie materii.[2])

Można więc powiedzieć, że z łona samych nauk przyrodniczych wyszło przezwyciężenie fundamentów materializmu filozoficznego.

Oczywiście nie można stawiać przedwczesnych hipotez i twierdzić, że likwidacja materializmu filozoficznego, a raczej, na razie — usunięcie podstaw psychologiczno-naukowych, na których się opierał (bo ściśle tylko tyle można wyciągnąć z rozbicia atomu) oznacza bezpośrednio zwycięstwo konieczne spirytualizmu: może się tu jeszcze pojawić i istotnie pojawił się już kierunek energetyczny, próbujący i zjawiska duchowe z tego samego źródła energii wydedukować. Są to na razie mniej lub więcej nieśmiałe próby różnych Jeansów, Eddingtonów, Carrelów i innych. Na ogół powiedzieć można, że fizyka już zakończyła swój wielki okres. Jest może przesadą pogląd, że powiedziała ona już swoje ostatnie słowo, ale w każdym razie myśl ludzka zaczyna się w inną stronę zwracać — ku b i o l o g i i. Stamtąd grozi też nowy wróg. Ale o tym później. Na razie chodzi nam o fakt, że materializm filozoficzny (zarówno ściśle mechanistyczny jak i przyjęty przez Marksa kierunek, uznający ducha jako emanację materii) stracił swe podstawy. Nie chodzi tu o podstawy logiczne, bo tych nie miał on nigdy i nie dawała ich też nigdy fizyka, ale o klimat duchowy, związany z sugestią, jaką na umysły ludzkie pewne odkrycia wywrzeć mogły.

---

[1]) Popularne przedstawienie tych wyników daje K. Wrotny-Klimowiczowa: *Tajemnica człowieczeństwa*. Poznań 1957.

[2]) Tak Adler, tamże str. 78.

Załamanie materializmu filozoficznego bezpośrednio nie musiałoby naruszyć innej jego formy, która odegrała większą znacznie rolę historyczną — mianowicie materializmu dziejowego. Wszak odżegnywa się on dziś od związku z materializmem filozoficznym. Próbuje przynajmniej tego odłączenia dokonać znany nam już Adler, wprawdzie wbrew największym autorytetom obozu jak Plechanow, Lenin, Lafargue, Labriola, Pannekook, Goster, Kautsky, Mehring — inna rzecz, czy z powodzeniem. Związek ten jest jednak bardzo istotny, ale ostatecznie można sobie wyobrazić takie stanowisko, które uznaje niematerialną duszę a mimo to uważa motyw gospodarczy za jedynie realny i istotny. Zmiana klimatu duchowego i przewodnich idei epoki musi jednak podciąć fundamenty ideologiczne i materializmu dziejowego.

Zaznacza się tu jeden zasadniczy proces, któremu ulec musi każda ideologia, oparta na doczesnych, z empirycznych a więc czasowych doktryn, wysnutych założeniach. Jest to proces starzenia się. W miarę jak założenia tracą swój związek z aktualną rzeczywistością, idee i ideały tracą swą świeżość, zamienia się treść niegdyś żywotnej ideologii na zbiór zużytych komunałów, które już nikogo nie poruszają. Powtarza się je jako „magiczne", tradycyjne już formułki, które uległy zwulgaryzowaniu i mechanizacji. Ideologia zamienia się we frazeologię. Cały tragizm ruchów ideologicznych leży w tym, że właśnie wtedy, gdy wytworzyła się już wielka maszyneria organizacyjna, narosła wspólnota przeżyć, kult wodzów i wydarzeń, bogactwo symbolów i form — uleciał już duch ideologii i jej dynamizm. Można powiedzieć, że to „ciało" ruchów ideowych, jakim jest organizacja, żyje dłużej od ich ducha. Taką właśnie jest obecnie sytuacja marksizmu. Że nie jest to insynuacja lub pobożne życzenie wrogów tego kierunku, o tym przekona nas zapoznanie się z rewelacyjnymi poglądami najnowszych przedstawicieli obozu socjalistycznego.

III.

Chcąc poznać stan jakiegoś obozu ideologicznego, trzeba zajrzeć do jego własnej literatury. Oczywiście ma to swój sens tam jedynie, gdzie istnieje wolność słowa i prze-

konań. Trudno byłoby wytworzyć sobie obraz Rosji dzisiejszej na podstawie publikacyj bolszewickich. Można by tu co najwyżej analizować poziom umysłowy, co zresztą może być ciekawe. [1]) Inna rzecz, gdy chodzi o europejski socjalizm. Panuje tam, przynajmniej u góry intelektualnej, która jedynie może być dla nas miarodajna, nastrój defensywny a nawet defetystyczny. Jest to zresztą sąd nie nasz, ale jednego z przywódców obozu socjalistycznego, z którym się bliżej zapoznamy, mianowicie De Mana. Istotnie myśli się tam, nawet wśród prawowiernych wyznawców, o rewizji dorobku marksizmu i o wydobywaniu z niego rzeczy żywotnych. Taką jest np. postawa książki D. H. Cole: *Istotny sens marksizmu.* [2]) Rzeczywisty wgląd w sytuację dają nam jednak dwie ważne prace, mianowicie cytowana już książka Maxa Adlera i rewelacyjna wprost *Psychologia socjalizmu* De Mana [3]) Zajmiemy się najpierw tym pierwszym.

Max Adler jest w obozie socjalistycznym przedstawicielem nowego kierunku, który nazwano już adleryzmem, co autor sam z dumą stwierdza. Kierunek ten nie jest jednak żadną nową ideologią, lecz tylko próbą ratowania marksizmu przez przystosowanie go do pojęć nowej epoki: chodzi tu jakoby o próbę zmiany fundamentów przez oparcie marksizmu na nowych podstawach idealizmu epistemologicznego. Adler chce ratować materializm dziejowy, odrywając go od materializmu filozoficznego. Chce on z marksizmu zrobić... teorię naukową, z której wprawdzie wyrastają ideologie, ale która sama ideologią nie jest. Posuwa on się nawet do utożsamiania materializmu dziejowego z socjologią. Jest to dla niego jedyna prawdziwa socjologia, najwyższy szczebel poznania zagadnień społecz-

[1]) Warto pod tym kątem widzenia przestudiować omawianą swego czasu na łamach *Przeglądu Powszechnego* książkę Bucharina *Teoria materializmu dziejowego* (patrz rozprawę doc. K. Górskiego: „Materializm dziejowy według Bucharina", *Przegląd Powszechny* XII 1933). Poziom umysłowy tej standarowej książki bolszewickiego uczonego, którego nazwisko stało się znowu głośne w związku z tragicznym jego procesem, jest taki, że można ją polecać filosowieckim intelektualistom — jako środek leczniczy.

[2]) Tłum. Pańskiego, Warszawa 1935.

[3]) Tłum. A. Pragiera. Warszawa 1937.

nych [1]) i miara, którą mierzyć należy wszelkie ruchy, idee. Sam Adler wypiera się postawy dogmatycznej, ale cała jego książka jest typowym przykładem scholarstwa najgorszego gatunku. Adler stara się nie tyle wykazać słuszność swych poglądów, ile udowodnić, że sami mistrzowie, Marx i Engels, tak myśleli. Postawa ta różni się od scholarstwa chrześcijańskiego choćby tym, że same te autorytety są bardzo kruche, potrzebują już gwałtownego poparcia, przynajmniej tam, gdzie nie chroni ich powagi żadna „policja ideologiczna" à la G. P. U.

Książka Adlera, pełna właściwej rasie autora nienawiści do chrześcijaństwa, jest przedziwnym zbiorem sprzeczności. Autor pogardza wszelką zależnością duchową, a sam daje jej najjaskrawszy przykład. Odrzuca on materializm filozoficzny jako myślowo niemożliwy, ale nie staje się konsekwentnym spirytualistą i trwa w ateizmie, uważając w stylu najbardziej naiwnych myślicieli z doby oświecenia i pozytywizmu wszelką religię za przesąd czy też oszustwo „klasowe". Tworzy on przedziwny konglomerat myślowy z idealizmu epistemologicznego i materializmu dziejowego, który przecież wyrósł w klimacie myślowym naiwnego realizmu (pochowanej ze śmiechem, jak twierdzi Adler, teorii „odbicia" rzeczywistości w mózgu). Czytając tę książkę czujemy, że interes polityczny własnej grupy, sprzymierzony z kultem osobistym dla „narodowego" proroka, każe podtrzymywać za wszelką cenę gasnący autorytet twórców ideologii, która już straciła swój grunt w aktualnej rzeczywistości.

Niefortunna ta próba ratunku określa najlepiej sytuację całego ruchu marksowskiego w Europie.

IV.

Inne zupełnie oblicze ma książka De Mana. Napisał ją aryjczyk, człowiek poważny i szanowany nawet poza swoim obozem, przywódca socjalistów belgijskich. De Man sam należy do pokolenia starszego, ale w umyśle jego odbijają się z niezwykłą wyrazistością poglądy pokolenia nowego.

[1]) L. c. 11.

De Man to badacz i działacz w jednej osobie. Obie te postawy zostały tu wyjątkowo dobrze sharmonizowane. Książka jego stanowi w dużej mierze zastosowanie psychoanalizy Freuda do zagadnień społecznych, zresztą wyjątkowo szczęśliwe, dalekie od jednostronności, właściwej temu kierunkowi. Przede wszystkim jest to jednak zrobienie ostatecznego bilansu dotychczasowego dorobku marksizmu. Wynik tego rozliczenia „winien" i „ma" jest rewelacyjny. Nie spotkaliśmy w całej znanej nam literaturze polemicznej, nie wyłączając dzieł czołowych jak Cathreina [1]) czy Sombarta, [2]) tak druzgocącej krytyki marksizmu. Jeśli adleryzm jest próbą ratowania Marxa, to książka De Mana jest już r e w o l u c j ą w e w n ę t r z n ą, buntem ideologicznym, który obala po kolei wszystkie zasady i założenia marksizmu. De Man nie ogranicza się do negacji, lecz stawia swój własny program, nazwany od jego „planu" „planizmem". Mimo to, co najdziwniejsze, pozostaje on w obrębie obozu socjalistycznego, a książka jego nie tylko, że nie została wyklęta, ale tłumaczył ją na język polski znany socjalista Adam Pragier.

Na samym wstępie stwierdza De Man p r z e s i l e n i e i n t e l e k t u a l n e w łonie socjalizmu i zaznacza, że nie chodzi tu jednak bynajmniej o trudności przejściowe, lecz o wynik rozwoju, który rozpoczął się już bardzo dawno. Przesilenie wyrażało się w „rosnącej niezgodności między teorią marksizmu i praktyką partii robotniczej, powołującej się na teorię". [3]) Dalej stwierdza autor, że poza Rosją utracił marksizm „znaczną część swego natężenia intelektualnego". [4]) Zaczęło się już kostnienie tego ruchu, „zamykanie okien" na nowe idee i zastój umysłowy. Aktywność umysłową rozwijają marksiści jedynie na terenie Rosji, gdzie marksizm stał się obowiązującą dogmatyką. Lecz dogmatyzacja ta oznacza zarazem wulgaryzację. Moglibyśmy dodać, że chodzi tu oczywiście nie o dogmaty teologiczne o cha-

[1]) *Der Sozialismus. Eine Untersuchung seiner Grundlagen und seiner Durchführbarkeit.* XIII Aufl. Freiburg 1920.

[2]) Werner Sombart: *Der proletarische Sozialismus.* X Aufl. Jena 1924.

[3]) L. c. s. 7.

[4]) Ib. 8 nast.

rakterze ostatnich zasad i sformułowań abstrakcyjnych najistotniejszej treści prawd wiecznych, transcendentnych, lecz o dogmatyzm demagogiczny, konkretyzujący pewne pseudoempiryczne doktryny, które stały się więzią społeczną grupy politycznej. Dogmatyzacja taka to nie ustalenie treści istotnej, lecz właśnie poświęcenie zużytej już treści dla korzyści aktualnych. „Nie ma chyba tezy, stwierdza autor, której by wykładnia komunistyczna nie sprowadziła do prymitywnego poziomu prostackiego symbolizmu dla użytku agitatorów". Ale i socjaliści zachodni, którzy z niechęcią odnoszą się do tego „wulgarnego" marksizmu, przez samą konieczność oporu popadają w ten sam dogmatyzm, gdyż chcąc wytrącić broń komunistom, starają się oni wykazać swą „prawowierność" marksowską. Wyśmienitą ilustracją może być dla nas omówiony powyżej Max Adler. Sytuacja tych przywódców jest istotnie bardzo trudna. Wychowali oni swoje masy w błędnej pseudoreligii, a teraz, gdy sami stracili swą marksowską „wiarę" — nie mogą się do tego przyznać i muszą dalej głosić prawdy, w które już nie wierzą. Trzyma ich w swych żelaznych karbach stworzona przez nich organizacja, ta więź statyczno-konkretna formuł, symbolów, osobistości uznanych za wzór i za wodzów oraz wspólna przeszłość. Są to więzy mocne. Zerwanie ich to czyn, wymagający bohaterstwa. Tym bardziej, że zwykle z przynależnością do ruchu wiążą się różne pozycje społeczne i moralne, a często i ekonomiczne. Te więzy tłumaczą nam trwałość ruchu, którego dążenia straciły już swą aktualność. Zarazem tłumaczą nam one, dlaczego De Man nie został przez swych towarzyszy wyklęty jako odstępca, którym jest niewątpliwie. Mamy wrażenie, że wszyscy ci „niewierzący" marksiści odetchnęli, że znalazł się wśród nich jeden człowiek odważny, który mógł dzięki swej powadze i pozycji zaryzykować wystąpienie reformatorskie i nie uląkł się strasznego okrzyku „zdrada". Może być, że w okresie kombinacyj „fołksfrontowych" Kominternu okrzyk ten wcale nie będzie głośnym. W takich warunkach mógł sobie De Man pozwolić na bardzo wiele, nie ryzykując pójścia „pod stienkę", wszak Stalin nie rządzi jeszcze w Brukseli.

Lecz posłuchajmy dalszych, niezwykle ciekawych wywodów belgijskiego wodza socjalistów. Marksizm jest dla niego już tylko „zbiorem formuł propagandowych", których zadaniem jest podtrzymanie gasnącego entuzjazmu mas i odpieranie ataków komunistycznych. Z motywu działania zamieniła się teoria ta w środek pomocniczy propagandy. Im czystsza jest doktryna marksowska, tym bardziej oddala się ona od praktyki. „Ilekroć wypadnie jej stanąć w obliczu nowych zadań praktycznych, przeobraża się w kazuistykę, która próbuje zawsze uzasadnić fakt przez system, a nigdy nie kusi się o ożywienie systemu przez zużytkowanie nowego faktu".[1]) Jest to już starcze osłabienie teorii, której piastunowie bardziej myślą o tym by wykazać, że teoria jeszcze żyje, niż by dla niej świat zdobyć.[2]) Toteż nowe pokolenie głosi potrzebę „sprawdzenia wiary". I możemy dodać, przekonało się ono, że wiara, w której je wychowano — bo jest to już generacja synów czy nawet... wnuków pierwszych zwolenników czerwonego manifestu z r. 1846 — była fałszywą. To nowe pokolenie, to nie rewizjoniści w stylu Bernsteina czy Kautskiego a choćby i Adlera, ale to buntownicy, którzy chcą obalić cały system od podstaw aż do nadbudówek. Budzi się więc wątpliwość, czy walka klas w ogóle musi prowadzić do socjalizmu? Autor stwierdza, że mimo jej zaostrzenia, cel państwa socjalistycznego wydaje się coraz odleglejszym. Krytyka ta idzie dalej i podważa po kolei wszystkie fundamenty marksizmu. Burzy determinizm, przeciwko któremu już swego czasu zbuntowali się Jerzy Sorel[3]) i jego polski uczeń Stanisław Brzozowski[4]) a nade wszystko ten przedziwny obrońca jaźni niepodzielnej a równocześnie ateusz, Edward Abramowski; burzy mechanicyzm, historycyzm, wywodzący cele z warunków epoki, burzy również racjonalizm i hedonizm. — Wszystko to pada pod młotem krytyki młodego pokolenia socjalistów. Dążenia rewolucyjne zmieniają się w reformistyczne. Autor wprawdzie stwierdza, że sam

[1]) Ib. 9.

[2]) Ib. 10 nast.

[3]) Krótkie systematyczne studium o Sorelu daje K. Wyka: *Jerzy Sorel.* Odb. z *Przeglądu Współczesnego* Warszawa 1935.

[4]) Patrz „Legendę Młodej Polski". *Pisma* tom VIII, Warszawa 1937.

w miarę starzenia się staje się coraz bardziej rewolucyjnie usposobionym, ale nie zmienia to tendencji samej ewolucji Kultura burżuazyjna wchłania masy robotnicze. Ostatecznie jest to o tyle zrozumiałe, że sam socjalizm, jak stwierdza autor, jest pochodzenia burżuazyjnego. Jest to nie ideologia proletariatu, ale stworzona dla proletariatu przez renegatów burżuazji. Jej źródłem nie jest brak kultury u proletariatu, ale jej obfitość u inteligencji, która dała wszystkich bez wyjątku przywódców i pionierów. Nie ma wśród nich, jak twierdzi autor, ani jednego proletariusza.[1])

Bardzo ciekawa jest sama teoria psychologii socjalizmu, jaką autor rozwija. Wykazuje on, że warunki gospodarcze nie muszą bynajmniej wywołać socjalizmu, o ile nie dołączy się tu pewne poczucie naruszonej równowagi społecznej. Robotnicy nie buntują się przeciwko zamożności burżuazji, ale przeciwko jej nadmiernej potędze, której nie równoważy poczucie odpowiedzialności społecznej, jakie istniało w stanowym ustroju średniowiecznym.[2]) Ważną rolę odgrywają tu kompleksy upośledzenia społecznego, które szukają rekompensaty.

De Man nie pozostawia z całego marksizmu dosłownie nic. O fundamentalnej teorii nadwartości, która uchodziła za największy, nienaruszalny prawie dorobek Marksa, mówi on, że nigdy jeszcze taka olbrzymia góra wiedzy nie zrodziła tak maleńkiej myszy. Wszystko, co teoria ta udowadnia, było już znane, a to, co miała udowodnić, mianowicie niemoralność zysku kapitalisty, to bierze jako milczące założenia.[3])

Nie możemy się tu już zapuszczać w ocenę pozytywnych wskazań „planu" De Mana, sformułowanych w wydanej i po polsku książce: *Plan odbudowy świata.* Zasady tych konstrukcyj „planizmu" nie są ani rewolucyjne ani rewelacyjne, ale za to możliwe do szybkiego zrealizowania na drodze legalnej. Jest to program, oparty na fundamentach pragmatyzmu, woluntaryzmu, pluralizmu i insty-

[1]) Ib. 13.
[2]) Ib. 17 n., 21 n.
[3]) Ib. 289.

tucjonalizmu pod którym rozumie autor akcentowanie potrzeby tworzenia nowych instytucyj — w przeciwieństwie do destruktywnych dążeń marksizmu.[1]) Realne jego wskazania, to gospodarka planowa, ale uwzględniająca inicjatywę prywatną, to dalej nacjonalizacja kredytów i wielkiego przemysłu, z utrzymaniem własności prywatnej drobnych i średnich warsztatów produkcji (gospodarka mieszana) i wreszcie zwrócenie się frontem ku warstwom średnim, których pominięcie przez marksizm pełne pogardy dla „drobnej burżuazji", pchnęło te tak potężne masy, których ilość stale wzrasta w miarę jak następuje biurokratyzacja życia publicznego i przemysłu, w objęcia faszyzmu. De Man myśli pozytywnie. Martwiąc się osobiście z powodu „zburżuazyjnienia" klasy robotniczej, woli on jednak jedną nową kanalizację dzielnicy robotniczej, niż nową teorię walki klas. Stosowanie przemocy odrzuca De Man zdecydowanie. I nie cofa się on przed wyciągnięciem wniosku ostatecznego, który koronuje ten wynik ewolucji, stanowiący heglowską antytezę dialektyczną do całej treści socjalizmu. Odrzuciwszy mianowicie materializm, wywłaszczenie bez odszkodowania, teorie ekonomiczne Marxa a także walkę klas i rewolucję, rezygnuje De Man z poklasku swych towarzyszy partyjnych semickiego pochodzenia i zapowiada powrót do religii i to religii żarliwej i odwrócenie się mas od materializmu, któremu autor sam dodaje przymiotnik „cyniczny". [2])

V.

Stajemy w obliczu zjawiska nieoczekiwanego. Samorzutna reakcja wewnętrzna doprowadziła ten kierunek, który był antytezą naszych dążeń, do samozaprzeczenia, które z natury rzeczy musi wyjść na mniej lub więcej zupełną afirmację naszych ideałów. Program „planizmu" może nie będzie dla nas we wszystkim przekonywujący. Zawiera on momenty etatyzmu w formie może nawet niebezpiecz-

[1]) Ib. 316 n. Patrz też jego *Plan odbudowy świata,* tłum. Leśniewskiego.

[2]) Ib. s. 361.

nej — etatyzmu kredytu. W każdym razie nie są to już te herezje marksizmu, które zostały przez Kościół potępione. Planizm wymagałby nowej zasadniczej oceny. Nie znaczy to oczywiście, że grupę De Mana mamy prawo uważać za katolicką. Bądź co bądź nie zerwała ona łączności organizacyjnej z marksistami i stanowi ona tam dopiero pewien odłam. Sam De Man mógł jednak dzięki swemu „planowi" zdobyć tekę ministerialną i nie został bynajmniej uznany za zdrajcę, za jakiego marksiści mają go pełne prawo uważać. Jest to dowodem, że dokonał się w tym obozie istotnie niesłychanie głęboki przełom, a ideologia materialistyczna, która nie była już zdolna do żywiołowej reakcji przeciwko koncepcjom, które są jej jaskrawą antytezą, jest już ideologią martwą. To, że jest dziś ona doktryną rządzącą na terenie Rosji, to może a nawet musi przyspieszyć jedynie jej upadek na terenie, na którym jeszcze panuje wolność przekonań. Jest rzeczą nieuniknioną, że wszystkie, nawet niewierzące, ale szczere i na kulturze europejskiej wychowane umysły, choćby w stylu Andrzeja Gide'a, muszą się odwrócić od systemu, który wymaga metod stalinowskich. Złoto uralskie tego stanu rzeczy nie zmieni. Prędzej czy później spodziewać się należy, że i władcy Rosji dojdą do wniosku, że pieniądze swoje mogą zużyć na lepszy cel, niż na sypanie ich do dziurawej beczki. — Epizody, jak straszliwe procesy moskiewskie, świadczą najlepiej o tym, że chodzi tu o ruch, który się już rozkłada. Może on zdobyć się jeszcze na wybuch szału, ale nie jest już zdolny do działania naprawdę planowego i skutecznego, trafiającego w ducha czasu. Nie znaczy to oczywiście, że radykalizm społeczny nie ma u nas zupełnie przyszłości. Mamy i w Polsce formy jego naprawdę groźne, bo rodzime. Lecz materializm, szczególnie w ujęciu marksistowskim, jest już ideologią przebrzmiałą. Nie miał on nigdy w Polsce korzystnego dla siebie podłoża. Fakt, że reprezentowali go najgorliwiej Żydzi, wobec nastrojów antysemickich, może go jedynie do reszty pogrzebać. Jak widzimy, załamuje się on już i na Zachodzie.

Fala dziejowa zaczyna się w naszą stronę zwracać. Teraz chodzi o to, czy zdołamy falę tę skierować w nasze łożysko, czy potrafimy wykorzystać obecne tendencje, by

dla Chrystusa, Jego Kościoła odzyskać masy robotnicze, które zresztą u nas nigdy nie były tak zdechrystianizowane jak na Zachodzie.

Z drugiej strony nie wolno nam przeoczyć nowych niebezpieczeństw, które nam grożą — od Zachodu. Chodzi nam mianowicie o nową formę materializmu biologicznego, który ma swoje główne siedlisko w Niemczech. I w tym wypadku chodzi znowu o kierunek, który w świecie naukowym jest już mocno podcięty i który przesiąkł do mas i do mózgów polityków w formie już zupełnie przezwyciężonej. Być może jednak, że jeśli nie same idee rasowe, to przynajmniej ogólny, biologiczny materializm dozna w naszej epoce pomocy ze strony biologii, która wchodzi w okres coraz szybszego rozwoju. Umiera tylko jedna forma materializmu. Rodzą się nowe. Na ogół jednak wydaje się, że wchodzimy w okres renesansu kierunków spirytualistycznych i idealistycznych. Chodzi tylko o to, by tych koniunktur dobrych dla chrześcijaństwa nie zmarnować, lecz wyzyskać je i rozwój ich przyspieszyć, przez wyjście naprzeciw tym, którzy szczerze szukają i którym nie łatwo przezwyciężyć tak długo świadomie wytwarzane opory psychiczne. Wyjście naprzeciw nie z ustępstwami doktrynalnymi, bo tych się nikt od nas nigdy nie doczeka, ale ze zrozumieniem i ciepłym sercem, zgodnie z przypowieścią ewangeliczną o radości z powrotu syna marnotrawnego.

Otwierają się perspektywy, których nam pod grozą odpowiedzialności dziejowej zmarnować nie wolno!

Dr Andrzej Niesiołowski.

Racja stanu a ideologia.

Na marginesie polityki zagranicznej Mussoliniego.

W publicystyce dzisiejszej żywo dyskutuje się zagadnienie, jaki wpływ na politykę zagraniczną poszczególnych państw mają kwestie ideologiczno-ustrojowe. Według jednych wpływ ten jest dominujący, a na potwierdzenie swojej tezy mogą oni dać przykład niewątpliwego przeciwstawienia się, zwłaszcza na tle sprawy hiszpańskiej, Francji i Anglii z jednej strony, a więc państw demokratyczno-parlamentarnych, a Włoch i Niemiec — państw faszystowskich, z drugiej strony. Według innych, kwestie ideologiczno-ustrojowe nie odgrywają w polityce międzynarodowej decydującej roli, a rząd każdego państwa, czy to będzie rząd parlamentarno-demokratyczny, czy totalistyczny, kieruje się wyłącznie racją stanu. Licznych przykładów na poparcie tej tezy dostarcza historia; widziano przecież w przeszłości sojusz królów francuskich z sułtanami tureckimi, sojusz katolickiej Francji z książętami protestanckimi Rzeszy w XVI i XVII w., w okresie rewolucji francuskiej mówiono wprawdzie o konieczności łącznego wystąpienia wszystkich monarchii prawowitych w Europie przeciwko republikanom francuskim, ale w gruncie rzeczy wszystkie wojny, toczone przeciwko Francji rewolucyjnej, prowadzone były w imię racji stanu, nie zaś ze względów ideologicznych. Najlepszym dowodem tego był fakt, że o pokój z republiką francuską postarał się najprędzej król pruski. Pod koniec znowu XIX stulecia doszedł do skutku sojusz jedynej w ówczesnej Europie, jeżeli nie brać pod uwagę Turcji, monarchii absolutnej, z jedyną wówczas, jeżeli nie liczyć Szwajcarii, San Marino i Andory, republiką, tj. sojusz

caratu rosyjskiego z republiką francuską. Po wojnie, w związku z powstaniem szeregu nowych państw oraz nowych systemów ideologicznych i ustrojowych, stosunki skomplikowały się bardzo. Najwdzięczniejszym może obiektem dla określenia roli czynnika ideologiczno-ustrojowego w polityce międzynarodowej będzie zbadanie zagranicznej polityki Mussoliniego, zwłaszcza wobec Niemiec hitlerowskich.

Rezultat wielkiej wojny był dla Włoch wyjątkowo korzystny, korzystniejszy może, niż dla każdego z pozostałych państw koalicyjnych, w wyniku bowiem wojny rozpadła się bezpowrotnie monarchia habsburska, odwieczny wróg Italii. W miejsce potężnego bądź co bądź, 50-o milionowego mocarstwa, powstał w Europie naddunajskiej szereg drobnych państw, które z natury rzeczy nie mogły być dla Włoch poważniejszym niebezpieczeństwem, a natomiast przedstawiały wdzięczne pole dla włoskiej ekspansji politycznej i gospodarczej. Mimo to Włochy wyszły z konferencji pokojowej w Paryżu głęboko dotknięte i rozgoryczone na swych sojuszników, a w pierwszym rzędzie na Francję, gdyż nie uzyskały w traktatach pokojowych tych wszystkich zdobyczy, które im gwarantował tajny traktat londyński z 26 kwietnia 1915 r., zawarty z Anglią, Francją i Rosją w przeddzień przystąpienia Włoch do wojny. Włochy wystąpiły ze szczególną niechęcią przeciwko Francji, jako najpotężniejszemu po wojnie państwu na kontynencie Europy. Polityka włoska, wzorem angielskiej, występowała w imię równowagi europejskiej przeciwko hegemonii najsilniejszego mocarstwa. Stąd pochodziło antyfrancuskie nastawienie Włoch, zarówno za rządów Nittiego, Giolittiego, Bonomiego, de Facty, jak i po objęciu władzy przez Mussoliniego.

W pierwszym okresie powojennym Włochy, nękane prądami rewolucyjnymi wewnątrz kraju, a później zajęte konsolidacją systemu faszystowskiego, nie ujawniały na terenie międzynarodowym silniejszej inicjatywy. Dopiero mniej więcej od roku 1926—27 Mussolini zaczyna okazywać wyjątkową ruchliwość na terenie międzynarodowym, a przede wszystkim w Europie naddunajskiej, inaugurując zbliżenie z Węgrami i jednocześnie z Rumunią, i starając się przez to zdobyć dla Włoch decydujące wpływy w tej części naszego

kontynentu. Nad Dunajem dyplomacja włoska styka się z działaniem dyplomacji francuskiej, i w ten sposób południowo-wschodnia część Europy, która była dawniej terenem rywalizacji austriacko-rosyjskiej, staje się obecnie nowym punktem tarcia między Francją i Włochami, przyczyniając się do jeszcze większego zaostrzenia stosunków między dwoma dawnymi sojusznikami.

Mussolini coraz większą wagę przywiązywać zaczyna do zbliżenia z Niemcami, licząc, że w ten sposób wzmocni pozycję Włoch, a osłabi Francję. Po przelotnym zatargu z Niemcami o położenie mniejszości niemieckiej w południowym Tyrolu w zimie 1925—6 roku, stosunki między dwoma sprzymierzeńcami z przed wielkiej wojny układają się coraz pomyślniej.

Po śmierci Gustawa Stresemanna 3. X 1929 r. tekę ministra spraw zagranicznych Rzeszy objął dr Curtius. Ambicją jego było dorównać swemu znakomitemu poprzednikowi, i sukcesy, odniesione przez Stresemanna na zachodzie, powtórzyć na wschodzie. Toteż w okresie tym następuje jeszcze silniejsze zaostrzenie stosunków polsko-niemieckich, co było chętnie widziane przez Mussoliniego, wciągało bowiem Niemcy, a wraz z nimi i Francję, w sprawy północne i wschodnie; dawało to Włochom wolne pole do działania nad Dunajem.

W 1930 r. zarysowuje się coraz żywsze współdziałanie pomiędzy Włochami, Niemcami i Rosją sowiecką, jako opozycja przeciwko przewadze Francji. Współdziałanie to wystąpiło jawnie zwłaszcza pod koniec roku podczas ostatniej sesji komisji przygotowawczej do konferencji rozbrojeniowej. Druga połowa 1930 r. była świadkiem wielkiego wzrostu sił partii narodowo-socjalistycznej; w wyborach wrześniowych tego roku hitlerowcy zdobyli 107 mandatów poselskich do Reichstagu wobec 12 posiadanych poprzednio. Wywołało to bardzo sympatyczny oddźwięk we Włoszech.

Chociaż Mussolini niejednokrotnie twierdził, że faszyzm nie jest towarem na wywóz, teraz, w miarę sukcesów hitlerowskich, daje się zauważyć rosnącą sympatię we Włoszech dla ruchu narodowo-socjalistycznego, przy czym Włosi sądzą, że hitleryzm będzie tylko naśladownictwem wzorów faszy-

stowskich, i że Niemcy staną się tym pewniejszym sojusznikiem. Zawarty wiosną 1931 r. układ Schober—Curtius w sprawie unii celnej Austrii i Niemiec pozostał bez głębszego wpływu na stosunki niemiecko-włoskie.

Zasadnicza zmiana nastąpiła dopiero po dniu 31. I 1933 r. tj. po objęciu steru rządów przez Adolfa Hitlera. Włosi, którzy z taką sympatią śledzili postęp ruchu hitlerowskiego, przekonali się prędko, że istnieje poważna różnica pomiędzy Hitlerem, odpowiedzialnym sternikiem polityki niemieckiej, a Hitlerem — wodzem opozycji. W umysłach włoskich sojusz włosko-niemiecki przeciwko Francji przedstawiał się zawsze w ten sposób, że pierwsze skrzypce grać będzie Rzym, a Berlin będzie tylko jego sekundantem. Pomimo wielkiej dysproporcji, istniejącej pomiędzy możliwościami Niemiec a Włoch, nie może ulegać wątpliwości, że w okresie lat 1922—33, Włochy bardziej niż Niemcy były zdolne do szerszej akcji politycznej. Zaraz po dojściu do władzy Hitlera okazało się, że nie zechce on być w żadnym razie satelitą Mussoliniego, że ma on swoje własne cele i dążenia, do których należy w pierwszym rzędzie przyłączenie Austrii do Rzeszy. W miejsce Niemiec weimarskich, uwikłanych w spór z Polską o Pomorze, stają Niemcy hitlerowskie, dążące do zaboru Austrii, do zrealizowania dawniejszych jeszcze koncepcji mitteleuropejskich i do rozwinięcia wielkiej ekspansji politycznej i gospodarczej poprzez Dunaj i Bałkany na Bliski Wschód. Dla Włoch oznaczałoby to pozbawienie owoców zwycięstwa, gdyby miejsce dawnych Austro-Węgier na ich północno-wschodniej granicy zajęły o wiele potężniejsze Niemcy. Toteż Mussolini występuje z inicjatywą tzw. paktu czterech. Pakt czterech, łącząc Włochy, Niemcy, Anglię i Francję, miał stworzyć dyrektoriat czterech najpotężniejszych mocarstw Europy, dyrektoriat, który by w miejsce Ligi Narodów i poza nią rozstrzygał najważniejsze i najistotniejsze sprawy polityczne. Przez pakt czterech il Duce spodziewał się podwójną osiągnąć korzyść, a mianowicie przeciwstawić się jednocześnie Francji i Niemcom; Mussolini liczył bowiem, że Włochy będą zawsze współdziałały z Anglią, również nie chcącą dopuścić do przewagi w Europie jednego mocarstwa, i że w konsekwencji Włochy będą miały we-

wnątrz rządzącego Europą czwórporozumienia stanowczą przewagę — występować bowiem będą zawsze bądź z Anglią i Niemcami przeciwko Francji, bądź też z Anglią i Francją przeciwko Niemcom.

Pakt czterech wzbudził wszakże w całej Europie tak silne przeciwdziałanie, że doszedł do skutku tylko formalnie; podpisany został mianowicie układ czterech państw w Rzymie 7. VI 1933 r., ale ostrze układu zostało tak bardzo stępione, że powiększył on tylko liczbę papierowych umów, pozbawionych jakiegokolwiek bądź znaczenia.

Pakt czterech zostawił po sobie sporo osadu usprawiedliwionych niechęci i nieufności, stosunków zaś niemiecko-włoskich bynajmniej nie zacieśnił; przeciwnie, mimo wszelkich prób i wysiłków, podejmowanych ze strony niemieckiej (częste podróże kierujących polityków niemieckich do Rzymu w 1933 r.), było rzeczą widoczną, że ambicje Hitlera, dążącego do zgleichschaltowania Austrii, jako wstęp do *Anschluss'u*, budzą coraz większą niechęć we Włoszech. Włochy okazują coraz większe zainteresowanie sprawami austriackimi, i właśnie na gruncie austriackim dochodzi do pewnego zbliżenia pomiędzy Włochami a Francją. Wobec możliwości opanowania Austrii, a co zatem dalej idzie, i Europy naddunajskiej przez Niemcy, i Włochy i Francja widzą, że groźniejsze od ich dotychczasowej wzajemnej rywalizacji jest widmo hitlerowskich Niemiec nad Dunajem.

Na tym tle dokonywa się zbliżenie trzech państw dawnej koalicji, i 17. II 1934 r. wydają one wspólną deklarację, stwierdzającą „konieczność utrzymania niepodległości i integralności Austrii w zgodzie z obowiązującymi traktatami". Prasa włoska, komentując tę deklarację, pisała, że od czasu wojny, Włochy, Francja i Wielka Brytania po raz pierwszy podkreśliły wspólny punkt widzenia w ważnej kwestii europejskiej. Zbliżeniu francusko-włoskiemu nie przeszkodziły nawet podpisane 17. III 1934 r. tzw. protokóły rzymskie pomiędzy Włochami, Węgrami i Austrią, utrwalające jeszcze bardziej włoskie wpływy nad Dunajem.

Zamordowanie kanclerza Dolfussa 25. VII 1934 r. 40-go dnia po spotkaniu Mussoliniego z Hitlerem w Wenecji, przekonało szefa rządu włoskiego, że niebezpieczeństwo jest

groźniejsze, a zwłaszcza bliższe, niż można było przypuszczać. Zarządzona mobilizacja, a następnie koncentracja wojsk włoskich nad Brennerem, była zapowiedzią, że Mussolini nie cofnie się przed wojną z Niemcami w obronie niepodległości Austrii. Przekonywa to zarazem głowę rządu włoskiego, że należy zabezpieczyć sobie tyły i nie odwlekać dłużej zbliżenia z Francją.

Francję i Włochy dzieliły trzy kwestie — Afryka, Morze Śródziemne i Europa naddunajska. W Afryce dawne pretensje włoskie o Tunis ożywiała stale wciąż jeszcze nieuregulowana prawnie kwestia osadników włoskich w tym kraju. Włosi uważali ponadto, że rektyfikacja granic pomiędzy francuską Afryką północną a włoską Libią, dokonana na zasadzie art. 13 traktatu londyńskiego z 26. IV 1915 r., była nieznaczna i nie dała im żadnych korzyści. W Afryce wschodniej punktem tarcia była Abisynia, którą Włosi uważali za naturalny teren swej ekspansji kolonialnej; Abisyńczycy zaś, w obawie przed imperializmem włoskim, okazywali niejednokrotnie tendencję do oddania się w opiekę Francji. Na Morzu Śródziemnym powojenne nieporozumienia włosko-francuskie miały swe źródło w żądaniach ze strony Włoch parytetu morskiego z Francją. W Europie naddunajskiej wreszcie chodziło o zdobycie decydującego wpływu na państwa sukcesyjne monarchii habsburskiej.

W obliczu jednak imperialistycznych dążeń niemieckich, zmalały wzajemne żale i porozumienie między dwiema łacińskimi siostrzycami stało się faktem dokonanym. 4. I 1935 r. przybył do Rzymu francuski minister spraw zagranicznych Laval, a 7. I podpisany został układ włosko-francuski, regulujący punkty sporne między tymi państwami i mający zapewnić ich zgodne współdziałanie. Porozumienie włosko-francuskie rozciągnięte zostało i na Anglię, a odbyta w dniach 11—14. IV 1935 r. konferencja premierów i ministrów spraw zagranicznych trzech mocarstw zachodnich w Stresie zapoczątkowała tzw. front Stresy, mający przeciwstawić się niemieckim dążeniom.

Zdawało się, że jednolite stanowisko mocarstw dawnej koalicji jest zapewnione. Była to wszakże iluzja, gdyż wkrótce po Stresie nastąpiło zerwanie solidarnego stanowiska państw

zachodnich. W czerwcu 1935 r. podpisany został układ o zbrojeniach morskich pomiędzy Anglią i Niemcami, przygotowywany w największej tajemnicy, w lecie zaś tegoż roku Mussolini rozpoczął wojnę abisyńską. Wyprawa abisyńska wywołała wielki wstrząs w całej Europie, zadała śmiertelny cios Lidze Narodów i potężnie zachwiała równowagę europejską. Nieoczekiwanie silna reakcja antywłoska we Francji, a zwłaszcza w Anglii, spowodowała opowiedzenie się Niemiec po stronie Włoch. Pozostające poza Ligą Narodów Niemcy nie wzięły udziału w sankcjach antywłoskich i stworzyły sobie we Włoszech sytuację uprzywilejowaną, zarówno pod względem moralnym jak materialnym. Był to punkt wyjścia tzw. osi Rzym—Berlin.

Mussolini uznał, że wobec energicznej i uporczywej walki, prowadzonej przeciwko Włochom przez Anglię i Francję, należy szukać przeciwwagi w Niemczech, choćby za cenę częściowej utraty wpływów nad Dunajem. Wojna domowa w Hiszpanii, pomoc udzielana przez Francję i Anglię wespół z Sowietami czerwonym i groźba zupełnej bolszewizacji Hiszpanii w razie klęski obozu narodowego uwidoczniły jeszcze jeden punkt wspólny między Rzymem i Berlinem. Względy ideologiczne, które wtedy wystąpiły, zostały dobitnie podkreślone przez przystąpienie Włoch w listopadzie 1937 r. do niemiecko-japońskiego porozumienia antykomunistycznego.

Powstanie osi Berlin—Rzym przyniosło obu państwom znaczne korzyści. Włochy w okresie wyprawy abisyńskiej i dyplomatycznej kampanii z Anglią i Francją nie mogły bynajmniej lekceważyć pomocy Niemiec, Niemcy zaś osiągnęły jeszcze większy sukces — przez zaangażowanie się Włoch w Afryce osłabiły wpływ włoski w Europie środkowowschodniej, umożliwiły sobie zajęcie Austrii i doprowadziły do zerwania solidarności mocarstw zachodnich. Czy jednak obustronne korzyści odniesione w ciągu dwuletniego z górą funkcjonowania osi Berlin—Rzym zapewniają trwałość zbliżeniu włosko-niemieckiemu?

Linia polityki Mussoliniego uwarunkowana była dotąd jedynie włoską racją stanu, a nie względami ideologicznymi. W momencie dojścia Hitlera do władzy widzimy zaostrzenie

stosunków włosko-niemieckich, a dokonane w $2^1/_2$ roku później zbliżenie między Rzymem a Berlinem miało za przyczynę antagonizm włosko-francuski i francusko-niemiecki. Gdyby więc w dalszym ciągu o polityce zagranicznej rozstrzygać miała racja stanu, można by twierdzić z bardzo dużym prawdopodobieństwem, że oś Rzym—Berlin nie wytrzyma próby życia, gdyż najniebezpieczniejszym przeciwnikiem Włoch są niewątpliwie Niemcy. Pełna bowiem realizacja koncepcji mitteleuropejskiej odebrałaby Włochom swobodę działania, antagonizm zaś francusko-włoski wydaje się możliwym do załagodzenia, ponieważ Francuzi w przeciwieństwie do Niemców bronią tylko swego stanu posiadania, a nie dążą do ekspansji na szerszą skalę. Stąd ani w Afryce, ani na Morzu Śródziemnym, ani nad Dunajem, Francja nie może być dla Włoch takim niebezpieczeństwem, jakim będą dla nich Niemcy na jednym tylko terenie Europy naddunajskiej po dokonaniu *Anschluss*'u i uzależnieniu od siebie w taki czy inny sposób Węgier i Jugosławii.

Również i przeciwieństwa włosko-angielskie mogą być niewątpliwie przy dobrej woli obu stron wyrównane. Włochy zarówno w czasach przedwojennych jak i w pierwszym okresie powojennym dostosowywały swą linię polityczną do wymagań polityki angielskiej. Pewna zmiana dała się zauważyć mniej więcej od 1927 r., a do ostrego napięcia doszło w pierwszej fazie wojny abisyńskiej jesienią 1935 r., wojna domowa w Hiszpanii zaś wpływa na dalsze zaostrzenie sytuacji. Okazało się wtedy, że skutkiem wysokiego rozwoju lotnictwa włoskiego, Włochy mają nad Anglią przewagę militarną na Morzu Śródziemnym. Czy Włochy potrafiły się uniezależnić od Anglii również pod względem gospodarczym, to jest pytanie, którego nie podobna na tym miejscu roztrząsać; wydaje się wszakże, że odpowiedź na nie musiałaby wypaść raczej przecząco. Rozważania te pozwalają przypuszczać, że obustronny interes, względy gospodarcze dla Włoch, bezpieczeństwo drogi morskiej do Indyj dla Anglii, doprowadzi przecież do załagodzenia sporu włosko-angielskiego.

W świetle tych rozważań wydaje się pewnym, że Włochy, gdy przyjdzie czas powzięcia ostatecznej decyzji, usuną

przeciwieństwa, dzielące je z mniej niebezpiecznymi przeciwnikami, aby mieć wolne ręce do rozgrywki z przeciwnikiem groźniejszym — Niemcami.

Tak nakazuje przypuszczać logika i taki wniosek wyciągnąć należy z dotychczasowego biegu rzeczy. Czy istotnie wypadki w ten sposób się potoczą, nie podobna twierdzić. Jeżeli by wbrew dotychczasowej praktyce górę nad racją stanu wzięły czynniki ideologiczne (pewne oznaki tego dają się zaobserwować w związku z wojną hiszpańską) i gdyby z inicjatywy i pod kierownictwem różnych sił międzynarodowych doszło do utworzenia silnego bloku, mającego na celu zgniecenie faszyzmu i pokrewnych mu ruchów nacjonalistycznych, wtedy niewątpliwie sojusz włosko-niemiecki byłby nie tylko utrzymany, ale jeszcze bardziej zacieśniony.

Janusz Pajewski.

Literatura piękna katolickiego humanizmu.

Dwoma tomami *Bez oręża* zamyka Zofia Kossak swój wielki cykl powieściowy o krucjatach. Cykl ten uznać należy za bezsprzecznie najwybitniejsze wydarzenie posienkiewiczowskiego okresu dziejów polskiej powieści historycznej. Równocześnie stanowi on wcale poważną pozycję w ogólnoeuropejskim dorobku powojennego powieściopisarstwa historycznego, pozycję pod niejednym względem — np. nasilenia momentu epickiego, swoistej postawy historiozoficznej — na wskróś oryginalną. Poza tym dzieło pani Kossak to najdonioślejsza próba stworzenia na gruncie polskim nowocześnie pojętej powieści katolickiej — próba śmiała, miejscami wręcz rewolucyjna — na tle tego, co u nas dotąd przyzwyczajono się uważać za powieść katolicką, istotnie zuchwale nowatorska, toteż przez pewien odłam opinii i krytyki katolickiej potraktowana, jako ryzykowna i gorsząca, niemal „nieprawowierna"... Analizując charakter dyskusji dookoła *Krzyżowców,* można też śmiało powiedzieć, iż wielka atrakcyjność tego dzieła w o wiele mniejszym stopniu tkwiła w jego walorach literackich, niż w reakcjach, jakie budziła postawa ideowa autorki.

W *Bez oręża* stosunek ten między atrakcyjnością wizji artystycznej, a atrakcyjnością problematyki układa się jeszcze bardziej na korzyść tej drugiej. Końcowa część cyklu pani Kossak przykuwa ku sobie naszą uwagę przede wszystkim jako dobitny wyraz pewnej postawy ideowej — postawy, której najtrafniejsze określenie mieści się w nazwie: h u m a-

nizm katolicki, a która na Zachodzie posiada licznych i wybitnych reprezentantów, zarówno w filozofii, jak i w literaturze pięknej. Związki ostatniego okresu twórczości Zofii Kossak z ową zachodnio-europejską literaturą katolickiego humanizmu nie ulegają dla nas wątpliwości, co więcej, sądzimy, że związki te — zarówno świadomie kultywowane, jak i liczne, niewątpliwie podświadome — odegrały najbardziej decydującą rolę w kształtowaniu przez autorkę takiej, a nie innej wizji średniowiecznego świata i średniowiecznego człowieka.

Jeśli się więc pragnie analizować problematykę trylogii o krucjatach, jest rzeczą konieczną analizę tę rzucić na szersze tło dzisiejszej ogólno-europejskiej literatury pięknej katolickiego humanizmu. Na tym tle katolickość dzieła Zofii Kossak nie będzie już wyglądała tak egzotycznie... tak ryzykownie, jak się to wydało niejednemu z jej krytyków i czytelników... Okaże się, że większa część wymownych znaków zapytania, którymi spory odłam krytyków i czytelników katolickich gęsto opatrzył koncepcję polskiej autorki — skierować należałoby pod znacznie rozszerzonym adresem — pod adresem całej właściwie literatury pięknej katolickiego humanizmu. Istotnie też literatura ta (szczególnie jej odłam najwybitniejszy — francuski) spotyka się z całym szeregiem zastrzeżeń, właśnie ze stanowiska katolickiego — i to w Polsce bardziej może, niż gdziekolwiek indziej. Czy i o ile zastrzeżenia te są słuszne, najłatwiej rozstrzygnąć, zapoznawszy się bliżej z ich przedmiotem.

I.

Co właściwie będziemy nazywali humanizmem katolickim? Przede wszystkim ideę, głoszącą, że pełnię rozwoju osiąga osobowość ludzka w katolicyzmie. Dalej sumę teoryj filozoficznych i estetycznych, widzących w katolicyzmie najlepszą szkołę poznania istoty człowieka, jako przedmiotu badania i przedmiotu sztuki. Wreszcie szereg prądów i zjawisk literackich, które ortodoksyjnie katolicką postawę świata i człowieka łączą z pietyzmem dla wszelkich formalnych zdobyczy kultury humanistycznej

dawnego typu (antymetafizycznej, antropocentrycznej) — także i tych, które formowały się poza obrębem kultury katolickiej, ba, nierzadko nawet w walce z nią...

Do powyższych elementów dodajmy kierunki ideowe i artystyczne, dla których istota humanizmu mieści się w humanitaryzmie; dla tych, rzecz naturalna, katolicki humanizm — to realizacja ewangelicznej nauki o miłości bliźniego, przejawiająca się w aktualnej praktyce w zwalczaniu wszelkiego barbarzyństwa i terroru.

Niejeden może słusznie zwrócić uwagę, że przecież wszystkie te momenty, wyszczególnione przez nas, jako podstawy względnie składniki współczesnego katolickiego humanizmu — nie są wcale w katolicyzmie czymś nowym, owszem, są tak stare, jak sam Kościół. Czemuż więc dopiero dziś raczyły zauważyć pewne elity intelektualne i artystyczne wartość katolicyzmu, jako drogi rozwoju osobowości? jako szkoły poznania człowieka? jako obrońcy kulturalnych tradycyj? jako realizatora idei humanitaryzmu? Czy wobec tego nie najsłuszniejsze byłoby twierdzenie, że owo obserwowane dziś ciążenie ku katolicyzmowi pewnych teoryj, pewnych postaw i pewnych grup — określanych jako humanistyczne i pragnących ten swój humanizm kultywować na gruncie katolickim — jest w gruncie rzeczy pozorne i fałszywe... jest blagą, obłudą, manewrem taktycznym, dziełem oportunizmu, nakazem koniunktury?! Czy można uwierzyć, aby prądy i grupy, które wzrastały w cieniu antropocentrycznie pojętego humanizmu, pozytywistycznego liberalizmu, laicystycznego humanitaryzmu, wolnomyślicielskiego intelektualizmu — przetworzyły się nagle w entuzjastów lub choćby szczerych sympatyków katolicyzmu? Aby idea, która jeszcze przed paru dziesiątkami lat stanowiła dla tych lub pokrewnych grup wcielenie „nieludzkiego obskurantyzmu" — miała się im nagle objawić, jako niekłamana *Ultima Thule* kultury, wolności, indywidualizmu, humanitaryzmu, postępu?!!

Otóż powiedzmy od razu, że istotnie wiele z tego, co dziś liberalna prasa Zachodu pisze o katolicyzmie, powinien ten ostatni traktować z dużą dozą sceptycyzmu, nie pozbawionego pobłażliwej ironii; w pewnej bowiem mierze komplementy i hołdy, pojawiające się na tym miejscu, gdzie

przez długie lata figurowały tylko napaści lub kpiny — to niewątpliwie tymczasowy wyłącznie manewr taktyczny, podyktowany nakazem chwili — propozycja tymczasowego sojuszu czy najczęściej zawieszenia broni — próba zagrania na nucie: *do, ut des...* Ale tylko w pewnej mierze, a i to prawie wyłącznie w literaturze publicystyczno-politycznej; ale nie w literaturze pięknej, ani filozoficznej przeciwko którym można wprawdzie wysuwać zarzut błądzenia, nawet herezji — nigdy zaś blagi, obłudy, podstępu...

Przyjmujemy więc, że pewne współczesne prądy kulturalno-artystyczne oraz pewne — i to wcale liczne — koła zachodnio-europejskich intelektualistów, indywidualistów, liberałów, humanitarystów szczerze dopatrują się dzisiaj w katolicyzmie jedynego systemu, realizującego ich ideały; w katolickim zaś humanizmie widzą aktualnie jedyną, a wielu z nich: absolutnie najwyższą, formę humanitaryzmu, najrozmaiciej zresztą pojmowanego: jako postawa historiozoficzna lub etyczna, kulturalna, estetyczna itp. Jeżeli zaś tak jest istotnie, to jak do tego doszło i dlaczego dzisiaj, właśnie dzisiaj?

II.

Nie ulega wątpliwości, że dzisiaj afirmacja osobowości ludzkiej — powiedzmy nawet: afirmacja indywidualizmu — uwidacznia się w katolicyzmie bardzo dobitnie, być może, dobitniej, niż kiedykolwiek dotąd w historii Kościoła i w historii myśli chrześcijańskiej. Oczywistym dowodem tej dobitności są wskazania najwyższego w chrześcijaństwie autorytetu, zawarte w słynnych encyklikach przeciw komunizmowi i narodowemu socjalizmowi — encyklikach, stanowiących najodważniejszą i najbardziej konsekwentną Deklarację Praw Człowieka w wieku XX. Czy jednak można by na tej podstawie wysnuwać wniosek, że katolicyzm wprowadza jakieś przedtem wcale nieznane, nowatorskie tendencje do jednej z podstawowych swych doktryn, a mianowicie do doktryny o roli jednostki ludzkiej we wszechświecie?

Tak się bowiem pozornie wydaje. Dlaczego? Po pierwsze dlatego, gdyż spomiędzy wszystkich dzisiejszych

żywotnych prądów ideologicznych katolicyzm istotnie jest jedynym, nie głoszącym haseł roztopienia się indywidualnej osobowości w organizmie zbiorowości. Po drugie owo rzekome nowatorstwo jawi się oczom współczesności, jako takie, na tej samej zasadzie, jaka zachodzi w wypadku złudzenia optycznego: oto z powodu przesunięcia się płaszczyzny naświetlenia oko nasze dostrzega dziś rzeczy, przedtem niezauważone... Zważmy, że poprzez wszystkie epoki historyczne Kościół katolicki niósł swe podstawowe doktryny, zasadniczo niezmienne, a przy tym nacechowane wielkim poczuciem rzeczywistości i umiaru, które to poczucie nadawało tej jego drodze poprzez epoki charakter drogi „złotego środka" pomiędzy różnymi krańcowościami, raz po raz wpadającymi w wynaturzenie... Z krańcowościami tymi, zboczeniami i wynaturzeniami staczał Kościół zacięte walki; zależnie zaś od tego, przeciwko której stronie się zwracał, tym silniej w danym momencie uwydatniało się to, co go właśnie od tej wrogiej strony różniło. Dlatego w wieku IV arianie oskarżali Kościół o biegunowo przeciwną herezję Sabeliusza, zaś sabelianie dopatrywali się w nim tendencyj ariańskich... W wieku V nestorianie oskarżali biskupa rzymskiego o monofizytyzm i odwrotnie — eutychianie o nestorianizm..! Z tego samego względu katolicyzm walcząc w wieku XIX z wyolbrzymianiem indywidualizmu w skrajnym liberalizmie i nietzsche'anizmie — przedstawiać się mógł, jako „nieludzko antyindywidualistyczny". Natomiast dziś, gdy znowuż, wierny swemu poczuciu rzeczywistości i umiaru, ujął się za maltretowaną przez przesadne uroszczenia zbiorowości indywidualną osobowością, ukazuje się wielu oczom ze strony rzekomo zupełnie nowej, bo z tej, z jakiej go wielu dotąd nigdy nie widziało, a nie widziało tylko dlatego, iż od tej strony nań spojrzeć nie umiało lub nie chciało... Inna rzecz, że obrona indywidualnej osobowości przez katolicyzm nie jest powodowana wyłącznie poczuciem umiarkowania — w grę bowiem wchodzą także momenty zasadnicze. Religia, która głosi, iż najważniejszym zadaniem człowieka jest i n d y w i d u a l n e doskonalenie się, a więc duchowy rozwój indywidualnej osobowości, i i n d y w i d u a l n e zbawienie — nigdy nie zgodzi

się na integralne podporządkowanie osobowości zasadom w rodzaju: *Salus rei publicae suprema lex* lub *Du bist nichts — dein Volk ist alles,* tak samo jak nie zgadza się na poddanie duchowego życia tejże osobowości materialno-gospodarczym interesom kolektywu. Że tak jest, tego nie widzieli dawniej oślepieni blaskiem liberalizmu i nietzsche'anizmu humaniści-indywidualiści; widzą to dopiero dzisiaj, gdy tamten blask zgasł, względnie przeobraził się w zgoła niepodobne płomienie — stąd szczera wiara, iż jedynie katolicyzm stwarza warunki rozwoju, a nawet samej egzystencji indywidualnej osobowości, jako samoistnego świata duchowego...

Ponadto inne jeszcze momenty czynią dziś z katolicyzmu najmożliwszą do przyjęcia ideę dla indywidualistów-humanistów. Oto wtłoczeni między niwelujący dynamizm totalizmów różnych odcieni, a niemniej antyhumanistyczny determinizm przyrodniczej koncepcji świata i życia, w chrześcijańskiej idei osiągnięcia najwyższego celu: zbawienia drogą samodoskonalenia się, drogą ciągłego dokonywania „wolnego wyboru" — odnajdują poczucie nie tylko swej indywidualnej ważności, ale także radosne i twórcze poczucie w o l n o ś c i duchowej, która w prawie wyboru dobra i zła — a więc wyboru szczęścia i upadku — jednym słowem, wyboru dróg, otrzymuje szanse całkowitego wyzwolenia rozwojowej linii osobowości z pęt, jakie każe jej niewolniczo dźwigać wszelki determinizm — obojętne, determinizm ewolucji czy dziedziczności, determinizm rasy czy klasy...

Że indywidua o wysokiej, wysubtelnionej kulturze duchowej, skłonnej do mistycyzmu mogą bez trudu szczerze zwrócić się do katolicyzmu, o tym nikt nie będzie wątpił; ale intelektualista o typowo racjonalistycznym spojrzeniu na świat, oświadczający się za humanizmem katolickim, to już chyba stanowczo hipokryta lub kombinator?! Niekoniecznie. Czy bowiem w epoce coraz to rosnącej wiary w moc (w „twórczą, zdrową moc") instynktów — instynktu płci, krwi, rasy, klasy itd. — nie uczuje nagle taki intelektualista-racjonalista sympatii do systemu, który mocy owych instynktów przeciwstawia nie tylko działanie nadprzyrodzonej łaski,

ale także typowo racjonalistyczny akt rozpoznania i akt woli (w spowiedzi)? I nie dziwmy się także, że nie odtrąci go już nawet metafizyka ni eschatologia katolicyzmu, wiek XX nauczył go na wiele rzeczy patrzeć inaczej, niż się patrzyło w wieku XIX. Ze zdziwieniem spostrzegł, że to wszystko, czego nie lubił w katolicyzmie, zakwitło i w „rozsądnych, postępowych ideologiach", w formie przy tym często znacznie brutalniejszej, pozbawionej sublimującego momentu pozaświatowości oraz pięknej oprawy, wytworu wielowiekowej nieprzerwanej tradycji kulturalnej... Żżymał się na nieomylność papieża, aż tu nagle zobaczył co to znaczy *infallibilatis* Stalina w rzeczach wiary i moralności marksistowskiej; nie miłe zaś dlań obrazy zamierzchłej przeszłości — obrazy walk z herezjami — odżyły nagle w tępieniu przez ortodoksję stalinowską herezjarchów i heretyków sowieckich, którzy prawowiernemu dialektycznemu materializmowi odważyli się przeciwstawić bądź „brutalny" materializm mechanicystyczny bądź też dialektyczny idealizm, a których los okazał się znacznie sroższy, niż Pelagiusza, Nestoriusza czy Eutychesa...

Śmieszyły go ceremonie kościelne, ale przestały śmieszyć gdy zobaczył w XX wieku obrzędy ślubne pod dębem Wotana...

Usłyszał parę razy *Horst Wessels Lied* i zmienił swój pogląd na powstawanie legend o męczennikach; przez kilka godzin tkwił w krociowym tłumie przed mauzoleum Lenina na Placu Czerwonym, po skończeniu zaś uroczystości z ulgą pomyślał o kulcie świętych... Przeczytał *Mit XX wieku* i de Mana *Psychologię socjalizmu,* po czym wziął się do dzieł teologicznych, eschatologicznych... Jednym słowem, objawił dobrą wolę, ta zaś stanowi pierwszy krok do wzajemnego zrozumienia się...

Z kolei spójrzmy na tych, którzy w epoce „różnokolorowego" terroru, w epoce straszliwie rozpętanego barbarzyństwa i jakże częstego a okrutnego poniewierania godności ludzkiej — czepiają się, jako ostatniej deski ratunku dla tej godności, dotąd obojętnej sobie lub nawet niemiłej nauki o bezcennej dostojności, przynależnej każdej ludzkiej duszy w wyniku dzieła Odkupienia, względnie szukają tej

pociechy, jaką daje przeświadczenie o własnej niezniszczalności, o nieśmiertelności indywidualnej duszy...

Są też tacy, którzy — uważając nadchodzącą epokę za epokę barbaryzacji kultury — wierzą, iż tylko Kościół będzie chciał i mógł przechować przez wieki ciemnoty skarby sztuki i zdobycze nauki, tak jak to już raz uczynił w średniowieczu. Dlaczegoby miał tak uczynić? Ponieważ każde dzieło geniusza to świadectwo, złożone prawdzie chrześcijańskiej o autonomiczności życia duchowego, zdolnego do takich wzlotów, które się nie dadzą wytłumaczyć na drodze biologicznej...

Przeszliśmy kolejno różne typy humanistów-indywidualistów, intelektualistów, estetów, humanitarystów, liberałów; w silnym skrócie pokazaliśmy drogi, jakimi różne te typy, wyrosłe przecież na gruncie XIX-to-wiecznych ideałów pozytywistycznych i laicystycznych — dziś, w wieku XX zdążają ku katolicyzmowi.

Nie mielibyśmy jednak racji, gdybyśmy twierdzili, że to tylko oni tworzą literaturę katolickiego humanizmu, lub atmosferę, w której literatura ta się kształtuje. Nie, dużą część czołowych reprezentantów tej literatury stanowią ludzie, wyrośli w katolickich tradycjach, pielęgnowanych w ich środowisku od wieków, dużo też wśród nich jest takich, co w katolicyzmie widzieli nie wypełnienie ideałów XIX-to-wiecznych, ale ich całkowite zaprzeczenie. Tym niemniej jednak wizja katolicyzmu, jako konsekwentnego realizatora i potężnego ostatniego obrońcy takich ideałów, jak indywidualizm, kulturalizm, humanitaryzm, wolność duchowa, a nierzadko i polityczna — zdaje się stanowczo nadawać ton całej literaturze pięknej katolickiego humanizmu.

III.

W całokształcie literatury katolickiego humanizmu dadzą się bez trudu wyodrębnić dwie odmiany, najbardziej reprezentacyjne. Linia podziału pomiędzy nimi jest bardzo wyraźna, stanowi ją kanał La Manche.

Obie grupy posiadają jednakowo ostro zarysowane różniące je pomiędzy sobą rysy zasadnicze; niemniej ostro zarysowują się też wysoko wystrzelające ponad ogół pisarzy

grupy indywidualności przodujące: w grupie francuskiej autor *Teresy Desqueroux, Kłębowiska żmij, Tajemnicy Frontenac'ów, Pustyni miłości, Czarnych aniołów* — Franciszek Mauriac, członek Akademii Franc.; w grupie angielskiej zmarły zgórą przed rokiem Gilbert Keith Chesterton.

Właśnie w twórczości Chestertona wizja katolicyzmu, jako zaprzeczenia ideałów XIX wieku, występuje dobitniej, niż u jakiegokolwiek innego pisarza; przeciwnie Mauriac to może najbardziej typowy reprezentant idei, które określiliśmy, jako nadające ton całej literaturze pięknej katolickiego humanizmu... Dla konwertyty Chestertona katolicyzm jest cudowną, ledwie przeczuwaną niespodzianką, spełniającą wszystkie tęsknoty ducha, wszystkie rojenia wyobraźni, wszystkie imperatywy umysłu... Dla Mauriac'a katolicyzm to prawda i prawo, wyssane z mlekiem matki, a przecież — w konfrontacji z rzeczywistością — wymagające nieustannej afirmacji, wciąż potrzebujące dowodów, które by stwierdzały nieomylną jedyność tej prawdy, dobroczynną jedyność prawa... Dowodów tych szuka pisarz z jednej strony wsłuchując się w najtajniejsze głosy własnej duszy — duszy chrześcijanina; z drugiej — w realizacji przez katolicyzm ideału miłości człowieka do człowieka... Chesterton sam nie potrzebuje już dowodów na rzecz katolicyzmu; chciałby przecież podzielić się radosnym odkryciem z całym swoim narodem, od szeregu wieków utrzymującym postawę wrogości lub w najlepszym razie niechęci — wobec „papizmu"... Roztacza więc przed swym bratem Anglikiem, pełne wdzięku i polotu obrazy, mające zasugerować mu urok katolickiej koncepcji życia i świata. Koncepcja ta — w ujęciu Chestertona — ma dwa oblicza: idylliczne i heroiczne. Piewcą pierwszego jest Chesterton, jako autor *Latającej gospody* i jako wskrzesiciel w części tylko historycznej wizji Anglii przedreformacyjnej — *old merry England* — roześmianej, rozbawionej, beztroskiej Anglii średniowiecznej...

Takie podejście do katolicyzmu, jako do źródła radości i bujności życia, jako do niezbędnego warunku osiągnięcia pełni rozkwitu życiowego i pełni duchowej szczęśliwości, beztroski — czyni z twórczości Chestertona jedną z najoryginalniejszych, a zarazem jedną z najbardziej repre-

zentacyjnych pozycyj w całym dorobku literackim katolickiego humanizmu. Będziemy mogli później się przekonać, że postawa ta — choć nie tak gruntownie i konsekwentnie jak mauriac'owska — wcale przecież poważnie odbija się i w polskiej próbie stworzenia powieści typu katolicko-humanistycznego.

Ale — twierdzi Chesterton — życie katolika to nie tylko radosna kontemplacja dzieła Bożego i beztroskie korzystanie z dobrodziejstw i darów Bożych. Jest ono nadto walką. I oto druga połowa twórczości autora *Latającej gospody* — to wizja ofiarnej, heroicznej walki o prawdę, — wizja będąca równocześnie walki tej apoteozą. Toteż jako autor *Kuli i krzyża* oraz *Człowieka, który był czwartkiem,* występuje Chesterton w roli piewcy i patrona katolicyzmu dynamicznego, walczącego i to nawet — mieczem. Ale jakie są te prawdy, w imię których staje do walki katolicyzm? Prócz prawd najwyższych — świętości nadprzyrodzonych (w obronie których walczy z Thurnbullen Mac Jan) — będą to: sprawiedliwość, ład, miłość ojczyzny i to nawet najciaśniejszej *(Napoleon z Notting-Hill),* ale także i wolność, i prawo jednostki... Chesterton widział w katolicyzmie jedyną a doskonałą symbiozę ładu i wolności; w poszanowaniu zaś praw jednostki widział wyższe dobro, niż w idei karności społecznej (patrz *Sen Mac Jana*).

Przemawianie do wyobraźni i do uczuć czytelników drogą tworzenia wizyj poetyckich nie wyczerpuje jeszcze wszystkich metod, jakimi Chesterton posługiwał się w swej literackiej propagandzie katolicyzmu. Wielką rolę odegrał on nadto, jako myśliciel-dialektyk, stosujący jako główną broń apologetyczną: obleczony w formę paradoksu wypad logistyczny... W ogóle na zasadach logiki oparta dialektyka stanowi jedną z najbardziej charakterystycznych cech angielskiej literatury katolicko-humanistycznej (prócz Chestertona, H. Belloc i R. H. Benson — w wieku XIX zaś jeszcze kardynał Newman). Zasługą jej jest m. in. wybitna intelektualizacja dzisiejszej powieści katolickiej i rozszerzenie jej horyzontów historiozoficznych. Jedną z najbardziej ulubionych metod angielskiej powieści katolickiej jest rzucenie ogromnie bogatego materiału myślowego — dia-

lektyczno-apologetycznego i historiozoficznego — na tło możliwie najbardziej sensacyjnej choć i naiwnej, nieraz awanturniczej fabuły, nawet kryminalistycznej (chestertonowski ksiądz Brown i *Człowiek, który był czwartkiem*) oraz fantastycznej (prócz Chestertona Benson w *Panu świata*, w *Brzasku wszechrzeczy*).

IV.

W przeciwieństwie do angielskiej, katolicka powieść francuska interesuje się znacznie więcej problemami etycznymi, niż historiozoficznymi; głównym jej narzędziem nie dialektyka, lecz psychologia; podstawowym materiałem nie przygoda, nie fantastyka, ale realne życie codzienne, pokazane śmiało, nierzadko w swych najintymniejszych i najbrutalniejszych przejawach. Tu też najczęściej spotykamy koncepcję katolicyzmu, jako obrońcy ideałów indywidualizmu, humanitaryzmu, niekiedy nawet i liberalizmu... Bardzo charakterystyczną cechą tej powieści jest pokazywanie przedstawicieli świata katolickiego — ludzi religijnych, pobożnych (nierzadko też księży) — w ciemnych barwach, częstokroć daleko ciemniejszych, niż te w jakich maluje się przeciwników religii i Kościoła... Postawę taką osnuwa w dodatku atmosfera wybitnie pesymistyczna, wytwarzana przy pomocy sugestywnych środków artystycznych. Wszystko to — wraz z drobiazgową a *con amore* dokonywaną analizą stanów psychicznych, często psychopatologicznych — stało się przedmiotem zgorszenia, nawet oburzenia pewnych odłamów opinii i krytyki katolickiej (m. in. także w Polsce). Francuską powieść katolicką, szczególnie Mauriac'a, obarczono szeregiem ciężkich zarzutów, wysunięto pod jej adresem szereg podejrzeń i oskarżeń. W punktach największego nasilenia ataki te przybierają nawet charakter akcji demaskującej. Mauriac'izm staje pod zarzutem przemycania wrogich katolicyzmowi idei pod płaszczykiem katolickiego humanizmu. A wrogie te idee mają być następujące: niechęć, jeśli nawet już nie nienawiść do społeczeństwa katolickiego, szczególnie do rodziny katolickiej; jansenistyczna surowość w ocenie szeregu zjawisk życia, a jednocześnie karygodna

pobłażliwość dla pewnych przekroczeń oficjalnego kodeksu obyczajowego; skrajnie naturalistyczny psychologizm; beznadziejnie pesymistyczny obraz rzeczywistości, w szczególności stosunków międzyludzkich; jako stała zaś prawie naczelna idea: integralny humanitaryzm o nastawieniu pacyfistycznym i nierzadko antyspołecznym. Humanitaryzm ten, w połączeniu z częstym wprowadzaniem ujemnych typów przedstawicieli świata katolickiego, świadczyć ma o utajonych tendencjach antykatolickich, wolnomyślicielsko-laicystycznych.

Zarzuty te są bardzo poważne. Gdyby się nie dały odeprzeć, byłaby to dyskwalifikacja „katolickości" Mauriac'a, a co za tym idzie kompromitacja całego humanizmu katolickiego, a przynajmniej tej jego odmiany, która dominuje na gruncie francuskim.

Czy zarzuty te dadzą się odeprzeć?

Sądzimy że tak, przynajmniej w pewnym zakresie. Najpierw trzeba przypomnieć odwieczną zasadę, iż lepiej jest, aby błędy nasze sądzone były, choćby najsurowiej, przez nas samych lub przez naszych przyjaciół, aniżeli choćby i najpobłażliwiej przez naszych wrogów. Zwróćmy jednak uwagę na coś jeszcze innego.

W całej literaturze pięknej dzisiejszego katolickiego humanizmu nie znajdziemy postaci księdza równie sympatycznej, jak postać o. Myriela w *Nędznikach* Wiktora Hugo. A jednak *Nędzników* umieścił Kościół na liście *librorum prohibitorum*. Dlaczego? Bo równocześnie z idealizacją księdza katolickiego, jako człowieka — książka ta zawiera ataki na katolicyzm, jako na system i instytucję. Ta postawa Wiktora Hugo jest dość wiernym odbiciem postawy całego XIX wieku, XIX-towiecznego humanizmu i humanitaryzmu. Punktem wyjścia tej postawy była wiara w przyrodzoną dobroć natury ludzkiej, której naturalną konsekwencją musiało być przeświadczenie, że źródła wszelkiego zła, źródła wszelkich niedomagań i nieszczęść ludzkości trzeba szukać nie w człowieku samym, ale poza nim, głównie w niedoskonałości, ba, nawet w szkodliwości sztucznie narzuconych mu przed wiekami systemów i instytucyj, religij i kościołów. Stąd taki pęd do przemian i przewrotów. Stąd przekonanie, iż niech tylko zmienią się i udoskonalą

ustroje, systemy i instytucje, — automatycznie nastąpi era powszechnej szczęśliwości, miejsce zła i cierpienia zajmie powszechna dobroć oraz sprawiedliwość.

Jakże jednak ta sprawa przedstawia się u Mauriac'a? Wręcz odwrotnie. Czy gdziekolwiek atakuje on chrześcijaństwo i Kościół, jako system i instytucję? Nigdzie. Przeciwnie, katolicyzm — właśnie jako instytucja i jako system metafizyczny, historiozoficzny, etyczny — niedwuznacznie pokazany jest w jego twórczości, jako najwyższa wartość absolutna... Dlaczego jednak w takim razie świat katolicki nie jest królestwem szczęścia, doskonałości, sprawiedliwości? Z czyjej winy? Z winy ludzi — bo ludzie, wbrew temu, co twierdzili Rousseau i wiek XIX — są dla Mauriac'a w istocie swej raczej źli, niż dobrzy... skłonniejsi do występku, niż cnoty, i właśnie w tej pochopności do złego raczej niż dobrego tkwi wytłumaczenie, dlaczego świat jest widownią odwiecznych, nieustających cierpień, krzywd, nieszczęść, niesprawiedliwości... Wedle humanitarystów XIX w. katolicy, jako ludzie, byli dobrzy; źródłem zła był katolicyzm; humaniści zaś katoliccy odwrotnie, widząc cienie na obrazie Kościoła i jego historii, szukają źródła zła w katolikach, jako ludziach — i zło to demaskują bezlitośnie... Ale dlaczego, powie ktoś, ze znacznie większą pasją demaskują to zło właśnie w katolikach niż we wrogach Kościoła? Dlatego, ponieważ katolikom — jako tym, co posiedli prawdę — stawiają wyższe wymagania; ale i nie tylko dlatego. Najważniejsza może przyczyna tkwi w tym, iż humanista katolicki, który nie jest w stanie zaprzeczyć istnieniu pewnych rys i skaz na obrazie życia i dziejów katolicyzmu, sam zaś przyczynę tych skaz widzi w człowieku, nie w systemie — podwójną odpowiedzialnością obarcza katolika dopuszczającego się występku: zło bowiem, przezeń czynione, idzie na rachunek nie tylko jego sumienia, ale także, w oczach przynajmniej wrogów katolicyzmu, na rachunek religii i Kościoła!

Podstawą tak pojętego pesymizmu Mauriac'a w stosunku do natury ludzkiej jest jednostronnie i przesadnie ujęty dogmat o grzechu pierworodnym. Nauka katolicka równoważy zresztą obciążenie przez grzech pierworodny

nauką o Odkupieniu i o łasce, tak samo więc i pesymizm powinien być zrównoważony przez optymizm.

Otóż tu niewątpliwie dochodzimy do pewnych elementów nieortodoksyjnych, które dostały się do humanizmu katolickiego, m. in. i do postawy duchowej Mauriac'a, spoza katolicyzmu. Znajdujemy tu bowiem pewien osad laicystycznego humanizmu XIX wieku, osad zdruzgotanej wiary w dobroć natury ludzkiej.

Katolicka powieść francuska wierzy w jakieś istotne skażenie człowieka przez grzech; na dnie jednak podświadomości tkwi w niej odziedziczona po filozofii i sztuce XIX wieku wizja człowieka, z natury dobrego... Kontrast tej wizji z opartą o doświadczenie i o naukę Kościoła rzeczywistością, społeczną i psychologiczną powoduje właśnie ów nastrój pesymizmu, ową atmosferę przygnębienia, taką samą, jaka ogarnia każdego z nas przy konfrontacji realnej prawdy życia z nagłym przypomnieniem naiwnych marzeń dzieciństwa... Integralny zaś humanitaryzm katolickiej powieści francuskiej to tylko doskonały posiew ewangelicznej nauki o miłości; inna rzecz, że posiew, dokonany na wyjątkowo podatnym gruncie, na gruncie zoranym już uprzednio... przez kogo? Czy przez ideę liberalnego humanitaryzmu XIX-towiecza... humanitaryzmu, nazywanego przez niektórych masońskim? W pewnej mierze tak, ale w małej. W znacznie większej zaś — przez *czełowiekolubija* Dostojewskiego.

Nie spodziewał się zapewne nigdy twórca *Legendy o Wielkim Inkwizytorze,* zacięty wróg i oskarżyciel katolicyzmu i jego kultury, że w wieku XX nie żadna inna literatura, jeno katolicka będzie kontynuatorką jego dzieła. Bo też istotnie główna tajemnica i główna oryginalność „mauriac'izmu" to n a w r ó c e n i e d o s t o j e w s z c z y z n y n a k a t o l i c y z m! Twórczość Mauriac'a to oparcie o dogmatykę i historiozofię katolicyzmu pełni niemal dziedzictwa Dostojewskiego, któremu zresztą cały francuski humanizm katolicki zawdzięcza bardzo dużo, jeśli chodzi o wyzbycie się iluzyj XIX wieku oraz o metody psychologicznej analizy życia religijnego. Bo wszak *Biesy* pierwsze w literaturze europejskiej uderzyły w naiwną wiarę, że celem i automatycznym skutkiem zmiany panujących systemów będzie po-

wszechna szczęśliwość; *Biesy* podważyły też najsugestywniej wiarę w przyrodzoną dobroć człowieka... Problem zaś „jednej łzy dziecięcej" w *Braciach Karamazow* stał się głównym podkładem pod posiew integralnego humanitaryzmu ewangelicznego u Mauriac'a, równie jak u Bernanosa...

Synteza problematyki katolickiej — problematyki grzechu, łaski, pokuty, wolnej woli — z dziedzictwem Dostojewskiego w powieści francuskiej niesłychanie wzbogaciła i pogłębiła literacką analizę psychologiczną. I tu tkwi jedna z największych zdobyczy literatury pięknej katolickiego humanizmu, zdobycz tak bardzo doniosła na tle wszechwładnego panowania psychologizmu w dzisiejszym powieściopisarstwie światowym!

Rozpatrzyliśmy cały szereg zasadniczych elementów literatury pięknej katolickiego humanizmu. Usiłowaliśmy wytłumaczyć ich genezę, wykazać pokrewieństwa, wydobyć ich prawdziwe, nierzadko utajone oblicze... Tym zaś, czy i o ile elementy te dadzą się odnaleźć w reprezentacyjnej próbie stworzenia polskiej powieści katolicko-humanistycznej: w trylogii Zofii Kossak o krucjatach — tym zajmiemy się w następnym numerze.

Teodor Parnicki.

Po Kongresie ludowców.

Tegoroczny Kongres Polskiego Stronnictwa Ludowego, zorganizowany w końcu lutego w Krakowie, odbił się bardzo głośnym echem w najszerszych sferach politycznych kraju.

Właśnie przed rokiem usiłowaliśmy dać zasadniczą i mniej więcej wyczerpującą ocenę struktury i działalności Stronnictwa Ludowego. Żeby więc nic powtarzać zeszłorocznych wywodów przypominamy tylko zasadnicze twierdzenia, zawarte w tamtym artykule,[1]) przy równoczesnej konfrontacji ich z obecną rzeczywistością.

Stwierdziliśmy wówczas okres politycznego ożywienia, który „przejawia od dołu, od mas ludowych, szybsze tempo i większą dynamikę" i na tej podstawie wysunęliśmy hipotezę, że „jesteśmy w przededniu mniej czy więcej zasadniczych i wielkich zdarzeń politycznych w naszym kraju". Wypadki ostatniego roku, a szczególnie sierpniowe wypadki na wsi w Małopolsce w zupełności potwierdziły te przewidywania.

Podkreśliliśmy nie tylko ilościową ale i jakościową wagę potęgi chłopskiej i postawiliśmy jako pewnik, że „odrodzenie i konsolidacja narodowa skutecznie dokonane być mogą jedynie przy współudziale i w oparciu o niewyczerpalny rezerwuar ludzki, o niewyczerpalne źródło nowych sił fizycznych i moralnych, jakim jest w Polsce wiejski lud". Negatywne dotychczas wyniki wysiłków odrodzenia i konsolidacji narodowej w zupełności potwierdziły nasze stanowisko.

---

[1]) *Przegląd Powszechny*: „Przemiany w Stronnictwie Ludowym" Kwiecień 1937.

Stwierdziliśmy, że zarówno politycznie jak i organizacyjnie „najsilniejszym stronnictwem na wsi jest Stronnictwo Ludowe" i że jedynie „zbyt wybujałe ambicje i antagonizmy osobiste partyjnych przywódców" oraz „brak jasno wykrystalizowanego światopoglądu ideowego" są tymi czynnikami, które od wewnątrz hamują rozwój tego stronnictwa. Rzeczywistość i w tym wypadku potwierdziła nasze zdanie, z tą jednak poprawką, że Stronnictwo Ludowe w jednej dziedzinie, a mianowicie w przezwyciężaniu wewnętrznych antagonizmów posunęło się o krok naprzód.

Za największą słabość Str. Ludowego uważaliśmy brak skrystalizowanego światopoglądu, względnie słabo rozwiniętą pracę ideologiczną. To pozostało w niezmienionej postaci. Nadal Str. Ludowe uważa, że w ogniu walki, w której się znajduje, nie czas na twórczość ideologiczną.

Skrytykowaliśmy przejęcie przez Str. Ludowe programu demokracji parlamentarnej, w wykładni marksistowskiej i liberalnej XIX wieku. Pod tym względem niewiele się zmieniło na lepsze.

Skrytykowaliśmy uprawianą w Stronnictwie Ludowym politykę wyłączności klasowej. Tu trzeba stwierdzić pewien postęp na drodze przezwyciężenia nierealnej antytezy: lud — naród. Ale daleko jeszcze do zrozumienia naszego twierdzenia: „Ostać się ten ruch potrafi tylko w razie zawrócenia z torów klasowych na drogi ogólno-narodowe. I nie tylko się wówczas ostanie, lecz przy odpowiedniej polityce ma nawet szanse odegrania wielkiej, a może decydującej roli w przyszłym rozwoju społeczno-politycznym Rzeczypospolitej".

Skrytykowaliśmy „wyraźną obojętność, a może nawet wrogość tego Stronnictwa do Kościoła katolickiego". Obok pewnych znamion poprawy, której wyraz widzimy np. w specjalnej żałobnej Mszy św. Kongresu w intencji zabitych chłopów w sierpniu 1937 roku i wykluczenie „antyklerykała" Putka ze Stronnictwa, Stronnictwo to nie uwolniło się jeszcze w całości z tego radykalnego nalotu. Najlepszym na to dowodem — uchwała Kongresu, solidaryzująca się w całej pełni z poglądami i praktyką „Wici", co do których mimo najlepszej woli i najdalej posuniętej wyrozumiałości mamy

dość wiele zastrzeżeń i to właśnie w dziedzinie religijno-moralnej.

Poddaliśmy analizie ruch młodzieżowy ludowców i uwydatniliśmy jego rozbieżność z ruchem „starych". Wypada stwierdzić, że w ciągu ostatniego roku doszło do dość znacznego sharmonizowania między „młodymi" a „starymi". W istocie zwyciężają tendencje „młodych". Twierdzenie nasze, że Str. Ludowe ma większe „kłopoty" ze swoją młodzieżą, aniżeli inne stronnictwa, okazało się jednak niesłuszne i zbyt pohopne. Obóz piłsudczykowski ma tych „kłopotów" z młodzieżą nieporównanie więcej, nie brak też większych „kłopotów" z młodzieżą również w PPS i w Stronnictwie Narodowym.

Mówiąc o dalszej taktyce Str. Ludowego i jego zamierzeniach, wykazaliśmy brak skrystalizowanej myśli, co ma nastąpić „po wyprowadzeniu mas na ulicę, czy po proklamowaniu strajku powszechnego rolników"? Zaznaczyliśmy, że ten brak dalekosiężnej myśli politycznej stanowi bardzo wielkie niebezpieczeństwo dla Polski, gdyż Str. Ludowemu nie trudno rozkołysać masy, ale znacznie trudniej z utrzymaniem ruchawki mas w granicach dla całości Państwa nieszkodliwych. Sierpień 1937 roku był tu dobitną ilustracją naszych przewidywań.

Równocześnie jednak przestrzegaliśmy, że zawodne są nadzieje, iż środkami administracyjnymi można ruch rozpętany przez Str. Ludowe zlikwidować i że bez spełnienia podstawowych żądań tego Stronnictwa (amnestia dla Witosa, rewizja ordynacji wyborczej, reforma rolna i ułatwienie przyspieszonego przejścia nadmiaru ludności wiejskiej do handlu, przemysłu i rzemiosła) grożą nam wstrząsy wewnętrzne, ogromnie dla Polski szkodliwe. Niestety głos nasz, jak i tysiące podobnych głosów, nie został wzięty pod uwagę i z tego powodu zdążyliśmy już przeżyć przedsmak tragedii grożącej Polsce w przyszłości, o ile polityka, na froncie ludowym nie ulegnie radykalnej zmianie.

Na ogół więc nasza analiza okazała się po rocznym, bogatym doświadczeniu, słuszną. Ostatni wszakże Kongres

wniósł tyle nowych momentów, że trzeba jeszcze raz wrócić do tego samego tematu.

Czytając sprawozdanie z krakowskiego Kongresu trudno się wyzwolić z przytłaczającego uczucia wielkiej krzywdy, uczynionej temu bądź co bądź największemu dziś ruchowi politycznemu w kraju. Nie chodzi tu o poniesione, najczęściej niewinnie, krwawe ofiary w czasie zajść sierpniowych w Małopolsce. Chodzi raczej o zjawisko, które w mocną formułę ujął pełniący obowiązki prezesa Stronnictwa (w zastępstwie nieobecnego W. Witosa) p. Maciej Rataj:

Mogą być rozmaite wady u ludzi rządzących, ale największym grzechem i największym niebezpieczeństwem jest, jeżeli ci, którzy rządzą, są głusi... [1])

Albo co w innym miejscu zostało jeszcze dobitniej sformułowane, że sierpniowy strajk chłopski był między innymi odpowiedzią

...przeciw uporczywemu i pogardliwemu lekceważeniu minimalnych postulatów wsi, zawartych w rezolucji nowosieleckiej.

Tak wielkiego ruchu nie wolno lekceważyć nawet wówczas, gdy ludzie, czy kierunki przeciw którym ten ruch jest zwrócony, są negatywnie wobec niego nastawieni. Swoiste zaś metody „pacyfikacji" nie mogą chyba starczyć za zaprzeczenie politycznej głuchoty rządzących...

Lutowy Kongres ludowców skupił się koło dwóch zagadnień: analizy i oceny sierpniowego strajku rolnego i wypracowania taktyki politycznej na najbliższy okres. Wszystkie inne sprawy miały już drugorzędne znaczenie i zostały celowo podporządkowane głównemu zadaniu, mianowicie: dążeniu do zmiany obecnego reżimu na rzecz rządu demokratyczno-ludowego.

Sierpniowy strajk chłopski był tak wielkim zdarzeniem polityczno-społecznym w życiu zmartwychstałej Polski, że warto pokusić się o głębszą analizę tego zjawiska, tym bardziej, że groźba powtórzenia się tej formy walki znowu zawisła nad Polską.

---

[1]) Cytuję jedynie te miejsca ze sprawozdania kongresowego, które nie zostały skonfiskowane i które są ogłoszone w organach Str. Ludowego względnie w prasie codziennej.

Strajk jest formą walki wynalezioną przez robotników i rozpowszechnioną oraz stosowaną na całym niemal świecie przez robotnicze związki zawodowe. Strajk robotniczy w swojej klasycznej formie jest strajkiem ekonomicznym i dochodzi do niego wówczas, gdy przedsiębiorca-kapitalista nie chce drogą ugodową uwzględnić postulatów robotniczych dotyczących długości dnia pracy, wysokości zarobków, względnie innych warunków socjalnych, najściślej z płacą i pracą związanych. Bywały też strajki robotników o podłożu moralnym, np. w obronie godności osobistej robotnika czy robotnicy, lub też jako znak solidarności z niesłusznie, w mniemaniu robotników, wydalonym pracownikiem.

W imię sprawiedliwości trzeba przyznać, że większość ekonomicznych strajków robotniczych ma podłoże słusznych żądań, które można było spełnić bez uciekania się do tej ostatecznej formy walki, gdyby tylko istniała dobra wola u przedsiębiorców lub w porę sprawiedliwie zastosowano ingerencję państwa, które stoi, względnie stać powinno ponad interesami klasowymi.

Polityczny ruch socjalistyczny i anarcho-syndykalistyczny zainicjował stosowanie strajków również jako formę walki politycznej, w celu zdobycia praw politycznych, ingerencji w sprawach wojny i pokoju, w walkach narodowościowych itp. Forma walki, która powstała i jest usprawiedliwiona w stosunkach socjalno-produkcyjnych, przeniesiona została do zupełnie innego regionu stosunków ludzkich, do życia ściśle politycznego. To spowodowało w życiu publicznym państw, wzrost anarchii wniesionej już poprzednio przez liberalną burżuazję, która również jak socjaliści mieszała swoje klasowe interesy gospodarcze ze sprawami politycznymi, obchodzącymi cały naród.

Za przykładem socjalistów, także i chłopi zaczęli stosować formę strajku jako właściwy oręż w walce o swoje postulaty. Kilka lat temu przeszła po naszym kraju fala strajków chłopskich, zorganizowanych dla poparcia żądań o charakterze przeważnie ekonomicznym, bo taki w gruncie rzeczy miało charakter żądanie zniesienia kopytkowego i innych opłat targowych, drogowych i wjazdowych. Mieliśmy już też strajki chłopskie, skierowane przeciw akcji

komasacyjnej, przy likwidacji serwitutów, a często przy przeprowadzaniu przez gminy prac szarwarkowych. Te ostatnie strajki były z reguły organizowane przez komunistów, lub przez radykalne elementy wiejskie, pozostające pod komunistycznym wpływem. Na Kresach Wschodnich komuniści i ekstremiści nacjonalistyczni próbowali wywoływać po wsiach strajki szkolne przeciw akcji gwałtownej polonizacji ludności białoruskiej i rusińskiej stosowanej rzekomo przez nasze władze szkolne.

W oparciu o takie „tradycje" nieżyjący już działacz Str. Ludowego, śp. dr Dąbrowski wysunął i przeforsował na poprzednim warszawskim (styczeń 1937 r.) Kongresie Str. Ludowego projekt proklamowania ogólnokrajowego strajku chłopskiego, którego zadaniem miało być wymuszenie na władzach państwowych uwzględnienia politycznych postulatów tegoż Stronnictwa.

Strajk taki został proklamowany przez Naczelny Komitet Wykonawczy Str. Ludowego w związku z obchodem „Czynu Chłopskiego", czyli rocznicy zwycięstwa armii polskiej nad bolszewicką armią czerwoną w roku 1920. Wybuchł ten strajk nazajutrz po tym obchodzie, a więc 16 sierpnia 1937 r. Strajk polegał na tym, że rolnicy zaprzestali dowozu produktów rolnych do miast i zarazem zawiesili wszelkie zakupy w mieście. Miało to przyczynić się do sparaliżowania normalnego życia w kraju i w ten sposób zmusić rząd do ustępstw. Skończył się ten strajk — trwający 10 dni — porażką fizyczną i polityczną. Przyznają to sami ludowcy. Uważają natomiast, nie bez podstawy, że odnieśli zwycięstwo moralne nad rządem. Od siebie dodajemy, że to moralne zwycięstwo zawdzięczają ludowcy nie tyle własnej bohaterskiej postawie, ile nierozsądnej polityce rządu. Wszak sam p. Premier i min. Spraw Wewnętrznych przyznał w Sejmie, że rząd nie przewidział wybuchu i tak wielkich rozmiarów strajku chłopskiego. W chwili zaś, gdy strajk wybuchł, niejeden z odpowiedzialnych czynników stracił równowagę duchową i opanowanie nerwowe i — zagrały karabiny. Tragiczne to były chwile. Osad tej tragedii pozostał po dziś dzień i potrwa chyba jeszcze długo, ciążyć będzie jak krwawa zmora na życiu publicznym Polski.

Jakie są przyczyny nieudania się strajku sierpniowego chłopów, a raczej jego, jak dotąd, politycznej bezskuteczności?

Po pierwsze strajk został proklamowany na cały kraj, ale faktycznie odbył się jedynie w Małopolsce Środkowej i Zachodniej, ogarniając tylko wyjątkowo niektóre wsie województw centralnych i wschodnich. Stopień natężenia strajku był proporcjonalny do stopnia rozwoju sieci organizacyjnej Str. Ludowego.

Dalej w samym Str. Ludowym, a nawet w jego kierownictwie centralnym nie było zgody co do skuteczności i potrzeby zastosowania tej formy walki. Elementy bardziej ugodowe, związane z niektórymi ogniwami obozu piłsudczyków przeciwstawiły się proklamowaniu strajku, a gdy ten wybuchł, wyraźnie nawet sabotowały jego przeprowadzenie. Niechętnym okiem patrzyły również na strajk te umiarkowane elementy ludowcowe, które skłaniają się do współpracy ze Str. Narodowym.

Zawiodło również, poza niektórymi miastami zachodniej Małopolski, poparcie robotników zorganizowanych przez PPS, na które Str. Ludowe mocno liczyło.

Nadto w wielu miejscach strajkujący chłopi stosowali gwałt wobec chłopów niesłuchających nakazów partyjnych, co dało powód do interwencji policji i co w konsekwencji doprowadziło do fizycznego stłumienia całej akcji.

Wreszcie brak wyraźnej perspektywy politycznej sparaliżował z miejsca rozmach akcji strajkowej, a na akcję wyłącznie demonstracyjną zdolne są jedynie silnie uświadomione politycznie grupy chłopskie.

Czy sama forma walki jest słuszna i przydatna?

Nim na to pytanie odpowiemy, musimy z góry zaznaczyć, że nie zamierzamy potępiać ludzi, którzy chwycili się tej formy walki w czystych i nie osobistych celach. Z tym jednak zastrzeżeniem uważamy formę tej walki za błędną i to z następujących powodów.

Strajk rolny bije przede wszystkim i bezpośrednio w miejski lud pracowniczy, w proletariat, pozbawia go najniezbędniejszych środków do życia lub zaopatrzenie się w te środki w wysokim stopniu utrudnia. Już z tego powodu forma ta jest niemoralną. Przy tym tworzy ona, zupełnie

niepotrzebną i niecelową dla ruchu ludowego, przepaść między wsią a miastem, wywołuje odruchy nienawiści, żadną miarą niepożądane dla rozwoju i zwycięstwa postulatów wsi.

Strajk rolny bije poza tym w handel i rzemiosło, a częściowo i w przemysł, a przecież od normalnego funkcjonowania tych gałęzi zależy pomyślność kraju i wobec coraz większego unarodowienia tych dziedzin — również pomyślność narodu.

Ponadto strajk taki paraliżuje, w swych niezamierzonych ale nieuchronnych konsekwencjach, siłę obronną Państwa, tego wspólnego dobra wszystkich obywateli, a więc przede wszystkim dobra najliczniejszej warstwy społecznej — włościaństwa. Takie są najgłówniejsze powody, dla których strajk chłopski uważamy za formę błędną tak z punktu widzenia moralnego, jak i ogólno-narodowego i państwowego.

Nie jest również strajk chłopski formą celową, gdyż zdaniem naszym nie prowadzi do zwycięstwa inicjatorów tej akcji, a przyczynia się tylko do głębszego zanarchizowania kraju. Słuszne jest twierdzenie ludowców, że sierpniowy strajk nie był w swoim całokształcie robotą komunistyczną, jak to niektórzy usiłowali udowadniać. Ale za to twierdzenie, że był to żywiołowy ruch mas chłopskich, jest również nie zupełnie prawdziwe. Prawda, że pod presją zniecierpliwionych dołów chłopskich politycznie zaangażowanych, Kongres ludowców powziął inicjatywę strajku, ale wybuchł on na rozkaz partyjnego kierownictwa i był kierowany przez Str. Ludowe od początku do końca. Należy podnieść i uszanować odwagę cywilną władz partyjnych Stronnictwa, które za ten strajk bierze na siebie zupełną odpowiedzialność. Tym niemniej elementy wywrotowe, przede wszystkim komuniści, próbowali ruch ten zdyskontować dla swoich celów i chociaż tym razem manewr ów udał się im w małym tylko stopniu, to jednak jest rzeczą więcej niż prawdopodobną, iż przy powtórzeniu takiej akcji, niebezpieczeństwo ze strony komunizmu będzie znacznie większe. Nie zawsze bowiem komuniści znajdą się w takim impasie, w jakim znaleźli się w sierpniu zeszłego roku, gdy to dzięki szaleństwu podejrzliwego Stalina większość przywódców KPP przebywała w Moskwie i musiała się tłumaczyć z róż-

nych przestępstw, prawdziwych czy urojonych, lub nawet pokutować za nie w lochach więziennych. Nie zawsze też uda się kierownikom Str. Ludowego, przy szerszym zwłaszcza zakresie tej akcji, zmusić rozhuśtane masy do odwrotu i do zaprzestania walki w chwili uznanej przez Stronnictwo za odpowiednią do tego.

Przypuśćmy jednak, że uda się Str. Ludowemu usunąć przyczyny, które spowodowały porażkę akcji sierpniowej, czy pewne jest wtedy swego trwałego zwycięstwa? Czy nie widzi, że przy zastosowaniu tej samej zawodnej formy walki wyłania się na końcu krwawa wojna domowa, która potrafi jeno pogrążyć Polskę w długotrwały zamęt i postawić nas może wobec perspektywy najgroźniejszej: zagrożenia niepodległego bytu państwowego?

Zdaje się, że niektórym bardziej trzeźwym politykom ludowcowym obawy te nie są obce. Stwierdził np. p. Rataj w swoim referacie: „Można uniknąć wstrząsów (w innej gazecie czytamy „tragedii") jeśli się pójdzie na wielki gest, na szerokie posunięcie". W innym miejscu swego referatu, nim zaapelował do ewentualnych sojuszników, zwrócił się p. Rataj z apelem „do sumienia tych, co rządzą, aby nie doprowadzali do nowych wstrząsów i do nowych zajść na terenie wsi". Ten apel do sumienia rządzących jest jak najbardziej na miejscu. Potrzeba wszakże, by ludowcy, w pierwszym rzędzie odpowiedzialni ich przywódcy polityczni, zaapelowali i do własnego sumienia, „aby nie doprowadzili do nowych wstrząsów i do nowych zajść na terenie wsi". Bez namawiania kogokolwiek do jakichś konszachtów politycznych, uważamy wszakże, że zdrowy kompromis, oparty o dobrą wolę u obu stron walczących, jest dla dobra Polski koniecznością. Inicjatywa jednak powinna wyjść od rządzących, bo na nich ciąży największa odpowiedzialność.

Z drugiej strony widzimy wśród bardzo odpowiedzialnych przywódców ludowcowych pewne znamiona utraty cierpliwości, tej koniecznej cnoty polityka. Nie przeczymy bynajmniej, że bolączek na wsi jest mnóstwo i że rozgoryczone doły decydują się tu i ówdzie na akt rozpaczy, ale o czymś innym zdaje się świadczyć taki oto głos:

W ciężkim błędzie są ci, co biernie oczekują na poprawę i zmiany, łudzą się ci, co liczą w tych warunkach na wybory i głosowania...

Nie myślą chyba ci politycy o jakimś pałacowym zamachu stanu, który bywa niekiedy zabiegiem krótkim oraz bezbolesnym? Czyżby więc nie było już innego wyjścia, jak wojna domowa? Trzeba sobie to pytanie otwarcie postawić, aby nie wpaść w tragiczną rolę tego, co „sieje wiatr a zbiera burzę". Tylko, że w tym wypadku burza może zagrozić całemu państwu. Czy nie jest zatem na miejscu apel do sumienia?!

Organizacyjnie wyszło Str. Ludowe z próby sierpniowej wzmocnione. Przelana krew, jak to często zdarzało się w dziejach politycznych, scementowała nie dość jednolite jeszcze przed rokiem szeregi ludowców. Z uzasadnioną zdaje się dumą mógł p. Rataj stwierdzić, że

...gdyby ktoś chciał targnąć się na jedność i na zwartość Stronnictwa, rozbije sobie głowę o ścianę.

Stronnictwo zdobyło szereg nowych placówek organizacyjnych w województwach i powiatach, w których dotąd miało nikłe wpływy. Jedno przy tym jednak zastanawia. Powiada w swoim sprawozdaniu p. Rataj:

Tworzyły się samorzutnie placówki tam, gdzieśmy zupełnie nie wkładali pracy. Powstają one na Wołyniu, Wileńszczyźnie i Białorusi. Garną się pod nasz wpływ chłopi ukraińscy i białoruscy.

Nie chcemy malować straszaka na ścianie, ale wydaje nam się, że radość p. Rataja z tego powodu jest co najmniej przedwczesna. Ludowcy nie wkładali tam, na Wschodnich Kresach, pracy, to prawda; ale jakoś trudno nam uwierzyć w samorzutność rozrostu organizacyjnego, niewątpliwie zatem ktoś inny... tę pracę tam włożył. Mówmy wyraźniej: chodzi przeważnie o robotę komunistyczną. Można by się cieszyć z faktu, że chłopi białoruscy i ukraińscy garną się do polskiego Stronnictwa. Gdybyż było aż tak dobrze... Wiemy wszakże, że komuniści wdzierają się drzwiami i oknami do legalnych masowych organizacyj, szczególnie

zabarwionych opozycyjnie i radykalnie. Że zaś na Kresach Wschodnich silny wpływ komunistów jest oczywistym faktem i że obecna wojująca i nieprzejednana polityka Str. Ludowego, łącznie z twardym stanowiskiem sfer rządzących, jest im niewątpliwie na rękę, tego dowodzą między innymi aresztowania komunistów, którzy okazują się równocześnie członkami Str. Ludowego lub „Wici". Ale czy tym samym nie staje się oczywistym niebezpieczeństwo zagrażające samemu Stronnictwu? Większa zatem powściągliwość w wychwalaniu „samorzutnych" sukcesów organizacyjnych, zwłaszcza w skomunizowanych dzielnicach kraju, jest dla samego Stronnictwa ze wszech miar wskazana.

Kongres krakowski wziął jak najostrzejszy kurs, nie wykluczając ewentualnych gwałtownych zmian panującego systemu. Istnieje u ludowców świadomość, że jako ruch prawie wyłącznie wiejski, sami tego nie potrafią dokonać. Szukają więc sojuszników politycznych. Zresztą trzeba zaznaczyć pewną pozytywną zmianę w nastawieniu umysłów Str. Ludowego. Porzucono tam pogwarki „o chłopskiej dyktaturze", punkt ciężkości kładzie się na żądaniu, jak najbardziej usprawiedliwionym: współudziału warstwy chłopskiej w rządach Państwem.

Kogo Str. Ludowe wyklucza ze swoich możliwych sojuszników? Przede wszystkim komunistów, jako nie stojących na stanowisku państwowym, polskim i demokratycznym i chociaż wyraźnie Kongres tego nie oświadczył, wynika to wszakże oczywiście z całego stanowiska Stronnictwa. Bezwzględnie też Kongres wyklucza Obóz Narodowy, zarówno jego odłam młodo-radykalny („faszystowski"), jak i właściwe Str. Narodowe. Argumenty za takim stanowiskiem są dwojakiej natury. Najpierw względy polityki zagranicznej, gdyż — jak to zauważył p. Rataj:

> ...mamy stronnictwo duże, ważne, którego oś światopoglądu była zawsze antyniemiecka... i to stronnictwo dokonało zwrotu o sto osiemdziesiąt stopni, przejąwszy się ideologią totalistyczną.

Drugi argument, zaczerpnięty z dziedziny polityki wewnętrznej, brzmi: narodowcy unikają decydującej walki

z obecnym reżimem dyktatorskim, zasłaniając się niebezpieczeństwem komunistycznym i żydowskim, chociaż właśnie obecny reżim sprzyja rozwojowi anarchii i bolszewizmu i „zawdzięczając dużo Żydom nie jest zdolny do rozwiązania zagadnienia żydowskiego w Polsce". Oba argumenty grzeszą mocno przesadzoną nieścisłością w przedstawieniu polityki zagranicznej i wewnętrznej Str. Narodowego. Nie jesteśmy powołani do obrony polityki Obozu Narodowego, ale wysunięte pod jego adresem zarzuty: proniemieckości, totalizmu i oportunistycznego unikania walki z panującym systemem uważać należy za nieuzasadnione.

Tymczasem jest rzeczą wprost oczywistą, iż masowy ruch ludowy nie może, bez krwawej a jakżeż tragicznej dla Polski wojny domowej, dojść do władzy walcząc z niemniej masowym polskim ruchem narodowym! Jedynie synteza, czy harmonijna, choćby w ramach minimalnego programu, współpraca tych dwóch wielkich ruchów masowych, mających swe źródła w przeszłości i teraźniejszości narodu, zdolna jest stworzyć nową, potężniejszą i szczęśliwszą Polskę. Samo zrozumienie tej prawdy u obu bezpośrednio zainteresowanych stron byłoby już wielkim krokiem naprzód na drodze prawdziwej konsolidacji narodowej.

Niestety oczy Kongresu zwrócono w innym kierunku. Kongres zaapelował „do tych, co doceniają wagę naszych postulatów o skoordynowanie sił do tej walki" i „wyciągnął rękę do wszystkich robotników, inteligencji pracującej, do tych co stoją na gruncie demokratycznym". Na apel ten odezwały się: PPS, ZZZ p. Moraczewskiego i Szuriga, Stronnictwo Pracy i Klub Demokratyczny. Obok więc umiarkowanie demokratycznego Stronnictwa Pracy, o którego sile trudno jeszcze wydać jakiś sąd definitywny, widzimy socjalistów, będących dla chłopów sojusznikiem przejściowym, niepewnym i zupełnie nienaturalnym, oraz lewicę sanacyjną, to jest właśnie tę część niepopularnej „sanacji", która najwięcej grzechów ma na sumieniu właśnie wobec polskich rzesz chłopskich i która marką demokratyczną asekuruje się na przyszłość. Otóż takich sojuszników nie można żadną miarą pozazdrościć ruchowi ludowemu. Nie-

raz już ludowcy zawiedli się na nich i czeka ich niewątpliwie jeszcze jeden zawód w przyszłości, o ile poważnie liczyć będą na istotną pomoc z tej właśnie strony.

Mimo bardzo ostrego i nieprzejednanego tonu skierowanego przeciw panującemu systemowi, nie jest jednak wykluczona możliwość ugody między rządzącymi a przywódcami stronnictwa Ludowego, przecież ci ostatni żądają tylko „wielkich gestów". Dla spokojniejszego dokonania się nieuniknionych zmian politycznych i ustrojowych takie „wielkie gesty" są dzisiaj bodaj koniecznością. Ale to nie załatwia gruntownie pytania, wiszącego od lat w atmosferze politycznej kraju: „Co dalej?"

W chwili, gdy naokoło Polski galopują niezwykle doniosłe wypadki, w sytuacji coraz bardziej budzącej się aktywności politycznej mas ludowych, musi się w Polsce znaleźć organiczna siła, która mocą swej ilości, potęgą swego programu, dynamiką swych haseł potrafi pozytywnie rozwiązać problem dalszych dróg rozwoju Polski ku jedności narodowej oraz potędze na zewnątrz.

Otóż jasne jest i niewątpliwe, że siła taka nie może powstać bez tych ogromnych i politycznie uświadomionych rzesz chłopskich, które są w chwili obecnej reprezentowane przede wszystkim przez Stronnictwo Ludowe.

J. Skaliński.

Droga do katastrofy.

In memoriam niepodległej Austrii (1918—1938).

Związkowe Państwo Austriackie *(Bundesstaat Oesterreich),* powstałe w dniu 1 maja 1934 z Republiki Austrii *(Republik Oesterreich),* która w początkach swego istnienia nazywała się *Deutsch-Oesterreich,* rozciągało się na przestrzeni, obejmującej wszystkie części dawnego cesarstwa Austrii, względnie wszystkie królestwa i kraje, reprezentowane ongiś w Radzie Państwowej, a które nie przypadły innemu państwu w udziale. Otóż pierwsze zagadnienie, jakie tu się nam nasuwa, brzmi jako pytanie o doniosłości więcej niż czysto prawniczej, mianowicie czy ta nowa Austria była tożsamością dawnej Austrii, rządzonej przez równoimienną dynastię z habsbursko-lotaryńskiego rodu. Jeszcze przed paru laty zaprzeczono temu gładko. Republika Austria uważała się za twór zupełnie nowy, dźwignięty na rumowiskach zburzonej monarchii, a więc ani pod względem ludnościowo-prawnym ani historycznie nie związany z nią żadną wspólnotą.

Przeciw takiej tezie przemawiał naprzód tekst pokojowych traktatów. Austria wyraźnie zrzekła się tam obszarów wcielonych do tzw. państw sukcesyjnych, które należały do dawnej Austrii. A przecież nikt nie zrzeka się czegoś, co w ogóle — nawet teoretycznie — nie wchodziło w zakres jego praw. Po wtóre nie podobna zaprzeczyć historycznej prawdzie, że założyciele Republiki Austrii byli jednocześnie przedstawicielami dawnego cesarstwa. Pierwsze zgromadzenie narodowe, obradujące w Wiedniu, składało się z niemieckich posłów austriackiej części królestwa, byli tam też

Niemcy czescy i morawscy. Dopiero pokojowe traktaty wyłączyły tych parlamentarzystów krajów sudeckich z udziału w posiedzeniach wiedeńskiej izby poselskiej.

Jedynie zatem prawnie i historycznie dopuszczalny pogląd był taki: w Austrii zmienił się wprawdzie ustrój państwowy, przekształcając się w następstwie rewolucyjnego aktu z monarchicznego w republikański, ale powstałe w ten sposób demokratyczne państwo jako podmiot prawa międzynarodowego i władca terytoriów okazało się dalszym ciągiem byłego cesarstwa Austrii. Ten pogląd, zaprzeczony początkowo z pobudek politycznych i finansowych, zaznaczył się bardzo mocno w rozwoju austriackich stosunków od czasów Dollfussa. We wszystkich dziedzinach nawiązała nowa Austria do minionej tradycji. Czy się to przejawiało w rzeczach zewnętrznych, jak w uniformach, czy w duchu nauczania historii — wszędzie widzieliśmy to przyznawanie się do chwalebnej przeszłości, której lekceważenie było zarówno szpetne, jak i nierozsądne. Jeżeli Węgry i Turcja na swych okrojonych ojczystych ziemiach czuli się dumnie prawnymi dziedzicami pokawałkowanych przez wojnę krajów, jeżeli nawet Związek Sowiecki nie myśli o zrywaniu wszelkiej łączności z Rosją carską, to również i Austria, nie miała powodu przedstawiać dawnego cesarstwa jako coś obcego sobie, z czym już nic nie miała do czynienia.

Prawna więc i historyczna ciągłość Austrii była faktem, ale tylko odnośnie do dawnej monarchii Habsburgów. Jako dwa dalsze zasadnicze fakty, o charakterze historycznym i geograficznym, wchodziły tu w rachubę położenie w basenie naddunajskim i przynależność do narodowości niemieckiej. Jak nie ulega wątpliwości, że państwo austriackie było dziełem Habsburgów, tak podobnie nie da się zaprzeczyć związek Austrii powojennej z innymi państwami naddunajskimi, oparty na głębszych podstawach niż same rzewne wspomnienia przeszłości. Wspólne geograficzne podłoże i koryta rzek, kulturalne pokrewieństwo, zadzierzgnięte dzięki wiekowej przynależności do jednego państwa, stosunki gospodarcze wyłudzane lub zrywane z największą szkodą dla samych podzielonych krajów — to wszystko zmusza Austrię, Węgry, Czechosłowację i Jugosławię (względ-

nie jej słoweńskie i chorwackie ziemie) do ciągłych prób wzajemnego zbliżenia się, jakkolwiekby narodowe lub inne uczuciowe wybuchy mogły tu oddziaływać jątrząco. W samej rzeczy forma tej nie dającej się zaprzeczyć wspólnoty losów musiała być ciągle dostosowywana do zmieniających się okoliczności.

Pamiętajmy dalej, że Austria była tworem niemieckim, że rządzili nią władcy niemieccy i że aż do roku 1866 należała zawsze do Świętego Rzymskiego Cesarstwa Narodu Niemieckiego, względnie do jego następcy Związku Niemieckiego; że wreszcie jej ludność w przygniatającej większości była i jest pochodzenia niemieckiego.

Z tych trzech niezaprzeczalnych danych, a więc z faktu staro-austriacko-habsburskiego pochodzenia, z faktu położenia nad Dunajem oraz niemieckości należało stworzyć jakieś sprawiedliwe a zarazem trwałe i możliwe do przyjęcia dla sąsiadów powiązanie stosunków i to było właśnie zadaniem mężów stanu, zarówno wewnątrz jak i na zewnątrz państwa.

Poczęto raz to raz owo wysuwać na plan pierwszy; przeoczano przy tym długo, zbyt długo, że tylko dwie możliwości rokowały nadzieję powodzenia: albo zaszczytny kompromis, przy którym każdy ustępuje coś ze swego a wszyscy godzą się na takie wyrównanie, albo rozwiązanie gwałtowne, przy którym przeciwnicy zmuszeni są milczeć. Przez piętnaście lat przemilczano nieszczerze raz ten raz inny moment z iście austriacką skłonnością do krętackiego obchodzenia rzeczy i przeoczania przeciwieństw. Pewien dowcipny dyplomata określił to następująco: *L'Autriche fait une politique d'autruche.*

Już bezpośrednio po katastrofie listopadowej 1918 roku chciano tysiącletnią przeszłość uważać za przekreśloną. Z Austrii powstała *Deutsch-Oesterreich,* krwawo czerwona, demokratyczna, pacyfistyczna, antyklerykalna, która nie chciała mieć nic do czynienia z Węgrami ani ze swoimi słowiańskimi sąsiadami i której się zdawało, że pamięć o cesarstwie tak samo łatwo będzie wyrwać, jak łatwo zrywało się wracającym do domu oficerom kokardy z czapek. Nadszedł ów ponury, wstrząsający czas potopu występków, kiedy to w zgłodniałym, zmarzniętym, wynędzniałym Wiedniu wy-

prawiali orgie obce przybłędy, kiedy to zachodni *Kontroll-offiziere* i wschodni Żydzi robili interesy wśród i na tej tragicznej nędzy; czas inflacji i marksistowskiego jedynowładztwa, które później przerodziło się w zamęt czarnoczerwonej koalicji i wreszcie w pozorny rozkwit lewicowo mieszczańskiej republiki Austrii. W Wiedniu utworzono tymczasem socjalistyczny zarząd z jego mieszkalnymi koszarami i uciskiem ludności miejskiej, z jego antyreligijnymi wybrykami i nierozsądnym dopuszczeniem do przewagi żydowskich wpływów. Żydami byli dr Bauer, przywódca partii, dr Danneberg, prezydent wiedeńskiego Landtag'u i obaj właściwi wodzowie wiedeńskiej rady miejskiej prof. Tandler i Breitner, obok których burmistrz Seitz lub drugi przywódca partyjny dr Renner występowali w roli czysto dekoracyjnej (nie zawsze bardzo dekoratywnej). W prasie i teatrze, w handlu i przemyśle, Żydzi byli wszechmocni a w dziedzinie kulturalnej przejawiało się to w owym salonowym bolszewizmie, na który użalała się lepsza, pobożniejsza część żydostwa, nie mogąc mu jednak w żaden sposób zapobiec. Przy tym nosiła ówczesna Austria naprzód niemiecką kokardę. Dokonała duchowego *Anschluss*'u do ówczesnej Rzeszy i chciała również urzeczywistnić *Anschluss* polityczny. Socjaliści i niemieccy narodowcy, poprzednicy dzisiejszych narodowych socjalistów, byli najgorliwszymi rzecznikami hasła: *Ein Volk, ein Reich.* Chrześcijańscy socjaliści zachowywali się częściowo cicho, częściowo — na lewym swym skrzydle — bardzo po republikańsku i wielkoniemiecku. Z latami jednak krzepło poczucie łączności z innymi państwami naddunajskimi. Szukano naprzód zbliżenia do Czechosłowacji i znaleziono je, później — w miarę stopniowego zwrotu w rozwoju Austrii na prawo — także i z Węgrami. Do rzeczywistego jednak uświadomienia głębszych węzłów między państwami sukcesyjnymi nie doszło; stosunki ówczesne nie wyszły poza gospodarcze kombinacje, poza plany ciasno zarysowanej wymiany gospodarczej. Austria istniała, nie wiedząc dlaczego istnieje i nie chcąc — tak się przynajmniej zdawało — w ogóle istnieć.

Wydawało się rzeczywiście, że to państwo było nieboszczykiem na urlopie, którego złośliwy czarodziej, Liga Na-

rodów, względnie powolnie starzejąca się Ententa, zmuszała wbrew jego woli do istnienia. Świadomość austriackiego posłannictwa stała się tajemnicą niektórych wybranych mężów stanu, wśród których czołowe miejsce zajmował genialny Ignacy Seipel; obok tego paru emerytowanych oficerów, parę starych dam i wykopaliskowych arystokratów bawiło się legitymistyczną ideą, myślą o powrocie Habsburgów, której nikt nie brał poważnie.

Dopiero ciężki wstrząs, jaki musiał przejść kraj 15 lipca 1927 r., ocuciło dalsze warstwy. W owym dniu, kiedy Mob, poduszczony przez wysłanników Kominternu, podpalił Pałac Sprawiedliwości, kiedy pożałowania godne niezdecydowanie burmistrza Seitza zupełnie zawiodło i kiedy Wiedeń został uratowany tylko dzięki swej świetnej policji i żelaznej energii Seipla od nowego wydania paryskiej komuny, wtedy zrozumiano w stolicy i w Europie, o jaką to stawkę chodzi w Austrii. Na prowincji już przed tym można było dostrzec właściwą ocenę stanu rzeczy. Wiedzeni raczej instynktem właściciela ziemskiego i chłopa, którzy wyczuli niebezpieczeństwo grożące ich ziemi, stworzyli tacy ludzie jak dr Steidle Heimwehrę, obronny oddział przeciw społecznej przemianie. Książę Starhemberg, baron Fey, Pfriemer i oficer niemiecki nazwiskiem Pabst należeli do twórców tego oddziału. Początkowo wykazywali mocno niemiecko-narodowe i antysemickie zabarwienie; austriackość Heimwehry polegała raczej na gorącej miłości ziemi ojczystej i na odrazie do bolszewickiego chaosu, wiszącego ciągle nad Austrią, niż na pozytywnym przyznaniu się do starej austriacko-habsburskiej tradycji.

Prawdziwe znaczenie 15 lipca r. 1927 jako dziejowego dnia nie tylko dla Wiednia i Austrii, ale i dla całej Europy zamykało się w tym, że w samym sercu naszej części świata odsłoniła się naraz szczelina, próżnia, przez którą przedostać się mogła do Europy komunistyczna trucizna. Odkryto, że w tym miejscu nie było w ogóle żadnego państwa; że bez nawiązania do dawnej Austrii, bez łączności z krajami sąsiednimi „Republika Austria" była krajem niczyim, który każdy mógłby sobie wziąć na własność, jeśliby mu tylko nie przeszkadzał w tym ktoś trzeci. Niemcy w owych

latach były do tego niezdolne. Państwa naddunajskie trzymały się wzajemnie w szachu. Kiedyś jednak wkroczyłyby do tego niczyjego kraju Berlin, Budapeszt, Praga i Belgrad, nie mówiąc już o Włoszech; rozpętałaby się europejska katastrofa, gdyby w ostatnim momencie spod brudnej skorupy austriackiego reżimu nie wyszła na światło dzienne inna prawdziwsza Austria. Z chwilą gdy wzburzenie wiedeńskiego pospólstwa i powszechny strajk marksistowskich organizacyj został stłumiony zbrojną dłonią policji i Heimwehry, znowu zaistniało państwo, znowu nastał rząd.

Chodziło teraz o to, jaki z trzech istotnych składników austriackiej powojennej rzeczywistości, o których wyżej była mowa, wysunie się na czoło w tym odrodzeniu. Zdawało się naprzód, że będzie w nim narodowy pierwiastek niemieckości. Zwycięzcy marksistów byli przede wszystkim nastrojeni narodowo; o jakimś rozwiązaniu naddunajskiego problemu, o legendarnej naddunajskiej konfederacji tyleż można było myśleć, co i o przywróceniu monarchii. Mała Ententa w pełni swej jedności i w rozkwicie poczucia swego znaczenia wzdrygała się na samą myśl o jakichś ustępstwach na rzecz pokonanej Austrii i Węgier. Rojono sobie, że trianońską krzywdę i głupstwo St. Germain utrzyma się na wieki niezmiennie. Tymczasem nawet i niemieckie rozwiązanie okazało się praktycznie niemożliwe, wprawdzie nie od wewnątrz, gdzie nikt nie śmiał sprzeciwić się głośno, ale od zewnątrz przez goniącą za swym cieniem Wielką Ententą, odnoszącą się do Rzeszy Niemieckiej równie nieubłaganie jak Mała Ententa do Austrii i Węgier. Z tego przymusowego stanu zawieszenia skorzystał Ignacy Seipel, by z niezrównanym wglądnięciem w historyczne, geograficzne, polityczne i gospodarcze sploty rzeczywistości przygotować nowe rozwiązanie austriackiego zagadnienia, które przy przewidzianym przez niego ukształtowaniu się europejskich stosunków było jedynie rozumne, mianowicie — rozwiązanie austriackie.

Seipel, którego działalność mogłem śledzić z bezpośredniej bliskości i który w licznych ze mną rozmowach odsłaniał mi swoje poglądy i zamiary, stworzył naprzód zastęp młodych utalentowanych ludzi i w nich wpajał swe

idee. Z tej szkoły wyszli Dollfuss, Starhemberg i — pośrednio — Schuschnigg. Ruch heimwehrowski stał się prawdziwie austriacki. W chrześcijańsko-społecznej partii parlamentarzyści o dotychczasowym utartym pokroju zeszli na dalszy plan. W pewnym odłamie elity budziło się poczucie wdzięczności względem dawnej Austrii. Ten duch zdobywał część armii, która uwolniła się od marksistowskich i innych szkodliwych wpływów, co było wielką zasługą ministra wojny Vaugoina. W dziedzinie jednak czysto politycznej rozprawa z przywódcami mieszczańskiej koalicji, którzy zamiast staroaustriackich momentów podkreślali ogólno-niemieckie, była nieunikniona. Wybitny prezydent policji wiedeńskiej Schober, który następnie został sumiennym kanclerzem, ale bardzo niefortunnym dyplomatą, reprezentował stronę przeciwną Seiplowi. Między tymi mężami, zmarłymi prawie równocześnie w lecie 1935 roku, istniała nie tylko jaskrawa rozbieżność poglądów, ale także i niepokonalna osobista niechęć. Schober nawet na stanowisku kierownika rządu pozostał zawsze dzielnym podrzędnym urzędnikiem, który odczuwa ciągłą potrzebę dostosowywania się i podporządkowywania, dla Seipla mała Austria była po prostu za ciasna, by mogła objąć jego dalekosiężne polityczne koncepcje. Działo się tu podobnie jak w wierszu poety: *Immer strebe ein Ganzes zu sein, und kannst du nicht selber ein ganzes werden, als ein dienendes Glied, schliess an ein Ganzes dich an.* Seipel był całością. Schober... czuł konieczność *Anschluss'u*.

Wyjawił ją w owym fatalnym pakcie z niemieckim ministrem spraw zagranicznych Curtiusem w marcu 1931 roku, w owej unii celnej, która nigdy nie nabrała rzeczywistej mocy, a tylko wywołała sprzeciwy mocarstw zachodnich. Niemcy nie były wówczas zdolne przeprowadzić jej wbrew protestom, wobec czego zawarta unia stała się tylko początkiem finansowej katastrofy austriackich instytucyj kredytowych, owego zachwiania gospodarczej równowagi, której ślady można było stwierdzić w całym świecie. Skutki tego wstrząsu odczuto oczywiście najgwałtowniej w Wiedniu. Ledwie co wyzdrowiałe państwo popadło znowu w ostre zapalenie kryzysowe, którego nie mógł opanować parlament

podzielony na dwa prawie równie silne obozy. Wtedy — jeszcze w oczach śmiertelnie chorego mistrza — rządy objął Dollfuss upatrzony przez niego na swego następcę. W ciągu dwóch lat, w których władzę piastował Mały Kanclerz, od maja 1932 do tragicznego 25 lipca 1934, odważono się na powiązanie wszystkich składników austriackiego bytu. Niezależność i chrześcijański charakter państwa, jego niemieckość i jego ustrój stanowy wskazywały jednocześnie na przyszłość i częściowo na daleką przeszłość. Dollfuss przyznawał się namiętnie i głośno do dawnego królestwa Habsburgów; o formie ustrojowej państwa, a więc o możliwości przywrócenia monarchii, nie wypowiedział się on nigdy jednoznacznie, lecz konstytucja związkowa z 1 maja 1934 roku wskazuje, że możliwość restauracji była przewidziana i że tylko została odłożona na szczęśliwszą chwilę. *Bundesstaat* nie został nigdzie opieczętowany jako republika, przeciwnie konstytucję tak ułożono, zwłaszcza wybór głowy państwa, że w praktyce zwrot ku monarchii można wykonać w każdej chwili i na krótkiej drodze. Od wewnątrz wymagało to tylko jednego aktu, uchwalonego przez burmistrzów wszystkich austriackich gmin — z tych zresztą gmin tysiące głosów wybrały potomków dynastii na honorowych obywateli miast — do uchwały burmistrzów mogło zgromadzenie związkowe dodać w paru minutach uzupełnienie, że prawa władcy przenosi się na cesarskiego syna Ottona...

Względy zewnętrzno polityczne nigdy nie pozwoliły idei restauracji stać się aktualną, jakkolwiek Dollfuss i jego następca Schuschnigg zawsze podkreślali, że Austria zasadniczo chce sama sobie nadawać ustrój państwowy. Pomijając sprawę powrotu Habsburgów, na każdym innym polu stwierdzamy ruch nawiązujący do dawnej tradycji cesarskiej, o ile oczywiście pozwalały na to zmienione warunki i okrojenie obszaru. Łącznie z tym i myśl o współpracy w naddunajskim basenie przybrała bardziej konkretną postać. Rzymskie protokóły z marca 1934 roku zjednoczyły naprzód Włochy, Austrię i Węgry we wspólnych politycznych, wojskowych i gospodarczych dążeniach. W międzyczasie z Wiednia wysunięto macki w kierunku Pragi i Belgradu. W pierwszym wypadku trafiono na nieprzyjazną niechęć, w drugim

spotkano się z poważnymi rzeczywiście trudnościami. Większe jednak były tymczasem trudności, jakie poczęły się piętrzyć na drodze do uregulowania stosunków z Niemcami.

Dla Dollfussa położenie było zupełnie jasne. Dążył on do niezależnego samodzielnego, wiernego swej tradycji, związanego z innymi państwami naddunajskimi politycznie, gospodarczo i wojskowo, jednak pod względem kulturalnym i językowym niemieckiego państwa — Austrii. Możemy tu zaraz dodać, że zarówno Dollfuss, jak przed nim Seipel, a potem Schuschnigg, sami w sobie i dla siebie byli Wielkoniemcami w równym stopniu jak Adolf Hitler. Wierzyli w Czwartą Rzeszę, która duchowo byłaby kierowana z Wiednia, oparta nie na micie rasy, lecz na idei dawnego Cesarstwa Rzymskiego narodu niemieckiego, które obejmowałoby również wszystkich Niemców, pozostając jednak jednocześnie w jakiś sposób w bliskich stosunkach z niezależnymi narodami europejskiego wschodu i południo-wschodu.

Zatarg pomiędzy Niemcami, które się już stały Trzecią Rzeszą, a nową Austrią, zaostrzony jeszcze bardziej od czasu objęcia władzy przez narodowy socjalizm, nie tyle był — jak mniemały nieorientujące się w stanie rzeczy państwa zachodnie — walką o niemieckość Austrii lub o trwałe jej oddzielenie prawno państwowe od innych Niemców, ile raczej walką rywali o duchowe na razie władztwo nad narodem niemieckim. Dollfuss i jego spadkobiercy chcieli zachować niezawisłość Austrii dlatego zwłaszcza, by tu mógł się przechować Piemont Czwartej Rzeszy, by narodowo-socjalistyczny światopogląd, uważany przez nich za błędny, nie zdobył sobie wyłączności na niemieckim obszarze, co nastąpiłoby niechybnie, a co teraz nastąpiło, przy zgleichszaltowaniu Austrii. Zupełnie więc było rzeczą zrozumiałą, że wszystkie najróżnorodniejsze zresztą ugrupowania, którym groziła zagłada w razie zwycięstwa narodowego socjalizmu, bardzo gorąco poczęły występować w obronie samodzielności Austrii; zarówno bojowi przedstawiciele Akcji Katolickiej, jak Żydzi, wyznawcy liberalizmu, jak i monarchiści. Dollfuss nie utożsamił się jednak z żadnym z swoich sprzymierzeńców. Naprzód chodziło mu o samą Austrię, później — w przypuszczalnej przyszłości — o Austrię jako

rdzeń i ośrodek wielkiego państwa niemieckiego i wielkiej społeczności naddunajskich narodów.

W imię tego ostatecznego celu wypowiedział kanclerz austriacki zaciętą walkę wszystkim przeciwnikom, przyjął na siebie on, dobroduszny i pokojowo usposobiony człowiek, tyrańskie stał się „mordercą robotników" i „prześladowcą patriotycznych Niemców". Zgniecenie marksistowskiej rewolucji w lutym 1934 roku położyło kres niezdolnej do życia Republiki Austrii. Zwycięstwo nad powstaniem narodowo-socjalistycznym w końcu lipca 1934, którego pierwszą ofiarą padł sam Dollfuss, ustrzegło utworzone przez majową konstytucję tegoż roku związkowe państwo Austrię przed natychmiastowym włączeniem do Trzeciej Rzeszy. Testament zmarłego zagwarantował teraz Schuschnigg, stając na straży niezawisłości państwa wiernego prawom swego powstania i swego bytu, wiernego habsburskiej tradycji, naddunajskiego i niemieckiego. Obok tego rozwiązania było możliwe jeszcze inne, jak to już wspomnieliśmy, był możliwy wyłączny triumf jednego z trzech składników austriackiej rzeczywistości: niemieckiego, naddunajskiego albo dynastycznego, triumf odniesiony i wymuszony na przeciwnikach. W każdym z tych wypadków na miejsce dawnego, na zawsze zburzonego państwa, powstałoby coś nowego. W razie *Anschluss*'u, Austria stałaby się prowincją niemiecką, względnie znalazłaby się tak jak w obecnych warunkach w Trzeciej Rzeszy. Gdyby stworzono jakąś naddunajską konfederację, Austria jako jej członek stałaby się również czymś nowym, byłaby wyłączona spod niemieckich wpływów. Wreszcie Austria, na wypadek zwycięstwa legitymistów, mogłaby się stać rdzeniem drugiej Monarchii Habsburskiej.

Naddunajskie rozwiązanie uprawiała przez pewien czas Praga. Było to jednak przedsięwzięcie zgoła utopijne, odświeżenie średniowiecznych planów Ottokara II i Jerzego z Podjebradu, którzy chcieli zorganizować środkową Europę pod przewodnictwem królów czeskich i rządzić nią ze zczechizowanego Wiednia. Dla takich pomysłów można było, w naszych czasach pozyskać co najwyżej kilku wiedeńskich przedstawicieli finansiery. Paryż i Londyn zastanawiali się nad podobnymi ideami jedynie w pierwszych latach po

wojnie światowej. Później Quai d'Orsay spotkało się ze sprzeciwem Mussoliniego; dla Anglii zaś sprawa była dość daleka, a z partnerów Małej Ententy, zarówno Jugosławia jak i Rumunia równie nie zachwycała się tym pomysłem, jak Węgry i sama Austria. Było rzeczą aż nazbyt zrozumiałą, że ta próba, z chwilą militarnej i politycznej odbudowy Trzeciej Rzeszy, stała się całkowicie beznadziejną.

Również czysto habsburskie rozwiązanie sprawy z góry musiało się liczyć z bezwzględnym oporem Niemiec, z ostrym sprzeciwem Jugosławii i z niechęcią Rumunii. Przeprowadzić dałoby się to, w sferze czystych oderwanych możliwości politycznych, jedynie i wyłącznie pod hasłem frontu Stresy i po zjednoczeniu Austrii, Węgier i Czechosłowacji. W samej Austrii przy zręcznym postępowaniu i odpowiedniej koniunkturze międzynarodowej możliwe było uzyskanie większości głosów a nawet uchwał na drodze państwowo prawnej, choćby nawet przez zaskoczenie związkowego zgromadzenia.

W okresie między śmiercią Dollfussa a początkiem oziębienia francusko-włoskich stosunków wskutek abisyńskiego zaognienia, musiałby Paryż i Rzym, przy przyjaznym patrzeniu przez palce Brytanii, nakłonić Czechosłowację do porozumienia się za wszelką cenę z Węgrami, nawet za cenę wielkich ustępstw terytorialnych, które zapewniłyby republice utrzymanie reszty terytorium, tak bardzo dzisiaj zagrożonego. Odstąpienie Węgrom Rusi Podkarpackiej i części Słowacji nie byłoby zbyt dotkliwą ofiarą, gdyby za tę cenę uzyskała Czechosłowacja uwolnienie właściwych ziem historycznych od wszelkiego nacisku z zewnątrz. Wyposażony w taki *don de joyeux avenement* mógłby był Otton wkroczyć bezzwłocznie do Budapesztu, restauracja zaś w Wiedniu poszłaby wtedy gładko. Tak jak się wówczas układały stosunki — było to przed przewrotem w belgijskiej polityce zagranicznej, przy świeżym jeszcze pogodzeniu się Rzeszy z Polską i przed obsadzeniem niemieckim wojskiem strefy nadreńskiej — Adolf Hitler nie byłby się odważył na wojnę z Francją, Włochami, Austrią i Czechosłowacją jedynie w tym celu, by nie pozwolić na powrót dynastii do Wiednia i Budapesztu. Rumunia z samego strachu przed Rosją zostałaby neutralna a Jugosławia

nie miałaby ochoty zabawić się ogniem, trzymałaby ją zresztą w szachu możliwość wybuchu powstania w Chorwacji, Albanii i Bułgarii, popieranego przez Włochy. Z tej jedynej sposobności, która już się nigdy nie powtórzy, nie skorzystali mierni, zaślepieni doktrynersko politycy francuskiej i czeskiej demokracji. Jako więc bezpośrednia rzeczywistość zostały tylko dwie możliwości: włączenie Austrii do Niemiec przez zrównanie jej lub przez formalny *Anschluss*, albo idea Dollfussa, broniona przez Schuschnigga: niemieckiej, wiernej tradycjom habsburskim, naddunajskiej Austrii.

Rozważając obie możliwości, nie chcemy przez to twierdzić, jakoby były one równie prawdopodobne. Przyjrzenie się siłom, jakie kryją się za jedną i drugą, odsłoni nam ich nierówność. Możliwość czysto niemieckiego rozwiązania stała się od pierwszej chwili prawdopodobniejsza; prawdopodobieństwo rosło im bardziej zbliżały się do siebie Berlin i Rzym względnie im bardziej stanowczo budowała Francja między sobą a Włochami mur humanitarnych, lecz przesiąkniętych nienawiścią do *Duce* frazesów. Im więcej zależało Mussoliniemu na przyjaźni Trzeciej Rzeszy, tym mniej mógł on podkreślać swą ochotę do włoskiej hegemonii w Austrii i na Węgrzech, do której zresztą nie ma żadnych ani etycznych ani narodowych praw, a którą opierał wyłącznie na rzeczywistej potędze państwa. Do początku 1936 roku straż nad Brennerem uważały Włochy za ważniejszą od straży nad Morzem Śródziemnym. Odtąd jednak sytuacja ta uległa zmianie. Austriacka niezależność płaci koszta triumfu, jaki odniosła francuska lewica.

Czegoż zresztą ci zawzięci ideologowie nie mają na sumieniu. W roku 1931 Seipel chciał uczynić ostatnią próbę stworzenia rządowej koalicji ze socjalistami. Wszystko zależało od tego, czy paryscy towarzysze dadzą się odpowiednio urobić. I wszystko spełzło na niczym. Dollfuss za życia został obrzucony przez francuskich marksistów błotem; Schuschniggowi zgotowano w Paryżu przyjęcie, którego nie zapomniał już nigdy. Zresztą lewicowcy, jak dla sprawiedliwości wypada dodać, nie byli wyłącznymi winowajcami. Pewne prawicowe kręgi we Francji, przepadające za Moskwą bądź z idealnych, bądź ze zrozumiałych względów na Cze-

chosłowację, zrobili swoje, by Austrię odizolować. Ludzie, jak specjalista od spraw zagranicznych w *Echo de Paris* Pertinax, wyrażali się wobec mnie o Seiplu w ten sposób, że mniej łysemu niż ja mogłyby stanąć włosy na głowie. A przeciwnie, niektórym politykom lewicowym nie brakło właściwego rozpoznania rzeczy. Tak np. oświadczył mi p. de Monzie, że gdyby zaszła potrzeba, musiałaby jego ojczyzna prowadzić wojnę o niezawisłość Austrii. Nie brakło też wśród nich prawdziwych znawców i przyjaciół Austrii, jak np. p. Pezet. W swej jednak całości francuski parlament słabo orientował się w naddunajskiej polityce, a francuska dyplomacja nie może wykazać się w tej sprawie żadnymi większymi osiągnięciami.

Słowem rozwój stosunków dyplomatycznych od 1934 r., w walce przeciw rozwiązaniu niemieckiemu, zdał Austrię na pomoc jednego mocarstwa, tej Francji, która nie okazała ochoty wyjścia poza sferę słów i papierów i drugiego mocarstwa Włoch, które poręczając wprawdzie niezawisłość Austrii, podporządkowują wszystko przymierzu z Trzecią Rzeszą. A Wielkiej Brytanii, która obecnie pragnie koniecznie pojednać się z osią Berlin—Rzym, zależało na Austrii tyle, co na zeszłorocznym śniegu.

Tak więc za ideą *Anschluss'u* względnie zgleichszaltowania stała potężna Rzesza niemiecka, zjednoczona w swej woli i gotowości na wszystko, za ideą zaś niezależnej Austrii stała... ona sama z częścią swych mieszkańców. Moralne oparcie miała ta myśl jak się zdawało w Węgrach i Czechosłowacji... i w zwlekaniu Hitlera z wykonaniem zamachu na niezawisłość Austrii i zgody najważniejszych mocarstw europejskich, Anglii, Włoch i Polski.

Austriackiego zagadnienia nie wolno nam traktować dziś po katastrofie z powierzchowną jednostronnością prasy brukowej lub linoskoczkową giętkością dziennikarzy totalistycznego pokroju. Cały tragizm austriackiego problemu tkwi w tym, że nie chodziło tu o jakąś walkę między aniołami i szatanami, w której jedno tylko mogło być sprawiedliwe rozwiązanie, lecz raczej o walkę dwóch historycznie i moralnie uprawnionych poglądów, między którymi nie do pomyślenia było jakieś porozumienie na dłuższą metę. Naszym

przeto zadaniem nie może być wydawanie wyroku, lecz bezstronne wyjaśnienie stanu rzeczy. Przy takim nastawieniu przekonamy się łatwo, że obydwaj przeciwnicy, Trzecia Rzesza i niezależna Austria, kierowały się daleko szlachetniejszymi pobudkami, niż bezinteresowni uczestnicy walki, którzy jednostronnie widzieli w niej tylko dywersję przeciw swoim własnym przeciwnikom.

Historia, geografia, międzynarodowe i państwowe prawo przemawiały, jak to już widzieliśmy, za odrębnością i samodzielnością kraju. Przynależność mieszkańców do niemieckiej grupy językowej nie stanowiłaby żadnego rozstrzygającego argumentu przeciw. Mówiący po francusku Belgowie, Szwajcarzy i Kanadyjczycy nie myślą bynajmniej o przynależności do państwa francuskiego. Tymczasem narodowy socjalizm mierzy inną miarą. Według nauki Adolfa Hitlera wszyscy Niemcy z krwi i mowy, zamieszkali na zamkniętej osadniczej przestrzeni niemieckiego narodu, powinni tworzyć j e d n o państwo. Jako ustępstwo na rzecz politycznej rzeczywistości dodaje się zastrzeżenie: o ile ci Niemcy czują się Niemcami i chcą przynależeć do niemieckiej narodowej jedności państwowej i dalej, o ile to zjednoczenie możliwe jest do przeprowadzenia bez szkody dla całości interesu niemieckiego narodu. Te zastrzeżenia przedłożone wodzowi partii i ideologom przez odpowiedzialnego zwierzchnika Rzeszy, przetłumaczone na język polityczny, znaczą tyle co: rezygnujemy tymczasowo, na skutek ogólnego położenia, z Niemców południowego Tyrolu, Alzacji i Lotaryngii, z Luksemburga i Szwajcarii oraz z polskiego Śląska i Pomorza. Lecz przy tym zaznaczamy, że ta czysto taktyczna rezygnacja może kiedyś ustać, ponieważ żadne prawo nie jest silniejsze nad prawo krwi, żadna racja stanu nie może powstawać przeciw głosowi zbiorowego sumienia narodowego. Toteż jako nakaz tego wewnętrznego głosu, nieograniczonego przez żadne względy uboczne, staje przed nami konieczność, połączenia się z Austrią i w jakiej bądź postaci z sudeckimi Niemcami.

Dwie tylko rzeczy, jak to podkreśliliśmy, mogły odwlec te dążenia do jedności: wzgląd na przeciwne im wyższe interesy całości narodu, a więc wzgląd na możliwość

wojny lub na przyjaźń ważnych sprzymierzeńców i brak woli do połączenia się u oddzielonych braci. Obie przeszkody Trzecia Rzesza usiłowała usunąć. Jedną przez dyplomatyczne i wojskowe zabiegi, drugą przez propagandę i oświecanie błądzących. W programie tym zarysowuje się równocześnie stanowisko Hitlera wobec Austrii. Niezawisłość tego drugiego państwa niemieckiego znosił on tylko tak długo, jak długo zmuszało go ogólnoeuropejskie położenie.

Metody, przy pomocy których niemiecki wódz dążył do celu były zmienne, sam cel został nienaruszalny. Od 1932 do 1934 uprawiano terror, rok 1935 złagodniał. Po porozumieniu się Niemiec z Włochami nastąpiła umowa z 11 lipca 1936 roku, w której uznano niby niezależność Austrii, ale jednocześnie w umowie tej słabszy partner zrzekł się polityki zagranicznej niezgodnej z interesem Niemiec i zgodził się na zapowiedź późniejszego wejścia nacjonalistów do rządu. W urzeczywistnieniu swych zamiarów Hitler był niezmordowany i korzystał przy tym z pomocy Mussoliniego. W lutym 1937 r. został utworzony komitet siedmiu, złożony z narodowych socjalistów, który miał regulować współpracę z tzw. Frontem Ojczyźnianym. Przy spotkaniu się Mussoliniego z Schuschniggiem w Wenecji (w kwietniu 1937) *Duce* nalegał na dopuszczenie „brunatnych" do rządu. Na tym tle doszło do ostrej wymiany zdań. Od tego czasu Mussolini przestał opiekować się Schuschniggiem. Niemiecki ambasador von Papen podjął jednak nić na nowo; również przy rozmowach budapeszteńskich ze stycznia 1938 roku omawiano tę sprawę wraz z innymi punktami spornymi w związku z tłumaczeniem znaczenia lipcowej umowy z r. 1936. Wtedy to część zarzutów wysuwanych ze strony Austrii znalazła jeszcze poparcie Węgier. Chodziło o propagandę narodowych socjalistów w obu naddunajskich państwach. Wizyta Gauleitera Böhle'a była próbą, częściowo udałą, uspokojenia Madziarów. Wystąpienie tegoż w Wiedniu nie dało żadnych uchwytnych wyników. Z jednej strony ustała tylko żywa kampania prasowa między Rzeszą a Austrią, z drugiej wzmogła się działalność „nielegalna" narodowych socjalistów. Wyrażała się w zakłócaniu posiedzeń, w wielkich demonstracjach przy sportowych uroczystościach, w wybijaniu szyb w żydowskich

przedsiębiorstwach, w naruszaniu telefonicznych połączeń, słowem w czynnościach dobrze znanych z okresu terroru w latach 1933 do 1935, których następstwem była zaradcza akcja wszczęta przez związkowy rząd. Uwięzienie dra Tavsa i rozwiązanie komitetu siedmiu stanowiło szczytowy punkt naprężenia, które wywołało wielkie zaniepokojenie tak mocarstw zachodnich jak i Włoch.

Wypadki 4 lutego 1938 r. posunęły sprawę ku rozwiązaniu. Zmianę w Berlinie przyjęły austriackie sfery kierownicze z niedającym się wytłumaczyć optymizmem, co bardzo zaskoczyło obcych dyplomatów. Jeszcze w dniu ustąpienia von Blomberga, austriacki poseł w Berlinie Tauschitz przywiózł aeroplanem dobre wiadomości. Wtedy wyłoniła się ponownie myśl spotkania się obu kanclerzy, którą z wielką gorliwością usiłował przeprowadzić odwołany na razie z Wiednia von Papen. Dwukrotne odwiedziny tego dyplomaty, zabiegającego z uporem i stanowczością dookoła usunięcia niemiecko-austriackich nieporozumień, wyrównały teren. Usiłowanie jego zasłużyło na tym większe uznanie, że w tym właśnie czasie zabiegano u rządu związkowego o uznanie jego następcy i że von Papen już nie myślał o stałym pobycie w Wiedniu.

W niedzielę 6 lutego przyszło do Wiednia ostateczne zaproszenie. Trzy następne dni były wypełnione naradami, do których prócz prezydenta Miklasa i członków gabinetu wciągniętych zostało w tajemnicy kilku innych wybitnych polityków jak dr Ender i burmistrz Schmitz. W piątek rano zapadła decyzja i tegoż jeszcze dnia powiadomił kanclerz Schuschnigg przedstawicieli Francji, Anglii i Czechosłowacji, Puaux, Palaireťa i Künzla, o mającym nastąpić spotkaniu. Żeby utrzymać podróż w tajemnicy, ogłoszono wyjazd szefa rządu do Tyrolu a ponieważ w Wiedniu zawsze zasadniczo wiąże się każdy wyjazd kanclerza z ubocznymi celami politycznymi, wtajemniczone sfery puściły w porozumieniu z Pragą pogłoskę, że chodzi tu o spotkanie z czeskim premierem Hodżą, z którym Schuschnigg ma się zetknąć w Kitzbühel. Udało się rzeczywiście odsunąć uwagę opinii publicznej od właściwych wydarzeń.

W sobotę w południe, w historycznym „twardym" dniu 12 lutego 1938, ogłoszono w Wiedniu krótki komunikat o wizycie Schuschnigga. Całą Austrię opanowało wielkie podniecenie. W wielkich i prowincjonalnych miastach gromady ludzi oblegały redakcje dzienników, które w krótkich słowach donosiły o zdarzeniu. Wiedeński świat dyplomatyczny, dziennikarski i sfery polityczne wyglądały jak wstrząśnięte mrowisko. Nigdy chyba telefon nie miał do zanotowania tylu rozmów. Trzy szczególnie grupy zostały mocno poruszone, hitlerowcy, legitymiści i Żydzi. Pierwsi spodziewali się rychłej daleko idącej zmiany rządu, inni popadli w przygnębiający nastrój, częściowo nawet w panikę. Podczas week-endu krążyły z ust do ust najfantastyczniejsze wieści. W wyglądzie ulic nie dostrzegało się żadnych większych zmian, jeżeli nie weźmie się pod uwagę zakończonej szybko demonstracji, jaką urządzili heimwehrowcy na cześć Starhemberga.

Naprężenie i wrzenie trwało aż do 15 lutego, w którym wyniki rozmów w Berchtesgaden zostały przyjęte po uprzednim potwierdzeniu ich przez prezydenta Miklasa i po dramatycznych naradach z przywódcami Ojczyźnianego Frontu. Znane są okoliczności, które zmusiły Schuschnigga do uwzględnienia żądań Hitlera. Bezczynność mocarstw zachodnich i nieuniknione przyzwolenie Włoch, stojących w obliczu rozmów z Londynem, nie zostawiły innej drogi zaskoczonemu przez formalne ultimatum austriackiemu kanclerzowi. W każdym razie nie łatwo poddał się dyktatorowi. Po „niemieckim pokoju", jak nazwał Schuschnigg w swej wielkiej mowie z 24 lutego berchtesgadeński układ, pozostała Austria nadal „samodzielnym" krajem niemieckim, z oddzielnym rządem i z własnymi prawami. W ramach tych praw mieli miejscowi narodowi socjaliści rozwijać swą działalność. Hitlerowi przyświecała przy tym nadzieja zdobycia władzy w Austrii na drodze legalnej, tak jak się to stało w Niemczech. Trwałe jednak wyrzeczenie się *Führera* panowania nad drugim państwem niemieckim było niemożliwe. Prorok jedynie zbawiennej wiary, a właśnie narodowy socjalizm uważa się za nieomylny i jedynie zbawienny światopogląd dla Niemców, mógł tylko dla siebie żądać wolności, a tym sa-

mym odmawiać jej swym przeciwnikom. Lecz posłuchajmy i drugiej strony.

Nieliczni obrońcy prawdziwej austriackiej niezależności oświadczyli: zgoda na zupełną swobodę działania dla narodowych socjalistów, uzbrojonych z Niemiec w nieograniczone środki, oznacza zgodę na pojedynek między nimi i drugimi Austriakami, w którym jeden zapaśnik strzela z armaty, drugi z dziecinnego pistoletu. Podobnie rzecz się ma z żądaniem, by Niemcy, 68 milionowe państwo, załatwiały swoje sprawy z dziesięćkrotnie mniejszą Austrią... same.

Przy pomocy niewyczerpanych środków, którymi rozporządzała partia, spodziewali się narodowi socjaliści w Austrii dojść w krótkim czasie do władzy. Podział sił dla dzisiejszej Austrii, w chwili rozmów w Berchtesgaden, mniej więcej był następujący: Wiedeń, Austria Dolna, Tyrol i Voralberg miały większość przeciwhitlerowską. Narodowy socjalizm miał prawdopodobnie większość w Salzburgu, w Austrii Górnej, w Burgenland'zie, a bez wątpienia miał ją w Styrii i Karyntii. Na całą Austrię przypada około 25% dorosłych na zwolenników Frontu Patriotycznego, 30% socjalistów, 15% przynależnych do różnych ugrupowań niemiecko-narodowych i 30% przekonanych narodowych socjalistów. Warto zaznaczyć, że odsetek narodowych socjalistów był znacznie większy w ostatnich latach niż w poprzednich.

Aż do połowy lutego bieżącego roku nie doszło ani do należytej współpracy zwolenników socjalizmu z przedstawicielami Frontu Ojczyźnianego, ani do zwartego wkroczenia narodowych socjalistów do tej formalnie jedynie uprawnionej organizacji, reprezentującej polityczną wolę Austrii. Dopiero wydarzenia od czasu Berchtesgaden, a zwłaszcza mowa Schuschnigga z 24 lutego nakłoniły austriacki świat robotniczy do połączenia się z rządem, z drugiej strony dali się pociągnąć tym przykładem narodowi socjaliści, skoro przecież otrzymali przedstawiciela w rządzie w osobie swego zausznika.

Przeciw reżimowi Schuschnigga działały jednak następujące momenty: przyciągająca siła sprawy idącej od powodzenia do powodzenia; demagogiczne argumenty, określające dotychczasowy rząd jako klerykalny i żydowski;

zmniejszająca się możliwość zwalczania w wielkim stylu bezrobocia w Austrii (z Niemiec wracają austriaccy robotnicy jako hitlerowcy); przyobiecane w Berchtesgaden zatamowanie legitymistycznej propagandy; podporządkowanie policji i całej władzy wewnętrznej Seyss Inquartowi, który się czuł jako pełnomocnik swych narodowo-socjalistycznych mocodawców. Wreszcie przypomnijmy sobie bogate przypływy pieniężne, płynące czy pośrednio czy bezpośrednio z Niemiec do Austrii, szafowanie niezliczonymi stanowiskami w przedsiębiorstwach, które dostały się pod kontrolę Rzeszy, przypomnijmy film, teatr i książkę. Zaprawdę, trzeba by było nazwać to cudem, gdyby Austria niepodległa uratowała swój byt niezależny w powszechnym głosowaniu, w którym większość głosów padłaby niewątpliwie za dokonaniem przewrotu narodowo-socjalistycznego, jeśli nie wprost za pełnym przyłączeniem Austrii do Rzeszy.

Niebezpieczeństwo jednak nie zostało zażegnane, przeciwnie wzrastało i przybierało na tempie. Hitler, którego największym marzeniem życia było sprowadzenie austiackich Niemców z powrotem „do domu", w zaciętym uporze pojedynczych swych ziomków widział skutki jakichś diabelskich machinacyj żydowskich, rzymskich, reakcyjnych. I z jego punktu widzenia nie było to tak znowu niesłuszne. Jest bowiem rzeczą oczywistą, że wszyscy przeciwnicy narodowego socjalizmu złączyli się we wspólnym wysiłku, by nie wpuścić Hitlera do Austrii. Należało więc oczekiwać ciężkich konfliktów, jeżeliby „pokojowe" przenikanie Trzeciej Rzeszy nie poszło tak szybko, jak sobie tego życzono w górskiej willi w Obersalzbergu. Nie zapobiegłaby z pewnością tym zdarzeniom nawet dobra wola Schuschnigga, który nie zdał sobie sprawy z faktu, że musiał koniecznie i wszędzie czynić ustępstwa. Do tego jeszcze jakiś zły los prześladował wszelkie dotychczasowe umowy między Berlinem a Wiedniem. Okazywało się po pewnym czasie, że każdy z obu kontrahentów inaczej je interpretuje. Stało się to widocznie również wnet po Berchtesgaden. W Wiedniu mówiono o potwierdzeniu Austrii Dollfussa, a tymczasem Hitler w mowie parlamentarnej nazwał ją *Deutsch-Oesterreich,* państwem oddzielonym od Rzeszy jedynie ze względów państwowoprawnych,

które jednak podporządkowuje się pod większą i wyższą społeczność, pod społeczność jednolitego narodu niemieckiego. Kto znał wytyczne myśli Hitlera, łatwo tu dostrzegł wyraźny i bliski program dotyczący Austrii, którego wykonanie było tylko na krótko odroczone...

W świetle tych rozważań spotkanie się w Berchtesgaden oznaczało nowy etap w walce między wykluczającymi się nawzajem zasadami, z których jedna domagała się niezależności, druga wcielenia Austrii do Niemiec. Leonińska umowa, jaką musiał zawrzeć Schuschnigg z Hitlerem, była zaczerpnięciem oddechu, przerwą w walce. Ale tylko przerwą. Austria Dollfussa obok hitlerowskich Niemiec była rażącą sprzecznością, była ucieleśnionym zaprzeczeniem zasad uznanych w Rzeszy za jedyne. Według ludzkich obliczeń koniec powinien był być taki jakim bywa zwykle, kiedy wilk i jagnię, silny i słaby spotykają się w pojedynkę ze sobą.

Dr F. Bitnicki.

Pochwała parlamentu.

Polska w poczekalni.

„Na lewo zwrot" o którym pisałem poprzednio,[1]) przechodził w miesiącu ubiegłym dalsze dramatyczne koleje. Wyłonił się, jak wiadomo, tytułem reakcji wobec słabego wyniku usiłowań konsolidacyjnych, przedsiębranych przez obóz rządzący w kierunku centro-prawym. Kojarzył się jednak głębiej także z poczuciem coraz większej grozy położenia kraju i coraz oczywistszej dysproporcji środków stosowanych przez liberalną, państwową politykę gospodarczą wobec piętrzących się przed nią zadań. Dyskusja budżetowa po raz pierwszy w naszych ciałach parlamentarnych tę właśnie najistotniejszą stronę „rzeczywistej rzeczywistości" wysunęła na czoło. Konkretnych zmian spowodować nie mogła, gdyż przy obecnym autorytatywnym ustroju naszego państwa, nie leżą one faktycznie w mocy parlamentu.

Próby, które w tym kierunku podejmowano, nacierając na poszczególnych ministrów, były ciekawe nie tyle jako bezskuteczne „wota nieufności", ile ze względu na to, że w dużej mierze stanowiły parlamentarny przejaw walki o zamierzony „na lewo zwrot". Rządowi dotąd centrowemu, orientowanemu raczej na prawo, ale nie bez wyjątku, nie trudno było postawić zarzut „niedostatecznej koordynacji" politycznej dążeń niektórych ministerstw, oraz braku wyrazistej linii ogólnej. Okres przejściowy „zmiany frontu" na

[1]) Cfr. *Przegląd Powszechny*, marzec 1938.

centro-lew musiał temu zwrotowi dostarczyć tym jaskrawszych uzasadnień. Stąd rozwinęła się wielka ofensywa dyskusyjna zachowawczej części obu izb przeciwko ministrom: Poniatowskiemu, z powodu reformy rolnej i radykalizacji wsi, oraz Świętosławskiemu z powodu ustępliwego „kompromisu" ze Zw. Naucz. Polskiego. Dwaj inni ministrowie znaleźli się pod obstrzałem parlamentarnym z odmiennych powodów. P. Grabowski atakowany był przede wszystkim za zbyt forsowne „pranie brudów" procesami, które nie podnoszą autorytetu obozu rządzącego, a z pewnej strony także dlatego, że reprezentuje w gabinecie skrajną prawicę nacjonalistyczną. Dostało się, pomimo osobistej popularności, premierowi za ogólną „niejasność linii", godzącej w reformę rolną Poniatowskiego z ozonową deklaracją Koca, oraz za resort spraw wewn. z powodu chłopskich kos na sztorc w Małopolsce ub. lata. Dodatkowo ucierpiał również p. min. op. społecznej, Kościałkowski z powodów mniej dla ogółu interesujących. Rzeczowy filar całej polityki rządowej, p. wicepremier Kwiatkowski, wyszedł z tych parlamentarnych opałów osobiście bez szwanku, nawet z pochwałą Ozonu za Cop; musiał wszakże przyjąć na swoje barki niemały ciężar krytyki, również rzeczowej wszystkich działów budżetu, która go bombardowała nikłym stosunkiem jego zabiegów do konieczności życiowych społeczeństwa.

O ile batalia parlamentarna sama przez się nie była zdolna ruszyć z posad rządu autorytatywnego, ani przeszkodzić jego ewolucji na lewo, o tyle ta ewolucja ciężko ugodzona została z poza parlamentarnego ubocza, od strony opozycji. Kongres P. S. L. w Krakowie obrał wprawdzie ponownie prezesem stronnictwa p. Rataja, który uchodzi za przywódcę umiarkowanego, jednakże obrady i uchwały wypadły tak, że sprawozdawczy numer *Piasta* świecił 40 białymi plamami po konfiskacie. Władze stronnictwa zostały uprzedzone, iż skonfiskowanych uchwał nie wolno podawać do wiadomości na zebraniach sprawozdawczych i rzeczywiście odczytywano zamiast nich uchwały... nowosielskie, również „rogate", ale jednak w treści i formie łagodniejsze.

P. S. L. zajęło więc pozycję polityczną bardzo wyrazistą i blisko spokrewnioną z symbolem kosy osadzonej na

sztorc. Ten zawzięty, chłopski opór zadał konsolidacji na lewo zaraz po jej wstępnym wdrożeniu, cios niemniej fatalny, jak ten, którym zwycięska kontrofensywa Z. N. P. ugodziła konsolidację prawą po jej z górą półrocznych wysiłkach. W parlamentarnej podbudowie obozu rządzącego, zapanowało wobec tego jeszcze większe niż poprzednio poruszenie, nawet w senacie, powściągliwszym na ogół od sejmu. Padały definicje wyjątkowo ostre, jak to, że Polska żyje politycznie w „poczekalni", albo na rozstajnych drogach, bo nie wiadomo dokąd jest prowadzona; że wytworzył się jakby system powszechnego i wzajemnego prześladowania wszystkich przez wszystkich, a zwłaszcza społeczeństwa przez biurokrację i etatyzm gospodarczy. Gmach etatyzmu należy więc „rozebrać", a do „marszu z melonikiem", który zapowiadał kiedyś premier po swojej dymisji, winien przyłączyć się cały rząd i parlament. Przed tym jednak społeczeństwo, rząd i izby winny na trzy miesiące zaprzestać wszelkich rozgrywek o władzę. Potem muszą zgodzić się na arbitraż komisji mieszanej sejmu i senatu. Powinna ona uchwalić projekt amnestii dla wygnańców politycznych, zwłaszcza dla Witosa, nową ordynację wyborczą i projekt rady czy komitetu społecznego przy ministrze skarbu, która to rada ustalałaby program ekonomiczny.

Ta wypowiedź jednego z senatorów, wyraża jak widzimy, dążenia daleko sięgające i godne uwagi. W razie realizacji mogłyby one prowadzić nie tylko do ograniczeń pełnowładztwa *régime*'u, ale i do zmian w ustroju politycznym państwa, względnie jego formalnej Konstytucji. Zdarzyło się to podczas ubiegłej sesji, także wcześniej, zanim jeszcze podjęto próbę zwrotu na lewo. Wybitny przedstawiciel obozu rządzącego, poseł generał Żeligowski, zakwestionował naprzód konstytucyjność rozporządzenia szefa rządu, mocą którego Naczelny Wódz sił zbrojnych uznany został za drugi po Prezydencie autorytet w państwie, a więc i za zwierzchnika premiera. Pod koniec kampanii osobistej, jaka się na tym tle rozwinęła w Komisji wojskowej, generał Żeligowski zgłosił inny wniosek, uzupełniający. O ile pierwszy był tylko negatywny, o tyle drugi wysuwał propozycję niejako zastępczą: powołania przy Głowie Państwa rady przy-

bocznej, złożonej z przedstawicieli naczelnych stronnictw i grup społecznych, oraz powag osobistych. Wnioskodawca zaproponował nawet skład osobowy tej rady, której przewodniczącym byłby z urzędu Prezydent Rzplitej, wiceprzewodniczącym Naczelny Wódz, a członkami, pośród innych, Kardynałowie, Dmowski, Niedziałkowski, Rataj, względnie Witos itd.

Generał Żeligowski ma słuszność jeśli utrzymuje, że okólnik premiera dotyczący nowej pozycji Naczelnego Wodza nie mieści się w ramach obecnej Konstytucji. Nie stoi z nią wprawdzie w sprzeczności, gdyż wzmacnia właściwy jej pierwiastek autorytatywny, ale zarazem dobudowuje do niej nową instytucję. Niczego jednak innego nie czyni również i p. generał, gdy proponuje nowe ciało doradcze przy Głowie Państwa. I to nowe urządzenie nie przeczyłoby duchowi Konstytucji, gdyż wzmacniałoby w niej czynnik społeczny, który ona zawiera i stara się uzgadniać z czynnikiem autorytatywnym.

Wszystkie te objawy od urzeczywistnionej roli politycznej Naczelnego Dowództwa poczynając, poprzez projekt rady przybocznej gen. Żeligowskiego, a na projekcie rady ekonomicznej sen. Dzieduszyckiego kończąc, są znamienne i ważne. Świadczą one, iż życie rozsadza istniejący ustrój państwowy, ponieważ nie jest on zdolny, by je objąć i uregulować. Takie samo znaczenie posiada również walka o ordynację wyborczą, głęboko sięgająca do podstaw ustroju, jak o tym pisałem w zeszycie marcowym.

Objawy te wynikają z przełomowego charakteru czasów, które przeżywamy i są na porządku dziennym nie tylko w Polsce. Nawet najtotalniej „skonsolidowani" nasi wielcy sąsiedzi przechodzą obecnie głębokie przemiany wewnętrzne np. w zakresie stosunku między państwem i armią, jak niedawno widzieliśmy w Niemczech. Poniżej zaś polskiego stopnia rozwoju społecznego i potęgi państwa stojąca Rumunia, świeżo załamała się ustrojowo na parlamentaryzmie wielopartyjnym, przeszła więc do ustroju autorytatywnego i *quasi* stanowego w swej nowej konstytucji.

Bariery konsolidacji.

Ale powróćmy jeszcze na chwilę do zwrotu na lewo. Krakowski kongres P. S. L. przeciął mu z miejsca jego podstawową linię operacyjną zwróconą „frontem do wsi". Na tym froncie obóz rządzący usiłował sprawiać swe szyki wprawdzie także w poprzednim centro-prawym okresie swej akcji konsolidacyjnej w stosunku do społeczeństwa. Zaczęło się to przecież już w Nowosielcach, a jednak osiągnięto tylko kosy na sztorc ub. lata w Małopolsce. Najcięższą artylerią, jaką obóz rządzący rozporządza przeciwko opozycyjnej twierdzy P. S. L., była i pozostaje tylko reforma rolna. W pewnej niekonsekwencji z deklaracją płk. Koca a w większej może harmonii z kursem gen. Skwarczyńskiego, dowodził nią i dowodzi nadal p. min. Poniatowski. Okazało się, że broń ta nie wystarcza. „Na lewo zwrot" mógłby wzmocnić jej działanie tylko przez intensyfikację samej reformy, oraz przez reakcję ustrojową w kierunku demokracji parlamentarnej. Droga pierwsza zapewne nie groziłaby obozowi rządzącemu żadnym niebezpieczeństwem bezpośrednim, ale wątpić wolno czyby skuteczniej niż dotąd doprowadzić mogła do upragnionej „smyczki z krestianstwom". Politycznego bowiem znaczenia reformy nie należy przeceniać. Jej ciężar gatunkowy obniżył się znacznie w stosunku do wagi, jaką posiadał za złotych czasów sejmowładztwa. Wieś, w konsekwencji swej liczebności, przygnieciona została przez lwią część narosłej w międzyczasie, wszechpolskiej nędzy wyjątkowej. „Reforma" wobec niej została zdegradowana do funkcji raczej podrzędnego środka odporu.

P. S. L. zdaje sobie z tego doskonale sprawę, przeto nie wyrzekając się „reformy", główny nacisk swych dążeń skierowało raczej na teren czysto polityczny, ku opanowaniu władzy. *Ote toi que je m'y mette* ze strony chłopskiej pod adresem obozu rządzącego brzmi najzupełniej niedwuznacznie, a środkiem wiodącym do tego celu ma być właśnie „demokracja parlamentarna". Stąd wynika, że ta druga droga, parlamentarnej reakcji ustrojowej, na której obóz rządzący spróbował ostatnio przybliżyć się „frontem do wsi", jest dlań niesłychanie śliska i ryzykowna. Bo jedno z dwojga: albo ustępstwa na gruncie ordynacji wyborczej zostaną przez

obóz rządzący utrzymane w granicach pozwalających mu utrzymać się przy władzy, a w takim razie pozostaną w zakresie „konsolidacji" równie bezowocne, jak ostatni projekt samorządu w wielkich miastach; albo też obóz rządzący posunie się na tej drodze dalej niżli naprawdę może i wtedy odda legislatywę w ręce opozycji. To wprawdzie mogłoby jeszcze nie być równoznaczne z automatycznym wypuszczeniem z rąk egzekutywy. Jednakże pomiędzy tymi dwoma dziedzinami władzy wytworzyłby się chroniczny stan obstrukcji, którego *à la longue* życie państwowe znieść by nie zdołało. Walka o władzę totalną w tej perspektywie musiałaby stanąć na ostrzu miecza i rezygnując z konsolidacji, przechylić się stanowczo ku absolutyzmowi, lub pogrążyć autorytatywny obecny *régime* w nawrocie wielopartyjnego sejmowładztwa. Zdaje się, że w Polsce *tertium non datur*, gdyż dyktatury monopartyjnej ani objąć, ani zwłaszcza sprawować z korzyścią dla siebie i dla państwa chłopi by nie umieli.

Akcja konsolidacyjna w kierunku centrolewu (nad którą *nota bene* fatalnie ciążą wspomnienia roku 1930) znalazła się tedy zaraz na początku swej drogi w impasie co najmniej równie szczelnym, jak akcja centro-prawa po upływie pierwszego półrocza. W tych warunkach przed obozem rządzącym pozostało otworem właściwie tylko prowizorium pod znanym hasłem *fortwursteln*. Droga to nawet przymusowa, boć przecie z tymi wielkimi miastami trzeba nareszcie coś począć. Ponieważ lewica odrzuca tutaj kompromis wieloprzymiotnikowego głosowania z wyborami korporacyjnymi, przeto albo trzeba i tutaj z konsolidacji zrezygnować, albo też ustąpić i przywrócić sejmowładztwo wielopartyjne w samorządach, z drobnymi najwyżej korekturami. Taka myśl zdawała się przyświecać nowemu projektowi posła Ducha, według którego 80% mandatów do rad miejskich obierałoby głosowanie powszechne (wprawdzie przy małych okręgach, co nie jest korzystne dla lewicy), 20% zaś kooptowaliby radni obieralni. Według informacyj prasowych nawiązane też zostały ponownie kontakty między obozem rządzącym a P. P. S., zanosić się więc ma w miastach na wskrzeszenie centrolewu, względnie „fołksfrontu", czyli sojuszu „sanacji"

z socjalistami i Żydami. To by chwilowo ratowało obóz rządzący na najbardziej naglącym odcinku wielkomiejskim, ale zarazem redukowałoby do absurdu całą akcję konsolidacyjną, wyłączając z niej automatycznie nacjonalistyczną prawicę, a w obecnych warunkach również P. S. L.

Jeśli w tej perspektywie pryskać się zdają wszelkie dalekosiężne dążenia konsolidacyjne w okresie centro-prawym rozbite o barierę Z. N. P. a centro-lewym o barierę P. S. L., to w tej ostatniej wersji piętrzą się przed nimi dodatkowe jeszcze trudności natury międzynarodowej. Kurs centrolewu odpowiadałby ustrojowo demokracji parlamentarnej, a więc mógłby ułatwiać zbliżenie do zachodniego bloku „trzech demokracyj" w szczególności do Ameryki, szczerze nie cierpiącej totalizmów. Zdaje się, że ta myśl była pomocną w poczęciu polskiego zwrotu na lewo, gdyż przed paru miesiącami „blok demokracyj" próbował protegować europejski środkowy wschód, zwłaszcza Polskę. Obecnie to się mocno skomplikowało, gdyż po zaborze Austrii wzrasta nasze uzależnienie od hitlerowskich Niemiec. Z drugiej strony nie zasypia gruszek w popiele również Komintern moskiewski. Prowokacyjny mord w Luboniu pochodzi z tego samego źródła, co nieudany zamach w Świdrach Małych, oraz niedoszły „krwawy Sylwester". Mord ten „agituje" za fołksfrontem niemniej wymownie, jak strajki, zamachy i ludofrontowa kontrola parlamentarna Moskwy, tak uderzająco czynna w życiu wewnętrznym Francji.

Irracjonalizm utartych dróg.

Te niebotyczne przeszkody, jakie się dotąd piętrzą przed akcją podjętą w celu zbliżenia społeczeństwa do autorytatywnej władzy państwowej, do niedawna jeszcze budziłyby najżywszą *Schadenfreude* obojga opozycyj, prawej i lewej. Obecnie tak jest już tylko częściowo, w znacznie uszczuplonym zakresie. Radość z niepowodzeń „sanacyjnego" przeciwnika zamąca już to naturalny fakt, że bity jest również ten odłam opozycji, z którym konsolidacja się nie powiodła. Po wtóre zaś, może nie zgrzeszy nadmiarem optymizmu przypuszczenie, że wymaga się bądź co bądź świado-

mości, jak tragicznie igra z niepodległością kraju niepokonalna dotąd przewaga dekompozycji nad konsolidacją. Kto jej winien, obóz rządzący, czy społeczeństwo?

Należy stwierdzić, że najgłębszy, pierwotny nurt dekompozycji rozdarł już od dawna społeczeństwo przede wszystkim na prawicę i lewicę. Gdy przeto *régime*, uprzednio przez marszałka Piłsudskiego postawiony *jenseits von rechts und links*, po jego zgonie uznał konieczność zbliżenia do społeczeństwa, to natychmiast, automatycznie wynurzyła się przeszkoda w postaci pytania: do jakiego to społeczeństwa polskiego pragnie się zbliżyć niezawisła polska władza państwowa, do prawego czy do lewego?

Próby dotąd przedsiębrane pytania tego nie zdołały rozwiązać przede wszystkim dlatego, że pierwszym następstwem usiłowanego kontaktu między rządzącymi a rządzonymi było zakażenie pierwszych przez chroniczne rozdarcie drugich. Dekompozycja społeczeństwa osiągnęła przewagę nad spoistością *régime'u*, rozdzierając go „na obraz i podobieństwo" własne. Odtąd zachwiała się jednolitość woli rządzącej w państwie polskim, która jest najistotniejszą wartością ustrojów autorytatywnych. Odtąd problemat konsolidacji przerzucony został na ten sam grunt, na którym się znajduje w demokracjach parlamentarnych.

W perspektywie ewolucyjnej, według wszelkich dotychczasowych doświadczeń, problemat ten może znaleźć rozwiązanie tylko mechaniczne według trojakiego wzoru. Wzór pierwszy wchodzi w życie wówczas, gdy dany kraj osiąga tak wysoki stopień materialnego rozkwitu, że do minimum redukuje antagonizmy społeczne w powszechnym dobrobycie i cały ogół jednoczy w zgodnym uwielbieniu ustroju, który te *prosperity* zrealizował, a więc demokracji wolności i postępu. Pośród wielkich mocarstw do tej kategorii należą jedynie oba kraje anglosaskie. One osiągnęły konsolidację przy kapitalizmie, liberalizmie i parlamentaryzmie.

Wzór drugi występuje na widownię w wypadku odwrotnym. Jeżeli dany kraj, przy demokracji parlamentarnej i kapitalizmie, z przyczyn wewnętrznych lub zewnętrznych,

popada w stan najwyższego zagrożenia gospodarczego, a w konsekwencji nieraz i politycznego, wtedy antagonizmy społeczne rozżarzają się w nim do białości i wyładowują się w wybuchu. Odtąd wzór drugi rozszczepia się na dwie odeń pochodne wersje rozwiązań, pozytywną lub negatywną, jednoczącą lub rozsadzającą. Jeżeli wybuch łatwo i szybko doprowadzi do zwycięstwa jednej ze stron, wówczas ujarzmia ona przeciwnika, a zamiast konsolidacji w demokracji, likwiduje demokrację na rzecz ustroju totalnie prawicowego, albo totalnie lewicowego. Jeżeli zaś wybuch nastąpi lecz nie zdoła szybko dokonać przewrotu na korzyść jednej ze stron, wtedy wynurza się rozwiązanie trzecie, ujemne, grożące zniszczeniem państwa. Przykładów rozwiązań przewrotowych, likwidujących ustroje wolnościowe na rzecz totalnych, dostarczyły jak wiadomo oba faszyzmy i komunizm. Rozwiązanie zaś przewrotowe ujemne nie nastąpiło dotąd jeszcze nigdzie, ale blisko niego przechodzi Hiszpania, a ciężką chmurą zawisło ono nad Francją. Nie ulega wątpliwości, iż ze względu na wyjątkowo eksponowaną pozycję geopolityczną kraju, *taki kryzys i takie rozwiązanie kryzysu niosłoby Polsce gwarantowaną zagładę.*

Toteż akcja konsolidacyjna prowadzona na naszym gruncie stara się osiągnąć swój cel nie przewrotem, lecz metodą swoistą, bezprzykładną i pozbawioną jakichkolwiek, i gdziekolwiek precedensów. Dąży mianowicie do skonsolidowania z władzą autorytatywną społeczeństwa demokratycznie rozdartego wielopartyjnością, bez jego uprzedniej totalizacji. Usiłuje przesadzić jakimś przedziwnym, niespotykanym, akrobatycznym skokiem sprzeczność, jaka zachodzi w samym założeniu pomiędzy zjawiskiem władzy autorytatywnej a wielopartyjną istotą demokracji. Co więcej, zmierza wprawdzie do pewnego monoideizmu, który by miał skupić społeczeństwo wokół rządzącego autorytetu, ale monoideizm ten próbuje wyprowadzić z gospodarki kapitalistycznej i pojęć liberalnych. Wreszcie, mając przed oczyma jedyny przykład względnej konsolidacji w ustroju wolnościowym, jaką mocarstwa anglosaskie osiągnęły dzięki temu, iż przodują światu bogactwem, Polska wkracza na szlak pokrewny, z rekordowego zacofania oraz nędzy mas ludzkich, tak wyjąt-

kowej, że jej wpływ jątrzący groźniejszy jest niż gdziekolwiek indziej.

W tych warunkach myśl skonsolidowania społeczeństwa wokół programu utartych dróg i klasycznych środków gospodarczego liberalizmu wydaje się zuchwalej irracjonalną i bardziej beznadziejną, jaka kiedykolwiek powstała w mózgach rządzących państwami. Skuteczność zapewnić by jej mógł jedynie ten najnieprawdopodobniejszy z cudów, jakim by był żywiołowy rozkwit światowej gospodarki kapitalistycznej, pomimo wielkich powojennych bankructw i wbrew tragediom politycznym, raz wraz grożącym pożogą wojenną. Powodzenie akcji konsolidacyjnej rozwijanej na takim gruncie pozostaje w ścisłej zależności i może być tylko proporcjonalne do równoległych osiągnięć w dziedzinie gospodarczej. Może następować tylko wślad za nimi. Jeżeli gospodarczo „odbijamy od dna", pozostając jednak nadal głęboko pod wodą najnieodzowniejszego minimum egzystencji materialnej ludu, a nawet politycznej egzystencji państwa, to wynik „konsolidacji" na tej drodze może być tylko równowartościowy, a więc prawie żaden.

Odpowiedzialność za ten stan rzeczy, oraz niebezpieczeństwo jego skutków obciąża jednak bynajmniej nie tylko obóz rządzący. Upór z jakim trzyma się on utartych dróg kapitalizmu i złudna nadzieja, że one go mogą szczęśliwie przeprowadzić przez przełom dziejowy, który właśnie likwiduje kapitalizm, ma swój równowartościowy odpowiednik w postawie i mentalności inteligenckiej części społeczeństwa, dotąd po uszy pogrążonej w szablonach pojęć i nałogach namiętności zrodzonych z liberalizmu. One rozdzierają społeczeństwo na sztuki i dopóki to rozdarcie trwać będzie, dopóty pogoń za konsolidacją nie może dawać wyników innych niż gwałtowny ruch w błędnym kole.

Skąd są rodem te siły i prądy, których nieustanna walka stanowi zasadniczą treść demokracji? W bogatych kapitalistycznych społeczeństwach zachodnich na pierwsze miejsce pośród tych sił wybija się walka klas o podział dochodu społecznego, łagodzona jednak skutecznie przez *prosperity*. W Europie, gdzie stłoczone narody cisną się na swych zbyt szczupłych terytoriach a dobrobyt szwankuje

nieraz bardzo mocno, nie tylko walka klas jest ostrzejsza, lecz dołącza się do niej walka ras, względnie narodów o przestrzeń do życia. Te dwa prądy z kolei wchodzą w zatarg między sobą wewnątrz społeczeństw, tak iż socjalizm zwalcza nie tylko burżuazję, lecz i nacjonalizm, a nacjonalizm nie tylko narody współzawodniczące lecz i socjalizm.

Te siły ścierają się między sobą przede wszystkim w dziedzinie materialnej, o dobra, ziemię lub władzę. Sekundują im psychologie oraz światopoglądy czyli tzw. idee. Obok narodu i klasy oraz ich niezaspokojonych lub naruszonych potrzeb materialnych, występują szyki bojowe uczuć i pojęć: większe lub mniejsze przywiązanie do narodu lub do klasy, do wolności lub władzy, wiara w Boga lub w materię i rozum; każda z tych sił walczy o wartości pozytywne, bo takimi są zarówno dobro narodu, jak dobrobyt ludu, jak wolność, władza, wiara i wiedza. Ale w zmaterializowanej przez kapitalizm i rozkiełznanej przez liberalizm atmosferze duchowej, pod wpływem obłędnych doktryn i bezlitosnych ucisków idee narodowości, sprawiedliwości, wolności, autorytetu zdziczały sfanatyzowane jednostronnie, szczerząc kły wzajem na siebie.

Rada Państwa.

Dla Polski jest ten stan groźniejszy niż dla jakiegokolwiek innego narodu, bo ją los rzucił w taki punkt Europy, przez który przejść musi stalowa oś obrotowa dziejowego przełomu; albo też rozewrzeć się tu muszą szerokie bierne wrota dla żywiołowych fal z zewnątrz napływającego *Drang nach Osten.*

Stalowa oś obrotowa nie może się zużywać w wewnętrznych tarciach, ani opierać na lotnym piasku złudzeń. Złudzeniem zaś jest wiara w powolną od podstaw budowę kapitalizmu, kapitalizmu polskiego, gdy kapitalizm światowy się rozkłada. Złudzeniem jest, że na tej budowie uda się oprzeć byt materialny polskiego ludu i dookoła niej zjednoczyć rozdarte społeczeństwo polskie. Złudzeniem jest także wiara, że to zjednoczenie, zwarcie, ten ograniczony stop zatomizowanych żywych sił narodu w stalowy walec osi obrotowej

dziejów, da się dokonać przez wybuch totalizmu prawego czy lewego — nie rozsadzając i nie burząc państwa. Ten cud jedności, wyłącznie zdolny ocalić lud od starej nędzy a kraj od nowego jarzma, może się stać tylko na tej jedynej drodze, na którą nas rzeczywistość spycha coraz ciaśniejszym splotem coraz silniejszych ciśnień. Może się stać tylko na nowej płaszczyźnie, powyżej wszystkich dotychczasowych idei i programów, na zewnątrz rozpowszechnionych pojęć, namiętności i dążeń.

Któż by mógł tam Polskę wprowadzić? W pierwszym rzędzie jest do tego powołana autorytatywna władza państwowa, ale pierwszym warunkiem wprowadzenia przez nią narodu na tę drogę musiałby się stać program dynamizacji gospodarczej stosujący środki na miarę potrzeb, nie zaś kurczący życie na miarę środków. Gdy jednak na to się nie zanosi, gdy rządzące centrum obozu legionowego woli unikać eksperymentów twórczych, bez których życie się dusi, gdy za bezpieczniejsze uważa stosować szablon do przełomu, gdy się za wiatrem konsolidacji ugania w polu kapitalizmu, chwytając daremnie to prawą to lewą połę rozdartego demokratycznie społeczeństwa — dobrze przynajmniej, że pewien wzrost zrozumienia sytuacji zaznaczył się w parlamencie.

Tegoroczna sesja budżetowa miała wagę wyjątkową, a wynik wprawdzie niematerialny, lecz niezwykły i zdolny zapoczątkować dzieło twórcze. W centrum publicznego zainteresowania postawiła nareszcie sprawę, którą dotąd zarówno rząd jak partie traktowały podrzędnie wobec zainteresowań subiektywnych i pod kątem lekkomyślnego „jakości-będztwa". Jest to sprawa zdystansowania Polski w rozwoju gospodarczym przez jej własne życie i przez ościennych współzawodników, oraz zupełnie niewspółmierne do ogromu wynikających stąd zadań skali poczynań polskiej polityki gospodarczej.

Jest to kapitalna sprawa na czas najbliższy, zawierająca w sobie kwestię polskiej niepodległości. Jako taka jest dziś jedynie najważniejszą i jedynie nadaje się, a raczej imperatywnie narzuca, jako

centralny punkt wszystkich dążeń i wysiłków całego społeczeństwa i obozu rządzącego. Punkt, który nie może dzielić lecz musi jednoczyć. Jest to w dotychczasowej polskiej polityce wewnętrznej faktyczne, niebywałe *novum,* które pod karą śmierci politycznej narodu domaga się pierwszeństwa ponad wszystkimi zagadnieniami poszczególnymi. Z nich każde zostało zmonopolizowane przez jakąś partię, stając się dla niej bożyszczem i armatą przeciwko rywalom. Te zagadnienia poszczególne mogą być nie tylko subiektywnie lecz i obiektywnie ważne. Wszak na tym tle każda z partyj stara się je demagogicznie podbijać w cenie na rynku opinii. „Konsolidacja" przy liberalizmie dla sanacji, „spolszczenie handlu" dla endecji, „reforma" rolna i obalenie sanacji dla ludowców, sześcio przymiotnikowa ordynacja „zdobycze socjalne", potęga mas i kult wolności dla socjalistów, szkoła bezwyznaniowa dla Z. N. P., oto postulaty, które wysuwały się dotąd na pierwszy plan zainteresowań poszczególnych odłamów społeczeństwa, odrzucając je wzajemnie od siebie jakby w zderzeniach kul bilardowych. Jakkolwiek najważniejszymi dla każdego z tych odłamów mogłyby się wydawać te zagadnienia, to jednak ani jedno z nich, ani w części nawet nie jest tak powszechne, tak naglące i rozstrzygające o narodowym bycie lub niebycie, jak wielki narodowy szturm na bezwład gospodarczy. Wobec niego wszystko musi ustąpić na drugi plan, wszystko musi być odłożone, a wszystkie siły i dążenia dotąd rozbieżne, skoncentrowane być muszą dla wdarcia się na tę nową płaszczyznę walki o byt narodowy, na którą demokracja wielopartyjna wedrzeć się zasadniczo jest niezdolna; a na którą wedrzeć się nie chce i nie umie również obóz, który dziś autorytatywnie Polską rządzi.

Sejm i senat podczas ostatniej dyskusji budżetowej płaszczyzny tej wprawdzie nie wskazały, ale podniosły skuteczny alarm z powodu stanu rzeczy, który do wejścia na nią zmusza. To nie dość, ale na tle wszechwładnej dotąd „dekompozycji" i dezorientacji, to już dobry, budzący nadzieję początek. Sejm i senat już przez to samo dobrze się zasłużyły niechętnemu dla nich na ogół

krajowi, jednak dokonały jeszcze i czegoś więcej. Stając się ogniskiem zwrotu świadomości publicznej od zagadnień poszczególnych i różniących ku zagadnieniu najważniejszemu, najpowszechniejszemu i jednoczącemu, obecne izby korporacyjne poważnie zadebiutowały w układzie sił narodowych jako reprezentacja środowiska, które je obrało. Partie rozdzierające społeczeństwo poszczególnymi zagadnieniami i namiętnościami z lekceważącą niechęcią traktowały ten „sławkowski" parlament, utrzymując, że nic go nie wiąże ze społeczeństwem, gdyż nad nimi panują tylko „prądy ideowe".

Chciałoby się na to odpowiedzieć: *tant pis pour la societé.* Parlament sławkowski istotnie nie jest przedstawicielem ogółu, a już namniej tych rozbieżnych interesów, namiętności i doktryn, które rwą społeczeństwo na sztuki i ubezwładniają je politycznie. Ale ten parlament reprezentuje jednak pewien odłam społeczeństwa, dotąd politycznie mało czynny na polu samorządowym, gospodarczym, oświatowym, kulturalnym. To jest środowisko naszych korporacyj zawodowych i społecznych, słabo jeszcze rozwinięte, nie przepychało się na pierwszy plan życia publicznego, póki nie zostało do tego powołane przez nową konstytucję i ordynację. To właśnie środowisko w tej swojej parlamentarnej reprezentacji zdało teraz egzamin wstępny ze swych uzdolnień do pracy państwowo-twórczej w warunkach rzeczowo nad wyraz trudnych, metodą silnie odbiegającą od demagogicznego szablonu.

Sądzę, że to oznacza pewien krok naprzód w rozwoju społecznym i ewolucji ustrojowej Polski. Odtąd zerwany został monopol subiektywizmu partyjnych punktów widzenia wobec spraw najwyższej narodowo-partyjnej racji stanu. Na czoło wysunął się moment obiektywny, rzeczowy. W zespole zaś sił, które obecnie są czynne w społeczeństwie polskim zajął miejsce obok starych partyj, czynnik nowy, korporacyjny, więcej zrównoważony. Z przyszłej ordynacji wyborczej nie da się on już wyłączyć na rzecz jednostronnej reakcji powszechnego głosowania. Może zaś stać się jądrem współzawodnictwa z partiami, z którego rozwinie się, oby jak najprędzej,

korporacjonizm ustrojowy, zdolny wielopartyjnej demokracji położyć kres, bardziej twórczy niż totalizmy.

Z tego „prowizorycznie korporacyjnego" parlamentu wyszły tedy pewne objawy, które zdają się zwiastować początek głębszej przebudowy tak społecznego jak politycznego ustroju Polski; przy równoległej ewolucji psychiki oraz stanów świadomości publicznej. Ekscentryczne w stosunku do partyj, są one symetryczne w stosunku do tych wywrotowych ruchów mas, które przenikają obecnie nasze życie społeczne. Choć niezupełnie niezależne od partyj, powstają te ruchy jednak pod wpływem bodźców rzeczowych, bardzo potężnych, organicznie wyrosłych z rzeczywistości, bynajmniej nie wyagitowanych przez doktryny. To zdobywanie miast przez wieś, uniwersytetów przez młodzież, związków zawodowych przez „paragrafy aryjskie", to emigracja kupców z Wielkopolski, to postawa chłopów w Małopolsce. Z doktrynami oraz organizacją partyjną ruchy te wprawdzie się kojarzą, ale bardziej kierują nimi niźli są kierowane. Inteligencja partyjna zabiega koło nich, podsyca demagogię, stara się zaprząc i uzyskać na korzyść swoich grupek i „prądów ideowych". Ale nie prowadzi ich, lecz raczej jest przez nie popychana. Podobnie zresztą jak „akcja konsolidacyjna" z kolei zabiega koło „prądów", by je skanalizować w swoje łożysko, oraz koło przywódców, by się na to zgodzili. Polska rzeczywistość wyłamuje się żywiołowo ze zbyt ciasnych ram ustrojowych, w których dłużej wytrzymać nie może. Budzi się do życia nowy świat i szuka nowych dróg i form.

Naprzeciw tej dążności emancypacyjnej od społecznego dołu wyruszył również „parlament korporacyjny" z inicjatywą budowy nowych form od góry państwowej. Wspomniałem na początku o wnioskach gen. Żeligowskiego i senatora Dzieduszyckiego. Pierwszy z tych wniosków nie dotyczy wcale ordynacji wyborczej, drugi dotyczy jej częściowo, obok nich zaś specjalnie ordynacją wyborczą zajmuje się poseł Duch. Jest to poszukiwanie wyjść z impasu, ale jeszcze w niepewności co do właściwego kierunku. Kierunek ordynacyjny pozornie wysuwa się na pierwszy plan, ale największe piętrzy trudności, bo działa na powierzchni zjawisk. Tu właśnie impas najszczel-

niej jest zamknięty. Problemat ordynacyjny może być pomyślnie rozwiązany tylko jako fragment przebudowy ustrojowej o wiele głębszej i według wskazanych przez nie zasad. To samo zresztą dotyczy i konsolidacji, z którą się on dość ściśle wiąże.

Ku tej przebudowie głębszej, od strony ustroju państwa i układu sił społecznych, zbliżają się wnioski poza ordynacyjne senatora Dzieduszyckiego i gen. Żeligowskiego. Pierwszy domaga się *treuga Dei* między partiami, społeczeństwem i rządem, dobrowolnego ich poddania się pod arbitraż obranej instancji (komisji senacko-sejmowej), oraz powołania rady programowo-ekonomicznej przy ministrze skarbu. Zauważmy nawiasowo, że ta ostatnia myśl wyraźnie się kojarzy z pewną nieufnością do zasięgu, tempa — a zapewne i metod obecnej polityki gospodarczej.

Inicjatywa gen. Żeligowskiego w sprawie rady przybocznej przy Głowie Państwa sięga dalej od innych. Na pozór i na tle stosunków dotychczasowych brzmi ona niemal groteskowo. Miałoby się wszak „sprowadzić do kupy" najsilniejsze indywidualności polityczne oraz szefów instytucyj i przywódców, czyli, zindywidualizowaną elitę wszystkich tych sił społecznych, które zwalczają się najzajadlej w łonie polskiej demokracji. Wydaje się więcej niż prawdopodobnym, że gdyby np. Dmowski wdał się w rozmowę z Niedziałkowskim, Witos ze Sławkiem, Księża Kardynałowie z wysoką protektorką Z. N. P. na dowolne, a bliżej ich interesujące tematy, to mogłoby to jedynie narazić na szwank powagę tych osobistości stwierdzeniem, iż w dotychczasowej płaszczyźnie o żadnym między nimi porozumieniu nie może być mowy.

Ale ten projekt nadaje się do rozwagi także w odmiennej perspektywie. Gdyby owa rada przyboczna, względnie rada ekonomiczna lub Rada Państwa wchłonąwszy duumwirat szczytowy, powołana została do ustalenia jednolitej woli rządzącej w stosunku do zadań ściśle określonych, najwyższej dla narodowego bytu wagi, a wymagających heroicznej decyzji, to samo zadanie przesunęłoby jej działalność w nową, wyższą od dotychczasowej, a jednolitą płaszczyznę. W jej

obrębie mogłaby ona działać niemniej skutecznie od wielkiej rady faszystowskiej we Włoszech, lub tajnej rady królewskiej angielskiej, dopóki parlamentaryzm nie uczyni jej przeżytkiem. Warunkiem tedy *sine qua non* celowości tej nowej instytucji musiałby się stać nowy program polityki państwowej przystosowany do nowych potrzeb i równie odległych od liberalnych szablonów jak poszczególnych dążeń partyjnych. Wtedy mogłaby także rada dostarczyć punktu wyjścia zarówno konsolidacji jak przebudowie ustroju — od góry. Stopniowo wypadłoby rozszerzać tę przebudowę na rząd, parlament, społeczeństwo, gospodarstwo. Nie według mniej lub więcej demokratycznej ordynacji wyborczej dającej ilościowy tylko wymiar czynnych w społeczeństwie sił, lecz według ich, także jakościowej wagi realnej, przypadłby tym siłom proporcjonalny udział we władzy: to znaczy przede wszystkim w pełnieniu nowych olbrzymich zadań, jakie przed nią stają. Powstałby tą drogą ustrój stanowy od liberalizmu wiele sztywniejszy, organicznie pod kątem celowości zwarty.

Ta przebudowa „wisi w powietrzu", narzuca się coraz gwałtowniej od góry do dołu, pod coraz silniejszym naciskiem od wewnątrz i zewnątrz. Nowa, ciężka rzeczywistość, stawia nowe heroiczne zadania, których nie sposób rozwiązać inaczej, jak w nowej postawie duchownej i nowym ustroju. Wielkim głosem woła ta rzeczywistość na Polskę, by się wynurzyła z dziejowej poczekalni na dziejową widownię, by się wyzwoliła czynem wielkim a celowym, zamiast podciągać łachmany swej nędzy, grzęznąć w demokratycznej dekompozycji lub rzucać się głową na dół w prawy czy lewy totalizm.

St. Szczutowski.

Przegląd piśmiennictwa.

Stefania Zahorska: Korzenie (wyd. Gebethner). — Wanda Miłaszewska: Święty wiąz (wyd. św. Wojciecha). — Agnieszka Osiecka: Krzyż na piaskach (wyd. Biblioteka Polska). — Piotr Choynowski: Opowiadania szlacheckie (wyd. Gebethnera). — Jerzy Marlicz: Dzicy ludzie (wyd. św. Wojciecha). — Madelon Lulofs: Guma, guma... tłumaczenie Henryka Leśniewskiego (wyd. Książnica Atlas). — M. Rudnicki: Żydzi (wyd. św. Wojciecha). — R. L. Stevenson: Wyspa skarbów, tł. Józefa Birkenmajera (wyd. R. Wegner Poznań). — J. Surynowa-Wyczółkowska: Egoizm we dwoje (wyd. św. Wojciecha). — Basil Carey: Niebezpieczne wyspy, tłumaczenie Krystyny Jurskiej (wyd. Michalak i Ska.).

Korzenie, tytuł powieści Stefanii Zahorskiej to nazwa majątku, ale zarazem także tytuł symboliczny. Autorka chce nam bowiem ukazać w swej pracy korzenie polskiego życia, polskiej psychiki, w chwili wybuchu wojny. Chce nam ukazać w jakim stanie zaskoczyła nas wojna, z jakim materiałem weszliśmy w strzeleckie rowy, a potem w niepodległość. W tym celu ukazuje nam jakby cztery oblicza tego życia, cztery jego ośrodki, cztery wycinki.

Część pierwsza „Wieś", to życie w polskim dworze, w byłej Kongresówce. Obraz jak wszelkie obrazy z życia polskiego dworu w dzisiejszej literaturze niezbyt ponętny. Właściciel *Korzeni,* pan Ksawery, w chwili gdy go poznajemy zajmuje się głównie romansowaniem z folwarcznymi dziewczętami, majątek zaprzepaszcza, tyranizuje rodzinę, w wolnych chwilach zajmuje się czytaniem Niemojewskiego i smętnym filozofowaniem. Jego żona, Maria, zajęta snobistycznymi rozważaniami o świetności swego rodu, który za o wiele świetniejszy od rodu męża uważa, ma być właściwie ofiarą i reprezentować pierwiastek szlachetny i idealistyczny. W rzeczywistości jest nieznośną histeryczką, która właściwie swoimi fiksami i kaprysami odepchnęła od siebie kochającego ją początkowo męża. Ze swoimi kaprysami, pamiątkami, głupim snobizmem jest właściwie jeszcze mniej sympatyczna od Ksawerego, który może mógłby się był inaczej pokierować. Jedyną sympa-

tyczną postacią w tym życiowym i moralnym bagnie, jest siostra Ksawerego, bezdzietna pani Zuzanna Mortęska, kobieta energiczna, rozumna, pracowita, dobra. Przez jej drugoplanową postać ukazuje autorka czym może, czym powinna być praca ziemianina na roli, jego do ziemi stosunek. Jedzie sobie pani Mortęska linijką w pole i rozmyśla o opłacalności swojej krochmalni: nie, nie opłaca się tak bardzo ale „co się tu kto będzie wtrącał z tym głupim opłaca się albo nie opłaca? Cmoknęła na rysaka... Przewiał wiatr i Zuzia poczuła szeroką, szumiącą przestrzeń. Ot co się opłaca — życie się opłaca. Opłaca się ta duma, że z opuszczonego kawałka ziemi zrobił się kwitnący majątek, że to ona zrobiła, nikt inny tylko ona... ona stała pośrodku tego cudu i przekręcała kontakty, z jej ręki płynęło światło na ten kawałek ziemi. Między niebem w którym mieszkał Bóg, a ziemią którą orano i obsiewano, istniał jakiś zawiły rachunek, niekiedy człowieku nie uchwycisz racji i nie wiesz, czy ci dobrze zapłacono za twój trud, za twoje troski, za twoją pracę. A jednak rachunek jest sprawiedliwy. Zuzia czuła doskonale ten głębszy, mądrzejszy rachunek, nie zawsze zapłata następuje w ziarnie, mleku, w krochmalu, czy pieniądzach, nieraz wypłacają ci czymś, czego nawet nazwać nie potrafisz, ot jedziesz sobie skromną linijką po swojej ziemi, po swoich polach, po swoim lesie i czujesz, że jest sprawiedliwość, że jest dobrze...“ ...„Między tym ludzkim rozumem, który pilnuje swego kawałka, ludzkim sercem, które miłością otacza swoją ziemię, a Boskim rozumem, który każe rość drzewom i dojrzewać plonom, rozwijać się fabryce, istnieje ścisły związek, istnieje Boska, głęboka mądrość. Zuzia uśmiechnęła się czując, że mocno i dobrze jest włączona w rachunek sprawiedliwości, spojrzała na lotne chmury na niebie i pomyślała, że to już niedługo będzie ciepła, dobra wiosna.“ — Pozwoliłam sobie zacytować ten przydługi ustęp, gdyż jest to jeden z bardzo rzadkich we współczesnej literaturze ustęp, w tak prawdziwy i piękny sposób określający stosunek człowieka do ziemi. Ale choć tak trafnie i głęboko widzi p. Zahorska węzeł łączący człowieka z ziemią, nie na takim stosunku kładzie nacisk. Ukazuje go tylko przelotnie, wyświetlając raczej, tylko tępotę, egoizm, głupotę i deprawację życia ziemiańskiego. Trzeba przyznać że ta część pierwsza, „Wieś“, jest najżywszą częścią powieści, jest najbardziej w dobrym tego słowa znaczeniu „powieściowa“. — W części II „Jan i Anna“, mamy historię romansu między synem Ksawerego, Janem, a piękną żydówką Anną Weber. Główny nacisk kładzie tu autorka na psychologiczny kontrast między Janem, młodzieńcem postępowym, ale tkwiącym jakżeż głęboko, korzeniami w *Korzeniach* i ich tradycji, a wyzbytą z przesądów, pełną wewnętrznego niepokoju, zajętą autoanalizą żydówką Anną. Dwoje zakochanych dzieli wszystko nie tylko pojęcia społeczne, polityczne, etyczne, ale nawet sposób czytania Słowackiego! Kontrast między tymi

dwoma umysłowościami jest przeprowadzony niezwykle głęboko i wnikliwie, jest jednym z najlepszych studiów o różnicy mentalności aryjskiej i semickiej. — W części III wprowadza nas autorka do rodziny Anny, w egzotyczny świat żydowski. Ojciec Anny, Leon, jest żydem postępowym, odrzuca talmud i żydowskie wierzenia, chce być i jest Polakiem, demokratą. Ale bankrutuje na całej linii: odepchnięty przez swoich, nie przyjęty przez Polaków umiera z rozpaczy, dowiadując się, że jego córka chce „wyjść za hrabiego", chociaż całe życie uczył ją, że jest tylko jedna krzywda i jedna sprawiedliwość i że nie ma między ludźmi różnic! Gdy Anna chce wyciągnąć praktyczne wnioski z tych nauk, ogarnia go przerażenie. „Ty głupia..." mówi jej przekreślając tym słowem cały wysiłek, trud i dążenia swego życia. — Najmniej pogłębionym, najbardziej pobieżnym jest obraz czwarty „Hej strzelcy wraz". Ukazuje nam strzelców w wilię wymarszu z Oleandrów, ukazuje zarysowujące się różnice polityczne i społeczne w szeregach tworzącej się armii. Jest to już tylko szkic, kilka obrazków z ulic Krakowa i od Michalika.

Rzadko która książka ma w tak wysokim stopniu jak ta „błędy swoich zalet". Gdyby chcieć ją określić jednym słowem, trzeba by powiedzieć, że jest to przede wszystkim książka inteligentna. Jest to dla książki zaletą niewątpliwą. Ale prawie można by powiedzieć, że z tej ogromnej zalety wypływają i pewne braki: trochę przeintelektualizowania, jakby poświęcenie człowieka dla idei i problemów, jakby przewaga strony dysertacyjnej nad artystyczną. Stąd też może wypływa jakby pewien brak proporcji, a raczej brak harmonii, między abstraktem myśli a przez powieść wymaganym konkretem życia. I ma się wrażenie, że autorka jakby się ratowała przez bardzo grubą tej książki zmysłowość. Rozsiewa ją wszędzie, potrzebnie i niepotrzebnie. Często nie jest nawet ten jaskrawy erotyzm artystycznie i psychologicznie umotywowany, robi raczej wrażenie jakiegoś udokumentowania przed sobą i czytelnikiem realnego stosunku do życia i człowieka, gdy ten stosunek zaczyna się poprzez teoretyczne dysertacje oddalać. Z bardzo wnikliwego i mądrego spojrzenia w życie wyprowadzić by też można i inne błędy *Korzeni*, braki w perspektywie i budowie. Kwestia żydowska, kwestia przeciwstawiania psychiki polskiej i żydowskiej jest w niej ujęta, jak mówiłam, niezwykle inteligentnie i głęboko, ale w stosunku do widocznych zamierzeń autorki, do dania przekroju całokształtu polskiego życia, zajmuje zbyt wiele miejsca i właściwie chłonie i wyczerpuje wszystkie inne kwestie. A choć ta kwestia jest ważna i ciekawa nie prymuje jednak w tym stopniu wszelkich zagadnień, nie wystarcza do stworzenia „rodowodu teraźniejszości" jak Emil Breiter o celach *Korzeni* trafnie się wyraża. W tym rodowodzie brak jeszcze wielu pozycji. Kwestia żydowska wyrosła tu ponad słuszne proporcje. I znowu tutaj, w przedziwny jakiś sposób zaplatają się

wady z zaletami: autorka z jednej strony nie objęła dostatecznie całości zagadnień, z drugiej objęła ich jakby za wiele: a właściwie ma się wrażenie że obejmowała ich coraz więcej w toku roboty. Stąd pewna fragmentaryczność powieści, a raczej jakby zaczęcie i niewykończenie jej wątków. Poszczególne części, to jakby potężne filary, na których ma się oprzeć jakiś wielki gmach, ale dotąd widać tylko filary, nie widać między nimi wiązań. Czytelnik na darmo oczekuje podczas tej ciągłej, doskonałej zresztą ekspozycji, momentu kulminacyjnego, dramatycznego spięcia, a spięcie to nie przychodzi, nie zbiegają się w jedno różne tory, różne wątki książki. Na końcu dowiadujemy się, że *Korzenie* to pierwsza część z cyklu powieści „Ziemia Kaliksta". Może w dalszym ciągu i zakończeniu tego cyklu odnajdziemy te tak brakujące tu architrawy i łuki, może tam znajdziemy syntetyczne zamknięcie tu tak ciekawie i inteligentnie otwartych problemów.

Wanda Miłaszewska jest autorką bardzo poczytną i lubianą w tzw. szerokich kołach naszego społeczeństwa. Że ta sympatia publiczności jest uzasadniona, dowodzi raz więcej jej ostatnia powieść *Święty wiąz*. Ma ona w sobie wszystkie zalety miłego pióra Miłaszewskiej: ładny język, staranną formę, dużą świeżość, głęboki sentyment, doskonałe wyczucie przyrody. Oczywiście, można by wynaleźć i braki, w tej powieści przede wszystkim jakby pewne nasuwające się reminiscencje literackie. Co chwilę mamy wrażenie, że odzywające się tu motywy, są nam już znane, przypominają się nazwiska Rodziewiczównej, Weyssenhoffa, czasami zalatuje Soplicowem! Ale na pewno nie ja będę robić p. Miłaszewskiej zarzuty z tego powodu. Uważam, że silenie się na oryginalność, pogoń za nią, unikanie za wszelką, nieraz zbyt wysoką cenę, tego co nazywają krytycy „banalnością", to jedna z klęsk naszej literatury. To wyprowadza ją często na manowce, a odwodzi od prawdziwej oryginalności: prostoty. Bo zupełnie słusznie powiedział Norwid, że prawdziwa oryginalność, to wierność względem własnej wizji artystycznej. Zresztą, całe tomy o różnych „wpływologiach" świadczą, że nawet najwięksi mistrze pióra nie umieli wyzwolić się od cudzych wpływów, nie umieli odrzucić okularów cudzej sztuki, poprzez które kiedyś, w otaczający świat spoglądali. Nie widzę więc nic karygodnego w tym, że i w spojrzenie Wandy Miłaszewskiej weszło coś ze spojrzeń czytanych przez nią autorów, że jej wrażliwość i uczuciowość, na ich wrażliwości i uczuciowości się kształciła. Przeciwnie: cenię w niej to, że względem tej swojej, już mniejsza z tym na czym kształconej wrażliwości, jest szczera. I cenię to, że jest prosta. Prosta w zasadzie, choć dość kunsztowna w formie jest fabuła *Świętego wiązu*. Miłość dwojga młodych, na tle dawnej, analogicznej, a jednak innej miłości pokolenia poprzedniego, życie współ-

czesne, życie na zapadłej wsi polskiej na tle tradycji kilkowiecznej, na tle żywej dotąd legendy i baśni, taka jest powieściowa kanwa tej zajmującej książki. Bo bardzo interesująca jest ta powieść co zawsze jest dla czytelnika tak miłą, choć przez krytyków tak pomiatanną jej zaletą... Szczególnie ujmujący jest szeroko tu rozlany sentyment dla wsi, dla życia i pracy na ziemi. A obraz to bardzo prawdziwy, kreślony nie tylko z miłością, ale także i ze znawstwem. Upoetyzowanie tego życia cieniem jaki nań pada z potężnych konarów świętego drzewa i ze związanych z nim legend, nie umniejsza w niczym doskonałego realizmu i rzeczowości opisów. Piękny i pełen sentymentu jest też pejzaż, ten, jak się zdaje, najbliższy autorce pejzaż jezior północnych, znany nam już ze ślicznej książki *Czarna Hańcza*. Wiele powabu dodają książce prześliczne i wysoce artystyczne jak zawsze ilustracje wedle fotografii Bułhaka.

Powieść polska na ogół dziwnie mało zajmuje się problemem religijnym, jako takim. O kwestie religijne potrąca nieraz ubocznie, raczej zajmując się nimi w związku z kwestiami etycznymi i moralnymi, niż z punktu filozoficznego, z punktu poszukiwania jakiejś prawdy absolutnej i metafizycznej. W czasach ostatnich częściej występuje w powieści problem religijny, ujmowany jako światopogląd, a dzieje się to, co jest rzeczą charakterystyczną i ciekawą, w związku z... kwestią żydowską. W ten właśnie charakterystyczny sposób zazębia się kwestia religijna z kwestią żydowską w ciekawej i oryginalnej powieści Agnieszki Osieckiej *Krzyż na piaskach*. Powieść pisana jest w pierwszej osobie w formie wspomnień osobistych. Bohaterka tego opowiadania młoda utalentowana poetka z powodów, których nam bliżej nie objaśnia, straciła wiarę, zachowując dla niej tylko tak typowo-polskie przywiązanie i szacunek narodowo-tradycyjny. W tym stanie duchowym spotyka znanego poetę, żyda, wprawdzie wychrzczonego, ale nie z przekonania, lecz wyłącznie dla pobudek osobisto-życiowych. Między dwojgiem młodych nawiązuje się miłość gorąca, męcząca, pełna niepokoju i udręczeń. Maryjka (takie jest imię bohaterki) zrywa z całym swym dotychczasowym otoczeniem i wychodzi za mąż za swego poetę. Sama pisać przestaje, jest tylko „piórem" swego męża, który na jej polskości żeruje i poprzez nią stara się zrozumieć rzeczy obce jego żydowskiej mentalności. Ale małżeństwo mimo serdecznej miłości nie jest szczęśliwe. Maryjkę i jej męża dzieli wszystko. Bohaterka zraża się coraz bardziej do obcego jej środowiska i... człowieka. W końcu oburzona jego cynizmem, brakiem wszelkiej już nie tylko etyki ale najelementarniejszej delikatności, ucieka od niego. Mąż-poeta rozumiał, że ten związek trwać nie może. Przed ślubem wyłudził od narzeczonej list, który miał posłużyć do otrzymania w odpowiednim momencie anulacji małżeństwa. Maryjka list ten

napisała całkiem naiwnie nie rozumiejąc do jakich celów ma służyć. Teraz na jego podstawie będą się starać o unieważnienie małżeństwa... W miarę jak Maryjka oddalała się od męża zbliża się z powrotem do religii, przechodzi kompletne nawrócenie. Jak w świetle tego nawrócenia, w świetle katolicyzmu integralnego wygląda opuszczenie męża, zgoda na zrywanie na drodze formalnej, małżeństwa zawartego w dobrej wierze i po katolicku, niech osądzą teologowie! Zresztą sprawa ta potraktowana jest dość mgliście. Nacisk główny kładzie autorka na swoje przeżycia wewnętrzne, a jeszcze bardziej na przeciwstawienie świata polskiego, narodowego, tradycyjnego — mentalności żydowskiej, cynicznej i rozkładowej. Nie tu miejsce na wdawanie się w merytoryczną rozprawę o kwestii żydowskiej, o różnicach semickich i aryjskiej mentalności. Chodzi tu tylko o osądzenie książki. Otóż można powiedzieć jedno: powieść ta ma z konieczności wszystkie słabe strony powieści, które chcą „upowieściować" pewien problem, pewne zagadnienie, a nie po prostu oddać fragment życia w całej jego żywej i skomplikowanej prawdzie. Postać poety-żyda ma wszelkie wady, jakie kiedykolwiek przez okres wieków mogli mieć wszyscy żydzi razem wzięci. Wskutek tego oczywiście jest raczej monstrum, niż żywym człowiekiem, a to dla prawdy i wartości powieści nie jest nigdy korzystne. Powieści o podobnych wadach, powieści symplifikujących problemy i zagadnienia jest bardzo wiele, ale ta od innych wyróżnia się jednak szczęśliwie. Obok pewnych irytujących łatwizn i szablonów, jest w niej jednak „coś", coś niezwykle szczerego, a co ważniejsze jakiś poziom nie pozwalający jej zaliczyć do powieści tendencyjnych i nieprzemyślanych. Jest jakaś nuta wstrząsająca, bardzo głęboka i naprawdę artystyczna. Trochę irytujące jest jej „powieściowe ciało", ale jej duch, duch prawdziwych przeżyć, prawdziwych walk, prawdziwego zmagania się o wielką i ważną prawdę wewnętrzną jest zastanawiający i przykuwający. Mocną stroną tej derutującej książki jest jej głęboka religijna żarliwość i naprawdę przedziwnie piękne opisy wsi. Tak pięknych, tak naprawdę i głęboko poetycznych opisów wsi spotyka się mało.

W bardzo pięknej szacie graficznej, w tomie ozdobionym siedmioma drzeworytami Stefana Mrożewskiego wydał Gebethner *Opowiadania szlacheckie* Piotra Choynowskiego. Na ten piękny tom składa się 6 historycznych nowel, częściowo przedrukowanych, częściowo drukowanych po raz pierwszy i „Pochwała twórczości Piotra Choynowskiego" mowa, którą zwyczajem przejętym z Akademii francuskiej, wygłosił Ferdynand Goetel, gdy zajmował akademicki fotel po przedwcześnie zmarłym pisarzu. — Witold Gombrowicz w inteligentnym artykule o krytykach i czytelnikach (*Kurier Poranny* 1 lutego br.) zauważył trafnie, że są książki, które recenzentowi dostarczają wdzięcznego materiału

do artykułów i takie, które, choć wartościowe, do obszerniejszego studium materiału nie dają. Przypomina mi się to świetne powiedzenie, gdy mam mówić o doskonałej książce Choynowskiego. Bo co właściwie o niej mówić, co w niej komentować, co omawiać lub nad czym dyskutować? Można by, jak to zresztą zrobiło wielu krytyków, wdać się w obszerne dyskusje o „szlachetczyźnie", o tym czy zainteresowania szlacheckie wyczerpują lub nie zainteresowania pisarza, dlaczego stale światem szlacheckim się zajmuje. Ale te dyskusje wydają mi się jałowe. Jest całkiem jasne, że pisarz historyczny musi prawie wyłącznie zajmować się światem szlacheckim, jeśli chce swoje powieści czy nowele opierać, jak to czyni Choynowski, na źródłach, a nie kreślić domyślnych obrazów, bo do odmalowywania innego jak szlacheckiego świata źródeł historycznych jest niewiele. Można by ostatecznie robić jeszcze Choynowskiemu z jego predylekcji do szlachetczyzny zarzut, gdyby w jego dziełach tkwił jakiś moment apoteozy znanych szlacheckich wad. Ale od tego jest Choynowski daleki. Na świat szlachecki patrzy trzeźwo, widzi doskonale i wiernie oddaje jego wady. Oczywiście w tym jasnym, nawet surowym sądzie, nie ma nic z nienawiści czy napastliwości polityka, reformatora, czy polemisty. Ale trudno tych rzeczy żądać od Choynowskiego, który jest przede wszystkim epikiem i artystą. A jako artysta ma z pewnością pewien sentyment do swoich bohaterów. I znowu na pewno nie do ustroju czy reżimu, lecz do tych ludzi żywych, zamaszystych, których z takim mistrzostwem umie jego pióro oddawać. Bez tego momentu jakiejś artystycznej — zaznaczam wyraźnie artystycznej nie politycznej sympatii, nie mógłby Choynowski skreślić takich postaci jak Branicki z „Magnackich swatów" lub jak wojewoda Świdziński z „Wigilii wojewody". Poza tą dłuższą dyskusją nie modne dziś tematy szlacheckiego lub antyszlacheckiego światopoglądu można by jeszcze nowele Choynowskiego streszczać, można by na ich podstawie mówić o obrazach obyczajowych, odmalowanych w nich epok. Ale streszczanie jest w tym wypadku jeszcze mniej wskazane, niż w każdym innym. Odarłoby nikłą nieraz anegdotę z całej barwy życia i ruchu, czyli inaczej mówiąc, z całej wartości i wdzięku. To też zamiast pisać długą rozprawę, może recenzent w tym wypadku zrobić tylko jedno: doradzić, aby każdy tę piękną książkę przeczytał, bo czytania i podziwiania jest warta.

Dzicy ludzie Jerzego Marlicza to „Marlicz z dobrej epoki", „Marlicz w najlepszej formie". Gdy się czyta te ładne i zajmujące nowele z życia murzynów z Kongo, raz jeszcze się widzi, że pełny egzotyzm jest dla tego zdolnego pisarza terenem najodpowiedniejszym, żywiołem właściwym. Wśród tropikalnych upałów, grzmiących burz, wśród podkradających się panter i groźnych węży, wśród prymitywnych a chytrych murzynów obraca się

Marlicz jak wśród rzeczy bliskich i dobrze sobie znanych. Oczywiście nie mam możności sprawdzenia czy opisy te są autentyczne, ale tyle jest w nich sugestywnej prawdy i życia, że nawet co do ich regionalnej i „folklorystycznej" wartości trudno mieć jakieś zastrzeżenie. A już sam fakt przeniesienia się w barwne i od modnej szarzyzny literatury odmienne tło, jest dla czytelnika prawdziwym odpoczynkiem i przyjemnością. Gdy do tej przyjemności tematycznej dołączą się jeszcze, jak w tym wypadku, zalety dobrego pióra, przyjemność jest zupełna. To też z zainteresowaniem i przyjemnością pogrążamy się w historiach o prymitywnych duszach murzynów, o ich beznadziejnej psychice, z wzruszeniem czytamy ładną historię o misjonarzu-bohaterze, z zaciekawieniem przypatrujemy się tym dziwnym obyczajom i wierzeniom. I gdy zamykamy tę ładną książkę myślimy z żalem, że brak kolonii jest nie tylko zacieśnieniem gospodarczych i ekonomicznych możliwości dla nas, ale że jest także zacieśnieniem literackiej tematyki. I bardzo byśmy pragnęli, żeby uzdolniony w tym kierunku Jerzy Marlicz, stał się na tym polu naszym pionierem i zdobywcą kolonii — przynajmniej w literaturze...

Gdy czytamy świeżo przez Henryka Leśniewskiego przetłumaczoną książkę holenderskiej pisarki Madelon Lulofs *Guma, guma...* snujemy dalej marzenia o literackich możliwościach, jakie przed piśmiennictwem danego kraju otwierają kolonie. Że warunki polityczne i ekonomiczne jakiegoś kraju wpływają na jego literaturę, jest rzeczą jasną i samo przez się zrozumiałą. Dawno już czytując powieści angielskie zauważyłam, jakim ułatwieniem dla angielskich pisarzy jest fakt posiadania tak rozległego życia kolonialnego, jakim ułatwieniem jest zamiłowanie Anglików do podróży i tychże łatwość, spowodowana przez wysoki dobrobyt angielski. Gdy bohater angielskiej powieści ma jakąś większą przykrość, gdy potrzebuje sobie uspokoić nerwy, zniknąć na jakiś czas z pola powieściowej akcji, autor najspokojniej i nie naruszając prawdopodobieństwa swego opowiadania, wysyła go w... podróż naokoło świata, lub do kolonii. Tam, w Indiach czy Afryce, ma czas uspokoić nerwy, przeobrazić się wewnętrznie, zapomnieć o nieszczęśliwej miłości, zmyć jakieś ciążące na nim „grawamina". Tam może także zniknąć na zawsze, umrzeć sobie w sposób naturalny, bez wzywania do pomocy rażącego *deus ex machina*. W tych warunkach technika powieściowa jest o wiele łatwiejsza. Łatwiejsza jest także powieściowa tematyka. Nieraz egzotyczność tła działa już sama z siebie, dostarcza wielu wrażeń, często u takiego Conrada wyzwala olbrzymie artystyczne możliwości. Te same warunki muszą się spełniać widocznie i w mniej nam znanej literaturze holenderskiej. Książka *Guma, guma...* nie należy na pewno do jakichś wielkich literackich arcydzieł, do książek rewelacyjnych o świecie, życiu i człowieku. Ale jest to książka

niezmiernie zajmująca, przez sam swój temat. Opisuje żywo, barwnie i zajmująco życie plantatorów gumy na Sumatrze. Ukazuje nam cały olbrzymi, skomplikowany i drapieżny świat kolonialnej eksploatacji, ukazuje trudy życia pod równikiem, jego niebezpieczeństwa fizyczne i psychiczne. Ukazuje jak rozkładowo i deprawująco działa tropikalny klimat na białego człowieka, jak deprawująco działają na niego łatwo zarabiane pieniądze, jak w tym zdradliwym klimacie zatraca biały człowiek wrodzoną mu chęć oszczędzania, dorabiania się, jak wyrzuca, z narażeniem życia zdobywany grosz; ukazuje jak ten przesadny klimat wyzwala i wyjaskrawia w człowieku jego właściwości: lekkomyślność w czasie prosperity, depresję i przygnębienie w okresach złej koniunktury, jak zaostrza walkę o byt, nieprzebieranie w środkach walki. Holenderska autorka umie przed nami wskrzesić to życie w sposób barwny i przekonywujący, umie z dużą sugestywnością kreślić tropikalny pejzaż, opisywać tropikalny klimat. Z kart jej książki wieje po prostu gniotąca duszność podzwrotnikowej wilgoci, obezwładniającego upału, wieje jakaś beznadziejność kraju palonego zamglonym słońcem, ociekającego strugami tropikalnych potopów. Ale kreśląc te egzotyczne obrazy nie na nich zakłada Madelon Lulofs punkt ciężkości swego opowiadania. Punkt ciężkości leży w białym człowieku, w jego wysiłku, pracy, w jego cywilizacyjnych zadaniach. Jest to książka nie tyle egzotyczna, ile kolonialna. I w tym leży wartość i przykuwające zainteresowanie, jakie wzbudza w czytelniku.

Tłumaczenie na ogół dobre i gładkie, tylko bardzo nas zadziwia niespodziewanie z ust holenderskiego kolonisty Meestersa, wykwitająca pod tropikami piosnka: „Kto ci będzie Maryś służył, gdy ja będę w wojsku służył, Maryś, Maryś, Maryś kochana"... Oczywiście: transpozycja; ale jednak, jak na sumatrzańskie kolonie zbyt polsko-sielsko...

Nie wiem czy zaliczyć do przypadków czy do tzw. objawów charakterystycznych fakt, że w paczce książek przysłanych mi do oceny, trzecia już ma za temat kwestię żydowską. W przeciwieństwie do *Korzeni* Zahorskiej i do *Krzyża na piaskach* Osieckiej, gdzie sprawa żydowska wysuwa się na plan pierwszy jakby mimo woli, a raczej gdzie stanowi podglebie z którego sprawy inne wytryskają, książka M. Rudnickiego: *Żydzi* zajmuje się kwestią żydowską świadomie i celowo. W części pierwszej przedstawia nam autor dwie firmy przemysłowe, polską i żydowską, w ostrej walce konkurencyjnej, przedstawia zorganizowaną żydowsko-masońską międzynarodówkę, działającą w Polsce przy pomocy swoich tajnych agentów i zamaskowanych żydów.

W części drugiej przenosi nas autor w świat małomiasteczkowego *ghetta,* i tam ukazuje nam korzenie tej zorganizowanej akcji przeciwko wszystkiemu co polskie i katolickie. Trzeba przy-

znać że M. Rudnicki w porównaniu do innych autorów uprawiających tego rodzaju ostrzegawczo-demaskującą literaturę stara się o pewien obiektywizm, ukazuje nam bowiem jednego przynajmniej uczciwego i sympatycznego żyda, dra Majdufta, jest także widocznie optymistą, gdyż nie zawsze zwyciężają żydzi; w walce dwóch firm zwycięża, wbrew przyjętym zwyczajom, firma polska! Opowiadanie jest prowadzone żywo, fabuła zręcznie i zajmująco zazębiona. Pewna jednostronność, tendencyjność i „przewidzialność" opisywanych faktów wynika z założenia, koniecznego w tego rodzaju literaturze.

Poważna i ceniona firma wydawnicza R. Wegnera książką R. L. Stevensona: *Wyspa skarbów* rozpoczyna kolekcję, objętą ogólną nazwą „Świat podróży i przygód". Że właśnie tę książkę na tom pierwszy swego wydawnictwa wybrała, świadczy o dużej kulturze literackiej wydawcy. Jest to zaczęcie od prawdziwego początku, postawienie u korzeni genealogicznego drzewa powieści awanturniczej jej prawdziwego, a bardzo godnego praszczura. I rzeczywiście ta interesująca powieść ma w sobie coś patriarchalnego: korsarze i morscy piraci, wyspa z zakopanym skarbem, wykradzione plany, legendarny rozbójnik morski, zbuntowana załoga, zbrodniczy kucharz, ponury „czarny pies", spisek podsłuchany z beczki, tajemniczy Robinson odnaleziony na samotnej wyspie — to wszystko elementy klasyczne powieści awanturniczej. Ma też ta *Wyspa skarbów* rozkoszną grozę klasycznych powieści, nie trudną do przeniknięcia tajemniczość, dobroduszną zbrodniczość. Czytelnik od początku wie, kto tu może umrzeć a kto nie, kto może być zwyciężony a kto tryumfalnie z każdej opresji wyjść musi. Bardzo daleko od tego pierwowzoru odeszła potem powieść awanturnicza. Udoskonaliła się technicznie, nauczyła wielu sztuczek i chwytów, ozdobiła wieloma, nieznanymi Stevensonowi dreszczami, ale jednak, ta jej kolebka wdzięk swój zachowała, zachowała dostojność, umiar i piękno rzeczy klasycznych. Bo ten na nasze już pojęcia trochę prymitywny pisarz, zna jednak psychologię czytelnika znakomicie. Umie zahaczać jego uwagę, pobudzać nerwy, wzbudzać w nim gwałtowne sympatie i antypatie, umie kazać mu dobrze życzyć jednej stronie a najgorzej drugiej... Umie przede wszystkim opowiadać, kreślić żywe plastyczne obrazy. Niemało też wdzięku tej ładnej książce dodaje sama epoka, która się jakby mimowoli odbija w niej, jak w zwierciadle. To też myślę, że w epoce, która ma zrozumienie i odczucie stylu, w epoce która tak ładnie umie stare mody wskrzeszać i modernizować, książka ta trącąca myszką a jednak żywa, przestarzała a młoda, będzie należycie odczuta i zrozumiana. Tłumaczenie Józefa Birkenmajera dobre i stylowe.

Bardzo przykrym zadaniem dla recenzenta jest pisać o książce p. J. Surynowej-Wyczółkowskiej: *Egoizm we*

dwoje, gdyż niestety, nic dobrego powiedzieć o niej się nie da. A przykrość jest podwójna, gdyż nie jest miło inaczej, jak z uznaniem, mówić o cennych i pożytecznych, a tak wyjątkowo ładnie i starannie wydawanych książkach św. Wojciecha; przykro też ze względu na autorkę, która na pewno dużo dobrej woli i sumiennej pracy w książkę swoją włożyła i która niewątpliwie ma dar opowiadania i żywego dialogu. Ale mimo wszystko najlepsza wola recenzenta nie pomoże. Pod względem literackim książka jest dziwnie słaba, nieporadna i banalna, a pod względem tendencji, pod względem tzw. moralności, wiele można by tu kwestionować. Temat poruszony w tej powieści na pewno *pour le bon motif* jest tak „drażliwy", że trudno się tu o nim rozpisywać, stawiając kropki nad i. A tak właśnie trzeba by zrobić chcąc wykazać, jak dalekie od zamierzeń i autorki i św. Wojciecha wnioski można by z tej książki wyciągnąć, jak rozmaicie ją komentować, jak często jej naiwne i nieżyciowe argumenty z zupełnym wypaczeniem jej tendencji można by obalić. Można tylko zaznaczyć ogólnikowo, że system tak często stosowany w powieściach, które mają być umoralniające, a który polega na wykazywaniu jak doczesna nagroda jest następstwem cnoty, a doczesna klęska karą za grzech, jest systemem zawodnym, jak nie wytrzymuje próby życia i jak wskutek tego może dawać wyniki ideowo opaczne. Bo ostatecznie wiemy dobrze, że inną ekonomię sprawiedliwości ustanowił Bóg, w stosunku do grzechu i cnoty i że nie zawsze szczęście lub nieszczęście są na tej ziemi koniecznymi następstwami dobrych lub złych naszych postępków. Niewątpliwie: zgodność z usankcjonowanym przez Boga prawem natury daje rezultaty i życiowo dodatnie, ale nie w ten jakiś doraźny i naiwny sposób, jak nam przedstawia p. Surynowa-Wyczółkowska i autorzy uprawiający ten rodzaj powieści. A *Egoizm we dwoje* jest jakby klasycznym przykładem jak ta metoda umoralniania daje wyniki nieszczęśliwe i wątpliwe, jak odchodząc od prawdy życia, odchodzi zarazem od prawdziwych podstaw etyki. Oprócz tego nasuwa się pytanie, czy nawet tak dobrymi wiedziona intencjami słusznie zrobiła autorka, poświęcając całą powieść zagadnieniom ginekologicznym. W każdym razie zamyka się jej książkę nie tylko z zastrzeżeniami, ale i z dużym niesmakiem.

Człowiek jest istotą skomplikowaną: w życiu dąży do tego, by usunąć wszystko co by mu mogło zakłócać spokój i szarpać nerwy. W książce natomiast lubi się martwić, niepokoić i denerwować... Takim amatorom przyjemnego książkowego zdenerwowania bardzo polecam książkę Basila Careya: *Niebezpieczne wyspy.* Do końca nie będzie wiedział kto jest mordercą, a kto nie, kto złodziejem, a kto porządnym człowiekiem, kto naprawdę kocha Walerię i co ważniejsza, kogo kocha Waleria i kto

zdobędzie ostatecznie perły i piękną dziewczynę... Przy okazji przejdzie się po tak pełnych zawsze uroku morzach południowych, odetchnie dusznym tropikalnym powietrzem, przeżyje kilka burz na morzu, kilka katastrof okrętowych, groźną noc w samotnej łodzi rzucanej wzburzonymi falami. A ochłonąwszy z tych wszystkich emocji będzie bardzo zadowolony konstatując, że sam zamiast na zagrożonej „Annie", siedzi w statecznym pociągu Kraków—Warszawa, a zorientowawszy się że „ni stąd ni zowąd" pociąg wtacza się już do warszawskiego przekopu, powie sobie z zadowoleniem: „to jest prawdziwa literatura wagonowa, która pozwala człowiekowi przeżywać tak egzotyczne przygody zamiast ziewać oglądając poraz setny w życiu nudny pejzaż koło Radomia i wzdychać: ach to zaledwo Warka... Tak, niewątpliwie takie książki są też potrzebne i przyznać trzeba, że tak dobrze jak Anglicy, nikt ich pisać nie umie.

Zofia Starowieyska-Morstinowa.

Zofia Nałkowska: N i e d o b r a m i ł o ś ć. — Romans prowincjonalny. Wyd. trzecie. Książnica Atlas. Str. 255.

Książka znakomita, jedna z najlepszych jakie wyszły spod pióra wybitnej autorki, jedna z najcenniejszych w naszej literaturze powieściowej najnowszych czasów. Nic więc dziwnego, że jawi się w trzecim już wydaniu. *Niedobra miłość* zachwycić musi nie tylko rytmem czarującego języka, nie tylko mistrzowskim opisem polskiej prowincji, który śmiało można zaliczyć do arcydzieł polskiej literatury, ale przede wszystkim finezją analizy psychologicznej tych przeżyć, które autorka zamknęła w lapidarnym określeniu: niedobra miłość. Odpowiedników należałoby szukać chyba u Mauriac'a, tylko że tragizm namiętności jest u Nałkowskiej może bardziej ludzki, bardziej zrozumiały, niemniej przeto wstrząsający do głębi. Ten wstrząs jednak przerodzić się musi niestety w pesymizm beznadziejności, w jakiś fatalizm, któremu niedwuznacznie hołduje autorka. Wszak sama wyznała: „w książkach moich nie pouczam o niczym, nie głoszę żadnej prawdy. Muszę to wyznać, że jej nie znam"... Nic też dziwnego, że powieść Nałkowskiej nie rozwiązuje żadnego problemu, nie dźwiga duchowo, nie krzepi i to stanowi jej etyczne i społeczne *minus*. — *Niedobra miłość* jest tematem na wskroś aktualnym; wprawdzie refleksje autorki na temat „prowincji" ulec dziś muszą poprawkom ale poprawki te będą nikłe, natomiast sylwetki Agnieszki, Renaty, czy Blizbora i związane z ich życiem problemy tętnią prawdą bieżącej jakże smutnej chwili.

Ks. E. Kosibowicz T. J.

Tadeusz Katelbach: Za litewskim murem. „Rój". Warszawa 1937. Str. 379.

Mur litewski został już częściowo rozbity. Tytuł więc książki stracił na aktualności, za to bez paradoksu trzeba powiedzieć, iż treść tej pracy stała się tym bardziej aktualną. Litwa oddzielona od nas granicznym murem przez lat 18, stała się dla młodszego zwłaszcza pokolenia polskiego krajem zupełnie obcym i nieznanym. Żeby więc nawiązać w chwili obecnej nie tylko poprawne ale i przyjazne sąsiedzkie stosunki, musimy usilnie dążyć do tego, by wbrew długoletnim uprzedzeniom „młoda" Litwa mogła poznać Polskę oraz, by „młoda" Polska zainteresowała się naszym północnym sąsiadem. I w tej właśnie dziedzinie może oddać książka p. Katelbacha doskonałą usługę. Autor spędził z górą 3 lata na Litwie w charakterze stałego korespondenta *Gazety Polskiej* i trzeba przyznać, że litewskie stosunki poznał wcale dobrze. Dowodem owocnej działalności publicystycznej były periodyczne artykuły o sprawach litewskich zamieszczane na łamach *Gazety Polskiej*. Autor pisał wprawdzie na gorąco, pod wpływem wydarzeń chwili, ale starał się pisać obiektywnie, *sine ira et studio*. Wszystkie te artykuły kowieńskie (sto kilkadziesiąt), jak i nieliczne warszawskie, złożyły się na obecny tom, będący wszechstronnym odbiciem rzeczywistości litewskiej z okresu czterech ostatnich lat. Załamanie czy ewolucja reżimu; — Litwini gospodarze; — Litwa a Polska; — wśród litewskich szykan; — niemieckie chmury nad Litwą; — kłajpedzki orzech; — w małej rodzinie bałtyckiej; — głęboka przyjaźń — oto tytuły ksiąg, w które zgrupował autor pokrewne treścią reportaże, omawiając w nich nie tylko stosunek Litwinów do Polski, ale charakteryzując także sytuację Litwy wewnętrzną, gospodarczą, handlową, z szerokim uwzględnieniem polityki zagranicznej, stosunków z państwami bałtyckimi, Niemcami i Rosją. — Praca może nie we wszystkim ścisła i gruntowna, ale niewątpliwie interesująca i pożyteczna.

Ks. E. Kosibowicz T. J.

Ks. Arcybiskup Józef Teodorowicz: Herold Chrystusa na tle epoki. Księgarnia św. Wojciecha. Poznań 1937, str. 260.

Niezwykła swą potęgą i ogromem życiowego posłannictwa postać św. Jana Chrzciciela, jego osobowość przerastająca — według świadectwa samego Chrystusa Pana — zwykłą miarę człowieka, posiada w sobie czar, który owłada wyobraźnią i przykuwa do siebie i wolę i serce. Źródłem tego nadzwyczajnego stanowiska Jana Chrzciciela i przyczyną jego uroku jest to, że losy jego i jego powołanie były najściślej spojone z misją Boga-Człowieka, a życie ukształtowane według wzoru godnego herolda Chrystusa. Dlatego też osoba św. Jana stanowi temat nieodłączny

od życia Mesjasza. Tematu tego nie mógł zatem pominąć pisarz, którego celem jest odtworzenie w szeregu dzieł życia i działalności Chrystusa.

Obecna książka J. E. ks. Arcybiskupa Teodorowicza jest doskonałym wyrazem tej konieczności, będąc zarazem wiernym posągiem silnej indywidualności Jana Chrzciciela.

Przedsięwzięcie to i jego uwieńczenie są szczęśliwe jeszcze dlatego, że dostojny Autor nie ogranicza się do pobieżnego tylko szkicu postaci św. Jana, lecz poważną jego charakterystykę poprzedza szerokim sprawozdaniem ze stosunków współczesnych lub bezpośrednio poprzedzających ukazanie się Proroka.

Bardzo przejrzyste i żywe przedstawienie warunków politycznych, charakterystyka partyj i sekt wywierających wpływy na lud żydowski oraz odsłonięcie tajników żydowskiej psyche, analiza jej pragnień, marzeń i namiętności karmionych i podsycanych ideą mesjańską, dokładny stan umysłów, jaki zrodziło tragiczne nieporozumienie pomiędzy myślami niskimi i przyziemnymi Żydów i myślą Boga, wszystko to jest nie tylko pożyteczne dla lepszego ujęcia życia św. Jana, lecz w ogóle konieczne dla zrozumienia Ewangelii. Ta okoliczność sprawia, że *Herold Chrystusa na tle epoki* nie jest książką znajdującą się niejako na marginesie zaczętego dzieła, lecz częścią związaną organicznie z całością.

Na szczególną uwagę zasługuje analiza literatury apokaliptycznej Żydów oraz ich mesjanistycznych pojęć. Rozwiązuje ona zagadkę wstrząsającego niepowodzenia Jezusa i wyjaśnia dlaczego ani cuda, ani nadzwyczajna powaga Cudotwórcy nie znalazły uznania u przedstawicieli ludu, a po części i u ludu samego. Rozwiązanie znajduje się w fakcie, że Chrystus był Mesjaszem tak oddalonym od mesjasza, o którym śnili Żydzi, mesjasza mściciela, anioła zemsty i absolutnego pana tego świata, a Jego nauka tak odległa od zaspokojenia nacjonalistycznych, szowinizmu pełnych żądz i namiętności, że z psychologicznej konieczności, tylko nienawiść mogła być jedyną odpowiedzią na słowa i czyny Jezusa. Chrystus Pan nie sprawdzał mesjańskiej definicji, jaką utworzyli sobie Żydzi, dlatego nie mógł być dla nich mesjaszem.

Te rysy literatury i pojęć żydowskich ukazują się jako ściśle złączone z temperamentem i psychiką Żydów, tych zwłaszcza, którzy stali na czele narodu: saduceuszów i faryzeuszów. Charakterystyka tych ostatnich oddana jest nadzwyczaj bezpośrednio i plastycznie. Stanowi ona dopełnienie obrazu stosunków i rzuca nowe snopy światła na liczne miejsca Ewangelii mniej zrozumiałe nawet dla katolików, znających względnie dobrze Nowy Testament.

Druga, nieco mniejsza część książki poświęcona jest osobie i misji św. Jana Chrzciciela. Autor kładzie głównie nacisk na działalność i znaczenie posłannictwa Chrystusowego Poprzednika, analizuje jego postępowanie w stosunku do Jezusa i odsłania właściwą treść jego słów i posunięć. Tutaj na specjalną uwagę za-

sługuje krytyczna ocena poselstwa Janowego do Chrystusa z zapytaniem czy jest Mesjaszem, czy też ma być nim kto inny. Odpowiedź, jaką autor daje po uprzednim skrytykowaniu innych możliwych rozwiązań, odznacza się głębokim psychologicznym wniknięciem.

Oprócz tego posiada dzieło J. E. ks. Arcybiskupa Teodorowicza dużą wartość apologetyczną, gdyż uwzględnia ważniejsze zarzuty racjonalistów i wykazuje ich słabość. Dlatego powinno się ono znaleźć w ręku każdego inteligentnego katolika.

Ks. Jan Rosiak T. J.

Sól polskiej ziemi. Dzieje sług Bożych. Wyd. Koło Studentów Katolickich. Warszawa 1937. Str. XIV+282.

Jaki będzie pożytek dla katolicyzmu polskiego z tych świetnie napisanych życiorysów naszych polskich świętych, błogosławionych i czcigodnych? Byłoby źle, gdyby one trafiły tylko do Sodalicyj, do członków Akcji Katolickiej. Książkę tę bowiem powinni czytać przeciętni katolicy, katolicy od niedzielnej mszy św. i od rocznej spowiedzi wielkanocnej. Katolicy usprawiedliwiający łatwiznę swego wewnętrznego życia twierdzeniem, że Bóg nie wymaga wielkich rzeczy od człowieka. Tutaj zetkną się z inną logiką, z logiką nadprzyrodzoną, która każe świętemu Wojciechowi iść samotrzeć do Prus, porwać się na olbrzymie dzieło nawrócenia dzikich pogan, by po przekroczeniu granicy ponieść męczeństwo. Według logiki ludzkiej powinien by św. Wojciech osiąść na stolicy arcybiskupiej w Polsce i pomagać Chrobremu w ugruntowaniu chrześcijaństwa. Według logiki ludzkiej święty Stanisław Kostka mógł wrócić z Wiednia do Polski i słuchać ojca, gdy w przyszłości czekała nań fortuna magnacka i godność senatorska, mógł Adam Chmielowski zostać nadal przeciętnym malarzem i miłym towarzyszem; ale oni i wielu im podobnych dali się porwać gwałtownemu tchnieniu Ducha Świętego. Siła tego tchnienia porywała korony książęce błogosławionych: Kingi, Salomei, Jolanty. Dla nas ten heroizm wyzbywania się wszystkiego wydaje się czymś nadzwyczajnym, dla nich było to obowiązkiem. Bo w życiu każdego człowieka są chwile, gdy staje przed ołtarzem ofiarnym, by złożyć na nim coś, co mu jest drogie — to jest ten obowiązek ofiary, obniżony przez pogan do wylania krwi zwierząt a przez wielu katolików do odmówienia pacierza. Wtedy oczywiście za świętość szarego człowieka będzie się uważało nastawienie życia na minimum wysiłków i minimum łaski, wtedy będzie się mówiło z lekką ironią o świętych szaleńcach dawnych wieków. A tymczasem życie katolika, prawdziwego katolika powinno być ciągłym pogotowiem na wezwanie do takich właśnie szaleństw, do ofiar, do wyrzeczeń się. Rozpiętość ofiar może być bardzo

szeroka — od opuszczenia widowni w czasie niemoralnej sztuki aż do śmierci włącznie. Łaska Ducha Świętego płynie szerokim korytem.

I to jest właśnie zasługą autorów, że prosto a równocześnie bardzo głęboko ujęli działanie łaski w duszy świętych; to pytanie Boga i odpowiedź człowieka. Z tymi autorami czytelnicy spotykali się już na łamach prasy katolickiej — są to znani, wybitni pisarze, publicyści, profesorowie uniwersytetów, którym zaufać można. Niech więc tę książkę czytają wszyscy, zwłaszcza ci, którzy się boją wielkich czynów, którzy drżą przed wielką łaską, wielką świętością — dla wielu będzie ona pytaniem Boga, a jeżeli chociaż jeden czytelnik zdobędzie się na wielkoduszną odpowiedź, książka spełni swoje zadanie.

Ks. Br. Wójcik T. J.

Ks. dr Franciszek Sawicki: Życie ludzkie. Przekład z niemieckiego dr Janiny Brossowej. (Kultura katolicka tom XIX). Nakładem Nacz. Instytutu Akcji Katolickiej, Poznań. Str. 196.

Przechadzką przez życie, nazwał skromnie książeczkę tę jej autor, znany w kraju i za granicą filozof pelpliński. Istotnie dał miły opis życia ludzkiego we wszystkich jego okresach, także w wieku dojrzałym i w starości, które się zwykle pomija. Czerpiąc z nauk antropologicznych, z biologii a więcej jeszcze z psychologii, kreśli ks. S. obraz każdej z czterech faz życia, następnie roztrząsa zagadnienia etyczne, pedagogiczne i społeczne, jakie się nasuwają przy poszczególnych okresach.

Najobszerniej wypadło dziecięctwo (nie dzieciństwo, jak przetłumaczono), nieco krócej, lecz zupełnie jeszcze wystarczająco, wiek młodzieńczy; dwie ostatnie natomiast fazy potraktowano dość pobieżnie. Można było poruszyć inne jeszcze problemy biologiczno-psychologiczne, np. przekwitanie zwłaszcza u kobiet.

Książka została na ogół nieźle przetłumaczona, razi kilka mniej zręcznych wyrażeń np. opat augustynów Mendel (str. 26), tłumione poruchy płciowe (str. 32 n). Szkoda jednak, że nie spolszczono jej gruntowniej, w obecnej bowiem postaci pozostała ona nadal w znacznej mierze książką niemiecką, zbyt jest związana z życiem niemieckim. To np. co czytamy o ruchu młodzieży w Niemczech, mało obchodzi czytelnika polskiego, a można było znaleźć dużo odpowiedniego materiału w naszych prądach młodzieżowych. Skoro autor cytuje w tekście samych niemieckich pisarzy, trudno było to zmieniać, natomiast należało uzupełnić spisy literatury choć kilkoma dobrymi i nowszymi pozycjami polskimi. Notatka na str. 38 wywołuje wrażenie, jakoby dzieła Groosa istniały w polskim przekładzie. — Na karb korekty zaliczymi przekręcanie na różny sposób nazwiska Nietzschego (str. 88 nn).

Ks. K. Werbel.

Ks. Jan Wołek-Wacławski: Będziemyśl i Klęczany. Rys historyczno-etnograficzny. Z 23 fotografiami. Jaworów, 1937. Nakładem autora. Str. 211.

Wielką miłością ojczystej ziemi, historii, obyczajów i ludzi tchną te kartki, dyktowane wdzięcznością za tyle dobrodziejstw, jakich doznał autor w swej rodzinnej wiosce, Będziemyślu. Ale ciepło uczucia i pietyzm, z jakim autor usiłuje odtworzyć i przechować każdy szczegół opisywanych miejscowości, nie jest jedyną zaletą tej monografii. Praca ta, oparta na bogatym materiale bibliograficznym, będzie pożyteczna również przy innych badaniach życia polskiego ludu, gdyż odznacza się niewątpliwymi zaletami naukowymi. Nie wdając się w szczegółowy rozbiór pierwszej części, mającej raczej wartość czysto lokalną i kronikarską, z uznaniem trzeba podkreślić sumienność autora w gromadzeniu przejawów życia i obyczajowości, ciekawych i cennych z punktu widzenia folklorystycznych badań. Zwłaszcza zwyczaje weselne, opisane żywo i barwnie, zawierają szereg wartościowych notatek. Samo weselne słownictwo, te wszystkie zmówiny, poseliny, odgrywiny, młodziny, swaszczyny itd. mogą i powinny zainteresować fachowych badaczy naszej ludowości. Podobną wartość posiada przytoczony przez autora w końcowych rozdziałach wykaz cech gwarowych (grupa gwary mazurskiej), zagadek i przysłów ludowych oraz ludowych pieśni. Słowem praca ks. Wołka-Wacławskiego jest ciekawym przyczynkiem ludoznawczym, a jako objaw kulturalnego zainteresowania życiem wsi wśród polskiego duchowieństwa zasługuje na żywe uznanie i poparcie.

Ks. A. Kisiel T. J.

Ks. St. Marchewka, proboszcz w Jędrzejowa i misjonarz diecezjalny. Konferencje i kazania misyjne i rekolekcyjne. Podręcznik praktyczny dla księży parafialnych, rekolekcjonistów. Kielce 1937.

Książka ks. Marchewki oznacza nową pozycję w polskim ruchu rekolekcyjnym, to mianowicie, że na widowni tego ruchu zjawiają się nowi pracownicy. Przez długi czas pracy tej oddawali się sami zakonnicy, wobec jednak ogromnego wzrostu ruchu rekolekcyjnego, powstał przed szeregiem lat zamiar stworzenia pracowników spośród świeckiego duchowieństwa. Zamiar ten urzeczywistnił się i dziś mamy wybitnych misjonarzy, księży świeckich.

Ks. prałat Marchewka, jeden z najgorliwszych misjonarzy tego nowogo typu, wydaje obecnie praktyczny podręcznik misyjny. Autor podręcznika ma za sobą długoletnie doświadczenie, bo już, jak pisze, od 25 lat pracuje jako misjonarz i rekolekcjonista diecezjalny, nie tylko na terenie własnej diecezji, ale „w całej niemal Polsce".

W rozdziale wstępnym, zatytułowanym: „kilka słów o misjach i rekolekcjach parafialnych" czytamy cały szerek uwag, od-

noszących się tak do strony zewnętrznej jak wewnętrznej rekolekcyj i misyj. Najważniejsze wskazówki odnoszą się do strony wewnętrznej. Autor domaga się tam od rekolekcjonisty przede wszystkim tego, „by słuchacze odczuli, że kaznodzieja wierzy w to, co mówi". Konsekwentnie domaga się od kaznodziei głębokiej modlitwy, zwłaszcza codziennego rozmyślania i wzorowego odprawiania dorocznych zamkniętych ośmiodniowych rekolekcyj.

Już z takiego postawienia kwestii widać, że autor stykał się niejednokrotnie ze schodzącą obecnie z widowni generacją misjonarzy. Wspomina kilka razy nazwisko ks. Bisztygi T. J., wybitnego misjonarza, którego też pewne zwroty i porównania powtarzają się w kazaniach ks. Marchewki.

Treść tych kazań rekolekcyjnych odtwarza wiernie ducha i ideologię rekolekcyj — a więc cel człowieka, grzech, śmierć, sąd, piekło, potrzeba pokuty, spowiedź, zachowanie przykazań bożych i walka z występnymi namiętnościami. Strona dogmatyczna tych kazań jest lekko tylko narzucona, obszerniej rozwinięta jest strona parenetyczna, mająca na celu poruszenie woli. Ponieważ tę stronę parenetyczną osiąga autor głównie przez działanie na wyobraźnię i uczucie, a skala tych uczuć i obrazów nie jest rozległa, odczuwa się pewną monotonię i powtarzania się w całym tym zbiorze kazań. Tym bardziej, że kazania te są raczej szkicami. Mimo to wszystko, nad całością panuje umiejętność dobierania się do tych stron duszy, które wpływają na zmianę przekonań słuchaczy i chrześcijańskie odrodzenie życia wiary.

Wielką siłą tych kazań są liczne przykłady. Niestety dwa z tych przykładów powtarzają się parę razy. W niektórych znowu zbyt łatwo zjawia się cud. Pod tym względem źródła, z których jedno cytuje autor, nie grzeszą nadmiarem krytycyzmu.

Ks. J. Pawelski T. J.

Zabiegi pielęgniarskie. Pod redakcją Hanny Chrzanowskiej i Teresy Kulczyńskiej. Kraków 1938, nakł. Polskiego Stowarzyszenia Pielęgniarek Zawodowych w Warszawie. Str. 80 z ilustr.

Ustawodawstwo polskie nakłada dziś dość wysokie wymagania na personel pielęgniarski, zajęty po szpitalach; żąda ukończenia odpowiednich studiów, praktyki i egzaminów; dla osób zaś, które ich nie przechodziły a pracowały już przedtem w tym zawodzie, wyznacza termin odbycia kursów uzupełniających i złożenia egzaminów. Dla ułatwienia tego zadania wydała właśnie krakowska Uniwersytecka Szkoła Pielęgniarek wymieniony powyżej podręcznik, który zawiera treściwie opracowany materiał tych egzaminów, podług przepisów Ministerstwa Opieki Społecznej. W pięciu częściach zostały zestawione: 1) ogólne uwagi o pielęgnacji chorych, 2) zabiegi i czynności wykonywane na zlecenie lekarza, nie wymagające, 3) względnie wymagające postępowania

aseptycznego, 4) najważniejsze zabiegi w działach specjalnych (ginekologia, zabiegi oczne i laryngologiczne, pielęgnowanie chorych zakaźnych, pielęgnacja niemowlęcia), 5) bandażowanie. — Krótko i rzeczowo podane wyjaśnienia i przepisy, uzupełnione ilustracjami, nie wystarczają naturalnie do prywatnej nauki dla osób, które dopiero pragną zapoznać się z pielęgniarstwem; dla tych jednak, które już posiadają pewien zasób wiadomości i praktyki, stanowią bardzo dobry podręcznik, zarówno dla przygotowujących się do egzaminu, jak dla kierowniczek kursów przygotowawczych. Owszem broszura ta zostanie zapewne chętnie przyjęta przez ogół osób, pracujących w pielęgniarstwie, jako zwięzłe repetitorium i zestawienie najnowszych wskazań w tej dziedzinie.

B.

Notatki bibliograficzne.

Pamiętnik Międzynarodowego Kongresu Chrystusa-Króla w Poznaniu. Poznań, 25—29. 1937. s. 350.

Wydany starannie *Pamiętnik* ten zawiera wszystkie przemówienia, referaty i sprawozdania, wygłoszone podczas Kongresu. Także XVII Zjazd Archidiecezji Gnieźnieńskiej i Poznańskiej, który się odbył w ramach Kongresu Chrystusa-Króla znalazł swe odzwierciedlenie w drugiej części *Pamiętnika,* w zbiorze referatów i przemówień, wygłoszonych z okazji Zjazdu. Uczestnikom Kongresu pozwoli *Pamiętnik* przeżyć raz jeszcze podniosłe chwile wielkiej uroczystości, a dla innych będzie wiązanką cennych aktualnych myśli i podnietą do czynu.

Józef Beck: Przemówienia, deklaracje, wywiady. 1931—1937 Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1938. s. 326.

Tom niniejszy jest zbiorem przemówień, deklaracji i wywiadów, ogłoszonych drukiem w ciągu ostatnich siedmiu lat; obejmuje więc wystąpienia ministra Becka zarówno na stanowisku podsekretarza stanu, jak i ministra spraw zagranicznych. Pominięte tu zostały przemówienia o charakterze tajnym czy poufnym (np. na tajnych posiedzeniach Ligi Narodów), nie uwzględniono również kilku przemówień i wywiadów, nie mających zasadniczego znaczenia, lub też zawierających elementy szerzej rozwinięte i głębiej ujęte w innych przemówieniach. *Przemówienia, deklaracje, wywiady,* ukazują się bez komentarzy. Okoliczności, towarzyszące wystąpieniom, starano się prawie wszędzie zamknąć w granicach tytułu. Dla czytelnika więc, niedostatecznie zorientowanego w problemach polskiej polityki zagranicznej i w zagadnieniach współpracy międzynarodowej, wyrośnie stąd przy wnikaniu w treść wypowiedzianych słów konieczność jednoczesnego zestawienia tła warunków, w jakich przemówienie zostało wygłoszone, oraz skutków, jakie zwłaszcza na terenie międzynarodowym wygłoszono.

Rev. P. Br. Hieronimus a Fellette: De S. Laurentii a Brundisio OMC activitate apostolica ac operibus. Venetiis, Typogr. S. Marci 1937. 308.

Jest to bogaty zbiór świadectw, dokumentów, zeznań, odnoszących się do osoby i działalności św. Wawrzyńca z Brundisium, a pochodzących od znakomitych osób, papieży, uczonych itp. wydany w języku łacińskim. Skrzętność pracy, piękna szata zewnętrzna i dobre reprodukcje fotograficzne jak najlepiej świadczą o autorze i wydawcach.

Stefania Marciszewska-Posadzowa: Matka. Fundamenty wychowania moralnego. Zeszyt XIII Biblioteki Wychowania Przedszkolnego. Księgarnia św. Wojciecha, Poznań. s. 53.

Matka zakłada fundamenty w duchowej budowie człowieka — oto myśl, którą rozwija autorka, omawiając warunki, zadania i radości chrześcijańskiego macierzyństwa.

S. Barbara Żulińska C. B.: Na przyjęcie Pana. Listy do dziecka przed pierwszą Komunią św. Księgarnia św. Wojciecha, Poznań. 1937. s. 76.

Z wielkim pożytkiem dla swej młodocianej duszy przeczyta te pełne prostoty i religijnego namaszczenia kartki, powstałe z listów pisanych do małego Tadzika, każdy chłopak, gotujący się do pierwszego przyjęcia Pana.

Encyklika J. św. Piusa XI o położeniu Kościoła Katolickiego w Rzeszy Niemieckiej z dnia 14 marca 1937 r. Tekst niemiecki, przekład polski ks. prof. A. Słomkowskiego. Lublin. Towarzystwo Wiedzy Chrześcijańskiej. 1937. s. 57.

Zestawienie obok siebie tekstu oryginału i tłumaczenia oraz przejrzysty podział, wprowadzony do części polskiej, znakomicie ułatwia zapoznanie się z tym doniosłym dokumentem papieskim.

Natalia Gąsiorowska: Górnictwo i hutnictwo w Polsce. Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych we Lwowie. 1937. s. 155.

Bogato ilustrowany, pięknie wydany tomik opowiada o skarbach wnętrza polskiej ziemi, o stanie górnictwa i hutnictwa w Polscę przedrozbiorowej, porozbiorowej i obecnej.

Gustaw Olchowski: Na wielką wyprawę. Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych we Lwowie. 1937. s. 117.

Dwunastoletni kwatermistrz hufca polskiego na zlocie harcerzy w Gödöllö, Ludwik Zamorski, zaproszony w gościnę przez znajomą rodzinę holenderską, odbywa spokojną, ale bardzo kształcącą podróż przez Atlantyk.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Polskiej Akademii Umiejętności:

Marian Kukiel: Wojna 1812 roku. Tom. II. 1937, str. 515.
T. Maccius Plautus: Komedie. Przełożył, wstępem i streszczeniami opatrzył Gustaw Przychocki. Tom IV. 1937, str. 470.
Stanisław Rospond: Południowo-słowiańskie nazwy miejscowe z sufiksem — itj — 1937, str. 240.
Lubomir Andrejczin: Kategorie znaczeniowe koniugacji bułgarskiej. 1938, str. 82.
Źródła do historii, sztuki i cywilizacji w Polsce. Tom V — zeszyt II. Cracovia artificum. 1501—1550 Zebrał Jan Ptasik. 1937, str. od 305 do 496.
Władysław Czapliński: Władysław IV wobec wojny 30-letniej (1637—1645) 1937, str. 112.
Stefan Schmidt: Górnośląski rynek mleczny. 1937, str. 293.
Adam Wolff: Mazowieckie zapiski herbowe. Z XV i XVI wieku. 1937, str. 258.
Stanisław Skimina: État actuel des études sur le rythme de la prose grecque. 1937, str. 200.
Tadeusz Kowalski: Zapiski Sir Aurela Steina w dialekcie ăinallu z południowej Persji. 1937, str. 71.

Nakładem Towarzystwa Naukowego w Toruniu:

Opis królewszczyzn w województwach chełmińskim, pomorskim i malborskim w roku 1664. Wydał J. Paczkowski. Słowem wstępnym i skorowidzami opatrzył ks. A. Mańkowski. 1938, str. 487.
Ks. Stanisław Lujot: Dzieje Prus Królewskich. Część II. Pomorze i Ziemia chełmińska 1309—1380. 1937.

Nakładem Książnicy Atlas, Lwów — Warszawa:

Jan Wiktor: Od Dunaju po Jadran. 1938, str. 285.
Zygmunt Nowakowski: Lajkonik. 1938, str. 166.
Jan St. Bystroń: Publiczność literacka. 1938, str. 390.

Nakładem Księgarni Gebethnera i Wolffa:

Jarosław Iwaszkiewicz: Pasje błędomierskie. Powieść. Warszawa, 1938, str. 323.
Dr Andrzej Krzesiński: Badania nad kulturą Dalekiego Wschodu. Warszawa i Kraków. 1938, str. 37.

Nakładem „Biblioteki Polskiej", Warszawa:

Tamara Sołoniewicz: Wspomnienia tłumaczki „Inturista". 1938, str. 310. Przełożyła Zofia Prawdzicowa.
Tadeusz Teslar: Ja chcę żyć. 1937. Skład główny: „Biblioteka Polska", str. 188.
Eliza Orzeszkowa: Listy. T. II. Do literatów i ludzi nauki. Część I. Nakł. Tow. im. E. Orzeszkowej, Warszawa — Grodno, oraz Instytutu Wydawn. „Biblioteka Polska". 1938, str. 266

Nakładem Wojskowego Instytutu Naukowo-oświatowego:

Tadeusz Teslar: Propaganda bolszewicka podczas wojny polsko-rosyjskiej 1920 roku. 1938, str. 303.
Tadeusz Zakrzewski: Organizowanie siły zbrojnej w państwie. 1938, str. 191.

Nakładem różnych:

Antoni Trepiński. Dziennikarz na prowincji. Warszawa. F. Hoesick. 1938, str. 45.

S. Margert: Savonarola. Powieść. Nakł. Księgarni św. Wojciecha. Poznań. 1938. Tom. I, str. 272. Tom. II, str. 364.

Ks. dr Walery Jasiński: O katolicką szkołę w Polsce. Naczelny Inst. Akc. Kat. Poznań. 1938, str. 156.

Księga psalmów. Przełożył Leopold Staff. Nakładem „Verbum" Warszawa. 1938, str. 377.

Jerzy Kuncewicz: Republika globu. I. Awangarda i maruderzy. Nakł. „Roju". Warszawa 1938, str. 327.

B. I. Święcicki: Unia krajów chrześcijańskich. Wydawnictwo „Dobra Prasa". Wilno 1938, str. 276.

Ks. A. Syski: Alter Christus. Konferencje duchowne. Skład główny: Księgarnia św. Wojciecha w Warszawie. 1938, str. 306.

Grzegorz Turowski. Warunki i drogi rozwoju gospodarczego wsi polskiej. Wyd. II. Nakładem „Gospodarki Narodowej" Spółdzielni Z. O. O. Skład główny: Księgarnia Mariana Gintera Warszawa 1938, str. 193.

Inż. J. Radwan: Zagadnienie scalenia gospodarstw wiejskich w Polsce. Nakł. Tow. Oświaty Rolniczej Warszawa. 1938, str. 32.

Ks. Justyn B. Pranajtis: Chrześcijanin w talmudzie. Instytut Wydawniczy „Pro fide". Skład główny w księgarni A. Prabucki, Warszawa 1937, str. 298.

Ferdynand Zweig: Adam Krzyżanowski. Nakł. Tow. Ekonomicznego w Krakowie. Kraków 1937, str. 35.

Julianus Grobnicki: De scientia Dei futurorum contingentium secundum S. Thomam eiusque primos sequaces. Wydawnictwo Wydziału Teologicznego U. J. Kraków 1938, str. 139.

St. Orlikowski: Aktualne zagadnienia kredytu rolnego. Nakł. Tow. Oświaty Rolnicze Warszawa. 1938, str. 57. Z. 207.

Ks. mgr W. Służałek C. O. R. i dr Mieczysław Skrudlik: Męczeństwo i upadek sztuki kościelnej. Skład główny: Księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu. 1938, str. 63.

Inż. F. Ostrowski: Inwestycje dla usprawnienia obrotu rolniczego. Nakł. Tow. Oświaty Rolniczej. Warszawa. 1938, str. 57. Z. 207.

Mariali: Przez Maryję dzieło Boże. Nakł. „Głosu Karmelu". Kraków 1938, str. 63.

Wasil Makowskij: Sud nad Iwanom Gnatowom i inszi opowidania. Wyd. „Ukrainskaja Knyżka". Z drukarni oo. Bazylianów w Żółkwi. 1938, str. 114.

Marko Wowczok: Kozacka doczka. Wydanie dziesiąte. Wydawn. „Ukrainskaja Knyżka". Z drukarni oo. Bazylianów w Żółkwi. 1938, str. 164.

Jan Reychman: O polsko-słowackiej współpracy na Podhalu. Nakł. Tow. Przyjaciół Słowaków im. Ludowita Sztura. Warszawa 1938, str. 19.

Wacław Olszewicz: O polsko-słowackiej współpracy na terenie Śląska Cieszyńskiego. Nakł. Tow. Przyjaciół Słowaków. Tamże. 1938, str. 29.

Rada Polskich Interesów Portu Gdańskiego w Gdańsku e. V. Sprawozdanie za rok 1937, str. 102.

Ks. dr T. Bensch: Kształtowanie się poglądów na stosunek prawa naturalnego do pozytywnego, Odbitka z Mies. „Prąd", Lublin 1938, str. 170—196.

W walce o własny pogląd na świat. Pamiętnik absolwentki uniwersytetu ludowego. Z przedmową dr M. Wachowskiego. Poznańskie Tow. Pedagogiczne. Poznań 1938, str. 40.

Z zagadnień przodownictwa w Akcji Kat. Młodzieży. Nakł. S. A. „Ostoja". Poznań 1938, str. 111.

Jan Bolesław Ożóg: Wyjazd wnuka. Biblioteka „Okolicy Poetów". Tom VI. Warszawa — Kraków 1936, str. 45.

Jerzy Wojciechowski: Do czego i jak dąży komuna? Nakł. Komitetu Przeciwkomunistycznego, Lublin 1938, str. 106.

Franciszek Baturewicz: Konieczność łaciny dla świata współczesnego. Skład główny: „Nasza Księgarnia" Sp. Akc. Z. N. P. 1938, st. 15.

Józef Orzech: Samouczek do nauki języka łacińskiego, ułożony na podstawie tekstów liturgicznych. Ćwiczenia — gramatyka — słowniczek. Nakł. własnym. Skład główny w „Kiosku Katolickim" Tarnów, Plac Katedralny 6. 1938, str. 97.

Piękno Warszawy. VI. Kościoły katolickie. Warszawa 1937.

Dr Jakub Sawicki: Kościół ewangelicki a państwo na polskim Górnym Śląsku. Nakł. autora. Katowice 1938, str. 87.

List pasterski ks. Adolfa Szelążka, biskupa łuckiego, do młodzieży. Łuck 1938, str. 75.

Ks. dr Szczepan Sobalkowski: Krew, która woła... 6 przemówień na temat znaczenia kanonizacji św. Andrzeja Boboli dla Polski i każdego z nas z dołączeniem triduum ku jego czci. Nakł. autora. Kielce 1938, str. 141.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Zagadnienie ukraińskie.

W czasie ostatnich obrad nad budżetem ministerstwa WR i OP zaatakował poseł Wojciechowski w bardzo ostrej a nawet obraźliwej formie polityczną działalność metropolity grecko-katolickiej Cerkwi Ks. Arbpa Szeptyckiego. Za punkt wyjścia do tego gwałtownego ataku posłużył fakt, że Ks. Metropolita nie zgodził się na oficjalny udział wojska w dorocznym święcie Jordanu we Lwowie. Rzecz zupełnie zrozumiała, iż posłowie ukraińscy wzięli natychmiast w obronę swojego Arcypasterza, wywiązała się namiętna dyskusja, w zakończeniu której zabrał głos również p. min. Świętosławski i uznał za wskazane określić stanowisko Ks. Metropolity jako „ubolewania godne".

Namiętne akcenty polemiki, wzmocnione repliką Ks. Metropolity, rozebrzmiały na szpaltach wszystkich prawie dzienników tak polskich jak ukraińskich a głośne echa całej tej dyskusji nie przebrzmiały po dziś dzień. Przed oczyma społeczeństwa polskiego stanęła znów w całej swojej doniosłości sprawa ukraińska, której — jak pisze *Słowo* — nie potrafił rozwiązać ani Władysław IV ani Ossoliński i która z tego powodu stała się jedną z przyczyn upadku Polski.

Po tylu smutnych doświadczeniach przypuszczać by można, że chyba teraz w Polsce odrodzonej rozwiązanie tego problemu nie powinno natrafić na nadmierne trudności, tym bardziej, że chodzi przecież o dwa narody słowiańskie, złączone wspólnymi wielowiekowymi dziejami i wspólną związane wiarą. Niestety tak nie jest. I chociaż w grę wchodzi niewątpliwie najważniejszy dla nas problem mniejszościowy, który dotyczy najliczniejszej i terytorialnie na wy-

jątkowo dla nas ważnym terenie skupionej grupy narodowej, mimo to zagadnienie ukraińskie nie tylko nie może się doczekać pomyślnego rozwiązania ale, co smutniejsze, po 20 latach naszej państwowości nie ruszono go prawie z miejsca. A ruszyć go nie można w atmosferze niechęci nawet nienawiści, w atmosferze wzajemnych oskarżeń, wytaczanych przez skrajne nacjonalizmy a podsycanych przez postronnych wrogów.

Wystąpienia do jakich doszło ostatnio na terenie Sejmu, motywowane nawet troską o dobro Kościoła, muszą ranić serce każdego patrioty-katolika, bo przecież zadaniem ewangelicznej misji Kościoła jest godzić zwaśnionych i łączyć we wspólnej a jakże doniosłej akcji. Zgodne współżycie i harmonijny, braterski rozwój obu tych katolickich narodów, objętych wspólnotą jednego państwa, uważamy za jedną z najdonioślejszych spraw nie tylko naszej ojczyzny ale i Kościoła na obszarach Rzeczypospolitej.

Na jakich więc szlakach należy szukać rozwiązania tej tak doniosłej kwestii?

Otóż przede wszystkim trzeba stwierdzić, iż ukraińskiego problemu nie rozwiąże uczucie, karmione nienawiścią i pogańskim hasłem, iż dobro narodu jest najwyższą normą etyczną, przed którą wszystkie inne względy ustąpić muszą i która uświęca wszelkie stosowane środki. Hasło takie przyjąć może tylko ten naród, który w miejsce Ewangelii stawia pogańskie kanony przemocy, ubrane w te czy inne obłudne frazesy. Na takie ideowe drogi nie może zboczyć ani polski ani ukraiński naród, chyba za cenę apostazji od Chrystusowej wiary i na niej opartej etyki.

Ale nawet abstrahując od nastrojów szowinizmu oraz nienawiści, trzeba podkreślić z naciskiem, że czysto uczuciowe i emocjonalne traktowanie ukraińskiej kwestii jest śmiertelnym wrogiem pomyślnego jej rozwiązania. Tymczasem właśnie uczucie dominuje i zaciemnia rozumowe racje tak z polskiej jak i z ukraińskiej strony. Drobna więc garstka ludzi, szukających szczerze i z uporem, mimo piętrzących się trudności, rozwiązania tego doniosłego problemu walczyć musi właściwie na dwa fronty a stanowisko rządu, który kilkakrotnie a niezbyt szczęśliwie do zagadnienia tego podchodził, pracy wspomnianych pionierów porozumienia wcale nie ułatwia.

Ogromna większość społeczeństwa polskiego nie orientuje się należycie w tym skomplikowanym zagadnieniu, nie zna jego historycznego rozwoju, nie zna również obiektywnego stanu rzeczy i w chwili obecnej. Chciałaby tylko jak najprędszego usunięcia tej przeszkody z drogi normalnego

rozwoju naszego państwa a, czując się gospodarzem tej ziemi, ścierpieć po prostu nie może oporu ze strony jakiejś tam ukraińskiej mniejszości. I takiemu właśnie stanowisku wielu Polaków nie można się zbytnio dziwić.

Długoletnia polityka Wiednia, oparta na zasadzie *divide et impera*, zawarcie przez Wiedeń i Berlin traktatu pokojowego w Brześciu, wojna polsko-ukraińska z 1918 r. i bohaterska obrona Lwowa, liczne okrucieństwa, rozmaite Kosaczowy z tego właśnie okresu, ciągłe odwoływania się ukraińskiej mniejszości do wszelkiego rodzaju potęg zagranicznych, obłąkańcza akcja Konowalca, trupy zamordowanych skrytobójczo śp. Hołówki, Pierackiego i innych..., to wszystko, tak radykalnie sprzeczne z zasadami katolickiej etyki, musiało w ogromnej większości społeczeństwa polskiego wzbudzić tak silne uczucia niechęci i taką awersję do tego problemu, iż samo poruszenie spokojne i nienamiętne tego tematu irytuje, wyprowadza z równowagi, nie pozwala rozumować ani oceniać na trzeźwo. Specjalnie wśród społeczeństwa Małopolski Wschodniej, które od lat z problemem ukraińskim nie tylko się bezpośrednio styka ale go tragicznie przeżywa, wszelkie ugodowe dyskusje budzą odruchowe podejrzenia o jakąś przebiegłą akcję dywersyjną, graniczącą niemal ze zdradą narodu i państwa. I w tym swoim nastawieniu psychicznym jest społeczeństwo, na tym zwłaszcza terenie, pomimo daleko idących różnic partyjnych w innych kwestiach, zupełnie zdecydowane i jednolite. Obrona trzech południowo-wschodnich województw „przed ukraińskim zalewem" jest hasłem na wskróś popularnym, które w zgodnej akcji jednoczy piłsudczyków, narodowców, ludowców czy konserwatystów.

Tak więc wśród większości społeczeństwa polskiego pogląd na problem ukraiński jest poniekąd ustalony. Ukraińcom zaprzecza się przeważnie nazwy, jaką sobie sami obrali. To przecież tylko Rusini, ludzie w szerokich swoich masach włościańskich z natury raczej bierni i spokojni, agitowani tylko i podburzani nieustannie przez inteligencję, zrewolucjonizowaną młodzież, głównie zaś przez szowinistyczny kler grecko-katolicki. Poważna część tych Rusinów to tak zwani Moskalofile; ci chcą szczerze zgodnego współżycia z nami; należy ich więc popierać ale przede wszystkim popierać należy wszędzie element polski, natomiast rusińskie masy chłopskie trzymać twardą ręką, rządzić sprawiedliwie ale surowo, działać w duchu polskim przez szkołę, urzędy, wojsko i organizacje gospodarcze, a wszelkie objawy niezadowolenia czy buntu dusić w samym zarodku. Najpierw musi przyjść całkowite uspokojenie i szczera lojal-

ność wobec polskiego państwa a potem można będzie dopiero mówić o jakichś koncesjach...

Czy jednak taki stan rzeczy jest naprawdę pomyślny? Oczywiście można stanąć na stanowisku, iż Polska jest państwem ściśle narodowym, w którym nie uznaje się żadnych mniejszości. Można bronić tezy, iż Ukraińców należy spolonizować bez reszty, iż w tym kierunku należy nastawić całą politykę rządu i poparcie społeczeństwa, iż nie należy się cofnąć przed zastosowaniem nawet i najdrastyczniejszych środków. Można... Tylko wtedy nie wolno się łudzić, iż taka teoria i praktyka jest zgodna z katolickim sumieniem, z godnością i tradycją katolickiego narodu. Hakata stosowana przez kogokolwiek jest zaprzeczeniem nie tylko katolickiej ale naturalnej nawet etyki. Daje ona program krótki, jasny i konsekwentny lecz równocześnie w dalszej perspektywie dziejowej na wskróś nierealny. Na tej drodze problemu ukraińskiego nikt dzisiaj rozwiązać nie zdoła.

Nie brak jednak w Polsce przejawów myśli politycznej, która idzie w skrajnie przeciwnym kierunku. Bukowiecki w swej książce: *Polityka Polski niepodległej* widział rozwiązanie problemu w przyznaniu Ukraińcom daleko idącej autonomii terytorialnej. Część naszej lewicy, z socjalistami na czele po dziś dzień hołduje w znacznej mierze temu właśnie poglądowi. Ale Bukowiecki pisał swą książkę jeszcze w r. 1922, gdy takiej właśnie autonomii żądały dla Małopolski Wschodniej zwycięskie mocarstwa. Bukowiecki chciał dać dobrowolnie to, co jak przypuszczał, będziemy zmuszeni przyznać pod presją. Tymczasem już rok następny (1923) przyniósł niezwykle doniosłą zmianę, bo uznanie suwerenności polskiej na tym właśnie terytorium.

Dziś projekt Bukowieckiego oraz jego zwolenników, z punktu widzenia racji stanu polskiego państwa, jest całkowicie nierealny.

O jakie bowiem terytorium mogłoby tu chodzić?

Przecież Ukraińcy na swoich propagandowych mapach obejmują nie tylko trzy południowo-wschodnie województwa, ale sięgają po Wołyń i Polesie, obejmują całą Chełmszczyznę, nie zapominają oczywiście i o Łemkach. Samo więc określenie terytorium nasuwa ogromne trudności. A trudności wzrosną, jeśli się podda analizie treść owej „szeroko pojętej autonomii". Przecież Lwów jest trzecim z rzędu miastem polskim; swą polskość okupił i utrwalił krwią i nie znajdzie się w Polsce nikt, kto mógłby się pokusić o oddanie tego miasta na stolicę przyszłej autonomicznej Ukrainy. Zresztą jakąkolwiek treść włożymy w pojęcie terytorialnej autonomii, to z jednej strony będzie ona

niewątpliwym pokrzywdzeniem licznego elementu i doniosłego interesu polskiego, z drugiej zaś nigdy nie zadowolni strony ukraińskiej, która zawsze domagać się będzie więcej.

Autonomia terytorialna, jest więc w swej normalnej ewolucji równoznaczna z oddaniem rządów w ręce Ukraińców na obszarze, który od wieków do Polski należy a dla politycznego i gospodarczego jej stanowiska ma wyjątkowo doniosłe znaczenie. Wypuszczenie tutaj właśnie rządów z rąk polskiego państwa byłoby polityką prawie samobójczą. Czy takiego samobójstwa, względnie wybitnego osłabienia państwa, można żądać od nas w imieniu religii i jej etycznych nakazów? Sądzimy, że nie i dlatego rozwiązanie ukraińskiego problemu na drodze terytorialnej autonomii uważamy za nie do przyjęcia tak z państwowego punktu widzenia jak w świetle katolickiej etyki. Pojęciem sprawiedliwości za tą koncepcją szermować nie można.

Czy jednak po wykluczeniu tych dwóch skrajnych poglądów istnieje jeszcze jakakolwiek realna możliwość rozwiązania zaognionego problemu?

Patrząc na dotychczasową politykę polskich rządów i reakcję ukraińskiego społeczeństwa można by istotnie zwątpić w istnienie takiej możliwości.

Gdy przed laty Ukraińcy zajęli stanowisko nie uznawania państwa polskiego i na znak protestu zbojkotowali wybory do Sejmu i Senatu, rząd wyszukał sobie wówczas ks. Ilkowa, dobrał kilku włościan i stworzył sztuczną grupę ukraińską w Sejmie. Dziś z grupy ks. Ilkowa nie ma ani śladu a rezultat jego politycznej akcji był żaden. Nam inicjatywa ta nic nie pomogła, Europy nie zmyliła a podziałała jedynie drażniąco na uświadomione społeczeństwo ukraińskie, wywołując jak najostrzejszą reakcję.

Nastąpiła sabotażowa akcja Konowalca, pociągając za sobą tak zw. pacyfikację trzech wschodnich województw. Pacyfikacja ta przywróciła wprawdzie pozorny pokój ale jakże drogo okupiony. Jeżeli bowiem można było przypuszczać, że zbrodnie Konowalca nie znajdowały aprobaty w szerokich warstwach katolickiego społeczeństwa ukraińskiego, to po przeprowadzeniu pacyfikacji, gdy całe wsie musiały odpokutować za zbrodnie dywersantów nie mających często nic wspólnego z daną gminą — rząd polski wyrobił i utrwalił w tychże masach chłopskich głębokie przekonanie, że członkowie bojówek i masy chłopskie to jedno. Nastąpiło też w odruchu zawziętości scementowanie i zsolidaryzowanie się tych dwu tak genetycznie odrębnych elementów i ruchów. W konsekwencji fakt ten sparaliżował na dłuższy okres czasu wszelką kontrakcję umiarkowanej

i prawdziwie katolickiej części społeczeństwa ukraińskiego, która przecież prowadziła ostrą walkę z Konowalcem o duszę ukraińskiego chłopa. — I ten więc krok rządu może nasuwać poważne wątpliwości oraz zastrzeżenia.

Za czasów BBWR uznał rząd za wskazane rozpocząć flirt z Moskalofilami. Ks. Jaworskiego i p. Baczyńskiego wybrano na posłów; wstąpili oni do prorządowego Bloku ale nic pozytywnego ze sobą nie wnieśli, wśród polskich kolegów sejmowych budzili pewne zastrzeżenia, w terenie nie wywołali najmniejszego echa, wreszcie słuch po nich zaginął. Pozostało tylko zadrażnienie społeczeństwa ukraińskiego, które doskonale rozumiało, iż Starorusini nie mogli zdobyć samodzielnie swych mandatów...

Z kolei śp. Br. Pieracki, jako min. spraw wewn., usiłował zająć w sprawie ukraińskiej nowe stanowisko. On pierwszy z trybuny sejmowej, wobec zdecydowanie opozycyjnego stanowiska klubu Undo, postawił zasadę: przejścia do porządku dziennego nad zawodowymi politykami i nawiązania bezpośredniego kontaktu ze społeczeństwem, zwłaszcza z gromadami włościańskimi. Program Pierackiego nie znalazł jednak uznania, nie wszedł w życie, a sam jego twórca padł niebawem z rąk skrytobójczych. Szowinistyczna mafia postanowiła usunąć niebezpiecznego męża stanu a zwolenników jego programu odstraszyć.

Wreszcie przy ostatnich wyborach sejmowych z r. 1935 rząd poszedł po zupełnie nowej drodze. Zawarł z najliczniejszym stronnictwem Undo wyborczy kompromis, który dał w rezultacie znaną deklarację lojalności ze strony klubu ukraińskiego w Sejmie. Deklaracja ta jednak nie rozwiązała oczywiście problemu a ostatnie alarmy sejmowe wykazały, że do harmonijnej współpracy obu narodów jest jeszcze bardzo daleko.

Czy więc w ogóle ta współpraca jest możliwa?

Przede wszystkim trzeba stwierdzić, że około $4^1/_2$ miliona obywateli Rzeczypospolitej uważa się i chce się nadal uważać za członków ukraińskiego narodu. Drobna część tej ludności nazywa się Starorusinami, podkreśla swą lojalność w stosunku do polskiego państwa, ale równocześnie poczuwa się do wspólnoty z narodem rosyjskim; na tej właśnie grupie opierali się Moskale po zajęciu Lwowa w r. 1914. Jest dalej garść tzw. Rusinów, niezaliczających się do grup wyżej wymienionych; jest wreszcie drobna ilość Polaków greko-katolików, wśród nich zwłaszcza szlachta zagrodowa. Faktom tym nie można zaprzeczać, ale też byłoby ogromnym złudzeniem na nich się opierać w dyskutowaniu ukraińskiego problemu. Przygniatającą większość, czy się to

komu podoba czy nie, stanowią Ukraińcy, naród różny od polskiego, bo takim istotnie jest i takim chce być.

Naród ten jest narodem chłopskim, podobnie, jak Słowacy i Serbowie, to znaczy, że inne warstwy przedstawiają odsetek zupełnie znikomy. Nie ma więc arystokracji, bo ta w ciągu wieków została spolonizowana; nie ma plutokracji; warstwa robotnicza jest nieliczna a cała inteligencja rekrutuje się ze sfery włościańskiej. Z niej wyszła, z niej żyje, z nią coraz silniej się wiąże, wysyłając swój nadmiar na wieś do życia gospodarczego, spółdzielczego, często i do zwykłej orki. Wszelkie więc usiłowania, by doprowadzić do porozumienia i zgodnej współpracy z tymi masami chłopskimi ponad głowami inteligencji, wszelkie marzenia o odseparowaniu mas od jej wpływów, uznać należy za całkowite złudzenie.

Musimy również liczyć się z psychiką ukraińskiego narodu, z jego nastawieniem w stosunku do nas Polaków. I tutaj zamiast szukać wśród naszych polityków i publicystów określeń tej psychiki, zamiast oddawać się złudnym mirażom, że chłop ruski, to element spokojny, z którym się dogadać i porozumieć nie trudno, byleby tylko inteligencja i kler nie przeszkadzali, bo chłop chce zgodnego współżycia, chce przede wszystkim zarobić, a wszystkie inne objawy są jedynie sztucznym tworem, namiętnej i zawziętej agitacji — zamiast łudzić się takimi marzeniami, posłuchajmy raczej przedstawiciela tego społeczeństwa, Ukraińca z krwi i kości, człowieka przy tym o niepospolitym charakterze i wielkiej odwadze cywilnej, gorliwego szermierza katolickiej wiary, który duszę swego narodu niewątpliwie zna lepiej, niż wszyscy nasi politycy oraz publicyści.

Ks. Biskup Chomyszyn [1]) taki na ten temat wyraża sąd i taką daje analizę:

Między Ukraińcami i Polakami istnieje historyczna, plemienna nienawiść i bezdenna przepaść. Ukraińcy uważają Polaków za swych dziedzicznych wrogów i gnębicieli; zieją przeciwko nim zawziętością; w nich widzą wyłączną przyczynę swego nieszczęścia i niepowodzenia. Ukraińcy mają więcej zaufania do każdego innego narodu nawet do Chińczyków, Turków czy innych aniżeli do Polaków, względem których są do tego stopnia uprzedzeni, że wszelkie zbliżenie do nich uważają nie tylko za niebezpieczne, ale za formalną prawie zdradę narodową.

Polacy znowu, czy jako naród, czy też jako państwo, zawsze uważają Ukraińców za naród drugorzędny, jeden z *minorum gentium,* plemię niezdolne do rozwoju kulturalnego, nadające się

[1]) Problem ukraiński. Str. 94.

raczej na lokai pańskich i fornali dworskich, albo na zbójów i hajdamaków. Nawet dziad polski pod kościołem uważa się za arystokratę w porównaniu z Ukraińcem. Między Ukraińcami i Polakami prowadzi się walka wiekowa, zacięta, na śmierć i życie. Rzecz jednak jasna, że jedni i drudzy nie są bez winy.

Tak pisze nie demagog, nie zawodowy polityk, ale biskup katolicki, który jako starzec stojący nad grobem nie waha się mówić swemu narodowi gorzkich słów prawdy, dyktowanych jedynie sumieniem.

Dziwnym się musi wydać, na pierwszy rzut oka, tak ostry i pesymistyczny sąd w ustach biskupa. Jeżeli jednak wybitny wyznawca i obrońca wiary, głoszący zgodnie z swoim powołaniem wzniosłe hasła miłości bliźniego, nie waha się użyć tak ostrych określeń, to z pewnością musiał mieć do nich głębokie podstawy. Czy więc można nad tym wszystkim przejść obojętnie do porządku dziennego? Czy wytknięty nam mocno kompleks wyższości w odniesieniu do Ukraińców nie przynosi równie smutnych rezultatów jak kompleks niższości, na który od wielu lat chorujemy w stosunku do mocarstw zachodnich?

Ks. Biskup Chomyszyn nie poprzestał jednak na podsumowaniu win przeszłości, usiłuje również znaleźć wyjście z błędnego koła grzechów i pomyłek.

Niech polskie społeczeństwo spyta historii a ona mu powie, że ilekroć Polska lekceważyła Ukrainę, tyle razy potem ciężko pokutowała. Opatrzność Boska wręczyła Polsce bicz, ażeby nas smagać za nasze winy, jednakowoż nie na nasze zgnębienie i zniszczenie, ale na nasze dźwignięcie i uzdrowienie i to dla dobra samego państwa polskiego. Jeżeli jednak Polska nie zrozumie swego posłannictwa i nadużyje swej władzy, wówczas może Opatrzność Boska bicz ów zwrócić przeciwko niej samej.

Ks. Biskup Chomyszyn stwierdza zatem najwyraźniej, że Polska ma posłannictwo, że w jej rękach spoczywa możność dźwignięcia i uzdrowienia ukraińskiego narodu i to nie z jakichś idealnych i abstrakcyjnych pobudek, ale dla „dobra samego państwa polskiego". Chodzi więc o interes wspólny. W czym jednak tkwi ten interes?

Utrzymanie niepodległości jest najwyższym celem doczesnym dla każdego narodu wolnego, uzyskanie jej, najwyższym celem dla narodu niewolnego. Gdy naród cel ten zatraca, upada oraz moralnie podleje.

Dla narodu ukraińskiego, który w ciągu wieków nie stworzył niepodległego i zorganizowanego państwa, który

zatem nie posiada jasnej i skrystalizowanej racji stanu, rozpoznanie najwłaściwszych dróg wiodących do osiągnięcia tego celu jest rzeczą niezwykle trudną. Nic więc dziwnego, że w historii minionych wieków, aż do lat ostatnich linia polityki ukraińskiej biegnie łamanym zygzakiem. Liczne są okresy orientacji na Polskę, i może dlatego te właśnie okresy uważamy spontanicznie za najchlubniejsze w dziejach Ukrainy. Nie brak było i stawiania na pogan, Turków czy Tatarów, były okresy bratania się z Moskwą, zakończone dwuwiekową niewolą. U naszych Ukraińców przeważała orientacja na Wiedeń i Berlin i państwa te odnosiły się do zagadnienia terytorialnej niepodległości Ukrainy z całą życzliwością, rozumiejąc ją jednak i projektując w ścisłym oparciu o siebie. W tych właśnie perspektywach zrodził się pokój w Brześciu. Był również okres Ukrainy z hetmanem w Kijowie. Bolszewicy poszli z początku po tej samej linii, wszak mieliśmy w Warszawie oddzielne poselstwo niezawisłej Ukrainy Komunistycznej. Przez cały ten czas tylko w Polsce nie było żadnego zrozumienia dla życiowej, najistotniejszej kwestii bratniego narodu. Wprawdzie śp. marszałek Piłsudski, nawiązując do tradycji Piastów i Jagiellonów, miał inne zamiary, ale za to właśnie spadło na jego głowę niemało ciosów moralnych. Zresztą marsz na Kijów zawiódł, zamienił się w straszną klęskę. Może było na takie wielkie marzenia za wcześnie.

Trudno się jednak dziwić w perspektywie historii, że naród ukraiński widzi w nas wrogów najzawziętszych swej niepodległości, przyczynę swych nieszczęść, bicz którym go smaga Opatrzność. Trudno odmienić historyczny pewnik, że niepodległość to życie narodu a z wrogiem niepodległości prowadzi się walkę na życie i śmierć.

Dziś w retrospektywnej refleksji nie trudno ustalić, że w r. 1920 było istotnie za wcześnie. Podejmując hasło niepodległej a z nami sfederowanej Ukrainy byliśmy za słabi na zrealizowanie wielkich planów. Mieliśmy za sobą świeżą wojnę o Lwów a protektorów sprawy ukraińskiej było wielu.

Obecnie sytuacja międzynarodowa uległa gruntownej zmianie. Wiedeń przestał istnieć. Berlin usunął Konowalca a ostatnie posunięcia Hitlera w Reichswehrze osłabiły protektorów niepodległej Ukrainy. Program wytyczony w *Mein Kampf* do innych zdąża osiągnięć, które raz zamienione w czyn staną się kresem wszelkich niepodległościowych marzeń Ukrainy!... Rumunia w tej kwestii nie jest żadnym konkurentem a przed Czechosłowacją otwiera się najgroźniejszy okres wewnętrznych wstrząsów, w których przyjdzie jej walczyć o niepodległość własnego państwa. Zresztą polityka czeska uzależniła się do tego stopnia od Moskwy, iż świeżo

Czeskie Słowo (3. III 1938), reprezentujące grupę Benesza, zaatakowało ostro Ukraińców, nazywając nawet ich język żargonem, sztucznie stworzonym przez austriackie władze przed wojną. Złośliwość ta świadczy najlepiej o zmianie nastrojów.

A bolszewicy, ten najgroźniejszy z niedawnych licytantów ukraińskiej sprawy, zrobili wszystko, aby nam akcję ułatwić. Polityce prowadzonej przez Stalina musimy przede wszystkim zawdzięczyć, że inteligentom ukraińskim w Małopolsce otwarły się nareszcie oczy. Zrozumieli, że rządy bolszewickie nie tylko zrujnowały bogatą niegdyś Ukrainę, ale co gorsza zatruły duszę narodu. Szerokie masy włościańskie, wyjałowione prawie doszczętnie z inteligencji, ogarnięte ruchem bezbożniczym, staczają się w szybkim tempie w przepaść moralnego zdziczenia. Prawosławie, którego wykładnikiem i stróżem był tutaj pop-czynownik rosyjski, nie mogło stać się duchową dźwignią w okresie komunistycznej niewoli. Tradycje zaś ukraińskiej swobody wytępiono bezlitośnie.

A przecież właśnie tam na rozległych i żyznych obszarach mieszka około 35 milionów ukraińskiego narodu. Tym więc milionom trzeba by pospieszyć z ratunkiem.

I tu właśnie otwierają się nowe a rozległe horyzonty dla ukraińskiej polityki narodowej!

Nie ulega żadnej wątpliwości, że cerkiew grecko-katolicka, wiernie podległa Rzymowi, jest dla Ukraińców Kościołem prawdziwie narodowym. Z tym się Cerkiew ta nie kryje i to stanowi jej siłę. Temu bowiem oparciu o Rzym zawdzięcza naród ukraiński w wysokim stopniu cenny przywilej, że chce i może uważać się za członka wielkiej grupy narodów kultury zachodniej. Ta kulturalna ewolucja w kierunku Zachodu jest bezwzględnym faktem, tempo jej ciągle narasta, a alfabet, kalendarz i brak celibatu kleru procesu tego wstrzymać nie zdołają. Co więcej, wśród ukraińskiej inteligencji rośnie świadomość dziejowej misji, której ona właśnie dokonać musi w stosunku do owych 35 milionów braci wepchniętych w ramy obcego rosyjskiego państwa. Jeśli bowiem te miliony nie mają przepaść dla narodowego ducha w odmętach rosyjskiego komunizmu, to muszą być zdobyte właśnie dla kultury Zachodu. Tylko bowiem ta kultura może stanowić skuteczną tamę przed rusyfikatorskim zalewem Moskwy.

Dziś całe duchowieństwo grecko-katolickie z biskupami swymi na czele, niemniej również i olbrzymia większość ukraińskiej inteligencji w Polsce odnosi się w sposób bezwzględnie wrogi do czerwonego caratu Stalina. I jakakolwiek nastąpiłaby zmiana politycznej linii Sowietów nic

nie potrafi już dziś zachwiać przekonania grecko-katolickiej Cerkwi, że z Moskwy idzie dla niej zguba a równocześnie zguba ukraińskiego narodu. Obawy inteligencji, czy Cerkiew grecko-katolicka nie stanie się przeszkodą dla zjednoczenia całego narodu, ze względu na przynależność olbrzymiej większości tegoż narodu do prawosławia — zmalały obecnie do zera. Dziś nic nie stoi ne przeszkodzie do zgodnej penetracji religijnej i narodowo kulturalnej na Wschód. Przed Kościołem grecko-katolickim otwierają się więc olbrzymie perspektywy, najszczytniejszej akcji religijno-narodowej!

I w tym właśnie fakcie widzimy doniosły punkt wyjścia do rozwiązania u nas ukraińskiego problemu. Tylko trzeba mieć odwagę postawić go w skali międzynarodowej, nie narażając oczywiście w niczym na szwank interesu i całości polskiego państwa.

Ruś Czerwona w granicach, w jakich dzisiaj znajduje się w posiadaniu Polski, należała do niej od wieków i jest przesiąknięta elementem polskim i polską kulturą do tego stopnia, iż żaden rząd polski nie ośmieliłby się postawić kwestii wydzielenia jej z granic Rzeczypospolitej, żaden też Polak patriota na utratę tej dzielnicy zgodzić by się nie mógł. Tutaj mieszkaliśmy razem z Ukraińcami od wieków, tutaj też nadal żyć razem z nimi będziemy. Ale przecież niepodległość ukraińskiego narodu to coś znacznie ważniejszego niż owe cztery i pół miliona obywateli Rzeczypospolitej, to olbrzymia i bogata Ukraina naddnieprzańska! Społeczeństwo polskie nie tylko może ale i powinno uznać i poprzeć wysiłki ukraińskiego, bratniego nam narodu do uzyskania wolnej i potężnej ojczyzny. Dążenia do stworzenia katolickiej z Zachodem związanej Ukrainy nie powinny żadną miarą dojść do pomyślnego rezultatu mimo nas lub co gorsza wbrew naszym życzeniom, bo wówczas utrata Rusi Czerwonej może się stać dla nas kwestią przesądzoną na zawsze. I przeciwnie, jeśli naród polski stanie do zgodnie życzliwej współpracy nad urzeczywistnieniem najgorętszych pragnień kilku milionów swych obywateli, wówczas kwestia wschodniej Małopolski stanie się automatycznie zagadnieniem, które wolny Kijów z wolną Warszawą rozwiążą i prędko i łatwo. Dzisiejszy stan rzeczy na Ukrainie naddnieprzańskiej wyjałowił ten kraj prawie doszczętnie z ukraińskiej inteligencji, czyż więc niewątpliwy u nas nadmiar tejże inteligencji nie znajdzie naturalnego, słusznego i jakże twórczego odpływu w tym właśnie kierunku? Całe zagadnienie ukraińskie straci w Polsce swą dotychczasową ostrość, ograniczy się niewąt-

pliwie do kulturalnej ochrony mniejszości, znajdującej się poza kordonem wolnej Ukrainy.

Polska racja stanu może tylko pragnąć takiego właśnie rozwiązania sprawy, polski zaś katolicyzm, w poczuciu swej dziejowej misji, powinien jak najusilniej wspomagać Cerkiew grecko-katolicką w spełnieniu jej najdonioślejszego na wskróś katolickiego a nie narodowego tylko zadania. Najwyższy czas, by zdemaskować oraz przezwyciężyć utopijne mrzonki niektórych naszych polityków, którzy lansują popieranie prawosławia przeciwko unii. Usiłowaniom tym patronuje złudna nadzieja spolszczenia prawosławnej cerkwi i uczynienia z niej powolnego narzędzia w kresowej polityce. W rezultacie jednak polityka ta tworzy obłudną fasadę, za którą tai się bezbożność i moralne rozprzężenie. Prawosławie można kupić, o tym nie wątpimy, tylko że tym prawosławiem będzie garść karierowiczów ale nie szerokie masy, te pójdą raczej w odmęty niewiary oraz komunizmu. Czy nie mamy na to najoczywistszych dowodów? I czy taka polityka jest godną katolickiego narodu, chlubiącego się mianem chrześcijańskiego przedmurza? A może ukrytym pionierom tej ideologii przyświeca miraż polskiej narodowej cerkwi, biały car w miejsce białego papieża? Nie ośmielamy się formułować takiego zarzutu, bo byłby to ciężki zarzut zdrady narodu i jego najświętszej katolickiej tradycji. Całą zatem winę składamy jedynie na krótkowzroczność utopijnej polityki...

Ale wracając do ukraińskiego problemu, musimy podkreślić, iż mówiąc o tym doniosłym i realnym planie, nie mamy oczywiście na myśli marszu wojsk polskich na Kijów, czy akcji politycznej w tym kierunku na międzynarodowym terenie. Polska jest związana traktatami i traktatów tych lojalnie przestrzegać musi. Nie kto inny ale naród ukraiński, świadomy swych narodowych praw i swej katolickiej misji, musi przede wszystkim własnym wysiłkiem wywalczyć sobie niepodległość, do której ma bezwzględnie naturalne prawo. Ale wypadki galopują dziś z niesłychaną szybkością, karta Europy może ulec dalszym zmianom, rozkład komunistycznego reżimu posuwać się będzie w przyśpieszonym tempie, konflikty dalekiego Wschodu otwierają różne możliwości... Czy w takim momencie historii uwaga ukraińskiego i polskiego społeczeństwa, zamiast rozpraszać się w beznadziejnych i jakże często małostkowych sporach, nie powinna rozszerzyć swych horyzontów, zdobywając się na wielkie mocarstwowe a równocześnie na wskróś katolickie plany?

Znamy program *Mein Kampf*'u... Czy stworzenie totalistycznej kolonii hitleryzmu na naszych wschodnich rubieżach jest dziś jedynie szaleńczym mirażem? Czy Komintern,

wykonujący plany Moskwy w międzynarodowej skali, ma mieć monopol dokonywania przewrotów w obcych państwach, na zgubę religii i kultury? Wydaje nam się rzeczą oczywistą, iż zachowując w całej pełni zawarte traktaty, możemy i powinniśmy uświadomić i sobie i drugim, że pełna niepodległość naddnieprzańskiej Ukrainy jest nie tylko gorącym pragnieniem kilku milionów Ukraińców, żyjących w polskim państwie, ale leży w interesie polskiej racji stanu.

Rząd polski przez swoje czyny i działalność ma pełne prawo zamanifestować, że takie właśnie podejście do zagadnienia uznaje za własne, może też w wysokiej mierze przyczynić się do zrozumienia przez społeczeństwo polskie, iż ta jedynie droga prowadzi do właściwego i pełnego a naszej wiekowej tradycji kulturalnej i religijnej prawdziwie godnego celu.

A. Hitler narzucił Niemcom nie tylko układ z Polską ale i jego ducha, choć mogło się to wydawać politycznym i narodowym absurdem i choć były kanclerz Brüning nazwał to narodową zdradą. Dyscyplina reżimu Trzeciej Rzeszy przeszła zwycięsko nad sentymentami i rankorami pruskich szowinizmów, a przyszli historycy Niemiec uznają niewątpliwie decyzję Führera za zgodną z interesami niemieckiego narodu i państwa.

Czy i w Polsce nie trzeba będzie w niejednym punkcie skorygować narodowej psychiki, by polskie państwo, wbrew nieraz popędom serca, ale w oparciu o trzeźwą ocenę rzeczywistości i chłodny rozsądek, mogło realizować plany dalekosiężne i naprawdę mocarstwowe! Spokojne i pełne umiaru podejście do litewskiego sporu, wbrew gorącym nastrojom, pozwala przypuszczać, iż i ukraińska sprawa znajdzie swoje rozwiązanie zgodne z etyką i interesem polskiego państwa.

A nie wątpimy ani na chwilę, iż ukraińskie społeczeństwo, łaknące nie słów i enuncjacyj, ale czynów — zrozumie prędko ich wymowę i ustosunkuje się pozytywnie do wielkich a realnych planów. W perspektywie tych właśnie planów naród ukraiński powinien na ziemiach Rzeczypospolitej cieszyć się pełną swobodą kulturalnego rozwoju, by mógł się przygotować świadomie do spełnienia wielkiej narodowej i katolickiej misji. W imię dalszych, a jakże doniosłych zamierzeń należy zapewnić Ukraińcom możność kształcenia młodzieży w specjalnej wyższej uczelni a młodej inteligencji umożliwić przynajmniej proporcjonalny do liczby dostęp do urzędów i funkcyj publicznych. Atmosfera życzliwości i świadomość wielkiego a wspólnego celu musi z czasem stępić antagonizmy przeszłości. Rząd polski powinien otaczać specjalną opieką kresowy element polski, powinien

rozbudować szkolnictwo polskie dla polskiej ludności, pomnożyć wydatnie rzymsko katolickie placówki duszpasterskie, by zapobiec religijnej oraz narodowej krzywdzie. To sprawa zupełnie jasna. Ale poparcie to nie może iść w parze z upośledzeniem obywateli tego samego państwa, należących do bratniej narodowości, autochtonów nie przybyszów, związanych z nami węzłami tej samej religii, częstokroć i krwią. Nie uznajemy podwójnej etyki tak w życiu jednostek jak i w działalności państw. Dlatego z gruntu fałszywym byłby system jakichś kryptododatków dla naszych urzędników kresowych. Właśnie na kresy powinniśmy słać naszą elitę moralną, najlepszych wojewodów, najzdolniejszych starostów, najsprawiedliwszych sędziów, najgrzeczniejszych skarbowców. Każdy bowiem urzędnik Polak ma tam do spełnienia podwójną misję: ma urzędować w imieniu polskiego państwa, zapewnić pełne poszanowanie jego praw ale równocześnie ma urzędować w ten sposób, by dawać godne świadectwo kultury polskiej a tym samym wiązać obywateli bez różnicy narodowości z państwem węzłami najsilniejszymi bo sprawiedliwością, której żadnych zarzutów postawić nie można.

Jeden z wybitnych znawców ukraińskiej sprawy St. hr. Łoś napisał niedawno obszerną i gruntowną pracę na temat konstruktywnej polityki na Czerwonej Rusi. Analiza problemu jest pierwszorzędna, wykazuje gruntowną znajomość przedmiotu, ale wnioski z niej wysnute nie wzbudzą entuzjazmu i nie znajdą echa. Bo jak się nam zdaje trzeba je rozpiąć na daleko szerszym, mocarstwowym planie, trzeba spojrzeć za kordony, trzeba uprzytomnić sobie także ambicje katolicyzmu, do którego oba narody są namiętnie przywiązane.

Oczywiście można też te plany zbagatelizować, można je nazwać jak w r. 1914 nazwano legionowy czyn, mrzonkami romantycznymi. Tylko wtedy nie łudźmy się, iż zdążamy do rozwiązania tego tak doniosłego problemu. A streszcza on się dla nas coraz silniej w dylemacie: Hakata czy Unia Brzeska, Grunwald czy srom Piławiecki?!

Ks. Edward Kosibowicz T. J.

Sprawy Państwa.

Katastrofa europejska. — Poszkodowani i benefisanci. — Perspektywy Jagiellońskie. — Wymarsz na Wileńszczyznę. — Litewskie rozmowy z sąsiadami.

Nad położeniem politycznym świata w ub. miesiącu panował niepodzielnie ogromny, najpotężniejszy z dotychczasowych

„fakt dokonany" przez Niemcy — zabór Austrii. Jak się to stało, jakie to ma znaczenie, co stąd wynikło i wyniknąć może lub musi?

Bezpośrednie tło z którego się wyłonił ów „fakt dokonany" referowałem już w sprawozdaniu poprzednim. Punktu wyjścia dostarczyła przewrotowi rozmowa dwóch kanclerzy, Hitlera i Schuschnigga w Berchtesgaden. Jej aż nadto widoczna tendencja sforsowania *Anschluss'u* poruszyła całą dyplomatyczną Europę. Pod wpływem tej rozmowy wzmogły się zabiegi międzynarodowe zmierzające do takiego przegrupowania układu sił, ażeby on Niemcy skrępował i *Anschluss* uniemożliwił. Ten cel w wielkiej mierze miały na widoku układy anglo-włoskie i anglo-niemieckie. Wiodły one w kierunku nowego „paktu czterech", względnie pięciu (wraz z Polską) mocarstw zachodnich, a przez Moskwę podejrzewane były o skłonność do bloku przeciwsowieckiego. Przeciwstawiła im więc swój wpływ na politykę francuską oraz sprawę hiszpańską w duchu paktu francusko-sowieckiego, który by krzyżował pakt czterech, ale jeszcze bezwzględniej zmierzał do unieruchomienia Niemiec. Te dwa sprzeczne prądy w polityce europejskiej długo ubezwładniały się wzajemnie, wytwarzając niebezpieczne wiry w Hiszpanii i w Austrii. Ostatnio począł przeważać prąd paktu czterech, od strony ugody anglo-włoskiej. Z Londynu forsował ją Chamberlain i Halifax, po usunięciu Edena, usposobionego bardziej wyczekująco i nie denerwującego się Austrią.

Zarysowywała się możliwość śpiesznej likwidacji czerwonej Hiszpanii, widoki śródziemnomorskiego i abisyńskiego porozumienia, oraz europejskiego współdziałania Anglii i Włoch w stosunku do Niemiec. Austria wtedy mogła być ocaloną tym bardziej, że szły na to i Sowiety dopuszczając pewien postęp konsolidacji oraz rozwój zbrojeń we Francji.

Taka koniunktura dodała odwagi zagrożonej Austrii i Czechom. Schuschnigg, pomimo Berchtesgaden, począł się „stawiać". Wygłosił zadzierzystą mowę „niepodległościową", naśladował go w tym Hodża w Pradze, wreszcie zapowiedział Schuschnigg plebiscyt za niepodległością Austrii. W „mowie pogrzebowej" wygłoszonej po „fakcie dokonanym" Mussolini twierdzi, że gdy go ze strony austriackiej zapytywano o zdanie w sprawie plebiscytu, odradzał, mówiąc, iż jest to „pocisk, który wybuchnie w rękach". Istotnie zwrot w międzynarodowym układzie sił, na który liczyła Austria, nie był jeszcze bynajmniej „faktem dokonanym". Ostrożniej było grać na zwłokę i nie prowokować przeciwnika do przyśpieszonych rozstrzygnięć. Gdyby Austria zdołała przeciągnąć stan swego zagrożenia, który „popędzał" układy anglo-włoskie, to mogła była doczekać lepszej dla siebie konstelacji międzynarodowej, zdolnej jeszcze osłonić ją przed *Anschluss'em*. Austria jednak uniosła się honorem. Warunki narzucane jej przez Hitlera od czasu Berchtesgaden okazały się dla uczuć niepodle-

głościowych austriackich zbyt trudne do zniesienia. Ogłoszono plebiscyt. Chwycono za pocisk, który istotnie wybuchnął w ręku. Hitler uznał, iż nie może dopuścić do takiego dla swych zamierzeń ciosu; a zapewne także, iż jest to pożądana sposobność do szybkiego dokonania nieodwołalnego faktu, który później mógł się okazać znacznie niedostępniejszym.

Tak się to więc stało. A gdy się już stało, to jakąż wytworzyło doraźnie nową sytuację, lokalną i ogólną? Oczywiście wytworzyło ją przede wszystkim dla samej Austrii. Nie tylko ze względu na zmianę *régime'u* i państwowości, lecz także ze stanowiska międzynarodowego. Hitler w swoim przemówieniu „intronizacyjnym" na wiedeńskim Placu Zamkowym oświadczył, iż uważa się za narzędzie Opatrzności, która zmienia misję dziejową Austrii: dotąd była ona zaporą dla ekspansji Niemiec, odtąd staje się dla tej ekspansji wrotami.

Tak jest istotnie. Odczuły to w pierwszym rzędzie Czechy. W Austrii „intronizował się" nie tylko kanclerz Hitler, ale i stutysięczna, wyborowa armia niemiecka, która z łatwością może się wielokrotnie powiększyć. Czechy i Morawy (Słowaczyzna znajduje się terytorialnie poza nawiasem) stały się odtąd geopolitycznym i strategicznym nonsensem. Ujęły je z trzech stron żelazne kleszcze niemieckie, przenikające na wewnątrz w 33% mniejszości niemieckiej, rozsiedlonej wzdłuż granic. Stały się więc Czechy tworem państwowym na wskróś sztucznym, może bardziej jeszcze, chociaż na ogół podobnie, jak stałaby się nim Wielkopolska, gdybyśmy utracili Pomorze. Odtąd niepodległość Czech zawisła niemal wyłącznie na zbrojeniach francuskich i angielskich, których spotęgowaniem do najwyższego stopnia oba mocarstwa zachodnie odpowiedziały na zabór Austrii. Dosyć prawdopodobne wydają się wobec tego pogłoski prasowe, jakoby rząd czechosłowacki miał oświadczyć w Paryżu, iż ewentualnej agresji niemieckiej stawi opór zbrojny jedynie w tym wypadku, jeżeli automatycznie wywoła ona zbrojną akcję francuską przeciw Niemcom. Gdyby ona zawiodła, to Czesi złożą broń, upraszając jedynie autonomię dla czeskiego jądra kraju — w ramach Rzeszy niemieckiej.

Drugim najbliżej i najciężej poszkodowanym sąsiadem Austrii są Włochy. Granica Brenneru w Alpach Tyrolskich jest wprawdzie dla Italii znacznie obronniejsza od przedwojennej. Jednakże ów „fakt dokonany", mocą którego Austria przestała być zaporą dla niemieckiego naporu na Adriatyk, a stała się pomostem, przysunął krociową, od stóp do głów uzbrojoną armię niemiecką, na odległość niespełna 100 km od Triestu. Z natury rzeczy musi ciężar tej armii cisnąć również na Jugosławię, która jest bezpieczna dla Włoch tylko jako sojusznik, lub teren ekspansji ale stać by się mogła bardzo niebezpieczna, jako sojusznik lub teren ekspansyjny niemiecki. Z dotychczasowych dziejów osi

rzymsko-berlińskiej wypadało, że linia podziału sfer interesów niemieckich i włoskich nad Dunajem, w najkorzystniejszej dla Niemiec wersji, może przyznać Niemcom przewagę nad Czechosłowacją, także nawet nad Austrią, jednak bez dostępu na Bałkan, zastrzeżony dla Italii. Ta doniosła dla niej zasada niekoniecznie musi okazać się „murowaną" z chwilą, gdy znagła wybuchnął *Anschluss* państwowy i militarny, burząc austriacką barykadę i oddając ją w ręce Niemiec, jako wrota roztwarte na Bałkan. Niebezpieczeństwo w tym kierunku mogłoby przybrać kształty realne zwłaszcza w wypadku ostrzejszych objawów niesubordynacji ze strony polityki włoskiej wobec Niemiec, oraz porozumienia między nimi a Rosją, na co się zresztą chwilowo nie zanosi.

W swej śmiałej ryzykownej imperialistycznej grze, Mussolini przerachował się niewątpliwie, na punkcie *Anschluss'u*. To maksymalne z jego strony ustępstwo na rzecz partnera w osi rzymsko-berlińskiej zostało bowiem zrealizowane o tyle stanowczo i wyraźnie, o ile niewyraźnie przedstawiają się korzyści, które dyktator Italii spodziewał się osiągnąć we współdziałaniu z Niemcami. Marzył, by mocną stopą utwierdzić się w Hiszpanii i Grecji, dwóch kapitalnych pozycjach strategicznych na Morzu Śródziemnym, stamtąd szachować angielską drogę do Indii, ubocznie i w razie potrzeby wywierać przez Pireneje i Alpy dwustronny nacisk na południe Francji; przede wszystkim zaś wzburzyć świat muzułmański przeciwko zachodnim potęgom kolonialnym, wyprzeć je z ich posiadłości, związać Abisynię z Libią oraz Sudanem angielskim, objąć kontrolę nad Suezem.

Wspaniałe te sny od dłuższego już czasu poczęły przybierać kontur coraz bardziej mglisty, szczególnie w Hiszpanii. Kosztowała ona Niemcy i Włochy — wiele wysiłku po części bojowego, a zwłaszcza materiałowo-finansowego, z takim jednak tylko wynikiem, że gdy wielkie potęgi morskie i kapitalistyczne, głównie Anglia, zechciały skokietować generała Franca, to natychmiast i „niedwuznacznie" zasiadał on na dwóch stołkach. Hiszpańska racja stanu kształtuje się tak paradoksalnie, że taka właśnie pozycja jest dla niej najdogodniejsza. Pozwala wyzyskać pomoc niemiecko-włoską dla pognębienia czerwonych, a skoro to już zapewne nastąpi, na ten wypadek zwycięski dyktator Hiszpanii rezerwuje sobie widoki pomocy kredytowej u Anglosasów jako też ich protekcję polityczną przeciwko wasalizacji wobec Włoch. W końcu ogłosił gen. Franco wywiad z korespondentami paryskiego Havasa, doraźnie zmierzający do powstrzymania rządzących marksistów francuskich od pomocy dla czerwonych Hiszpanów, ale wyrażający również szerszą myśl polityczną. Zaleca zbliżenie państw śródziemnomorskich, czyli Hiszpanii z Włochami, Francją i W. Brytanią, tym samym zaś eliminację Niemiec, oraz równowagę wpływów zachodu i Włoch w samej Hiszpanii.

Ze stanowiska włoskiego jest to perspektywa raczej skromna i odmienna od tej, jaką sobie w Hiszpanii upatrzyły. Wobec zaboru Austrii kompensata by to była nader wątpliwa pomimo, iż Niemcy lojalnie wespół z Włochami nadal pomagają Francowi do zwycięstwa nad czerwonymi, ażeby wobec Włoch wypełnić swe zobowiązania. Jeżeli jednak w Hiszpanii zanosi się raczej na *condominium* wpływów włosko-angielskich i polityczną neutralizację tego kraju niźli na jego aktywizację pod przewagą Italii, to i na Bałkanie projektowana hegemonia włoska stanęła pod wielkim znakiem zapytania, od chwili, gdy nad styryjską granicą Jugosławii zawisła bezpośrednio cała potęga militarna Niemiec. Tylko pod protektoratem niemieckim mogłyby Włochy sprawować protektorat nad Bałkanem, wymierzony z Grecji przeciwko Anglii. Nie licowałaby taka polityka ani z niepodległością Włoch wobec Niemiec, ani z anglo-włoskim kompromisem w Hiszpanii.

Mussolini wyraźnie teraz musi odczuwać, że na Bałkanie ze strony Niemiec grozi mu albo otwarta i przemożna rywalizacja albo zamaskowana a niezaszczytna wasalizacja. Dlatego śpiesznie zdąża do ugody z W. Brytanią nie tylko hiszpańskiej, lecz i szerszej, która by za cenę włoskiej rezygnacji z przewagi nad Grecją, umożliwiała współdziałanie anglo-włoskie w obronie Bałkanu przed Niemcami. Projektowane warunki tej szerszej umowy przeniknęły do prasy w dwóch wersjach, radykalniejszej i skromniejszej. Londyn nie zgodził się na dopuszczenie Italji do straży militarnej nad Kanałem Suezkim w zamian za zwrot rdzennej, wysokogórskiej Abisynii — negusowi, co by neutralizowało między Italią a Brytanią obszar źródłowy Nilu. Zanosi się więc, w chwili gdy piszę, na to, że ugoda anglo-włoska obejmie tylko takie punkty jak wycofanie wojsk włoskich z Hiszpanii w terminie pozwalającym na uprzednią likwidację czerwonych, uznanie włoskiego Imperium Etiopii przez W. Brytanię, redukcję wojsk w Libii, zaniechanie propagandy przeciwangielskiej pośród Arabów zwłaszcza w Palestynie, przywileje dla Włoch przy użytkowaniu z Kanału Suezkiego, równowagę fortyfikacyjną Malty i Pantellerii, Cypru i Rodosu etc.

Na podstawie doświadczeń hiszpańskich Mussolini już od dość dawna zdawał sobie sprawę, że jego rozległe, z Hiszpanii wyprowadzane plany mają zbyt kruchą podstawę, ażeby się dały urzeczywistnić tak wspaniale, jakby to było konieczne dla skompensowania *Anschluss'u* Austrii. Usiłował więc przesunąć swoją „oś" z Berlinem w punkcie austriackim, naprzód przez wznowienie „protokołów rzymskich", następnie przez układy z Anglią. W toku tych zabiegów został przez Hitlera zaskoczony olbrzymim „faktem dokonanym". Reagować w odosobnieniu, o własnych tylko siłach, nie mógł, tym bardziej, że go uprzednio wiele kosztowała Abisynia i Hiszpania. Wobec tego *il a fait bonne mine au mauvais jeu,* posłał Hitlerowi depeszę gratulacyjną w sensie „niech żyje oś", przyjął wykończenie pomocy w Hiszpanii, a te-

raz reasekuruje się z Anglią, jak przed *Anschluss*'em reasekurował się z Polską.

Dążenia te mogłyby się rozwinąć w konstelację poważną, zdolną jeszcze utrzymać Niemcy w równowadze, a nawet zabezpieczyć w pewnej mierze Czechosłowację, gdyby przybrały postać wskazaną w wywiadzie gen. Franco z Havasem: misji romańskiej Włoch, Hiszpanii i Francji, sprzymierzonej z W. Brytanią. Komasowałoby to wszystkie siły mocarstwowe zachodniej Europy. Przeszkodę przedstawiają jeszcze czerwoni Hiszpanie, oraz stojąca za nimi Moskwa. Współdziała ona wprawdzie w osłonie Czech przez swój udział w zespole antyniemieckim, ale zarazem przez lewe chwyty w wewnętrznej polityce francuskiej usiłuje dopomóc dogorywającej Walencji, której bezpośrednio popierać już zdaje się nie może. Utrudnia więc solidaryzację zachodu, w obawie, że mogłaby ona nawrócić na tor paktu czterech, oraz bloku przeciwsowieckiego. Na razie ta obawa utraciła jednak swą aktualność na rzecz kryzysu niepodległości czeskiej, przy którym Sowiety są Zachodowi pomocne.

Co do znaczenia jakie *Anschluss* wywarł na położenie międzynarodowe samych Niemiec, to niewątpliwie oznacza on tryumf duży, ale zarazem jeszcze połowiczny i nie decydujący. Zajmując Austrię powiedziały Niemcy A, które gwałtownie się domaga ażeby po nim nastąpiło B, w zajęciu Czech. Niemcy zdobyły potężną pozycję strategiczną, austriacką, której wagi nie mogą w całej pełni dać odczuć sąsiadom, dopóki nie opanują jej czeskiego zaplecza. Powiększyły się Niemcy o 7 milionów Austriaków, ale zarazem obciążyły swe niesamowystarczalne gospodarstwo narodowe dodatkowymi kosztami utrzymania również niesamowystarczalnej Austrii. Gdyby Niemcy zajęły Czechy i Morawy, to do swych deficytów ekonomicznych dołączyłyby jeszcze jedną pozycję bierną, a gdyby zajęły także Słowaczyznę, to w najlepszym razie zabór czechosłowacki okazałby się samowystarczalny, ale Niemcom ulgi gospodarczej by nie przyniósł.

Ekspansja Niemiec w ich bezpośrednim sąsiedztwie wzmaga wprawdzie ich potęgę, ale nie może zaspokoić ich najistotniejszej konieczności życiowej, nie może zapewnić „miejsca pod słońcem" *dem Volke ohne Raum*. Wzmaga więc i przybliża niebezpieczeństwo wojny, podnosząc szanse niemieckiego w niej zwycięstwa; przynajmniej do takiego punktu, w którym albo Niemcy osłabną ekonomicznie i pozwolą się Zachodowi zdystansować w wyścigu zbrojeń, albo też otrzymają od Zachodu pomoc i ustępstwa terytorialne dostateczne, ażeby jeszcze czas jakiś egzystować w pokoju i przodować w zbrojeniach. Dopóki nie nastąpi jedno lub drugie Niemcy czuwać muszą ażeby nie przeoczyć punktu *maximum* swej zdolności bojowej i puścić ją w ruch, jeżeli nie uzyskają ustępstw, które by ten punkt pozwalały odroczyć.

Świadomość takiej natury położenia Niemiec jest na Zachodzie niedostateczna. Znany francuski publicysta z *Action Française*, duchem pokrewny hitlerowcom, p. Charles Maurras stwierdził po zaborze Austrii, że jedynym źródłem nieskuteczności pacyfistycznej polityki Zachodu wobec Niemiec, było niezrozumienie ich psychologii; Zachód stoi rzekomo na gruncie prawa, Niemcy zaś na gruncie siły. Z tego zachodniego punktu widzenia niedostrzegalny jest jakikolwiek związek przyczynowy między takimi faktami, jak 130 głów ludności na kilometr kwadratowy w Niemczech a 2 głowy w angielskiej Afryce Południowej z jednej strony, z drugiej zaś brak zbytu na rynku światowym na towar niemiecki oraz brak surowców na jego wytwarzanie.

Etyczne wartościowanie *Anschluss*'u jest trudne, zależy bowiem od tego co się uznaje za najwyższą wartość społeczną: narodowość czy wiarę, kulturę i historię. W pierwszym wypadku Niemcy są w swoim dobrym prawie przyłączając do swego państwa kraj niemiecki. W drugim — nie, ponieważ równocześnie stłumią ognisko starej kultury katolickiej niemieckiej. Inna rzecz, że włączenie Austrii a ewentualnie i Czech do Trzeciej Rzeszy, prawie zrównoważyłoby w niej liczebnie katolicyzm z protestantyzmem, a punkt ciężkości polityki niemieckiej mogłoby przesunąć ku południowi. Zaznaczyło się to w pogłoskach przeniesienia stolicy z Berlina do Monachium.

W ogóle „każdy medal ma dwie strony" ujemną i dodatnią. Po przyłączeniu Austrii i w razie przyłączenia Czech obszar, ludność, potęga oraz nacisk Niemiec na inne narody państwowe Europy wzmogłyby się mniej więcej o $^1/_3$ stanu dotychczasowego. Tak silny wzrost zagrożenia, już i tak dotąd bardzo poważnego, o ile nie wyładowałby się od razu w wojnie, to stać się powinien bodźcem wzmożonej solidarności obrony, oraz i dynamizacji wewnętrznej państw ościennych. Pierwszą jaskółką takich tendencyj na Zachodzie zdaje się być wspomniana już wypowiedź hiszpańskiego dyktatora wobec francuskiego korespondenta, jako też układy anglo-włoskie. Analogiczną „jaskółką" ze wschodu mogłaby się ewentualnie okazać wizyta regenta Horthy w Warszawie, oraz p. Ministra Becka w Rzymie. Gdyby się wzmocniły i zawarły tego rodzaju „bariery" dookoła, wielkich nawet Niemiec z zachodu, wschodu i południa, to jednak Niemcy mogłyby się poczuć osaczone, o ile by nie podały ręki Sowietom. Przypomnieć wolno, że jest to raczej ostatnia rzecz jakąby Niemcy gotowe były uczynić.

Skuteczność obronnego osaczenia Niemiec przez Zachód i środkowy wschód europejski, zależy również w pewnej mierze od postawy Moskwy, co się daje odczuć aktualnie zwłaszcza w punkcie czeskim. Skuteczność ta, a nawet potrzeba takiego osaczenia może być z drugiej strony zakwestionowana, jeżeli Niemcom uda się w nowych warunkach utrzymać przy sobie

sojusznika włoskiego, oraz wespół z nim uregulować swój stosunek do nieanektowanych sąsiadów wschodnich. Jest to jednak sprawa mocno skomplikowana przede wszystkim wobec Czechosłowacji a następnie także Polski, Węgier i Litwy.

Ogromny przyrost potęgi, który Niemcy osiągnęły w zaborze Austrii i pragnęłyby dopełnić zaborem Czech, może nie przesądzić jeszcze na ich korzyść sprawy hegemonii na kontynencie Europy, jeżeli zagrożone państwa wykażą proporcjonalny przyrost zdolności do współdziałania, oraz własnych sił wewnętrznych. To jednak nie usuwa faktu, że po zaborze Austrii państwa te znalazły się doraźnie wobec Niemiec w położeniu o wiele jeszcze niebezpieczniejszym niż poprzednio. Zrozumiały jest wobec tego powszechny *Katzenjammer*, rozliczanie strat i dochodzenie błędów, które ten krytyczny zwrot spowodowały.

Wspomniałem już wyżej o takim niekoniecznie trafnym obrachunku, dokonywanym w publicystyce francuskiej. Błąd polityki zachodniej wobec Niemiec polega w rzeczywistości nie na tym, że za wiele Niemcom ufały, lecz że usiłowały je wtłoczyć w przedwojenne ramy ich bytowania, ignorując ze ślepym uporem te niemieckie konieczności życiowe, których zaspokoić w tych ramach Niemcy nie mogli i z powodu których próbowali je rozsadzić orężem w włoskiej wojnie. Nie chcąc i nie mogąc udzielić Niemcom przestrzeni do ekspansji w Europie, mocarstwa zachodnie odmówiły im jej również poza Europą, zazdrośnie strzegąc swych „pustych imperiów" kolonialnych. I przy tym wszystkim spodziewały się jeszcze od Niemiec pokoju, którego jedyną podstawą miała być naiwna frazeologia genewska. Nie inaczej postępował Zachód z Italią. Za to właśnie płaci teraz Austrią i pewnie zapłaci Czechami.

Stosunek Polski do tego ogromnego „faktu dokonanego" jest tylko czasowo zbieżny ze stosunkami Zachodu. Przyrost potęgi Niemiec godzi w nas o tyle jeszcze groźniej niźli w mocarstwa zachodnie lub Włochy, o ile jesteśmy od nich państwem słabszym, a geopolitycznie bardziej eksponowanym. Tym więcej interesować nas musi, czy w „dokonaniu" faktu austriackiego nie jesteśmy współwinni i jaki z naszej strony błąd lub zaniedbania do tego się przyczyniły.

Był błąd i było zaniedbanie i to tak wielkie, że cały obecny tryumf niemiecki mógł oprzeć się na nich i rozwinąć jak na swej zasadniczej podstawie. Polegał na tym, że nie zrozumieliśmy jakie to heroiczne obowiązki nakłada na nas ta dumna, bezwzględnie niepodległa linia polityki międzynarodowej, jaką wytknął naszemu państwu na schyłku swego żywota Józef Piłsudski.

Był to moment, gdy Hitler w Niemczech dochodził do władzy. W przewidywaniu iż to nastąpi, zawarty został w r. 1932 pakt nieagresji z Moskwą, który pozwolił nam całą naszą siłę

odporu zwrócić ku zachodowi. Gdy Hitler objął władzę w r. 1933, polsko-rosyjski pakt nieagresji rozrósł się w wielki blok wschodni. Zarysowująca się już wówczas w „pierwszym wydaniu" oś rzymsko-berlińska, Niemcy i Włochy, zostały przez ten blok wprost przygniecione, steroryzowane, unieruchomione. Berlin się przed nami płaszczył. Blok trzymał mocno Austrię, Czechosłowację i Jugosławię.

Gdyby te formacje przyjąć za podstawę trwałego systemu polskiej polityki międzynarodowej, to musiałaby się ona rozwinąć w stałe zrzeszenie państw środkowego wschodu, oparte o Moskwę. W konsekwencji pociągnęłoby to za sobą zbliżenie rosyjsko-amerykańskie, oraz wielką akcję kredytową dla całego bloku wschodniego z Polską i Moskwą w pierwszym rzędzie. Grunt dla takiej akcji sondowała już Ameryka w Polsce. Ta perspektywa udaremniła pakt czterech w jego „pierwszym wydaniu" na zachodzie. Otwierała możliwość zajęcia Gdańska, zaznaczoną polskim desantem na Westerplatte. Ale ta perspektywa w swym szerokim dziejotwórczym rozwinięciu ciągnęła za sobą widmo Rosji zdynamizowanej na skalę amerykańską, panującej nad Azją i Europą, oraz Polski jako jej pierwszego dobrego wasala.

Nie była to więc droga niepodległości. Dlatego przekreślił ją Marszałek. Po raz ostatni w swym życiu zwrócił bieg dziejów nie tylko Polski, lecz i świata na inny, godniejszy Polski, niepodległy tor. Na przełomie lat 1933/4 zawarty został równoległy z rosyjskim pakt pokojowy polsko-niemiecki. System polskiej polityki międzynarodowej stawał się przez to dwustronnym. Przyjmował zasadę utrzymywania równowagi między Niemcami a Rosją, za pomocą „bariery" państw środkowego wschodu sięgającej od Estonii na północy, po Bułgarię na południu. To był szlak niepodległości. Stary, przesławny, przez dzieje rozerwany szlak mocarstwa Jagiellonów. Marszałek pragnął go wskrzesić. Piękne rocznicowe obchody odsieczy pod Wiedniem i urodzin Batorego, entuzjastycznie podejmowane w Wiedniu i Budapeszcie delegacje polskie, rewje na Błoniach pod Wawelem, ozłociły ostatnie dni życia Wodza, wskazując Polsce dziejową jej drogę pośród narodów.

Ale to było tylko wskazanie. Wskazanie drogi górnej, dumnej, niepodległej i dlatego właśnie niebezpiecznej. Szczególnie niebezpiecznej przez to, że nie dała się wypełnić manifestacjami ani biernością, lecz wymagała heroicznie potężnego czynu. Marszałek już go nie podjął. Przekazał go dziedzicom swej władzy. Oni zaś poprzestali na manifestacjach.

Za to nie poprzestały na manifestacjach przyjaźni polsko-niemieckiej hitlerowskie Niemcy. Niosła im ona pokój od wschodu, bezcenną wręcz swobodę ruchów na zachodzie. Nie tylko tę swobodę w pełni wykorzystały, lecz stotalizowawszy się wewnętrznie z zaciekłym uporem poczęły się dynamizować gospodarczo, podwajać, potrajać swe siły. Pakt z Polską i własne zbrojenia

przyniosły im wspaniałe owoce. Naprzód w Nadrenii. A teraz oto z kolei pierwszy wielki tryumf wschodni. Włamali się przez Austrię w ten właśnie obszar nad Dunajem, w którym taż sama Austria już raz w dziejach zawróciła, skurczyła i w końcu przekreśliła ideę Jagiellońską. Takie jest historyczne znaczenie *Anschluss*'u dla Polski.

Stało się tak dlatego, że tej idei nie można było tylko manifestować, lecz należało ją jak najśpieszniej, we współzawodnictwie z Niemcami wcielać w czyn. Wcielać jej zaś w czyn, organizować i dynamizować środkowego wschodu Europy, nie można było inaczej jak dotrzymując kroku Niemcom i przodując środkowemu wschodowi w wewnętrznym potęgowaniu sił własnych, polskich. Stało się jednak wręcz na odwrót. Kurczowo zaciskano u nas deflacyjną pętlę dusząc narodowe gospodarstwo, właśnie w tych krytycznych latach, gdy stotalizowane Niemcy prężyły się ze wszystkich sił w zbrojeniach i budowie autostrad. Kontrast metod był zbyt ostry żeby mógł nie doprowadzić do kontrastu wyników. My mamy wysokie pokrycie banknotów złotem, a oni armaty, Nadrenię i Austrię. Dumny szlak dwustronnej niepodległości począł się odchylać od równowagi w stronę uzależnienia od Niemiec. Symbolem stał się obecny zgleichszaltowany Gdańsk, jak symbolem odwrotnym był przed laty desant na Westerplatte. Spadkobiercy wskazań Piłsudskiego, nie dotrzymali miary ich wielkości.

Tak dzieje się zresztą i w polityce wewnętrznej. Może właśnie dlatego w polityce międzynarodowej musi być tak jak jest, ponieważ w Konstytucji Marszałek również wytknął tylko przewodnie zasady „wolność i moc", ale nie przepisał drogi dalszego ich rozwoju w ewolucji ustrojowej i gospodarczej. Niestety od żadnego dziejotwórcy nie można wymagać by prowadził epigonów za rękę nawet po śmierci, i to pośród przełomu, którego bieg szybko przekroczył zakres misji dziejowej Zmarłego, a bez heroizmu i dalekowidztwa opanować się nie da.

Wróćmy jednak do aktualności bardziej bezpośrednich. Opinia polska odczuwała instynktownie, że wobec *Anschluss*'u powinniśmy otrzymać jakąś kompensatę, która by choć w części zdolna była podtrzymać dotychczasowy i tak już bardzo niekorzystny, stosunek sił między naszym państwem a Niemcami. P. min. Beck tym razem podzielił w pewnym zakresie zdanie opinii. Pośród dużego entuzjazmu ludności doszła więc do skutku demonstracja zbrojna na Wileńszczyźnie przeciwko Litwie. Demonstracja osiągnęła wyznaczony jej cel. Ultimatum polskie zostało przyjęte. Stosunki dyplomatyczne między Warszawą a Kownem zostały nawiązane. To na razie wszystko.

Opinia jeszcze się cieszy, ale już nie tak bardzo, jakby chciała. Opinia jest na ogół często z działań p. ministra niezadowolona, zarzuca im zbytni oportunizm i ustępliwość. Brałem tu

nieraz politykę p. ministra w obronę, dowodząc, że nie może być inną niźli jest, bo inną mogłaby się stać jedynie wówczas, gdyby dynamizacja gospodarczej i wojskowej potęgi polskiej posuwała się w nieco mniej przepastnej odległości za Niemcami. Tak samo rzecz się ma i w wypadku litewskim.

Litwa jako obszar i zaludnienie mogłaby stanowić dla Polski kompensatę raczej skromną, bo przestrzennie jest mniejszą od Austrii mniej więcej o 30%, ludnościowo zaś prawie trzykrotnie. Natomiast jakościowo, jako pozycja geopolityczna, Litwa jest cenna, bo znacznie poprawiłaby naszą ciężko ułomną linię graniczną na północy wzmocniłaby nas wobec Prus Wschodnich z jednej, a północnych państw nadbałtyckich z drugiej strony, rozerwałaby też pozapolski kontakt geopolityczny Niemiec z Moskwą.

To właśnie jednak nie jest obojętne ani dla Niemiec ani dla Moskwy. Litwa leży na skrzyżowaniu ich stosunków do Polski. Dlatego mogła dotąd zachowywać się tak wrogo wobec nas, że zawsze służyło jej poparcie albo Niemiec, albo Moskwy, albo obojga. Stąd wreszcie nasze próby rozmów dyplomatycznych z Litwą zawsze były tylko rozmowami „pierwszej instancji". Wynik rozstrzygający zależał od apelacji do Berlina i Moskwy.

Podobnie ma się rzecz i w wypadku obecnym. Berlin i Moskwa są wprawdzie między sobą skłócone, nie mają więc na razie tendencji do czynnego szkodzenia Polsce litewskimi rękoma. Stąd jednak nie wynika, ażeby chciały a nawet mogły patrzeć obojętnie jak Litwa przeobraża się w polską pozycję czynną, mogącą zwrócić się przeciwko każdemu z nich. Gdyby przeto w myśl życzeń opinii ultimatum polskie stawiało żądania radykalne i wywołało zbrojny opór Litwy, który by trzeba było złamać siłą, to wynikłyby daleko sięgające komplikacje.

Nie byłyby one z pewnością natury moralnej, gdyż moralne prawo gruntownego poskromienia barbarzyńskich prowokacji zdziczałego szowinizmu litewskiego Polska niewątpliwie posiada. Za to w dziedzinie materialnej mogłyby przede wszystkim powstać paruset milionowe bardzo dotkliwe dla równowagi naszego budżetu koszta ewentualnej częściowej mobilizacji i zużycia materiału wojennego. Gdyby się ich nawet uniknęło, to jednak samo zajęcie Litwy wiodłoby nieuchronnie do równoległych kroków ze strony Moskwy, gdyż zagrażałoby jej umocnienie przewagi polskiej na Łotwie i w Estonii. Reagowałaby więc Moskwa na pewno zajęciem tej ostatniej, a prawdopodobnie i Łotwy, ile że te państwa łączy z sobą przymierze wojskowe. Stąd wywiązać by się musiała konieczność podziału Łotwy między Polskę a Moskwę wzdłuż Dźwiny.

Tego rodzaju przewrót nad Bałtykiem dałby się przeprowadzić wbrew Niemcom tylko w przymierzu polsko-rosyjskim. Ponieważ o nim nie ma obecnie mowy, przeto musimy się liczyć

także z postawą Niemiec. Dla Niemiec zaś niepożądana byłaby likwidacja państw nadbałtyckich na rzecz Polski i Moskwy z dwóch względów. Po pierwsze dlatego, że zamknęłoby to przed Niemcami ewentualną drogę ekspedycji wojskowej przeciwko Moskwie od strony Bałtyku, oraz po wtóre dlatego, że w pozycji litewskiej Polska mogłaby się stać powodem dla niemieckiego niepokoju o Prusy Wschodnie, silnie zresztą, także w Królewcu, ufortyfikowane. To też zajęcie Litwy przez Polskę niechybnie wywołałoby niemiecką kontrakcję w postaci zamachu co najmniej na Kłajpedę i Gdańsk, a może również na Pomorze.

Takie lub podobne propozycje wysunęłyby zapewne Niemcy także i w tym wypadku, gdy byśmy chcieli odwołać się do ich pomocy dla ewentualnego zajęcia Litwy, przy równoczesnej osłonie Łotwy i Estonii przed Sowietami. Warunkiem tedy *sine qua non* naszej wyprawy na Litwę bez prowokacji niemieckiego niebezpieczeństwa musiałoby być przeobrażenie Pomorza i Wielkopolski w jedną wielką twierdzę. Zwyczajny i nadzwyczajny polski budżet wojskowy nie zdaje się świadczyć o tym, ażeby ten warunek został już spełniony. Jeżeli spełniony nie jest, to zająć Litwę nie puszczając równocześnie Sowietów do Estonii i Łotwy można by tylko w przymierzu z Niemcami, za wysoką cenę co najmniej Gdańska. Niemcy złożyli nam już w tym kierunku swoją ofertę przesuwając 10 tysięcy szturmowców na pogranicze Kłajpedy, którą by może potem wymienili na Gdańsk. Równocześnie ukazał się w prasie berlińskiej balon próbny o tym, że sam Ribbentrop gotów by dokonać objazdu Warszawy, Kowna, Rygi, Tallina i Helsingforsu zapewne w tym celu, ażeby zorganizować tutaj protektorat polski — pod protektoratem niemieckim.

Bez tak daleko sięgających konsekwencyj, nie wywołując równoległych posunięć niemieckich lub moskiewskich nie uda się zapewne osiągnąć od Litwy wiele ponadto co już osiągnięto, czyli nawiązanie stosunków dyplomatycznych. Może jeszcze jakieś otwarcie tranzytu na kolei libawskiej, lub spławu na Niemnie. Wnosząc z wygłoszonych przez p. min. Becka wywiadów i przemówień tą właśnie powściągliwą drogą zamierza on kroczyć dalej w stosunku do Litwy. Czy w mało prawdopodobnym wypadku litewskiej dobrej woli moglibyśmy uzyskać coś więcej niźli dopuszczą Berlin i Moskwa? Chyba nie, bo wszak szturmowcy pod Kłajpedą a i sam Hitler w Królewcu, ujawniają ze strony Niemiec presję na Litwę.

Akcja litewska polskiej dyplomacji jest niewątpliwie posunięciem pozytywnym, gdyż „odbija od dna" tego martwego punktu, w którym stale grzęzły dotąd stosunki polsko-litewskie. Ale przeobrazić je w tym stopniu jaki byłby konieczny, ażeby nam u n i a z L i t w ą mogła zrównoważyć zabór Austrii, zdolne są te poczynania tylko o tyle, o ile polityka gospodarcza zdoła wytrzymać wyścig zbrojeń z mocarstwami.

Piękne było i moralnie wartościowe poruszenie „zdekomponowanej" opinii polskiej podczas pochodu wojsk na Wileńszczyźnie. Zacieśniły się węzły uczuciowe pomiędzy społeczeństwem, armią i wodzem, który na jej czele u granicy stanął. Ażeby jednak owoce tego poruszenia, jak i samej demonstracji zbrojnej nie zwiędły w zarodku, na to jest tylko jeden sposób, o którym *ceterum censeo* w końcu każdego niemal sprawozdania. W odbudowie gospodarstwa narodowego trzeba porzucić powolne metody „oblężnicze" i przejść do szturmowych. „Zmotoryzować" politykę ekonomiczną, nie cofać się przed sforsowaniem dostępu w nowy ustrój. „Fakty dokonane" na tej drodze, jak szybka realizacja COP-u, same przez się zapewnić mogą najskuteczniejszą kompensatę za Austrię i wiodłyby do kompensat politycznych. W tych faktach, jeszcze niestety nie dokonanych, leży też klucz trwałego zjednoczenia narodu z państwem, najpewniejsza gwarancja niepodległości i mocarstwowości.

Andrzej Prawdzic.

Jubileusz twórcy etnologicznej szkoły wiedeńskiej.

Dzieło życia ks. prof. Wilhelma Schmidta S. V. D.

Wielkie dzieła i wielkie postacie budzą często zdumienie, w którym wszelkie słowo podziwu, pochwały czy uznania wydaje się banalne. Z takiego to właśnie milczenia podziwu wypłynął skromny adres, jaki słuchacze instytutu etnologicznego przy uniwersytecie wiedeńskim przesłali 16 lutego br. założycielowi szkoły wiedeńskiej. Zaledwie w jednym krótkim zdaniu wyrazili gratulacje i życzenia z okazji 70 rocznicy urodzin profesora ks. Wilhelma Schmidta S. V. D.

To czcigodne nazwisko jest z rzędu owych niewielu, które historia kultury umieści w panteonie najwybitniejszych postaci naukowych naszej epoki. Czym Mommsen dla historii starożytnego Rzymu a Wundt w dziedzinie psychologii ludów, tym W. Schmidt na polu etnologii i badań religioznawczych.

Do sfer naukowych wszedł przez swe „Rozprawy o różnych rodzinach językowych Oceanu Południowego", wydane w r. 1899. Podnietę do tych badań dały przyjazne stosunki z misjonarzami w Togo i N. Gwinei, z którymi utrzymywał stałą korespondencję. One to zwróciły najpierw jego wrodzone zamiłowania, jakie objawiał w latach studenckich do języków i historii, w kierunku badań lingwistycznych. To była *seine erste und alte wissenschaftliche Liebe.* Równocześnie drugie zainteresowanie historyczne popychało do badań na temat kultury i religii tych ludów, rzekomo dzikich. Z innymi językami, z innymi zarazem kulturami i religiami mają do czynienia misjonarze krajów zamor-

skich. Jakże to doskonałe źródło dla lingwistyki, etnologii i religii porównawczej! Trzeba zbadać, ile prawdy kryje się w twierdzeniach szkoły ewolucjonistycznej, tak modnej w okresie studiów młodego W. Schmidta, o rozwoju duchowym człowieka od stanów najniższych, prawie zwierzęcych, do *homo sapiens recens*. Odkrycie ostatecznych, prawdziwych przyczyn i sił rozwojowych ludzkiej kultury, ludzkiego ducha i religii oto, co pociągało bystry, refleksyjny jego umysł.

Pierwsze badania lingwistyczne z terenu Australii, Oceanii i pd. wsch. Azji doprowadziły do odkrycia pokrewieństwa między pewnymi grupami języków tych krajów. Rozrzucone na przestrzeni od Himalajów w Indiach Przedgangesowych do Wysp Wielkanocnych określił mianem „austryjskich"; azjatyckie nazwał „austroazjatyckimi"; na wyspach Oceanu Południowego „austronezyjskimi". Odkrycie jednolitości językowej tych trzech grup miało dla lingwistyki równe znaczenie i doniosłość, jak dawniejsze o pokrewieństwie języków indogermańskich.

Z warsztatu naukowego ks. Schmidta wychodzi następnie „Podział języków australijskich", które dzięki tej pracy zostały po raz pierwszy „zdobyte" dla dokładnych badań naukowych. „Rozprawa o języku Tasmańczyków", których ostatnia przedstawicielka umarła w r. 1876, była jakby dalszym ciągiem pracy poprzedniej.

W międzyczasie zakłada ks. Schmidt, czasopismo naukowe *Anthropos* w r. 1906, poświęcone zagadnieniom lingwistycznym i etnologicznym. W krótkim czasie stawia je na poziomie pisma o międzynarodowej powadze naukowej.

W końcu powziął zamiar, którego urzeczywistnienie wydało się dotychczas prawie niemożliwym dla jednego człowieka. Postanowił zestawić pod pewnymi względami wszystkie języki świata. Owocem tych studiów porównawczych jest dzieło *Rodziny i kręgi językowe świata,* wydane w r. 1926. Zapoznaje w nim ze stanem wiedzy w poszczególnych dziedzinach lingwistyki, wskazuje na rozpowszechnienie pewnych objawów językowych (jak np. używanie drugiego przypadka), dochodzi do określenia rodzin językowych, które wielokrotnie nakrywają się w sposób zadziwiający z kręgami kulturalnymi i etnologicznymi. Opanował w tym dziele dwa olbrzymie pola, etnologię i lingwistykę porównawczą. Wyśpiewał w nim *das hohe Lied der Linguistik,* jak zaznacza w przedmowie tego studium; hymn pochwalny dla wiedzy, wymagającej pełni zaparcia się i poświęcenia, niedostatecznie ocenianej, a która tyle światła rzuca na historię ludzkości.

Świat naukowy lingwistów uznał doniosłość wyników badań naukowych prof. Schmidta. Akademia paryska przyznaje mu dwukrotnie nagrodę Volney. Na międzynarodowym kongresie lingwistów w Hadze r. 1928, na którym prezydował sławny profesor Uhlenbeck, poproszono W. Schmidta na wiceprezesa.

Dalszym wynikiem porównawczych studiów językowych było stwierdzenie doniosłego faktu wędrowania całych kompleksów kulturalnych i religijnych w najbardziej nawet odległe strony kontynentów.

Z faktem tym nie liczyła się poprzednio ewolucjonistyczna szkoła etnologiczna, budując swe teorie na apriorystycznych założeniach, przejętych z darwinistycznych zasad, jakie pod koniec ubiegłego stulecia panowały w naukach przyrodniczych. Twierdzono, iż im jakieś zjawisko kulturalne czy religijne jest prymitywniejsze, niższe, tym jest starsze; rozwój ludzkości idzie po linii ciągłego postępu ku doskonalszym formom duchowym. Zatem u podstaw ludzkości musi stać rodzina nieuregulowana, małżeństwo grupowe, które dopiero przez matriarchat i patriarchat doszło powoli do jednostkowej rodziny monogamicznej. Podobnie na polu religijnym prowadziła droga rozwojowa od politeizmu do monoteizmu.

Podobieństwa zaś zjawisk kulturalnych i religijnych tłumaczyła teoria ewolucjonistyczna tożsamością psychy zbiorowej ludów pierwotnych, która w pierwszych stadiach ludzkości jest niezróżnicowana, jednakowo reagująca na podniety zewnętrzne.

To były sławne swego czasu, a dziś osławione teorie naukowe Bachofena i Morgana. Amerykański etnolog R. H. Lowie nazwał je „teorią bez wartości, bezpłodną i zgubną, jedyną, jaka ukazała się kiedykolwiek w dziejach nauki; tanią zabawką dla rozweselenia dużych dzieci".

Już wybitny antropogeograf Fr. Ratzel w r. 1893 udowadnia sprzeczność tych hipotez z rzeczywistością, wskazując na wędrowanie kultur, jako źródło podobieństw. On pierwszy przyznał ludom tzw. dzikim charakter historyczności i postawił żądanie badania historycznego ludów pierwotnych na szlakach ich wędrówek. W każdym wypadku — pisał wtedy — trzeba zbadać i udowodnić, czy mamy do czynienia z rozwojem wewnętrznym czy z zewnętrznym wpływem kulturalnym.

Otóż młody prof. Schmidt doszedł na drodze badań lingwistycznych do tego samego wyniku, że do ludów nieznających pisma, trzeba zastosować również metodę jednostkowego badania rzeczywistości historycznej, a nie indukcyjną metodę nauk przyrodniczych. To też kiedy w r. 1905 asystent muzeum etnologicznego w Berlinie dr Gräbner wystąpił w Towarzystwie Antropologicznym z odczytem „Kręgi i warstwy kulturalne Oceanii", opracowanym metodą historyczną, a w r. 1911 opublikował historyczną „Metodę etnologii", prof. Schmidt stał się pierwszym jego gorącym zwolennikiem.

Ciężki i niejasny styl Gräbnera, brak w wielu punktach precyzyjnego sformułowania zasad były powodem, że kierunek historyczny w etnologii długi czas nie mógł znaleźć zrozumienia. Odmawiano etnologii prawa do samodzielnego, niezależnego od

antropologii stanowiska naukowego. Przesady ewolucjonistyczne tkwiły dalej w kołach naukowców, a muzeum etnologiczne znajdowało się nadal w muzeum przyrodniczym obok działów zoologicznych.

Zasługą W. Schmidta jest, że historyczną metodę w etnologii, którą stosował przez lata swych studiów ludoznawczych, pogłębił, rozszerzył i jasno sprecyzowaną podał ostatecznie w dziele: *Podręcznik metody etnologii kulturalno - historycznej.* Stąd niektórzy z etnologów amerykańskich uważają W. Schmidta po prostu za założyciela historycznej szkoły etnologicznej, która dzięki niemu stanęła na pewnych podstawach naukowych. Ks. Schmidt przyznaje należne stanowisko w tej dziedzinie także psychologii i filozofii, lecz stawia jako podstawową zasadę, że musi je poprzedzić badanie historycznej rzeczywistości.

Ze studiów etnologicznych zasługują na uwagę badania ludów pigmejskich i ich znaczenia w dziejowym rozwoju ludzkości, którego wyniki opublikował w r. 1910. W r. 1914 wykończył wielkie dzieło: *Ludy i kultury,* które mógł wydać dopiero po wojnie w r. 1925. Jest to pierwsza synteza na polu etnologii, w której zestawia historię kultury wszystkich znanych nam dzisiaj ludów pierwotnych. Część pierwsza, socjologiczna i duchowa struktura tych ludów, jest opracowana przez samego W. Schmidta; część druga, gospodarcza, przez jego ucznia prof. Koppersa.

W świetle faktów ukazuje się tutaj ludzkość najstarsza, jako uregulowana rodzina monogamiczna. I z tym pewnikiem musi się liczyć nauka socjologii. W roku ubiegłym ogłosił drukiem pracę: *Prawo własności w kulturach najstarszych.* Za tym tomem mają iść dalsze, omawiające prawo własności u młodszych ludów pierwotnych. Jest to również pierwsze systematyczno-historyczne opracowanie tak ważnego dzisiaj zagadnienia socjologicznego, oświetlone od podstaw dziejów ludzkości.

W ścisłym związku z etnologią poświęcił również zagadnieniu rasy studium, którego drugie wydanie ukazało się w r. 1935.

Gdy freudowska psychoanaliza starała się uzasadnić swe teorie etnologicznie, z faktu rzekomo prastarego obyczaju zabijania i spożywania własnego ojca, ukazała się w r. 1930 broszura W. Schmidta: *Edypowy kompleks w psychoanalizie Freuda a małżeństwo bolszewickie.* Broszura ta podziałała na terenie Wiednia, gdzie Freud wystąpił ze swoją teorią, jak burza, oczyszczająca powietrze. Fakty stanęły przeciw patologicznym wywodom.

W dłuższej rozprawie z r. 1931: „Uwagi metodyczne i rzeczowe w kwestii dwurodzajowości" odparł fałszywe założenia metody dwu rodzajów.

Wreszcie w książce: *Miłość, małżeństwo, rodzina,* również z r. 1931, złożył dług wdzięczności własnej rodzinie, z której pochodzi.

„Nic tak nie odsłania oblicza duchowego i nie charakteryzuje człowieka, jak jego stosunek do religii". Ostatnim zasadniczym pytaniem, które ciśnie się każdemu myślącemu człowiekowi, gdy przestaje go gnębić i zaprzątać myśl o codziennym chlebie, to zagadnienie: „skąd i dokąd" świata, stosunek do istoty zaświatowej, do Boga. Czy i w jakiej mierze znajduje się idea Boga u najstarszych przedstawicieli rodzaju ludzkiego? Oświetlić i rozwiązać ten tak ważny problem na podstawie faktycznej rzeczywistości, a nie apriorystycznych założeń, było życiowym pragnieniem prof. Schmidta, które nie opuszczało go od lat trzydziestu. Na tym terenie miało dojść do rozstrzygającego spotkania z ewolucjonistycznym poglądem na duchowy rozwój człowieka. Łatwo się było ostatecznie pogodzić socjologom szkoły ewolucjonistycznej z faktem monogamicznego małżeństwa tkwiącym u podstaw ludzkości, które zresztą wnet usiłowali wytłumaczyć jako jednożeństwo z konieczności. Ale przyjąć najwyższą formę religii, etyczny monoteizm, u ludów najstarszych, „najdzikszych", oznaczało całkowite bankructwo i kapitulację. Wszak byłoby to wywróceniem zasady ewolucji, gdyby rzeczywistość pokazała dewolucję, rozwój wsteczny od formy najwyższej do najbardziej rozkładowej w politeizmie. Wydawało się to wprost niemożliwe.

Po ukazaniu się książki prof. Schmidta o ludach pigmejskich w r. 1910, przybiegł baron Adrian Weeburg, prezes Antropologicznego Towarzystwa Wiedeńskiego, do swego przyjaciela L. Schroedera i z oburzeniem wyrażał zdziwienie, jak Schmidt mógł napisać coś podobnego. Jeśli u najstarszego ludu znajduje się wiara w jedynego Boga, nakazując etyczne życie, to cała nasza nauka o duchowym rozwoju człowieka traci grunt pod nogami. „To nie może być!" — zawołał kilkakrotnie. Na to usłyszał odpowiedź spokojnego przyjaciela: „trzeba to zbadać *sine ira et studio*".

Otóż badań tych dokonał A. Lang i W. Schmidt. Tylko, że o ile badania Langa zlekceważono w kołach naukowych, jako przeprowadzone niemetodycznie, o tyle dzieło prof. Schmidta na tym polu nazwano we wszystkich obozach, bez różnicy światopoglądów, monumentalnym i epokowym. Jest to krytyczno-historyczne studium: *Ursprung der Gottesidee.*

Pierwszy jego tom ukazał się w r. 1912. Wydanie drugie znacznie rozszerzone opublikował w r. 1926. Od r. 1928 pojawiają się co dwa lata następne pięć tomów, zawierających przeszło 4700 stron. Znajdujemy w nich szczegółowe omówienie religii ludów pierwotnych Ameryki, Azji, Australii i Afryki. Przygotowane już są do druku dwa dalsze tomy, VII i VIII.

„Nie będzie badacza historii i zagadnień religijnych, który by nie powinszował prof. W. Schmidtowi i nie był mu wdzięczny za to studium, któremu poświęcił przeszło trzydzieści lat swego życia. Można się różnie odnosić do teoryj W. Schmidta, jednak

nikt nie odmówi uznania i podziwu dla sumienności, z jaką przestudiował całą literaturę w tej dziedzinie, dla wnikliwości, dalekiego spojrzenia i energii, w której dał inicjatywę i duchowo kierował wyprawami naukowymi. Dzięki temu wyrwał z wiecznego zapomnienia, nieraz w ostatniej prawie godzinie, bezcenny materiał do poznania religij ludów pierwotnych i uczynił go dostępnym dla badań naukowych. Ze zdumieniem stoi się przed tą pracą i wobec celowości tego przedsięwzięcia. Schmidt oddał historii religii przysługę, której może nikt nie mógłby oddać przynajmniej dzisiaj". Tak pisał naukowiec o zupełnie innym światopoglądzie, J. W. Hauer, w „Archiwum dla badań religijnych" w r. 1936.

„Do podjęcia tak olbrzymiego zadania nie było drugiego człowieka bardziej odpowiedniego nad prof. Schmidta; on jeden był uzbrojony w ciężką artylerię lingwistyki i etnologii" (Söderblum).

Syntezę wspomnianego studium podał W. Schmidt w podręczniku porównawczej historii religii pt.: *Początek i powstanie religii* (Teorie i fakty) w r. 1930.

W ten sposób ludy najstarsze globu ziemskiego, które odsądzono prawie od człowieczeństwa, znalazły w prof. Schmidtcie swego nowoczesnego Herodota. Ujął się za ich prawem do czci i szacunku, jako pełnowartościowych ludzi, nie różniących się istotnie od rzekomo wysoko-kulturalnych; zebrał bogactwa ich duchowe i kulturalne i ocalił od zagłady zapomnienia ten pełen wartości spadek ludzkości. Dzięki temu staje się dzisiaj możliwe określić stopnie rozwoju kultury ludzkiej, względnie jej dekadencji i zwyrodnienia.

Konsekwentnie za tym poszło wydzielenie muzeum etnologicznego z muzeum przyrodniczego w Wiedniu i umieszczenie go w dawnym zamku cesarskim, w nowej części (*Neue Hofburg*) w r. 1927. Tu też niestrudzony profesor założył instytut etnologiczny, mający służyć pracom seminaryjnym i badaniom naukowym słuchaczy etnologii uniwersytetu wiedeńskiego.

Dzięki swej olbrzymiej a systematycznie prowadzonej pracy naukowej w zakresie etnologii pokazał W. Schmidt, że etnologia jest zupełnie oddzielną gałęzią wiedzy duchowej, która z antropologią, jako właściwie przyrodniczą, nie może być złączona. Stąd w roku 1928 powstaje osobna katedra etnologii na uniwersytecie wiedeńskim.

Prof. W. Schmidt habilitował się na uniwersytecie wiedeńskim w r. 1921, w r. 1925 otrzymał tytuł profesora nadzwyczajnego. Ofiarowanej sobie w r. 1928 katedry profesora zwyczajnego nie przyjął, lecz zaproponował swego ucznia W. Koppersa. Liczne bowiem zorganizowane i prowadzone przez niego instytucje naukowe musiałyby dużo ucierpieć przez wycofanie się z nich W. Schmidta.

Ten członek koresp. akademii umiejętności wiedeńskiej, członek honorowy Królewskiego Instytutu Antropologicznego w Anglii i Towarzystwa Antropologicznego i Etnologicznego we Włoszech, rzeczywisty członek akademii umiejętności w Rzymie i Królewskiego Towarzystwa Nauki i Sztuki w Batawii, doktor honorowy uniwersytetu w Bonn i Lowanium, jest nie tylko wybitnym naukowcem, ale i znakomitym organizatorem.

Celem urzeczywistnienia swego gigantycznego przedsięwzięcia wezwał do pomocy misjonarzy rozrzuconych po całym świecie. Również świeckich badaczy naukowych przygotował do pracy etnologicznej w terenie. Stąd czasopismo *Anthropos* zawiera zawsze cenne badania lingwistyczne, etnologiczne i religioznawcze. Jest prawdziwą kopalnią dla tych trzech gałęzi wiedzy.

Przy pomocy misjonarzy mógł również ks. Schmidt założyć piękne muzeum etnologiczne w Mödling pod Wiedniem. Tam także otwarł Instytut-Bibliotekę „Anthropos", celem udostępnienia źródeł etnologicznych dla pracujących naukowo w tej dziedzinie.

Przy współpracy o. Bouvier S. J. zorganizował „Międzynarodowe Kursy etnologiczno-religijne", które mają na celu przeszkolenie misjonarzy i badaczy świeckich, jak zarazem wprowadzenie ich w bieżące zagadnienia etnologii i religioznawstwa. Pierwsze dwa odbyły się w r. 1912 i 1913 w Lowanium, następne po wojnie w r. 1922 w Tilburg (Holandia), w r. 1926 w Mediolanie. Z inicjatywy prof. Schmidta i pod jego duchowym kierownictwem zorganizowano wyprawy naukowe do wymierających już najstarszych ludów na Malace, w Afryce i w Ameryce pd. Nad ludami Ziemi Ognistej przeprowadzili badania dr Gusinde i prof. Koppers; nad Pigmoidami Malaki i Pigmejami Afryki środkowej dr Schebesta; nad Buszmenami w Afryce pd. dr Lebzelter; do ludów Ruandy skierował ks. Schmidt o. Schumachera.

Przygotowanie Wystawy Misyjnej na rok 1925 powierzył papież Pius XI prof. W. Schmidtowi. Następnie polecił mu Ojciec św. z jej eksponatów utworzyć muzeum etnologiczne na Lateranie i mianował go dyrektorem tegoż muzeum. Odtąd przenosi się Czcigodny Jubilat na stały pobyt z Wiednia do Rzymu. Tu rozpoczął wydawnictwo naukowe *Annali Lateranensi*, którego pierwszy tom ukazał się w r. 1937.

Kiedy się dochodzi do końca tej długiej listy dzieł założyciela szkoły wiedeńskiej, przypomina się pytanie, jakie przed kilku laty postawili etnolodzy amerykańscy prof. Koppersowi na jednym z kongresów: Czy Schmidt w ogóle sypia albo może posiada jakieś magiczne środki na oddalenie snu?

Tajemnicą tego męża nauki jest *ignis ardens*, jaki od młodości płonie w jego szlachetnym sercu.

Urodzony 16 lutego 1868 w Hörde, niedaleko Dortmund, w Bawarii, wychowany przez mądrą, energiczną i pobożną matkę, gdyż ojciec wcześnie go odumarł, marzył od młodości o tym, by być misjonarzem. Gdy się czymś zajął, jako młody student, to wkładał w to całą swą duszę. Tak było w nauce, tak było i przy zabawie. Wspaniale zawsze organizował z rodzeństwem uroczystości matki.

W r. 1883 idzie za głosem swego serca i ideału i wstępuje do kongregacji oo. Verbistów w Steyl (Holandia), by móc pracować kiedyś na misjach. Po skończonych studiach filozofii i teologii wyświęcony na kapłana w r. 1892, studiuje w Berlinie języki wschodnie. Od r. 1895 osiada w Mödling pod Wiedniem, gdzie przez 31 lat pracuje bez przerwy jako profesor, badacz naukowy, redaktor *Anthropos*'u, profesor uniwersytetu i duszpasterz.

Ten wybitny uczony nie przestał być nigdy gorliwym kapłanem-misjonarzem, któremu zawsze dźwięczą w szlachetnej duszy słowa jedynego „Mistrza", za którym poszedł: „Idźcie i nauczajcie". Pracę swoją naukową pojmował jako mozolną pracę misyjną. Jego serce kapłańskie obejmowało także potrzeby aktualne pracy apostolskiej okolicy Mödling, gdzie przez lat 10 ten wybitny uczony spełniał sumiennie obowiązki prefekta, nauczyciela religii w tamtejszym liceum.

Tu założył również wiele związków młodzieży; w niedziele i święta przyciągał ludzi swymi kazaniami. Akademicy znajdują w nim swego kierownika podczas rekolekcyj. Ubodzy, robotnicy i rodziny, liczące wiele dzieci, mają w o. Schmidtcie swego opiekuna i ojca.

To też profesor uniwersytetu wiedeńskiego dr Röck, w artykule poświęconym o. W. Schmidtowi z okazji 70 rocznicy jego urodzin, rozpoczyna charakterystykę jego postaci od skreślenia tego najszlachetniejszego rysu jego charakteru, jakim jest wielka, prawdziwie chrześcijańska dobroć i miłość bliźniego.

Tak sharmonizowały się w Czcigodnym Jubilacie głębia umysłu i wiedzy z głębią serca i miłości Chrystusowej, które tłumaczą tajemnicę olbrzymiego dzieła zamkniętego w życiu jednego człowieka.

Ks. Edward Bulanda T. J.

NACZELNY REDAKTOR: *KS. EDWARD KOSIBOWICZ T. J.*

Druk ukończono dnia 2 kwietnia 1938 r.

Bohater, prorok i patron narodu.

Po kanonizacji św. Andrzeja Boboli.

W 280 lat po łunie, która zapłonęła nad męczeńską śmiercią Andrzeja Boboli, zaświtał słoneczny dzień jego kanonizacji. Bazylikę św. Piotra w Rzymie, tonącą w powodzi świateł, przepełniają tłumy — wśród tłumów uprzywilejowane miejsce zajmuje ośmiotysięczna pielgrzymka polska, która przybyła do wiecznego miasta pod wodzą 25 polskich biskupów. Z dala widać sztandary z białym orłem i Matką Boską Częstochowską, a o sklepienia bazyliki zaczynają odbijać się podniosłe tony hymnu „Boże coś Polskę" i polskiej pieśni wielkanocnej. Stała tu w tym momencie duchem Polska cała! Gdy po chwili weszła procesja, wprowadzająca Ojca Świętego do bazyliki, powiały nad nią sztandary kanonizacyjne, na naczelnym miejscu sztandar z wizerunkiem Andrzeja Boboli. Powitały go z kopuły bazyliki dźwięki srebrnych trąb. W dwie godziny potem wyrok Namiestnika Chrystusowego otoczył skronie błogosławionego Boboli aureolą świętego.

Już dawno pod stropami tej bazyliki nie było polskiej kanonizacji; po przerwie 170-letniej jest to pierwszy kanonizowany Polak. Ostatnim był Jan Kanty, ogłoszony świętym w roku 1767. Chyliła się wtedy Polska do upadku, toteż w ówczesnym hymnie kościelnym czytamy następującą modlitwę: „Któryś nie odmówił nikomu pomocy, chroń ojczyste królestwo — błagają o to obywatele polscy i obcy". Na ratunek było już jednak za późno. W kilka lat potem zaczynają się rozbiory Polski i upadek. Natomiast pomyślniej-

sza przyszłość Polski związana została z nazwiskiem Andrzeja Boboli.

Mamy na myśli słynną przepowiednię Boboli. Sceptycy twierdzą, że to tylko pobożna tradycja, inni stają w obronie jej historycznej wartości. Dla każdego jednak zdumiewającym jest fakt, iż ta rzekoma legenda spełniła się tak dosłownie. Przepowiednia mieściła w sobie dwie zapowiedzi: najpierw, że Polska powstanie po wojnie światowej, powtóre, że po powstaniu Polski Andrzej Bobola ogłoszonym zostanie jej patronem; — spełniła się zatem całkowicie. Przekazana była osobom, co do których istnienia i wiarogodności posiadamy wystarczające dowody. Przekazana była w r. 1819, wobec tego, że Polska zmartwychwstała z końcem r. 1918, przepowiednia uprzedziła ten fakt równo o sto lat. W r. 1855 była ogłoszona publicznie w katolickim piśmie francuskim, za którym powtórzył ją w tymże roku poważny miesięcznik polski *Przegląd Poznański.* Dlatego to najwyższy autorytet Kościoła nie wahał się podjąć złotej nici tej krzepiącej pokolenia polskie przepowiedni. I tak oto Episkopat polski, w prośbie o kanonizację Boboli, wystosowanej do Benedykta XV, pisze między innymi:

Spodziewamy się przez kanonizację zadośćuczynić pragnieniu i oczekiwaniu całego narodu polskiego, który od początku wojny światowej całą swoją ufność położył w Błogosławionym Męczenniku i bezustannie zanosił modły, tak prywatne jak publiczne, ażeby wypełniło się proroctwo Bł. Andrzeja Boboli o wskrzeszeniu Polski i w swej nadziei nie został zawiedziony... Mamy też nadzieję, że Bł. Andrzej, podniesiony ku czci świętych, będzie najdzielniejszym i bezustannym patronem Ojczyzny i Kościoła katolickiego, szczególnie na wschodnich Kresach Polski.

Akta zaś procesu kanonizacyjnego kończą się następującymi słowy:

Słusznie radować się będzie Polska, której zmartwychwstanie przepowiedział Błogosławiony Andrzej Bobola i której przyrzekł, iż stanie się patronem przed Bogiem, aby ten naród szlachetny zawsze pozostał mocny w swej wierze, którą przypieczętował tak szczodrze swoją krwią.

Tych samych prawie słów użył w okresie kanonizacyjnym Pius XI.

W tym stanie rzeczy można powiedzieć, że Andrzeja Bobolę na zwiastuna odrodzonej Polski i na jej patrona wyznaczyły wyroki Opatrzności.

A jeżeli tak, to idźmy krok dalej.

Zmartwychwstanie Polski dokonało się w ten sposób, iż trudno zaprzeczyć dziwnemu wdaniu się Opatrzności Bożej w tę sprawę. Stwierdzili to wielokrotnie i Polacy i obcy wierzący i dalecy od praktycznej wiary. Ukrainiec, redaktor Nazaruk, na Kongresie Skargowskim, przemówił w te słowa:

Myślimy, że Polska cudem zmartwychwstała, ponieważ rozum ludzki mógł przypuszczać jeno, iż zwycięży jeden albo drugi zaborca i że zwycięzca zagarnie ziemie drugiego. Nie stało się ani jedno ani drugie, stała się rzecz trzecia. Przegrała jedna strona na skutek wyniku wojny światowej i rozpadła się druga na skutek rewolucji. Jest to coś tak dziwnego w historii, że podobny wypadek nie jest nam znany.

Znane są przemówienia takich autorytetów jak kardynał Mercier i generał Foch, którzy z całą siłą przekonania stwierdzają cud widoczny w powstaniu Polski. Słynne jest powiedzenie pewnego ateusza Francuza, iż przy powstaniu Polski ma po raz pierwszy w życiu do czynienia z cudem. Znaliśmy ludzi niewierzących, którzy po powstaniu Polski nawrócili się do Boga. Zresztą, sprawa jest z wielu względów zbyt jasna, ażeby na jej temat wdawać się w dłuższe wywody.

Cóż więc spowodowało, że Bóg wszedł tak stanowczo w sprawę powstania Polski? Co było ceną, którą Bóg przyjął za miłościwe jej wskrzeszenie?

Oczywiście jakieś zasługi, zasługi w pierwszym rzędzie w spełnieniu posłannictwa, jakie narodowi Opatrzność wyznaczyła. A więc fakt, iż naród nasz był przedmurzem chrześcijaństwa, niósł wiarę i cywilizację na Wschód, a więc nawrócenie Litwy i unia z Litwą, unia brzeska i walka ze schizmą, a więc bastion obronny przeciw islamowi.

Patrzył Bóg i patrzyli ludzie ze smutkiem na błędy, które nas gubiły, na nierząd i na ciasne serce, na prywatę królewiąt i na niesprawiedliwości społeczne, słowem na wszystko, z czego wyrosło proroctwo Skargi o upadku Polski — ale widział Bóg także, jak naprzeciw tej otchłani wznosił się szczyt cnót, dobra i bezgranicznych poświęceń

składających się na budowę królestwa Bożego na wschodniej granicy. Niewiele jest narodów, które by takim szeregiem chrześcijańskich bohaterstw poszczycić się mogły. Czyż więc można taki naród dla wielkich jego błędów potępić i odrzucić na zawsze? Czy raczej sprawiedliwość nie domaga się, aby niewolą i niedolą uleczyć go i napowrót do życia przywrócić?

I oto stanęliśmy u cokołu tego pomnika, jakim jest życie Andrzeja Boboli!

Myślimy, że bez obawy o przesadę powiedzieć można, iż jednym z najpełniejszych uosobień polskiej duszy i polskiej idei, było życie świętego Andrzeja. Myślimy, że odwieczny Sędzia, „przenikający do dna serca i nerki człowiecze", gdy na pośmiertnym sądzie zmarłych Polaków odbierał od nich sprawę z włodarstwa, niewiele razy był w tym stopniu zachwycony blaskiem ludzkiej duszy, jak wtenczas, gdy po okrutnym męczeństwie ciała stanęła przed nim dusza św. Andrzeja.

A ten blask duszy musiał być szczególniej związany z losami Polski i jej posłannictwem, gdy Bóg jego właśnie wybiera na zwiastuna nadziei w zmartwychwstanie Polski, gdy jemu jednemu w sto kilkadziesiąt lat po jego męczeństwie, poleca zjawić się na polskiej ziemi i obwieścić, że po wojnie światowej Polska zmartwychwstanie.

Duszę czystą, gorącą, pełną poświęcenia, wnosi Andrzej Bobola do zakonu Towarzystwa Jezusowego i tu oddaje się Bogu na służbę w samym kwiecie młodości, w 19 roku życia.

Życie Boboli było trudne od pierwszego dnia w zakonie do ostatniego tchu życia. Był to charakter choleryczny, nie liczący się ze sprzeciwem weredyk, porywczy, uparty. Walczył z tymi wadami wytrwale, z właściwym sobie hartem i energią. Powoli zdobywa cnoty panowania nad sobą, łagodności, cierpliwości i pokory, co łącznie z gorącym duchem modlitwy i apostolskiego zapału, pociąga do niego wszystkich, szlachtę, lud, młodzież. Wszyscy odczuwają w nim świętego.

W pracach apostolskich próbował różnych dróg, wreszcie Bóg przeznaczył mu tę, która najściślej była związana z posłannictwem Polski, pracę na kresach wschodnich. Świe-

tlaną myśl wielkiej królowej Jadwigi, by nieść wiarę i oświatę w ziemie wschodnie, przyjął naród za swoją a za narodem i zakon Towarzystwa Jezusowego na ziemi polskiej. Akademie we Lwowie, Wilnie, później w Połocku, setki misjonarzy wśród ziem ruskich i litewskich były jednym ze szańców polskiego przedmurza chrześcijaństwa.

Tam na tym szańcu stanął Bobola. Praca apostolska na Litwie, Białej Rusi i Polesiu, na bagnistych bezdrożach wsi i miasteczek, praca cicha i nieznana światu, była przede wszystkim pracą bardzo ważną i bardzo trudną. Skarga, charakteryzując stosunki religijne na Litwie, pisze:

Nie mogę powstrzymać się od łez, kiedy rozważam, ...że powołani jesteśmy na Litwę, aby przywracać wiarę katolicką, która zdaniem wszystkich już się rozpada... Gdy patrzę na nieszczęście tej prowincji, z politowania krają mi się wnętrzności. Tyle tysięcy ludu katolickiego bez pasterzy, bez chleba, którego dopraszają się maluczcy, że aż niektórzy 20 mil muszą odbywać, by wyspowiadać się w Wilnie. Nie szukajmy Indyj wschodnich ni zachodnich, Litwa i Północ oto prawdziwe Indie.

Z takich stosunków, identycznych na Polesiu, płynął opłakany stan moralny i religijny, przechodzenie na prawosławie, zawieranie dzikich małżeństw, całkowita nieznajomość wiary i obowiązków z niej płynących. Cóż powiedzieć o stanie moralnym prawosławnej ludności! Stanęli na tym froncie tylko rycerz polski i kapłan polski. — Krew jednego i drugiego była cementem przedmurza chrześcijaństwa. W czasie, w którym poniósł tam męczeństwo św. Andrzej Bobola, padło z rąk kozackich około 40 księży tego samego zakonu.

Tam na tym szańcu, jakby na ołtarzu, płynęło w całopaleniu życie apostoła, oddane Bogu i duszom ludzkim przez lat wiele. Ile zasług i cnót zajaśniało tam w tej duszy, jak wysoki był ich stopień, to sam Bóg, niedozwalający nikogo kusić ponad siły, pokazał, poddając ją takiej próbie, jaką było męczeństwo Boboli.

Straszną jest dzikość kozacko-mongolska; znamy ją z czasów rozbiorów, znamy ją z dzisiejszych dni bolszewickich. Otóż ta dzikość w najpotworniejszy sposób szalała na świętym Andrzeju. Papież Pius IX, czytając opis tego

męczeństwa, powiedział, że równie okrutnych mąk w żadnym męczeństwie nie zna i dlatego nazwał Bobolę największym z męczenników świata. Krajali go okrutnicy w rzeźni miejskiej w Janowie, ale żadne zwierzę nie zaznało tej miary okrucieństwa. Obcięto mu wargi, nos, wyrwano oko, przez zraniony kark wyciągnięto i wyrwano język, odrywano całe kawały skóry na piersiach, plecach i głowie, wbijano drzazgi za paznokcie, kaleczono tak bezecnie, że niepodobieństwem to publicznie wyrazić. A w tym męczeństwie nie miał święty ani jednej chwili oszczędzonej, ani jednej chwili nieprzytomności, wił się i jęczał i tylko modlitwą i silną wolą się krzepił.

Czyż była kiedykolwiek złożona Bogu pełniejsza ofiara w imieniu Polski? Czyż może być doskonalszy symbol męczeńskiego posłannictwa Polski na Wschodzie? Czyż naród, który takie ofiary składa, może być wykreślonym z liczby żyjących? Czyż Święty, który tak jest związany z posłannictwem narodu, nie będzie powołany na zwiastuna zmartwychwstania ojczyzny i na jej patrona?

Postanowił Bóg, by pokaleczone potwornie zwłoki świętego, nie uległy rozkładowi i zachowały się nieskażone w pełnym wyrazie swego męczeństwa. Sprawiają też one po dziś dzień na wszystkich wstrząsające wrażenie. Jest to szczególna chwała, której Ukrzyżowany Chrystus użyczył swemu uczniowi, oświetlając męczeństwo jego zwłok promieniem nieśmiertelności swojej męki krzyżowej. Czy nie uczynił tego Chrystus w tej myśli, by wygodny świat widział na co stać człowieka w ofiarności dla Boga? Czy nie jest to również potężny odblask wielkich ofiar i poświęceń wszystkich bohaterskich Polaków, który ma nieść światło i siłę w dusze i serca potomnych, by pojęli na jakiej opoce była budowana pierwotna Polska i na jakiej ją w przyszłości budować trzeba.

Ta wiara w zasługi męczennika i w prawdziwość jego proroctwa krzepiły wiele serc polskich przez cały okres wieku dziewiętnastego. A był to czas nad zwykłą miarę ciężki, w którym zdawało się, że wszystkie światła zgasły, w którym słowa pieśni „Jeszcze Polska nie zginęła" przytaczane były w świecie całym z sarkazmem, jako najwyższy stopień lekkomyślności. I oto w sto lat po tej przepowiedni Polska odrodzona powstała!

Nie tu jeszcze koniec orędownictwa świętego Andrzeja. Nie minęły jeszcze dwa lata a na horyzont Polski jął padać czarny cień olbrzyma z czerwonym sztandarem w ręku. Na młodą armię niezorganizowanego jeszcze, dwuletniego państwa runęły hordy bolszewickiego kolosa, w którego granicach szósta część ziemi się mieści. Cały świat z zapartym oddechem patrzył na nierówną walkę, jak żołnierze nasi cofali się bez przerwy, od dalekich roztoczy wschodu od brzegów Dźwiny i Dniepru. Setki kilometrów trwał ten odwrót, dziesiątki rzek zostawały w tyle. Został w tyle i Niemen i Bug i Narew, została przed nami jedna tylko szeroka, nasza królewska Wisła — wróg stanął w sercu Polski, u wrót stolicy. Mali i wielcy wrogowie już gratulowali sobie, że historia Polski na nowo zamknięta, prasę świata obiegała przez kilka dni wieść, że Warszawa padła. Tymczasem w Warszawie powstawał i rósł olbrzym-mściciel, zwycięski duch narodu, przy którego boku stanął wierny i sprawiedliwy Bóg.

W tych tragicznych chwilach, gdy wróg wkraczał w granice Polski, odbywały się na Jasnej Górze obrady biskupów. Wtedy to, między innymi, wystosował Episkopat polski prośbę do papieża o kanonizację Andrzeja Boboli. Nakazane były również modlitwy w całej Polsce, szczególniej w Warszawie. Wznosiły się one do Królowej Korony Polskiej, również i do chóru Świętych Polskich, otaczających tron Królowej. Arcybiskup warszawski zarządził procesję wszystkich warszawskich parafij na placu Zamkowym, podczas której trzej biskupi błogosławili stolicy relikwiami świętych: błogosławionego Władysława, świętego Klemensa Dworzaka i oprawioną w relikwiarz prawicą błogosławionego Andrzeja Boboli. Przemawiający przed błogosławieństwem wybitny kaznodzieja a wielki czciciel męczennika wskazał między innymi na znaczenie relikwij Boboli.

Błogosławiony Bobola — mówił — którego relikwie spoczywają w tej chwili na tym ołtarzu, to wielki Patron Polski, który za te same hasła, za które Polska obecnie walczy i z rąk tych samych wrogów, które jej istnieniu zagrażają, najokrutniejsze poniósł męczeństwo. Andrzej Bobola to w najściślejszym słowa znaczeniu bohater wschodniego frontu! I jak Polsce jej

zmartwychwstanie przepowiedział, tak dziś o jej ocalenie modlić się nie przestaje.

Razem z procesją zaczęły się 9-dniowe modły po kościołach. W kościele Najśw. Panny Łaskawej ustawiono w głównym ołtarzu obraz błogosławionego Andrzeja, ukazującego palcem pole bitwy, po której rozegraniu miała powstać Polska. Po pierwszej nowennie, złączonej z kazaniami, spowiedzią i Komunią świętą, z trzema generalnymi Komuniami dzieci warszawskich, przyszło zwycięstwo. Wtedy zaczęto drugą nowennę o pogrom, a każdy jej dzień padał jak piorun w oszalałe paniką bandy bolszewickie. Zakończono dni sierpniowe trzecią nowenną dziękczynną. Obraz błogosławionego Boboli wrócił do ołtarza bocznego, przy którym wdzięczna Warszawa umieściła tablicę z następującym napisem:

Obywatele Warszawy w ciężkich dniach sierpnia
1920 roku,
Gdy wróg stał u wrót stolicy,
Przed tym ołtarzem Błogosławionego Andrzeja Boboli,
Zanosili modły o zwycięstwo,
Które świat współczesny nazwał Cudem nad Wisłą.

Przed tą tablicą i przed tym obrazem stał dłuższą chwilę ówczesny nuncjusz a obecny kanonizator Boboli. Groźne to były dni. Rozbawiona zwykle Warszawa zamieniła się w obóz wojenny, na ulicach cisza, cukiernie i kawiarnie puste. Przez cały tydzień przeciągały dniem i nocą przez Warszawę ku Częstochowie wozy uciekających chłopów spod Łomży, Białegostoku i z dalszych okolic. Wóz do wozu podobny. Przy koniach szedł chłop, na wozie matka z dziećmi z drobnym zapasem żywności i odzieży, z tyłu wozu przywiązana była krowa, za nią biegł pies. I tak wóz za wozem, prawie bez przerwy, przez szereg dni. — Poza tym widziało się na ulicach oddziały wojsk idące na pole bitwy, dość obficie ze studentów złożone — transporty rannych z pola bitwy — pogrzeby poległych. Pewnego dnia ciągnęły ulicą jedna za drugą trzy trumny — trumna księdza Skorupki, trumna kilkunastoletniego studenta, za którą szła wdowa matka jedynaka i trumna młodziutkiego, rokującego wielkie nadzieje, porucznika.

Nagle zmienił się obraz. Z drzwi, okien i dachów zaczęły powiewać chorągwie triumfu — ulicami zaczęły przeciągać tysiące pojmanych jeńców bolszewickich, pułki nasze wchodziły w miasto przy dźwięku orkiestr, z zielonym wawrzynem na hełmach. — Europa zdumiała się. Anglia każąca nam wracać na linię Curzona, ucichła; Anglik lord d'Abernon, bawiący wówczas, jako delegat Anglii w Warszawie, zaczyna zajmować się czymś poważniejszym, pisze książkę, której tytuł: *Osiemnasta bitwa światowa*, a której treścią doniosłe posłannictwo Polski.

Wtedy czuło się, co to jest Polska. W pierś narodu wstąpił płomienny duch, stapiający wszystkie niesforności w spiżowy hart i w jeden akt bohaterskiego poświęcenia, co było tym skuteczniejsze, że losami narodu i wojny władali dzielni kierownicy i wodzowie. „Cud nad Wisłą" nic nie ujmuje dzielności ziemskiej, bo wszystkie wartości, nawet czysto ziemskie, z rąk Boga pochodzą. Ufać więc można, że stanęła także wówczas nad Wisłą Królowa Korony Polskiej i w ręce rozkutego dopiero od dwu lat narodu-niewolnika włożyła napowrót sztandar dziejowego posłannictwa, odznakę przedmurza chrześcijaństwa. A że chodziło o przedmurze przeciw pięcioramiennej kozacko-bolszewickiej gwieździe, kto wie, czy nie posłużyła się właśnie prawicą męczeńską Boboli, która w tych dniach jaśniała w złotym relikwiarzu na jednym z ołtarzy warszawskich.

I jeszcze raz przypomniał się narodowi Andrzej Bobola. Bolszewizm w dwa lata później rzucił się na zwłoki błogosławionego Andrzeja, spoczywające w Połocku. Wywleczono je z kościoła i wśród szyderstw wyrzucono z trumny na bruk miejski. Czerstwość nieskażonego ciała Świętego przetrzymała zwycięsko próbę i nakazała cześć. W milczeniu zaniesiono trumnę na dworzec kolejowy i wysłano do Moskwy, gdzie umieszczono ją na pokaz w muzeum higienicznym. Że był już jednak pokój ryski, rząd bolszewicki począł szukać wyjścia z kłopotliwej sytuacji. Do kurii metropolitalnej warszawskiej przyszedł telegram od proboszcza katolickiego w Moskwie, że za kilka dni przybędą zwłoki Boboli do Warszawy. Od kurii metropolitalnej dowiedzieli się o tym w zaufaniu jezuici. Oparł się jednak takiemu rozwią-

zaniu kwestii naczelnik Piłsudski. Nie przesądzając dalszego stadium sprawy w imię prestiżu państwa polskiego zażądał, by przede wszystkim zwłoki Boboli wróciły z należnymi honorami do kościoła w Połocku. W tym duchu kazał ówczesny minister spraw zagranicznych Narutowicz umieścić artykuł w *Kurjerze Porannym*, który, nacechowany czcią dla Świętego i trafnym zrozumieniem momentu religijnego wywołał pewne zdziwienie w szerokich sferach nieprzyzwyczajonych do takiego tonu w tym dzienniku. Przy tej sposobności warto zanotować, że Piłsudski nosił się już przed tym z myślą odzyskania zwłok Boboli dla Polski. W dniu kanonizacji opowiadał Pius XI biskupom polskim o rozmowie swojej z Piłsudskim, podczas której wyłonił się taki właśnie projekt. Ten sam zamiar wyjawił Piłsudski prowincjałowi jezuitów księdzu St. Sopuchowi, tak bardzo zasłużonemu w popchnięciu naprzód sprawy kanonizacji. Najbardziej jednak doniosłym dla tej sprawy stał się moment, gdy papież Pius XI zażądał przesłania zwłok Boboli do Rzymu. Żądaniu Papieża uczynił rząd bolszewicki zadość.

Dziwne są pośmiertne dzieje zwłok świętego Andrzeja Boboli. Niejeden żywy człowiek nie odbył tyle podróży za życia, ile odbyły ich jego stygmatami męczeństwa naznaczone zwłoki. Z Janowa przewożą je do Pińska. W Pińsku zakopują je w ziemi w podkościelnych lochach, w której zapomniane spoczywają pół wieku. Zaczyna się wiek osiemnasty a z nim zbliża się ku Polsce groza wojny północnej i napad Karola XII. Wówczas zjawia się święty Andrzej Bobola rektorowi kolegium pińskiego ks. Godebskiemu we śnie, każe mu odszukać swoją trumnę i obiecuje opiekę. Po otwarciu trumny stwierdzono ze zdumieniem, że nieskażone zwłoki nie uległy rozkładowi. Jest to początek wielkiego kultu męczennika i wielu zdziałanych przez niego cudów. Ilość i wielkość tych cudów jest taka, że z czasem uciekają się do trumny Świętego i żydzi i prawosławni z błaganiem o pomoc. To ostatnie nie podobało się rządowi rosyjskiemu, więc synod petersburski wydaje rozkaz mnichom prawosławnym, by zwłoki świętego usunęli na razie z widoku a potem przy sposobności zakopali tajemnie w nieznanym nikomu miejscu. Dowiadują się o tym zarządzeniu je-

zuici i od Aleksandra I otrzymują pozwolenie na przewiezienie zwłok do Połocka. W sto kilkadziesiąt lat przewieziono je następnie do Moskwy, z Moskwy do Rzymu. Obecnie, na prośbę J. E. ks. kard. Kakowskiego, oddaje je Ojciec święty Warszawie.

To, że w okresie rozwydrzenia bolszewickiego bezbożnicza Moskwa wydała relikwie Boboli Rzymowi, że Rzym w tak krótkim okresie ogłosił Bobolę świętym i zwłoki Świętego odsyła do stolicy Polski, jako jej Patrona, to wszystko jest jednym ciągiem dziwnych zdarzeń, które zdają się potwierdzać prawdziwość słynnej przepowiedni Boboli. A zarazem wszystko to rzuca światło na posłannictwo Boboli w dzisiejszym świecie i w dzisiejszej Polsce.

Wszak już od lat ostro i coraz ostrzej krystalizuje się problem: „Moskwa czy Rzym"? Najistotniej w naturze swej ujęty, dylemat ten brzmi: „Chrystus, czy antychryst"?

Drogę wyboru wskazuje życie, śmierć i posłannictwo świętego Andrzeja Boboli. Czyż może być wyrazistszy, z budulca polskiego zbudowany, drogowskaz żywej wiary i gorącej miłości Boga, bliźniego i ojczyzny? Cnoty te przemieniają duszę świętego w jeden płomień ofiary ustawicznej a w końcu całopalnej. W długie dni i noce następnych pokoleń świeci ten płomień jako zapowiedź odrodzenia dla serc szlachetnych a jako krwawy wyrzut dla małodusznych, których na żadną ofiarę dla wyższej idei nie stać. Bez ofiary z samolubstwa i prywaty, nie tylko dobrym chrześcijaninem ale i uczciwym człowiekiem być nie można. Bez walki nie ma zwycięstwa tak w życiu jednostek jak w życiu narodów.

To hasło ofiary bezgranicznej, całopalnej — ofiary dla dobra drugich, dla spraw ojczyzny i wiary, dla dziejowej zwłaszcza misji naszego narodu na Wschodzie — głosi dziś swym rodakom z ołtarzy wielki bohater, prorok i patron polskiego narodu!

Ks. J. Pawelski T. J.

Humanizm katolicki Zofii Kossak.

I.

Na terenie współczesnej literatury polskiej postawa duchowa, którą scharakteryzowaliśmy jako humanizm katolicki,[1]) najdobitniej występuje w powieści Zofii Kossak *Bez oręża;* najdobitniej i najbardziej wielostronnie. Dodajmy też zaraz, że to przede wszystkim owa wielostronność sprawia, iż właśnie powieści *Bez oręża* — nie zaś przewyższającym ją znacznie, jako dzieło sztuki, *Krzyżowcom* — przyznać musimy zaszczyt reprezentowania literatury pięknej katolickiego humanizmu w Polsce. Końcowa bowiem część cyklu powieściowego o krucjatach uderzyła najniespodzianiej w struny, o które trudno było podejrzewać autorkę *Krzyżowców:* w struny chesterton'owskiego humanizmu optymistycznego.

Równocześnie przecież w *Bez oręża* wciąż jeszcze nie przestaje rozbrzmiewać ta sama nuta, która dominowała w *Krzyżowcach,* a którą bez trudu możemy zidentyfikować z przewodnią nutą mauriac'izmu. Znajdujemy się więc w obliczu dzieła, które — niezależnie od tego, iż daje niezmiernie pożyteczny przegląd wszystkich głównych odmian katolickiego humanizmu — zdawało się w ambicjach swych nie ograniczać do takiego czysto mechanicznego zestawienia owych różnych odmian, ale nadto dążyć do zsyntetyzowania ich w harmonię wyższego rzędu. Syntezą tą to humanizm

[1]) Patrz artykuł pt. „Literatura piękna katolickiego humanizmu", *Przegląd Powszechny,* kwiecień 1938.

katolicki, prawdziwie pełnowartościowy, bo przezwyciężający właśnie w imię pełnowartościowości, w imię zasady *nihil humanum a me alienum esse* — doktrynerskie przeciwieństwa wybujałego pesymizmu i naiwnego optymizmu. Pierwszemu przeciwstawia wiarę, nadzieję oraz miłość dobra i piękna, przerosty zaś drugiego temperuje odważną miłością prawdy i zrodzonym z niej trzeźwym, zdrowym krytycyzmem.

Jeśli nadto zważymy, że swą próbę dokonania takiej syntezy podjęła polska autorka nie na gruncie powieści współczesno-obyczajowej (główny teren pracy twórczej Mauriac'a), ani też sensacyjno-fantastycznej (ulubione tworzywo Chestertona) tylko historycznej — oryginalność powieści *Bez oręża*, jako koncepcji, ujawni się nam w całej pełni. Przy tym nie można nie podkreślić faktu, że intuicja pisarki, względnie jej inteligencja, wskazała jej jak najwłaściwszą drogę: mianowicie uczynienie głównym bohaterem swego dzieła postaci historycznej, która jak może żadna inna w dziejach, jednoczy w sobie katolicko-chrześcijański ideał doskonałości i świętości z najwyższą sublimacją pełni tej postawy duchowej, którą charakteryzujemy, jako *humanitas*. Mowa o świętym Franciszku z Assyżu.

Jak pani Kossak tę swą niezwykle ciekawą koncepcję zrealizowała? Jaki nadała jej kształt artystyczny?

Spróbujemy odpowiedzieć na te pytania, stosując metodę konfrontacji z poprzednimi częściami cyklu. Metoda ta bowiem umożliwi nam lepiej, niż jakakolwiek inna, równoczesną analizę postawy ideologicznej i walorów artystycznych. Śledząc różne etapy wędrówki pani Kossak drogami katolickiego humanizmu, jednocześnie będziemy mogli zdawać sobie sprawę z przeobrażeń, udoskonaleń, względnie zahamowań, jakim na drodze od *Krzyżowców* do ostatniego zdania *Bez oręża* bezustannie podlega jej talent oraz artyzm: talent i artyzm historyka, narratora, konstruktora, epika, plastyka, stylisty, psychologa. Zaznaczmy, że w wypadku Zofii Kossak ta równoczesna dwutorowość analizy staje się właściwie wprost koniecznością. Raz po raz w dziele jej napotykamy na takie partie, którym by się może wyrządziło krzywdę, gdyby się nie zastosowało wobec nich rów-

nocześnie podwójnej oceny: ideologicznej równie jak estetycznej. Jakże często bowiem, pragnąc sklasyfikować dane ujęcie, dane pociągnięcie artystyczne — właśnie takie a nie inne — musimy pierwej poważnie się zastanowić, jak właściwie należy je traktować: czy jako probierz twórczych możliwości autorki, jako ujawnienie, nieraz podświadome, specyficznych właściwości jej konstrukcji psychicznej i artystycznej, czy też może raczej jako przemyślany wynik postawy ideowej, jako dzieło świadomego wyboru? Podobne dylematy mieliśmy już w *Krzyżowcach, Bez oręża* roi się od nich.

II.

Naczelny dylemat polskiej trylogii o krucjatach tkwi w sprawie pesymizmu Zofii Kossak, ściślej mówiąc owego pesymistycznego nastroju, jakim autorka tak sugestywnie osnuła prawie całą swą wizję średniowiecza.

Pesymizm ten, jak wiemy, stał się głównym kamieniem obrazy dla pewnego odłamu opinii i krytyki katolickiej w Polsce, powodując nawet kwestionowanie „prawowierności" dzieła oraz reprezentowanej przez nie ideologii.

Przed rokiem podjęliśmy na tym miejscu [1]) próbę wykazania bezpodstawności zarzutów tego rodzaju; daliśmy też wtedy wyraz przekonaniu, iż *Krzyżowcy* — bo o nich to wówczas chodziło — są powieścią nie tylko ortodoksyjnie, ale nawet apologetycznie katolicką.[2]) Przy opinii tej trwamy nadal. Tym niemniej przecież, pragnąc należycie sklasyfikować pozycję dzieła pani Kossak w literaturze pięknej katolickiego humanizmu, musimy raz jeszcze powrócić do tej tak istotnej sprawy pesymizmu. Nasuwa się bowiem pytanie, czy ta sama koncepcja historiozoficzna nie dałaby się artystycznie odtworzyć przy bardziej pogodnym

[1]) W artykule pt. „Krzyżowcy", *Przegląd Powszechny*, kwiecień 1937.

[2]) Zastrzeżenia musi budzić zbytni realizm niektórych scen, który trudno pogodzić z postulatami katolickiej etyki. Ten sam zresztą zarzut spotyka i Mauriac'a. Nie należy jednak zapominać, iż *Krzyżowcy* nie są lekturą przeznaczoną dla młodzieży. Polecanie więc tej lektury młodzieży uważamy za bezwzględnie nie wskazane, nie pedagogiczne. *(Przyp. Red.)*

spojrzeniu na feudalno-rycerską Europę katolicką z epoki krucjat? I tu właśnie powstaje dylemat: czy Zofia Kossak nie chciała czy też nie mogła spojrzeć na średniowiecze inaczej? Czy ów obraz, jakże przecież inny od wizji wieków średnich, jaką mamy u Walter Scott'a, Schillera, Schlegla, Novalisa, Schäffla, Freytaga, Rostanda, Sienkiewicza i wielu, wielu jeszcze, jest dziełem świadomej postawy ideowej, czy też raczej wynikiem specyficznych właściwości talentu, względnie specyficznej konstrukcji psychicznej?

Rozpatrzmy kolejno obie ewentualności.

1. Autorka z zupełną świadomością „odbrązawia" tradycyjny obraz feudalno-rycerskiego świata zachodnio-europejskiego, świata przecież tak integralnie katolickiego. Postawa taka łatwo wywołuje zarzut hańbienia tradycji katolickiej, skąd już tylko jeden krok do zakwestionowania „prawowierności" dzieła, a dalej do oskarżenia go o koncepcję wrogą duchowi historiozofii katolickiej. Przed zarzutem tym można by autorkę bronić argumentem, iż rewizjonizm jej jest z punktu widzenia prawdy dziejowej bezwzględnie uzasadniony. Argument to dziś szczególnie poważny odkąd wspiera go autorytet tak niezaprzeczony i tak niepodejrzany, jak znakomity reprezentant oficjalnej nauki historycznej, wybitny uczony katolicki — prof. Oskar Halecki, który w specjalnym wykładzie publicznym dowiódł prawdziwości obrazu epoki i ludzi w *Krzyżowcach*.

Całkowicie nieodparty jednakże byłby ów argument w tym jedynie wypadku, gdyby *Krzyżowcy*, jak i dalsze części cyklu pani Kossak, należały do historiografii, nie do literatury pięknej. Dla dzieła sztuki bowiem wierność prawdzie kronikarskiej nie jest kanonem najwyższym; skoro zaś to dzieło sztuki pretenduje do tytułu reprezentacyjnej powieści katolickiej, nie bez słuszności można by wysunąć przeciw niemu zarzut defetyzmu. Jeżeli bowiem autorka katolicka w wyniku swych studiów historycznych doszła do przekonania, że epoka, która ją interesuje, ukazuje świat katolicki w barwach raczej niekorzystnych, dbałość o dobrą sławę tradycji katolickiej powinnaby ją skłonić do rezy-

gnacji z obranego tematu, jak to m. in. uczynił Sienkiewicz, rezygnując z realizacji powieści o Julianie Apostacie.[1])

Jak widzimy, jest to zarzut zupełnie ten sam, jaki raz po raz pada pod adresem Mauriac'a i innych reprezentantów francuskiej literatury katolicko-humanistycznej. W obecnym jednakże wypadku zarzut ten jest nadto spotęgowany momentem dbałości o dobrą sławę katolickiej tradycji historycznej.

I tu właśnie nasunąć się może pewna wątpliwość: czy aby istotnie tradycja feudalno-rycerskiej Europy średniowiecznej i tradycja katolicka to jedno? Czy istotnie można z całym przekonaniem powiedzieć o Zofii Kossak, że „odbrązawiając" tradycyjny obraz europejskiej społeczności i kultury XI-towiecznej, automatycznie szkodzi tym samym dobrej sławie tradycji katolickiej? Zastanówmy się tylko, skąd zaczerpnięte są jej wiadomości o prawdziwym obliczu Europy z okresu krucjat: oto głównie z pierwszej ręki, z kronik, pisanych prawie bez reszty przez osoby duchowne, a więc przez oficjalnych przedstawicieli Kościoła katolickiego. Gdybyśmy zaś nawet przyjęli, że część tych duchownych kronikarzy wyrażała swe poglądy na epokę w takim duchu, jaki odpowiadał interesom ich świeckich władców — zawsze przecież pozostanie olbrzymi odsetek tych, których sąd o epoce opierał się na wymaganiach, jakie życiu i kulturze stawiały doktryna i etyka Kościoła katolickiego. Widzimy więc, że to nie tylko oczom pani Zofii Kossak, ale także i oczom XI-towiecznego Kościoła, ówczesna Europa oraz jej kultura polityczna, społeczna, obyczajowa, umysłowa ukazywały się w świetle zgoła nie budującym ani nie idyllicznym, przeciwnie, budziły jak największy krytycyzm, uczuciowo jakże często zabarwiony pesymizmem takim samym, jaki dominuje w dziele XX-towiecznej powieściopisarki.

Z drugiej strony warto zwrócić uwagę na niewątpliwy fakt, iż idealizacja średniowiecza datuje się w europejskiej tradycji kulturalnej — szczególnie literackiej — właściwie dopiero od romantyzmu, który — jak wiadomo — miał re-

[1]) Patrz artykuł, pt. „Dziedzictwo twórcze Sienkiewicza w obliczu dnia dzisiejszego", *Przegląd Powszechny*, wrzesień 1937.

prezentować zwycięstwo ducha, smaku i stylu germańskiego nad romańskim. Nie jest więc bez znaczenia fakt, że w atmosferze właśnie tego ducha i smaku i stylu kształtuje się historiozoficzna oraz artystyczna idealizacja średniowiecza, idealizacja, której przedmiotem są przede wszystkim formy obyczajowe, charakteryzujące społeczność rycersko-feudalną. To co było duszą średniowiecza — życie religijne — traktowane było marginesowo, jako jeden z objawów obyczajowości, niemniej jak i to, co było jego mózgiem: Kościół.

Nie wyda się nam to zbyt dziwne, gdy z kolei uprzytomnimy sobie następujący fakt, wcale paradoksalny. Idealizacja średniowiecza najpiękniej wykwitała w środowiskach niekatolickich jak angielskie i niemieckie, osiągając szczyty artyzmu w dziełach twórców, których nikt nie będzie zaliczał do literatury katolickiej (Walter Scott, Fryderyk Schiller, nawet rozmiłowany w mistycyzmie średniowiecznym Novalis). Jak będziemy tłumaczyli to zjawisko? Rozumie się tu i ówdzie miała miejsce szczera przychylność dla średniowiecznego Kościoła, prawie zawsze jednak raczej dla jego form, niż dla doktryny. W sumie przecież literaturę XIX wieku fascynował w obrazie średniowiecza przede wszystkim d u c h i s t y l g e r m a n i z m u, tego germanizmu, który w wiekach średnich narzucił swą hegemonię Europie, wyciskając — między innymi — niewątpliwie bardzo silne piętno także i na średniowiecznej kulturze (nie doktrynie) chrześcijańskiej.

Można oczywiście bardzo rozmaicie zapatrywać się na wartość owego, dokonanego przez Germanów, wkładu do chrześcijańskiej kultury średniowiecznej. Można więc m. in. oceniać go jako element niesłychanie pozytywny i dobroczynny, każdy przecież musi się zgodzić z tym, że gdyby dzieje Europy poszły innymi drogami, gdyby np. Zachodnie Cesarstwo Rzymskie nie dało Germanom wydrzeć sobie hegemonii politycznej nad światem katolickim, względnie gdyby hegemonia ta przejść mogła od Germanów do innego szczepu np. Słowian (za pierwszych dwu Bolesławów polskich istniały po temu pewne szanse) na pewno zgoła inaczej ukształtowałoby się oblicze duchowe i kulturalne średniowiecznego społeczeństwa chrześcijańskiego. Inne by wówczas

przyświecały mu ideały, to zaś, co nazywamy katolicką tradycją historyczną (świecką, nie kościelną) prezentowałoby się zupełnie inaczej, niż to, co nowocześni katolicy przyzwyczaili się podziwiać i miłować — jako s w o j e — w utworach Walter Scotta, Schillera, Novalisa, Freytaga...

Dochodzimy do wniosku: Zofia Kossak, „odbrązawiając" obraz średniowiecznego społeczeństwa i jego kultury, odbrązowiła tradycję ś r e d n i o w i e c z n e g o g e r m a n i z m u n i e k a t o l i c y z m u. Co więcej, wraz z Gertrudą von le Fort, oraz w pewnym sensie z Sygrydą Undset, kładzie w dzisiejszym powieściopisarstwie europejskim podwaliny nowej tradycji literackiej w stosunku do średniowiecza, przeciwstawiając postawie walterscottyczno-romantycznej postawę katolicko-humanistyczną. Postawa ta wyraża się tu w przeniesieniu punktu ciężkości z zewnętrznych form i objawów życia średniowiecznego na życie wewnętrzne ówczesnych ludzi, podmiotem zaś i zarazem dźwignią dziejów średniowiecznych czyni nie feudalne rycerstwo, ale Kościół Rzymski, który, zgodnie z założeniami katolickiego humanizmu, występuje tu, jako jedyny nosiciel ideałów postępu, humanitaryzmu, wolności, sprawiedliwości.

W owej literaturze katolickiego humanizmu zauważymy też już pewne tendencje, zdążające do naświetlania całej niemal historii wieków średnich pod kątem walki rzymskiego Kościoła z germanizmem, przy czym odgermanizowanie katolicyzmu pojmowane tu jest, jako jego oczyszczenie z naleciałości, wrogich duchowi prawdziwego chrześcijaństwa. [1])

---

[1]) Nuta ta silnie też rozbrzmiewa w publicystyce katolickiego humanizmu, m. in. i w polskiej. Przykładem książka dra Andrzeja Niesiołowskiego *Katolicyzm a totalizm,* gdzie autor m. in. pisze: „Jeśli dusza ludzka jest z natury chrześcijańska, jak twierdzi Tertulian, to dotyczyło to chyba w najmniejszym stopniu duszy germańskiej", oraz zwraca uwagę na to, jak niezwykle ciekawe byłoby „studium na temat, jak Germanie sfałszowali chrześcijaństwo, narzucając mu swoje ideały i nadając sankcję pozornie religijnych celów zupełnie przeciwstawnym dążeniom". Przeciwstawia też Niesiołowski narzuconej średniowieczu przez germanizm idei orężnej chrystianizacji świata prawdziwie humanistyczną koncepcję ekspansji katolicyzmu, ujawnioną Europie u schyłku średniowiecza. Przez kogo? Przez myśl polską, zawartą w tezach Pawła Włodkowica!

Jeśli zważymy, że od końca średniowiecza germanizm zdaje się wolno, ale konsekwentnie wycofywać się z chrześcijaństwa — to nie będzie przesadą twierdzenie, iż stoimy w obliczu doniosłych przewrotów w kulturze katolickiej. Miejsce postaw i pojęć, wyhodowanych przez niewątpliwie potężną myśl i sztukę germańską, będą musiały wypełnić nowe, z innej poczęte tradycji, w innej wyhodowane atmosferze. Może te przemiany już się dokonywują, choć niezbyt jeszcze widocznie. Właśnie literatura piękna katolickiego humanizmu zdaje się być m. in. dobitnym wyrazem tych przemian. A w literaturze tej k o n c e p c j o m Zofii Kossak przysługuje wcale poczesne miejsce.

III.

Przekonaliśmy się, że pani Kossak n i e c h c i a ł a tworzyć optymistycznej wizji społeczeństwa katolickiego doby krucjat i jego kultury. Staraliśmy się dowieść, iż — jako pisarka katolicka i właśnie jako taka — miała do tego prawo. Tym niemniej przecież nie możemy oprzeć się wrażeniu, że nawet tak pojęta koncepcja epoki i jej ducha doskonale mogłaby — zachowując pełnię krytycyzmu w zasadniczej postawie ideowej — ujawnić swe istotne oblicze także i bez uciekania się do pomocy momentu nastrojowego. Przeciwnie, ów niezwykle sugestywny nastrój głębokiego pesymizmu, owiewający przede wszystkim powieść *Krzyżowcy*, chwilami jest wręcz niewytłumaczalny na drodze ideologicznej. Szczególnie pesymizm rozdziałów końcowych nie da się usprawiedliwić postawą ideową. Przecież Kościół właściwie zrobił swoje — pchnął te ciemne masy na drogę, która w myśl wielokrotnie podkreślanego przekonania autorki, ma być dla nich drogą wzwyż. Dodajmy nadto, że krucjaty stanowiły dla Zachodu europejskiego wielkie przeżycie, z którego wyszedł dojrzalszy, głębszy, inteligentniejszy, szczególnie dobroczynnie zapłodniony w dziedzinie kulturalnej. Gdzież więc tkwi źródło owego pesymistycznego nastroju? Gatunkowo pokrewny jest on pesymizmowi Mauriac'a. I tu i tam dominującą nutą okazuje się przekonanie, że zło w naturze ludzkiej jest w zasadzie silniejsze od

dobra. U francuskiego przecież pisarza postawa ta, oparta na swoistej interpretacji pewnych prawd wiary, przeprowadzana bywa niezwykle logicznie i konsekwentnie drogą — jeśli można się tak wyrazić — policyjnej inwigilacji najtajniejszych, najwstydliwiej zamaskowanych skłonności psychicznych. Pesymizmowi *Krzyżowców* daleko do tej konsekwencji, równie jak i celowości. Przy bliższym wniknięciu weń doznajemy wrażenia, iż jest on raczej potrzebą serca czy instynktu pisarki, niż konsekwencją jej myśli. I właśnie z potrzeby tej zdaje się też rodzić pewna specyficzna właściwość jej talentu. Bo oto poza kilku scenami, fascynującymi czarem plastyki lub potęgą oddechu epickiego, najbardziej sugestywne w *Krzyżowcach* z reguły są te sceny, których treścią jest ludzkie cierpienie, dotkliwe cierpienie fizyczne nie duchowe, szczególnie cierpienie niezawinione...

Właśnie te sceny emanują z siebie ów nastrój bolesnego pesymizmu. Sceny takie znajdziemy i u Mauriac'a. Tam przecież łączą się one zazwyczaj ściśle z wyraźnie antywitalistyczną, pacyfistyczną postawą integralnego humanitarysty, brzydzącego się wszelką walką poza regionami ducha. Pani Kossak natomiast to epik-batalista, mający, przy całym swym współczuciu dla ludzkiego cierpienia, nie tylko zrozumienie, ale wręcz podziw dla cnót militarnych. Nie wiemy więc w rezultacie, czy ów pociąg do wizyj cierpienia, brutalnie zadawanego istocie ludzkiej, jest wynikiem chrześcijańskiego humanitaryzmu, czy też specyficzną właściwością pewnego typu wyobraźni artystycznej, właściwością, sprawiającą, iż autorka nie tylko nie chce, ale też i nie może stworzyć optymistycznej wizji epoki!

Tak samo nie jesteśmy na razie w stanie rozstrzygnąć dylematu, do którego jeszcze powrócimy: czy małość duchowa czołowych bohaterów krucjaty powinna być tłumaczona pewnymi brakami metody charakterologicznej autorki, czy też jest to świadoma, wprawdzie ortodoksyjnie, ba, nawet żarliwie katolicka — tym niemniej przecież typowo antyhumanistyczna koncepcja człowieka, jako ślepego jedynie narzędzia mocy Bożej w dziele tworzenia dziejów. W tym ujęciu człowiek poza tą swą rolą pionka, posuwanego ręką Boga po szachownicy świata, żadnej nie reprezentuje war-

tości. W koncepcji tej autorka najpełniej wżyła się w średniowieczną tezę, iż krucjaty to nie tyle dzieło Franków, ile *gesta Dei per Francos;* zarazem przecież jest to najpełniejsze przekreślenie jednego z naczelnych ideałów humanizmu katolickiego.

IV.

Mimo to najniespodzianiej w świecie historiozofia, zawarta w powiedzeniu *gesta Dei per Francos,* została przez Zofię Kossak ujęta w sposób przekształcający jej podejście do osobowości ludzkiej w jeden z najgłębszych problemów katolickiego humanizmu.

Stało się to w powieści *Król trędowaty.* Książka ta miała w Polsce szczególnie dobrą prasę. Bodaj lepszą niż *Krzyżowcy.* Sądzimy, że niesłusznie. Już choćby dlatego, iż nie można porównywać z sobą pozycyj tak niewspółmiernych, jak na monumentalną skalę zakrojona powieść-epopea, w obraz i słowo przetwarzająca rytm narastania procesu dziejowego, jednego z najdonioślejszych na przestrzeni tysiącleci — z drugiej zaś strony zręcznie zrobione dziełko beletrystyczne, zalecające się przejrzystą kompozycją, przyjemną techniką narratorską i lekkostrawną fabułą, raz po raz nabierającą posmaku sensacji, w dobrym zresztą stylu. Toteż ogłaszanie *Króla trędowatego* za dzieło artystycznie doskonalsze od *Krzyżowców* miałoby ten sam mniej więcej sens, co np. wynoszenie pięknego zresztą wiersza „Smutno mi, Boże" ponad *Beniowskiego.*

Tym niemniej w *Królu trędowatym,* dającym niewiele pola do popisu krytyce estetycznej, są momenty, niezmiernie ważne dla oceny trylogii pani Kossak, jako reprezentacyjnego dzieła powieści katolickiej. Jeden z tych momentów raz jeszcze niesłychanie zbliża polską autorkę do francuskiej odmiany katolickiego humanizmu. Mianowicie odważne demaskowanie plam na obrazie przywróconej władztwu Krzyża Ziemi Świętej i zadomowionej już tam społeczności katolickiej. Autorka nie cofa się przed oskarżaniem nawet książąt Kościoła (np. patriarchy Herakliusza). Sympatią spośród nich otacza tych tylko, u których odkryje silnie rozwi-

nięte uczucia humanitarne oraz głębszą kulturę intelektualną (Wilhelm z Tyru) — postawa to typowa dla katolickiego humanizmu. Jak Mauriac, odpowiedzialnością za wszystkie te błędy i grzechy obarcza autorka nie katolicyzm, jako system... nie Kościół, jako instytucję — ale katolików, jako ludzi. Pesymizm jej nigdy nie nabiera romantycznych cech wątpienia o sprawności funkcjonowania prawa Bożego. W odpowiedzi na retoryczne pytanie „Czy Bóg opuścił chrześcijan?" zamknie książkę słowami, włożonymi w usta wielkiego wodza mahometan Saladyna: „Nie, to chrześcijanie opuścili Boga". Słowom tym, jak i całej prawie zresztą książce znowuż towarzyszy nastrój pesymizmu; jest on tu przecież znacznie silniej umotywowany postawą ideową i daje się bez reszty skontrolować jako artystyczny kształt konsekwentnie przemyślanej koncepcji. Warto zaznaczyć, że znaczną część win, którymi chrześcijaństwo obarczają jego wyznawcy — autorka zrzuca na barki kobiet. Mizoginizm, już w *Krzyżowcach* dość wyraźny, tutaj zatraca miarę niemal zupełnie, co nadaje powieści pewien wyraz naiwności.

Prócz kobiet zakałę chrześcijaństwa stanowią templariusze. Autorka znowuż obciąża swą wysoką klasę pisarską pewnymi naiwizmami, gdy roztacza przed nami sensacyjny obraz zbrodniczych tajemnic Zakonu. Czy opinia autorki o templariuszach ma za sobą autorytet prawdy dziejowej? Sprawą tą zajmował się już na tych łamach fachowiec.[1]) Od siebie więc dorzucimy tylko uwagę, iż najprawdopodobniej wiele z tych samooskarżeń o zbrodnie, jakimi postawieni przed sąd ostatni templariusze obciążali samych siebie i swych poprzedników — posiadać musiało taki sam walor dowodowy, co sensacyjne „dobrowolne przyznania się" na ostatnich procesach moskiewskich; zapewne też i metody „perswazji" w stosunku do oskarżonych musiały być dość podobne.

Zasadnicza postawa pani Kossak wobec kwestii templariuszy nie jest wyłącznie jej samej tylko właściwa, spotkamy się z nią także w *Czerwonych tarczach* Iwaszkiewicza. Tu i tam pobrzmiewa zapewne echo koncepcji Zygmunta Kra-

[1]) Ks. Br. Wójcik T. J. *Przegląd Powszechny*, maj 1937, str. 239.

sińskiego, znanej z *Niedokończonego poematu.* Jest to koncepcja ideowej, obrzędowej i organizacyjnej ciągłości poprzez różne epoki tajnych stowarzyszeń o charakterze rewolucyjno-antychrześcijańskim.

Ciekawa też jest w *Królu trędowatym* koncepcja osmozy — wzajemnego przenikania się ducha dwu wrogich światów: chrześcijaństwa i islamu — koncepcja, niestety, jednostronnie tylko rozwinięta.

Tym przecież, co stanowi największy walor powieści, jest pomysł samego k r ó l a t r ę d o w a t e g o. Baldwin IV, przykuty do łoża przez straszną chorobę, zagrożony rychłym końcem, od dawna pozbawiony nawet cienia prawa do osobistego szczęścia, jest jedyną prawdziwie wartościową i wybitną osobistością w całym Królestwie Jerozolimskim. Postać to historyczna wielkiej miary, większej może, niż wszyscy przywódcy pierwszej krucjaty. W czymże jednak tkwi tajemnica jego wielkości? Oto w całkowitym zniszczeniu własnego „ja", w najpełniejszym poddaniu się woli Bożej, w przeobrażeniu indywidualnej ludzkiej duszy w siedlisko czystej idei. Czyli wyniszczenie całkowite jeszcze za życia wartości tak dostojnej, jak osobowość ludzka? Tak, ale wyniszczenie, stokrotnie się opłacające: miejsce ludzkiej — w świadomości Baldwina — wypełnia o ileż dostojniejsza osobowość Boska... Trędowaty król może o sobie powiedzieć słowami św. Pawła: „Żyję ja, ale to już nie ja, jeno żyje we mnie Chrystus". Zespolony całkowicie duchem i wolą z duchem i wolą Bożą, ów żywy trup znajduje siły, by zwlec się z łoża, ruszyć przeciw Saracenom i odnieść nad nimi pod Mongisard świetne zwycięstwo. Wnet potem, spełniwszy rolę wybranego naczynia, umiera. Oto najdoskonalsza, najbardziej wysublimowana, najpełniejsza realizacja idei: *Gesta Dei per Francos.*

Niestety, wspaniałego tego pomysłu autorka nie pogłębiła należycie ani filozoficznie, ani psychologicznie. Problem potężnienia człowieczeństwa — i wszystkich jego władz — drogą ekstatycznego roztapiania się w czystej idei, naczelny problem z pogranicza mistyki i humanizmu nie otrzymał w *Królu trędowatym* ani nawet w części godnego siebie kształtu artystycznego.

V.

W *Bez oręża* Zofia Kossak odniosła dwa ogromne sukcesy: formalny i ideologiczny. Zdobyła się na znakomitą (choć ściśle tradycjonalistyczną) kompozycję i na zaszachowanie pesymizmu pogodą franciszkańskiego spojrzenia na świat. Ci, którzy czytali *Złotą wolność* i *Legnickie Pole,* ocenią doniosłość pierwszego sukcesu, czytelnicy zaś *Krzyżowców* zrozumieją należycie pełne znaczenie drugiego. Dodajmy, że kompozycja, zręcznie splatająca z sobą w logiczną przekonywującą całość szereg wątków, nie wyczerpuje zalet formalnych, jakie musimy przyznać powieści *Bez oręża.* Bo oto na szczególny podziw i uznanie zasługuje także sztuka doskonałego zespolenia sugestywności stylu z sugestywnością obrazowania. Niektóre sceny, powstałe w wyniku takiego zespolenia, należą do najpiękniejszych ustępów w całej dzisiejszej polskiej prozie powieściowej. Wymienimy tu dwie przede wszystkim sceny, krótkie, a jakże sugestywne: obraz i nastrój nocy, gdy Blanka idzie po truciznę, oraz opis poranku w palestyńskim mieście. Również i element narratorski reprezentowany jest w *Bez oręża* przez klasę bodajże jeszcze wyższą, niż ta, którą podziwialiśmy w *Krzyżowcach.*

Z zastrzeżeń natomiast, jakiebyśmy mogli skierować pod adresem czysto formalnej strony powieści, na pierwszy plan wysunęlibyśmy żal, iż znakomita autorka zdaje się z lekceważeniem odnosić do wszelkich prób i poszukiwań formalnych, równie jak i szczęśliwych osiągnięć, dokonywanych przez europejską powieść historyczną w ciągu ostatnich lat trzydziestu. Konserwatyzm ten sprawia, iż zmuszeni jesteśmy odmówić powieści *Bez oręża* cech oryginalności artystycznej choćby w porównaniu z *Papieżem z ghetta* Gertrudy von le Fort. Wymieniamy tylko tę książkę, a to ze względu na pokrewieństwo ideologiczne, łączące obie autorki. Niezwykła oryginalność techniki szczególnie kompozycyjnej, stosowanej przez niemiecką pisarkę katolicką, pisarkę, przecież także głęboką i pełną ciekawych idej, wytrąca nam z rąk argument, którymbyśmy chcieli bronić *Bez oręża* przed zarzutem b i e r n e g o (nie programowego) tradycjonalizmu, passeizmu, ba, wręcz epigonizmu formalnego.

Jako argument, miało nam posłużyć zrównoważenie pewnych cech beletrystycznego średniactwa przez bogactwo elementów treściowych oraz przede wszystkim niewątpliwą oryginalność postawy ideowo-historiozoficznej, postawy, która dziełu literackiemu, ją reprezentującemu, daje wielkie szanse wybicia się na jedno z pierwszych miejsc w dzisiejszej europejskiej literaturze pięknej katolickiego humanizmu. Przede wszystkim bowiem problem bezorężnego podboju świata dla idei wyłącznie siłą ducha — z bezwzględnym wyłączeniem elementu przemocy — stanowi jedno z naczelnych i najbardziej aktualnych zagadnień współczesnej myśli katolicko-humanistycznej (Maritain, Mauriac). Przy tym postawa ta, syntetyzująca chrześcijańską ideologię miłości bliźniego z dziedzictwem humanitarystycznych i wolnościowych ideałów XIX-towiecza — wcale wyraźnie przeciwstawia się tak typowym dla naszej epoki hasłom i objawom realizacji celów, najczystszych nawet, najszlachetniejszych, najwspanialej idealistycznych — drogą stosowania przemocy... drogą bezpardonowej, bezwzględnej walki. A że najprzydatniejszą bronią do tej bezorężnej walki o zwycięstwo idei wydaje się być pani Kossak nie nauczanie, jeno dobry przykład, nie teoria chrześcijaństwa, tylko jego praktyka, także i w tym widzimy nawiązanie do problemów aktualnych, wczucie się w ducha dzisiejszości, bardziej rozmiłowanego w działaniu, niż w myśleniu! Dodajmy jeszcze, że jest to postawa najortodoksyjniej katolicka. Wychodząc z klasycznie katolickiej nauki o ważności dobrych uczynków, jaskrawie przeciwstawia się typowo protestanckiej postawie jednostronnie fideistycznej, nierzadko występującej w pewnych dzisiejszych dziełach literackich, uważanych za katolickie, wrogich jednak duchowi katolickiego humanizmu.

Typowo humanistycznie też ujęła autorka postać świętego Franciszka i jego próbę bezkompromisowej ewangelizacji życia społecznego. I właśnie tu występuje do walki z mauriac'izmem optymistyczny humanizm katolicki: wkracza duch Chestertona, wnosząc do stworzonego przez panią Kossak obrazu średniowiecza nie tylko pewną pogodę, nawet uśmiech, nie tylko osłabienie wiary w zdecydowaną przewagę zła nad dobrem w naturze ludzkiej, ale co więcej,

nieoczekiwanie ogromną dla tej natury ludzkiej wyrozumiałość, pobłażliwość dla wielu jej ułomności. Toteż znaczną liczbę partyj powieści *Bez oręża* owiewa nastrój zgoła odmienny od atmosfery panującej w *Krzyżowcach* i *Królu trędowatym*. Musimy jednak stwierdzić, że zastrzyk postawy antymauriac'owskiej okazał się stanowczo za silny. Pani Kossak bowiem znów nie zdołała utrzymać równowagi między krytycyzmem a wyrozumiałością.

Nie chodzi nam tu oczywiście o aprobatę, jaką w oczach autorki — równie jak Chestertona — uzyskują pewne epikurejskie, że się tak wyrazimy, skłonności natury ludzkiej. Przeciwnie, sądzimy nawet, że (o ile, rozumie się, nie wychodzą poza prawem moralnym zakreślone granice) mają za sobą pewnego rodzaju *placet* ze strony najwyższego autorytetu (cud w Kanie Galilejskiej, Jezus — w przeciwieństwie do ascetycznego Jana — ucztujący z uczniami). Również i podporządkowanie wszystkich innych czynników życia wewnętrznego, oraz życia publicznego elementowi d o b r o c i uważamy za zgodne z duchem chrześcijańskiej nauki o miłości. Wątpimy przecież, by w doktrynie Kościoła katolickiego znaleźć mogła autorka uzasadnienie dla najskrajniej optymistycznej spośród swoich tez, mianowicie dotyczącej możliwości zbawienia nawet szatana?!

Z innych elementów, wzbogacających problematykę *Bez oręża,* jako powieści katolicko-humanistycznej, wymieńmy pogłębione zainteresowanie dla zagadnień czysto religijnych, m. in. dogmatycznych — zainteresowanie, szczególnie egzotyczne na gruncie powieści polskiej. W dziedzinie tej autorka zdradza ponadto duży talent dialektyczny, idący w parze z doskonałą znajomością najsubtelniejszych nawet odcieni w nauce Kościoła o tej czy innej kwestii. Najbardziej charakterystycznym tu przykładem jest potraktowanie przez autorkę sprawy samobójczyni, żony rycerza d'Avesnes. Zręcznie też i inteligentnie potrafi pani Kossak kierować wątki powieściowe ku rozwiązaniu, mającemu stanowić apoteozę idei katolicko-humanistycznej w ujęciu franciszkańskim. Dotyczy to motywów nawet tak drażliwych, jak nielegalna miłość (Jana de Brienne i Blanki, hrabiny Szampanii).

Największy przecież zaszczyt przynoszą książce *Bez oręża* i jako powieści katolicko-humanistycznej i jako dziełu sztuki dwie przede wszystkim partie: jedna, poświęcona przełomowi duchowemu — jaki zaszedł w trubadurze Divinim pod wrażeniem myśli o śmierci — druga, poruszająca sprawę tak niesłychanie delikatną, jak uczucie, żywione przez Franciszka do świętej Klary. Pierwsza fascynuje realizmem w odtwarzaniu z potężną siłą reakcyj instynktu samozachowawczego, pobudzonego nagłym objawieniem nie dającego się uniknąć końca. Sceny to zakrojone na miarę prawdziwie tołstojowską — zarazem przecież jest to najznakomitszy chyba w nowoczesnej powieści wkład literatury dydaktyczno-ascetycznej. Jeśli zaś chodzi o motyw stosunku Franciszka do Klary, mamy tu sugestywną a jakże subtelną wizję literacką tak typowego dla szczytów duchowości średniowiecznej objawu, jak sublimacja do wyżyn mistycznych wzajemnej skłonności uczuciowej osób różnej płci. Dodajmy, że na tle dotychczasowego mizoginizmu autorki ten motyw idealizacji kobiecości stanowi istną rewolucję, wnoszącą jeszcze jeden jaśniejszy promień do obrazu średniowiecza...

Wymieniliśmy tyle różnorodnych a oryginalnych elementów koncepcji powieściowej *Bez oręża,* podkreśliliśmy tyle szczęśliwych osiągnięć i jeszcze więcej szczęśliwych pomysłów. Nie zaniedbaliśmy chyba niczego, by uwypuklić wielką aktualność problematyki i jej wielostronną typowość, jako wyrazu tej postawy duchowej, którą określamy mianem katolickiego humanizmu.

A jednak... jednak na pytanie, czy mamy przed sobą arcydzieło literatury katolicko-humanistycznej, trudnoby nam było odpowiedzieć bezwzględnie twierdząco.

Nie możemy bowiem przemilczeć szeregu zastrzeżeń, jakie nam — w wykonaniu, nie w koncepcji — nasuwa najświeższe dzieło pani Kossak. Przede wszystkim wzajemny stosunek elementu pesymizmu i franciszkanizmu, czy ułożył się on w *Bez oręża* w jakąś przekonywującą harmonię? Wręcz przeciwnie, okazało się, iż każde ciągnie w swoją stronę, włażąc równocześnie jedno drugiemu „na pięty". Powieść, poświęcona żarliwej propagandzie duchowego odrodzenia świata drogą realizacji ideałów ewangelicznych,

rozbrzmiewa w finale akordem niedwuznacznego sceptycyzmu odnośnie do widoków tej realizacji. Nie potrafiła też autorka znaleźć żadnego — dającego się logicznie uzasadnić — *modum vivendi* pomiędzy opiewanym przez siebie integralnym humanitaryzmem, a swym instynktem epika-batalisty, który pod względem artystycznym najlepiej czuje się w wirze orężnej walki. Przewodnią nutą utworu ma być pogodnie uśmiechnięta kontemplacja świata i życia, jako cudownie wspaniałego dzieła Bożego, tymczasem najsilniej przemawiają do wyobraźni czytelnika sceny, nasycone atmosferą beznadziejności (krucjata dziecięca, szczególnie jej rozpaczliwie tragiczny finał czy np. straszna śmierć pierwszych „egiptologów"), względnie te, w których natura ludzka narażona jest na upokorzenie (Divini, jako franciszkanin, przed Janem de Brienne). Utwierdzać nas to musi ostatecznie w przekonaniu, że pesymizm Zofii Kossak nie jest dziełem wolnego wyboru, dziełem przemyślanej postawy filozoficznej, jak to np. jest u Mauriac'a; mamy tu raczej do czynienia z pewnym jednostronnym obciążeniem wyobraźni artystycznej. Obciążenie owo ujemnie odbija się na humanistyczności *Bez oręża,* którą osłabia nadto awersja autorki do zdobienia swych bohaterów w stygmaty wielkości, co szczególnie jaskrawo uwydatniło się w wypadku świętego Franciszka.

Nie jest to jednak wypadek odosobniony, choć jest najbardziej charakterystyczny, najdotkliwiej dający się odczuć. Wymieńmy dla przykładu jeszcze postać Innocentego III w *Bez oręża:* mamy przed sobą tylko typ papieża, natomiast bez reszty się ulotniła gdzieś indywidualna wielkość jednej z najwybitniejszych postaci w dziejach Kościoła, jednej z najtęższych głów, realizatora idei Stanów Zjednoczonych Europy na długo przed paneuropejczykami XIX i XX w. Do tej awersji dodajmy jeszcze wyraźną niechęć do psychologizmu i do pogłębiania obrazu kultury intelektualnej i artystycznej epoki. Wszystkie te trzy nastroje stoją w zdecydowanej sprzeczności z duchem katolickiego humanizmu. Wszystkim trzem postaramy się poświęcić niezadługo specjalne studium — a to w zestawieniu z ujmowaniem tychże spraw przez dwie inne współczesne katolickie piewczynie średniowiecza: Sygrydę Undset i Gertrudę von le Fort. Ni-

niejsze zaś studium pragniemy zakończyć stwierdzeniem, iż *Bez oręża* — ustępując *Krzyżowcom,* jako dziełu prawdziwie wielkiej sztuki, *Królowi trędowatemu,* jako cacku beletrystycznemu, prezentuje się, mimo wszystkich wysuniętych tu zastrzeżeń, jako utwór, który mógł wyjść spod pióra pisarza tylko bardzo wysokiej klasy. Ponadto, *Bez oręża* jest i pozostanie utworem, który naszej literaturze gruntownie przyswoił bogatą problematykę katolickiego humanizmu. Rzecz to ogromnie doniosła, wszak właśnie naszej literaturze zawsze — a już szczególnie ostatnio — niesłychanie trudno było pogodzić z sobą te dwa pojęcia: humanizm i katolicyzm.

Teodor Parnicki.

Wartości ascezy chrześcijańskiej na tle współczesnych poglądów medycyny.

Doba powojenna, w której żyjemy, przyniosła nie tylko bankructwo gospodarcze wielu społeczeństw i narodów, ale doprowadziła do kryzyzu form życia społecznego, poglądów naukowych i ideałów, stawianych zbiorowości. Normy stosunków pomiędzy jednostką i zbiorowością zatraciły swą wyrazistość. W miejsce trwałych, określonych i niezmiennych zasad postępowania coraz częściej spotykamy się z relatywizmem w poglądach na obowiązki i prawa człowieka zarówno jako jednostki, jak i członka społeczności.

Dzieje się to zaś dlatego, że modny prąd unosi ogromne rzesze inteligencji nowoczesnej ku krańcowemu egoizmowi w postaci wyżycia się, chociażby w najgrubszych i najcyniczniejszych formach rozkoszy i zadowolenia.

Im bardziej jednostka zaczyna żyć własnym egoistycznym życiem, tym, wskutek prawa równowagi, staje się coraz bardziej bezwolnym narzędziem w rękach rozmaitego rodzaju despotów, obiecujących i gwarantujących rzekomo solidne podstawy egzystencji ludzkiej, jeżeli zgodzi się być narzędziem w ich ręku.

Toteż coraz większemu egoizmowi w życiu prywatnym odpowiada coraz większe nasilenie i wpływ idei totalistycznych, czyniących jednostkę niemal zwierzęciem podjarzemnym, rządzonym batem w nagrodę za bezmyślne życie oraz karierę.

Egoizm osobisty i zbiorowy, normowanie stosunków ludzkich tylko płaszczyzną interesu i prawem silniejszego

uczyniło miłość bliźniego rzeczą zbędną, frazesem, w najlepszym razie deklamacją. Człowiek nowoczesny stał się w wysokim procencie obojętny na wszystko, prócz pieniądza i użycia.

Korzystanie masowe z zawrotnego tempa dorobków cywilizacji, jako to środków lokomocji, wygód życiowych, rozrywek — wyrafinowane dogadzanie swym zmysłom nie dało jednak człowiekowi poczucia szczęścia, pełni życia, równowagi psychicznej. Nic więc dziwnego, iż żyjemy w dobie panującej nieomal powszechnie nerwowości i neuroz wszelakiego rodzaju. Niepewność jutra, brak wielkiego celu, brak wiary w wartość życia, lęk wobec trudności życiowych — wywołały falę samobójstw, jako ucieczki od życia.

Na tym podłożu faktycznym i psychologicznym powstały bądź ośrodki bezbożnictwa i całkowitego rozprzężenia moralnego jak w Rosji Sowieckiej czy skomunizowanej Francji, bądź fala neopoganizmu germańskiego, gdzie pojęcie Boga zastąpiono kultem despotycznych bożków.

Smutny więc jest bilans realizowania życia bez Boga, życia opartego na wartościach jedynie materialnych, doczesnych, obliczanych według długości trwania życia ludzkiego.

Prof. Carrel, pisząc o współczesnym kryzysie moralnym, intelektualnym i społecznym, w swej pracy *Człowiek — istota nieznana,* twierdzi, że nastąpił on wskutek prowadzenia narodów przez ludzi, którzy określają czas, jako funkcję własnego trwania.

Trzeba przygotować — powiada Carrel — pokolenie młode do życia jutrzejszego, rozszerzyć horyzont czasowy poza siebie samych. Jedynie Kościół katolicki zrozumiał, że przejście jednego pokolenia jest w historii świata bez znaczenia.

Tylko jednostka, umiejąca patrzeć w głąb i w dal, w nieskończoność, w życie wieczne, nieśmiertelne, potrafi ująć życie na ziemi, jako przesuwające się fragmenty taśmy kinematograficznej, odzwierciedlające jedynie powierzchnię zjawisk, gdy tymczasem przy głębszym ujmowaniu rzeczy nie ma granic pomiędzy istnieniem obecnym, a pośmiertnym; natomiast jest jeden sens, jedna droga, prowadząca poprzez ciernie, w słońce, ku... zjednoczeniu z Bogiem.

Ujęcie życia jako szkoły, a wszelakich doświadczeń, jako pożądanego ognia, wypalającego szlachetny kruszec

naszej nieśmiertelnej istoty — to zasadnicza przyczyna powstania wielkiego systemu wychowawczego w postaci ascezy chrześcijańskiej (z greckiego *askesis* — trening). Poucza ona, w jaki sposób mamy postępować na drodze doskonalenia się, wychowania siebie pod względem duchowym, moralnym i fizycznym, by dojść do zjednoczenia z Bogiem.

Asceza tworzy ludzi uduchowionych, żyjących życiem wewnętrznym, których największym pragnieniem jest przysposobienie, przybliżenie (w granicach możliwości okresu życia ziemskiego) ku największej szczęśliwości, jaką jest zjednoczenie z Bogiem.

Jak ślepy lub głuchy jest nieczuły na pewne fale eteru, tak „niewtajemniczony" nie potrafi odczuć i zrozumieć, że największą szczęśliwością jest droga ascetów, pełna zachwyceń, gdzie „śmierć nawet zdaje się uśmiechem, wielką przygodą, wielką tęsknotą, kiedy łączy się z olśnieniem duszy, która pogrąża się w Bogu".

Nie każdy wchodzi na tę drogę. Rozumowanie, „wmawianie" — że się tak wyrażę — nie wprowadzi na nią. Wejdzie na nią ten, komu w pewnej chwili zapali się, najczęściej nagle, owo światło wewnętrzne, które tajemniczym promieniem wielkiej tęsknoty nawiąże nić pomiędzy jego wnętrzem, a źródłem wszelkiej szczęśliwości — Bogiem... Zrozumie wówczas, że, aby tę nić utrzymać, światło wewnętrzne powiększyć, móc przeżywać olśnienia, pić ową ewangeliczną „wodę żywą" — należy uczynić porządek z naszym ciałem, z naszym życiem fizjologicznym: uczynić nasze ciało bardziej chwytnym, subtelnym aparatem odbiorczym. Tęsknota za przeżyciem chwili olśnienia, które, aczkolwiek trwa krótko, to jednak rozświetla następnie całe życie, krzepi, staje się źródłem siły, wszelkiej oryginalności, wszystkich wielkich czynów, promieniowaniem miłości, jasności i siły dookoła, każe czynić wszystko, ażeby do takiej chwili znowuż wrócić, a w wieczności poddać się jej na zawsze. Tęsknotą staje się wówczas śmierć, a wszelkie wyrzeczenia — koniecznością, wysiłki — radością, rezultatem — harmonia i pokój wewnętrzny. Asceza staje się wówczas przypięciem skrzydeł w locie ku słońcu. A cóż może być większym szczęściem? Zrozumieli to dobrze nie tylko asceci chrześci-

jańscy, ale na swój sposób i mnisi tybetańscy i jogowie hinduscy, którzy wprost nie rozumieją życia religijnego bez ascezy, bez odosobnienia, bez dyscypliny, bez umartwień i ograniczeń.

Pozornie, dla „niewtajemniczonych" — mówiąc po katolicku — dla nieprześwietlonych łaską, dążenie ku doskonałości drogą ascezy może się wydawać ponurym, zimnym ogołoceniem, wyrzeczeniem się radosnych przyjemności życia codziennego za problematyczne dobra nieznanej pustki.

W rzeczywistości (O. Charles) „kresem doskonałości nie jest ogołocenie, ale zjednoczenie; nie czyni ono nas ubogimi, ale bogatymi. Nie chodzi o to, by się wyniszczać, lecz by się doskonalić, nie chodzi o to, by się umniejszać, lecz by się rozwijać i stawać się w pełni tym, czym dopiero w zarodku jesteśmy".

Dla duszy w locie ku źródłu jasności, jaką jest Bóg, ascetyczne wysiłki są koniecznością, jak ruch skrzydeł; są one wysubtelnieniem, zrzuceniem zbytecznych ciężarów, więzów cielesnych, by móc się wzbijać coraz wyżej.

I oto staje się rzecz dziwna, zgoła nieoczekiwany rezultat doświadczeń: asceza powoduje ciągły postęp, ciągły ruch naprzód. Postępujący drogą ascezy czyni coraz to nowe wysiłki, stosuje coraz to nowe ograniczenia, umartwienia, oczekując, że będzie się zbliżać ku swemu celowi świadomością niejako „zasługi" za wyrzeczenia się, za przezwyciężone trudności, za wyzbywanie się egoizmu i przywiązania do wartości doczesnych. Tymczasem, właśnie w miarę postępu, świadomość „zasługi" niknie, rozpływa się, wymyka się, jak woda pomiędzy palcami. Miast świadomości „zasługi" i postępu naprzód, które raczej w miarę pracy przyciemnia się wskutek zwiększania się dystansu pomiędzy duszą a Bogiem, spowodowanym coraz to krytyczniejszym podejściem do siebie — zjawia się mimowolne i podświadome uczucie zadowolenia z osiągania rezultatów doczesnych, wartości czysto życiowych, związanych z naszym życiem psychicznym i fizjologicznym.

Ocena tych wartości życiowych, naturalnych, ułatwiających nam nasze życie codzienne, które osiągają jakby mimo woli asceci na swej drodze wzwyż, a które są chętnie

stosowane przez medycynę, jako wskazania higieny, czy pociągnięcia terapeutyczne w stosunku do naszego organizmu, stanowi zasadnicze zagadnienie niniejszych rozważań.

Jak wyżej wspomniałam, asceza chrześcijańska wymaga wprowadzenia rygoru, dyscypliny do naszego życia dla celów nadprzyrodzonych. Z drugiej zaś strony lekarze, pedagodzy, psychologowie, fizjologowie, biologowie w imię harmonijnej pracy naszego organizmu coraz bardziej podkreślają konieczność narzucenia sobie pewnej dyscypliny umysłowej i fizjologicznej, z którą się spotykamy w ascezie chrześcijańskiej. Prof. Carrel wprost twierdzi, że

...człowiek wyrodnieje, jeśli całkowicie zaspokaja wrodzone skłonności fizjologiczne. Musi więc przyzwyczaić się do opanowania głodu, potrzeby snu, impulsów płciowych, lenistwa, zamiłowania do ćwiczeń mięśniowych, do alkoholu, do zbytków życiowych itp. Nadmiar snu i pożywienia szkodzi bardziej od niedomiaru. Najpierw tresura, a potem, dodając stopniowo rozumowanie do działań tresury, tworzy jednostki o działaniach zrównoważonych i potężnych.

Jest to dawno z obserwacji znany fakt, że dyscyplina daje ludziom wielką siłę.

Otóż asceza chrześcijańska, pragnąc u swoich adeptów rozpalić coraz większą miłość ku Bogu, uczynić żywy kontakt pomiędzy duszą a Bogiem, coraz mocniejszym, coraz na dłużej, proponuje cały szereg rygorów, wskazań ascetycznych na poszczególnych odcinkach naszego życia fizjologicznego i psychicznego. Zwróćmy uwagę na niektóre tylko wskazania w dziedzinie odżywiania, snu czy powściągania impulsów płciowych.

Racjonalizacja odżywiania, co do jakości i co do ilości, jest zagadnieniem żywym, pasjonującym szeroki ogół. W związku z prawami krążenia materii i energii w świecie i w ustroju wysuwają się dwa podstawowe, życiowe wskazania, równoważące bilans przemiany materii:

1) W imię prawa, że organizm tyle potrzebuje materiału do odbudowy, ile go zużywa, staramy się ograniczyć

ilość pożywienia do kaloryjnego zapotrzebowania ustroju; nadmiar uważa się za szkodliwy.

2) Wprowadzamy tylko takie substancje, które są dla naszego ustroju konieczne, lub pożyteczne, gdyż wchodzą w skład naszych tkanek.

Z powyższych założeń wynikają wnioski o konieczności ograniczenia ilości pokarmów, wbrew zwyrodniałym przeważnie skłonnościom do nadmiernego przekarmiania organizmu. Stąd dietetyczne hasła medycyny, częściowe ograniczenie dowozu białka (posty, jarstwo), a nawet okresowo całkowite powstrzymanie się od pożywienia, w myśl wskazań terapeutycznych przemiany materii (głodówki), wreszcie dietetyczne znaczenie witamin (diety surówkowe, owocowe).

Asceza chrześcijańska, żądając umartwień w spożywaniu pokarmów, nie różni się w zasadzie z poglądami medycyny. Nie chodzi jej oczywiście o wyniszczenie organizmu skutkiem stałego niedoboru pożywienia. Mając stale na widoku, że celem ascezy jest podnoszenie życia duchowego, jego coraz większe napięcie, a wszelkie umartwienie jest jedynie środkiem, rozumie dobrze, że po przekroczeniu minimum zaspokojenia potrzeb organizmu, może i życie wewnętrzne osłabnąć, załamać się, ile że duch nasz jest ściśle związany z ciałem, z życiem fizjologicznym i nieroztropne osłabienie naszego ciała może przynieść niepowetowaną szkodę także życiu duszy. Wskutek zbytniego osłabienia jawi się np. trudność skupienia się na modlitwie, gorsze wykonanie swych obowiązków, senność, utrudnienie pracy umysłowej, rozdrażnienie, oschłość dla otoczenia itp.

Asceza chrześcijańska pragnie doprowadzić ilość spożywanych pokarmów do minimum zapotrzebowania kaloryjnego w myśl, że spożywamy pokarmy, ażeby żyć, ażeby jak najwydatniej pracować, ażeby jak najlepiej, najintensywniej rozwijać swe życie wewnętrzne, a nie dla przyjemności i rozkoszy nasycenia się zwierzęcego i zmysłowych doświadczeń smakosza. Dusza, w locie ku światłu, przejdzie obojętnie, aczkolwiek nie zawsze z łatwością, obok przysmaków i nadużycia w tym względzie, zdaje bowiem sobie sprawę, że jest to niebezpieczeństwo obniżenia lotu. Z drugiej zaś

strony człowiek odżywiający się nadmiernie będzie niewolnikiem swego żołądka, w przyziemnym bytowaniu będzie tyć, co sprowadzi ociężałość umysłu i pracy, wpadnie w szereg dolegliwości na skutek wadliwej przemiany materii i w końcu będzie zmuszony w myśl nowoczesnych poglądów terapeutycznych poddać się uciążliwym głodówkom i ograniczeniom, tęskniąc... do zastawionego stołu.

Ograniczenie częściowe lub całkowite dowozu białka jest zalecane przez Kościół katolicki nie tylko dla zakonów, ale i dla ogółu świeckich w dni postne i w dłuższym okresie wielkiego postu. Ograniczenie spożywania mięsa — toć najbardziej nowoczesne wskazania dietetyki w imię walki z przekwaszeniem ustroju w tak dzisiaj licznych zaburzeniach przemiany materii. Nowoczesna dietetyka żąda tylko jednorazowego spożywania dziennie mięsa, z wykluczeniem całkowitym takowego w pewne dni, nie tylko w okresie wielkiego postu, ale stale; idzie więc dalej od wskazań Kościoła katolickiego dla ogółu, wkraczając pod tym względem w rygory niejako ascetyczne.

Poważny odłam jaroszów nie różni się w zasadzie, jeśli wykluczymy smakoszostwo, od ascezy reguł pewnych ścisłych zakonów, wykluczających w ogóle spożywanie mięsa na stałe.

A najbardziej modny pęd ku witaminom, a więc surówkom, owoce w dietetyce ogólnej, a na tle chorób przemiany materii i skóry w szczególności? Czyż to nie przypomina sposobu odżywiania się średniowiecznych pustelników, odżywiających się tylko roślinami? Czyż nie surowymi roślinami odżywiali się częstokroć święci w okresach ich pustelniczego odosobnienia, które były najbardziej intensywnymi okresami ich wewnętrznego życia, okresami największych wzlotów duchowych?

Wreszcie — zagadnienie postów ścisłych, powstrzymanie się w ogóle od jedzenia na pewien okres czasu (z dowozem naturalnie dostatecznej ilości wody). Czy nie jest to metoda, stosowana obecnie tak często w pladze chorób przemiany materii, żołądka, serca? Ludzie płacą grube pieniądze za pobyt w zakładach à la dr Tarnawski w Kossowie, gdzie naczelną zasadą jest leczenie głodem.

Widzimy więc, że wskazania mistrzów ascezy, dotyczące zagadnienia odżywiania, spotykają się nieomal we wszystkich punktach z poglądami współczesnej higieny i poglądami terapeutycznymi odżywiania. Punkt wyjścia, że odżywiamy się po to, aby żyć, a nie żyjemy po to, aby jeść, nieprzekraczanie norm kaloryjnych, posty, w znaczenie zmniejszenia ilości dowozu białka zwierzęcego, lub żywienie bezmięsne (jarskie) w zakonach ściślejszych, wreszcie w wyjątkowych okresach i wypadkach żywienie się surowymi roślinami i powstrzymanie się od jadła — oto wskazania ascezy chrześcijańskiej na tym odcinku.

Podobne wskazania stosują asceci tybetańscy i hinduscy, aczkolwiek cele ich są dalece odmienne. Asceci chrześcijańscy stosują umartwienia w imię ewangelicznego ubóstwa, z chęci naśladowania i z umiłowania Jezusa, w imię idei pokuty, dla pozyskania łaski, ustrzeżenia jej i pomnożenia. — Asceta wschodni czyni mniej więcej to samo z pobudek bardziej ziemskich z chęci doprowadzenia siły woli swojej do maksimum, przez opanowanie swego ciała. Wyniki jego systematycznych, planowych wysiłków są zadziwiające: potrafi urządzać nie tylko długotrwałe głodówki, ale i powstrzymać na dłuższy czas proces oddychania, a tym samym zwalniać proces przemiany materii, stać się nieczułym na temperaturę niską i wysoką itp. Asceza Wschodu podaje specjalne drobiazgowe przepisy odżywiania, do których muszą się stosować jej adepci np. spożywanie pewnych określonych roślin w różnych okresach.

W ascezie chrześcijańskiej góruje cel, w ascezie Wschodu — technika.

Wydaje mi się, że poza ogólnymi wskazaniami odżywiania, którymi operuje asceza chrześcijańska, ustalenie pewnej — że tak się wyrażę — „diety" dla ascetów i mistyków, dążących ku doskonałości, dla jak największego uczulenia ich aparatu odbiorczego, jakim jest ciało, nie jest zagadnieniem naiwnym. Np. bez żadnych reguł w tym względzie, siłą tylko popędu jakiegoś dodatkowego instynktu, szereg świętych, w okresach jak najintensywniejszej kontemplacji, uciekał do odosobnienia pustelniczego, trwając dłuższy czas

bez pożywienia, lub żywiąc się tylko witaminami (znaczenie witamin, jako „siły żywej").

Na zakończenie rozważań nad tą kwestią chciałabym zaznaczyć mimochodem, że post jest zagadnieniem na ogół modnym. Wspomnijmy chociażby o licznych wśród kobiet wypadkach głodzenia się, najczęściej dla celów kosmetycznych, dla „linii". Owe męczennice mody w innych dniach postu, przepisanych przez Kościół katolicki, starannie unikają postu, rzekomo „dla słabego zdrowia".

— Sen jest koniecznością dla człowieka, jak odżywianie i oddychanie. Jest on regeneracją energii psychicznej po pracy dnia. By osiągnąć maksymalną z niego wartość w postaci siły do pracy, należy pamiętać o odpowiedniej długości i czasie jego trwania. Wiemy wszyscy, że jest on najbardziej wartościowy w pierwszej jego połowie do północy. Sądzę, że najsłuszniejsze stanowisko zajęły pod tym względem zakony, zalecając swym członkom wczesne udawanie się na spoczynek i wczesne rozpoczęcie dnia pracy. Długość snu 6—7 godzin w domach zakonnych jest również dostateczna. Natomiast skracanie poniżej tej normy byłoby szkodliwe, jak i nadmierne wydłużanie, prowadzące do gnuśności, rozleniwiałości i niepotrzebnych marzeń. Profesor Carrel w kilku miejscach podkreśla, że „nadmiar snu i pożywienia bardziej szkodzi od niedomiaru".

Niezmiernie ważnym zagadnieniem, które należy zaliczyć do najtrudniejszych problemów psychologicznych i wychowawczych, należy zagadnienie higieny psychicznej pod względem erotycznym. Z jej postulatami bowiem krzyżują się na tym polu normy etyczne i postulaty ustroju społecznego. Asceza chrześcijańska zajmuje zdecydowanie wyraźne stanowisko, zalecając abstynencję, powściągliwość impulsów płciowych, co nie przeszkadza, że rozróżnia czystość zakonną i czystość stanową w rodzinie, gdzie uregulowane życie seksualne ma służyć dla celów rozrodczych. Zalecając abstynencję, asceza chrześcijańska pragnie podnieść człowieka z poziomu niewolnika zwierzęcych żądz do godności istoty duchowej, skierowując niezużytą energię ku innym wyższym celom Bożym i społecznym (sublimacja instynktu),

co się całkowicie pokrywa z poglądami tak wybitnych psychologów i pedagogów, jak np. prof. dr Schumann. Z drugiej zaś strony według opinii głośnego twórcy psychologii indywidualnej Adlera

...subiektywne poddawanie się popędom seksualnym i nieprzystosowanie się do realności społecznej jest przyczyną nerwic, natomiast przystosowanie się dobrowolne, samodzielne i karne do norm społecznych i etycznych jest warunkiem zdrowia charakteru.

Asceza chrześcijańska stara się walczyć z wszechwładnie panującym prądem sprowadzania celu i wartości życia do przeżyć i wrażeń seksualnych, a więc w wysokim procencie zwierzęcych. Rozumiejąc potężne znaczenie miłości odmiennych płci, nie zwalcza jej, ale podnosi do wartości idealnych, altruistycznych, uświęcając życie płciowe sakramentem małżeństwa, zastępując gruby egoizm zwierzęcego barłogu jasną atmosferą altruizmu, poświęcając całego siebie w imię miłości czy to dla drugiego z małżonków, czy, jako matka lub ojciec, dla dziecka. Rodzinę i macierzyństwo podniósł Kościół katolicki do najwyższych godności i w imię obrony ich stał się regulatorem higieny miłości. Ażeby ta miłość mogła być w swoim czasie i wielką i promienną i silną, Kościół stoi bezapelacyjnie na stanowisku powściągliwości impulsów płciowych poza rodziną. Nikt nie doznał krzywdy, żyjąc życiem czystym, a rozwiązłość życia jest osią bankructwa współczesnego, przyczyną mnóstwa zbrodni, załamań się, nerwic, psychoz, zmarnowanego życia duszy i ciała.

Jeśli pragniemy szczerze odrodzenia współczesnego człowieka, wydobycia zeń najwyższej wydajności, jeśli pragniemy mu dać siłę, równowagę psychiczną, pokój wewnętrzny, panowanie nad zachciankami, nieustępowanie przed trudnościami — to nigdy nie dojdziemy do tego wyniku bez ujęcia w bezwzględny rygor jego impulsów płciowych. Muszą pamiętać o tym wychowawcy od najmłodszych lat dziecka, by ustrzec je w przyszłości od roztrwonienia życia w zwierzęcych nałogach.

Drugą obszerną platformą, gdzie się zazębiają wskazania mistrzów ascezy chrześcijańskiej z medycyną, to higiena

psychiczna i psychoterapia, zagadnienie neuroz. Asceza chrześcijańska, zapatrzona w swój cel nieustannego doskonalenia się dla dojścia do zjednoczenia z Bogiem, pragnie zaprawić swych adeptów do jak największego panowania nad sobą na wszystkich odcinkach życia, co da im wolność ducha i polot w modlitwie. W myśl tego żąda zdyscyplinowania nie tylko życia zewnętrznego, ale przede wszystkim moralnego, umysłowego, uczuciowego.

Zwycięstwo nad samym sobą, skupienie, zastanawianie się nad sobą, zdawanie sobie sprawy ze swych czynów (analogia — rachunek sumienia), kierowanie najmniejszymi zachceniami, utrzymanie się w spokoju wewnętrznym, — są to zalecenia współczesnej psychoterapii w celu utrzymania równowagi nerwowej. Mistrzowie życia wewnętrznego występują z tą samą mową. Oni mają cele wyższe, pobudki wznioślejsze, ale ich przepisy są identyczne (R. de Sinéty).

Uderza wielkie podobieństwo pomiędzy przepisami współczesnej psychoterapii a starymi, dawnymi regulaminami ascezy chrześcijańskiej.

W zdyscyplinowaniu życia moralnego zwalcza asceza chrześcijańska grzech nie tylko śmiertelny, ale i powszedni. Grzech, jako odstępstwo, złamanie prawa Bożego, jest tym dla duszy, czym choroba, jako złamanie prawa naturalnego — dla naszego ciała. Ponieważ w jednostce ludzkiej duch i ciało są ściśle ze sobą zespolone — katastrofa duszy musi się odbić i na naszym aparacie cielesnym, co też możemy często stwierdzić w całej pełni. Jakżeż często na skutek występnego życia następuje załamanie równowagi i psychicznej i fizycznej w postaci rozdrażnienia i roztrzęsienia nerwowego, trudności opanowania się, osłabienia sił, pewnego jakby otępienia umysłu, uczuć i woli, zatracenia linii życiowej, często neurozy, apatii, histerii, braku łaknienia itp.

Kościół katolicki przychodzi z cudownym lekarstwem, podaje rękę dla zrestytuowania, odnowienia życia. Lekarstwem tym jest spowiedź połączona z rozgrzeszeniem — czyli sakrament pokuty i Eucharystia, jako odnowienie w Chrystusie. O cudownym psychicznym działaniu tych środków wie z doświadczenia każdy katolik, który śpieszy

do nich nie raz do roku, „ażeby prawu kościelnemu stało się zadość", ale sięga po nie często, jako po pokarm, po „wodę żywą", po lekarstwo, po siłę — na niedolę załamania się wewnętrznego i psychicznego. To też asceza chrześcijańska podkreśla, że warunkiem *sine qua non* udoskonalenia wewnętrznego jest czystość sumienia, coraz bardziej sublimowana przez wolę pod cudownym współdziałaniem łaski, aż... do świętości. Każdy święty dotykał istotnego szczęścia, osiągał naprawdę równowagę i pokój. Na ich tedy drodze szukajmy recepty na nasze roztrzęsione nerwy i załamania życiowe.

Załamanie życiowe następuje wówczas, gdy cel, którym żyjemy, usuwa nam się spod nóg. Toteż niezmiernie ważną jest rzeczą dla utrzymania równowagi wewnętrznej i psychicznej człowieka, by cele jego sięgały wyżej, dalej, poza możliwość załamania. Każdy cel, oparty na rzeczach ludzkich, na istocie ułomnej, jakim jest człowiek, może się załamać, a więc tym samym sprowadzić katastrofę psychiczną. Tylko cel nadprzyrodzony, jakim jest Bóg, nasza miłość, tęsknota, ciążenie ku Niemu — nie może ulec katastrofie zniszczenia. Asceza chrześcijańska, skierowując nasz wzrok bezustannie ku Bogu, jako uosobieniu najwyższych ideałów, zaprawia swych uczniów do patrzenia na świat, na ludzi, na stworzenia, na wszystkie zjawiska życiowe — z dużego dystansu, z perspektywy wieczności. Jako skutek — widzimy u ascetów spokój, równowagę psychiczną, wesele wewnętrzne, których nie mogą załamać nawet największe nieszczęścia życiowe. One ich nie dotykają, jako zjawiska względne, a dotkliwą ich wyczuwalność znoszą asceci z radością, jako „ofiarę krzyża", jako doświadczenie — dar, ułatwiający wyzwolenie się i możliwość posunięcia się na swej drodze o krok wyżej. — Takiej mądrości, takiej skutecznej terapii na załamania psychiczne nie znajdziemy nigdzie poza ascezą chrześcijańską.

Asceza chrześcijańska nakazuje patrzeć na zjawiska życia naszego pod kątem wiary w mądrość i dobroć Opatrzności. Stąd wypływa konieczność zgadzania się z wolą Bożą, jako, że Bóg miłuje nas, opiekuje się nami; bez Jego woli „włos nam z głowy nie spadnie", wie On lepiej, czego

nam potrzeba. Asceta z ufnością znosi nawet ciężkie doświadczenia życiowe, widząc w nich zawsze sens i mądrość Bożą, aczkolwiek często nie może ich zrozumieć swym ograniczonym umysłem, patrzącym z bliska. Ta ufność i płynący stąd spokój — to równocześnie najlepsze zapewnienie równowagi psychicznej, tak łatwo doznającej wstrząsów przy lada nieszczęściu.

Asceza chrześcijańska żąda nie tylko dyscypliny moralnej, ale i intelektualnej, dyscypliny naszego umysłu, naszej świadomości, a nawet podświadomości. By zdobyć jak największą wolność ducha, asceta musi przejść przez ogołocenie swojej świadomości, co jest wspaniale rozwinięte i ujęte w pewien system u takiego czołowego mistrza ascezy chrześcijańskiej, jakim jest św. Jan od Krzyża. W myśl jego szkoły asceta powinien dążyć stopniowo do oczyszczenia swej świadomości przez niezatrzymywanie w niej na czas dłuższy ani wrażeń zmysłowych, ani hamujących pojęć umysłowych, ani uczuć niesharmonizowanych, pozytywnych lub negatywnych. A więc np. asceta nie rozmyśla o doznanych przykrościach, czy radościach, usuwa z siebie, tak zbyt silne przywiązania do kogokolwiek i czegokolwiek, jak i uczucia niechęci, żalu, zemsty, zawodu. Czyni zaś to wszystko w tym celu, by się przygotować do kontemplacji, by przygotować „pustą", oczyszczoną świadomość do zapełnienia jej Bogiem, do pogrążenia się w Bogu. Przez oczyszczenie swojej podświadomości wyzwala ją od niepotrzebnego, nieprzetrawionego jeszcze, zalegającego materiału myślowego, uzyskując świeżość psychiczną i bardziej wartościowy wypoczynek podczas snu, albowiem

...zasadniczym warunkiem umiejętności psychicznej organizacji snu jest przedsięwzięcie skutecznych środków, zapobiegających okupacji mózgu przez „resztki pracy dziennej" w postaci obfitych w treść wizji sennych, cenzurowanych w dodatku przez minimalną chociażby świadomość. Można po 8 godz. śnie wstać zupełnie niewypoczętym — o ile nasz dzień roboczy zostanie powiększony kosztem wypoczynku nocnego, przesyconego nieprzetrawionym należycie materiałem myślowym, nad którego opracowaniem biedzimy się w „mądrych snach". [1])

[1]) Rudniański: *Technologia pracy umysłowej.*

Ten odcinek szkoły ascetycznej jest niezmiernie trudny, ale niczym są trudności wobec sowitej zapłaty. Na razie z trudem ogałaca się świadomość, kosztuje to niesłychane wysiłki, ale już prędko spostrzega się oczywiste zdobycze życiowe. I znowuż cena tych wysiłków jakby znikła, wymyka się, albowiem zdobywa się taką równowagę ducha, o jakiej normalnie trudno nawet marzyć. Równowaga ta usuwa natychmiast ze świadomości ascety wrażenia doznanych przykrości, żalu, zawiści, smutku itp., przeto nie ma on już powodów do martwienia się, „zamartwiania" się tak częstego u osób wrażliwych. Przykrości i zmartwienia, jakby same znikają, nie dotykają już, a spokój i równowaga psychiczna pogłębiają się coraz to bardziej, w końcu zdobywa się prawdziwą wolność ducha.

Asceta chrześcijański ma zdyscyplinowane całe swoje życie. Praca jego jest zorganizowana. Nie marnuje ani chwili czasu, nie ma przeto wolnych chwil na próżne marzenia, rozmyślania, przetrawiania swych udręk, smażenia się we własnym sosie dotkniętej ambicji, urażonej miłości własnej. Tak współcześnie modne podejście do rzekomo nowego pojęcia „organizacji pracy", „budżetu czasu" na wszystkich odcinkach życia było dawno znane i szeroko stosowane przez wszystkich ascetów chrześcijańskich we wszystkich bez wyjątku zakonach.

Równocześnie trzeba stwierdzić, że praca, niemarnowanie czasu jest środkiem wysoko cenionym przez psychoterapię, jest idealnym lekiem na histerię i neurozy wszelakiego rodzaju. Człowiek, mający pracę, ma niejako cel doraźny. Po pracowicie spędzonym dniu nie będzie miał ani chęci, ani czasu na trujące samoanalizy siebie i swego otoczenia. Często po prostu zapomni o swoich drobnych kłopotach, nie będzie ich chorobliwie wyolbrzymiał, a będzie je widział realnie, jako drobiazgi, jak to właśnie czynią asceci chrześcijańscy.

Po pracowicie spędzonym dniu asceta chrześcijański nie uda się na spoczynek bez rachunku sumienia, bez zdania sobie sprawy z przyczyn swoich upadków a także postępu. Czyż nie żądają podobnej analizy — celem usunięcia chorobliwych, leżących w granicach jeszcze normy, a nawet

przechodzących już w dziedzinę patologii urojeń oraz „kompleksów niższości" — współczesna psychologia i psychoterapia, współczesna, tak modna, psychoanaliza Freuda, czy psychologia indywidualna — Adlera?

Asceza chrześcijańska pragnie odbudować człowieka Bożego, przechrystusowionego, odnowionego, o pełni życia, pokoju, równowagi i wesela wewnętrznego. Odbudowuje go przede wszystkim przez regułę intelektualną, moralną i religijną i przez odmowę przyjęcia obyczajów tłumu. W warunkach odosobnienia i dyscypliny widzi wydajność postępu jednostki. Ażeby zwalczać zwycięsko otoczenie, doradza łączyć się z innymi jednostkami o tym samym ideale, co jest zasadą powstania zakonów w Kościele katolickim. Do wniosków identycznych dochodzą współcześni świeccy uczeni (np. Carrel) w poszukiwaniu odpowiednich warunków dla odbudowy współczesnego, świeckiego człowieka.

Izolując w pracy wewnętrznej człowieka od tłumu, asceza chrześcijańska nie rozumie jednak prawdziwej miłości Boga bez miłości bliźniego. Żądając wyzbycia się na wszystkich odcinkach życia egoizmu i osobistych zachcianek, uczy samozaparcia się i poświęcenia siebie dla innych aż do heroizmu. Altruizm, miłość bliźniego w Chrystusie, miłość przede wszystkim upośledzonych, słabych, kalek, chorych, nieszczęśliwych — oto oblicze społeczne ascezy chrześcijańskiej, która wydała tylu wielkich społeczników, jak św. Wincenty à Paulo, św. Jan Bosco i tylu, tylu innych... Z drugiej strony ostatnim słowem psychoterapii i psychologii indywidualnej Adlera jest właśnie uspołecznienie jednostki, wyprowadzenie jej z kręgu życia egoizmu, egotyzmu i zasklepienia się w sobie.

Kościół katolicki zawsze to rozumiał i nie rozumie ascezy chrześcijańskiej bez szeroko wcielanej w czyn miłości bliźniego.

Na zakończenie tych pobieżnych uwag podkreślić jeszcze raz należy, że asceza chrześcijańska nie dąży do zniszczenia człowieka, ale do harmonii jego czynności organicznych i psychicznych — przy stałym postępie naprzód. Korzystając z wiekowych doświadczeń, że nadmiar, spokój, bezczynność i wygody nie sprzyjają rozwojowi ludzkiego ducha, że po-

trzebna jest pewna twardość i walka — asceza żąda dyscypliny i pracy dla umysłu i ciała. Dopiero tak zdyscyplinowany człowiek, trzymający na wodzy swe namiętności i zachcianki, mający uregulowany tryb życia, umartwiający swoje ciało, sprowadzając zaspokojenie naturalnych zapotrzebowań, jak snu, odżywienia, do minimum, panujący nad swymi zmysłami, miłujący czynnie bliźniego, o czystym sercu i silnej woli, umiejący przechodzić ponad trudnościami życia, a przyjmować z radością krzyże doświadczeń — potrafi zapałać wielką miłością do Chrystusa, a ponad troski i bóle, patrzeć w zachwyceniu i tęsknocie w górę i w dal...

Chciałabym jeszcze zaznaczyć, że utrzymanie w dyscyplinie i harmonii naszego ciała, by wyzwolić ducha, nie jest rzeczą prostą i łatwą nie tylko dla tego, kto sam poddaje się temu treningowi duszy ale i dla tego, kto tym treningiem kieruje. Ponieważ trening duszy idzie łącznie z treningiem ciała, musi to ostatnie być pod periodyczną przynajmniej kontrolą lekarską, by nie przeciągnąć struny i być stale „w formie", a nie wkraczać w bilans ujemny naszych zapotrzebowań. Tak, jak ćwiczenia fizyczne są potrzebne dla każdego, ale pod kontrolą lekarską — tak i ćwiczenia ascetyczne, ze względu na swój refleks fizyczny, wymagają moim zdaniem, kontroli i opieki lekarskiej, by nie wkroczyć w wyniszczenie i ustrzec się histerii, do której pseudoasceza nie tylko może doprowadzić, ale i niejednokrotnie doprowadza. Naturalnie, że tylko lekarz wierzący, rozumiejący i wyczuwający ascezę, może taką opiekę sprawować i tu dla lekarzy katolików — otwiera się szerokie, ciekawe a niewyzyskane pole dla opracowania norm tej właśnie opieki. Mistrz ascezy, kierownik dusz może i powinien współpracować z lekarzem katolikiem dla osiągnięcia jak najpełniejszych wyników. I na odwrót każdy lekarz, zwłaszcza psychiatra, powinien korzystać ze skarbów katolickiej ascezy, by mógł jak najskuteczniej zapobiegać schorzeniom ludzkiego ciała oraz ludzkiej psyche.

Dr med. W. Bitnerowa.

Zagadnienie osadnictwa kolonialnego.

Przyczyny międzynarodowych przeobrażeń, od paru już lat wchodzących w okres groźnych dla pokoju świata zaburzeń, tkwią głęboko w całokształcie gospodarczych i psychicznych przemian, dokonanych lub dokonywujących się w łonie niejednego z narodów. Z tych głębokich przemian wynika też wzajemne ustosunkowanie się do siebie poszczególnych narodów i państw. Spotęgowany przez wojnę wyścig techniki i wynalazków, uwielekrotnił produkcję i wybitnie uprzywilejował tych, którzy dysponują wszechpotężnym kapitałem. Dążąc do coraz większej jego koncentracji oraz do opanowania za jego pośrednictwem wszelkich skarbów tej ziemi, konsekwentnie zmierzają oni do podporządkowania sobie potrzebujących tych skarbów ludzi. Spóźnione w budowie rodzimego kapitalizmu narody, przeciwstawiając się temu faktowi, usiłują tworzyć organizacje, by wzmożonym i sharmonizowanym wysiłkiem obywateli zastąpić materialne braki swego dotychczasowego ustroju.

Uwszechstronniając w tym celu swe gospodartwa narodowe, dążą te upośledzone w kapitał państwa do należytego ich uprzemysłowienia. Dzisiejsze jednak warunki do przeprowadzenia tych planów są zupełnie inne niż w okresach minionych. Odbiorcze rynki obcych ziem i kolonii, wchłaniające ongiś najlichszą nawet tandetę i tworzące bazę przemysłowej rozbudowy państw Zachodu, zamykają się dziś coraz szczelniej przed produkcją świeżo uprzemysławiających się krajów. Chcąc więc zdobyć swą gospodarczą niezależność w rozbudowie swego przemysłu, będą one mogły dokonać tego dzieła, bądź opierając je na niewolniczej

pracy i nędzy własnych obywateli, bądź na rozszerzaniu za wszelką cenę własnego rynku wewnętrznego.

Rozszerzanie wewnętrznego rynku konsumcyjnego domaga się jednak uprzedniego zaopatrzenia każdego obywatela w określone środki zarobkowania. Skoro więc i przyrost naturalny ludności i nowe warunki gospodarczego rozwoju nie pozwalają na szybkie wchłanianie tej ludnościowej nadwyżki przez przemysł, konieczną staje się jej lokata w ciągle powiększanych ilościach gospodarstw rolnych. Mnożenie tych ostatnich nie może jednak przekraczać określonych dla każdego kraju granic. Gdy więc w ramach określonego państwa zabraknie przestrzeni do tworzenia nowych warsztatów rolnych, imperatywną stanie się konieczność wylania się tej rolniczej fali poza granice danego kraju i dlatego też całkowicie zgodzić się musimy z opinią sir Arnolda Wilsona, który uważa za całkowicie błędny ten pogląd, że samo przywrócenie wolności obrotu dóbr przywróci ład w stosunkach międzynarodowych, ponieważ „wolna wymiana dóbr nie zastąpi swobodnego rozmieszczania się ludzkości na ziemskim globie".

Toteż niemniej radykalnych przemian domaga się dotychczasowa gospodarka kolonialna. Zmiany te stają się coraz bardziej niezbędne tak w interesie metropolii i ogółu państw cywilizowanych, jak i samejże tubylczej ludności kolonii. Dotychczasowy bowiem plantacyjny system monokultur, ulegający najmniejszym wahaniom międzynarodowej koniunktury, nie przyczyniał się bynajmniej do ustabilizowania warunków międzynarodowej wymiany. Masowa natomiast produkcja określonych tylko żywnościowych lub surowcowych artykułów, przeciwstawiająca latyfundystę masie najemnej, a raczej niewolniczej pracy ludów kolorowych, nie potęgowała również chłonności kolonialnych rynków na europejskie wyroby.

System wielkich plantacyj kolonialnych, administrowanych przeważnie w imieniu rozmaitych kompanii, lub stale w metropolii przebywających właścicieli, zmusza ludy kolorowe do uważania Europejczyków za zniewalających ich do pracy najeźdźców, a nie za współobywateli, budujących w ich sąsiedztwie swe stałe domowe ogniska. Przeświad-

czenie to czyni ich tym bardziej opornymi w podejmowaniu narzuconej im pracy. Gdyby więc nie surowo przestrzegane pogłówne podatki i najbardziej ostre kary za opuszczanie podjętych na plantacjach prac, olbrzymia większość afrykańskich kolonii już od dawna musiałaby ogłosić swą upadłość.

Jeżeli przy obecnym systemie trudnym już się staje utrzymanie określonego poziomu konsumcji europejskich towarów w koloniach, to wydatne podniesienie tego poziomu nie jest możliwe bez gruntownego przełamania psychiki murzyńskiej. Dokonać zaś tego można jedynie tylko w drodze udostępnienia tubylcom możliwości zakładania, najmniejszych bodaj, lecz własnych gospodarstw. Na stopniowe zarysowywanie się takich właśnie tendencyj, wskazuje ostatnia praca *Royal Institute of International Affairs,* zaznaczająca, że najnowsi badacze spraw kolonialnych, podkreślają wyraźnie, że tak jak zakładanie rozległych plantacyj było charakterystyczną cechą polityki kolonialnej z ubiegłego stulecia, tak samo dążenie do tworzenia masy chłopskich posiadłości staje się cechą znamienną tej polityki w wieku bieżącym.

Pozostawiając jednak te ludy sam na sam z dotychczasowymi tylko plantatorami, nigdy prawdopodobnie nie osiągnie się zrealizowania założeń tej nowej gospodarki. Po pierwsze bowiem każde samodzielne gospodarstwo murzyńskie, zmniejszając ilość rąk roboczych na plantacjach, tym samym przeciwstawia się wyraźnie interesom wielkich plantatorów. Po drugie prymitywny umysł murzyński, nawet wyzwolony z zależności najemnej, nie będzie mógł w całej pełni przez długi jeszcze okres czasu wyzyskać gospodarczych i społecznych możliwości, związanych z posiadaniem własnego kawałka ziemi. Żadna szkoła i żadna teoria nic mu nie pomogą bez możliwości stałego wzorowania się na przezornej i myślącej o jutrze gospodarce europejskiego sąsiada. Na podstawowe znaczenie tego właśnie psychologicznego czynnika, jakim jest naśladownictwo zwracają uwagę z całym naciskiem najpoważniejsi pisarze kolonialni. De Warren np., mówi, że pierwszych i najważniejszych prac w waloryzacji „krajów nowych", podobnie jak pierwszych i najbardziej

skutecznych wzorów tej pracy dostarczają tubylcom zawsze i wszędzie koloniści. Niemniej stanowcze stwierdzenie tego faktu wyszło i spod pióra sir E. Grigga, gubernatora Kenei, który sądzi, że „najlepszą szkołą dla afrykańczyków jest dobrze zagospodarowana europejska posiadłość".

O natychmiastowych i bezpośrednich korzyściach, płynących z faktu zagęszczenia europejskiego zaludnienia w koloniach świadczą chociażby statystyki wymiany Algerii z metropolią, wchłaniającej przeciętnie 16,5% całego francuskiego wywozu, przy 15%, przypadających na wszystkie pozostałe kolonie Francji. Obroty brytyjskiej metropolii z Kanadą są przeciętnie wyższe niż z Indiami, dysponującymi czterdziestokrotnie większym zaludnieniem. Łączna natomiast jej wymiana z Australią, Nową Zelandią i Związkiem Południowo-Afrykańskim jest średnio dwa razy większą od towarowej wymiany indyjskiej.

Waga osadniczego elementu w waloryzacji ziem kolonialnych zmuszała już od dawna do czynnego zainteresowania się tym zagadnieniem. Inicjatywa w tym względzie wyszła z łona krajów, które, jak dominia, nie tylko posiadają rozległe, bogate i odpowiednie dla europejskiego osadnictwa terytoria, lecz ponadto dysponują określonym na nich zaczynem europejskiej cywilizacji. Uchwalonym w r. 1922 *Empire Settlement Act*'em metropolia i poszczególne dominia przeznaczyły olbrzymie sumy dla zwiększenia na terytoriach imperium ilości stale osiadłych Brytyjczyków. Niezależne jednak od brytyjskiej woli niewielkie tego aktu realne osiągnięcia, zmuszają i nadal do nieustannych nawoływań, by nadano mu większą skuteczność. Obradujący w końcu r. 1936 Kongres Izb Handlowych Imperium wskazywał właśnie na ten moment jako na najbardziej żywotną sprawę Commonwealth'u.

Jeżeli zasiedlenie Europejczykami, tych, uchodzących już od dawna za odpowiednie dla nich, ziem, weszło zdecydowanie w okres wzmożonych zainteresowań, to ostatnie lata przyniosły również radykalne zmiany poglądów na możliwości europejskiego osadnictwa także i w tropikalnych koloniach Afryki. Gen. Smuts, grający tak wybitną rolę w formowaniu się nowoczesnego Commonwealth'u brytyj-

skiego, wyraźnie mówi, że bez dostatecznej europejskiej armatury osadniczej i europejskiego przykładu jest nie do pomyślenia dalszy rozwój tego kontynentu.[1]) Niemniej zdecydowanie wtóruje mu prasa tych kolonii,[2]) jak również powzięte w r. 1926 uchwały Konferencji Gubernatorów brytyjskiej Afryki Wschodniej. Potęgując tempo gospodarczego rozwoju kolonii, oraz dając im większe gwarancje politycznego bezpieczeństwa, wzmożona kolonialna masa osiadłych Europejczyków pozwala ponadto każdej z nich ubiegać się o tak ceniony w brytyjskim świecie *self-government*. Jak bowiem zupełnie słusznie zauważa R. L. Buell „europejskie zasiedlenie Afryki Wschodniej jest koniecznym wstępem do realizacji dominialnego ideału".

Uświadomienie imperatywności tych potrzeb oraz nieszczędzące wydatków wysiłki w ich zaspokojeniu wydały jednak dotychczas znikome tylko rezultaty. Nie zważając bowiem na to, że celem postanowień specjalnej ustawy *(Empire Settlement Act)* było rolnicze właśnie osadnictwo, spośród 400.000 brytyjskich imigrantów wspieranych w latach 1922—1933 przez rządy metropolii i dominiów, zalewie 14% osiadło na dominialnej roli. A nawet i spośród tej garstki, jak mówi *Round Table* (IX/36.) *a considerable number are known to have drifted from their rural moorings.* Przyczyn tego szukać należy w fakcie, że „brytyjska ludność rolnicza, z łona której rekrutowała się ongiś główna masa tych emigrantów, uległa ogromnemu przerzedzeniu. Nieustannie natomiast zmniejszający się przyrost naturalny Zjednoczonego Królestwa, oraz brak nadziei na jego poprawę, zmuszają do przypuszczań, że nawet i bez dalszej emigracji w ciągu

[1]) „The civilization of Africa call for a definite policy, the policy of European settlement, the establishment of a white community inside Africa which will form the steel framework of the whole ambitious structure of African civilization. Without a large European population as a continuous support and guarantee of that civilization and as an ever-present practical example and stimulus for the natives I fear that civilization will not endure for long". Smuts: *Africa and Some World Problems.* 1930.

[2]) „Development of Tanganyjka by means of white settlemen of the land was the only remedy to the financial depression". *The Dar-es-Salaam Times.* II/VII/25.

niewielu już lat ludność Anglii osiągnie stopień swego niezbędnego nasycenia". Rolnictwo angielskie, zdziesiątkowane liczebnie, straciło ponadto dużo z dawnych swych walorów indywidualnych. Jak sądzi bowiem autor francuski, „zamieniając w przemysł niejako rolnicze swe poczynania, rolnik angielski zerwał już łączące go z glebą więzy. To już nie jest rolnik w sensie nadawanym temu słowu we Francji lub Niemczech, a jeszcze mniej wieśniak, lecz raczej tylko fabrykant produktów rolniczych". [1])

Te same identycznie kłopoty zaprzątają uwagę rządów metropolitalnych wyludniającej się Francji i uprzemysłowionej nad miarę Belgii. Ta ostatnia, odczuwając brak sił rolniczych, zmuszoną została do zrezygnowania z pięknie obmyślonego planu kolonizacji wyżynnych krajów Konga. Nic więc dziwnego, że w świetle tych zachodnio-europejskich rzeczywistości rolniczych, autorzy, omawiający niepowodzenia kolonialnych prób osadniczych, mimo woli przypominają o istnieniu jedynie, z tego właśnie punktu widzenia, wartościowego elementu rolniczego środkowej Europy. [2])

Brak własnej masy rolniczej zmusza wszystkie metropolie do oparcia polityki kolonialnej na systemie rozległych plantacyj i do tolerowania wszelkich tego systemu schorzeń. Stąd też wynika to niekrępowane z góry określonymi obowiązkami eksploatacji hojne rozdawnictwo olbrzymich przestrzeni ziemi osobom prywatnym, w rezultacie czego, jak to stwierdza *The South and East African Year Book* z 1938 r., około 50 głównych kompanii kolonialnych dysponuje przeszło 30.000 mil kw. ziemi w granicach samego tylko Związku Południowo-Afrykańskiego i Południowej Rodezji. Z zestawienia, umieszczonego w pracy Buella wynika, że około 20.000 Europejczyków, zamieszkujących Rodezję Północną, Nyasaland, Tanganikę, Ugandę i Kenyę dysponowało już przed piętnastu laty przeszło 40.000 mil kw. ziemi, nie licząc olbrzymich terytoriów, zarezerwowanych jako ziemie ko-

[1]) Decugis: *Le destin des races blanches.* 1935.

[2]) „The type of settler who has come to Kenya has not been the immigrant from Central Europe who has been accustomed to using his hands, but a man of comporative means, usually unfamiliar with manual labor". R. L. Buell: *The Native Problem in Africa.* 1928.

ronne dla przyszłych osadników. Podobna sytuacja powtarza się również i w Australii, gdzie jak np. w Nowej Południowej Walii około 700 właścicieli dysponowało łącznie przeszło 17 milionami hektarów.

Rozległość tych posiadłości, brak odpowiednich dla ich zwaloryzowania kapitałów u ich posiadaczy, oraz brak dostatecznych inwestycyj gospodarczych i komunikacyjnych w większości tych kolonii, powodują, że w swej olbrzymiej większości leżą one odłogiem. Z dociekań tegoż Buell'a wynika, że niecałe 5% tych południowo-afrykańskich posiadłości ziemskich było pod uprawą, a w Nowej Południowej Walii nawet zaledwie 2%.

Zachłanna jednak chęć wydobycia maksymalnych z nich dochodów, zmusza ich właścicieli do wysilania ich uzdolnień w celu związania z nimi jako siły roboczej możliwie wielkiej części tubylczej ludności. Cały system podatkowy, przepisy meldunkowe i karne, wszystko zmierza do przymuszenia Murzyna do podjęcia pracy na europejskiej plantacji. Tak powszechne w brytyjskich koloniach rezerwaty tubylcze, mające rzekomo chronić tę ludność przed ujemnymi wpływami białych, w istocie przyczyniają się jeszcze bardziej do jej gnębienia. Stłoczone bowiem w ciasnych granicach, uniemożliwiającego wyżywienie, rezerwatu, rodziny murzyńskie z konieczności są zmuszone do wysyłania prawie ogółu swych zdolnych do pracy członków w celach zarobkowych poza jego granice. Dlatego też, o ile w Kenyi plantacje europejskie zatrudniały przeciętnie 34% ogółu zdolnych do pracy mężczyzn, w przeszło milionowym rezerwacie Traskei takiej pracy oddawać się musiało ponad 41% jego sił męskich.

Takie niewolnicze prawie warunki pracy Murzynów na dobro europejskich plantatorów, przyczyniają się walnie, jak wyraża się wspomniany już rocznik, do „podcięcia energii i samopoczucia panującej rasy". Zanikająca natomiast energia zdobywców, tendencje do koncentrowania własności ziemskich w rękach wielkich posiadaczy, utrudniona z tego powodu konkurencja z nimi dla małych właścicieli, oraz powszechna pogoń za przyjemnymi warunkami życia, przyczyniają się poważnie do wyludnienia okręgów rolniczych

nawet w tych krajach, gdzie pierwotnie element rolniczy był dość silnie reprezentowany. O ile bowiem jeszcze w r. 1891 Związek Południowo-Afrykański liczył 65% rolników, w r. 1936 udział ich spadł do 34,7%. Kanada wykazująca w r. 1891 ponad 68% ludności rolniczej, w r. 1931 miała jej zaledwie 46%. Ludność Australii jeszcze w r. 1910 żyjąca w 62,5% z roli, w ćwierć wieku potem już tylko w połowie była rolniczą. Taż sama Australia, licząca zaledwie sześć i pół miliona obywateli aż w dwu miastach skupiała po milionie mieszkańców.

Mimo tych naturalnych już obecnie wad szczepów anglosaskich, uniemożliwiających im osiadłe i rolnicze zagospodarowanie ich kolonij, w każdej z nich skupia się jednak powoli określonej zwartości masa Brytyjczyków. Zgodnie też z oddawna zakorzenioną tradycją rodzimą każda z tych grup usiłuje zdobyć dla siebie możliwie całkowity samorząd. Jeżeli więc w dobie obecnej ludność dominiów, o której oczywiście nie można powiedzieć że jest wyjątkowo zagęszczona, zdobyła całkowite uprawnienia do niekontrolowanego dysponowania nieobliczalnymi bogactwami olbrzymich swych terytoriów, to do tegoż celu zmierzają wszystkie kolonie, którym poszczęściło się skupić kilka bodaj tysięcy Anglików. Licząca zaledwie 55 tysięcy Brytyjczyków Południowa Rodezja dysponuje już prawie w całości wszelkimi uprawnieniami dominiów. O to samo od dawna już walczą uporczywie i licząca 18.000 białych Kenya, i zamieszkała przez 10.000 europejczyków Północna Rodezja.

Takie dążenia nie byłyby same przez się niesłuszne, gdyby nie usiłowano równocześnie uczynić z nich przeszkody dla możliwych prób sprawiedliwszego podziału bogactw ziemskiego globu i możliwości powszechniejszego ich użytkowania. Od paru bowiem już lat na wszelkie propozycje rozpatrzenia spraw kolonialnych zwykło się odpowiadać w metropolii brytyjskiej, że są to sprawy nie należące do Anglii, lecz do dominiów. Powoli więc wytwarza się paradoksalna sytuacja, że garstka europejczyków, dysponująca olbrzymimi terytoriami, pełnymi wszelkich a nieeksploatowanych bogactw i możliwości, zamyka je szczelnie przed dopływem narodowo obcego elementu. Sytuacja taka niczym

właściwie nie różni się od stanu tych spraw z doby władztwa rozmaitych kompanij kolonialnych, których akcjonariusze arbitralnie rozporządzali i kolonią i sposobem jej eksploatacji. Analogie te są tym ściślejsze, że i dziś jeszcze gospodarstwo najbardziej samodzielnego dominium i polityczne jego bezpieczeństwo, całkowicie są zależne od finansowych dyspozycji metropolii, oraz od jej militarnej i politycznej sytuacji międzynarodowej.

Wobec sprzeczności w poglądach na możliwości europejskiej osadniczej kolonizacji Afryki, wyraźnie zarysowujących się wśród autorów i administratorów kolonialnych oraz samych kolonistów, koniecznym się staje zbadanie również motywów, które spowodowały wypowiedzenie tych lub innych opinij. W wielu też wypadkach będzie można przekonać się, że negatywne poglądy na te zagadnienia wypływają raczej z braku u danego narodu odpowiedniego dla tych zadań materiału osadniczego, niż z naturalnych niemożliwości zaludnienia tych obszarów nowymi osadnikami.

Wspaniałe osiągnięcia osadniczych poczynań Francji w Algerii z okresu, gdy ideałem Francuza nie były same tylko wygody życia, nie pozwalają już dziś kwestionować tej możliwości w Afryce Północnej. Jeżeli z przyczyn, charakteryzujących rozwój społeczny narodów Zachodu, spośród miliona prawie europejskich mieszkańców Algerii zaledwie tylko 10% żyje na roli, to jednak wśród 27,000 własności rolnych znacznie ponad ich połowę nie przekracza małych 30 hektarowych gospodarstw, na których ich właściciele wykonują własnoręcznie całość związanych z ich eksploatacją prac. Ponadto w granicach tejże Algerii wykonywuje rozmaite prace rolnicze ponad 50.000 drobnych dzierżawców i robotników rolnych europejczyków. Na południowym krańcu tegoż kontynentu osadnicze wysiłki Holendrów i Anglików, również z okresu już wprawdzie minionego, wydały niemniej przekonywujące pod tym względem rezultaty.

Co się tyczy takich możliwości w reszcie kolonialnych krajów Afryki, to najważniejszym argumentem, przemawiającym przeciwko temu, były znikome ilości europejczyków dotychczas na stałe osiadłych w tych krajach. W argumen-

tacji tej nie bierze się jednak pod uwagę faktu, że niekrępowane dotychczas możliwości emigracji do krajów Ameryki, o ustalonych już podwalinach europejskiej cywilizacji i w znacznej mierze klimatycznie bardziej odpowiednich dla europejczyków, nie zmuszały nikogo do poszukiwań nowych terenów osiedleńczych na całkiem jeszcze nieznanym czarnym lądzie. Tylko coraz trudniejsze do przezwyciężenia barykady, wznoszone przez Amerykę na tej utartej drodze europejskiej emigracji, skierowały uwagę, coraz ociężalszej w swej inicjatywie, Europy ku tym ziemiom Afryki.

Lata kryzysu, zmuszające do poświęcenia olbrzymich funduszy na utrzymanie bezrobotnych, natchnęły niejeden z rządów metropolitalnych myślą osadnictwa kolonialnego. Podjęte w związku z tym gruntowniejsze studia, dokonały rewelacyjnych odkryć. Przekonano się bowiem, że „na zasadzie fragmentarycznych doświadczeń przygodnych ekspertów zbyt szybko zdecydowano o niemożliwości uprawy zbóż w Kongo, gdy natomiast, jak to stwierdzono obecnie, tego rodzaju uprawa jest tam zupełnie możliwa. Ponadto ustalono również, że brak soli wapiennych w glebie zony osiedleńczej na płaskowyżach Konga, zmiejszający odżywcze właściwości plonów tej gleby, może być łatwo uzupełniony odpowiednim nawożeniem". [1]) Wśród innych odkryć tego rodzaju, przypomniano również o istnieniu przeszło pięćdziesięciotysięcznej kolonii Portugalczyków, wspaniale zaaklimatyzowanych w tropikalnych warunkach Angoli. [2]) Szereg rodzin niemieckich, osiadłych w dobie kryzysu na drobnych gospodarstwach rolnych w Tanganice, zmusił Brytyjczyków do zastanowienia się nad możliwościami rozszerzenia takich praktyk także i w odniesieniu do własnych rodaków.

Australia, posiadająca na swym kontynencie rozległe terytoria tropikalne, a więc i szczególnie zainteresowana

---

[1]) J. Legouis: *Revue International du Travail.* (X/36).

[2]) „Quelle surprise et quelle révélation de rencontrer soudain au fond de la brousse ces villages européens de colons qui se considerent comme fixés dans une nouvelle patrie, et dont les nombreux enfants sont aussi parfaitement acclimatés que les petits indigenes avec lesquels ils jouent". J. Weulersse: *L'Afrique noire.* 1934.

w możliwościach ich zaludnienia, wydzieliła specjalny w tym celu komitet medycznego kongresu, który orzekł w r. 1920, że „nie można znaleźć naturalnych i nieprzezwyciężonych przeszkód, uniemożliwiających zasiedlenia tropikalnej Australii zdrową i tu zadomowioną białą rasą". Z tegoż orzeczenia wynika również, że „sprawa skutecznego rozwoju osadnictwa w tropikalnej Australii jest w istocie sprawą stosowania zdobyczy wiedzy w dziedzinie zdrowia publicznego". Przeprowadzona z ramienia tegoż komitetu gruntowna praca dra Cilento, stwierdza, że drugie i trzecie pokolenie europejczyków, żyjących i pracujących w Północnym Queensland'zie, w niczym nie wykazuje niższych od swych europejskich rówieśników, ani fizycznych ani umysłowych uzdolnień. Też same badania zaprzeczyły twierdzeniom o zmniejszaniu się rozrodczych zdolności europejczyków, zamieszkałych w krajach tropikalnych.[1])

Szereg danych statystycznych, mniej lub więcej systematycznie gromadzonych w rozmaitych koloniach, potwierdzają wymownie i przekonywująco te doświadczenia i oparte na nich wnioski. Badania belgijskie stwierdzają bowiem wyraźnie, że o ile w początkach stulecia śmiertelność wśród białych w Kongo wynosiła 65‰, w r. 1933 spadła już ona do 8‰. Dane przeciętne z pięciu lat ostatnich, wykazujące normy śmiertelności wśród europejczyków Północnej Rodezji (9,8‰), Południowej Rodezji (9,3‰) i Nyasalandu (8,5‰) oraz normy urodzin (28,6‰), (22,6‰) i (21,7‰), dają cyfry bardziej sprzyjające naturalnemu przyrostowi, niż w niejednym z krajów Europy.

Jeżeli osadnictwo europejskie na płaskowyżach Afryki nie powinno napotkać na niedające się przezwyciężyć naturalne przeszkody, to tym mniej będą temu się sprzeciwiać ich warunki społeczne. Wszyscy bowiem, badający te sprawy autorzy, zgodnie stwierdzają, że ludność murzyńska woli zamieszkiwać niżej położone kraje, pozostawiając prawie bez ludności płaskowyża, o bardziej umiarkowanym klima-

---

[1]) „Not only are the women of the tropics as fertile as immigrant stocks, but, allowing for the advantage in the ages in the figures shown, they are more so". Dr. R. W. Cilento: *The White Man in the Tropics.* 1925.

cie. Te ostatnie natomiast są właśnie najbardziej odpowiednie dla europejczyków.

Wprawdzie w poszukiwaniu rozwiązań kolonialnych, literatura i administracja brytyjska ostatnio szczególnie zatroszczyły się o interesy murzynów, wynajdując nawet specjalny termin *trusteeship*, mający stwierdzać pierwszeństwo tubylców przed kolonistami, to jednak sądzić należy, że jest to raczej jeden jeszcze ze sztucznych sposobów wykazania rzekomej niemożliwości zaludnienia Afryki przez europejczyków. Autor [1]) brytyjski, liczący się mniej ze względami kurtuazji, mówi o tym, że „całe to gadanie o *trusteeship* i ochronie interesów upośledzonej ludności tubylczej jest zwykłą tylko blagą". Porównując gęstość zaludnienia na milę kw. w krajach nadających się do kolonizacji, jak Rodezja Północna (4,8), Południowa (8,6), Kenya (14) oraz Tanganika (14,8) z krajami nie odpowiednimi dla europejczyków, jak Ruanda-Urundi (165) oraz Uganda (45), będziemy mogli stwierdzić dowodnie, że najbardziej nawet rozwijające się osadnictwo nie zaszkodzi w niczym murzyńskim interesom. Prawdziwość tego faktu wystąpi jeszcze wyraźniej, gdy sobie uświadomimy, że i w tych krajach ludność murzyńska skupia się w rejonach dla europejczyków nie odpowiednich. W takiej Tanganice same władze stwierdziły, że przy średnim zaludnieniu kolonii, 14 osób na milę, rejony najbardziej dla białych odpowiednie wykazywały od 1,3 do 6,5.

Biorąc pod uwagę, że „we wszystkich brytyjskich koloniach Afryki, za wyjątkiem Złotego Wybrzeża i Południowej Nigerii, ziemie zostały oficjalnie uznane za ziemie koronne, którymi prawne rozporządzanie przysługuje rządom miejscowym", [1]) nie będzie żadnej trudności w znalezieniu odpowiednich i zasobnych terenów dla przyszłych kolonistów. Wyraźnie zakreślony podział na ziemie dla tubylczych zagospodarowań i terytoria europejskich gospodarstw rolnych, może poważnie przyczynić się do zmniejszenia, tak groźnej dla białych kolonistów, murzyńskiej konkurencji. Na jej złagodzenie będzie działać również czas, podnoszący murzyńskie wymagania zarobkowe i życiowe, oraz potęgujący

[1]) G. Padmore: *Africa and World Peace*. 1937.

gospodarcze i techniczne tropikalne uzdolnienia białych osadników.

Stwierdzając brak istotnie nie dających się przezwyciężyć naturalnych i społecznych przeszkód dla europejskiego osadniczego skolonizowania wyżynnych krajów Afryki, dalecy jednak jesteśmy od twierdzenia, iż skolonizowanie to jest rzeczą łatwą. Największe jednak przeszkody w tych przyszłych i ewentualnych poczynaniach wypłyną z gospodarczych i politycznych raczej niż higienicznych czy społecznych motywów.

Dla skolonizowania bowiem pierwotnego kraju nie wystarczą same tylko najbardziej nawet dogodne jego warunki klimatyczne, obfitość w nim ziemi, oraz obecność chętnych do podjęcia tego dzieła kolonistów. Dla ich należytego zainstalowania, umożliwiającego ich przyszły gospodarczy i kulturalny rozwój, konieczne są olbrzymie fundusze, pozwalające na zwaloryzowanie ziem tego kraju i jego włączenia do grona krajów europejskiej cywilizacji. Rozbudowa sieci komunikacyjnej, sieci doświadczalnych stacyj rolniczych, masy robót publicznych, mających podnieść zdrowotność kraju, umożliwić społeczną i kulturalną łączność gmin osiedleńczych, oraz zapewnić oświecenie młodym pokoleniom, nie licząc już nawet ściśle gospodarczych inwestycyj i wydatków administracyjnych, oto szereg pozycyj domagających się natychmiastowego pokrycia.

Italskie poczynania w Abisynii wykazały najdowodniej kosztowność tych kolonizacyjno-osiedleńczych przedsięwzięć. Podejmując bowiem to zadanie i uświadamiając sobie swą wobec przyszłych pokoleń odpowiedzialność, żadne państwo nie może rozpocząć masowego osiedlania swych obywateli w koloniach, nie zapewniwszy im uprzednio bodaj minimum warunków wszechstronnego rozwoju. Dlatego też równolegle do tworzenia gospodarczych podstaw osadnictwa, osadza Italia swych kolonistów w Abisynii w gromadach zbiorowych, których członkowie rekrutowani są z jednych i tych samych prowincyj. Usiłując zapewnić w ten sposób jak najściślejszą zwartość nowych gmin osiedleńczych, przenoszących rodzimą niejako atmosferę do obcego kraju, zmierza się do stworzenia warunków jak najbardziej życzliwej współ-

pracy, ona bowiem w znacznej mierze przyczynić się może do osiągnięcia dodatnich rezultatów, oraz uchroni kolonistów przed zdziczeniem. Ze względu również na te ostateczne rezultaty, każdy z kolonistów eksploatuje swe, nie przekraczające 50 hektarów, gospodarstwo pod fachowym kierownictwem organizacji kolonizacyjnej i dopiero po dwuletniej praktyce otrzymuje je jako zagospodarowaną i zainwestowaną własność.

Mimo olbrzymich kosztów tego rodzaju zorganizowanej wędrówki narodów, Europa, jako całość, wcześniej czy później, zmuszoną będzie podjąć się jej przeprowadzenia. Spośród bowiem wszystkich kontynentów, jak to dowodnie wykazuje Fischer, jedynie tylko ona zaludnioną jest znacznie ponad swój możliwy do wyżywienia potencjał. Stopniowe też realizowanie powszechnych wysiłków w dziedzinie uwszechstronnienia gospodarstw narodowych, będzie musiało oddziaływać w kierunku wyrównywania, tak ludnościowego jak i ekonomicznego natężenia poszczególnych kompleksów gospodarczych i politycznych. Ponieważ kompleks euro-afrykański oczekują najprawdopodobniej największe w tej dziedzinie przemiany, sądzić przeto można, że w celu uniknięcia zbyt gwałtownych wstrząsów, będzie bardziej wskazane oprzeć przyszłą europejską politykę osadniczą w Afryce, nie na samych tylko ekonomicznych założeniach. Tak samo bowiem, jak nie żąda się już dzisiaj opłacalności wydatków, związanych z utrzymaniem przy życiu, niestety coraz liczniejszych rzesz bezrobotnych, tak samo nie można również żądać natychmiastowej rentowności kapitałów zainwestowanych w osadnictwie.

Uwzględniając historyczne warunki rozwoju kolonialnych zdobyczy, będzie musiała Europa w swej przyszłej współpracy w dziedzinie kolonizacyjno-osadniczej połączyć gospodarcze zasoby i kolonialny stan posiadania mocarstw Zachodu z potencjonalną siłą migracyjną państw jej środka. Pozornie niewspółmierne te udziały nie pozwoliłyby mimo wszystko na zmontowanie takiej współpracy, gdyby coraz gwałtowniej rozwijające się wypadki międzynarodowe nie czyniły jej coraz bardziej prawdopodobną, a nawet coraz

bardziej konieczną w interesie przede wszystkim tych mocarstw Zachodu.

Dynamizm ras kolorowych, oraz groźba populacyjnie zasobnych a militarnie potężnych mocarstw Wschodu i środkowej Europy, musi nareszcie skłonić metropolie kolonialne do maksymalnych wysiłków w należytym zaludnieniu ich zagrożonych posiadłości. Brak zaś własnego potencjału emigracyjnego, walnie przyczynia się do tego, że coraz bardziej autorytatywne osoby wypowiadają się za koniecznością udania się z prośbą o ten element do innych narodów. Mówi o tym i zamykający Kongres Izb Handlowych Imperium jego przewodniczący, [1]) i oficjalny przedstawiciel rządu Wielkiej Brytanii [2]) na jubileuszowych uroczystościach Australii. Dla lorda de la Warr zagadnienie to staje się sprawą „dotyczącą rozmieszczenia całej rasy białej na świecie".

A gospodarcze korzyści takiej właśnie współpracy nie są bynajmniej najmniejsze. Skoro bowiem robotnik przemysłowy Zachodu nie chce opuszczać swych siedzib, koniecznym staje się żeby rolnik środkowo-europejski założył swój warsztat w kolonii i zwiększył jej zapotrzebowania na europejskie fabrykaty. Usiłowania zastąpienia tego rolnika zachodnio-europejskim emigrantem przemysłowym, nie tylko nie zmniejsza kłopotów wysyłającej go metropolii, lecz je raczej potęguje, ponieważ osiadając z przyzwyczajenia w miastach, tworzy on podstawy konkurencyjnego przemysłu. Przykład Kanady i Australii dostatecznym jest tego dowodem.

Mimo że eksploatacja kolonij jest niezbędną dla państw przeludnionych i mało zasobnych w surowce, ich gospodarczy niedorozwój nie pozwala im upominać się o kolonie na własny wyłącznie rachunek. Zaniedbywanie bowiem eksploatacji posiadanych kolonij nie tylko nieustannie grozi ich utratą, lecz przysporzyć może jeszcze ponadto szereg rozmaitych międzynarodowych powikłań. Sytuacja geograficzna

---

[1]) „If Great Britain was unable to supply sufficient immigrants they should consider taking people from other suitable European countries". Lord Elibank.

[2]) „Immigration would have to be faced. A successful solution must be found by adopting a broader basis than hitherto". Lord de la Warr.

kraju, uniemożliwiająca lub utrudniająca dostęp do kolonij, winna również doradzać w tym względzie rozwagę.

Jeżeli geopolityczna pozycja państwa, któremu, jak Polsce, udostępnienie osadniczych i eksploatacyjnych terenów kolonij znacznie ułatwiłoby rozwój, nie pozwala jednak myśleć o suwerennym nimi władaniu, ona też równocześnie ogromnie ułatwia sharmonizowanie jego kolonialnej współpracy z mocarstwami, obecnymi posiadaczami tych terenów. Mając bowiem możność stałej kontroli morskich komunikacyj, mocarstwa te najbardziej efektywnie są zabezpieczone przeciwko wszelkim groźbom politycznym z naszej strony, czego nie można oczywiście powiedzieć o współpracy z mocarstwami, dysponującymi szerszym morskim wylotem w świat.

Nie brak wprawdzie krajów na globie, których rzadkie zaludnienie uniemożliwia pełną waloryzację ich bogactw naturalnych. Rozległe przestrzenie obu Ameryk z olbrzymim pożytkiem dla siebie i ludzkości mogłyby jeszcze wchłonąć setki milionów nowych imigrantów. Od dawna jednak i gruntownie rozkrzewione w tych krajach pierwiastki cywilizacji iberyjskiej i anglosaskiej grożą nieuniknionym wynarodowieniem najbardziej nawet zwartej masy imigrantów, co łącznie z doktryną Monroe'go, wykluczającą wszelkie dalsze możliwości, stanowczo odradza zasilania amerykańskich terytoriów europejskimi wychodźcami. Konieczność zachowania jak najściślejszych kulturalnych i gospodarczych więzów emigracji z macierzą, wskazuje więc jako na bardziej racjonalne zużytkowanie sił narodu w osadniczej kolonizacji tych terenów, które z braku takich tradycyj nie grożą niebezpieczeństwem wynarodowienia, a ze względu na swe rozległe i bezludne przestrzenie, umożliwiają zwarte zasiedlanie całych rejonów, rezerwując w przyszłości najbardziej rozmaite pod względem politycznym rozwiązania, nie wykluczając nawet ewentualności przejęcia na własność przez macierzyste państwo pewnych terenów kolonialnych.

Gospodarcze potrzeby przeludnionej Europy, oraz polityczne i ekonomiczne konieczności kolonij, nawołują, jak stwierdziliśmy, do skierowania fali wychodźczej ku ich rozległym a bezludnym terytoriom; warunki naturalne znacznej ich części nie stawiają nie dających się przezwyciężyć dla

europejskiego osadnictwa przeszkód, wreszcie należyte skolonizowanie tych terytoriów wymaga zrzeszonych wysiłków mocarstw bogatych w zasoby gospodarcze z państwami, obfitującymi w siły ludzkie; wobec powyższych przesłanek owa współpraca powinna niewątpliwie wydać korzystne dla obu stron rezultaty. Precedensy historyczne, bez ludzkiej wprawdzie woli, stworzyły istotnie sytuacje, w których tego rodzaju współpraca, jak np. Anglików z Francuzami i Holendrami w Kanadzie i Afryce, nie tylko wydała rozmaite bezpośrednie korzyści lecz związała ponadto interesy tych państw także i na innych całkiem nie kolonialnych terenach. W świetle więc tych faktów, sądzić można, że wcześniej czy później musi dojść do takiego sharmonizowania międzynarodowych poczynań. Przypuszczeń tych nie mogą wykluczyć najbardziej nawet groźne pobrząkiwania orężem, ponieważ najwięksi nawet od tych spraw specjaliści, nie mogą przecież twierdzić, że wojna jest celem ludzkości! Celu zaś pokojowego rozwoju nie osiągnie się nigdy bez zorganizowania współpracy narodów, także a może i zwłaszcza w dziedzinie gospodarki kolonialnej.

Roman Piotrowicz.

Gabriel d'Annunzio.

Pod mglistym niebem Wielkiej Brytanii, czy też północnych Niemiec, zetknięcie się poety z szarzyzną zwykłych śmiertelników przybiera często postać walki bez pardonu. Geniusz odmawia ugięcia się przed prawem państwowym i przepisami społeczeństwa, ta zaś jego odmowa obraca się w tragedię, zakończoną śmiercią, wygnaniem albo obłędem wielkiego samotnika; liczba ma zawsze przewagę nad jednostką. Z istnień nie objętych szablonem, władza legalna czyni istnienia wyjęte spod prawa. Lord-Major poniża i pognębia Chattertona. Byron, opuściwszy ojczyznę umiera jako wygnaniec. Hölderlina, Novalisa, Mörike'a, Lenaua, Nietzschego nie oszczędza tragedia obłędu.

Żaden z nich nie jest w stanie stworzyć swojego Orplidu, ani na ziemskich padołach wybudować wyśnionego zamku, którego ściany wznosiłyby się w granicach Germanii. Zaszczyty przypadają autorom średniej miary, owym *poetae laureati,* lub też — w wyjątkowych wypadkach — dostają się geniuszom poetyckim, ale tylko tym, którzy szanują przyzwoitość i okazują się wiernym poddanym królów czy też inaczej ukształtowanych rządów. Taki Goethe i taki Schiller — to wzorowi członkowie własnej społeczności narodowej. Oprzytomniawszy z młodzieńczych szaleństw, otrzymują indygenaty szlacheckie, podobnie jak Tennyson zostaje obdarowany parostwem. Żaden z nich wszakże nie śmiałby marzyć o hrabstwach, markizatach, a tym mniej o udzielnych księstwach.

Gabriel d'Annunzio, urodzony w sferze szanownego i opływającego bogactwem mieszczaństwa, umiera jako książę

Monte Nevoso, kawaler orderu Annuncjaty, kuzyn królewski i honorowy generał. W magnackiej rezydencji gaśnie płomień jego życia a zwłoki odbierają podczas pogrzebu honory królewskie. Wszystko to — po życiu pełnym niezwykłości, liczącym się wyłącznie z kaprysami wielkiego artysty oraz — z sumieniem narodowym, surogatem, który temu nadczłowiekowi zastąpił proste sumienie zwykłych ludzi. Świetna kariera pisarza, dandysa, polityka i żołnierza potoczyła się szlakiem obfitującym w przepych; nie była wszakże przy tym pozbawiona tragicznych przejść oraz zderzeń. Jednak, pomimo wszystko, nie doszło w niej do nieubłaganego konfliktu pomiędzy ojczyzną a tejże marnotrawnym i fenomenalnym synem. D'Annunzio wymykał się z normalnych ram życia najrozmaitszymi drogami. Wśród ostatnich zdarzały się wyjścia — mówiąc po prostu — brzydkie. Wszystkie przecież bez wyjątku otrzymały w końcu polubowne i gładkie rozwiązania, osiągnięte na drodze owych *grandi combinazioni,* których tajemnicę posiadają i przechowują jedni tylko Włosi, strzegąc jej równie zazdrośnie jak sekretu *delle piccole combinazioni.*

Albowiem naród artystów, jakim jest naród włoski, już z wczesnego zarania przeczuwa nadejście prawdziwego geniusza i geniuszowi temu przyznaje przywileje suwerenne. Tytuł księcia poetów w Paryżu przynosi kilka gratisowych występów na Montmartre wywiad z *Intransigeant* wraz z tą pewnością, że się nigdy nie wejdzie do Akademii; do tego dochodzi jeszcze obowiązek noszenia „lavallierowskich" miękkich filców oraz krawatów, uwodzenia dziewcząt, życia w nędzy i błocie. Jakże inaczej powodzi się księciu poetów we Włoszech. Rozgorączkowany tłum wieńczy go u stóp Kapitolu. Salony najwyższej arystokracji wydzierają sobie nawzajem nowego para z łaski muz. Każde słowo wybrańca wydaje się być szczerozłotym i jako takie będzie opłacone. A że *noblesse oblige,* a do tego jeszcze *haute noblesse,* więc Jego Wysokość z Parnasu będzie się ubierał u najpierwszego krawca oraz ubiegał o względy najpierwszych dam z towarzystwa, stając się wzajem przedmiotem analogicznych starań z ich strony; będzie zamieszkiwał pałace, tonące w woni czarownych ogrodów, śmigał po autostradach wspaniałymi

karoseriami „superluxów" oraz zbywał wyniosłą nieobecnością i pogardliwym milczeniem swych wierzycieli, ilekroć któremu z tych grubian przyjdzie fantastyczna chętka odzyskania własnej należności.

Bo ten książę, książę poetów, jest *legibus solutus,* podobnie jak byli jego przodkowie z czasów Odrodzenia. D'Annunzio, „boski" jak go nazywano, jest duchowym synem Boccaciów, Tassów, Ariostów, Aretinów, Cellinich, Tycjanów — im też podobny, chociaż wielu z nich wyrosło z pnia o wiele niższego, niżeli rodowe drzewo d'Annunziów. Gabriel dostał się bardzo wcześnie do najbardziej zamkniętych i wyłącznych sfer towarzyskich. Upodobał sobie życie wielkopańskie oraz przywileje arystokratycznej śmietanki, nie chciał wszakże poddać się kodeksowi rządzącemu tym środowiskiem. Zaczem jedni w głos zakrzyczeli o skandalu, inni natomiast stanęli w podziwie przed rewolucjonistą *fashionable.* Tymczasem Gabriel-Alcybiades nie przestawał zdumiewać sobą książąt z tytułu, książąt krwi oraz markizów. Zwycięzca w niejednym buduarze, jeździec i szermierz w wielkim stylu, wyrocznia elegancji był jednak przede wszystkim niewolnikiem bożka, w którego żarliwej czci nikt nie umiał go przewyższyć: celebrował kult własnego „Ja" w atmosferze krwi, śmierci oraz zmysłowej rozkoszy.

Działo się to w epoce, której przyszłość da nazwę: *Fin-de-Siècle.* Barrès z Rue de Rome szalenie przypomina Nad-Barrèsa, przechadzającego się niby Petroniusz, a trochę także niby Neron, po ulicach Wiecznego Miasta. *Qualis artifex circumeo!* Mallarmé, Stefan George, Wilde, Vallé-Inclan, Zeyer... wszyscy ci egotyści, przedzieleni od nas przestrzenią czterdziestolecia, zdają się być wykuci podług jednego wzoru, na tę samą modłę: *eritis sicut diabolus, ne scientes bonum et malum.* Nietzsche pokazał im ścieżkę amoralizmu. Gide'a przywiedzie ona do niemoralności, która niczym innym nie jest, jak moralnością wtłoczoną w głąb ludzkiego jestestwa i zdławioną. D'Annunzio natomiast zatrzyma się przy amoralizmie. Jest bowiem z rasy Borgiów oraz Cellinich, tych, co nie znają witriolu ani cukru, zarówno jak i przestępstwa ani cnoty. Znają za to i jedynie uznają machiavelowską *virtù* siłę, własną swą wolę, oraz

czyn uwieńczony powodzeniem. Za pozwoleniem wszakże! D'Annunzio nie jest z tym wszystkim ani sekciarzem, ani antyklerykałem, ani nawet człowiekiem niewierzącym. Podobnie jak u wielu innych sławnych jego współziomków, wewnętrzne źródła religii oraz moralności nie jednoczą się w sercu włoskiego poety w jeden wspólny nurt duchowy. Mało przykładne jego życie nie narusza jego wiary. Katolicyzm i grzech współistnieją w nim obok siebie, wprawdzie nie w postaci tragicznego zamętu, jaki nosił w sobie pozbawiony równowagi wewnętrznej Lélian — ale na modłę manzonowego Rodryga. D'Annunzio zatem zabronił nieproszonym mentorom wstępu do świątyni swego ducha. Jednakowoż poza tym i on również nie potrafiłby niczego odmówić szczerej religijności.

Tak samo Gabriel jak Rodrigo ukrywają na dnie rozkoszy, zabaw i przyjemności coś, co jedynie olbrzymi rozmiarami kataklizm mocen jest objawić im samym, zarówno jak odsłonić przed światem: ukrywają własną swą duszę, która pozostała chrześcijańską; ducha ofiary, którego w sobie żywią (a więc nie samą tylko manię poświęcenia wszystkiego na ołtarzu własnego ducha czy umysłu); na koniec wzniosłe i szlachetne dążenia, które po życiu oddanym zmysłom potrafią nadać treść nie tylko życiu ale i śmierci. Don Rodrigo Gabriel d'Annunzio, Don Juan naszych czasów, posiada serce i odwagę, ale nikt inny poza jego ojczyzną nie byłby zdołał doświadczyć tego tak rychło. Wybucha wojna i wyrywa poetę muzom — mowa tu o trzech gracjach współzawodniczących w wyścigu o łaski mistrza; były to panie: Cecylia Sorel, Isadora Duncan oraz Ida Rubinstein. Wojna odrywa więc poetę od Paryża, miasta błękitnych hortensyj i zielonych dusz — ach! zielonych i jak jeszcze zielonych! pomimo przeżytych lat pięćdziesięciu. *Italianissimo maestro* słowa udał się na wygnanie w pełnym apogeum swojej chwały, chcąc ujść przed niedyskrecją wierzycieli. Przybywając do Francji, przynosił z sobą do *pays d'oc* ów *dolce suon nuovo,* który Dante niegdyś zapożyczył z Prowancji. Mową zaś Corneille'a i Racine'a władał z taką swobodą, żeby nie powiedzieć z wirtuozostwem, że począł uchodzić za paryżanina z wyboru. W międzyczasie wojna

kolonialna, zapowiedź przyszłego pożaru, dyktuje wprawdzie d'Annunzio'wi tyrtejskie strofy, ale nie unosi go jeszcze, nie wyrywa z płomieni zadzierzgniętych przez niego stosunków, aby go powieść w niebezpieczniejszy ogień armatnich salw i karabinów.

Jednakże wojna wybucha, ta, która się pisze przez duże „W", ta, która rozstrzygnie o losach Europy oraz italskiego narodu. Gabriel, zwany „boskim", archanioł zwycięstwa, rzuca się do walki z archaniołem germanizmu. Petroniusz pakuje dyplomatyczne walizy, opuszcza wygnańcze ognisko, wyjeżdża — a w ślad za nim — jedzie trzydzieści par lakierków (o modo! modo przeszłości!), jadą stosy barwnych, krawatów, garniturów i kompletów wieczorowych. *Partir — c'est mourir un peu* powiedział poeta francuski. W danym razie wyjazd oznaczał śmierć lwa salonów dla bogatych lwic jako też paryżanek innego pokroju; był wszakże zarazem wskrzeszeniem lwa na polach bitwy albo — raczej — wskrzeszeniem rzymskiego orła, króla przestworzy.

D'Annunzio przywykł do prawienia komplementów pięknym damom. D'Annunzio nienawidził wszelkiej gminności. I oto nagle, znalazłszy się w Genui, przemawia do mężczyzn, rozprawia z tłumem. D'Annunzio zdołał szczęśliwie uniknąć plotek rzymskiej „society", równie niepożądanych jak niemiłe odwiedziny komornika. I oto teraz staje przed Kwirytami, wzywa ich do broni, podąża na Kapitol, błaga o Wojnę Świętą, uderza na alarm, zaklęciami tłumi trwogę, zwątpienie oraz dyplomatyczne intrygi i staje się — w wyrocznych chwilach włoskich dziejów — wodzem i przewodnikiem narodu.

Ta wojna pod bokiem Ententy, wymierzona przeciwko Trójporozumieniu, stanowi własną Wielką Wojnę d'Annunzia. Epopeja to potężna a jedyna, jaką kiedykolwiek napisał krwią, nie szczędząc swojej własnej krwi poety. Krwią tą przypieczętował pojednanie ze społeczeństwem, ostateczne porozumienie artysty z kupcami korzennymi, Don Juana, przeobrażonego w komandora i komendanta eskadrylli z wzorowymi ojcami rodzin, heterodoksisty z zakrystią, własnego „Ja" z Prawem. D'Annunzio, oficer-lotnik karny i bez zarzutu, niemniej przeto wycisnął na swych działaniach

i czynach bojowych osobliwe piętno. Słowom swoim przypinał skrzydła nawet wówczas, gdy wyrażając nimi rzeczy przyziemne, przemawiał językiem służbowych raportów i papierów administracyjnych. Skrzydła zaś samolotu zyskiwały swoistą wymowę, ilekroć poeta chwytał za drążki steru, aby skierować aparat na wroga. W sierpniu 1918 roku Włosi dokonali pod rozkazami d'Annunzia wspaniałego lotu nad Wiedniem, a była to manifestacja odwagi, wytrwałości oraz humanitaryzmu, który nie składa broni nawet w obliczu rozpętanej wojny. Zamiast zrzucać bomby na stolicę austriacką, wzniecać pożogę, zabijać kobiety i dzieci, wielki poeta rozsiał po mieście proklamacje, stanowiące szlachetną odpowiedź w imieniu cywilizacji latyno-chrześcijańskiej na brutalną wymowę nordyckiego neopoganizmu.

D'Annunzio był rzecznikiem interwencji ze strony zachodnich demokracyj nie tylko dlatego, że chciał w odpowiedniej chwili dokończyć dzieła zjednoczenia Włoch: głównie ponieważ wierzył w solidarność europejską, łacińską i anglo-saksońską przeciwko temu, co uważał za barbarzyństwo. *Condottiere* i *conquistador* w jednej osobie, marzył o brzaskach epicznego jutra, nie zaś o małostkach paskarskiego pokoju, ani o żadnym olbrzymim „buildingu", wybudowanym rękami murarzy. Śnił za to o zaczarowanych pałacach, które by wzniosły dłonie artystów, a rycerstwo nowe zamieszkało, rządząc się kodeksem złagodzonych praw, ludzkich a mądrych. D'Annunzio nie był Don Kichotem, by pragnąć walki o własnych siłach, z pomocą kilku ledwie towarzyszy — przeciwko wiatrakom i bukłakom z winem. Pozostał jednak corneillowskim Don Rodriguem, nie znającym co to wstyd, fałszywe względy albo kompromis. Pośpieszył więc na ratunek, zagrożonego Fiume, które ministrowie nieudolni a tchórzliwi składali w całopalnej ofierze Anti-Molochowi Londyno-Kartaginy.

Naczelnik Państwa i dyktator miasta-gminy, *il Condottiere* przemienił się w mądrego prawodawcę, niby jego właśni przodkowie w dobie odrodzenia. Wygnany z niewielkiego lenna, które dzierżył z ramienia królewskiego majestatu Wiecznej Romy, chroni się do ślicznego zakątka swej wielkiej ojczyzny. Rzuca politykę oraz wojskową karierę,

aby wejść oraz przejść do historii. Po życiu, w którym d'Annunzio zarówno sam był niepokojony, jak niepokoił innych, po życiu zatem ruchliwym i pełnym niespodziewanych przygód, nastąpi teraz bardzo cichy, tym niemniej zaś bardzo chwalebny epilog osiemnastu lat spędzonych w Vittoriale. Epilog taki wszakże był objęty logiką rzeczy.

D'Annunzio rzeczywiście wyżył swoje hasło: *la forza è inesistente e la meccanica il suo scarso linguaggio. Lo spirito è tutto; è una vita devota alla morte.* — Po wyczerpaniu wszystkich swych sił i opanowaniu wszelkich środków mechaniki, Duch wznosi się wyżej, prześciga samoloty i gwiazdy, szybuje ku Niebu....

O śmierci, gdzież jest twoja trwoga? O piekło, gdzie jest twe zwycięstwo?

Cichą samotnię d'Annunzia umilał — dlaczego mielibyśmy przeczyć temu? — komfort taki, jaki nie bywa w użyciu u pustelników przeciętnego pokroju. Pustelnia zmieniła się niebawem w miejsce pielgrzymek dla wyznawców nowego nacjonalizmu włoskiego. Pomiędzy gośćmi Vittoriale daje się często widzieć Mussolini, przyjaciel poety oraz żarliwy jego zwolennik. D'Annunzio zaś odezwami i radami wspomaga ruch faszystowski. Staje stanowczo i wyraźnie po stronie czarnych koszul przeciwko zgniłemu parlamentaryzmowi. Pochód na Rzym naśladował nie tylko czyny Garibaldi'ego ale również i epopeję d'Annunzia; to też wyrywa z piersi poety okrzyk entuzjastycznej aprobaty. Na pozdrowienie pieśniarza „największej" Italii, Duce odpowiada aktami rzadkiej wspaniałomyślności i hojności... Pod egidą rządu włoskiego wychodzi zbiorowe i pełne wydanie dzieł d'Annunzia. Książę Piemontu rewizytuje kasztelana z Vittoriale. Napływają i mnożą się zaszczyty. Zupełnie świeżo, do innych oznak wyróżnienia przybyła ofiarowana poecie godność prezydenta Włoskiej Akademii, osieroconej na skutek przedwczesnej śmierci Marconi'ego. Ale *Gabriele il Magnifico* nie dba już o błahostki tego świata. Salonowiec świetny starał się niegdyś zastąpić braki własnej urody i prezencji obejściem bardzo wielkiego pana połączonym z kokieterią bardzo wielkiej damy. Potem przedzierzgnął się w cichego, miłego staruszka, który zamiast nadrabiać

miną, unikał hałaśliwych manifestacyj a nad bogate stroje przekładał habit franciszkański. Habit ten zresztą nie uczynił ze spokojnego dziadunia, Gabriela, milczącego mnicha; nie zdusił słowa, które pozostało nadal nie tylko wielce wymownym, ale nawet wzniośle wielomównym. Niemniej przeto wskazuje on kierunek życiowy, obrany przez d'Annunzia w obliczu wieczności. Epikurejczyk, egotysta, bohater tysiąca uroków i pokuszeń, nie szukał — niby sienkiewiczowski Petroniusz — ucieczki w efektownym samobójstwie na ramieniu pięknej Eunice, ani nie zszedł z tego świata z bluźnierstwem na ustach na wzór molierowskiego Don Juana. Zasnął po niejednokrotnie powtórzonym wyznaniu wiary katolickiej i narodowej, namaszczony olejami świętymi, opłakany przez naród. Pochowano go po chrześcijańsku pod znakiem Krzyża i trójbarwnego sztandaru.

Tyle da się powiedzieć o człowieku, który apoteozą swą doścignął bojowników Trzeciego Rzymu, zwiastunów Młodej Italii i realizatorów narodowej jedności — mamy na myśli Cavour'a i Garibaldi'ego — teraz zaś na łonie nieśmiertelności oczekuje... Założyciela Imperium. Ale Kościół ocenzurował dzieła d'Annunzia, osądził je surowo za ich stronę moralną, a raczej amoralną. Potępili je również arystarkowie, przeciwnicy emfazy. Cóż mówić tedy o takiej podwalinie z nieprawdopodobnych tryumfów? Czy poeta zdoła wytrzymać pośmiertną próbę? Tak i tysiąc razy tak.

Zaraz na wstępie wyeliminujemy kwestię teologii czy etyki. Powieści, dramaty oraz poezje d'Annunzia nie są lekturą dla podlotków, ani wstępem do życia pobożnego, jakkolwiek stanowią doskonałą szkołę sentymentalno-uczuciową i brewiarz życia z myślą o śmierci — *la vita devota alla morte*. Kościół był zmuszony przestrzec nieuświadomionych przed stosowaniem teoryj, w które ich własny prorok gotów był pierwszy nie wierzyć. Jednakże podanie czytelnikowi do ręki tych wyznań osobliwego Augustyna, tkwiącego jeszcze w herezji i rozpuście, otwiera przed nami zagadnienie chrześcijanina postawionego wobec zła i wobec malarzy grzechu. Nie chcemy tu wytaczać na nowo sprawy, którą już wszczął i sam rozstrzygnął Franciszek Mauriac. Powtórzymy natomiast i z naciskiem podkreślimy, że nic

z tego, co ludzkie, nie może pozostać obcym chrześcijaninowi, któremu wiara oraz nauka Kościoła zapewniły wewnętrzną dojrzałość. I dalej, że wolimy, że powinniśmy wyżej cenić szczerą opowieść z ust jawnogrzesznika, który — być może — po wielorakich doświadczeniach życiowych jeszcze się nawróci — oraz że przekładamy południowy nadśródziemnomorski amoralizm nad hipokryzję lub immoralizm protestanckiej faktury, jansenistyczny, nordycki, od podstaw antychrześcijański. Zbawiciel przebaczył Marii Magdalenie i przyjął skruszonych celników, podczas gdy żywił święty wstręt do ówczesnych „cnotliwych" faryzeuszów.

Liryki d'Annunzia: *Primo Vere, Canto Nuovo, Intermezzo di Rime* (1880—84), cały ten burzliwy uczniowsko-studencki debiut, przedstawia szereg genialnych łobuzerstw zadziwiającego łobuza. Pół wieku później Radiguet Cocteau i Rimbaud wcielą ten sam typ rozpasanego cherubina. Ale taki Rimbaud, o dziesięć lat starszy od młodego poety włoskiego, przypomina go jedynie gwałtownością natchnienia przedwcześnie rozbudzonych zmysłów. Autor strof: *Une Saison en Enfer* podobny jest do meteora, gdy przeciwnie, blask otaczający postać d'Annunzia nie jest z tych, co gasną nagle i nieoczekiwanie. Rimbaud — to temperament rewolucyjny; d'Annunzio oddaje swe wybuchy w karby łacińskiej dyscypliny. Rimbaud — to tragiczny i trawiący romantyzm literatur o horyzoncie mglistym; d'Annunzio — to harmonia w dysharmoniach, *gaya saber* — wesoła wiedza klimatów nasłonecznionych. Jeżeli d'Annunzio wyzwala się z wpływów Carducci'a niemniej przeto będzie słuchał nakazów własnej, grecko-rzymskiej Muzy, życzliwej dla wymagań metryki.

Żegnaj młodości, pełna dzikości i siły, która wszelako nam samym wydajesz się dość ucywilizowaną! Poeta nasz wpada w objęcia kobiet i — jeszcze skrępowany podwójnym węzłem małżeństwa (z córką książęcego rodu) oraz służby wojskowej (w arcy-wytwornym pułku jazdy), wkracza już wszakże w okres miękkiej dekadencji. Od r. 1889 do 1898 d'Annunzio udaje mizerną heterę rodzaju męskiego i to bez odrobiny wstydu i skrupułów, lecz za to z werwą oraz drobiazgowym staraniem o ścisłość — opiewa lub opowiada swe przygody, pożądania, fantazje, pychę swą własną, zwy-

cięstwa i upadki niejednego anioła i niejednej diablicy. Zarówno narracyjna proza takich utworów jak: *Piacere, Innocente, Trionfo della Morte, Vergini della rocce, Fuoco* czy strofy poematu *Isotto* (okrutna podróż przez krainę Miłości) łączą wyrafinowanie dworaka z wulgarnością nieodłączną od fachu kurtyzany. D'Annunzio czerpie swe natchnienie u Dostojewskiego, w jego głębokim słowiańskim pesymizmie; równocześnie zapożycza od Nietzsche'go uczucia wyniosłej wzgardy germańskiej. Wspaniałe to gadulstwo jest pozbawione litości; samo upija się wspomnieniem walk miłosnych, a innych urzeka czarem mowy nowej, cieniowanej, niezwyczajnej, prawie bezceremonialnej, równie dziwacznej jak dziwnej. Te majaczenia, te bredzenia przywodzą na pamięć Ariosta, te wyskoki mówią o nowym Aretinie, te umizgi każą myśleć o marinizmie. Ale obok tego w językowych ramach myśli oraz akcji odbija się także naturalizm i weryzm krajobrazu, *il verismo*. W tej barokowej gadaninie spostrzegamy piętno Goncourt'ów i Zoli, w jej zaś autorze widzimy współczesnika Vergi. Niebawem przeniesiemy się jeszcze w pobliże Maeterlinck'a. Tymczasem zaś inny wielki pisarz francuski, Maurycy Barrès, będzie towarzyszył d'Annunziowi przez cały czas jego literackiej kariery.

Równoległość przeznaczeń oraz twórczości obu poetów-polityków jest istotnie zdumiewająca. Obydwaj mają wspólne rysy charakteru: egotyzm, estetyzm i pogardę tłumów, obydwaj wyznają konserwatywny rewolucjonizm i bojowy nacjonalizm. To wszystko byłoby zbliżyło ich do siebie nawet w tym razie, gdyby nie było doszło do osobistego zetknięcia w czasach długiego pobytu d'Annunzia we Francji. Nic podobnego, jeżeli chodzi o stosunki *Italianissime'a* z mistykiem belgijskim. Zaklęty świat Maeterlinck'owskich legend, blady, księżycowy, czysty i naiwny, bezcielesny a cieniami zaludniony, przeciwstawia się tragediom oraz dramatycznym mitom d'Annunzia, kipiącym od waru życia, wyuzdanym i realistycznym w swym allegryzmie. Przeciwstawia im się tak, jak się różni tajemna ofiara, sprawowana w dziewiczych puszczach germańskich od orgii święconej na świetlanym brzegu Morza Śródziemnego. Niemniej ten kontrast oraz fakt współistnienia, jeśli nie w przestrzeni to

w czasie, umieszczają poetycki teatr d'Annunzia nieopodal *Niebieskiego ptaka, Pelesa i Melisandy* oraz *Monna Vanny.*

Sądzimy jednakże, że *Miasto Umarłych* i *Gioconda, Franciszka z Rimini* i *Córka Joria,* a wreszcie *Okręt* i *Fedra* przeżyją o całe wieki chwałę belgijskiego dramaturga. Sztuki te zdobyły oporną publiczność dzięki nieporównanej sztuce kilku aktorów oraz dwóch aktorek (Eleon. Duse i Grammatica) lub też dzięki tchnieniom patriotyzmu, którym promieniował szczytny a majestatycznie ujęty temat. Jednakże sztuki powyższe wytrzymują również i próbę czytania i krytyczny sąd potomności. Wszystko tam jest doskonałe: język, technika, akcja, osoby, idea przewodnia oraz wzajemna zgodność między poszczególnymi pierwiastkami harmonijnego dzieła sztuki. Namiętności nie zagrażają pięknemu układowi zdań. Głębokość tez, których broni poeta, nie szkodzą przejrzystości dialogów. Klasycyzm na modłę starożytną lub modłę Złotego Wieku — *Grand-Siècle'u* — nie przeszkadza aby psychologiczna prawda mogła odpowiedzieć wymaganiom nowożytnej nauki. A jakiż wierny koloryt lokalny tak w odtworzeniu odległych epok jak i w chłopskiej tragedii! Możemy nie lubić d'Annunzia, powieściopisarza i liryka, gdy — chcąc nie chcąc — zostajemy przezeń wtajemniczeni w sekrety jego alkowy; nikt jednak nie zdoła zaprzeczyć, że zalety takiego dramaturga nie mają sobie równych. Poeta ten zawsze trzyma prym i może się ważyć na wywoływanie najchwalebniejszych imion z przeszłości: Dante'a we *Franciszce z Rimini* a Racine'a w *Fedrze* — i może nie obawiać się żadnych porównań. A skoro tylko zachęci nas — niekiedy mimowiednie, jak np. w *Córce Joria* — do zestawienia jego dzieła z jakimś utworem współczesnym, choćby tak wielkim jak *Chłopi* Reymonta (ta polska odbitka południowo-wschodniej tragedii pasterskiej) — z wszelkiego takiego współzawodnictwa d'Annunzio wychodzi zwycięzcą.

Dramatyczna twórczość d'Annunzia nosi cechy szlachetności i męskości, mocy i rezygnacji, ale jednocześnie bije z niej na zewnątrz niepohamowany rozpęd i zapał życiowy. Przeważa ona w trzecim okresie życia wielkiego poety od r. 1898 do 1915. Lata te przecina wyjazd Gabriela

do Francji nie powodując w nich wszakże żadnego istotnego rozgraniczenia. Doskonały liryzm „Pochwał Nieba, Morza, Ziemi i Bohaterów *(Laudi di Cielo, del Mare, della Terra e degli Eroi)*" ujawnia wewnętrzny związek z wyżej wymienionymi utworami. I tu i tam panuje pierwiastek liryzmu; i tu i tam kult własnego „Ja" ustępuje w tym liryzmie miejsca hymnom wyśpiewanym na cześć natury oraz wartości przyrodzonych, na chwałę społeczności, ofiar i bohaterów. Szaweł stał się Pawłem z Tarsu, Paolo Tarsis z *Forse ch sì, forse ch no* — „może tak, a może nie". Jest to główny bohater ostatniej powieści d'Annunzia, lotnik, który nosi rysy swojego twórcy i który w zamian użyczy mu od siebie innych — w godzinie Wojny. Powietrze jest pełne prognostyków i burz. D'Annunzio lubuje się w roli proroka oraz sprawcy przyszłych wydarzeń. Jego proza wprowadza postać najnowszego herosa współczesności, Ikara, który wyrywa się z mitologicznej oprawy, aby wznieść się w krainę legendy. *Męczeństwo św. Sebastiana,* napisane wprost po francusku i do tego niezawodną francuszczyzną, dzieło zarazem cenne i kunsztowne, do tego przedziwnie łacińskie, świadczy — wbrew wszystkiemu, co wypłynęło ze snobizmu oraz przewrotności — że poeta nie jest już obcy zainteresowaniom religijnym. Na koniec *La Nave — Okręt* z wyżyn rzymskiej sceny działa na masy, jak przygrywka do działań wojennych, jak pierwszy akt wielkiego widowiska: włoskiego odrodzenia.

D'Annunzio nie grzeszy skromnością — jest to najmniejsza z wad jego żywota. Lud wenecki prosi Boga, żeby ze wszystkich oceanów uczynił *il mare nostro.* Ale ziomkowie poety lubią superlatywy. Tam, gdzie każdy zwyczajny pociąg osobowy nazywa się *direttissimo,* a każdy szanujący się jegomość otrzymuje tytuł *l'illustrissimo* — przemówienia do tłumów nie powinny odznaczać się sztuką przemilczeń i niedomówień. D'Annunzio, który za czasów swego egotyzmu znajdował cały wszechświat w jednym tylko spojrzeniu najmniej kochanej z ukochanych, wykazuje dostateczną miarę rozsądku, gdy — zadawalniając się oceanami — nie pożąda już za to... Drogi Mlecznej. Kwiryci, rozpłomienieni słowami *La Nave* wiodą poetę na Kapitol, aby go tam

uwieńczyć wawrzynem. W owej chwili zanikają ostatnie ślady... *d'un fils public,* męskiej kurtyzany z epoki indywidualizmu i rozkoszy a rodzi się człowiek społeczny, Tyrteusz, poeta-*vates.*

D'Annunzio zachęca zdobywców Libii, i sam przybędzie, aby apelem krasomówczym porwać naród włoski do sprawiedliwej wojny *la Guerre Giusta* — oraz do tworzenia *Più grande Italia* — największej Italii. Działo się to w r. 1915. Mowy i przemówienia na wzór Cicerona albo Rienzi'a dowodziły, jak potężnie działa słowo na naród na wskróś artystyczny. Nigdy d'Annunzio nie wyrzeźbił marmurowej prozy podobnej do tej, którą wygłosił w Genui, w Rzymie oraz we Fiume. Nigdy nie śpiewał z takim nadzwyczajnym zapałem, jak w „hymnach świętych" — *Gli inni sacri.* Nigdy wreszcie nie ogłosił drukiem bardziej wzruszającego opowiadania jak *Notturno,* ten zapamiętały krzyk tęsknoty za światłem, które w służbie ojczyzny, na skutek rany, utracił na kilka tygodni.

Rok 1920 przynosi już koniec siewu i zarazem otwiera na progu starości epokę zbiorów. D'Annunzio poświęca wszystkie lata spędzone w Vittoriale na ostateczne zredagowanie swych pism wcześniejszych, które zostaną umieszczone w tekście — *ne varietur* — „Zbiorowych dzieł" mistrza. Obok tego znajdują tu miejsce wspomnienia o osobliwie ożywionej kawalkacie przez stary świat w stanie rozkładu i przez Ziemię Obiecaną, którą d'Annunzio, szczęśliwszy od Mojżesza, ogląda własnymi oczyma. Ostatnia kokieteria samotnika wtajemnicza nas za pośrednictwem *Libro secreto* — „Księgi tajemnej" w tajniki jego duchowej ewolucji. Piórem spokojnym i zrównoważonym kreśli d'Annunzio wizje przeszłości cofniętej wstecz, pisze spowiedź równie szczerą jak były niegdyś jego autobiograficzne powieści, ale nierównie od nich godniejszą. Te *Cento e cento e cento pagine* idą w ślad za *Compagno degli occhi senza cigli,* które stanowią znowuż *l' Age Fleuri de petit Gabriel.* Przestrogi zatytułowane: *Per l' Italia degli Italiani* zawierają polityczny oraz intelektualny testament mistrza dla jego akolitów, dla ogółu współczesnych Włochów.

D'Annunzio pisał te ostatnie dzieła osiągnąwszy już wiek patriarchów. Nie osłabiło to jednak potęgi wysłowienia ani nie uszczupliło jego bogactwa. Opatrzność zachowała wielkiemu pisarzowi pełnię władz umysłowych i całkowite opanowanie sztuki twórczej aż po ostatni dzień przed zgonem. Upadkowi fizycznego zdrowia u *Commandante'a* nie towarzyszyły bynajmniej schyłkowe objawy w życiu duchowym. Ten, który wielbił niegdyś wyższość ducha nad materią, duszy nad ciałem, usprawiedliwiał teraz swą tezę podziwu godnym przykładem. Pozostawia też po sobie pamięć wielkiego życia i wielkiego dzieła. I jedno i drugie oczekuje sądu potomności. I jedno i drugie obfituje też w liczne wady i dotkliwe braki: było bowiem nazbyt po ludzku ludzkie, to znaczy że przechodziło niekiedy w zwierzęcość. Anioł oraz zwierzę toczą ustawiczną walkę w tym d'Annunziu — o imieniu Archanioła i instynktach wspaniałego drapieżnika. Rozmiary tej walki są tylko dlatego tak przerażające, że cała postać tego Księcia Odrodzenia i poetów przerasta współczesność swoich własnych ziomków, z wyjątkiem jednego Mussoliniego. D'Annunzio, żałujący grzesznik a waleczny żołnierz i wzorowy obywatel, spotka się, jak możemy ufać, na progu nieśmiertelności z miłosierdziem Bożym oraz odziedziczy tu na ziemi wdzięczną a podziwem tchnącą miłość swych rodaków. D'Annunzio, pisarz, poeta i wieszcz słowa, będzie przyjęty bez zastrzeżeń do panteonu literatury światowej i zajmie tam miejsce uprzywilejowane we własnym imieniu, a zarazem jako przedstawiciel narodu od którego nie dzieli go już dzisiaj, w d o b i e a p o t e o z y, żadne nieporozumienie.

Prof. dr Otto Forst Battaglia.

Ochrona lokatorów i budownictwo mieszkaniowe.

Nikt nie zaprzeczy, iż sprawa, ciągnącej się od czasów Wielkiej Wojny aż po dzień dzisiejszy, „ochrony lokatorów" i związane z nią zagadnienie budownictwa mieszkaniowego jest kwestią dla społeczeństwa polskiego doniosłą. Mimo to o kwestii tej mówi się i pisze niewspółmiernie mało, przynajmniej w sposób rzeczowy. Trzeba przyznać, iż zagadnienie powyższe nie jest zagadnieniem czysto polskim, dotyczyło ono w czasie wojny światowej i bezpośrednio po jej zakończeniu, całej niemal Europy, a jeżeli dziś przestało być aktualnym dla większości krajów Europy, to tylko dlatego, że zachodnia Europa, poza drobnymi wyjątkami, zniosła już ochronę lokatorów i rozwiązała kwestię budownictwa mieszkaniowego. W Polsce natomiast zagadnienie to jest nadal aktualnym, bo nie rozwiązano go dotychczas. Idziemy nadal w ogonku ogólnego ruchu „likwidacji ochrony" i budowy nowych domów.

Geneza zaprowadzenia w krajach Europy ochrony lokatorów jest powszechnie znaną. W czasie wojny, podczas której z musu wszystkie mniej więcej dziedziny życia zostały zetatyzowane, trzeba było zabezpieczyć, w sposób jak najbardziej zdecydowany, mieszkania dla rodzin żołnierzy powołanych pod broń, względnie dla żon i sierót po poległych kombatantach. Równocześnie w czasie wojny, z powodów łatwo zrozumiałych nie budowano prawie nigdzie, przeciwnie ogromne ilości domów mieszkalnych zostało zniszczone przez działania wojenne, stąd też, po ich zakończeniu zrobiło się wszędzie ciasno, nieraz bardzo ciasno.

W krajach, które udziału w wojnie nie brały, względnie w takich, które nie poniosły znaczniejszych strat przez dewastację wojenną, ciasnota mieszkaniowa była wynikiem li tylko zaprzestania budownictwa w okresie wojennej zawieruchy. Często nie realna ale tylko „spodziewana ciasnota" wprowadzała ochronę lokatorów, a zarządzenia odnośne stwarzały dopiero prawdziwą ciasnotę, powodując automatycznie zaprzestanie wszelkiego budownictwa. Patrząc na sprawy te retrospektywnie można więc powiedzieć, że po wojnie światowej przeszła przez całą Europę „fala myślowa", na podobieństwo nowego prądu ideologicznego, przynosząca „ochronę lokatorów" wszystkim krajom i tym które jej istotnie potrzebowały i tym dla których była ona właściwie całkowicie zbędną.

O szkodliwości „ochrony lokatorów", zwłaszcza dla akcji budownictwa nowych domów mieszkalnych, nie mówiąc już o sztucznej ciasnocie mieszkaniowej, przekonano się niebawem, stąd też zarysowała się niemal powszechna w Europie dążność do wycofania się szybkiego, względnie stopniowego ze ślepego zaułka, w który się zapędzono pod przymusem realnych choć chwilowych konieczności, lub też tylko pod wpływem rozpowszechnionej po wojnie ideologii chronienia lokatorów przed rzeczywistą, czy rzekomą zachłannością właścicieli domów.

I tak ochrona lokatorów została zniesioną w Szwecji i w Turcji już w r. 1923, w Finlandii w r. 1924, w Bułgarii i w Szwajcarii w r. 1926, w Holandii w r. 1927, w Estonii, Grecji, Jugosławii, Rumunii i Italii w r. 1930, w Belgii i Danii w r. 1931, następnie na Węgrzech, a w r. 1934 w Norwegii. Powyższe daty dotyczą całkowitego wygaśnięcia praw nadzwyczajnych, związanych z ustawami o ochronie lokatorów, gdyż niemal wszędzie prawo o „ochronie" wygasało stopniowo.

We Francji ochrona lokatorów wygaśnie ostatecznie w r. 1939, zaś w Czechosłowacji, gdzie mieszkania dwupokojowe z kuchnią wyjęte zostały spod ochrony lokatorów w r. 1937, jednopokojowe utracą prawo ochrony dopiero w połowie r. 1940.

Polska wraz z Łotwą i Austrią (sprzed *Anschluss'u*), znajduje się na szarym końcu, ogólnego prądu dążącego do zniesienia pozostałego po wojnie pod postacią rygorystycznej ochrony lokatorów przeżytku. W Niemczech hitlerowskich istnieją wprawdzie pewne pozostałości przyjętego w okresie wojny systemu, kwestia ta jednak w zasadzie zupełnie inne posiada tam formy i już przed kilkunastu laty, bezpośrednio po wprowadzeniu stałej waluty, została uregulowana w sposób nie rujnujący tej części majątku narodowego, którą stanowią nieruchomości miejskie.

Pierwsza Szwecja dała hasło do odwrotu od ustawy o ochronie lokatorów i jakkolwiek fakt ten przeszedł w tym kraju zupełnie bez wstrząsów, mimo to, rzecz znamienna dla powojennej psychiki, obalenie „ochrony" budziło tyle zastrzeżeń, że projekt zniesienia odnośnej ustawy uzyskał w parlamencie szwedzkim zaledwie jeden głos większości.

Przed wielką rewolucją francuską, na ludność całej Francji padł „wielki strach", tak zwana *la grande peur*. Nagle uwierzono, że na wsie i miasta, ciągną w celach rabunkowych wielkie „masy bandytów". Ludność zorganizowała wówczas samorzutnie obronę. Stworzono mianowicie gwardię narodową, która następnie odegrała tak decydującą rolę w rewolucji. Fikcja, bo przecież żadnych bandytów nie było, stworzyła realną siłę polityczną, dzięki psychozie strachu, która ogarnęła szerokie masy. Zaprowadzenie ustaw o ochronie lokatorów, w wielu krajach było niezawodnie w pewnym czasokresie koniecznością dziejową. Jest to faktem i zaprzeczyć temu nie podobna. Inaczej jednak rozwiązaną by została cała kwestia, gdyby nie były się do niej przyplątały pewne doktryny i gdyby nie była nastąpiła pewna psychoza mas przypominająca *la grande peur* z czasów rewolucji francuskiej. Uwierzono powszechnie, że bez ochrony lokatorów, połowa niemal ludności zostanie bez dachu nad głową! W wielu wypadkach działano więc na gorąco, bez chłodnych, rzeczowych obliczeń, wszedłszy zaś raz na tę śliską drogę, skomplikowano siłą konsekwencji całe zagadnienie, stworzono mnóstwo rzeczywistych trudności, które nie mogły być następnie pokonane z dnia na dzień.

Ochrona lokatorów, jako zarządzenie czasowe, miała w wielu wypadkach swoją bardzo istotną rację bytu, taką samą, jak podczas wojny i bezpośrednio po niej kontrolowanie i ograniczanie żywności przy pomocy kartek żywnościowych. Natomiast utrwalenie „ochrony", uczynienie z niej ustawy stałej, oraz formy, które często ustawa ta przybierała, okazały się szkodliwymi, uderzając nie tylko we właścicieli domów, lecz w całe społeczeństwo.

W wielu krajach, między innymi i w Polsce, zło nowe, nieoczekiwane, stworzyło coś, co w zasadzie nie ma nic wspólnego z ochroną lokatorów, a zwie się inflacją pieniądza. Zabezpieczono wprawdzie lokatora przed wyzyskiem kamienicznika, nie zabezpieczono jednak kamienicznika i sublokatora, przed wyzyskiem głównego lokatora. Lokator zebrał niepodzielnie wszystkie owoce, z zagwarantowanego mu ustawą o „ochronie" prawa posiadania lokalu i mógł przez dość długi szereg lat nie tylko nic nie płacić właścicielowi mieszkania, ale nadto mógł ciągnąć duże zyski z podnajmowanych „sublokatorom" pokoi. Ceny na te podnajmy ustalał wolny rynek. W wypadkach zaś kiedy lokator nie potrzebował już danego mieszkania, sprzedawał swoje prawo najmu drugiemu głównemu lokatorowi za bardzo wysokie „odstępne". Pobieranie „odstępnego", jakkolwiek z punktu widzenia prawa było czymś niedozwolonym, stało się w praktyce chlebem powszednim głównych lokatorów. Tak więc prawo własności, zostało w praktyce przesunięte z właściciela nieruchomości na lokatora, gdyż „kamienicznik" w tym okresie ponosił tylko same ciężary i straty, wynikające z podatków i ze zniszczenia nieremontowanej nieruchomości, główny natomiast lokator nie płacąc nic, ciągnął duże zyski, czy to pod postacią podnajmowania pokoi „sublokatorom" i to po wysokich cenach rynkowych, czy też pod postacią odprzedawania swego prawa do mieszkania. Takie to krzywdy oraz przywileje stworzyła ustawa o „ochronie lokatorów".

Gdyby ustawy o ochronach lokatorów, były wydawane li tylko w celu istotnego reglementowania spraw mieszkaniowych w ciężkich czasach wojennych oraz powojennych, bez domieszek racyj natury emocjonalnej, graniczących

z psychozą, względnie z pobudek doktrynalnych pewnych ideologij społecznych — to po odegraniu swej reglamentacyjnej roli, byłyby znikły nie powodując większych szkód natury społecznej, politycznej i ekonomicznej.

Często jednak było zupełnie inaczej. Ustawy o ochronie lokatorów były w różnych krajach różne, począwszy od elastycznych i nie kolidujących ze zdrowym sensem, a kończąc na bardzo rygorystycznych, obliczonych jako etap do zniszczenia i wywłaszczenia wszystkich właścicieli nieruchomości, z posiadanych dóbr. Konsekwentnie i skutecznie przeprowadziła ten plan Rosja marksowska, z wielką krzywdą nie tylko dla klasy właścicieli nieruchomości, lecz i dla klasy lokatorów, która żyje w warunkach mieszkaniowych jak najbardziej opłakanych, a zupełnie nieznanych na zachodzie Europy.

W Polsce, o ile pominiemy pierwszy dekret, wydany jeszcze przez Radę Regencyjną 15. VII 1918 r. oraz dekret Naczelnika Państwa z r. 1919, ustawy o ochronie lokatorów są bardzo sztywne i rygorystyczne. Polska może pod tym względem konkurować jedynie z powojenną Austrią, tak długo rządzoną przez socjalistów.

Ustawa z dnia 18. XII 1920 r. wprowadza sztywne komorne i przy postępującej inflacji i dewaluacji pieniądza inauguruje blisko czteroletni okres bezpłatności komornego. Są to czasy złotych interesów dla głównych lokatorów, którzy niejako weszli w prawa właścicieli domów, nie ponosząc żadnych ciężarów. Nabyli oni pełne prawo do zajmowanych przez siebie lokali, pozostaje tylko kwestia czy prawo to było nabyte sprawiedliwie?

Na razie wielka masa ludzka pod psychozą niejako i pod wpływem ideologii marksowskiej uwierzyła, że główni lokatorzy nabyli dobrze prawa do swych mieszkań. Uwierzyły w to nawet wielkie masy sublokatorskie i wszyscy ci, którzy kupowali za wysokie odstępne nowe lokale i przeciwko którym ustawa o ochronie się obracała.

O ile w czasie inflacji godzono się z faktem, że za chleb, buty lub pokój sublokatorski trzeba było z miesiąca na miesiąc płacić więcej jednostek monetarnych, o tyle pojawienie się samej myśli, że za komorne również należałoby,

wobec katastrofalnego spadku wartości pieniądza obiegowego, płacić więcej jednostek monetarnych, było powszechnie przyjmowane za coś wstecznego, konserwatywnego, nie zgodnego ze zdrowym sensem i pojęciami przeżywanej epoki. Nie sama więc myśl dążąca do reglementacji zaważyła na kwestii komornego, ale coś zupełnie innego, mianowicie pewna ideologia, która objęła szerokie rzesze ludności, a według której za mieszkanie nie należy ze względów zasadniczych nic płacić, gdyż płacąc, wzbogaca się niesłusznie „kamienicznika".

Ta bezpłatność mieszkań dla klasy głównych lokatorów, jako wynik częściowego wywłaszczenia z praw właścicieli domów, stała się automatycznie zasadniczą zaporą budownictwa nowych domów. Teodor Teoplitz, w broszurze z r. 1920, *Klęska mieszkaniowa i próby jej usunięcia* pisał:

...wkroczenie w dziedzinę stosunków mieszkaniowych, które właściciele domów tym boleśniej odczuwają, jako częściowe wywłaszczenie, że do żadnych innych kategoryj posiadaczy one dotychczas stosowane nie było, odebrało kapitalistom nie tylko ochotę do bezpośredniego lokowania swych środków w domach mieszkalnych, ale unicestwiło, zdaje się, definitywnie zaufanie, by ta, najpewniejsza niegdyś, lokata kapitału kiedykolwiek znów stała się rentującą.

W okresie faktycznej bezpłatności mieszkań, który trwał w Polsce przez blisko cztery lata (od 1920 r. do 1924 r.) nie było mowy o jakimkolwiek bądź budownictwie prywatnym, chociaż ustawa z 22 września 1922 r., wydana celem pobudzenia budownictwa mieszkaniowego, zwalnia na okres lat 15 nowe budynki z wszelkich podatków. Ustawa ta pomyślana rzeczowo i niebiurokratycznie, stała się punktem wyjścia dla budownictwa mieszkaniowego spółdzielczego i niezawodnie oddała z upływem lat wielkie usługi społeczeństwu.

Chociaż ustawa z r. 1922, oprócz zwolnienia podatkowego na lat 15 nie reglamentowała wysokości komornego w nowych domach, nie przyczyniła się ona do budowy nowych domów czynszowych. Skorzystał z niej, bezpośrednio po jej wydaniu, ruch spółdzielczy, względnie osoby budujące sobie wille na peryferiach miast, dla własnego użytku,

inicjatywa i kapitał prywatny, wobec panujących wówczas pojęć, nie dowierzał jej i nie budował domów czynszowych, wychodząc z założenia, że skoro możliwym było wywłaszczyć niejako właścicieli starych domów, stać się to również może, ze zmianą rządu czy reżimu, w stosunku i do właścicieli nowych budynków. Obawy te nie były zresztą pozbawione wszelkiej słuszności, skoro w 6 lat po wydaniu ustawy z 1922 r. socjaliści wysunęli projekt prawnej reglamentacji czynszów w nowych domach.

Ustawa o ochronie lokatorów w 1920 r. miała chronić szerokie rzesze ludności przed „wyzyskiem kamieniczników", w rzeczywistości wywłaszczyła czasowo z praw własności właścicieli nieruchomości, przenosząc niejako te prawa na głównych lokatorów. Ustawa pozostawiała natomiast na uboczu sprawę mieszkaniową szerokich mas ludności, które w ogóle mieszkania nie posiadały i musiały albo kupować za drogie pieniądze prawo do mieszkania, albo też stawać się sublokatorami i płacić tyle za pokoje, ile żądali za to właściciele mieszkań. Ustawa obracała się właściwie przeciw tym, których miała bronić, gdyż nowych czynszowych domów nie budowano, a sama ustawa stwarzała sztuczną ciasnotę mieszkaniową.

Jeżeli bowiem za komorne nic nie trzeba płacić, lub też płaci się za nie bardzo mało, lokale się nie opróżniają i powstaje „sztucznie" wywołana ustawami ciasnota mieszkaniowa. Tak było w czasie wielkiej rewolucji francuskiej, [1]) tak też stało się we wszystkich niemal krajach po wojnie światowej, które wprowadziły ochronę lokatorów rygorystyczną.

Ludność Wiednia w latach 1913—1924 zmniejszyła się o 335.318 osób, co równa się mniej więcej ludności całego Lwowa. W r. 1917 było jeszcze w Wiedniu 8249 wolnych lokali. W międzyczasie gmina Wiednia wybudowała 3200 mieszkań. W tych warunkach wydawać by się mogło, że w r. 1924 powinno być w Wiedniu bardzo wiele próżnych lokali, które by mogły pomieścić całą ludność Lwowa.

---

[1]) Jean de la Monneraye: *La crise du logement à Paris pendant la Révolution.*

W rzeczywistości zaś panowała, sztucznie przez ochronę lokatorów i płacenie minimalnego komornego wywołana, ogromna ciasnota mieszkaniowa, panował straszliwy „głód mieszkaniowy" i kilka tysięcy rodzin mieściło się w barakach, szopach itd. Podobne warunki wytworzyły się w całych Niemczech, w czasach inflacji pieniądza i zsunięcia się wysokości czynszów w okolice zera. Obliczono, że gdyby w Niemczech w 1925 r. zapanował ten sam stosunek co przed wojną (410 osób na 100 mieszkań), opróżniłyby się mieszkania dla 1.300.000 osób.

W Wiedniu, jak pisze w ciekawej swojej broszurze[1]) Jerzy Schimmel, według spisu mieszkań w 1923 r. „zginęło" 22.913 małych mieszkań, co było wynikiem tego, że ludność, „przy każdej okazji, przyłączała do już posiadanych lokali mieszkania mniejsze, które się opróżniały na skutek emigracji". Każdy chcący mieć mieszkanie, bez płacenia odstępnego, mógł się stać, za odpowiednią rynkową cenę, tylko „sublokatorem", nigdy zaś lokatorem we własnym mieszkaniu. A oprócz biurokratycznej gminy, nikt nowych mieszkań w socjalistycznym wówczas Wiedniu nie budował i ciasnota mieszkaniowa stawała się coraz większą.

W Polsce, póki istniała rekwizycja pokoi hotelowych i podpadały one pod ustawę o ochronie lokatorów przy cenach reglamentowanych, nie było w nich miejsca. Gdy wyjęto je spod ustawy o ochronie lokatorów (11. IV 1924 r.) hotele opustoszały i mogły wypełniać swoją normalną rolę, to znaczy obsługiwać przejezdnych, lub czasowo zamieszkałych.

W krajach gdzie inflacja spowodowała ogromne zamieszanie w sprawach mieszkaniowych, z wprowadzeniem nowej waluty, zaczął się do pewnego stopnia proces w kierunku normalizacji spraw mieszkaniowych i odwrót od ochrony lokatorów. W Niemczech, wówczas socjalistycznych, zrozumiano bardzo dobrze, że tak dalej być nie może. Komorne w starych domach, w piorunującym, w porównaniu do polskiego tempie, podniesione zostało do 120% przedwojennego, z tym, że pewien jego procent, w charakterze

[1]) Jerzy Schimmel: *Polska polityka mieszkaniowa.*

podatku szedł na budowę nowych domów. Uregulowanie sprawy w Niemczech, mimo przysłowiowej sprawności organizacji niemieckiej, miało wprawdzie swoje poważne biurokratyczne niedomagania, miało jednak i tę dobrą stronę, że z miejsca zamknęło, niemal że całkowicie, rozwarcie nożyc pomiędzy cenami w nowych i starych domach. Jednym z głównych niedomagań był fakt, że biurokracja dość często budowała domy tam, gdzie ich nie było potrzeba i mieszkania stały pustkami. Głód jednak mieszkaniowy, zwłaszcza gdy do budowy nowych domów przystąpiła inicjatywa i kapitały prywatne, został stosunkowo szybko zażegnany. Majątek narodowy zawarty w nieruchomościach miejskich, został zabezpieczony, gdyż właściciele domów otrzymując czynsze zbliżone do czynszów jakie by istniały przy wolnym rynku, mogli przystąpić do niezbędnych zasadniczych remontów, których się domagały od wielu lat nieremontowane nieruchomości. Wpłynęło to również na ożywienie rynku pracy. Rygorystyczna ochrona lokatorów wprowadza bowiem nie tylko stagnację z powodu zaprzestania wszelkiego budownictwa nowych domów, lecz również pozbawia rynek pracy zarobków w związku z zaniechaniem remontów i wszelkich inwestycji w starych domach.

W Polsce, z chwilą stabilizacji waluty, weszła w życie z dniem 11. IV 1924 r. nowa ustawa o ochronie lokatorów. Na jej mocy wprowadzono waloryzację czynszu, z tym, że w drugim kwartale 1924 r., zaczęła obowiązywać w płaceniu komornego stawka od 5% do 25% komornego przedwojennego, stosownie do rodzaju i wielkości zajmowanego lokalu, a więc lokale jednopokojowe zaczęły płacić czynsze przy 5% zwaloryzowanego komornego z czasów przedwojennych, lokale 6 pokojowe i większe 25% itd. W każdym następnym kwartale 1924 r. obowiązywała stawka o 4% wyższa, a w następnych latach o 6% wyższa, aż do osiągnięcia 100% przedwojennego komornego.

Dn. 29. XII 1926 r. zapowiedziana ustawą z r. 1924 automatyczna zwyżka czynszów została wstrzymana na półtora roku, a więc aż do 30 czerwca 1928 r. tak, że w rezultacie małe mieszkania do teoretycznych 100% doszły dopiero w r. 1930 co jednak w praktyce, wobec spadku

złotego, daje zaledwie 58% przedwojennego komornego. Następnie, skoro już mówimy o czynszach, na zasadzie dekretu Prezydenta z dn. 14 listopada 1935 r. czynsze od mieszkań małych i średnich (do pięciopokojowych włącznie) zostały obniżone o 10 względnie o 15%, zarówno jak i czynsze od małych lokali handlowych i przemysłowych, tak, że współczesne czynsze od małych i średnich lokali kształtują się w okolicach 50% czynszów przedwojennych i dlatego istnieje dzisiaj w Polsce w wielkich miastach, ze stolicą na czele, taka dysproporcja pomiędzy czynszami w nowych i starych domach i nożyce cen są nadal rozwarte.

Na ustawy o ochronie lokatorów można się zapatrywać różnie. Ograniczenia w wolności najmu i ustalenia cen jako środek chwilowy, nie tylko mają czasami rację bytu, ale stwarzają je konieczności dziejowe i wówczas jednak cała uwaga prawodawcy i polityka winna być skierowaną na zagadnienie budownictwa nowych domów, gdyż ono jedynie może skutecznie znormalizować przymusową sytuację i przynieść rzeczywistą ulgę dla całości społeczeństwa.

W sytuacji specjalnie trudnej znalazła się powojenna Italia, bo już przed wojną Włochy były jednym z nielicznych krajów, w którym zaznaczał się brak mieszkań. Faszystowski minister Rocco pisze w jednym ze swych artykułów:

Ożywienie budownictwa mieszkaniowego było szczególnie trudnym wobec położenia, w którym znalazła się własność miejska na skutek licznych zarządzeń fragmentarycznych i nie powiązanych ze sobą, którymi zamierzano zwalczyć kryzys mieszkaniowy. Podczas kiedy ceny wszystkich wytworów przemysłowych i płodów rolnych przystosowały się do wartości lira, trwający system ograniczeń z niedorzecznymi stawkami utrzymywał niskie komorne, co do którego dozwolono zaledwie na nieznaczne podwyżki w porównaniu z okresem przedwojennym. Nic więc dziwnego, że kiedy faszyzm obejmował rządy, zagadnienie mieszkaniowe było istotnie doniosłym i przez wielu było uważane za niemożliwe do rozstrzygnięcia.

Pomimo tego, jak pisze ciekawie o tym Józef Król:[1])

Faszyzm nie ustąpił przed trudnościami i zainaugurował nową politykę mieszkaniową dekretem z dn. 7 stycznia 1923 r., który

[1]) „Sprawa mieszkaniowa". Odczyt zbiorowy stud. Pol. Warsz. z dn. 4 i 5 maja 1934 r. pod kierownictwem prof. dr Jerzego Michalskiego.

przywracał z dniem 1 lipca 1923 r. dobrowolne umowy. W okresie przejściowym... ustanowiono komisje, które miały decydować w sprawie przedłużenia umów i wysokości komornego oraz doprowadzić stopniowo do zupełnej swobody w tej dziedzinie. Na skutek tych zarządzeń sprawa mieszkaniowa uległa znacznej poprawie, zwiększyła się ilość mieszkań, przywrócono wartość zrujnowanej własności miejskiej... w czerwcu 1928 r. ukazał się dekret, postanawiający, że z dniem 30 czerwca 1930 r. nastąpi całkowity powrót do prawa ogólnego i że zniesione będą wszystkie ograniczenia.

Sam Mussolini w ten sposób wyrażał się w swej mowie z dn. 14 września 1929 r. o sprawie mieszkaniowej:

Tylko burząc odważnie i przeciwdemagogicznie politykę więzów, znajdujemy stopniowo mieszkania dla wszystkich a tymczasem zapewnimy pracę dla setek tysięcy rodaków, murarzy, robotników cementowni, stolarzy, kowali, tapicerów, elektrotechników, jak też pracowników przemysłu hutniczego, tak związanego z nowoczesnym budownictwem. Przy zachowaniu dotychczas istniejących ograniczeń, węzeł stałby się nie dorozplątania i doprowadziłoby to do niesłychanego zapotrzebowania mieszkań gminnych i państwowych. To znów wymagałoby nowej, potężnej biurokracji dla administrowania, która naturalnie zaciążyłaby na wysokości komornego. Podobne eksperymenty mogą być narzucone przez konieczności czasu wojennego, ale są czystym szaleństwem w okresie pokoju.

Dzięki właściwemu, niedemagogicznemu, postanowieniu sprawy, jak oblicza urbanista włoski, prof. Vitterie Giuffrida zbudowano po wojnie w Italii 3.200.000 izb mieszkalnych, z których 200.000 przypada na spółdzielnie i instytucje budujące domy przy pomocy rządowej dla najbiedniejszej ludności, a 3 miliony izb przez inicjatywę prywatną. I tak Italia wyszła z trudności mieszkaniowej, pomimo tego, że w ciągu dziesięciolecia 1921—1931 ludność jej wzrosła o 3.663.741 osób i mimo, że w tym okresie zburzono ogromną ilość starych domów w związku z wymaganiami nowoczesnej urbanistyki. Zagęszczenie ludności na izbę, w ciągu pierwszego dziesięciolecia rządu faszystowskiego, według dokonanego spisu w r. 1931, zmniejszyło się przeciętnie o 25%. Bo faszyzm uznał jedną prawdę ekonomiczną, która nie miała już wzięcia w pierwszych latach powojennych, a mianowicie, że: „Inicjatywa prywatna jest najskuteczniej-

szym i najużyteczniejszym narzędziem dobrobytu narodu" *(Carta del Lavoro).*

W Polsce niepodległej budownictwo mieszkaniowe poparte zostało, jak zaznaczyliśmy wyżej, ustawą o ulgach podatkowych z dnia 22 września 1922 r. Ustawa ta jest o blisko dwa lata spóźnioną, gdyż można ją było wydać już w r. 1920 przy równoczesnym wydaniu mniej rygorystycznej, a więc i mniej szkodliwej, ustawy o ochronie lokatorów. Ale ustawa z r. 1922, jeśli pominiemy budownictwo spółdzielcze, które bezpośrednio z niej skorzystało, wydała swe owoce, o ile chodzi o inicjatywę prywatną dopiero w kilka lat później. Atmosfera psychiczna w stosunku do „kamieniczników", ustawa o ochronie lokatorów z 1920 r., możliwość „reglamentacji" czynszów przy zmianie rządów, wisząca nad właścicielami jak miecz Demoklesa, odstraszały w pierwszych latach po ukazaniu się ustawy z r. 1922 inicjatywę prywatną od budowania domów czynszowych. Dopiero w miarę stabilizacji stosunków gospodarczych, rewaloryzacji, aczkolwiek wyjątkowo powolnej, czynszów w starych domach, czyli w miarę odwracania się od „pierwszego etapu wywłaszczania właścicieli nieruchomości miejskich", inicjatywa jak i kapitały prywatne przystąpiły powoli do budowy nowych domów czynszowych.

Na poparcie budownictwa mieszkaniowego rząd uruchomił kredyty, z początku przez Bank Budownictwa, a następnie przez Bank Gospodarstwa Krajowego. Politykę kredytową B. G. K. można w pewnych okresach krytykować, istotnie były tam pewne niedociągnięcia. Do r. 1934 a więc przez okres kilkoletni, kiedy to dawano wysokie kredyty do 90% kosztorysu spółdzielniom, a do 80% osobom prywatnym, znaleźli się nieuczciwi przedsiębiorcy budujący wielkie domy czynszowe ze średnimi lokalami, bez żadnego prawie ze swej strony wkładu. Natomiast osoby chcące budować niewielkie domy i wnoszące do budowy znaczne sumy ze swej kieszeni, odchodziły bez kredytów. „Szary człowiek" był często poszkodowany. Od r. 1934 zmieniono politykę kredytową w kierunku małych domów. Lecz tu znów pomieszano pojęcia „małych domów", z pojęciem „małych mieszkań", które są najbardziej potrzebne. Zaczęły

więc przy dość wysokich kredytach powstawać „małe domy", ale pod postacią luksusowych will, co bynajmniej nie leżało w interesie rządu. Lecz pomimo tych licznych usterek, które zawsze mogą się zdarzać, aby następnie ulec korekturze, ruszyła z miejsca w Polsce, jakkolwiek bardzo późno, sprawa budownictwa mieszkaniowego. Obecnie kredyty udzielane przez B. G. K. wynoszą ogółem wziąwszy 20% kosztorysów domów budowanych. Resztę wnosi kapitał prywatny, który dzięki pewnej stabilizacji stosunków gospodarczych i ulg podatkowych, wciągnięty został w budownictwo mieszkaniowe na większą skalę.

Rozporządzenie Prezydenta z 12 września 1930 r. nowelizując ustawę z r. 1922 przedłuża okres zwolnienia od podatku lokalowego z nowych domów z 10 lat na 15. Wreszcie ustawa z 24 marca 1933 r. zwalnia sumy wydatkowane na budowę nowych domów z podatku dochodowego. Ustawa ta, jakkolwiek również nie bez usterek, które domagają się nowelizacyjnej poprawki, przyczyniła się mimo wszystko walnie do wzmożenia budownictwa domów mieszkalnych. Jest ona o tyle błędnie pomyślaną, że wprowadzając zwolnienia od podatku dochodowego sum przeznaczonych na budowę, nie różniczkuje wartości domów pod względem zapotrzebowań rynkowych na mieszkania.

Dekretem Prezydenta z 14 listopada 1935 r. całkowicie zwolnione zostały spod ochrony lokatorów mieszkania duże w starych domach, mianowicie od 6-cio pokojowych z kuchnią (siedmioizbowe) wzwyż. Mieszkań tych, nawet w stolicy jest pod dostatkiem. Cena ich rynkowa waha się w granicach od 55 do 75% zwaloryzowanego w złocie komornego przedwojennego (liczą 1 rb. 4,68 zł). Na prowincji czynsze dużych mieszkań w wolnym obrocie kształtują się znacznie poniżej 50% zwaloryzowanych czynszów przedwojennych. Mieszkań średnich 3-5 pokojowych (4-6 izbowych) w ogromnej większości miast prowincjalnych, zwłaszcza na Pomorzu i Poznańskiem jest pod dostatkiem i jakkolwiek znajdują się one jeszcze pod ochroną lokatorów, można je wynajmywać na wolnym rynku przy czynszach około 50% i poniżej zwaloryzowanych czynszów przedwojennych. Wyjątek pod tym względem stanowią takie miasta jak Lwów i Łódź i może

kilka innych, gdzie istnieje większe zapotrzebowanie na lokale średnie. Natomiast zarówno w stolicy jak i na prowincji panuje g ł ó d m i e s z k a n i o w y na mieszkania małe od dwupokojowych z kuchnią (trzyizbowych) w dół. W stolicy i kilku miastach prowincjonalnych jest również jeszcze większe zapotrzebowanie na mieszkania średnie, z tym że, najluźniej jest oczywiście w odniesieniu do mieszkań pięciopokojowych, co do których, o ile w ogóle mówić można o ciasnocie, to jest ona sztucznie wywołaną przez ochronę lokatorów, która podtrzymuje absurdalne zjawisko „odstępnego".

W tych warunkach potrzebne są w Polsce przede wszystkim mieszkania małe, a w kilku miastach prowincjonalnych wraz ze stolicą, również i mieszkania średnie i to „średnie małe", a mianowicie 3 i 4-pokojowe. Otóż ustawa z 1933 r. nie uwzględnia tych zapotrzebowań i wszystko jedno czy kto buduje dwu, czy siedmiopokojowe z najwyższym komfortem budowane mieszkania za które komorne wynosi 1000 zł miesięcznie, jest zwolniony od podatku dochodowego z sum włożonych w budynek, podczas gdy powinno bezwzględnie istnieć stopniowanie w zwolnieniach od podatku dochodowego, w którym nowozbudowane domy o najmniejszych mieszkaniach cieszyć się winny największym uprzywilejowaniem, zaś duże i luksusowo wykończone — najmniejszym.[1]) Wprawdzie istnieje Tow. Osiedli Robotniczych, tym niemniej jednak budowa najmniejszych mieszkań jest absolutnie nie wystarczająca i należałoby odpowiednimi ulgami zainteresować jak najszerzej inicjatywę prywatną w budowie takich właśnie najmniejszych mieszkań.

W styczniu rb. wniósł Rząd do sejmu projekt stopniowego zniesienia ochrony lokatorów. Projekt ten przewidywał usunięcie ochrony lokatorów w następującej kolejności:

w roku	1938	dla mieszkań	5	pokojowych	z kuchnią
„	1939	„ „	4	„	„
„	1940	„ „	3	„	„
„	1941	„ „	2	„	„

[1]) Już po napisaniu niniejszego artykułu uchwaloną została nowa ustawa o ulgach inwestycyjnych, mająca obowiązywać z dniem 1 stycznia 1939 r. Powrócimy do niej przy sposobności.

w roku 1942 dla mieszkań 1 pokojowych z kuchnią
„ 1943 „ „ złożonych tylko z kuchni.

W roku 1921 liczby tych mieszkań były następujące:

5 pokoi z kuchnią	26.000
4 pokoje „	49.483
3 „ „	119.111
2 „ „	228.054
1 pokój „	404.102
tylko kuchni	483.147

Ponieważ ilość mieszkań w starych domach, w których mieszka już tylko 60% ludności miejskiej, wydatnie się od 1921 r. zmniejszyła z powodu rozbiórek, pożarów i zmiany lokatora,[1]) według projektu rządowego wyszłyby spod ochrony lokatorów:

w r. 1938	24.200	mieszk.,	stanowiąc	2%	mieszk. z 1921 r.
„ 1939	43.000	„	„	3%	„	„
„ 1940	102.000	„	„	8%	„	„
„ 1941	176.000	„	„	14%	„	„
„ 1942	286.000	„	„	22%	„	„
„ 1943	280.000	„	„	22%	„	„

Projekt rządowy, zmodyfikowany w sejmie w sensie restryktywnym, upadł niestety w senacie. Nie będziemy powtarzać motywów, jakie skłoniły senat do demagogicznego odrzucenia rządowego projektu. Ograniczymy się do twierdzenia, że drukowane seminaryjne prace studentów Politechniki Warszawskiej stoją o całe niebo wyżej w znajomości przedmiotu, niż dyskuja przeprowadzona na ten temat w senacie.

Obowiązująca obecnie ustawa z r. 1924 o ochronie lokatorów, z wprowadzonymi do niej pewnymi racjonalnymi modyfikacjami przez Dekret Prez. z 1935 r. poczyniła ogromne spustoszenia w majątku narodowym spoczywającym w nieruchomościach miejskich, których wartość jest obliczona na 7—8 miliardów złotych. Ustawa ta utrwaliła również i pogłębiła stan mieszkaniowego zacofania, pozostawiony po zaborcy rosyjskim.

[1]) Opuszczone po 1 stycznia 1938 r. przez dawnych lokatorów mieszkania, na mocy Dekretu Prez. z 1935 r. wychodzą automatycznie spod ochrony lokatorów.

Ustawa o ochronie lokatorów zabrania zawierania umów dobrowolnych między właścicielem nieruchomości a lokatorem. Bawiący w Polsce Amerykanin Kemmerer nie mógł tego zrozumieć i przypuszczał, że dotyczy to jednostek „pozbawionych sądownie praw obywatelskich", taki bowiem tylko wypadek byłby do pomyślenia w demokratycznej Ameryce. W rezultacie tego smutnego a absurdalnego faktu dochodzi do tak potwornych sytuacji, że jeżeli np. wszyscy lokatorzy proszą właściciela nieruchomości o dołączenie domu do sieci kanalizacyjnej lub wodociągowej i zgadzają się na płacenie nieco wyższego komornego z tytułu tej elementarnej inwestycji i właściciel się na to godzi, to umowa tego rodzaju nie może być zawartą, jako niezgodna z prawem i do tej elementarnej inwestycji dojść nie może!

Opis szkód, bardzo różnorodnych, które poczyniła w Polsce tak długo w mocy będąca rygorystyczna ustawa o ochronie lokatorów oraz absurdów, do których doprowadzała, a częściowo jeszcze doprowadza, nie zmieści się oczywiście w ramach artykułu.

W Polsce bardzo często najzupełniej niesłusznie traktuje się kwestię mieszkaniową z bardzo wąskiego i demagogicznego punktu widzenia: walki klas bogatych kamieniczników z biednymi lokatorami; zapominając o tym, że zagadnienie tkwi nie w gnębieniu jednej klasy przez drugą, lecz w dostarczeniu ogółowi ludności miejskiej odpowiedniej ilości higienicznych mieszkań, po cenach rynkowych, jak kupuje się chleb, bieliznę lub buty, a prawodawca polityk i rządzący krajem powinni stwarzać takie warunki, aby mieszkania te nie były zbyt drogie. Każdy z cywilizowanych krajów regulował kwestię mieszkaniową w nieco odmienny sposób, odchylenia jednakże w metodach nie wiele się między sobą różniły, wszyscy zaś dążyli do jak najprędszej likwidacji nienormalnych stosunków, przez budowę nowych domów.

Niemcy posiadający jeszcze obecnie pewne pozostałości po ochronie lokatorów, już przed kilkunastu laty ustanowiły komorne w wysokości nie tylko dającej możność właścicielom starych nieruchomości dokonywania remontów

i inwestycji, lecz przynoszące im dochody. Państwo tylko wówczas jest silne i posiada jasną drogę rozwojową jeżeli poszczególne klasy jego obywateli są zamożne, wówczas bowiem posiada stałą możność osiągnięcia dochodów na utrzymanie swoje i podciągania całości społeczeństwa wzwyż. Państwo zaś likwidujące gospodarczo poszczególne klasy ludności, podcina tym samym swój własny byt i złe losy gotuje całości społeczeństwa. W Polsce świadomie, czy nieświadomie ale faktycznie dążono przez szereg lat do likwidacji stanu posiadania własności miejskiej! Ogromna ilość majątku narodowego uległa bezsensownemu zniszczeniu. Nieremontowane domy walą się w gruzy. Czy przynajmniej, jeżeli już nie dla dobra ich właścicieli, dzieje się to dla dobra lokatorów, którzy je zamieszkują? Chyba też nie!

Postawmy kwestię jasno. Jeżeli podziela się mniemanie, że „każda własność prywatna jest kradzieżą", niszczenie jej jest czymś dodatnim społecznie i miałby rację wówczas Lenin, gdy polecał „grabić zagrabione". Dla tych wszystkich, którzy nie zgadzają się z podobnym postawieniem sprawy, doprowadzanie do upadku, długotrwale działającymi ustawami wyjątkowymi, całej gałęzi majątku narodowego nie może być uznanym za coś dodatniego, wręcz przeciwnie, widzimy w tym zjawisku publiczne szkodnictwo i niszczenie narodowego mienia.

Ogromna większość tak zwanych „kamieniczników" w Polsce, to dzisiaj biedacy, spoglądający bezsilnie jak niszczeje ich majątek, ciężką często zarobiony pracą i zebrany oszczędnością życia. Przeszło 85% domów w Polsce, to małe kilkomieszkaniowe domki a 50% wszystkich domów w Polsce to drewniaki! Połowa więc właścicieli domów w Polsce to „kamienicznicy, burżuje na drewniakach"!

Jeżeli będziemy badać kamieniczników np. na przedmieściach Łodzi według zawodów, to okaże się, że 34% stanowią rzemieślnicy, 31,5% robotnicy, 18% ludzie bez zawodu, 12% drobni kupcy, 4% niżsi funkcjonariusze, 0,5% emeryci. Otóż przeciwko nim przede wszystkim obraca się dziś przedłużona bezsensownie i ze szkodą społeczeństwa ochrona lokatorów.

H. J. Korybut-Woroniecki.

Przegląd piśmiennictwa.

Leopold Caro: **Liberalizm i kapitalizm.** Odbitka z Ateneum kapłańskiego. Włocławek 1937. Str. 115.

Obszerna broszura wybitnego uczonego katolickiego podzielona została na cztery nierówne rozdziały. Pierwsze dwa zajmują 20, następne — 95 stron tekstu. W rozdziale pierwszym autor omawia „równość, wolność, sprawiedliwość społeczną i własność prywatną", a więc hasła i zasady ustrojowe. Rozdział drugi nosi tytuł „indywidualność" i poświęcony jest charakterystyce prądów społecznych oraz przeciwstawnych mu: uniwersalizmu, solidaryzmu i socjalizmu. Ta wstępna część książki wprowadza czytelnika w treść zagadnień, wyjaśnia pojęcia.

Spośród prądów, o których tu mowa trzy noszą charakter skrajny aczkolwiek wzajemnie odwrotny. Indywidualizm, który jest podstawą ustroju kapitalistycznego, podporządkowuje dobro społeczne interesom jednostki, uniwersalizm (bardziej znany pod nazwą totalizmu) oraz socjalizm podporządkowują bezwzględnie dobro i prawa jednostki interesom społeczeństwa. Autor wytyka tę jednostronność, sam zaś opowiada się za solidaryzmem chrześcijańskim, dążącym do harmonijnego uzgodnienia dążeń i praw jednostki z dobrem społeczeństwa. Tej idei, którą po wielkiej wojnie sformułował pierwszy ks. Henryk Pesch, jezuita niemiecki, poświęcił już prof. Caro prace obszerniejsze od omawianej obecnie.

Rozdziały główne, a więc trzeci, traktujący o liberalizmie oraz czwarty o kapitalizmie noszą charakter mieszany, historyczny i aktualny, informacyjny i krytyczny. Czytelnik znajdzie w nich przegląd ideowych punktów wyjścia obecnego ustroju w dawniejszej i nowszej literaturze społeczno-filozoficznej. Napotkać tu może niejeden ciekawy, mniej znany szczegół, jak np. pochodzenie od Tomasza Hobbesa z XVII wieku słynnej koncepcji *contrat social,* umowy społecznej, spopularyzowanej przez Jana Jakuba Rousseau. Dalej omawia autor długi szereg pojęć i zjawisk właściwych liberalizmowi gospodarczemu, jak *homo-oeconomicus,* wolna konkurencja, kartele, wolny handel, lichwa i jej liberalni obrońcy, spekulacja, przesilenie periodyczne, nadpro-

dukcja, problem robotniczy. Tej części rozdziału trzeciego odpowiada w rozdziale czwartym opis mechanizmu gospodarczego przy kapitalizmie przekwitowym (*Hoch Kapitalismus*), oraz jego destrukcyjnych właściwości.

Końcowa część rozdziału trzeciego zawiera jeszcze przegląd „praw ekonomicznych" poczytywanych przez libero-kapitalizm za niewzruszalne. Pewnym niedociągnięciem redakcyjnym jest, że nie wszystkie te prawa autor dość jasno formułuje, choć pisze dla niespecjalistów i choć z tymi prawami oraz ich „niewzruszalnością" gorąco polemizuje. Końcowe stronice rozdziału trzeciego traktują o „przyczynowości czy celowości" w ekonomice. Dają one wyraz podstawowemu *credo* autora, jako też innych przedstawicieli chrześcijańskiej myśli gospodarczej, że zjawiska ekonomiczne nie wypływają z praw przyrody, którym by się człowiek musiał p o d p o r z ą d k o w a ć, lecz że są zależne od woli ludzkiej, która się powinna nimi dla dobra człowieka p o s ł u g i w a ć.

W końcowej części rozdziału czwartego autor kreśli wymowny obraz zwyrodnień psychiki indywidualnej i zbiorowej w jakie wtrącił człowieczeństwo kapitalizm. „Co czynić dla przerobienia ustroju", który działa tak rozkładowo w zakresie moralnym i materialnym, zapytuje autor. Materialnych dróg reformy wszakże nie wskazuje, oprócz korporacjonizmu „fasadowego", o którym się wyraża z wielkim uznaniem. Sądzi autor, że przy pomocy paliatywnych przystosowań kapitalizm zdoła jeszcze przedłużyć swoją egzystencję na jedno pokolenie. Punktem wyjścia głębszej przebudowy ustrojowej musi być „przewrót poglądów", oraz odrodzenie moralne i religijne. W końcu autor referuje poglądy myślicieli katolickich, a zwłaszcza encykliki *Rerum Novarum*, *Quadragesimo anno*.

Nie wydaje się trafnym pogląd prof. Caro, że kapitalizm potrwa jeszcze czas dłuższy, gdyż nie dopuści do tego wojna powszechna. Zdruzgoce go ona wraz z całym „ginącym światem" w najbliższych już latach, jeżeli nie zostaną w porę nie tylko poruszone siły duchowe, lecz i odkryte drogi materialne głębokiej przebudowy ustrojowej. Ale to stanowi *une question à part* i nie można prof. Caro zarzucać, że się nią tym razem bliżej nie zajął. Zamiarem jego było dać obraz i wyjaśnić naturę obecnego ustroju, który tak wielu jeszcze liczy zwolenników. Obraz wypadł może nieco jednostronnie, skutkiem wielkiej koncentracji barw ciemnych, przy niemal zupełnym wyłączeniu jaśniejszych. W gruncie rzeczy jednak niewiele odbiega on od dzisiejszej rzeczywistości, mocno przypominającej Sodomę i Gomorę i głośno wołającej o pomstę do nieba.

Powstała więc użyteczna praca propagandowa. Dyskredytuje ona gruntownie kapitalizm i jako taka ze wszech miar godna jest rozpowszechnienia wśród szerokich kół naszej inteligencji.

St. Szczutowski.

Ludwik Górski: Wytyczne programu wiejskiego w świetle zasad katolickich. Lublin — Uniwersytet. Towarzystwo Wiedzy Chrześcijańskiej. Ogólnego zbioru, tom 36. Str. 52.

Podniesienie poziomu polskiej kultury materialnej i duchowej stanowi jeden z najważniejszych problemów naszej racji stanu. Konieczność szybkiego i pomyślnego rozwiązania tego zagadnienia wynika i z położenia geograficznego Polski i z niebezpieczeństw, jakie się piętrzą zagrażając swobodzie gospodarczej kraju.

Pan L. Górski słusznie sądzi, że akcję odbudowy należy zacząć od ogólnego podniesienia rolnictwa. Wieś bowiem stanowi jądro naszego narodu. Celem ułatwienia realizacji tego zadania podaje Autor szereg cennych wskazówek i środków, mogących oddać znaczne usługi reformie stosunków gospodarczych, o ile jej uskutecznienie ma być przeprowadzone w myśl etyki katolickiej, prawa naturalnego i dobra ogólnego Polski.

Należy tylko żałować, że Autor podał swój program w formie nazbyt szkolnej i abstrakcyjnej. Niektóre myśli zyskałyby na jasności i łatwości zrozumienia gdyby były ujęte nieco szerzej i przedstawione w sposób mniej schematyczny. Czytelnik ulega chwilami lekkiemu wrażeniu, że studiuje spis rzeczy jakiegoś obszernego dzieła, z którym Autor pragnie się zapoznać.

Mimo to, braki te nie przekreślają wartości, jakie niniejsza książeczka wnosi do całości dorobku socjologicznego w Polsce.

Ks. Jan Rosiak T. J.

O sprawiedliwości społecznej. Lublin — Uniwersytet. Towarzystwo Wiedzy Chrześcijańskiej. Ogólnego zbioru, tom 37. 1938. Str. 50.

Broszurka niniejsza poświęcona jest sprawie bardzo aktualnej, której przedmiot stanowi stosunek sprawiedliwości społecznej do sprawiedliwości legalnej.

Dla autora problem ten, właściwie mówiąc, nie istnieje, ponieważ nie przyznaje on sprawiedliwości społecznej prawa do autonomii i przyłącza się do grupy socjologów utożsamiających sprawiedliwość społeczną ze spraw. legalną. Tradycyjny podział sprawiedliwości na trzy rodzaje posiada ramy dostatecznie obszerne, by pomieścić wszystkie zagadnienia, jakie są złączone z istnieniem i rozwojem społeczeństw.

Rozprawa „O sprawiedliwości społecznej" traktuje przedmiot z wielką erudycją i dużą znajomością odnośnych encyklik papieskich *Quadragesimo Anno* i *Divini Redemptoris*. Zaczerpniętymi stamtąd cytatami usiłuje Autor uzasadnić swe przekonanie i podważyć tym samym zdanie zwolenników wyodrębnienia sprawiedliwości społecznej. Dowody są skierowane głównie przeciwko wywodom o. Wawryna T. J. umieszczonym w *Wierze i Życiu*

(IX 1937 r.). Nie sądzimy jednak, by przytoczone ustępy dokumentów Stolicy św. przecięły swą mocą wszelką dalszą dyskusję, owszem jesteśmy przekonani, że mogłyby one w równej mierze, choć z lepszym może skutkiem, służyć za punkt oparcia przeciwnikom redukcji sprawiedliwości społecznej do sprawiedliwości legalnej. Do zlania tych dwóch pojęć w jedno skłania Autora także i ta okoliczność, że Papież mówi o „dobru powszechnym" jako o przedmiocie sprawiedliwości społecznej, który, jak skądinąd wiadomo, spełnia równocześnie tę samą rolę w stosunku do sprawiedliwości legalnej. „Przedmiot formalny" byłby zatem jeden i ten sam, czyli wykluczałby różnicę pojęć. Zachodzi jednak pytanie, czy słusznie uważa Autor „dobro społeczne" za przedmiot „formalny" sprawiedliwości społecznej i legalnej. Uważamy, że dobro powszechne jest przedmiotem „materialnym" i, co za tym idzie, że zagadnienie *obiecti formalis* pozostaje nietknięte jak również siła dowodów, które Autor stara się osłabić. Mimo to rozprawa „O sprawiedliwości społecznej" może się przyczynić do wyjaśnienia niektórych kwestyj, do pogłębienia samych pojęć oraz do ściślejszego określenia pozycyj tym bardziej że ton dyskusji jest utrzymany na wysokim poziomie cechującym prawdziwego naukowca.

Ks. Jan Rosiak T. J.

Ks. Wacław Staniszewski: Kościół jako mistyczne ciało Chrystusa według św. Augustyna — Nakładem Tow. Nauk. Kat. Uniw. Lub. s. VI+148.

Przywrócić świętość stosunkom ludzkim, odrodzić życie z wiary, światłem rozumu wpływać na wolę, z której wyłania się czyn katolicki, zjednoczyć — aby w Chrystusie wszyscy byli jedno — to pragnienia sterników nawy Piotrowej ostatniej doby, to dążności odradzającej się teologii.

Myśl tę podejmuje autor niniejszej pracy. Biorąc pod uwagę przejściowe fazy dość liczne w życiu biskupa Hipony, praca to niełatwa. Albowiem zaraz po swym nawróceniu św. Doktor za biskupem mediolańskim podkreśla przede wszystkim powagę nauczycielską Kościoła, dla której wszystko, czego on naucza winno być przyjęte. Istota Kościoła, strona wewnętrzna, dogmatyczna, jeszcze go nie zajmuje. Dopiero zetknięcie się ze schizmą donatystów zwróci mu na to uwagę. To też zgodnie z zasadami metody historycznej uwzględnia Autor duchową ewolucję biskupa Hipony, zacieśniając swą pracę do pism „antydonatystycznych, antypelagiańskich" oraz „Państwa Bożego".

Główne idee o wewnętrznej organizacji Kościoła urabiał sobie św. Doktor na listach Apostoła narodów, na ewangelii i Objawieniu św. Jana, oraz komentarzach św. Hilarego do ewan-

gelii św. Mateusza. I tak poruszając problem genezy Kościoła jako mistycznego ciała Chrystusa, św. Augustyn objaśnia list do Efez. 5, 30, iż Chrystus niejako opuścił Ojca Niebieskiego, zstępując na ziemię; opuścił matkę (synagogę), a przyłączył się do Kościoła, jako oblubieniec, dołączając do tego słowa listu do Kol. 1, 18, że Chrystus jest głową Kościoła, a Kościół jest ciałem Chrystusa. Kościół to świątynia domu Bożego, to państwo. Dlatego Chrystus, jako głowa jest mieszkańcem domu, uświęcicielem świątyni, królem państwa, — jest winnym szczepem — a Kościół w swych wiernych jest winną latoroślą.

Kościół to jeden wielki organizm, który zasięgiem swym obejmuje i stary i nowy testament. Lecz jak w organizmie przyczyną jedności jest dusza, która spaja, jednoczy poszczególne członki, udziela im życia, powierza specjalne czynności do spełnienia, — podobnie i w tym organizmie, nadprzyrodzonym Duch Chrystusowy, Duch Św. jest tym pierwiastkiem, który ożywia Kościół, jednoczy jego poszczególne członki. Dzięki organicznej jedności poszczególne członki mają nie tylko spełniać powierzone sobie zadanie, lecz nawzajem sobie służyć, przyczyniać się do dobra całości.

W tej wielkiej hierarchii Chrystus przez Wcielenie, Odkupienie, oraz godność kapłańską jest głową. Głowa zaś ciała jest wprawdzie jednorodna z całością, godnością jednak swą przewyższa inne członki, oraz wpływ wywiera na całość. Słowo więc stawszy się ciałem, zaślubiło naturę ludzką, zbliżyło ją do Boga, zmywając grzechy, przez godność kapłańską zjednoczyło z Bogiem.

Ideę Państwa Bożego św. Biskup czerpie od św. Ambrożego i Tychoniusza.

Wymiana orzeczeń między Kościołem a Chrystusem jest wynikiem organicznej jedności; sprawowanie zaś potrójnego urzędu przez Chrystusa w Kościele: nauczycielskiego, kierowniczego i kapłańskiego jest przejawem jedności.

Wiara i miłość odgrywają wielką rolę w rozwoju genetycznym wszczepienia w Chrystusa. „Połączeniem wiary z miłością" jest chrzest, przez który Duch Św. rozlewa swą miłość na serca wierzących i dokonywa wcielenia członka w Chrystusa. Chrzest i kapłaństwo wyciskają na duszy niezatarte znamię. Charakter chrztu zakreśla granicę, w obrębie której ma być udzielone życie nadprzyrodzone, tworzy materiał, który duch Chrystusowy ożywia. Znamię kapłaństwa wytwarza znowu nadrzędne organy, za pośrednictwem których rozchodzi się życie nadprzyrodzone po całym organizmie mistycznym.

Chrzest jest zapoczątkowaniem życia łaski. Pełnię daje dopiero złączenie się z Chrystusem Eucharystycznym. Dlatego to Eucharystia ma w ciele mistycznym znaczenie nie tylko symbolu jedności, ale też środka odżywczego dusz. W niej ześrodkowuje się cały organizm mistyczny.

W łączności z tymi myślami, zaczerpniętymi ze św. Augustyna, Autor w swej pracy dotyka jeszcze wiele innych problemów teologicznych. Pomijając je, jako też kompozycję dzieła Autorowi właściwą, — podnieść należy dobre historyczne ujęcie problemu. Mimo pewne niedomagania gramatyczne (np. komentarz *na* ewangelię), opracowane zagadnienie zyskałoby znacznie na wartości, gdyby do tak licznych tekstów zastosowano więcej analizy, a nieco jeszcze szerzej uwzględniono i wyjaśniono samo pojęcie dogmatyczne mistycznego Ciała. Praca nabrałaby wtedy większej pełności, przewodnia myśl wyrażona w zakończeniu wystąpiłaby w żywszych barwach.

W całości jednak opracowanie trudnego zagadnienia o mistycznym Ciele, bogato zebrane teksty, ujęte w jedną harmonijną całość tworzą piękną mozaikę, odzwierciedlającą myśl cytowanych dzieł św. Augustyna przynajmniej w ogólnych zarysach. Dlatego też praca ta ma swą wartość w ogólnym skarbcu wiedzy teologicznej — zwłaszcza polskiej.

Ks. Jan Brodowski T. J.

Émile Mersch S. I.: Morale et Corps mystique. (Museum Lessianum. Section théologique Nr 34). S. 276 in 8. Bruxelles 1937. Édition Universelle.

Znakomity historyk dogmatu mistycznego Ciała Chrystusa okazuje się równocześnie wnikliwym i głębokim myślicielem, umiejącym kojarzyć olbrzymią erudycję historyczną ze zrozumieniem problemów chwili dzisiejszej. Książka, którą mamy przed sobą, nie stanowi wprawdzie jednolitej całości, gdyż jest właściwie zbiorem artykułów, drukowanych już wcześniej na łamach belgijskiej *Nouvelle revue théologique* w latach od 1927 do 1935 oraz francuskiej *Revue d'ascetique et de mystique* z r. 1929, jednak dzięki dokonanym przez Autora przeróbkom i uzupełnieniom, a zwłaszcza dzięki przenikającej wszystkie te artykuły idei oparcia moralności chrześcijańskiej o rzeczywistość mistycznego Ciała Chrystusa zasługiwała ona na wydanie pod jednym wspólnym tytułem. Wychodząc z założenia, uzasadnionego apologetycznie we wstępie, że katolicyzm ze swoim pojęciem społeczności wiernych jako Ciała mistycznego Chrystusa jest najpełniejszą realizacją religii i chrześcijaństwa, rozwija autor kolejno w części ogólnej z tego punktu widzenia katolicką naukę o Chrystusie i dziele odkupienia, o świętości i o modlitwie chrześcijan jako członków Chrystusa, o kapłaństwie i o doniosłości tej koncepcji teologicznej wobec ścierających się w dzisiejszej społeczności ludzkiej prądów indywidualistycznych i kolektywistycznych. W drugiej części, szczegółowej przechodzi do konstruktywnego rozbudowania w tym duchu takich problemów moralnych, jak zagadnienie ubóstwa chrześcijańskiego, miłości małżeńskiej i czy-

stości, wreszcie posłuszeństwa wobec władzy świeckiej, państwowej i duchownej. Celem, jaki Autorowi w tej pracy przyświeca, jest wytyczenie podstaw moralności prawdziwie chrześcijańskiej i teologicznej, moralności wspartej na dogmatach chrześcijańskich, na dogmacie Trójcy św., Wcielenia Bożego oraz naszego wszczepienia przez łaskę w Słowo wcielone, — moralności, która by się zwracała do członków Chrystusa jako do członków Jego Ciała mistycznego. Autor zdaje sobie sprawę z tego, że pełne osiągnięcie tego celu wymaga jeszcze ogromnego wkładu spekulatywnej pracy przygotowawczej, do której dzieło jego stanowi zaledwie drobny przyczynek, można jednak stwierdzić, że przyczynek ten jest naprawdę rzetelny.

Ks. W. Zajączkowski T. J.

Émile Mersch S. I.: Le Corps mystique du Christ. Études de theologie historique. Seconde édition revue, corrigée et considerablement augmentée. (Museum Lessianum, Section théologique, Nos 28/29). 2 tomy in 8. S. XLIII 551 i 498. Bruxelles (53, rue Royale). Édition Universelle. Cena 90 fr. belg.

Niezwykłe powodzenie pierwszego wydania tego monumentalnego dzieła (por. recenzję pióra ks. M. Morawskiego w *Przeg. Powsz.* 1935 t. 207 s. 218 n.) umożliwiło pojawienie się w tak krótkim stosunkowo czasie wydania drugiego, znacznie rozszerzonego i uzupełnionego. Na przeróbce tej zyskała przede wszystkim część pierwsza tomu I, omawiająca naukę Pisma św. o Ciele mistycznym Chrystusa, zwłaszcza w ustępach poświęconych ewangelii św. Łukasza oraz listom św. Pawła. W części drugiej został uwzględniony nieco obszerniej list Barnaby i drugi list Klemensa. Tom drugi dokładniej omawia naukę ostatnich papieży, od Leona XIII począwszy, o Ciele mistycznym Chrystusa oraz jej zastosowanie w Akcji Katolickiej. Nadto znajdujemy w tym drugim wydaniu znacznie wzbogacony dział bibliograficzny oraz rozszerzone poważnie skorowidze: autorski i rzeczowy. Pomimo przybytku stu kilkudziesięciu stronic oraz spadku waluty cena dzieła pozostała niezmieniona.

Ks. W. Zajączkowski T. J.

S. Maria Renata od Chrystusa, niepokalanka: U źródeł łaski. Z przedmową J. E. ks. dr Fr. Lisowskiego, bpa tarnowskiego. Poznań, Naczelny Instytut Akcji Katolickiej, 1937 r., str. 202, cena 3. 50 zł.

Nie brak u nas w Polsce dobrych książek, traktujących o tematach religijnych, ascetycznych lub moralnych. Wszakże na ogół odczuwać się daje brak takich dzieł, które by dopomagały nowoczesnemu katolikowi w zrozumieniu ducha Kościoła i jego obrzędów, które by odsłaniały przed nim znaczenie ich i rozwój

wielowiekowy, które by jednym słowem, wprowadzały dusze w tajniki katolickiej liturgii.

Powstającemu stopniowo w kraju prądowi liturgicznemu książka s. M. Renaty może służyć jako walna i skuteczna pomoc. Otwiera ona nowe horyzonty, nieznane może dla wielu, odkrywa, zakryte przed oczami niektórych, światy.

Nic bardziej żywotnego i wiecznie aktualnego dla każdego wiernego syna Kościoła nad sakramenty św. One są bezpośrednio źródłem życia nadprzyrodzonego i łask najcenniejszych, przez nie Matka-Kościół obejmuje człowieka od chwili przyjścia jego na świat aż do grobu.

Wielu jednak przystępuje do nich z zamkniętymi oczyma, machinalnie z rutyny, nie zdając sobie sprawy z myśli tkwiącej w tych rytach kościelnych, nie pojmując głębokiego ich znaczenia i ich bogatej w duchową treść symboliki.

Liturgia nie jest bowiem zbiorem martwych, przestarzałych, skostniałych formułek. Każdy ruch kapłana przy ołtarzu, każde słowo mają swoje znaczenie; szaty, barwy, tony, mają w swoisty sposób przemawiać do słuchacza. Wszystko tu pulsuje życiem, jest wyrazem tego, co Bóg w danej modlitwie lub danym obrzędzie chce nam powierzyć. Obowiązkiem więc wierzących jest starać się zrozumieć myśl i zamiary naszej wspólnej Matki, wielkiej Wychowawczyni ludzkości.

Otóż książka *U źródeł łaski* roztacza przed nami obraz rozwoju form sakramentalnych, udzielanych poprzez wieki; autorka sięga do pierwszych początków chrześcijaństwa, przedstawia ewolucję obrzędów, wyjaśnia pochodzenie wyrazów i modlitw związanych z danym obrzędem.

S. M. Renata, specjalistka w tym względzie, opiera się w swoich dowodzeniach na pierwszorzędnych źródłach historycznych, jak to widać z przytoczonej bibliografii. Praca to więc gruntowna, poważna. Można się na niej oprzeć. Niemniej ujęcie tematu jest przystępne, jasne i zwięzłe. Czytelnik nie jest przeciążony balastem szczegółów. Styl pod względem literackim bez zarzutu.

Przybyło więc naszej literaturze religijnej dzieło bardzo cenne. Dziś, gdy idąc za wezwaniem Stolicy św., świat katolicki zbroi się duchowo do boju, by móc odeprzeć natarcia wrogów godzących w dogmat i tradycję chrześcijańską, jest ono wybitnie na czasie. Każdy katolik powinien być obecnie uświadomionym członkiem Ciała Mistycznego, głęboko przekonanym i opancerzonym szermierzem prawdy; nie wolno mu być biernym, ani tylko pobożnym na sposób indywidualny i uczuciowy. Musi on szukać sposobności, by umocnić swe wierzenia i móc odeprzeć każdej chwili możliwe zarzuty i napaści.

Obowiązek kształcenia się religijnego i duchowego staje się nieodzownym w życiu katolika. Książka *U źródeł łaski,* odda

mu w tym względzie pomoc. Stać się też może podręcznikiem pobocznym w nauczaniu religii dla nauczycieli i katechetów. Powinna zająć swe miejsce w bibliotekach parafialnych, szkolnych, sodalicyjnych i związkowych.

M. L.

Matthias Joseph Scheeben: Die bräutliche Gottesmutter. Aus dem Handbuch der Dogmatik herausgehoben und für weitere Kreise bearbeitet von Carl Feckes. Freiburg im Breisgau. Herder. S. 218.

Scheebenowska mariologia jest znana Czytelnikom *Przeglądu Powszechnego* chociażby z fragmentu jej, opracowanego przed kilku laty przez o. Mariana Morawskiego na łamach pisma z okazji stuletniej rocznicy wielkiego myśliciela i teologa czasów nowożytnych. W systemie teologicznym Scheebena zajmuje ona miejsce poczesne i stanowi jak gdyby człon pośredni pomiędzy nauką o Zbawicielu i jego dziele z jednej strony a nauką o łasce i szafującym nią Kościele z drugiej. Nauka o Maryi jako Oblubienicy Chrystusowej i Matce duchowej ludzkości, w związku z akcentowaną dziś coraz silniej nauką o Chrystusie jako Głowie mistycznego Ciała oraz Pośredniku nadprzyrodzonego życia ludzkości, rzuca bogate światło na istotę Kościoła Chrystusowego. To też nie jest rzeczą przypadku, że również i w praktyce rozwijające się dzisiaj tak wspaniale poczucie przynależności Kościoła z jego praktycznymi konsekwencjami w Akcji Katolickiej idzie w parze z rozkwitem nabożeństwa do Matki Najświętszej zarówno wśród szerokich mas w rozlicznych bractwach maryjnych jak i w szeregach inteligencji w potężniejącym z roku na rok ruchu sodalicyjnym. To ścisłe powiązanie życia religijnego z dogmatem miał na oku Maciej Scheeben, kiedy przez głęboką teologiczną podbudowę pragnął żywiołowo rozwijające się nabożeństwo ustrzec przed wypaczeniem ze strony niektórych pobożnych lecz nie dość wykształconych pisarzy ascetycznych i kaznodziejów oraz dać mu silne oparcie w całokształcie nauki objawionej. Niestety, najbardziej dojrzałe jego dzieło, kilkutomowy *Podręcznik katolickiej dogmatyki,* nie tylko że nie został doprowadzony do końca, dzieląc los tylu genialnych dzieł, ale wskutek rosnącej u Autora z postępem wieku zawiłości stylu przybrał szatę nazbyt trudną i mało dostępną właśnie dla tych, dla których był przeznaczony w pierwszym rzędzie a więc nie dla teologów zawodowych, lecz dla kierowników dusz oraz dla głosicieli słowa Bożego. Dla uleczenia tego smutnego stanu rzeczy, nad którym zapewne sam Scheeben bolał najbardziej, wydawnictwo Herdera we Fryburgu podjęło szczęśliwą myśl uprzystępnienia bogatego dorobku teologicznego Scheebena szerszym kołom przez opracowanie poszczególnych jego wycinków na sposób bardziej popularny, oczywiście, z całym pietyzmem dla stylistycznej indywidualności Autora. W opraco-

waniu niniejszym odciążony został od całego aparatu naukowego tekst oryginalny, który uległ niewielkim stosunkowo przeróbkom, idącym w kierunku rozbicia nadmiernie długich okresów na zdania krótsze oraz uproszczenia zbyt zawiłych sposobów wyrażania się, utrudniających zrozumienie myśli Autora. Indywidualność stylu musiała na tym ucierpieć cośkolwiek, jednak przyznać należy, że mimo tych koniecznych zmian z kart niniejszego opracowania przemawia nie jakiś interpretator koncepcyj Scheebena, ale sam Scheeben ze swymi charakterystycznymi zwrotami i rozsadzającymi szczupłą powłokę słów ujęciami. Byłoby też rzeczą pożądaną, by przykład współziomków wielkiego teologa nasunął bardziej konkretne możliwości przyswojenia jego dorobku również i naszej literaturze teologicznej.

Ks. W. Zajączkowski T. J.

Dr Tihamér Tóth, Professor an der Universität zu Budapest; Der Sieg Christi. Predigten. Mariologie. Predigten. Ins Deutsche übertragen von P. Bruno Maurer O. S. B. Freiburg im Breisgau.

Kazań ks. dra Tótha nie ma potrzeby zalecać, zbyt bowiem dobrze znany jest obrazowy i na wskróś życiowy sposób przemawiania ich Autora polskiej publiczności dzięki doskonałym przekładom, wydanym staraniem ks. dra Machaya w Krakowie. Dlatego sygnalizujemy tylko ukazanie się niemieckiego tłumaczenia dwóch cyklów kazań, z których jeden zajmuje się głównie tajemnicami radosnymi życia Zbawiciela, drugi zaś stanowi zwięzły skrót nauki katolickiej o Matce Najśw. i o nabożeństwie do niej. Z plastyczną i zajmującą formą wykładu umiał kaznodzieja połączyć ścisłą logikę oraz niepospolitą siłę argumentowania, która tym przemówieniom nadaje piętno wybitnie apologetyczne. Nade wszystko góruje w tym zbiorku nuta podniosłego chrześcijańskiego optymizmu, tak potrzebnego do wykrzesania wiary w przyszłość i ochoty do czynu. Tomik ten odda wielkie usługi kaznodziejom w czasie wielkanocnym oraz na szczególniejsze zasługuje zalecenie dla kierowników Sodalicyj Mariańskich.

Ks. W. Zajączkowski T. J.

Artur Górski: Niepokój naszego czasu. Warszawa 1938, str. 317.

Artur Górski ma w sobie coś z proroka. Stąd duchowa jego bliskość Skargi i Mickiewicza, która tak wyraźnie występuje w całej jego twórczości. W swoich artykułach nabrzmiałych aktualnością a drukowanych ostatnimi czasy głównie na łamach *Marchołta,* obecnie zaś razem wydanych pod wspólnym tytułem, występuje śmiało bez oglądania się na partie i osoby jako rzecznik prawdy życiowej, a także sprawiedliwości i miłości społecznej. Wizja Polski wielkiej i wolnej od wszelkiej podłości stoi mu ciągle przed

oczyma i każe nieraz rzucać gromy na tych, co ją w pochodzie naprzód i wzwyż krępują. Nieraz w swym oburzeniu zdaje się zatracać umiar słowa — ale jest to objaw świętego gniewu jaki w nim rozpala wielkie ukochanie. Jedno, drugie zdanie może nieco razić ucho katolika, trzeba jednak dobrze pamiętać, kto to pisze. Rzeczy poruszone w tym zbiorku z różnych dziedzin, budzą głębszą refleksję nad palącymi zagadnieniami społeczno-politycznymi. Kierunek, w którym je zwracają, zdaje się być trafny.

Ks. Edmund Elter T. J.

Theodor Grentrup: Volk und Volkstum im Lichte der Religion. Eine grundsätzliche Studie zur Gegenwartslage. Freiburg im Breisgau 1937. Herder S. 195.

Wojujący, antychrześcijański, sekciarski pseudo nacjonalizm, nie bez inspiracyj, idących z przykładu naszego zachodniego sąsiada, zaczyna podnosić swoje sztandary również i w Polsce, zyskując w czasach ostatnich trybunę swoich haseł w czasopiśmie *Zadruga*. Dlatego nie bez korzyści będzie uważnie śledzić także sposoby walki z tą odmianą bezbożnictwa ze strony katolików niemieckich, którzy sobie zdali sprawę, że nie można wypędzać diabła bezbożniczego komunizmu z pomocą Belzebuba pogańskiego nacjonalizmu, co tak dobitnie podkreśliła ostatnia encyklika różańcowa Piusa XI. Stanowisko szczerze katolickie wobec zagadnień narodowościowych oraz jego uzasadnienie względami na sprawiedliwość oraz na dobrze zrozumiany interes własnego narodu i całej ludzkiej społeczności — oto temat, który Autor postarał się rozwinąć wszechstronnie w tym swoim gruntownym ale przystępnie i zajmująco ujętym studium. Jakkolwiek książka uwzględnia przede wszystkim stosunki specyficznie niemieckie, to jednak uważne jej przeczytanie przyda się i u nas.

Ks. W. Zajączkowski T. J.

Ks. dr Z. Goliński: Pius XI jako nauczyciel i obrońca moralności chrześcijańskiej. Towarzystwo Wiedzy Chrześcijańskiej. Ogólnego zbioru, tom 30. 1937. Str. 38.

Krótki stosunkowo referat ks. dr Z. Golińskiego jest wyrazem synowskiego uznania i wdzięczności dla papieża Piusa XI ojca i nauczyciela naszych czasów.

Autor w krótkich, ogólnych rzutach — jak na to pozwalały ramy odczytu — starał się objąć całokształt wysiłków poczynionych przez Piusa XI w kierunku syntetycznego ujęcia i przedstawienia słabości i niedomagań moralnych współczesnych społeczeństw oraz zapobieżenia złu i etycznemu rozkładowi. Dzieło Papieża jest pod tym względem imponujące nie tylko powagą

autorytetu i znajomością stosunków, lecz także szerokością spojrzenia, wszechstronnością zainteresowań oraz świadomością opartą na Bogu, że Kościół posiada środki mające stanowić niezachwianą tamę przeciwko zalewowi zła. Przypominając wielkie i liczne encykliki papieskie, w których krystalizuje się myśl katolicka podkreśla Autor te ważne momenty niestrudzonej działalności wielkiego Papieża i zwraca uwagę katolikom na źródła skąd mają czerpać broń do walki z rozkładem i gdzie szukać wyjaśnień w wątpliwościach. Taki jest bez wątpienia cel Autora. Szczupły bowiem zakres referatu nie pozwalał mu na żywienie ambicji, choćby częściowego tylko wyczerpania, w analitycznym studium, wartości, jakie zawierają encykliki Piusa XI. Skromny swój cel osiągnął Autor w zupełności.

Ks. Jan Rosiak T. J.

Lew Trocki: Zbrodnie Stalina. Autoryzowany przekład Tadeusza Teslara. Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska". Warszawa 1937, str. 570. — Victor Serge: Losy pewnej rewolucji. Z. S. S. R. 1917—1936. Tamże. 1937, str. 413. — Jacques Bardoux: Oskarżam Moskwę... Tamże. 1937, str. 73. — Jacques Doriot: Pieniądze płyną z Moskwy. Tamże. 1937, str. 131. — Georges Lakhovski: Od Moskwy do Madrytu. Paradoks demokracji. Tamże. 1938, str. 216. (Tłumaczenia wszystkich książek dokonał T. Teslar).

Nowa seria wydanych przez „Bibliotekę Polską" książek, oświetlających z różnych stron problem bolszewickiego komunizmu, jest tym ciekawsza dla czytelnika, że autorami jej są czynni wyznawcy komunizmu lub ludzie niedaleko odeń stojący, lecz bądź zepchnięci z dróg współczesnego komunizmu rosyjskiego przez dyktaturę Stalina, bądź otrzeźwiali z komunistycznych oparów. Trocki pisze własną apologię w związku z niedawną komedią „trockistowskich" procesów w Moskwie, wykazując całą nieudolność i zakłamanie jej reżyserii. Dowody Trockiego są przekonywające, a choć czytelnik z góry jest gotów na pewną jednostronność i tendencyjność u wodza IV Międzynarodówki, zmuszony jednak oczywistością faktów musi przyznać rację wywodom Trockiego. Absurdalność bolszewickiej czy raczej stalinowskiej rzeczywistości przypisuje Trocki „zbrodniom" Stalina. A jest ich niemało. Ostatnie procesy moskiewskie nie są szczytem stalinowskich przestępstw. Największą „zbrodnią" Stalina jest to, że jest Stalinem, że się dał wynieść na obecne stanowisko i że w bezideowym stalinizmie pogrzebał leninowską wizję przyszłości. Trocki jednak nie jest skłonny przypisywać wszystkich zbrodni obecnemu władcy Kremlu. Stary bolszewik zna Stalina z bliska i nie uważa go za geniusza. Stalin stał się Stalinem dzięki dobrej „koniunkturze". Ale stawszy się nim raz, musi swą rolę odegrać do końca za wszelką cenę. Zresztą Trocki ostrzega, by nie brać Stalina jako psychologiczną abstrakcję, lecz jako konkretną hi-

storyczną postać, jako wodza sowieckiej biurokracji, dla której upadek Stalina równałby się bez wątpienia własnemu jej upadkowi. Czyny Stalina można zrozumieć, uwzględniając warunki bytu nowej uprzywilejowanej warstwy, żądnej sławy, użycia dóbr doczesnych, bojącej się utracić swoje znaczenie, żyjącej w obawie przed masami i nienawidzącej śmiertelnie wszelkiej opozycji (s. 495). Dlatego Trocki jest nieprzejednanym wrogiem stalinizmu. „Stalinizm — pisze — stał się biczem dla Związku sowieckiego i trądem światowego ruchu robotniczego". „W królestwie idei stalinizm jest niczym, urąga świętokradczo marksizmowi" (563). W ostatnich procesach, niszczących kwiat armii rosyjskiej, widzi Trocki absurd samozaprzeczania się stalinowskiego reżimu. Opierając się na tej analizie, Trocki zapowiada nieunikniony upadek Stalina jako logiczne następstwo koszmarnej rzeczywistości stalinowskiej Rosji. Stalin — według niego — padnie ofiarą intrygi, podjętej na wzór jego własnej. Jawna kontrrewolucja rozprawi się z nim, najprawdopodobniej oskarżając go o... „trockizm" (569).

Victor Serge, pół-Rosjanin, pół-Belg (patrz przedmowę tłumacza), cudem prawie uwolniony z więzienia czekistów, nie przestał być komunistą, ale przestał być stalinowcem. Jest antystalinowcem. Dla tego trockisty wszystko w Sowietach jest ohydne i krwawe. Mimo to nie zraża się Serge współczesnym produktem komunistycznej doktryny i występuje w roli zwiastuna „lepszej" rewolucji komunistycznej. Słusznie twierdzi tłumacz w swej przedmowie, „że książka *Losy pewnej rewolucji* jest zamaskowaną propagandą na rzecz IV Międzynarodówki i integralnego komunizmu, który po porażce, zadanej przez Stalina, chce się „odbić" na cudzym terenie" (s. 7). Serge jednak nie widzi tego, że im okropniej, im bardziej przerażająco i im prawdziwiej maluje obraz bolszewickiego ustroju, tym bardziej podcina siebie i własną ideologię. Dlatego lektura *Losów pewnej rewolucji* przy inteligentnym czytaniu przynosi niewątpliwie dużo pożytku, niezamierzonego przez autora.

P. Jacques Bardoux ze swej strony protestuje przeciw sowietofilskiej rzeczywistości współczesnej „ludowej" Francji. A protestuje bardzo wymownie, demaskując bezlitośnie poniżenie Francji wobec stalinowskich sług. Nagromadzenie niewątpliwych faktów i dokumentów może nasunąć niejedną życiową refleksję na temat naszych polskich stosunków i prób podejmowanych przez pewne sfery nad zmontowaniem „frontu ludowego" w Polsce.

Podobną wartość posiada publikacja p. J. Doriot. Zadziwiająca jest siła ekspanzji agentur moskiewskich. Doriot, poczuwszy tę siłę jako były poseł komunistyczny, zbuntował się przeciw roli marionetki w rękach Moskwy. Osobiste doświadczenie p. Doriot jest również niemniej pouczające.

Wreszcie jeszcze jeden głos do tej antybolszewickiej krucjaty dorzuca prof. Lakhovski. Lecz tu musimy wyznać, że

prócz oczywistej odrazy Lakhovskiego do komunizmu nie możemy w tej książce dopatrzyć się żadnej innej wartości. Pisana bardzo stronniczo jest słabą, nieprzekonywającą apologią kapitalistyczno-faszystowskiego ustroju. Tutaj najzupełniej podzielamy początkowe wątpliwości tłumacza. Lepiej było nie tłumaczyć tej książki na język polski. Bo choć — jak słusznie zauważa tłumacz — trudno odmówić autorowi wielkiej siły argumentacji w jego najszlachetniejszej idei przewodniej — walki z komunizmem w świecie, jednak wnioski, jakie wyprowadza autor na podstawie swych rozważań, mogą stworzyć w umyśle czytelnika alternatywę wyboru pomiędzy komunizmem a faszystowską dyktaturą. Jednostronność zaś w przedstawianiu zagadnień, posunięta aż do naiwności, ośmiesza tylko szlachetne skądinąd poczynania.

W sumie jednak serię tych tłumaczeń trzeba uznać za pożyteczną. Zmuszają one czytelnika do refleksji, zbliżają go do wrzącego kotła zagadnień. Budzą przy tym czujność. Bo choć stalinowska Rosja niewątpliwie przechodzi poważne kryzysy wewnętrzne, odciągające jej uwagę od międzynarodowego forum, jednak tuż obok nas wyłania się nowa groźna rzeczywistość w postaci IV Międzynarodówki, tym groźniejsza, im bardziej Rosja Stalina usypia czujność Europy. Kto wie, czy trockistowska wrzawa nie jest popierana, a przynajmniej tolerowana przez Moskwę... Komunizm lubi działać w mętnej wodzie. W każdym razie rzecz już dziś staje się oczywista, że koniec stalinizmu nie będzie oznaczać końca komunizmu, czego bardzo wymownym świadectwem jest atak Trockiego na Stalina.

Ks. Aleksander Kisiel T. J.

Rudolf Allers: Das Werden der sittlichen Person. Wesen und Erziehung des Charakters. 4 wydanie. Freiburg i B. Herder. Str. XX i 316.

Warto zwrócić uwagę czytelników polskich na dzieło, które w ciągu kilkunastu lat od pierwszego wydania wyrobiło sobie dobre imię w świecie psychologów, w szczególności katolickich, jako szczęśliwa synteza myślenia katolickiego i słusznych zdobyczy nowych kierunków psychologii. Jest nim wymienione wyżej kompendium charakterologii, pióra znanego psychiatry i psychologa wiedeńskiego.

Nauka o charakterze, będąca najbardziej może praktycznym owocem psychologii, zaczyna się coraz więcej usamodzielniać i wyodrębniać od swej nauki macierzystej. Przyczyniły się do tego w wielkim stopniu kierunki psychologii zaliczane do tzw. psychologii głębi, zwłaszcza psychoanaliza Freuda i psychologia indywidualna Adlera. Z tych szkół, głównie z drugiej, wyszedł także R. Allers-psychiatra, lecz Allers-myśliciel urabiał się na

podstawie filozofii chrześcijańskiej. Z psychologii indywidualnej przejął on najważniejsze założenia metodyczne; uznaje więc za podstawowe tendencje psychiki ludzkiej pęd do mocy oraz dążenie do społeczności, podkreśla także znaczenie środowiska i otoczenia oraz przeżyć od wczesnej młodości w tworzeniu się charakteru (charakter = reakcje na przeżycia). Stanowczo jednak odrzuca koncepcje światopoglądowe psychologii Adlera, jego indywidualizm, a staje na stanowisku personalizmu w sensie chrześcijańskim. Nie jest to wynik kompromisu lecz samodzielnej krytyki.

Oparty na tych podstawach zajmuje się autor istotą charakteru oraz warunkami i czynnikami jego rozwoju. Określa charakter jako działanie według norm (*die Gesetzlichkeit des Handelns*), jako indywidualną zasadę wartościowania (*das individuelle Wertvorzugsgesetz*), przy czym prymat przypada logosowi. Jedyną drogą do poznania i zrozumienia charakteru człowieka jest poznanie celów do których dąży. Opis rozwoju charakteru i jego czynników przeplatany jest gęsto wnioskami pedagogicznymi o prawidłowym kształtowaniu charakteru, gdyż książka ma służyć potrzebom wychowania. Zajmuje się więc po kolei warunkami i trudnościami w wyrabianiu charakteru we wczesnym dziecięctwie, znaczeniem ideałów i przykładów, odrębnościami płci, znaczeniem późnego dziecięctwa i wieku dojrzewania, rolą szkoły, zagadnieniem seksualnym, w końcu ujemnymi formami charakteru i psychoneurozami. We wszystkich tych sprawach występuje na pierwszy plan punkt widzenia psychiatry, lecz psychiatry-pedagoga i to szczerze wierzącego.

Poprzez całą książkę pozostaje Autor wierny psychologii indywidualnej. Mimo to nie wzbudza on zasadniczych zastrzeżeń ze stanowiska katolickiego, we wnioskach zaś pedagogicznych popiera je znakomicie. W niektórych zagadnieniach drugorzędnych można nie zgadzać się z nim, np. wytknęła mu krytyka (Schröteler) jako słaby punkt zapatrywania na sprawę różnic psychicznych płci, gdzie wszelką odmienność tłumaczy jako wynik jedynie warunków społecznych. Dziwnym też wyda się zapewne, przynajmniej na pierwszy rzut oka, pogląd Allersa na pokorę albo postulat, by nie narzucać dziecku wybitnych osób jako wzorów do naśladowania. Przy rozwadze jednak trzeba przyznać mu słuszność, gdy gani jednostronność i przesadę. Z drugiej strony ujmuje nas to, że autor formułuje swe wnioski bardzo ostrożnie, że sądy swe wyraża trzeźwo i skromnie.

Książka ma wykazać granice możliwości przyrodzonych w kształtowaniu charakteru, poza tym podkreśla potrzeby czynników nadprzyrodzonych. W ogóle odgrywają w charakterologii Allersa wielką rolę sprawy religijne, które mogą doprowadzić człowieka do szczytów doskonałości, lecz również — źle pokierowane — do zaburzeń psychicznych. Autor uważa, że tylko święty wolny jest od psychoneurozy.

Pod względem literackim robi dzieło miłe wrażenie przez swe możliwie łatwe ujęcie, przez przykłady z praktyki oraz częste nawiązanie do hagiografii i patrologii. Wielki psycholog katolicki, o. Agost. Gemelli z Mediolanu, przypisuje charakterologii Allersa wybitne znaczenie dla życia religijnego.

Ks. K. Werbel.

Ks. Stefan Sydry: O. Stanisław Papczyński i jego dzieło w świetle dokumentów. Warszawa 1937. Str. VIII+299. Nakładem funduszu beatyfikacyjnego. Skład główny księg. św. Wojciecha.

Ks. dr Franciszek Śmidoda C. M.: Ks. Gabriel Baudouin i jego dzieło w latach 1732—1768. Warszawa 1938. Str. 279. Katolickie Towarzystwo Wydawnicze „Kronika Rodzinna".

Z rozbudzeniem wśród szerokich warstw polskiego narodu kultu naszych świętych i wielkich postaci ofiarnych bohaterów życia, zrodziła się konieczność opracowywania poważnych i krytycznych żywotów Sług Bożych, kandydatów na ołtarze. To też z prawdziwą radością należy witać ukazujące się coraz częściej w latach ostatnich źródłowe, stojące na poziomie naukowych badań dzieła naszych polskich historyków.

Hagiografia polska wzbogaciła się w ostatnim roku o dwie nowe, i cenne monografie, poświęcone wybitnym, świątobliwym mężom, zasłużonym zwłaszcza na terenie stolicy na przełomie XVII wieku. Dwaj polscy uczeni dali nam w oparciu o źródłowe, mozolne badania archiwalne w obiektywnym ujęciu wyraźne sylwetki swoich wielkich współbraci zakonnych. Autor żywotu o. St. Papczyńskiego szczęśliwie wykorzystując niewyzyskane dotychczas lub nieznane zbiory dokumentów, o których wspomina we wstępie, przejrzyście, jasno i, mimo balastu odsyłaczy i dopisków, nawet przystępnie nakreślił życie Sługi Bożego. Psychologiczne podejście w przedstawieniu niezwykle ciekawych wewnętrznych zmagań się Sługi Bożego i jego zabiegów około założenia nowego zgromadzenia po opuszczeniu zakonu pijarów sprawia, iż książkę czyta się z rosnącym zainteresowaniem. Dziwne koleje, jakimi prowadziła Opatrzność o. Papczyńskiego do zrealizowania wielkich zadań, budzą w uważnym czytelniku uczucia podziwu dla wewnętrznej świętości Sługi Bożego i jego hartu ducha. Dzieło przezeń założone — zgromadzenie ojców marianów duchem swego założyciela ożywione, prowadzi zbożną działalność pedagogiczną, duszpasterską i misyjną na licznych placówkach w Polsce, na Litwie, Łotwie, w Harbinie i w Stanach Zjednoczonych. Synowie wielkiego Ojca zabiegają o wyniesienie założyciela swego zgromadzenia na ołtarze. Chwile te przyśpieszy, jak spodziewać się można, niniejsza monografia, ułatwiając szerokim warstwom naszego społeczeństwa katolickiego poznanie życia Sługi Bożego Stanisława Papczyńskiego. Gorące słowa

przedmowy ks. Arcyb-pa St. Galla i wzorowe techniczne wydanie, liczne ilustracje zalecają to dzieło do przeczytania i jak najszerszego rozpowszechnienia.

Autor drugiej z omawianych książek zapowiedź swego dzieła podał ubiegłego roku, umieszczając w *Przeglądzie Powszechnym* (t. 213, str. 218—227) artykuł pt. ks. Gabriel Baudouin apostoł miłosierdzia Warszawy. Postać tego niezwykłego kapłana, którą otoczyła legenda nimbem cudowności, dzięki źródłowym badaniom przedstawił Autor „w całej swej prawdzie dziejowej". Nie tylko uprzytomnił ją Warszawie, gdzie imię twórcy Domu podrzutków i szpitala generalnego głosi wiekopomne jego dzieło, ale całej Polsce jako wzór niezrównanego jałmużnika. Wyzyskując w zupełności mozolnie zebrane, przeważnie rękopiśmienne źródła, na tle wnikliwej oceny ówczesnej epoki, dosadnej charakterystyki stosunków i wybitniejszych ludzi skreślił Autor dzieje instytucyj założonych przez ks. Boduena. Charakterystyka tego prawdziwego syna i wiernego naśladowcy św. Wincentego à Paulo potraktowana została w ogólnych tylko zarysach, z obszerniejszym uwzględnieniem jego akcji miłosierdzia jako ojca ubogich i pocieszyciela cierpiących, bezdomnych nędzarzy. Praca nosząca charakter ściśle naukowy uzupełniona 34 ilustracjami oraz reprodukcjami ważniejszych dokumentów wraz z załącznikami źródłowymi przedstawia w naszej ubogiej literaturze hagiograficznej poważną i cenną pozycję jako naukowa, krytyczna i obiektywna monografia stworzona na podstawie źródeł historycznych.

Poczytność zapewni temu wartościowemu dziełu, podobnie jak i poprzedniemu, doskonała szata zewnętrzna, wykonanie bez zarzutu na dobrym papierze, co zapisać należy na chlubę firmy wydawniczej „Kronika Rodzinna". — Życzymy obu omawianym cennym dziełom najlepszego przyjęcia wśród szerokich rzesz czytelniczych.

Ks. Cz. Sejbuk T. J.

Jan Dąbrowski: Historia dla kl. I gimnazjów. Wydanie drugie. Wydaw. K. S. Jakubowski Lwów 1937. Str. 190 tekstów źródłowych.

Nie od dziś podręczniki do historii prof. Dąbrowskiego cieszą się wielką sympatią w szkole tak ze strony uczących jak i młodzieży, a to ze względu na ich wielką wartość naukową, dydaktyczną i wychowawczą.

Z początkiem bieżącego roku szkolnego wyszedł z druku nowo przepracowany podręcznik: *Historia dla kl. I gimnazjów*, bardziej dostosowany do nowego typu gimnazjum.

Podręcznik dotychczasowy: Historia tom I, Lwów 1933, ze względu na materiał uczniowski, przychodzący ze szkół powszechnych, o poziomie znacznie niższym aniżeli II kl. gimnazjalna typu starego, wymagał podania wiedzy historycznej w formie dostępnej

nie tylko dla elity umysłowej, którą kształtowało dawne gimnazjum, ale i dla dzieci, rekrutujących się z szerokiego ogółu naszego społeczeństwa, z umysłowością średnią lub słabą, które bez wyjątku gromadzi demokratyzujący typ nowego gimnazjum.

Trudne to zadanie udało się prof. Dąbrowskiemu całkowicie rozwiązać. Mimo przystępniejszej formy i prostszego stylu, mimo usunięcia wyrażeń zbyt trudnych dla poziomu kl. I, podręcznik utrzymano na wysokości nauki.

Dla uprzystępnienia dzieciom materiału i dla oszczędzenia rodzicom wydatków na atlasy historyczne Autor zaopatrzył podręcznik obficie w mapy i mapki; zawiera też podręcznik kilka planów sytuacyjnych. Trudniejsze ustępy przepracował Autor, rozjaśniając niektóre z nich bardzo zręcznym wsunięciem tekstu, odprężającego umysł dziecka, oraz zaspakajającego jego ciekawość badawczą czy etyczną.

W osobnym dziale na końcu książki umieścił Autor w tłumaczeniu pierwszorzędnych powag naukowych teksty źródłowe, jako częściowo, przez program zaleconą, doborową lekturę historyczną, przez co ułatwił uczącemu pracę i dał pole zdolniejszym uczniom do większej samodzielności.

Dwie tablice chronologiczne, uzmysławiając trudne do zrozumienia dzieciom kl. I orientowanie się w czasie, ułatwiają usystematyzowanie dat dziejów i ich zapamiętanie. (Pierwsza tablica sięga lat 3200 przed Chr. do 1918 r. tj. do wskrzeszenia państwa polskiego, 2-ga zaś obejmuja 20 wieków przed Chr. i okres średniowiecza do roku 987, tj. do objęcia tronu francuskiego przez Kapetyngów). Ponadto daty, przez program przeznaczone do zapamiętania, rzucają się w oczy w ciągu tekstu specjalnym drukiem.

Nowa pisownia nie pozostaje też bez wpływu na ucznia, usuwając rozterkę ducha, powodowaną przez spotykanie w starych podręcznikach dawnej pisowni.

Najpiękniejsze dzieła sztuki, rozsiane po świecie, w mistrzowsko dobranych ilustracjach z dziedziny topografii, zabytków kultury artystycznej, techniki i architektury zdobią podręcznik, a rzucając jasne światło na wiele trudnych pojęć, kierują uwagę i serca dzieci w dziedzinę piękna. Dłuższe objaśnienia znacznej części ilustracji, zaznajamiając dzieci z najcenniejszymi dziełami sztuki, kształcą w nich zmysł artystyczny. Wykwintna zaś szata zewnętrzna podręcznika wskazuje na praktyczne zastosowanie tego piękna w życiu.

Autor, dostosowawszy ściśle podręcznik tak co do ilości jak i jakości materiału do programu, ujmując materiał systematycznie, grupuje go około pierwszorzędnych faktów czy osobistości danej epoki, co ułatwia dzieciom orientację w mnóstwie zagadnień, z którymi muszą się zapoznać. Druk zaś charakterystyczny ściąga ich uwagę na najważniejsze problemy danych ustępów.

Wartość dydaktyczną podręcznika uzupełniają podane na końcu każdego rozdziału ćwiczenia, ujęte w formę pytań, które mają pobudzić dzieci do myślenia i porównywania zjawisk historycznych, oraz wyciągania z nich wniosków na dziś, ucząc historycznego spostrzegania. Każdą epokę dziejów kończy autor lapidarnym i syntetycznym ujęciem zdobyczy kulturalnych danego narodu, wykazując ich znaczenie dla rozwoju całej ludzkości.

Wnikając w ducha programów i potrzeby odzyskanej naszej państwowości, stara się Autor zapoznać ucznia z twórczymi wysiłkami ducha ludzkiego na każdym polu, czy to politycznym czy społecznym, kulturalnym czy gospodarczym, by dać mu możność zorientowania się w dzisiejszej sytuacji i wychować go na obywatela, zdolnego do ofiarnego i twórczego czynu nie tylko na rzecz państwa polskiego, ale i na rzecz całej ludzkości.

Wielki nacisk kładzie Autor na to, by z kultury starożytnej wyjąć i podkreślić te momenty, których aktualność i dzisiaj z każdym dniem przybiera na sile. Zwraca więc szczególną uwagę na handel i przemysł, przedsiębiorczość i energię, żeglugę i kolonizację, oraz sprawy socjalne z tą myślą, by nasze nowe pokolenie wychować w należytym zrozumieniu podstaw dobrobytu niezależności każdego państwa.

Wielką też zaletą metodyczną podręcznika jest to, że autor podaje ścisłe i jasne wiadomości w ten sposób, iż pozostawia uczącemu możność rozwinięcia ich stosownie do materiału uczniowskiego, jakim dysponuje on w danej chwili. Takie podanie wiedzy budzi i w uczniach ogromne zainteresowanie, popychając ich do samodzielnej pracy: czytania, poszukiwania i badań, celem uzupełnienia poruszonych kwestyj. Stąd też podręcznik prof. Dąbrowskiego nigdy się młodzieży nie znudzi, zawsze czyta go ona z zainteresowaniem, zawsze nasuwa jej coraz to nowe spostrzeżenia i nowe zagadnienia historyczne.

Obiektywne przedstawienie kart dziejów oraz wysunięcie etycznych momentów i postaci ludzi wielkich charakterem i czynami wskazuje także na doniosłe wychowawcze zalety książki prof. Dąbrowskiego. Duch zaś katolicki, przemawiający z jego kart, dopełnia moralnej wartości podręcznika dla celów wychowawczych. Ma to dziś pierwszorzędne znaczenie wśród dróg bardzo liberalnych i wobec obniżenia wszelkiego autorytetu.

Do usterek należy zaliczyć błąd drukarski: na str. 65 odwrócono kapitel dorycki, zmieniając go w podstawę i na str. 82: zamiast państwa „Diadochów" mylnie wydrukowano wyraz „Diachodów".

Reforma szkoły polskiej, nie jest jeszcze całkowicie ukończona. Otwarte w b. roku szkolnym liceum, czekając na pomoc dobrych podręczników, zwraca wzrok swój w stronę znakomitego uczonego i zasłużonego pedagoga z nadzieją, że i tu wielka

wiedza i doświadczenie przyjdzie z pomocą uczącemu i młodzieży, by zakreślone programem plany zrealizować.

Dr M. Janina Łojowska O. S. U.

J. Kleiner: W kręgu Mickiewicza i Goethego. Warszawa 1938, Rój.

Wielkie i wybitne osobowości mają to wspólnego, że wznoszą się ponad czas i przestrzeń. Ale też ta ponadczasowość i ponadprzestrzenność, to przeniesienie granic teraźniejszości i zaścianka hen, może aż w bezkres czasu i przestrzeni, innymi słowy ta przeszłość kształtująca od niewiadomej, a przyszłość kształtowana do niewiadomej — to sfera, krąg prądów i oddziaływań, skupiających się i krzyżujących w wielkich osobowościach. Nie co innego chyba miał na myśli prof. Kleiner, obmyślając tytuł dla swego nowego tomiku *studiów i szkiców* z dziedziny literatury. Tchnienie „człowieka-narodu", owszem „człowieka-świata", najdobitniej może wyrażone w szkicu „Mickiewicz na tle literatury światowej" i posągowość „poety bezkresności" (tytuł jednego ustępu) unoszą się ponad całym zbiorkiem a wielką różnorodność poruszonych tematów łączą i zespalają subtelnie w jedną całość. Nie pożałuje trudu czytelnik, który zaciekawiony tytułem zapozna się z książką Kleinera. Wnikając razem z nim w psychikę omawianych postaci, nie tylko odświeży sobie w pamięci bogatą — bo począwszy od tytułowych osób poprzez Słowackiego, Krasińskiego, Fredrę aż do Żeromskiego i Kasprowicza ciągnącą się — galerię portretów literackich, ale na pewno u tych może nawet skądinąd dobrze sobie znajomych odkryje niejedną nowość, dotychczas niedostrzeganą lub tylko niewyraźnie przeczuwaną. Ale ani ta różnorodność tematów, ani ich swoiste oświetlenie nie wyczerpują wartości zbiorku. Krytyk Kleiner nie byłby sobą, gdyby w dziele o tak różnej rozpiętości tematowej nie dał czytelnikowi rozprawek „Z teorii literatury i metodologii badań". Takie zamknięcie i przypieczętowanie dziełka podnosi niezmiernie jego wartość i użytkowość.

Ks. J. Mikuła T. J.

Leo Weismantel: Die guten Werke des Herrn Vinzenz. Freiburg im Breisgau 1937. S. VI i 246.

Bywają Święci, których całe życie jest poświęcone pracy jak gdyby cyzelatorskiej nad szczegółami własnej doskonałości dla przypodobania się Bogu, podczas gdy życie innych upływa na ciągłych pracach i walkach o chwałę Bożą i dusz zbawienie, w których się hartuje i doskonali nadprzyrodzone piękno ich ducha. Do takich natur czynnych należał i św. Wincenty à Paulo, którego dzieła miłosierdzia nie tylko się rozszerzyły na całą

Francję, lecz ogarnęły świat cały, ocierając łzy milionom i krocie dusz zyskując dla nieba drogą chrześcijańskiego miłosierdzia. Dzieła te, rozrosłe ponad wszelkie spodziewanie, przesłaniają nam nieraz postać samego ich Twórcy. Dlatego z uznaniem należy witać wszelkie starania, zmierzające do zapoznawania szerokich mas z osobą tego wielkiego Jałmużnika w sposób tak ludzki i tak przystępny, jak to czyni omawiana książka. Autor jej, daleki od wynoszenia swego bohatera na sztuczne koturny, nie tai nawet takich prozaicznych szczegółów, jak materialne i doczesne pobudki kształcenia młodego pastuszka na księdza. I właśnie tej szczerości przedstawienia ludzkich stron życia zawdzięczamy możność śledzenia procesu stopniowego wznoszenia się na coraz wyższy poziom duchowy aż do samych szczytów świętości. Ten ważny przymiot łącznie z potoczystością i barwnością opowiadania czynią z tej miłej książeczki wzór popularyzacji żywotów Świętych.

Ks. W. Zajączkowski T. J.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu:

Gertruda von Le Fort: Chusta Weroniki. Powieść. Przekład autoryzowany Marii Winowskiej. 1938. Str. 343.

Z serii: Postacie Świętych: S. M. Renata Niepokalanka: Św. Grzegorz I Wielki. S. M. Leonia Niepokalanka: Św. Benedykt Labre. J. Włodarkiewiczowa: Św. Zofia Barat. S. M. Renata: Św. Radegunda. M. Pachucki: Św. Wacław. Dr Wanda Brzeska: Św. Jan Nepomucen. Dr Wanda Brzeska: Św. Hubert. Józef Birkenmajer: Św. Alojzy. Prof. dr Józef Birkenmajer: Św. Julia, Panna i Męczenniczka. Helena Morawska: Św. Tomasz More. Anna Zahorska: Św. Adrian.

Nakładem Książnicy Atlas, Lwów—Warszawa:

Tarlton Rayment: Dolina nieba. Str. 351.

E. Tomaszewski: Widmo niedźwiedzia. Opowiadanie historyczne z XIV w. Str. 316.

Jan Wiktor: Wierzby nad Sekwaną. Powieść. Wydanie drugie zmienione. T. I str. 280. T. II 372.

Sigurd Elkajer: Między morzem a fiordem. Powieść. Str. 213.

Nakładem „Roju", Warszawa:

Sergiusz Piasecki: Piąty etap. 1938. Str. 407.

Mieczysław Smolarski: Iskry na szablach. Powieść. 1938. Str. 344.

Jan Wiśniewski: Po dniówce. Opowiadania. 1938. Str. 277.

Maria Kuncewiczowa: Kowalscy się odnaleźli. Uzupełnienie powieści radiowej: Dni powszednie państwa Kowalskich. Str. 62.

Czesław Straszewicz: Przeklęta Wenecja. Powieść. Str. 269.

J. M. Thomson: Przywódcy Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Str. 303.

I. P. Pawłow: Wykłady o czynności mózgu. Str. 358.

Sygryda Undset: Olaf syn Auduna i jego dzieci. T. II. Przełożyła Maria Kragen. Str. 359.
Jan Straszewski: Życie codzienne i świąteczne Waszmość Pana i Jejmość Jego Małżonki. Str. 238.

Nakładem Państwowego Wydawnictwa Książek Szkolnych we Lwowie, 1938:

Kazimierz Czachowski: Wacław Sieroszewski. Życie i twórczość. Str. 153.
Feliks Burdecki: Walka o atom. Biblioteka Fizyczna. T. IV str. 106.
Julia Duszyńska: Szarusia. Str. 54.
Artur Górski: Ku czemu Polska szła. Wydanie czwarte. Str. 280.
Kazimierz Hartlieb: Kultura Polski. Od zarania dziejów po dni ostatnie. Str. 311.
Stefan Papée: Ignacy Mościcki. Str. 54.
Wacław Sieroszewski: Józef Piłsudski. Wydanie drugie. Str. 51.
Zuzanna Rabska: Młodość w niewoli. Kartki z pamiętnika uczennicy tajnej pensji. Wydanie nowe. Str. 134.
Ewa Zarembina: Najmilsi. Wydanie drugie. Str. 118.
Barbara Żulińska: Dla Ciebie, Polsko. Obrazki z życia Tadeusza Żulińskiego (Romana Barskiego). Str. 82.

Nakładem różnych:

Pierre Mandonnet O. P.: Saint Dominique. L'idée, l'homme et l'oeuvre. I. Perspectives. Str. 308. II. Étapes. Str. 269. Desclée De Brouwer, Paris. 1938.
Zygmunt Szweykowski: Dramat Dygasińskiego. Nakładem Gebethnera i Wolffa, 1938. Str. 226.
A. i M. Bechczyc-Rudniccy: W retorcie życia. Nowele. Warszawa, Dom Książki Polskiej, 1938. Str. 176.
Janusz Bednarski: Wiersze i proza. Wydał i wstępem zaopatrzył dr Józef Ujejski. Wydawnictwo OO. Dominikanów, 1938. Str. 340.
Edward Kozikowski: Pięciokłos. Poezje zebrane. Nakładem Księgarni Wł. Michalaka, Warszawa, 1937. Str. 206.
Pisma ascetyczno-mistyczne Benedyktynek reformy chełmińskiej. Wydał Karol Górski. Jan Jachowski, Księgarnia Uniwersytecka, Poznań, 1938. Str. 16.
Ks. dr Józef Pastuszka: Z filozofii i psychologii komunizmu. Dwa odczyty. Lublin, 1938. Str. 73.
Mjr Karol Kleczke i mjr Władysław Wyszyński: Fortyfikacja stała. Wojskowy Instytut Naukowo-Oświatowy. Warszawa, 1938. Str. 370.
Paweł Hulka Laskowski: Śląsk za Olzą. Z 274 ilustracjami i 2 mapami. Katowice, 1938. Skład główny: Nasza Księgarnia, Warszawa. Str. 457.
Ks. Stanisław Podoleński T. J.: U progu. Książka dla młodych. Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy. Kraków, Kopernika 26. Str. 165.
Podręcznik dla kandydatek Katolickich Stowarzyszeń Kobiet. Biblioteka Katolickiego Związku Kobiet. Poznań, 1938. Str. 70.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Katolicka Austria po *Anschluss*'ie. — Inicjatywa ks. kardynała Innitzera. — Jej dotychczasowe skutki oraz perspektywy.

Dokonany fakt przyłączenia Austrii do Niemiec pociągnął za sobą bardzo doniosłe skutki nie tylko w dziedzinie politycznej, społecznej i ekonomicznej ale także w dziedzinie ściśle religijnej. Po kilkuletnim ostrym konflikcie, który zaciążył tak fatalnie nad losem katolików Rzeszy, po słynnych procesach i konsekwentnym a brutalnym dławieniu wpływów Kościoła na życie publiczne i wychowanie młodzieży w Niemczech można się było obawiać, iż narodowy socjalizm zechce zastosować ten sam system walki z religią i na obszarach dawnej Austrii. Otwierały się tragiczne perspektywy; wszak chodzi o kraj rdzennie katolicki, posiadający od wielu wieków swą własną, związaną z Rzymem, tradycję, przechowujący w skarbnicy narodowych pamiątek wspomnienia wielkich dni i bohaterskich zmagań w obronie katolickiej kultury Zachodu. Zdeptać te wszystkie tradycje, wyrzec się tych wartościowych wkładów i dorobków, które do ostatnich prawie dni realizowano w dziedzinie duchowego rozwoju, pod kierunkiem wielkich mężów stanu, a wyrzec się tego wszystkiego za cenę mitu XX w., mitu krwi i rasy, za cenę brutalnego zgleichszaltowania poglądów i zakucia w obrożę nakazów partii wolnej duszy jednostek, za cenę autostrad, fabryk i wyścigu zbrojeń, parademarszu i kinematografii olbrzymich mitingów czy manifestacyj — oto dylemat, który nazajutrz po *Anschluss*'ie zjawił się z wstrząsającą siłą, przed umysłami myślących głębiej i patrzących dalej.

Ulica, którą łatwo rozentuzjazmować i obałamucić grzebała niepodległość swego narodu i państwa wśród huraganowych salw: *Heil Hitler;* równocześnie jednak zaczęły się rozlegać setki strzałów rewolwerowych, przecinających tragicznie pasmo życia tych, dla których nowy reżim stał się dylematem więzienia, wygnania, lub grobu.

W tych pełnych duchowego napięcia dniach, dniach triumfu i zbiorowego szału jednych a rozpaczy drugich — oczy tysięcy w kraju i za granicą skierowały się na najwyższy areopag duchowy niepodległej Austrii, na jej Episkopat. Jakie stanowisko zajmie Kościół, na jakie czyny zdobędzie się jego reprezentant: arcypasterz stolicy Kard. Innitzer? Oto pytanie, które elektryzowało umysły tysięcy.

Wszak w ciągu całego powojennego okresu wiedeński Purpurat był gorliwym współpracownikiem mężów stanu tej miary co Seipel, Dollfuss i Schuschnigg; wszak pod jego wysokim autorytetem realizować się miał w Austrii nowy ustrój, oparty na wskazaniach papieskich encyklik; wszak rozkwit katolicyzmu był jak najściślej związany z powodzeniem wielkiej idei społecznej reformy. O wrogim nastawieniu Kard. Innitzer'a wobec hitleryzmu wiedział cały Wiedeń, wiedziała Austria.

Pamiętna p r z y s i ę g a Kardynała, złożona przy zwłokach Dollfussa, na wierność dla jego idei i czynu, na walkę dozgonną w obronie wolnej, chrześcijańskiej Austrii, walkę przeciw tym, którzy chcą ją zniszczyć... zdawała się wieścić, że w południowo-wschodniej Marchii Wielkiej Rzeszy wystąpi do boju nowy, nieustępliwy Faulhaber.

To też olbrzymie zdumienie ogarnęło katolicki świat na pierwszą wiadomość, iż Arcypasterz Wiednia wystąpił z ugodowym, by nie powiedzieć wiernopoddańczym orędziem wobec przemożnego najeźdźcy.

Triumfator Hitler przyjął na audiencji we Wiedniu Metropolitę stolicy. Rozmowa trwała 20 minut w obecności von Papen'a oraz prałata von Jauer'a, a już nazajutrz podała prasa orędzie Kardynała, precyzujące stanowisko hierarchii kościelnej wobec nowego reżimu.

Arcypasterz Wiednia przypomniał podległemu sobie klerowi i wiernym ewangeliczną zasadę, iż oddawszy Bogu co jest Bożego, należy oddać państwu to, czego państwo słusznie się domaga. Z tej zasady popłynęły konkretne wskazania:

1) Duszpasterze i wierni poddają się b e z w z g l ę d n i e wielko-niemieckiemu państwu i jego wodzom, gdyż historycznej światowej walce z zbrodniczym szałem bolszewizmu o swobodę niemieckiego życia, o stworzenie chleba i pracy, o potęgę i honor

Rzeszy, o jedność niemieckiego narodu — towarzyszy widoczne błogosławieństwo Opatrzności.

2) Wyłącznym zadaniem kapłanów jest troska o dusz zbawienie, o składanie Najśw. Ofiary Mszy oraz spełnianie innych kościelnych funkcyj, jak udzielanie św. sakramentów, głoszenie słowa Bożego, tak jak je podaje Pismo św. i tradycja.

3) Dlatego duszpasterze muszą dobrowolnie trzymać się z dala od wszelkiej polityki i z ufnością patrzeć na rozwój wypadków.

4) Z wiary w wewnętrzną łączność dusz płynie dla chrześcijan tradycyjne przekonanie, iż naturalna społeczność narodu jest powołana do tego, by urzeczywistnić Bożą ideę; z czego wynika, że wypełnianie cnót przyrodzonych jest warunkiem życia prawdziwie religijnego.

5) Polecam usilnie wodzom organizacyj młodzieży, by przygotowali ich połączenie z organizacjami Rzeszy.

W zakończeniu swego orędzia zapewnia Arcypasterz, iż Kościół nie pożałuje swej wierności dla wielko-niemieckiego państwa, bo gwarancją, iż Kościół będzię mógł wypełnić swoje właściwe zadanie — jest słowo *Führer*'a!

Wezwanie do solidarnego plebiscytu za przyłączeniem Austrii do Rzeszy, w którym zsolidaryzował się z Kard. Innitzerem cały Episkopat Austrii, nie wykluczając nawet ks. bpa Waitz'a, był najwymowniejszym świadectwem całkowitego przekreślenia ślubów złożonych przy zwłokach Dollfussa, zamordowanego przez fanatyka hitleryzmu. Słowa przysięgi:

Wir alle schwören es..., dass wir keine heiligere Aufgabe zu erfüllen wissen, als das Vermächtnis dieses grossen Toten bis zum letzten Atemzuge zu bewahren, für ein freies und christliches Oesterreich zu kämpfen...

zajęło teraz nowe hasło: *Heil Hitler!*, wypisane własnoręcznie przez Kardynała i podane w wiernym facsimile przez prasę Rzeszy i całego prawie świata.

Obok reprodukcyj orędzia Kard. Innitzer'a i listu Episkopatu Austrii pojawiły się w światowej prasie liczne komentarze, przepojone na ogół zdziwieniem, niechęcią, niekiedy nawet ostrymi zarzutami. Że taki właśnie ton dominował w prasie lewicowo-żydowsko-masońskiej, rzecz to całkowicie zrozumiała. Zarysowująca się możliwość pogodzenia katolicyzmu z hitlerowskim totalizmem, ewentualność odprężenia w walce religijnej także na terenie Rzeszy, wzmocnienie tym samym międzynarodowej pozycji niemieckiego „faszyzmu" nie było oczywiście na rękę wszystkim tym czynnikom, dla których hitleryzm jest wrogiem nr 1. Ale trzeba

lojalnie przyznać, że także prasa katolicka sformułowała liczne zastrzeżenia wobec inicjatywy wiedeńskiego Arcypasterza. Jak bowiem pogodzić te niewątpliwe ustępstwa Episkopatu ze stanowiskiem, zajętym przez Papieża w słynnej encyklice? Jak należy rozumieć słowa Kardynała:

Seelsorger und Gläubige stellen sich b e d i n g u n g s l o s hinter den grossdeutschen Staat und seine Führer...

Jak pogodzić stanowisko ofensywne całego Episkopatu niemieckiego, mającego większe doświadczenie i znającego daleko lepiej narodowy socjalizm, z tą prawie że całkowitą kapitulacją? Jakiż inny sens może mieć polecenie Kardynała, by wodzowie organizacyj młodzieży przygotowali ich połączenie z organizacjami młodzieżowymi Rzeszy, jeśli nie całkowite zlikwidowanie organizacyj katolickich na rzecz *Hitlerjugend* oraz *Bund deutscher Mädel,* przepojonych neopogańską mistyką Rosenberga i von Schiracha?

Przypominano, nie bez akcentów zdumienia, że przecież ten sam Kardynał i ten sam Episkopat oparli się stanowczo żądaniu Schuschnigga, by wychowanie młodzieży austriackiej odbywało się wyłącznie w ramach jednolitej organizacji państwowej. A przecież organizacja ta miała być przepojona do głębi duchem katolickim, miała zdążać do budowy chrześcijańskiego państwa na zasadzie encykliki *Quadragesimo anno!* A jednak Episkopat nie ustąpił, teraz zaś oddaje katolicką młodzież pod komendę osławionej *Hitlerjugend.*

Na wszystkie te pytania trudno było znaleźć uspakajającą odpowiedź, boć przecież jedyną gwarancją były słowa *Führer'*a:

Die Kirche wird ihre Treue gegenüber dem grossdeutschen Staat nich zu bereuen haben.

Równocześnie jednak z tym lakonicznym zapewnieniem Hitlera złączyły się szyderstwa oficjalnego organu jego przybocznej straży. *Das schwarze Korps,* zależny od wszechmocnego szefa policji Himmlera, pisał niedwuznacznie iż:

...polityczny katolicyzm poniósł teraz na obszarze Austrii i w sercach Niemców najstraszliwszą klęskę swego istnienia, a według naszego życzenia kleskę decydującą. Polityczny katolicyzm, jako zjawisko podlegające politycznej ocenie, przestał istnieć w Wielkich Niemczech. Odtąd wszelką próbę uprawiania mimo wszystko polityki uważać należy za zbrodnię.

Wiadomo zaś nazbyt dobrze co hitleryzm uważa za politykę; wszak nawet odczytanie encykliki papieskiej w ko-

ściołach uznano w Niemczech za polityczną zbrodnię. Czy w tych zatem warunkach można więcej ufać mglistym zapewnieniom Hitlera czy wyraźnym ostrzeżeniom wszechmocnej partii?

Rzecz zupełnie zrozumiała, iż w tym pełnym napięcia momencie oczy wszystkich zwróciły się na Watykan. Jak oceni Papież inicjatywę Kard. Innitzera? — oto pytanie, które budziło żywsze echo, niż zapowiedziany przez Hitlera i przygotowywany z olbrzymim rozmachem plebiscyt.

I oto najpierw oficjalny organ Watykanu *Osservatore Romano* stwierdził lakonicznie, iż oświadczenie Episkopatu austriackiego zostało wydane bez uprzedniej aprobaty Papieża. Cała zatem odpowiedzialność za następstwa podjętej inicjatywy spadała na Kard. Innitzera.

Co więcej 1 kwietnia watykańska stacja radiowa nadała odczyt, wygłoszony w języku niemieckim, na temat politycznego katolicyzmu. Odczyt ten utrzymany w niezwykle ostrym i stanowczym tonie był najoczywiściej odpowiedzią na zacytowany wyżej artykuł z *Das schwarze Korps*, równocześnie jednak ubocznie ale przejrzyście potępiał kapitulację austriackiego Episkopatu. Bez zastrzeżeń przyznawał referent, iż Kościół nie wyrzeknie się nigdy uczciwego i prawdziwego katolicyzmu politycznego, bo polega on jedynie na przenikaniu zasad katolickiej etyki we wszystkie dziedziny ludzkiego życia. Właśnie na wskróś fałszywie pojętym katolicyzmem politycznym jest katolicyzm oparty na lekkomyślnie przemądrzałej ostrożności i taktyce, która lękliwie przystosowuje się do wypadków zamiast nad nimi górować. Taki właśnie polityczny katolicyzm wyrządził już nieraz ogromne szkody powadze Kościoła oraz duszpasterskiej pracy. Szkody te są tym dotkliwsze, gdy powołani do obrony Bożego ładu stróżowie, owładnięci duchem tego fałszywego katolicyzmu politycznego ulegają urokowi i presji potentatów i triumfatorów dnia.

Wówczas może się przydarzyć, iż oczy takich pasterzy nie zdołają już dostrzec wilka przybranego w owczą skórę, choć to jest ich obowiązkiem, i wierzą obietnicom ludzi, przed którymi smutne doświadczenie innych a nawet słowa Boskiego Pasterza przestrzec by ich winny.

Sytuacja staje się tym tragiczniejszą, gdy wierni wszystkich stanów cierpią za swą odwagę i swe przekonania a pasterze łączą się ze zwycięzcami dnia. Wówczas wszyscy uczciwi ludzie, nawet nie należący do Kościoła, muszą w takim postępowaniu widzieć jedynie brak poczucia własnej godności i wierności dla przyjętych zobowiązań. Wrogowie zaś Kościoła patrząc na smutny rozdźwięk między paste-

rzami i trzodą wiernych mogą intonować prawdziwe hymny triumfu.

To niezwykle silne wystąpienie watykańskiej stacji nadawczej mogło wyglądać na potępienie stanowiska austriackiego Episkopatu przez najwyższy autorytet Kościoła. Tak też przyjęto właśnie treść nadanego z Watykanu przemówienia. Domyślano się więc niedwuznacznie, iż Kard. Innitzer uległ po prostu szantażowi oraz terrorowi i, by ratować całość organizacji kościelnej w Austrii, poszedł na konieczne ustępstwa, przeżywając równocześnie wewnętrzną tragedię. W tym też duchu był zredagowany znany komunikat agencji Havasa.

Tymczasem zaraz następnego dnia narodowo-socjalistyczna prasa ogłosiła nowy list Kard. Innitzera, skierowany do *Gauleiter'a* Bürckel'a, w którym wiedeński Arcypasterz podkreśla z naciskiem, iż deklarację austriackiego Episkopatu, jak w ogóle jego stanowisko, należy oceniać w sposób zasadniczy. Zew bowiem wspólnej krwi przemówił tym właśnie wyznaniem.

Tak więc Kard. Innitzer, a z nim cały Episkopat, posunął się jeszcze dalej, przyjmując, oczywiście w niewątpliwym stonowaniu, ideologię krwi narodowego socjalizmu. Wrażenie tej nowej deklaracji było tym silniejsze, iż *Osservatore Romano* zamieściło już 4 kwietnia urzędowy komunikat, iż przemówienie nadane przez watykańską stację:

...stanowiło studium teoretyczne, pochodziło z inicjatywy prywatnej, nie miało zatem charakteru urzędowego ani pół urzędowego i nie było inspirowane, a Stolica Apostolska nie zamierza za nie ponosić odpowiedzialności.

W pełnej napięcia atmosferze, w której zrodziły się nawet najnieprawdopodobniejsze wieści, lansowane złośliwie przez agencję *Unites Press,* że Kard. Innitzer nie cofnie się rzekomo nawet przed dokonaniem schizmy, nastąpił wyjazd Kardynała do Rzymu i 6 kwietnia po audiencji u Ojca św. i konferencji z Kard. Sekretarzem Stanu pojawiła się deklaracja wiedeńskiego Metropolity, która położyła kres wszelkim nienawistnym a szkodliwym plotkom.

Kard. Innitzer w imieniu całego Episkopatu oświadczył, iż uroczyste orędzie austriackich biskupów (z dn. 18 marca) nie miało na celu, jak to jest samo z siebie zrozumiałym, wyrażenia zgody na to, co się nie godzi z prawem Bożym, z wolnością i prawami Kościoła katolickiego. Nadto owej deklaracji Episkopatu o państwie i partii nie należy uważać za wiążącą wiernych w sumieniu i nie należy jej wyzyskiwać dla propagandy reżimu. Jeśli zaś chodzi o przyszłość to Episkopat austriacki domaga się, by nie wprowadzano

żadnej zmiany do austriackiego konkordatu bez uprzedniego uzgodnienia sprawy ze Stolicą św. W szczególności zaś, by w całokształcie wykształcenia i wychowania młodzieży jak również w młodzieżowych organizacjach były uszanowane naturalne prawa rodziców i zabezpieczone dla katolickiej młodzieży wychowanie według zasad katolickiej wiary. Dalej domaga się Episkopat powściągnięcia propagandy wrogiej dla religii i Kościoła oraz pełnej wolności dla katolików w wyznawaniu i głoszeniu prawd wiary przy pomocy wszystkich w dzisiejszym rozwoju kultury dostępnych środków.

Zbytecznym byłoby podkreślać, iż deklaracja powyższa, ogłoszona w Rzymie przez Kard. Innitzera, rozproszyła wszelkie wątpliwości w katolickim świecie, podkreślając pełną harmonię doktrynalną i dyscyplinarną między Episkopatem Austrii a Apostolską Stolicą.

Deklarację Kard. Innitzera nazwano w niektórych odłamach prasy odwrotem. Nie był to jednak właściwy odwrót tylko użyteczne ze wszech miar a nawet konieczne sprecyzowanie zajętego stanowiska. Propaganda bowiem hitlerowska, posługując się zręcznie uprzednim zarządzeniem Episkopatu, wyzyskiwała je w cyniczny sposób do antykatolickiej nagonki, powodując bolesną i pełną rozgoryczenia konsternację w katolickich kołach tak Austrii jak i Rzeszy.

Dobra i szlachetna wola Episkopatu spotkała się z wyrachowanym, przebiegłym i przewrotnym cynizmem nie przebierającego w środkach partnera.

Siłą faktu zrodzić się musi pytanie, co mogło skłonić Kard. Innitzera, męża wysokiej cnoty i wielkiej żarliwości apostolskiej do inicjatywy, która jak dotąd przyniosła bez porównania więcej szkód niż korzyści? Nie wątpimy ani na chwilę, że wiedeński Metropolita miał przed oczyma tylko i wyłącznie dobro wiary i Kościoła. Licząc na osobisty wpływ na swego rodaka Hitlera, na atmosferę katolickiego, ojczystego Wiednia, która musiała wpływać szczególnie potężnie w pamiętnych dniach entuzjazmu na dyktatora Rzeszy, zapragnął doprowadzić do porozumienia między narodowym socjalizmem a Kościołem. Los katolików niemieckich gnębił od dawna serce tego Księcia Kościoła, wszak niejednokrotnie wzywał wiernych swej diecezji do modłów za cierpiących i wystawionych na ciężką próbę niemieckich braci. Pozyskanie katolika i Austriaka Hitlera dla wielkich planów pojednania mogło i musiało olśnić umysł i zapalić serce Kardynała. Wszak Wielka Rzesza to potęga, która rośnie i idzie od sukcesu do sukcesu, to równocześnie najpotężniejszy dziś bastion przeciw zarazie rosyjskiego komunizmu; to bicz na masonerię i międzynarodówkę żydowską, która podminowuje

kulturę chrześcijańskiego świata. Podać rękę tej potędze odrodzonego w narodowym entuzjazmie państwa, oderwać je od neopogańskich prądów a skierować w wielkie dziejowe łożysko tradycji świętego cesarstwa — to porywający swymi perspektywami plan, zbawczy dla niemieckiego narodu a równocześnie jakże korzystny dla wiary milionów, dla rozwoju i wpływów Kościoła.

Tylko we funkcji takich właśnie zamierzeń możemy zrozumieć fakt, iż po swym powrocie z Rzymu Kard. Innitzer nie tylko przeprowadził długą rozmowę z kanclerzem Hitlerem, ale ostentacyjnie używa nadal hitlerowskiego gestu pozdrowienia.

Gdyby istotnie udało się Kardynałowi zrealizować ten plan i pozyskać przemożny wpływ Hitlera dla religijnego odrodzenia Wielkiej Rzeszy, zasługa jego inicjatywy byłaby olbrzymia.

Za parę dni Adolf Hitler znajdzie się w murach Wiecznego Miasta w otoczeniu swego sztabu partyjnego. Zetknie się z *il Duce,* genialnym wodzem nowożytnej Italii, który umiał połączyć budowę mocarstwowego imperium z odrodzeniem duchowym, moralnym i religijnym. Czy Mussolini nie poprze wysiłków Kard. Innitzera, czy opuści go w tej wielkiej godzinie, jak opuścił nieszczęśliwego Schuschnigga? Czy dojdzie do osobistego spotkania Hitlera z Ojcem chrześcijaństwa? Oto pytania na które najbliższa przyszłość przyniesie decydującą odpowiedź.

Seyss-Inquart, austriacki von Papen, w czasie wyborczej kampanii powiedział w swej propagandowej mowie w Berlinie te bolesne dla każdego katolika słowa:

> Narodowy socjalizm należy pojmować jako **wielki ruch religijny**, któremu chrześcijańskie kościoły, jeżeli sprawę uczciwie pojmują, winny się **podporządkować**.

Otóż słowa te w ustach katolika uważamy za niecną zdradę wiary, świadczą one o ideowym zwycięstwie mistyki krwi nad mistyką ducha. I nie na tej drodze urągających sumieniu ustępstw szukać należy pomyślnego rozwiązania istniejącego konfliktu.

Słowom Inquarta przyklaśnie Rosenberg, Kerrl, von Schirach i cały sztab niemieckiego neopoganizmu, ale słowom tym nie może przyklasnąć żaden katolik, dla którego wiara jest dobrem najwyższym, przyklasnąć nie może choćby otwierały się przed nim perspektywy nie tylko katakumb ale i męczeństwa.

Inaczej brzmiała zapowiedź Hitlera we Wiedniu: „Kościół nie pożałuje swej wierności dla wielkoniemieckiego

państwa". A pożałować by musiał, gdyby poszedł za hasłami Seyss-Inquarta; na tej drodze czekałby go nie tylko spóźniony jak u Fausta żal, ale i przegrana sumienia!

Dotrzymanie obietnicy Hitlera znaczyć by musiało zatem ni mniej ni więcej jak wewnętrzną przebudowę ideologii narodowego socjalizmu. Ideologia ta w swej obecnej istotnej konstrukcji i treści, pojęta jako „religijny ruch", jako mistyka krwi, nie może w swym totalizmie rasy zjednoczyć się w spokojnym współżyciu z mistyką ducha, z totalizmem chrześcijańskiej wiary.

Kościół w tej dziedzinie ustąpić nie może, choćby przyszło mu utracić całe prowincje i kraje, porwane sugestią triumfatorów oraz potentatów dnia. Czy zatem narodowy socjalizm ustąpi, czy odważy się pod wpływem Hitlera na gruntowną rewizję swych założeń? Uczynić tak musi, jeśli po triumfach dnia nie chce skończyć w katastrofie. Taka Canossa nie hańbi, przeciwnie jest ona zwycięstwem w dalszych wielkich perspektywach. Oby drogi tej właśnie Canossy odnalazł Kanclerz Wielkiej Rzeszy na szlakach swej rzymskiej podróży. Wizja Colosseum i zatkniętego na arenie krzyża będzie dla niego symbolem dziejowego dylematu. Czy zrozumie wymowę tego symbolu? — Najprawdopodobniej... nie!

W każdym razie we Wiedniu *alea iacta est.*

Ks. Edward Kosibowicz T. J.

Warszawa 27. IV 1938.

Sprawy Państwa.

Niemcy po *Anschluss'*ie. — Von Papen i widnokręgi bliskiego Wschodu. — Renesans Stresy. — Praga kluczem równowagi. — Dobra koniunktura litewska.

Miesiąc ubiegły rozwijał się w cieniu następstw *Anschluss'*u na ogół spokojnie. Po silnym wstrząsie nie było miejsca na nowe gwałtowne reakcje. Kształtowały się one pod wysokim ciśnieniem zgęszczonej atmosfery politycznej, jednakże bez nowych, niespodziewanych wybuchów.

Przed Niemcami *Anschluss* postawił nowe zagadnienia wewnętrzne i międzynarodowe. Do łatwiejszych między nimi należała formalizacja zaborcza przez powszechne głosowanie, co jak wiadomo nastąpiło w przewidzianym terminie, według przewidzianego programu, z przewidzianym i zapewnionym wynikiem. Dość beznadziejnie przedstawia się sprawa gospodarczej asymilacji austriackiego zaboru przez Trzecią Rzeszę, ponieważ pod tym względem Austria stanowi dla Niemiec nabytek raczej uciążliwy, choć nie pozbawiony stron dodatnich, w postaci zwłaszcza rudy

żelaznej. Techniczne wdrożenie czterolatki Goeringa na gruncie austriackim nie przedstawia większych trudności.

Bardziej zawikłaną postać przybiera dla Niemiec na tle austriackim sprawa nowej orientacji ich polityki międzynarodowej. W tym zakresie stwierdzić trzeba przede wszystkim ogromne zabiegi Niemiec, ażeby w następstwie zaboru Austrii nie została złamana, chwiejna zresztą już poprzednio, „oś rzymsko-berlińska". Zaznaczyło się to szczególnie w trzech objawach. Pierwszym jest forsowne poparcie udzielone przez Niemcy, obok Włoch, gen. Franco w Hiszpanii. Zachodzi wszelkie prawdopodobieństwo, iż to właśnie poparcie, zwłaszcza materiałowe, przyczyniło się do stanowczego przechylenia losów wojny ku bliskiemu zwycięstwu nad czerwonymi. Mniemały Niemcy zapewne, że realizując tak wiernie na korzyść Włoch hiszpańską stronę dotychczasowego włosko-niemieckiego porozumienia, zdołają utrzymać przy sobie Włochy, pomimo samowolnej realizacji na niemiecką korzyść strony austriackiej tegoż porozumienia. Objaw drugi tej polityki niemieckiej zarysował się równolegle z pierwszym, przyjmując jako swój geopolityczny punkt wyjścia właśnie zabór Austrii. Prasę obiegła wiadomość, że b. przedstawiciel dyplomatyczny Niemiec we Wiedniu, v. Papen znajduje się obecnie w łasce u *Führer*'a i że otrzyma nową odpowiedzialną misję w charakterze posła niemieckiego w Turcji.

Wiadomość ta dawała bardzo wiele do myślenia, zważywszy iż według słów samego Hitlera Austria przestała być zaporą, stała się natomiast wrotami dla niemieckiej ekspansji na Bałkan i Bliski Wschód. Wnioskować stąd należało, iż po *Anschluss*'ie Berlin życzyłby sobie rewizji poprzednich warunków „osi rzymsko-berlińskiej", które Bałkan rezerwowały jako sferę wpływu włoskiego. Zapewne byłby gotów Berlin pozostawić w tej sferze Jugosławię, Albanię i Grecję, czyli zachodnią, nadadriatycką część Bałkanu. Poprzez Węgry zaś, Rumunię i Bułgarię zamierzał sam sięgnąć swoim wpływem do Turcji. Oznaczałoby to wznowienie przedwojennych dążeń ekspansyjnych niemieckich na „linii trzech B" (Berlin, Bizancjum, Bagdad) nieco ograniczonej na rzecz Włoch. Turcja jest niezmiernie ważną pozycją geopolityczną. Gdyby się Niemcom powiodło uzyskać taki sam wpływ jaki tam posiadali po wybudowaniu kolei bagdadzkiej przed wielką wojną, to z pozycji tureckiej mogliby ciężko zagrozić anglo-francuski stan posiadania w kierunku południowym; w drugim zaś rzędzie i w razie sprzyjających okoliczności, mogliby się również pokusić o upragnioną Ukrainę Sowiecką.

Italii mogli Niemcy w tej perspektywie zaofiarować wielkie natarcie wspólnymi siłami osi rzymsko-berlińskiej przeciwko zachodnim mocarstwom na całym froncie Morza Śródziemnego. Bazą zaś tego natarcia stać by się miały cztery półwyspy: Iberyjski z Gibraltarem, Apeniński z Sycylią i Pantellerią, Bałkański z Gre-

cją, oraz Anatolijski z Armenią i Kurdystanem. Cele operacyjne zarysowywały się stąd wręcz imponująco. W swym wielko-imperialistycznym stylu były one bardzo pokrewne tym wojowniczym „panarabskim" snom, z którymi Mussolini wyraźnie się zdradzał przed *Anschluss*'em, w okresie swych najlepszych hiszpańskich nadziei. Te cele, to przedarcie się Niemiec do nafty mosulskiej, Bagdadu, Zatoki Perskiej i opanowanie całej Azji Południowej z Iranem aż po Indie Brytyjskie, a także połączenie Libii włoskiej z Abisynią poprzez ogromny obszar angielskiego Sudanu, ustalenie zatem hegemonii włoskiej nad całą Afryką Wschodnią.

Inna rzecz, że na tym wspaniałym szlaku imperialistycznym piętrzyły się wielkie trudności: przewaga marynarska mocarstw zachodnich i konieczność neutralizacji Moskwy, przed którą mogłoby te plany zabezpieczać tylko przymierze polsko-niemieckie. Przypuszczać wolno, że Hitler się z tym liczył. W tym domniemanym jego planie Włochom i Polsce przypadałaby rola silnych ostoi flankowych *Drang*'u *nach Bagdad*. Berlin zgodziłby się Polsce wynagrodzić ją jakąś koncesją, może litewską. Los Czechosłowacji w tym planie był z góry przesądzony na korzyść Niemiec, ale punkt ciężkości niemieckiej polityki ekspansyjnej przesunąłby się na stałe ku południowi. To mogło rodzić przypuszczenie, że i Polska nie zachowa się wobec tych zamierzeń nieżyczliwie. W związku z nimi krążyły pogłoski o projekcie przeniesienia stolicy Rzeszy na południe, do Monachium. W Berlinie liczono, na podatny w Rzymie grunt dla takiej polityki, więc, równocześnie z balonem próbnym o Papenie w Angorze, zapowiedziano rewizytę Hitlera u Mussoliniego na 10 maja z niebywałą okazałością. *Führer*'owi miała towarzyszyć ogromna świta w trzech pociągach.

Rzeczywistość przyniosła Niemcom tym razem gorzki zawód. Ich plan miał ze stanowiska włoskiej racji stanu tę fatalnie ujemną stronę, że grozę bezpośredniego sąsiedztwa z Niemcami w Austrii potęgowałby jeszcze w dwójnasób zaborem Czech i rozprowadzałby ją, osaczając Italię, na cały Bałkan i Bliski Wschód. Widoki zatem piękne, lecz trudno dostępne wypadłoby okupić bardzo realną i na pierwszy plan wysuniętą wasalizacją Rzymu wobec Berlina. To było momentem decydującym, który sprawił, że Mussolini nie tylko tych sojuszniczych propozycyj nie przyjął, lecz z gorączkowym pośpiechem przynaglił organizację defensywy przeciwko nim. Szło o to, ażeby przed terminem rewizyty hitlerowskiej 10 maja zmontować ugodę Italii z Wielką Brytanią, a możliwie też i z Francją. Ugoda włosko-angielska została parafowana w Wielką Sobotę, po czym natychmiast po świętach wszczęto rozmowy włosko-francuskie.

Nieco wcześniej jeszcze wygłosił Mussolini w senacie wielką mowę gloryfikującą stan zbrojeń włoskich, oraz obronność granicy Brenneru. Przejścia górskie w Alpach poczęto na gwałt

fortyfikować, zapowiedziano wielkie manewry na równinie weneckiej i sąsiednim alpejskim podhalu.

Razem wzięte te manifestacje wojskowe i kroki dyplomatyczne nie mogły w Niemczech budzić najmniejszej wątpliwości, iż celem Mussoliniego jest powitać Hitlera w Rzymie gotowym... frontem Stresy, czyli przeciwniemieckim trójprzymierzem Anglii, Francji i Włoch, jakim przed wojną abisyńską mocarstwa zachodnie zareagowały na powszechną służbę wojskową niemiecką. Tę potrzebę umocnienia swej pozycji wobec Niemiec, Italia odczuła tak silnie, że nie zawahała się zapłacić za nie w układzie z Anglią kompletną rezygnacją ze wszystkich swych ambitnych, imperialistycznych planów, snutych w oparciu o rzymsko-berlińską oś i wojnę hiszpańską, otrzymując w zamian głównie tylko uznanie podboju Etiopii, oraz gospodarczą w niej współpracę angielską. Polityka osi rzymsko-berlińskiej oraz interwencji w Hiszpanii przyniosła więc Mussoliniemu jaskrawą klęskę, ponieważ jedyny jej trwały wynik przybrał postać zaboru Austrii.

Odtąd wypada Włochom już tylko cieszyć się ze zbrojeń anglo-francuskich oraz z przygotowywania współdziałania sztabów wojskowych Anglii i Francji w razie wojny z Niemcami. Wypadło też wystąpić z przyjaznymi gestami nie tylko pod adresem Polski, lecz także Jugosławii, a nawet Czechosłowacji.

Czechosłowacja objęła teraz dziedzictwo po Austrii, stając się centralnym punktem zagadnienia równowagi europejskiej. Gdyby Niemcy owładnęły wielokątem czesko-morawskim, to ich zdolność nacisku na Włochy urosłaby jeszcze do tego stopnia, że kto wie czy Mussolini nie ugiąłby się i nie został wasalem Hitlera. Czechosłowacja po *Anschluss'ie* przechodziła nadzwyczaj ciężkie perypetie, zarówno wewnętrzne, jak zewnętrzne. Na wewnątrz zaznaczył się naprzód ostro odśrodkowy ruch autonomiczny poszczególnych narodowości wchodzących w skład tego państwa, z Niemcami sudeckimi na czele. W ślad za nimi oderwali się Słowacy, Węgrzy i Polacy domagając się również reform decentralizacyjnych. Rząd Hodży reagował zapowiedzią statutu dla mniejszości narodowych, oraz pokojową mową wielkanocną prezydenta Benesza. Uznał również podbój Abisynii, ażeby pozyskać Włochy. Równocześnie ze strony Węgier dała się zauważyć dobra wola zachowania niezależności wobec Niemiec. Uchwalono prawa antysemickie, ażeby wytrącić z rąk broń miejscowym węgierskim total-nacjonalistom. Rumuński nowy minister spr. zagr. Piotr Comnen w swej mowie starał się dyskretnie dodać ducha Węgrom, dając do zrozumienia, że ich wschodnia sąsiadka usposobiona jest dla nich życzliwie, a nawet skłonna do zbliżenia obronnego przeciw Niemcom. Gdy został zawarty układ anglowłoski, w Pradze podniesiono głowy śmielej, zapowiadając odrodzenie Małej Ententy na nowym, dawno nie zwoływanym zjeździe

ministrów spr. zagr. czeskiego, rumuńskiego i jugosłowiańskiego. Zaraz też zaczęto ponownie szykanować Polaków w Cieszyńskim, a nawet strzelać do balonu polskiego, który przypadkowo przeleciał granicę czesko-słowacką. Nastrój optymizmu powiał także z wielkich stolic zachodnich, zwłaszcza z Londynu. Według tamtejszej prasy, wznowiony front Stresy wprowadza Niemcy w matnię, w której zmuszone zostaną przyjąć warunki ugody jakie im będą podyktowane. W Anglii wyobrażono sobie ich możliwość w postaci nowego „paktu czterech" (wraz z Polską pięciu) mocarstw, oraz gospodarczego kompromisu z Niemcami według projektu van Zeelanda z okresu ostatniego „gwiazdkowego" odprężenia. Gdyby do takiego układu doszło, to zapewne odżyłyby również zamysły kredytowe na rzecz państw środkowo-wschodnich, wysuwane podczas jesiennego objazdu stolic sojuszniczych na środkowym wschodzie przez byłego ministra Delbos'a.

Nadzieje te o tyle nie są bezpodstawne, że front Stresy istotnie może być dla Niemiec niebezpieczny. Właśnie dlatego Niemcy próbują to niebezpieczeństwo uprzedzić dopóki ono nie jest całkowicie skrystalizowane. W chwili gdy piszę jeszcze trwają układy francusko-włoskie. W samej Francji odzywają się poważne głosy publicystyczne za poniechaniem obrony Czechosłowacji, jako sztucznego zlepku narodowości; w Anglii zaś premier podobno się skłania do szukania kontaktu z Moskwą w duchu paktu francusko-sowieckiego. Na tej drodze zapewne nie uda mu się osiągnąć ugody z Niemcami, nawet na podstawie projektu surowcowego van Zeelanda, skądinąd pożądanego dla Niemiec. Sytuacja mogłaby ponownie ulec zasadniczej a dla Niemiec korzystnej zmianie i mogłaby nawet zneutralizować lub rozbić sam „front Stresy", gdyby Niemcy owładnęły Czechosłowacją. Ona, jak już powiedziałem, jest obecnie osią równowagi europejskiej. Przyrostowi potęgi ententy anglo-francuskiej o trzeciego, włoskiego sojusznika, przeciwstawiłyby Niemcy przyrost potęgi własnej również o $^1/_3$ część, skutkiem zaboru Austrii i Czech.

Niemcy więc zmieniły taktykę. Papen już się nie wybiera do Angory. Natomiast próbują Niemcy ponownie nacisku na Czechosłowację przez Henleina, który wysunął prowokacyjne żądania na zjeździe swej partii w Karlsbadzie. Na razie to posunięcie ma na celu sprawdzić, czy i jak dalece, niezupełnie jeszcze gotowy front Stresy zdolny jest obronić Czechosłowację. W razie gdyby ta próba zaostrzyła na zachodzie objawy niezdecydowania, można się obawiać, że Niemcy wobec Czechosłowacji przeprowadziłyby nowy fakt dokonany. Jego technika wojskowa nie wiele by się zapewne okazała dla Niemiec trudniejszą od techniki *Anschluss*'u.

Dla Polski spowodowałoby to konieczność natychmiastowej, równoległej okupacji zagłębia cieszyńsko-karwińskiego, oraz prawdopodobnie zbrojnego wkroczenia na Słowaczyznę. Musielibyśmy bowiem dodać Węgrom odwagi, by uczynili to samo, a także za-

gwarantować autonomię Słowaczyzny w unii z węgierską koroną św. Stefana. Musimy zatem stać w pogotowiu, z bronią u nogi, ażeby w razie ponownego zaskoczenia, móc automatycznie zrealizować równoległy do niemieckiego fakt dokonany. Od naszej w tym kierunku zdolności zależałoby, czy po wtargnięciu Niemiec w obszar bałtycko-adriatycki, zdołamy jeszcze zmontować tę drugą, wewnętrzną linię obronną, której kierunek zarysowały niedawno odwiedziny regenta Horthy w Warszawie i p. min. Becka w Rzymie. Linię taką, bądź co bądź, należałoby sformować aczkolwiek jej skuteczność jest problematyczna. Gdyby bowiem mocarstwa zachodnie cofnęły się przed wojną w obronie Czechosłowacji, jak się już cofnęły przed obroną Austrii, to niezawodnie także nie wystąpiłyby również przeciw Niemcom w trzecim etapie ich bezpośredniej ekspansji wschodniej, mianowicie w razie zamachu na Pomorze i Wielkopolskę. W geopolitycznym zaś alfabecie tej ekspansji Austria, Czechosłowacja, Wielkopolska następują kolejno po sobie, jak litery A, B, C.

Na przeciwległym, północno-wschodnim krańcu naszego państwowego terytorium nie bez powodzenia staramy się rozwijać owoce niedawnej demonstracji zbrojnej przeciwko Litwie. Koniunktura sprzyja nam tutaj o tyle, że Niemcy bardzo zaabsorbowani na froncie wschodnio-południowym, mogą nam na terenie litewskim jedynie „dotrzymać kroku". Czynią to starannie i pilnie. Zaczęli od manifestacyjnej inauguracji przez samego Hitlera w Królewcu kampanii plebiscytowej austriackiej. Następnie przysunęli na pogranicze Kłajpedy 10 tysięcy szturmowców, wreszcie zaś w samej Kłajpedzie rozwinęli ruch pośród miejscowej większości niemieckiej na rzecz zniesienia stanu wojennego, wycofania policji litewskiej, przywrócenia praw konstytucyjnych i parlamentarnego zarządu miastem, wreszcie swobodę agitacji hitlerowskiej i używania sztandarów ze swastyką. Oczywiście akcja ta ma na celu zglajchszaltowanie Kłajpedy na podobieństwo Gdańska, by w ten sposób przygotować na dogodną chwilę *Anschluss*.

Litwę ta postawa Niemiec oczywiście niepokoi, zwłaszcza, iż zarysowała się w bezpośrednim następstwie i równoległości z inicjatywą polską. Na pomoc Sowietów Litwa obecnie liczyć nie może ani przeciwko nam, ani przeciwko Niemcom. Ponieważ interwencja Moskwy wyraziła się jedynie w nasłaniu agitatorów komunistycznych podżegających ludność przeciwko zgodzie z Polską; przeto odnowiony rząd litewski słusznie postąpił, iż tę agitację policyjnie zdusił. Niezależnie od tego Litwa czuje się wziętą między dwa ognie, polski i niemiecki. Nie może liczyć na pomoc zajętych gdzie indziej Niemców przeciwko nam, lecz tylko na współzawodnictwo niemieckie wobec nas, — litewskim kosztem. Ta koniunktura tłumaczy litewską skłonność do ustępstw wobec nas, może też nie być obcą nadziei na nasze przeciwko Niemcom

poparcie. Nowy premier ks. Mironas, w odpowiedzi na ugodowe przemówienie p. min. Becka w Senacie, wygłosił mowę niemniej pojednawczą. Ustanowiono pierwsze konsulaty polskie na Litwie, litewskie w Polsce, obradują komisje nad normalizacją komunikacji, mówi się nawet o budowie nowej linii kolejowej, o spławie drzewa Niemnem do Kłajpedy, o nawiązaniu wymiany gospodarczej.

Nie tylko wobec Litwy lecz i w ogóle na arenie międzynarodowej Rosja zachowuje się od kilku tygodni na ogół biernie. Być może iż coś w tajemnicy przygotowuje, ale wydaje się prawdopodobniejszym że się po prostu czuje wyczerpana i zgrana. W Hiszpanii poniosła klęskę bodaj już nieodwołalną, a zarazem nie może przez Komintern dalej wichrzyć we Francji, gdyż sama wyszłaby na tym źle. Ratunku dla czerwonej Hiszpanii nie wydębi, nie chce zaś przeszkadzać wewnętrznemu uspokojeniu i rozbrojeniu Francji, gdyż ono jest Moskwie jak najbardziej na rękę przeciwko Niemcom. Nie było więc ostrej opozycji marksistowskiej, owszem nawet poparcie nowego gabinetu Daladier'a, pomimo iż to gabinet radykalno-centrowy, oznaczający zerwanie przez radykałów „frontu ludowego" z marksistami. Gabinet otrzymał szerokie pełnomocnictwa, których parlament odmówił Blumowi, sam zaś parlament wkracza obecnie w okres wakacyjny, zostawiając rządowi swobodę ruchów do najbliższej czerwcowej sesji nadzwyczajnej. Jest więc nadzieja, że po burzliwym początku roku, który widział we Francji rekord trzykrotnej zmiany rządu, nastąpi odprężenie i pewien przypływ sił twórczych. Do znamiennych rysów chwili należy również jaskrawy kontrast, który tego roku szczególnie uderzał w zestawieniu dwóch kryzysów wewnętrznych, w dwóch ustrojach państwowych tak biegunowo sobie przeciwstawnych, jak francuska demokracja parlamentarna i rosyjska dyktatura komunistyczna. Hiperliberalizm boryka się rozpaczliwie z rozkładem w anarchii, totalizm zaś marksistowski zarzyna sam siebie w zwyrodniałej tyranii. Ponure tragikomedie procesów, maskujących sądownie masowy mord polityczny, dalekie są jeszcze od końca. Jak słychać przygotowują się nowe etapy rzezi pośród rządzącej biurokracji państwowej i partyjnej na szczytach przede wszystkim. Zainteresowania polityczne „dyktatury proletariatu" zdają się obecnie koncentrować w tym właśnie kierunku.

Andrzej Prawdzic.

Warszawa, 27 kwietnia 1938 r.

Wielkanocna transmisja z Watykanu.

Transmisje są najciekawszą i najtrudniejszą formą audycyj radiowych. Najciekawszą, bo nawiązują bezpośredni kontakt z życiem i dają to, co jest istotą radia, mianowicie: usuwając prze-

strzeń, łączą słuchaczy z bardzo oddalonym miejscem, gdzie dokonywa się akcja stanowiąca treść transmisji. Równocześnie jednak transmisja jest formą najtrudniejszą, bo na transmisje wzięte z życia wpływu wielkiego, w sensie reżyserskim, radio mieć nie może; zatem stosować się musi do pewnych narzuconych mu treści. Rola radia ogranicza się jedynie do uwypuklenia ważniejszych momentów, czy to przez specjalną zapowiedź, czy też przez wzmocnienie dźwięków.

Transmisyj z Watykanu mieliśmy już kilka. Były to przeważnie transmitowane przemówienia Papieża, skierowane do całego świata chrześcijańskiego z okazji głośniejszych zdarzeń czy uroczystości. Prawie wszystkie jednak transmisje watykańskie wypadły w Polskim Radio fatalnie. Zaważyły tu głównie przeszkody natury technicznej, powodując odbiór do tego stopnia przykry, że pomimo bardzo wielkiego zainteresowania i dużego wkładu uczuciowego ze strony słuchaczy, audycje wypadały marnie i nawet na bardzo gorliwych katolikach robiły wrażenie niemiłe i deprymujące.

Transmisji z kanonizacji św. Andrzeja Boboli oczekiwała cała Polska z prawdziwą niecierpliwością. Znakomity czas, bo Wielka Niedziela przed południem — charakter narodowy tej religijnej uroczystości na terenie zagranicznym, bo w Rzymie, w bazylice św. Piotra — sprawiły, że zainteresowanie tą właśnie audycją było nadzwyczajne. Przecież na samą uroczystość do Rzymu wybrało się około 8.000 pielgrzymów z kilkudziesięciu biskupami polskimi na czele. Ci, którzy nie mogli zobaczyć Wiecznego Miasta w dniu chwały imienia polskiego, oczekiwali tym niecierpliwiej i z przejęciem przy głośnikach, by choć w ten sposób wziąć udział w kanonizacji.

Radio watykańskie jest prywatną stacją Papieża i jedyną radiofonią w Europie, która nie posiada abonentów i nie jest zależną od wpływów pieniężnych, płynących z abonamentu. Stację watykańską wybudował Papież Pius XI i, jak świadczy napis na tablicy w budynku stacji, polecił ją zbudować po to, aby na większą Chwałę Bożą i podniesienie serc wiernych głos Najwyższego Pasterza mógł z pomocą genialnego wynalazku Marconi'ego dotrzeć do całego świata.

Cel zatem radiostacji watykańskiej jest cokolwiek odmienny, niż ogółu radiofonii. W programach swoich radiostacja ta nie ma zamiaru dawać obrazu całokształtu życia człowieka, ani też nie zamierza zaspokajać jego potrzeb kulturalnych, nawet tych, które drogą radiową zaspokoić bez trudności można. Mylnym więc byłby sąd, gdyby ktoś przypuszczał, że stacja watykańska ma za cel nadawanie audycyj religijnych dla całego świata w tej formie i ilości, jakby tego życzyło sobie społeczeństwo katolickie wszystkich krajów. Programy religijne różnych radiofonij mają na celu

wpływanie na rozwój życia religijnego, mają być równocześnie tego życia wyrazem; stacja watykańska, jako stacja papieska, ma treść podobną, bo treść religijną, niemniej jednak służy ona tylko do tego, by papież mógł przemawiać swobodnie do całego świata chrześcijańskiego i aby wyrażać pewne poglądy, które, zdaniem watykańskiej stacji, powinny dotrzeć bez żadnego skrępowania do wszystkich katolików świata czy danego kraju. To też audycje słowne stacji watykańskiej odbywają się w kilku językach, mianowicie włoskim, hiszpańskim, angielskim, niemieckim, francuskim i holenderskim. Dyrektorem naczelnym Watykańskiej Stacji jest jezuita, o. Socorsi.

Radiostacja watykańska rozpoczyna swe audycje łacińskim pozdrowieniem: *Laudetur Jesus Christus*, które jest jej hasłem. Gmach radiostacji znajduje się w górnej części ogrodów papieskich. Jest to budowla nowa, niewielkich rozmiarów, w której znajduje się całe techniczne urządzenie, biuro dyrektora stacji, tam też załatwia się wszelkie sprawy programowe. W niewielkim hallu na głowicy marmurowej, starożytnej kolumny, umieszczony jest globus, na ścianie przeciwległej wejściu wielki zegar, który równocześnie wskazuje czas ważniejszych punktów świata.

Bazylika św. Piotra, skąd radiostacja watykańska transmituje nabożeństwa, posiada potrzebną do transmisji aparaturę, w prawym przednim filarze, jednym z czterech, na którym wznosi się kopuła kościoła. Balkon tego filaru służy za punkt obserwacyjny dla reporterów, prowadzących transmisję.

Organizacja transmisji jest rzeczą trudną, istnieją bowiem dwie alternatywy: albo z fragmentu życia, który się transmituje, można wybrać pewne ważniejsze punkty i z nich stworzyć barwny obraz, albo też należy ograniczyć się do kilku charakterystycznych momentów i złączyć odpowiednio skonstruowanym opisem. W tym ostatnim wypadku treścią główną jest opis, tj. sprawozdanie reportera, a dodatkiem niejako, który uzupełnia opis i stwarza pewne cechy rzeczywistości, są transmitowane momenty wzięte wprost z życia. Inaczej jednak przedstawia się sprawa, gdy chodzi o transmisję rzeczy poważnych, a szczególnie nabożeństw, gdzie treścią główną jest sam bieg życia, a tylko dodatkiem koniecznym wprawdzie, ale całkiem drugorzędnym jest objaśnienie reporterskie, które tylko w nieodzownych chwilach orientuje słuchaczy w przebiegu wydarzeń i czyni rzecz bardziej zrozumiałą. Gdy przy pierwszego rodzaju transmisjach, w których reporter i jego praca wysuwają się na pierwsze miejsce, mamy do czynienia raczej z treścią, którą sam sprawozdawca przeżywa i w indywidualnej formie ją podaje, to w transmisjach drugiego typu treścią jest sam bieg życia, a zatem należy ją przyjąć w tej formie, w jakiej ją to życie podaje.

Przy słuchaniu transmisji warto sobie postawić pytanie: czy chcemy raczej takiej transmisji, która życie tylko obrazuje a przynajmniej subiektywnym wrażeniem, odczuciem i wyrażeniem reportera mniej lub więcej przetwarza, czy też sami pragniemy podsłuchać przebieg wydarzeń i własną wyobraźnią odtworzyć odległe obrazy? Otóż przy transmisji z kanonizacji św. Andrzeja radio watykańskie położyło nacisk na to, ażeby podać słuchaczom sam przebieg uroczystości kanonizacyjnej, to znaczy ażeby wszyscy słyszeli bezpośrednio głos papieża, głosy kapłanów, biorących udział w nabożeństwie, chóry śpiewające, okrzyki pielgrzymów... natomiast zupełnie nie chodziło o to, aby dać sumę wrażeń, jakich doznaje sam reporter, chociażby te wrażenia były jak najsubtelniejsze, bardzo szczegółowe i najbarwniejsze w opisie. Chodziło o bezpośredni kontakt słuchaczy z częścią żywej historii.

Rozumie się, że opis literacki, czytany w tygodniku, czy sprawozdanie dziennikarza, ujmie tę rzecz z innej strony, ale trzeba się było zdecydować albo na jeden, albo na drugi typ transmisji. Albo słuchacze usłyszą wspaniałego retora i barwnego malarza słowa, albo też dla słuchaczy będzie najsilniejszym przeżyciem usłyszenie głosu papieża w momencie, gdy powiada: *Ad honorem Sanctae et Individuae Trinitatis... Beatos: Andream Bobola, Martyrem... Sanctos ecce decernimus et definimus...*

Niektórzy słuchacze do tego stopnia mają z góry ustalony program tego, co ma dać transmisja, tego, czego sobie od niej życzą, że często wynikają na tym tle wprost śmieszne sytuacje. Za żadną cenę nie chcą brać życia takim, jakim ono jest, tylko żądają od niego aby było takie, jakim ono ich zdaniem być powinno. I tak np. jedno z naszych pism doniosło, że w czasie transmisji kanonizacyjnej stał się niebywały skandal! Mianowicie w chwili, gdy po odprawieniu nabożeństwa papież wśród okrzyków wiernych, ich śpiewów i dźwięku orkiestry opuścił bazylikę, wówczas Polskie Radio wyłączyło mikrofony i nadało (o zgrozo!) jakieś foxy czy inne skoczne utwory, zupełnie nie licujące z powagą całej tej uroczystości. Po pewnym dopiero czasie radiostacja znowu włączyła Watykan i nadano błogosławieństwo *urbi et orbi*. Redakcja umieściła ten artykuł na podstawie listów, zaopatrzonych w podpisy ludzi, których urząd i funkcje, jakie spełniają w społeczeństwie określają, jako powołanych do zabierania głosu w tej sprawie.

Jakżeż jednak w rzeczywistości sprawa ta się przedstawiała? Otóż Polskie Radio bez przerwy od godz. 9.15, gdy rozpoczęło nadawać transmisję, nadawało ją do samego końca tj. mniej więcej do godz. 14-tej. Żadnych płyt z foxami nie było. Uroczystość odbywała się w normalnym porządku: papież opuścił bazylikę, kilkadziesiąt tysięcy wiernych wyszło z kościoła, tłumy ustawiły się na olbrzymim placu przed św. Piotrem i oczekiwały, aż się Ojciec święty zjawi na balkonie, by udzielić swego błogosławień-

stwa. W międzyczasie chóry śpiewały pieśni, a orkiestra, wedle zwyczaju panującego w Rzymie, grała marsze i inne dość skoczne utwory. Nie obrażało to w niczym uczuć religijnych narodu włoskiego, nie obrażało dostojeństwa miejsca, ani też zebranego tam duchowieństwa, ani nawet papieża, który właśnie wśród tych śpiewów i tej muzyki z ojcowskim uśmiechem ukazał się na balkonie i rozentuzjazmowanym wiernym posyłał ręką serdeczne pozdrowienia. Obraziło to jednak jak widać niektórych polskich słuchaczy! A obraziło dlatego, bo po prostu nie byli przygotowani na to, by zapoznać się przez radio z życiem takim, jakim ono jest, tylko chcieli je mieć takim, jakim, wedle ich życzenia, być powinno. Czyste nieporozumienie. Życie płynie swoją drogą, a życzenia pewnych radiosłuchaczy... swoją.

Poruszając pewne szczegóły, należy wspomnieć o doskonałym urządzeniu technicznym. Przecież głos papieża, będącego już w podeszłym wieku, wychodził mimo wszystko i po raz pierwszy w Polsce wspaniale, wyraźnie, każde słowo można było po prostu stenografować. Śpiew celebrującego kardynała Granito di Belmonte starca 87-letniego był bardzo wyraźny. Z drugiej zaś strony bardzo silne źródła głosu jak chór sykstyński, pod batutą ks. Perosi'ego, liczący stu kilkudziesięciu pierwszorzędnych spiewaków, nie zakrzykiwał mikrofonu, który oddał pełne, piękne brzmienie, tego wspaniałego a żywego instrumentu. W końcu podnieść trzeba, iż głos reporterów orientował dyskretnie w przebiegu obrzędu.

Co do polskiej części transmisji należy zwrócić uwagę, że była ona specjalnie uprzywilejowana: głos reportera polskiego następował zawsze bezpośrednio po języku włoskim a przed wieloma innymi. Polska miała specjalnie wiele objaśnień, których nie tłumaczono na inne języki, a bardzo pięknie wypadł w czasie odczytywania homilii o świętych w języku łacińskim krótki opis żywota św. Andrzeja, opracowany i wygłoszony przez O. Rostworowskiego, jezuitę z Warszawy.

Reporterem w Watykanie, który w języku polskim udzielał objaśnień był p. Jerzy Langman. Podkreślić należy, że wywiązał się ze swego trudnego zadania bardzo pięknie i subtelnie. Objaśnienia były krótkie, zwięzłe, nie narzucające się, ale potraktowane dyskretnie, treściwie a obrazowo. Dało się tak w jego głosie jak i w sposobie, w jaki opowiadał wyczuć, że on sam jest do głębi przejęty doniosłością chwili, że wczuwa się w nastrój, wczuwa się głęboko i daje wyraz tym właśnie przeżyciom. Gdy oczekujący na przybycie papieża zebrani w bazylice śpiewali nabożne pieśni, nagle niespodziewanie grupa polska, składająca się z 8.000 pielgrzymów, zaintonowała hymn „Boże coś Polskę". Było to silne przeżycie tak dla tych, którzy znajdowali się w bazylice, jak i dla słuchaczy całej Polski, że z Rzymu, z tumu św. Piotra słychać polską pieśń narodową. Wówczas to reporter polski

w inteligentny sposób zamiast podawać jakieś objaśnienia o jednym z następujących szczegółów ceremonii, nawiązał do wizji Stanisława Wyspiańskiego z *Legionu* i połączył scenę wyjętą z tej sztuki, a odbywającą się właśnie w kopule św. Piotra, gdzie geniusz narodu Mickiewicz wprowadza swój legion... z przeżywaną przez wszystkich podniosłą chwilą, kiedy pod tąż samą kopułą rozbrzmiewała w oczekiwaniu na kanonizację Polaka pieśń „Boże coś Polskę". Było to naprawdę dla słuchaczy całej Polski przeżyciem wielkiej miary. A przecież takich podniosłych chwil w czasie audycji było wiele. Wzruszającym był moment, gdy w procesji przed Ofiarowaniem szli przedstawiciele polskiej nauki i polskich jezuitów oraz całego społeczeństwa polskiego z symbolicznymi darami za kanonizację, niosąc papieżowi chleb, wino, świece i ptactwo. Albo moment, gdy zbliżało się Podniesienie i nagle spod najwyższego punktu sklepienia ogromnej kopuły św. Piotra spłynęły na kościół dźwięki srebrnych trąb, witając przepiękną melodią przybycie Najwyższego...

Podkreślić należy wielką i bardzo inteligentną pomoc ze strony ojców jezuitów polskich, którzy na terenie Rzymu nie szczędzili prac i wysiłku, aby tak trudną rzecz, jak transmisja z Wielkiej Niedzieli, wypadła na prawdę imponująco. Szczególnie wiele napracował się ks. Semkowski T. J., profesor papieskiego instytutu biblijnego.

Informując się wśród słuchaczy radia o wrażeniach, jakich doznali, w czasie słuchania audycji, można stwierdzić w ogromnej większości, że transmisję z Wielkiej Niedzieli uważają bezwzględnie za najlepszą z dotychczasowych transmisyj watykańskich, że właściwie była to w ogóle pierwsza porządnie przeprowadzona transmisja z Watykanu. Słuchacze mówią o wzniosłości i głębokim nastroju audycji i wyrażają wdzięczność, że właśnie w Wielką Niedzielę dano im przeżyć tak piękne chwile. Opowiadano mi, że w jednym ze szpitali katolickich, gdzie nie było głośników na salach, do pokoju chorej, która posiadała głośnik prywatny, zeszli się wszyscy chorzy, którzy tylko mogli się z łóżek podźwignąć; w przyległym korytarzu poustawiono ławki i krzesła; wielu jednak słuchaczy znaczną część transmisji wysłuchało na klęczkach... Ten charakterystyczny i wzruszający wypadek określa nastrój, w jakim większość słuchaczy w Polsce przyjęła tę transmisję, jakkolwiek forma zewnętrznej reakcji mogła być bardzo różna.

Bardzo przykrym był wprawdzie incydent 19 minutowej przerwy na Warszawie I w chwili, gdy Papież właśnie wchodził do bazyliki. Przerwa ta, która nastąpiła na skutek przepalenia się lampy w stacji raszyńskiej, jakkolwiek bardzo denerwująca, nie przeszkodziła jednak spokojnemu wysłuchaniu audycji w reszcie kraju, gdyż wszystkie inne rozgłośnie odbierały transmisję bez

żadnej przerwy. Natychmiast zresztą po zauważeniu przykrego wypadku uruchomiono Warszawę II, tak, że tylko ci z radiosłuchaczy warszawskich, którzy nie przełączyli się na jakąkolwiek bądź inną stację polską — nie mieli pełnego odbioru. Nadmienić zresztą należy, że pech, nie oszczędził także i innych radiofonii, gdyż np. Szwajcaria miała tę samą transmisję kanonizacyjną kompletnie zepsutą.

Transmisję wielkanocną z kanonizacji uważać musimy za pozytywny i pracowicie przygotowany punkt w programie radiowym, za co należy wyrazić tak kierownictwu jak reporterowi specjalne uznanie.

Ryszard Solecki.

NACZELNY REDAKTOR: *KS. EDWARD KOSIBOWICZ T. J.*

Druk ukończono dnia 4 maja 1938 r.

Ludzie bezdomni.[1])

W łonie protestanckiego obozu budzi się niewątpliwie coraz mocniej poczucie odpowiedzialności za dokonane rozbicie religijne chrześcijańskiej Europy. Heima niepokoją słowa, jakie padły niedawno na jednym wielkim zgromadzeniu: „Przez całe Niemcy idzie teraz bolesne łkanie, ach, gdybyśmy byli znowu katolikami". Niepokoi również protestantów własna ich geneza historyczna. Niepokój ten staje się nagminny. Autor, jak wielu zresztą jego współwyznawców, rozumie dobrze, że „szewska pasja Lutra, pasja rozczarowanego Niemca", zawiedzionego choćby w swych najszlachetniejszych i najsłuszniejszych przekonaniach, jest co najmniej nieproporcjonalna do wywołanych przez się skutków.

Dlatego właśnie Heim napisał książkę, która ma to zaniepokojenie uciszyć, ma dowieść, że protestantyzm nie jest związany istotnie z osobą Lutra, że Luter był tylko zewnętrznym wyrazem niezależnego odeń religijnego ruchu. Charakterystyczne jest pytanie Heima, zawarte w słowach:

> Czemu naród niemiecki trwać musi w tym bolesnym rozszczepieniu, aczkolwiek wszyscy odczuwamy, jakby to było wspaniale, gdybyśmy i pod względem religijnym mogli być znowu jednością i chociaż dziś właśnie ze szczególną mocą wrażliwi jesteśmy na urok katolicyzmu.

Czy ten rozłam był konieczny? Czy nie można go było uniknąć?

Słowem zagadnienie postawione bardzo poważnie i stanowczo. Stanowczo do tego stopnia, że każdego myślącego

[1]) Z powodu książki Karola Heima *Istota ewangelicyzmu,* przetłumaczonej świeżo na język polski przez Jakuba Glassa. Wydawnictwo *Przeglądu Ewangelickiego,* Bydgoszcz 1938. Z przedmową Czesława Lechickiego.

człowieka musi zaciekawić i zaniepokoić pytanie, jak wypadnie odpowiedź? Czy protestanci potrafią usprawiedliwić się przynajmniej w oczach własnych? Książka Heima stwierdza, że wystarczającą odpowiedź na to pytanie daje głębsze wniknięcie w metafizyczne założenia protestantyzmu, odsłaniające fakt niezależny od takiej czy innej historycznej genezy protestanckiego ruchu, mianowicie fakt zasadniczej różnicy katolickiego i protestanckiego sumienia. *Istota ewangelicyzmu* nie jest ostatnią nowością. Pierwsze jej wydanie ukazało się już w r. 1925, a zatem niemal równocześnie z książką Karola Adama *Istota katolicyzmu.* Ale jej polskie wydanie czyni ją znowu aktualną, każe nam zająć nią się bliżej.

Dla ułatwienia sobie i czytelnikom snucia refleksji na temat tej książki przytoczymy dłuższy wyjątek z przedmowy, napisanej przez p. Czesława Lechickiego. A czynimy to tym chętniej, że urywek ten zawiera dobre streszczenie przewodnich myśli autora, a zarazem wyjaśnia powody, które skłoniły polskie ewangelickie sfery do wydania książki w polskim przekładzie.

Ambicją teologa wirtemberskiego — pisze p. Lechicki — nie było ubieganie się o błyskotliwe nowości, starał się raczej ująć w jednolity obraz to, co w ostatnich czasach równolegle do rosnącej siły katolicyzmu zaczyna się wyraźnie stawać wspólnym przeświadczeniem ogółu protestantów. Nie tai powabów katolicyzmu, świadom jego magnetycznego oddziaływania na masy współczesne, łaknące dreszczu mistycznego, spragnione autorytetu, tęskniące do estetycznych wrażeń obrzędowych, pełne podziwu dla średniowiecznego uniwersalizmu i obiektywizmu, reprezentowanego przez neotomizm. Religijne prawo grawitacji ku synkretyzmowi rzymskiemu nie jest dla Heima tajemnicą, to też z całą szczerością i swobodą może on wyjaśnić przyczyny, które czynią prawdziwego protestanta odpornym na te złudne uroki.

Cofając się wstecz do narodzin reformacji, tłumaczy autor genezę wystąpienia Lutra i stosunek doń jego współczesności, przy czym wskazuje na błędne pojęcie Kościoła widzialnego, jako ukryte źródło zwyrodnienia chrześcijaństwa. To prowadzi do zakwestionowania prymatu papieskiego, rzekomego gwaranta czystości wiary. Prof. Heim w oryginalny sposób komentuje „opokę Piotrową", odsłania sprzeczność wewnętrzną i pustkę sofistycznej tezy o „sukcesji apostolskiej" i o prymacie biskupów rzymskich.

Różnica katolickiego i protestanckiego pojmowania Chrystusa sprowadza się do powołania mesjańskiego Jezusa, jego sensu

transcendentalnego, wykluczającego ziemskie ubóstwienie Pomazańca na wzór herosów starożytnych... Pobożność protestancka to w kontraście do rytualizmu katolickiego — pneumatyczna pobożność Słowa. Duchowy, samowiedny, wolny od zmysłowych poruszeń i ekstatycznych doznań z zewnątrz, akt myślenia, tworzy jądro pobożności ewangelickiej z jej wewnętrznością religijną, warunkującą uwielbienie Boga w duchu i prawdzie. Śladem Holla, przedstawia Heim w doskonałym rzucie syntetycznym protestantyzm jako religię sumienia, religię świadomej siebie indywidualności chrześcijańskiej, opartą na dobrze pojętej zasadzie usprawiedliwienia z wiary w koncepcji luterowskiej.

Reformacja położyła kres kapłaństwu: zniknęło pośrednictwo ludzkie, odkąd Chrystus stał się jedynym pośrednikiem, kapłanem i biskupem dusz przybranych synów Bożych... Moralność ewangelicka polega na składaniu ofiary Bogu z siebie samych, na przynoszeniu owoców wdzięczności za cud usprawiedliwienia przez wiarę i na spełnianiu służby Bożej tu w świecie, przez nadzwyczajne wykonywanie zwyczajnych obowiązków stanu, co wierzącego chrześcijanina uświęca w oczach Bożych. Kościół ewangelicki zaś to nie widzialny rząd hierarchiczny zorganizowanej monarchii teokratycznej, lecz wolna społeczność nawróconych, gmina zlaicyzowana, demokratyczna, zbór Chrystusowy, daleki od współzawodnicwa z państwem i wyodrębniania się od świata, choć zorganizowany odeń całkiem niezależnie.

Istotę protestantyzmu zamyka prof. Heim lapidarnie w zdaniu: nie znajdziemy Boga przez wrażenie siły, jeno przez walkę sumienia. Walkę spowodowaną uświadomieniem sobie ogromu nędzy człowieczej, zepsucia natury, beznadziejnego położenia jednostki, niezdolnej dźwignąć się ponad „ziemskie kolisko". Nawiązując często do katolicyzmu, udowadnia autor z całą precyzją teologa i niezachwianą logiką myśliciela wyższość ewangelicyzmu jako religii sumienia, religii wypływającej z przesłanek indywidualizmu i subiektywizmu. Religia ta nie próbuje zadowolić wszystkich i wszystkich obdzielić, nie potwierdza bezkrytycznie wszelkich pierwiastków psychiki ludzkiej, nie fascynuje i nie oszałamia. Owszem, poniża człowieka, wywyższając Stwórcę. Gdy katolicyzmu ukrytym podłożem jest materializm i realizm, w protestantyzmie mamy spirytualizującą formację religijną, nacechowaną symbolizmem idealizującym, formację typowo prorocką, antykapłańską.

Tyle p. Lechicki, który nie tak jeszcze dawno sam był katolikiem a dziś urasta na apologetę protestantyzmu i niebylejakie wartości upatruje w *Istocie ewangelizmu*. Przyznamy i my pewne zalety tej książce. Nie zamierzamy też pisać apologii katolicyzmu; nie zamierzamy zwłaszcza polemizować z autorem tam, gdzie źródłem jego poglądów jest

niedostateczna znajomość katolicyzmu, płynąca z powierzchownej obserwacji. Do takich poglądów zaliczamy np. owe wywody o katolickim oszołomieniu uczuciowym, w którym Heim widzi istotę oddziaływania katolickiego Kościoła na psychikę ludzką, o owym zniewalaniu człowieka bogactwem emocjonalnych doznań. Prof. Heim miesza tu prawdopodobnie katolicyzm z pewnymi formami i przejawami katolickiej pobożności. O oszałamianiu jednak nie może być mowy; fakt zaś niewątpliwy, że Kościół oddziaływa i oddziaływać pragnie na całą psychikę człowieka, by całego człowieka a więc i jego uczucie kierować ku Bogu, nie może stanowić zarzutu, chyba przeciwnie — pochwałę.

Podobnie rzecz się ma z teorią protestanckiego sumienia, które w rzeczy samej jest sumieniem katolickim z przejaskrawionymi jedynie niektórymi cechami. Heim powinien przecież wiedzieć, że Kościół katolicki równie nie jest władcą najgłębszego aktu woli ludzkiej, ludzkiego wyboru, jak i protestancka społeczność kościelna. Katolik, jeśli chodzi o sprawę zbawienia, o zdanie rachunku ze swego włodarstwa, jest równie zdany na siebie jak i protestant. Każdy zda sprawę z uczynków swoich. Przynależność bowiem do społeczności zbawionych i korzystanie z pośrednictwa kapłańskiego zależy wprawdzie od łaski Bożej, ale i od wolnej woli jednostki. Dlatego ocena katolickiego duszpasterstwa, jako tyranii nad duszami czy monarchistycznych rządów i absolutyzmu kościelnej hierarchii grzeszy oczywistą jednostronnością i grubą nieznajomością katolickiej nauki o jednostkowym sumieniu. Jeśli mamy sądzić po twierdzeniach zawartych w książce, to Heim zna katolicyzm jedynie od zewnątrz i to z dość powierzchownej obserwacji. Choć sam wskazuje na św. Tomasza z Akwinu, jako na najpełniejszego wyraziciela katolickiego humanizmu, nie umie z tego wysnuć narzucających się oczywistych wniosków. To też raz mówi o katolicyzmie św. Jana od Krzyża czy św. Teresy, lub św. Augustyna, raz znowu o katolicyzmie inkwizycji czy encyklik papieskich, ale nigdy nie umie się zdobyć na syntezę, do której zresztą nie jest zdolna umysłowość protestancka zarażona u źródła schizmą, dzieląca rzeczywistość na szereg odrębnych i luźnych światów. Heim nie

przeszedł nigdy ignacjańskich *Ćwiczeń duchownych.* W przeciwnym bowiem razie o roli rozumu i jednostkowego pojęciowego sumienia w katolickiej ascezie powziąłby na pewno nieco wyższe wyobrażenie. Nie przeszkadza mu to jednak korzystać z tych samych *Ćwiczeń,* jeśli chodzi o wykazanie rzekomo antyintelektualnego akcentu katolickiej wiary w autorytet kościelny, graniczący z zupełnym przekreśleniem rozumu w religijnym życiu katolika, lecz zapomina przy tym całkowicie, że reguły św. Ignacego o *sentire cum Ecclesia* poprzedziła przecież niesłychanie żmudna praca intelektu, samotnego i obnażonego przed obliczności Boga w rozmyślaniach pierwszego tygodnia rekolekcji, w rozmowach z Bogiem sam na sam. Czy wobec takiego faktu można mieć zaufanie do „naukowej" metody prof. Heima?

Protestantyzm sam się chlubi ze swej skłonności do indywidualnego traktowania i subiektywizacji zagadnień. Dlatego powrót protestantyzmu do swej macierzy nie nastąpi na drodze poznania. Dokonać się to musi w sferze woli, w pokorze przyznania się do winy. Uraza osobista, która jest najgenialniejszym filozofem i potrafi na zamówienie tworzyć najbardziej logiczne i przekonywające systemy i teologie i która obok spraw rozwodowych, jest dotychczas najczęstszą bodaj genezą „nawróceń" na protestantyzm, tak jak była genezą luterańskiego buntu w XVI stuleciu, musi prysnąć pod wpływem łaski i d o b r e j w o l i. Więc jakkolwiek w niniejszych rozważaniach na temat ewangelicyzmu raz po raz będzie brzmiał ton polemiczny, jednak, jak już zaznaczyliśmy, nie o polemikę nam chodzi. Nas interesuje tu protestantyzm jako pewne z j a w i s k o k u l t u r a l n e, jako pewien s y s t e m f i l o z o f i c z n o - t e o l o g i c z n y i wynikający z niego h u m a n i z m p r o t e s t a n c k i, chodzi nam o cechy protestanckiego poglądu na świat w zestawieniu ze światopoglądem katolickim.

N i e f i l o z o f i a, n i e d o g m a t, a więc nie trudności teoretyczne spowodowały luterański rozłam. Heim stwierdza to w sposób nie budzący żadnych wątpliwości. Sławne pytanie Lutra godziło przeciw czysto dyscyplinarnym nadużyciom. Dopiero odmowna odpowiedź rządzących sfer kościelnych

wywołała burzę dogmatyczną, zrodziła filozofię i teologię protestantyzmu. Aż do tej chwili Luter nie wątpił w autentyczność katolickiego chrześcijaństwa. Jak sam zaznaczał chodziło mu o rzecz stosunkowo drobną: odpustowe nadużycia.

W jaki więc sposób uzasadniają protestanccy teologowie przejście z dziedziny zewnętrznej karności w dziedzinę dogmatu, to już pozostanie tajemnicą protestanckiego myślenia. Ale co jest dla każdego oczywiste, to niemożliwość oddzielenia dziejów reformacji od osoby Lutra. Wszak nie kto inny, ale Luter zadecydował niespodziewanie o tym, że sprawa, uważana dotychczas za dyscyplinarną, staje się nagle sprawą dogmatyczną, sprawą autentyczności chrześcijaństwa. Protestantyzm nie zaprzecza, że jego glebą macierzystą, z której wyrósł, jest Kościół rzymsko-katolicki. Nie zaprzecza temu i Heim, gdyż zaprzeczyć nie może. Owszem dziś właśnie w protestanckim obozie wyczuwa się jakiś ciepły ton, gdy się mówi o tej macierzystej glebie. Z tym ciepłym akcentem mówi i Heim o Kościele katolickim jako dawnej swej macierzy. Reformację określa on jako „ruch, który rozwinął się na macierzystym gruncie kapłańskiego Kościoła, następnie jednak z pewnych określonych przyczyn widział się zmuszonym porzucić glebę ojczystą" (str. 13). „Pobożność ewangelicka wyrosła z gleby macierzystej wielkiego Kościoła rzymsko-katolickiego" (tamże). O tym więc, że ta pobożność dojrzała już do odrębnych form i odrębnej organizacji, że chrześcijaństwo upostaciowane w Rzymie przestało być chrześcijaństwem prawowiernym i że należy z nim zerwać, zadecydował nie kto inny, tylko Luter. Chwila to była dla protestantyzmu rozstrzygająca, dziejowa, to były jego narodziny. Bez Lutra jedność chrześcijaństwa mogłaby się była utrzymać, bez Lutra Kościół katolicki byłby dłużej rodzinną glebą, dłużej prawowiernym chrześcijaństwem, bez Lutra reformacja mogłaby się wyrazić w zupełnie innej postaci, w postaci np. zdrowego reformistycznego ruchu w łonie jednolitego Kościoła. Luter natomiast zmienił historię chrześcijaństwa, przenosząc pojęcie ortodoksji chrześcijańskiej z jednego przedstawiciela na drugiego. Luter zawyrokował, w którym momencie dziejowym dotychczasowe chrześcijaństwo przestało być autentyczne.

Dlatego właśnie ewangelicy mogą uważać go za „współzałożyciela i współwybawcę chrześcijaństwa obok Chrystusa", gdyż zdaniem ich on to chrześcijaństwo wskrzesił i uratował od zagłady. Fakt zaś, że Luter był wyrazem dość powszechnych nastrojów wśród Niemców, nie przekreśla jego dziejowego znaczenia, jak fakt, że sama historia, a więc warunki społeczne, gospodarcze i polityczne oraz wzmożony nastrój oczekiwania i tęsknoty za jakimś dogłębnym przełomem w dziejach ludzkości, jaki panował na pograniczu ery starożytnej i chrześcijańskiej, nie znosi historycznego znaczenia posłannictwa Jezusa z Nazaretu. Toteż próby uwolnienia ruchu protestanckiego od osobowości Lutra, a teologii protestanckiej od historii, są z góry skazane na niepowodzenie. Świadczą one tylko wymownie o symptomatycznych przemianach dokonujących się w łonie protestanckiego wyznania: ewangelicy poczynają rozumieć, że historyczne źródło ich istnienia jest zamącone, nieczyste, i to ich niepokoi.

I może na razie nie spostrzegają, że zrywając ze swą konkretną przeszłością, odrywając się od swych korzeni, idą samotni na duchową tułaczkę; że wyrzekając się swego dotychczasowego mieszkania, które staje się dla nich niepokojące i ciasne, a nie mając jednocześnie odwagi, by wrócić do dawnego ojczystego domu, który ongiś nieopacznie porzucili — godzą się na los ludzi bezdomnych. Ale i to już dużo, że poczynają się czuć bezdomnie, że poczynają mówić o macierzystej, rodzinnej glebie, o domu rodzinnym, słowami, w których niewątpliwie drga poczucie duchowego osamotnienia i tęsknota za porzuconą ojczyzną.

Oryginalna, jak słusznie stwierdza p. Lechicki, jest odpowiedź Heima na zasadnicze dla protestantyzmu pytanie, czy owe słowa, wypisane na dumnie ku niebu strzelającej kopule Michała Anioła: *Tyś jest Piotr, a na tej opoce zbuduję Kościół mój* nie są sfałszowaniem Chrystusa. Heima nie zadowalają różne próby podejmowane w obozie protestanckim w celu obalenia lub przynajmniej osłabienia „papieskiego" tekstu jako późniejszej wstawki (Harnack). Heim rozumie dobrze, że ta droga podważa same fundamenty

protestantyzmu, podając w wątpliwość autentyczność Ewangelii. Toteż oświadcza stanowczo, że

...słów, które Jezus w tej uroczystej chwili pod Cezareą Filipową, może w obliczu skalistej ściany wzgórza u stóp Hermonu, wypowiedział do Piotra, nie da się wprost usunąć przez analizę krytyczną.

Próbuje więc innego wyjścia, daleko trudniejszego, ale za to bardziej zgodnego z założeniami protestantyzmu.

Jesteśmy pełni uznania dla odwagi i rzetelności, z jaką spogląda autor prawdzie w oczy. O ile to stanowisko stanie się powszechne w obozie naszych zbłąkanych braci, doprowadzi ich niewątpliwie do odwagi wyznania tego, co już gdzieś w zakamarkach protestanckiej duszy się błąka i coraz natarczywiej domaga się afirmacji. Bo sens słów Chrystusowych, wyrzeczonych do Piotra jest prosty, o ile się go bierze dosłownie. Staje się natomiast trudny i niepokojący, gdy się poczyna mu nadawać sens bardzej wyszukany. Sam fakt, że taki specjalista jak Harnack wolał po prostu wykreślić niewygodny tekst, niż próbować jego niekatolickiej interpretacji, jest bardzo wymowny. Ale Heim, oświadczywszy na wstępie, że chce odpowiedzieć na pytanie, dlaczego protestantyzm m u s i pozostać protestantyzmem, chce koniecznie i musi konsekwentnie znaleźć protestancki sens zdania: *Tyś jest Piotr...*

Oto jak przedstawia się bieg jego rozumowania (s. 49).

...Co wynika z tego słowa, gdy nań się powołuje papiestwo? Okazuje się, że słowo to ma znaczenie wprost przeciwne temu, jakie mu przypisują papieże. Mówi bowiem tak wyraźnie, jak tylko wypowiedzieć można: Piotr jako apostoł otrzymuje zadanie, dostępuje dostojeństwa dla całej tworzącej się gminy, godności, która nie może być dziedziczna, której się nie da przenieść na przyszłe pokolenie. To stanowisko jest niepowtarzalne. Oto znaczenie istotne obrazu fundamentu i budowli, którą dźwiga. Rola, jaką fundamenty odgrywają przy budowie domu, może być spełniona tylko raz jeden: w chwili założenia domu. Powtórzona być nie może. Wyłącza wszelką sukcesję. Szczególna to zaprawdę ironia w dziejach świata, że właśnie to słowo Chrystusa jaśnieje olbrzymimi głoskami, które, rozumiane w jego znaczeniu pierwotnym, wyłącza i wyklucza papiestwo na wszelki sposób, gdyż, jak żadne inne, daje apostołowi w duchowym domu Bożym stanowisko w swoim rodzaju, wręcz niemożliwe do

powtórzenia. Wszyscy inni, jak powiada to słowo, wszyscy następni, jakimikolwiek by byli wielkimi i kierowniczymi osobistościami, właśnie nigdy nie mogą być apostołami, nigdy nie mogą zajmować *sedes apostolica*. Nie mogą mieć nigdy znaczenia i pełnomocnictwa apostołów-filarów. Wszyscy następni są zawsze tylko wstawieni jako żywe kamienie do onej niewidzialnej budowy, którą dźwigają owe fundamenty ściany głównej. W stosunku do apostołów są oni wszyscy jeno epigonami, zwyczajnymi kamieniami bocznymi, ale nigdy podwalinami. A zatem to słowo, należycie pojmowane, jest *magna charta* protestanckiego ujęcia dziejów Kościoła.

Mamy tu próbkę protestanckiego myślenia, protestanckiej egzegezy, klasyczny przykład wniosków, snutych — jak powiedzielibyśmy za p. Lechickim — z przesłanek indywidualizmu i subiektywizmu. Bo zaiste nader osobliwy to obraz budynku z żywych kamieni, budowanego na nieodradzającym się, a więc chyba martwym fundamencie-filarze... Trudno naprawdę się oprzeć nawałnicy trudności, cisnących się nieodparcie przy rozbiorze powyższej egzegezy, której cała siła dowodowa opiera się wyłącznie na tak osobliwie skomponowanym porównaniu. Czytelnik pyta się zdziwiony, dlaczego Chrystus mógł przekazać swą władzę Piotrowi, choć sam był pierwszym i właściwym fundamentem Kościoła, a zatem według heimowskiej filozofii niepowtarzalnym, jedynym kamieniem węgielnym chrześcijańskiej społeczności? I dlaczego ta właśnie władza raz przekazana staje się nagle nieprzekazywalna? Jakiż dalej sens ma apostolska godność pierwszych uczniów Jezusa, o której mówi Heim, przypisując ją przynajmniej Piotrowi? Więc Piotr był kapłanem, a jeżeli tak, to dlaczego i po co, skoro kapłaństwo — według protestanckiej teologii — w Nowym Zakonie stało się zbyteczne? Dlaczego dalej Jezus nie mówi do Piotra: Szymonie, jak to najczęściej mówił, gdy zwracał się doń jako do osoby prywatnej, jako do jednostki, lecz używa obrazowego wyrażenia: Opoka? Jeśli to było czysto administracyjne, czasowe zarządzenie Chrystusa celem zaprowadzenia porządku w przyszłej gminie chrześcijańskiej, to po co aż tak uroczysty ton i jakieś szczególne namaszczenie, towarzyszące słowom Jezusa? Czy Heim posądza Chrystusa o jakieś chwilowe rozrzewnienie na widok góry skalistej?

Słowem trudności na które natrafić musi egzegeza Heima, są wielkie i po prostu nierozwiązalne, a trudności te niepomiernie wzrosną, jeśli obok zacytowanego klasycznego tekstu postawimy teksty pokrewne, na których także opiera się katolicka teza o prymacie papieża. Toteż można zazdrościć p. Lechickiemu jego nadzwyczajnej przenikliwości, która pozwoliła mu dojrzeć w heimowskiej egzegezie odsłonięcie „sprzeczności wewnętrznej i pustki sofistycznej tezy o „sukcesji apostolskiej" i o prymacie biskupów rzymskich". Ale nie o trudności egzegetyczne chodzi nam w tej chwili. Dla nas ważniejsze jest to, że protestantyzm, zmieniając sens chrystusowych słów, zmienił znaczenie pojęcia społeczności wierzących, pojęcie Kościoła. Dla protestanta słowa św. Pawła o mistycznym ciele Chrystusa, a więc o żywym organizmie, którego niewidzialną głową jest Chrystus a widzialną Apostoł Piotr, straciły cały swój sens z chwilą śmierci tegoż Apostoła. Dziś stały się one nieaktualne. Bo jeżeli ten organizm jest żywy, to i jego fundamenty muszą być żywe, żyjące tym samym życiem, jakim żyje społeczność wiernych na ziemi, a więc życiem ziemskim, widzialnym, doczesnym, przemijającym. Tymczasem Piotr Apostoł z punktu widzenia ziemskiego należy przecież do historii. Jeżeli więc mimo wszystko jest nadal fundamentem, jak chce Heim, fundamentem niepowtarzalnym, jedynym, to albo społeczność kościelna jest również historyczna, chrześcijaństwo zaś się nawarstwia, przy czym późniejsze historycznie warstwy coraz bardziej oddalają się od swego pierworodnego złoża, albo Piotr jest fundamentem w czysto tylko duchowym, przenośnym znaczeniu, a wtedy społeczność wiernych staje się społecznością czysto symboliczną, abstrakcyjną, którą spaja wyłącznie jedność wyznawanej nauki i wiary.

W ten sposób w kościele protestanckim zaciera się właściwy sens i znaczenie Kościoła wojującego. Fakt, że jestem człowiekiem żyjącym na ziemi, jest ze stanowiska protestanckiej eklezjologii, szczegółem bez istotnego znaczenia. Protestantyzm w swoim historycyzmie i symbolizmie oderwał dzieje chrystianizmu od ziemi i historii, odrzucił Pawłową naukę o ciele mistycznym, żywym organizmie, a cały chrystianizm przeniósł w sferę wyłącznie ideologii, chrześci-

jan zaś uczynił ludźmi bezdomnymi. Swoją prapierwotną schizmę i oderwanie się od macierzystej gleby płaci dziś protestantyzm osamotnieniem urzeczywistnianym wszędzie, sięgającym samych głębin ludzkiej istoty. Ale co ważniejsze — i tu dochodzimy do największego paradoksu protestantyzmu — protestantyzm zniósł właściwie granicę między Starym a Nowym Zakonem. Bo jeśli podstawą spoistości chrześcijaństwa jest tylko wiara w Chrystusa, to już nieistotnym staje się stosunek czasowy do Chrystusa. Jeżeli chrześcijaństwo jest tylko społecznością wiary, jednością idealną, symboliczną, to równie skutecznie można było wierzyć przed przyjściem Chrystusa Pana na ziemię, jak obecnie po Jego przyjściu. Społeczność protestancka staje się abstraktem wolnym od czasu i przestrzeni, w którym chrześcijaństwo dochodzi do samozaprzeczenia. Nie potrzebujemy wykazywać, jak bardzo odbiega ten pogląd od pojęć i nauki Kościoła katolickiego. Tutaj fizyczna, rzeczywista społeczność wierzących, fizyczna duchowość, prawdziwy żywy organizm, ożywiony strumieniami łaski, posiadającej wartość realnego bytu, tam idea, symbol; tu żywa, rzeczywista obecność Chrystusa, tu żywy Piotr Apostoł w osobie swego namiestnika, tam Chrystus, „wynurzający się jako dziwny samotnik z głębin przeszłości (str. 69)..., należący do historii Piotr-Szymon..., zamarłe echa pierwotnych wieków...

Chrystus protestancki zrodził się z duszy Lutra, zbolałej i wzburzonej na widok zmaterializowania i moralnej małości ówczesnych papieży. Chrystus protestancki to ów ewangeliczny tułacz-wędrownik, nie mający gdzie głowy skłonić, wyzuty z wszelkich dóbr i bogactw ziemskich, nie rozporządzający żadnymi politycznymi wpływami. Chrystus protestancki to zaprzeczenie nadużyć renesansowego papiestwa.

Ale Luter nie widział w swym oburzeniu, że jego Chrystus stał się jednostronnie Chrystusem z pustyni, owym wspaniałym pogromcą szatańskich pokus chciwości i pychy, owym nieuleczalnym miłośnikiem ptaków powietrznych i lilii polnych. Nie spotrzegał natomiast Chrystusa, owego maleńkiego dziecięcia, przed którym zginały się kolana ziemskich wielkości, owego Chrystusa karmiącego tysiączne rze-

sze, uśmierzającego wzburzone fale morskie, Chrystusa Niedzieli Palmowej, Chrystusa, którego moralne znaczenie zagrażało tronowi cesarza rzymskiego, którego najbliższe otoczenie wnet podbije świat, wstrząśnie imperium rzymskim, zmieni historię świata.

Chrystus katolicki upostaciowany w pełnej renesansowego przepychu siedzibie papieskiej, w Watykanie papieży-humanistów, rozjątrzał tylko i pogłębiał tęsknotę Lutra za ewangeliczną prostotą, za duchowym, pozaświatowym Chrystusem. Rzym Juliuszów i Leonów uważał zbuntowany mnich za szatański retusz historycznej postaci Jezusowej, za odwet zgnębionego pożądania władzy i szczęścia, odrzuconego przez Boga-Człowieka stanowczym: *idź precz szatanie*. Chciał wrócić do autentycznego Chrystusa. I znalazł Go, jakiego szukał: Chrystusa jednostronnego, heretyckiego, Chrystusa-cień, symbol. Luter uległ złudzeniu, biorąc zewnętrzny blask papiestwa za wypaczony triumf Chrystusowego posłannictwa. I to mylne zgorszenie stało się odtąd dziedziczną spuścizną protestantyzmu. Protestantów gorszy dwór papieski, gorszą stosunki dyplomatyczne Watykanu, doczesne znaczenie papiestwa. Uważają to za niedopuszczalny triumf Chrystusa na ziemi. A więc — pytamy zdziwieni — świecące blachy przybocznej gwardii papieskiej, papieska polityka i dyplomacja mają być zwycięstwem chrystusowej ideologii? Zaiste z dna protestanckiej duszy wyziera prawdziwie protestancki Chrystus: Chrystus małomieszczańskiej, kupieckiej duszy, oczarowanej urokiem ziemskich bogactw i ziemskiego blasku. Wbrew swej tęsknocie za ewangelicznym Chrystusem, umysłowość protestancka łatwo ulega sugestii materii. Poprzez spirytualizujące formy pobożności przebija anglosaska psyche, silnie kuszona blaskiem pieniądza...

To też nic dziwnego, że protestanci nie widzą, że i dziś Chrystus katolicki — wbrew ziemskim pozorom — jest tym samym tułaczem ewangelicznym, prześladowanym i szczutym, wypędzanym z kraju do kraju, owym siewcą rzucającym ziarna w pocie czoła na opoczystą glebę ludzkiego serca, owym Mistrzem, zdradzanym przez własnych uczniów, nierozumianym przez najbliższych. Nie widzą, że i dziś Jezus i Piłat spoglądają sobie w oczy, że i dziś nie ustąpiło na-

prężenie między władzą moralną, kościelną a potęgami ziemskimi, naprężenie daleko silniejsze w Watykanie niż w Kościele protestanckim. Prapierwotne wypaczenie w spojrzeniu na Watykan nie dozwala protestantom widzieć prawdy. A ta prawda mówi, że do triumfu Chrystusa na ziemi jeszcze daleko, bardzo daleko... Blask zaś Watykanu to tylko słabiutki cień Chrystusowego królestwa, którego właściwa wspaniałość jest utajona przed doczesnym okiem ludzkim.

Osobliwa jest również heimowska egzegeza eschatologicznych poglądów Jezusa. Jak pierwotny Chrystus protestancki był jednostronnie boski, tak znowu tu jest ludzki aż do snucia mylnych przypuszczeń o rychłym końcu świata (str. 63). Chrystus protestancki to nie organiczne zlanie się dwóch natur, ale to Chrystus rozszczepiony, tak jak cała myśl protestancka jest rozszczepiona i porwana. Z faktu połączenia dwóch natur w jednej osobowości teologia protestancka nie umie wyprowadzić wszystkich wniosków, zwłaszcza eklezjologia protestancka jest albo jednostronnie ludzka albo jednostronnie boska. Protestancki Chrystus w stosunku do swego Kościoła jest czymś zewnętrznym, bo Kościół ten to nie mistyczne Jego ciało, ale to nadal tylko zewnętrzny, daleki, grzeszny świat, który Chrystus musi ciągle zbawiać.

Zrodzony z buntu przeciw macierzystej społeczności jest protestantyzm u samych swych źródeł r u c h e m a s p o ł e c z n y m. Samotny Chrystus protestancki to uosobienie pierworodnego zwichnięcia społecznego instynktu, wyraz owej protestanckiej samotności, której nie potrafi zapełnić przeżycie czysto abstrakcyjnej, symbolicznej spólnoty wierzących. *Homo protestans* to już nie *animal sociale*. Pojęcie to bowiem przekreśliła teologia protestancka, zmieniając na własny użytek definicję człowieka. Religia staje się tu dziedziną, w której *animal sociale* traci sens. Człowiek protestancki, tak jak protestancki Chrystus, nie jest organiczną całością. Prawo natury zatrzymuje się na progu religii. Człowiek protestancki to już nie zawęźlenie duchowości i cielesności, materii i ducha, ale to dwie równolegle biegnące

obok siebie rzeczywistości, dwa porządki: *animalis rationalis* i *animalis religiosi*. Dlatego protestanci, dopóki zostaną protestantami, nie zrozumieją katolickiego Chrystusa, nie zrozumieją papiestwa i katolickiego humanizmu. Nie zrozumieją więc, że władza papieska nie jest właściwością, uprawnieniem katolickiego Chrystusa, lecz wynikiem definicji człowieka jako rozumnego i społecznego stworzenia.

Kościół katolicki czyli powszechny nie zmienia człowieka na użytek własnej teologii. On człowieka nie tworzy, lecz zastaje go. A zastaje jako istotę widzialnie i fizycznie uspołecznioną, dla której brak autorytetu i unaocznionej spójności oznacza anarchię, społeczny rozkład przez wynaturzenie. I to naturalne prawo ludzkiego społecznego istnienia Kościół zachowuje i w dziedzinie religii. Dlatego katolik rozumie, że jeśli społeczność wierzących ma być rzeczywistą ludzką społecznością, musi posiadać wszystkie właściwości ludzkiej instytucji. I oto mamy gotową historię papiestwa, tej jedynej w swym rodzaju mieszaniny boskości z ludzkimi przypadłościami, które tak gorszą naszych braci protestantów. Jest ona konsekwencją katolickiego Chrystusa, konsekwencją zjednoczenia Boga i Człowieka w jednej osobie, konsekwencją katolickiej eklezjologii, która mówi o Kościele jako o instytucji bosko-ludzkiej. Dlatego też papiestwa i jego ziemskich dziejów będzie bronił katolik nie z poczucia ślepej, dyscyplinarnej konieczności, lecz z najgłębszego swego przeświadczenia wewnętrznego. Papiestwo dla katolika to nie obroża myślowa, gwałcąca wolność jednostki, lecz to konieczne, istotne ogniwo katolickiej logiki, katolickiego poglądu na świat. Dlatego prawdziwie oświecony i wierzący katolik nie odczuwa ciężaru tej „zimnej ręki zza Alp", tłumiącej swobodę myślenia, gdyż katolik nie potrafi w ogóle myśleć bez papiestwa, bez tego ogniwa historycznej, bosko-ludzkiej prawdy. Wyrazimy się nawet paradoksalnie: gdyby — *per absurdum* — na stolicy piotrowej pojawiły się jakieś dążności liberalno-demokratyczne rezygnujące z autorytetu, bronilibyśmy papiestwa wbrew papiestwu. Bo w Opoce Piotrowej widzimy gwarancję autentyczności Chrystusa i autentyczności człowieka. W tej Opoce podziwiamy realizm myśli Bożej, liczącej się z rzeczywistymi

warunkami ludzkiego bytowania, podziwiamy uniwersalizm powszechnego Kościoła, patrzącego na człowieka w całej jego prawdzie. Prawda zaś ta mówi o człowieku jako o *animal rationale sociale,* jako o istocie społecznej, która dlatego musi być zdyscyplinowana także w dziedzinie myślenia. Oto katolicki realizm życiowy, potwierdzający nasze przekonanie o jedyności prawdy w Kościele rzymskim, katolickim. Bo takiego realizmu i takiego uniwersalizmu nie spotykamy nigdzie indziej. I dziwna rzecz, ku temu właśnie katolickiemu realizmowi idzie dzisiejszy świat, czując fałsz i niedorzeczność nieograniczonej pseudowolności intelektualnej minionych stuleci liberalizmu, które zawdzięcza pseudoformie Lutra. Ale na razie idzie skrajną drogą przeciwnej niedorzeczności: poprzez absurdy współczesnych państwowych totalizmów.

W świetle tych rozważań staje się zupełnie zrozumiałe, dlaczego Kant, ten filozoficzny geniusz protestantyzmu, napisał dwie krytyki, z których jedna przeczy drugiej, dlaczego *Krytyka czystego rozumu* musiała być uzupełniona *Krytyką praktycznego rozumu* i dlaczego wreszcie umysłowość kantowska będzie zawsze obca umysłowości katolickiej. Dzieło Kanta to protestanckie rozszczepienie ludzkiej osobowości, wyrażone w systemie filozoficznym. Dwie *Krytyki* Kanta stoją do siebie w luźnym stosunku. Nic ich ze sobą nie łączy, chyba to, że jedna przeczy drugiej. Świat poznawczy urywa się u Kanta nagle i ustępuje miejsca dziedzinie moralności, dla której Kant ustanawia osobne prawa. *Homo sapiens* i *homo religiosus* żyją obok siebie, nie mając sobie nic do powiedzenia. Bezwzględny nakaz moralny, ten szczątkowy organ katolickiej myśli o papiestwie, zamienna moneta za utracony autorytet w sprawach moralności, pogłębia tylko samotność protestanta. Wyrażony w formie czysto warunkowej nie ma wartości społecznej. Bóg jako idea metafizyczna w znaczeniu kantowskim, a więc pozarozumowa i pozadoświadczalna, nie istnieje w sferze ludzkiego, naturalnego poznania. Kant jak każdy protestant szuka Go wiedziony ślepą koniecznością zaniepokojonego sumienia. Bóg jest zatem u Kanta tylko praktyczną koniecz-

nością, *Arbeitshypothese* protestanckiej moralności. Duszy protestanckiej nie opromieni nigdy intelektualna świadomość: istnieje Bóg. Jego istnienie to przedmiot irracjonalnej wiary. Dlatego i Heim jest w zgodzie ze sobą, gdy sprawę wiary zalicza do dziedziny woli, nie poznania. Jest konsekwentny, choć tę konsekwencję musi protestantyzm opłacić nowym paradoksem i nowym rozszczepieniem myśli: paradoksem irracjonalizmu wiary wbrew racjonalnej swej genezie i wbrew ultraracjonalnym twierdzeniom protestanckiej teorii poznania, na której w znacznej mierze opiera się heimowska apologia. U podstaw bowiem luterańskiej teologii spoczywa racjonalizm, wyniesienie rozumu jednostkowego do roli najwyższego sędziego w sprawach wiary i rozumienia Pisma św. Ale akt rozumu, jak widzimy, nie doprowadza do celu. W chwili niejako swego najwyższego nasilenia urywa się i zanika, wiara staje się czystym aktem woli. Wbrew więc swej racjonalnej trzeźwości, w której Heim upatruje istotną różnicę między protestancką a katolicką umysłowością, odurzonej rzekomo zawsze mistycznym upojeniem, protestant spotyka swego Boga w akcie pozarozumowym, w którym obecność Boża narzuca się „w sposób tak gwałtowny i niedwuznacznie, że dana jednostka przez całe życie nie potrzebuje już żadnego filozoficznego dowodu istnienia Boga" (str. 131).

Nic więc dziwnego, że protestantyzm rozkłada się od wewnątrz, nosi bowiem w sobie rozkładowe zarodki: brak organicznej zwartości. I dzisiaj byłoby z nim już znacznie gorzej, gdyby nie to, że protestancka praktyka religijna nie kieruje się protestancką teorią, tak jak *Krytyka praktycznego rozumu* nie zależy od *Krytyki czystego rozumu*. Wbrew więc zapewnieniom Heima, że Kościół protestancki stanowi niewidzialną społeczność wierzących, protestantyzm dba o swoją organizację, o pewne ramy zewnętrzne, bez których nie może obejść się żadna ludzka zbiorowość. Usunięto w zasadzie kapłaństwo, ale pozostawiono kapłanów, czując instynktownie, że doktryna nie zastąpi wrodzonej potrzeby natury ludzkiej, dla której widzialne pośrednictwo między Bogiem a człowiekiem jest nieuniknione. Zniesiono wpraw-

dzie hierarchię kościelną, lecz przyjęto jej namiastkę przez uznanie władzy państwowej za władzę kościelną. Wbrew twierdzeniom p. Lechickiego, że „religia ta nie próbuje zadowolić wszystkich i wszystkich obdzielić", Kościół protestancki rywalizuje z Kościołem katolickim na terenach pracy misyjnej, zadając kłam własnym teoretycznym założeniom, znoszącym nauczycielski urząd kościelny. Powoli, dyskretnie wraca wygnana ze świątyń liturgia. Wydaje się książki, które mówią o protestanckim rozumieniu Pisma św., choć w myśl protestanckiej epistemologii żadna prawowierność czy prawomyślność nie ma sensu i właściwie nawet katolicka interpretacja, jeśli tylko pochodzi z wewnętrznego przekonania, powinna być uznawana przez protestantów za równouprawnioną. Tak jednak nie jest, gdyż na przekór wszelkim świętym oburzeniom na kościelną cenzurę w Kościele katolickim gwałcącą rzekomo wolność sumienia, obóz protestancki uprawia również cenzurę, wyrokując np. o protestanckim rozumieniu Chrystusa.

Dzięki tej właśnie niezależności praktyki od zasad przewleka się istnienie protestantyzmu, rozbitego na niezliczone odłamy i sekty. Scala go obecnie prawie wyłącznie bierny opór przeciw jedności z Rzymem, pogłębiany ciążeniem samej tradycji i trudnością przyznania się do winy. Ale można już wyczuć pękanie sztucznych barier i przegród, oddzielających protestantów od prawdy. I nic już nie powstrzyma tego procesu, zwłaszcza gdy nastąpi ocknięcie się szerokich rzesz protestantów dobrej woli z letargu bierności. Nie unikną tego procesu przede wszystkim polskie kościoły protestanckie, polski ruch ewangelicki. Zrodzony z narodowej dumy niemieckiej, tej samej, dla której dziś sam już Chrystus staje się upokarzającym jarzmem, obcy psychice polskiej, radykalnie różnej od racjonalnej niemieckiej struktury psychicznej, ruch ten musi się wreszcie poczuć zawieszony w próżni. Protestanci zrozumieją, czego dzisiaj nie pojmują dostatecznie, że nawet najszczytniejsza spirytualizacja religii nie może się dokonywać kosztem fałszowania prawdy i ubożenia człowieczeństwa.

A. Klisiecki.

Katastrofa Austrii.

Pokój zawarty dnia 12 lutego 1938 r. w Berchtesgaden czyli tzw. „pokój niemiecki" był przedmiotem przechwałek ze strony oficjalnej Austrii, przypisującej sobie zasługę przeprowadzenia tego układu. Tymczasem już w 12 dni później został on zasadniczo zerwany w wyniku mowy wygłoszonej przez kanclerza Schuschnigga. Nerwy najwidoczniej wypowiedziały posłuszeństwo federalnemu kanclerzowi. Poszedł on za głosem swych uczuć i uraz zamiast zachować zimną krew i zbadać środki, jakimi rozporządzał dla obrony niepodległości swej ojczyzny. Konferencja, którą miał w Obersalzbergu w cztery oczy z Hitlerem, odbyła się w nieprzyjaznej atmosferze. Hitler nie szczędził gróźb ani obietnic, byle zachwiać stałością swego gościa, obarczał i gnębił go wyrzutami, w końcu zaś narzucił mu to, czego przedtem *Duce* nie zdołał wymóc na Schuschniggu: wejście do austriackiego rządu nie tylko „zdecydowanych" narodowców, ale również i narodowych socjalistów.

Następca Dollfussa łykał pigułki, które mu podawano i szukał tymczasowej zemsty w gestach równie niebezpiecznych jak zbytecznych. Znał wstręt *Führer*'a do wszystkiego, co zawiera nikotynę; nie zważając na to wypalał jednego papierosa za drugim. Nie śmiał odpowiedzieć zbyt wyniośle Hitlerowi, odpowiedział za to dość ostro v. Ribbentropowi. Prezydent konfederacji ratyfikował „pokój niemiecki" dopiero po tym, gdy musiał zgodzić się na rozkazującą prośbę Rzeszy, wystosowaną do Austrii w postaci pierwszego ultimatum z dnia 15 lutego. Ugiąwszy się przed tym faktem, Ballplatz gotował odwet, misternie pomyślany, nieco ma-

chiaweliczny, ale pozbawiony jakich bądź widoków powodzenia.

Spojrzenie, rzucone wstecz na politykę Schuschnigga stawia nas w obliczu okrutnej zagadki. Moglibyśmy osłupieć przed nią do reszty, gdyby nie znajomość metod, których używano w Austrii. Podwładni, schlebiając kanclerzowi, źle go informowali. Dlatego nie znał on ani doskonałej organizacji ani potęgi swoich wewnętrznych przeciwników. Podobnie Metternich nie domyślał się wcale zasięgu rewolucyjnego ruchu, który spowodował jego upadek. Nieszczęśliwy wódz Frontu Patriotycznego nie zdawał sobie sprawy z tego, jak dalece jego osoba nie podobała się dwóm dyktatorom — Hitlerowi oraz Mussoliniemu. Nie widział też skutków, jakie ta podwójna antypatia zdolna była zrodzić, jeżeli chodzi o postawę osi berlińsko-rzymskiej w stosunku do opornego kanclerza federalnego. Przejęty samym sobą i wprowadzony w błąd przez doradców, liczył na tradycyjny cud austriacki, zbytnio przy tym ufając dyplomacji oraz dyplomatom. Wydaje się, jakoby musiał sobie wytworzyć następujący sposób rozumowania:

„A więc podpisałem układ z Hitlerem. Zmuszono mię wprawdzie do tego, abym przystał na takie a nie inne brzmienie tekstu, ale przecież wolno mi go tłumaczyć jak chcę i wyłożyć go w odpowiedni sposób, a tak pracą rozumu odzyskam to, co utraciłem na skutek gwałtownego postępowania mojego drogiego partnera. Nie przestanę dawać zapewnień wierności odnośnie do protokółów w Berchtesgaden. Dopuściłem do rządu nazistów oraz „nazizujących". Ale nadzwyczaj zręczne posunięcie z mej strony udaremni zakusy tych podejrzanych współpracowników wraz z planami ich wielkiego opiekuna, Hitlera. *Führer* nie przestaje domagać się plebiscytu: będzie go miał. Będzie miał głosowanie powszechne, ale w tym dniu i w takich warunkach, jakie ja sam wybiorę. Nie mogę walczyć z niemiecką propagandą ani finansowymi środkami, ani pociągającą siłą sloganu! Ale za to zaskoczę Niemców moim działaniem. Czterodniowy termin mi wystarczy. Aby odsunąć od głosowania możliwie jak największą liczbę nazistów, oznaczę granicę wieku, obowiązującego dla wyborców, na 24 lata mi-

nimum. Rozkażę, aby tworzono komisje wyborcze z wypróbowanych stronników Frontu Patriotycznego. Większość zdobyta podczas plebiscytu uświęci moje stanowisko włodarza publicznego zaufania. *Führer*'owi nie pozostanie nic innego do zrobienia, jak schylić głowę przed wolą ogółu. Inaczej będzie musiał użyć siły przeciwko bratniemu narodowi. Na to wszelako nie zdoła się odważyć. Będzie się wahał. Sumienie nie pozwoli mu na rozpętanie wojny. Bo zbrojna interwencja w Austrii wywołałaby wojnę europejską. Oś rzymsko-berlińska nie wytrzymałaby podobnej próby. Mussolini mnie nie cierpi i nasyła mi ostrzeżenia. A jednak go zmuszę. Wszak nie będzie mógł tolerować Niemców na Brennerze. A potem jeszcze jest Francja, W. Brytania, Polska, Czechosłowacja, Węgry. Wszystkim tym państwom zależy na niepodległości Austrii. Prócz tego istnieje z pół tuzina traktatów, gwarantujących całość naszego terytorium; jest *modus vivendi,* zawarty z Niemcami dnia 11 lipca 1936; są rzymskie protokóły i tyle, tyle innych paragrafów, not, listów, deklaracyj, a wszystkie opatrzone podpisem: Benito Mussolini. Na koniec jest jeszcze przysłowie: *Austria erit in orbe ultima — Oesterreich wird ewig stehen.* Nie, Niemcy tędy nie przejdą, nie uczynią z naszego kochanego kraju drugiej Belgii. A gdyby się na to odważyli, zgotowaliby sobie drugi traktat wersalski".

Takie mniej więcej musiały być, moim zdaniem, rozważania oraz decyzje kanclerza Schuschnigga. Podyktowały mu one krok wręcz nieoczekiwany, nagłe ogłoszenie plebiscytu, dokonane w dniu 9 marca. Niewielu zaufanych wiedziało o powyższych zamysłach, około dwunastu osób wtajemniczonych znało zamierzoną datę realizacji. „Piorun z jasnego nieba" triumfowali jedni; „cięcie Jarnac'a" złorzeczyli inni. Ci, co triumfowali, stanowili niezawodną większość uczestników powszechnego głosowania, złorzeczyła za to prawie cała młodzież. Ci mieli głowy, ale tamci ramiona. Prócz tego Niemcy zamierzały powziąć pewne decyzje, które tymczasem spowijał posępny mrok milczenia.

Mussolini otrzymał zawiadomienie o planach plebiscytu na 48 godzin przed tym, nim z ust Schuschnigga padły wyroczne słowa w toku jego mowy innsbruckiej. *Duce* udał

głuchego na wszelkie wołania o pomoc, odradzał też kroki tak zuchwałe, zostawiał jednak swobodę działania. Aż po pamiętny wieczór 10 marca, Italia, niezmienna realistka, nie przeszkadzała korporacyjnej Austrii szukać szczęścia na własnych drogach. Rzym byłby powitał nieoczekiwane powodzenie związkowego kanclerza bez zapału, jednak z pewną ulgą, byleby tylko Niemcy zechciały w tym razie uznać swą porażkę. *Führer* za to był dalekim od podobnych myśli.

Noc z 9 na 10 marca była najburzliwszą nocą w jego życiu, kanclerz Rzeszy, nie posiadał się z gniewu. Jakto, ten jezuita w świeckiej sukni zamierzał zniszczyć mozolne dzieło zupełnej i dokładnej endosmozy? I w dodatku narażał trwałość berlińsko-rzymskiej osi! Co powie *Duce* wobec faktu *Anschluss*'u tak upragnionego a budzącego takie obawy? Hitler bowiem rozstrzygnął niezwłocznie: tak dłużej trwać nie mogło, niepodległa Austria, zawsze usiłująca wymknąć się, ilekroć zdawała się być już na zawsze związaną — ta Austria musiała zniknąć z powierzchni ziemi! W owej chwili przebywał w Niemczech austriacki minister Glaise-Horstenau, najdawniejszy spośród narodowych przedstawicieli w związkowym rządzie. Pospołu z nim, zatem, oraz z p. Seyss-Inquart'em, prawdziwym mężem zaufania nazistów, wypracowano w wielkim pośpiechu plan postępowania, raczej zaś ułożono z nimi natychmiastowe wykonanie planów, zamierzonych i postanowionych już od dawna. Był to mianowicie ten sam projekt, który policja austriacka ujawniła w styczniu, podczas poszukiwań śledczych, dokonanych u p. Tavs'a tj. w siedzibie osławionego Komitetu Siedmiu, centralnego organu austriackich nazistów.

We czwartek, dnia 10 marca, w tym samym czasie, kiedy agitacja „patriotyczna" w Wiedniu rozwijała w całej pełni swą działalność — *Führer* dał rozkaz wymarszu dywizjom zmotoryzowanym oraz oddziałom generała von Bock'a. Tegoż samego dnia zawiadomił swych ministrów, że postanowił ryzykować wszystko za wszystko. Specjalistą od plebiscytów jest p. Bürckel, ta zaś jego specjalność datuje się jeszcze z epoki „Zagłębia Saary"... Jego też wyprawiono śpiesznie do Wiednia, już nie w celu próbowania układów z Schuschniggiem, lecz dla odbycia narady z prezydentem

konfederacji. Podczas, gdy w Niemczech obmyślano i postanawiano te ważne i poważne posunięcia, niepodległa, korporacyjna Austria, przeżywała godziny przedśmiertnego błogostanu. Ulice Wiednia pokryły się milionami ulotek, zachęcających do głosowania za reżimem. Radosne *Ja!* spoglądało na przechodnia ze wszystkich ścian i murów, leżało odciśnięte na ulicznych brukach. Fonografy ustawione na ciężarowych samochodach wygrywały starodawne marsze austriackie. Dookoła tych muzykalnych zdrojów przystawały tłumy publiczności, szukające orzeźwienia i rozrywki w tonach dobrze znanych sobie melodyj. Czyżby to Orfeusz oswajał „drapieżne zwierzęta" czarem swej muzyki? Ach nie, bynajmniej. Ci „drapieżnicy" sami wybierali i kazali sobie przygrywać najulubieńsze kawałki.

Po południu, grupy, liczące od tysiąca do dwóch tysięcy osób, kierowały się ku śródmieściu w bojowym szyku, najwidoczniej wcześniej zarządzonym. Kordony policji jeszcze się trzymały. Autokary policyjne, jadąc śladem manifestantów, nie dopuszczały do mściwych wystąpień względem politycznych wrogów. Ale dźwięki od dawna zakazanych pieśni, a zwłaszcza *Horst-Wessel-Lied*'u przypominały wiedeńczykom, że naziści mieli już teraz coś do powiedzenia w dziejach Austrii i że zajęli już miejsce na ostatniej karcie tych dziejów. O wiele częściej niżeli krzyż jerozolimski, oznakę Frontu Patriotycznego, spotykało się swastykę, dumnie zatkniętą w butonierkach. Krzyż jerozolimski — *nomen et omen!* Obydwa stronnictwa przyjęły w milczącym porozumieniu hasło plebiscytowej walki. Rozgrywała się ona za Austrię katolicką ale i za równouprawnienie Żydów z jednej strony, za idee wręcz przeciwne z drugiej.

Troska o prawdę każe nam poruszyć te dwa najsłabsze i zarazem najbardziej atakowane punkty w systemie obalonego ustroju. Katastrofa jest już dzisiaj poza nami i to położenie uwalnia nas od bardzo wielu względów, z którymi musielibyśmy się liczyć w dawniejszych sprawozdaniach. Przyznajmy więc otwarcie, że znaczna część austriackiej ludności zraziła się do minionego ustroju na skutek pewnego rodzaju bardzo powierzchownego, natomiast drażniącego, katolicyzmu, którym oficjalne czynniki popisywały się zbyt

głośno. Dalej musimy przyznać, że pokazowym napadom antysemityzmu towarzyszył — u sfer rządzących — fakt zawierania ukrytych znajomości wśród Żydów. O fakcie tym milczała prasa podległa cenzurze. Rozdmuchiwała go za to oraz wyzyskiwała odpowiednio potajemna propaganda nazistowska.

Schuschnigg oraz jego współpracownicy nie przestawali głosić, że katolicyzm stanowi podwalinę ich systemu polityczno-rządowego. Z tymi zasadami byłoby się dało doskonale pogodzić pewną milczącą rezerwę odnośnie do przeważającego udziału w rządzie wysokiego duchowieństwa. Jesteśmy bowiem przekonani, że rola osób duchownych była tu o wiele mniej doniosłą, aniżeli kazały o niej przypuszczać niektóre czysto zewnętrzne oznaki. Pomimo tego, do poczciwych austriackich uszów dochodziły ustawiczne szepty hitlerowców: „Oto macie ustrój chrześcijański, na którym z powodzeniem żerują paskarze i rekiny! Oto macie katolickich wodzów, którzy potępiają rozwody, a umizgają się do kobiet, żyjących w separacji". Ogół śmiertelników nie rozumie się na subtelnościach prawa kanonicznego. Wystarczyło im, że książę Stahremberg, pierwszy wódz Frontu Patriotycznego, żył w nielegalnym stadle z ładną aktoreczką, miał z nią synka, a w końcu ożenił się po uprzednim unieważnieniu małżeństwa z Jej Najjaśniejszą Wysokością.

Czyż panowie Schuschnigg i Stahremberg nie mieli przyjaciół wśród Żydów i w środowiskach bynajmniej nie odznaczających się katolickim charakterem? Być może, że słuchy o domniemanym żydowskim pochodzeniu obecnej księżny Stahremberg nie mają dostatecznych podstaw. W każdym razie jest pewne, że poprzednią faworytką księcia była aktorka, której skąpa nad wyraz toaleta — na pewnym afiszu kinowym — wywołała oburzenie i zgorszenie, wcale nie faryzeuszowskie. Wspomniana faworytka wyszła za mąż za dawnego szkolnego kolegę Stahremberga, stąd także i jej małżonek stał się z kolei książęcym faworytem. Ta dobrana para: faworyt—faworytka była zarazem parą semitów czystej krwi. On zarządzał największymi w Austrii zakładami wyrobu broni, rokrocznie zarabiał miliony i starannie

wysyłał je do Szwajcarii, pomimo obowiązujących znacznych obostrzeń dewizowych. Ona przez czas jakiś umilała wolne chwile księciu wice-kanclerzowi, po czym nastąpiło podwójne zerwanie pomiędzy Stahrembergiem a panią H. K. oraz pomiędzy wyżej wymienioną osobą a jej małżonkiem, panem F. M. Przemyślna ex-para znalazła się niebawem w lepszym, bo w Nowym Świecie, ona w Hollywood, on w Ameryce Południowej.

Żydowskie przyjaźnie p. Schuschnigga przynoszą mu nieco więcej zaszczytu, stoją wszakże w rażącej sprzeczności z oficjalnym antysemityzmem oraz uczuciami większości Austriaków. Pp. Bruno Walter (Schlesinger), słynny kapelmistrz; Franz Werfel, znakomity pisarz oraz de Zolnay, właściciel i dyrektor największej austriackiej firmy wydawniczej, cieszyli się szczególniejszą sympatią kanclerza. Łatwo można sobie wyobrazić, jaki użytek z powyższych stosunków robić mogła nazistowska propaganda.

Żyd! Żyd! klerykał! klerykał! tak brzmiała wieczysta śpiewka antyrządowej agitacji w Austrii. W kraju tym działo się inaczej u podstaw aniżeli u szczytów społeczeństwa. Ogół ludności, a przynajmniej jej klasy średnie, włościaństwo, drobne mieszczaństwo, część robotników oraz cała młodzież okazuje dzisiaj, jak zresztą okazywała już wtedy wrogie nastawienie względem „politycznego katolicyzmu“ oraz względem wszystkiego, cokolwiek wywodzi się od Izraela. W ostatnich miesiącach kierownicze czynniki Frontu Patriotycznego usiłowały rozbroić tę głuchą nienawiść, przybierając nie bardzo szczerą a bardzo niezręczną postawę antysemityzmu. Był ten antysemityzm nie bardzo szczerym wobec Żydów, którzy stanowili przecież jedną z trzech kolumn, podpierających oficjalny ustrój; był takim również i wobec judeofobów, rasizmem swym bowiem godził wyłącznie w biedaków. „Nie przyjmować chorych Żydów do szpitali ani klinik! Nie kupować u izraelickich handlarzy!“ — hasłom tym zresztą zaprzeczono już zaraz po ich ogłoszeniu. Tymczasem zaś wysokie żydostwo zachowało wszystkie swoje pozycje. Dostawy z wielkich żydowskich składów trwały w dalszym ciągu, a „patriotyczne“ kasy nie przestawały czerpać środków prawie wyłącznie z żydowskich subwencyj. Naród to

spostrzegł i poruszył się! Prawdziwy stan rzeczy ujawnił się w dniach agonii, kiedy to żydowscy milionerzy — przemysłowcy, bankierzy i inni finansiści — pokryli w przeważnej części koszta plebiscytu. We czwartek, dnia 10 marca, zarządzono coś w rodzaju zbiórki. Sama jedna gmina żydowska w Wiedniu dostarczyła rządowi Schuschnigga $3^1/_2$ miliona szylingów, przy czym któryś z czołowych przemysłowców złożył na ten cel pół miliona.

Tak więc korporatywny i chrześcijański ustrój Austrii znajdował się w fałszywym położeniu... Polegał na fałszywych zwolennikach i na fałszywych rachubach opierał swoje nadzieje. W obliczu rozstrzygnięć nieuniknionych a wyrocznych, kanclerz zwołał na naradę główniejszych generałów, ci zaś upewnili wodza, że zdołają wytrzymać najście austriackich legionistów. Nie brali bynajmniej pod uwagę możliwości interwencji ze strony regularnych zbrojnych sił niemieckich. Co się zaś tyczyło wierności powierzonych im oddziałów, ręczyli jednogłośnie za bezwzględne posłuszeństwo swych podwładnych. O wiele mniej optymizmu okazał p. Skubl, podsekretarz Bezpieczeństwa Publicznego, gdy mówił o stosunkach panujących w policji, jednakże i on również ręczył za karność w szeregach. W samej rzeczy tysiąc z górą policjantów, należało — według niezawodnych, zebranych przez nas danych — do nielegalnych organizacyj S. S. Dowodził nimi Steinhäusl, były naczelnik policji wiedeńskiej. Zamieszany w sprawę zabójstwa Dollfussa, otrzymał w związku z tym 7 lat ciężkich robót. Skoro go zaś ułaskawiono — w krótkim czasie wyjechał do Berlina po instrukcje. Wszystkie organy egzekutywy z p. Steinhäusl'em na czele składały się z nazistów głęboko przenikniętych swoją ideą. Byli zatem gotowi poświęcić swoje życie i mienie, ale równocześnie okoliczności zmuszały ich do uciążliwej hipokryzji. Chcieć okazać w tym wypadku swe prawdziwe oblicze znaczyło to samo, co pozbawić rewolucję hitlerowską cennej a nawet niezbędnej podpory. Wspomniany tysiąc tworzył zastęp mocny i pewny, ale nie jedyny: 80% funkcjonariuszy policji sympatyzowało z tymi „nielegalnymi", których miała ona zwalczać. Sądzimy, że ten sam liczebny stosunek należy zastosować do oficerów i żołnierzy związkowej armii. „Front Ojczy-

żniany" liczył szczerych zwolenników jedynie w sztabach i pomiędzy generalicją. Cóż wobec tego mógł począć pan Schuschnigg, minister wojny, spraw wewnętrznych i — naczelnik policji w jednej osobie? Nie zdawał sobie wcale sprawy z położenia. Zdradzeni mężowie, ostatni z ludzi dowiadują się o swym nieszczęściu.

Kanclerz był pełen złudzeń co do swych wrogów jak i co do zagranicznych przyjaciół. Posiadał niedobre informacje o szczerości i wierności swej egzekutywy. Prócz tego nie znał faktycznego stanu rzeczy na prowincji. Wszędzie, gdziekolwiek przyjeżdżał, w Tyrolu, Dolnej Austrii a nawet Styrii, witano go owacyjnie i gorąco. Ostatnia jego mowa w Innsbrucku zakończyła się czymś w rodzaju apoteozy. Wódz Frontu Patriotycznego zapomniał, że 10% ludności wystarcza do tego, żeby zapełnić ulice, a jeden oddział służby bezpieczeństwa, żeby utrzymać w szachu pozostałe 90% w razie, gdyby przyszła im fantazja manifestowania przeciwko ustanowionym władzom. Otóż — i teraz właśnie zbliżamy się do sedna zagadnienia — sumienne i na miejscu przeprowadzone badanie pouczyło nas, że może około 5—10% austriackiej ludności dało się rzeczywiście pozyskać dla programu Frontu Ojczyźnianego, natomiast 10—15% byłoby się dało zabić lub uwięzić za ideały nazistów. Resztę narodu stanowiła owa masa płynna, która szczególniej w Austrii odznaczała się niemałą liczebnością.

Masa ta nie miała najmniejszej ochoty do walki ani za sprawę *Anschluss*'u ani przeciwko niemu. W dniu 13 marca byłaby dała świetne zwycięstwo Schuschniggowi; 10 kwietnia, bez zmrużenia oka, gładko głosowała za Hitlerem. Hitler znał dobrze swoich rodaków. Nie omieszkał też ustrzec ich od pokusy głosowania pod nadzorem obrońców austriackiej niepodległości. Piątek 11 marca dowiódł, że Adolf Hitler umie poprawiać szczęście, którego zdradzieckie uśmiechy będzie ścigał bohatersko i nieostrożnie Kurt v. Schuschnigg.

Przedpołudnie minęło na ulicach Wiednia bez znaczniejszej zmiany. Manifestacje i manifestanci suną na przemian w doskonałym nieładzie. Jeden woła: *Heil Schuschnigg!* inny *Heil Hitler!* ktoś jeszcze inny krzyczy: *Rotfront für Schuschnigg!*

Z ciężarówek samochodowych i samolotów sypią się broszury i ulotki. Policja zamknęła dostęp do Burgu i do kancelarii związkowej, towarzyszy grupom przeciwników politycznych, którzy obrzucają się wzajem wyzwiskami i wyzwaniami nie przechodząc wszakże do bardziej dobitnych argumentów. Około godziny 15 daje się odczuć jak gdyby lekki zwrot. „Patrioci" ulatniają się, zwłaszcza na przedmieściach. Kärtnerstrasse czerni się od publiczności. Rotenturmstrasse, Graben i wszystkie wielkie arterie wiedeńskiej City są najwyraźniej opanowane przez hitlerowców. Poczynają oni już zaczepiać Żydów, wybijają szyby, przybierają groźną postawę. Ale jeszcze o godz. 17 robotnicy rozpościerają na Kärtnerstrasse transparent nawołujący spacerowiczów do głosowania na rzecz Schuschnigga. W tejże samej chwili Front Patriotyczny zaprzecza pogłoskom o mającym rzekomo nastąpić odroczeniu plebiscytu. Znani w mieście handlowcy mają na twarzach wyraz pogodnej otuchy; upewniają nas, że cały ten zamęt zniknie w przeciągu 48 godzin, po czym nastanie w Austrii, uwolnionej od politycznych zmór oraz widziadeł, błogi okres wypoczynku i spokoju.

O tej samej porze, prezydent Związkowy, p. Miklas naradzał się z kanclerzem Schuschniggiem w sprawie odpowiedzi, jakiej miał udzielić rząd austriacki. Naczelnik państwa bowiem odebrał w tym zwariowanym dniu już trzecie z rzędu ultimatum: rankiem zawiadomił go p. Bürckel, że Rzesza nie uzna wyników sztucznie naciągniętego głosowania; w kilka godzin później pp. Seyss-Inquart oraz Glaise-Horstenau zażądali oddalenia Schuschnigga i utworzenia rządu z narodowych socjalistów, inaczej bowiem, jak mówili, nie będą mogli wziąć na siebie odpowiedzialności za swoich brunatnych przyjaciół, SS. i SA.; na koniec generał Muff, niemiecki attaché wojskowy w Wiedniu, zapowiedział zbrojną interwencję Niemiec na wypadek, gdyby austriackie władze zechciały zwalczać ruch „narodowy" militarnymi środkami. Biorąc rzecz formalnie, dymisji Schuschnigga domagali się właśni jego koledzy, przywódcy austriackiej opozycji. Źle zrobili dziennikarze zachodnioeuropejscy, nie podkreślając powyższych szczegółów w swoich sprawozdaniach. Umyślny wysłannik *Führer*'a ogłosił, że

plebiscyt sprzeciwia się układom w Berchtesgaden; jeden z niemieckich generałów upomniał austriacką armię, aby wstrzymała się od pewnych posunięć pod groźbą interwencji Rzeszy; i wreszcie czwarty pełnomocnik Niemiec, pan Keppler, nakreślił przed prezydentem Miklasem obraz aktualnego położenia w tych barwach, w jakich przedstawiało się ono oczom Hitlera, przy czym usilnie „doradzał" dostojnemu rozmówcy, unikanie rozlewu krwi. Zostawmy wszakże na boku te dyplomatyczne i prawne chińszczyzny. Przywódcy niepodległej Austrii stanęli teraz w obliczu dylematu, noszącego wszelkie cechy imperatywnego nakazu: poddać się Niemcom czy też wytrzymać z dwóch stron zbrojny napad, idący z zewnątrz i od wewnątrz kraju.

Pp. Miklas i Schuschnigg bronili całym sercem sprawy, w imię której przyszło im występować. Jednakże mieli oni obowiązek słuchać głosów rozsądku oraz sumienia. A rozsądek i sumienie wskazywały na bezskuteczność jakiego bądź oporu. Rankiem, dnia 11 marca, kanclerz zwrócił się z rozpaczliwym wezwaniem do Francji. Przeżywała ona podówczas w całej pełni swój kryzys ministerialny. P. Vollgruber odbywał narady z p. Delbosem już po dymisji tego ostatniego; nie zdołał więc uzyskać odeń nic więcej nad rady i obietnice, w równym stopniu ogólnikowe jak warunkowe. Rzym udał głuchego od pierwszego krytycznego momentu. Budapeszt oraz Praga bały się poruszyć. Węgrzy zresztą bynajmniej tego nie pragnęli; premier Hodża zaś na skutek telefonicznego zapytania o radę, dał wyraz swojemu stanowisku, łącząc własny żal z żałością p. Schuschnigga; poza tym nie mógł udzielić kanclerzowi bodaj najmniejszej pomocy. W Londynie istniało nieugięte postanowienie odmówienia p. Frankensteinowi przyjęcia. Dyplomata przełknął odmowę, osłodzoną najwytworniejszą uprzejmością i grzecznością, zaprawioną współczuciem pełnym litosnego a bezradnego strapienia. — Losy Austrii przestały interesować Europę.

Zagadnienie pomocy z zagranicy przeniosło się w krainę złudzeń. Przed wzrokiem pp. Miklasa i Schuschnigga stanęła wizja walki z nieporównanie mocniejszym od siebie przeciwnikiem; walki beznadziejnej, prowadzonej w wyczekiwa-

niu i nadziei, że bohaterskie czyny walczących poruszą sumienie i litość wielkich mocarstw. Gorącym zwolennikiem tej idei był p. Schmitz, burmistrz Wiednia, wróg zawzięty narodowych socjalistów, odważny i śmiały bojownik za sprawę niepodległości Austrii. Za tę „wielką zdradę" p. Schmitz będzie odpowiadał przed niemieckim trybunałem. Zgodnie z powszechnym mniemaniem, chciał on uzbroić robotników, przeciąć połączenia kolejowe i zabiec najeźdźcy drogę. Wszelako nowiny nadchodzące ze wszystkich ośrodków prowincjonalnych, nie mogły stanowić ani poparcia ani zachęty dla powyższych planów. Już od południa Graz, Linz, Salzburg, Klagenfurt oraz Innsbruck przeszły w ręce narodowych socjalistów. Żandarmeria austriacka oraz wojsko zajmowały jeszcze niektóre z oficjalnych budynków. Ale ani żandarmeria ani wojsko nie podjęły walki i nie byłyby jej podjęły. Natomiast zmotoryzowane oddziały niemieckie podchodziły już do austriackiej granicy, gotowe przekroczyć ją w każdej chwili: 300 tysięcy ludzi oczekiwało jedynie rozkazu *Führer*'a, 500 samolotów stało w pogotowiu do odlotu. Prezydent Miklas ofiarowywał ustępstwo za ustępstwem: odłożenie plebiscytu, kontrolę plebiscytu, wreszcie przeprowadzenie go we wspólnym porozumieniu z Niemcami a na koniec... dymisję Schuschnigga, z kanclerskiego stanowiska na rzecz kogoś mniej „skompromitowanego". Wobec tego misję utworzenia nowego rządu otrzymuje p. Ender, „ojciec" konstytucji 1 maja 1934, jednakże odrzuca to zadanie, nazbyt dla niego zaszczytne i ciężkie.

Tymczasem naziści poczynają naciskać coraz silniej. Przywódcy hitlerowców mobilizują wszystkie siły niezwłocznie po otrzymaniu wiadomości o plebiscytowej porażce Schuschnigga. Od godz. 18 począwszy, małe oddziały SS. i SA kierują się, jeden za drugim, ku środkowej części miasta. Na ulicach gromadzi się tłum z górą stutysięczny. Niedługo potem rozchodzi się po mieście wieść o dymisji Schuschnigga. O godz. 19 kanclerz wygłasza przed mikrofonem wzruszającą swą mowę pożegnalną. Zapada zmierzch, zmierzch dziejowego dnia. Z tłumów, szalejących z radości, formuje się pochód. Przy blasku płonących pochodni przesuwają się przed gmachem Kancelarii Związkowej, z której

zniknął kanclerz. Na balkonie, w oczekiwaniu niezawodnych wiwatów, ukazuje się p. Seyss-Inquart, jedyny członek rządu, sprawujący w tej chwili rządowe funkcje. Jest to ten sam balkon, z którego niegdyś bar. Fey prowadził układy z bar. Karwinskym, przybyłym na ratunek Dollfussa. Z tego balkonu, pełnego wspomnień o nieszczęśliwym Małym Kanclerzu, można zobaczyć jego niedokończony pomnik, wyraz niedokończonej przez Austriaków ekspiacji. Odsłonięcie tego pomnika miało się odbyć w dniu 25 lipca, a nie nastąpi już nigdy. Albowiem Austriacy pozostali wierni swemu narodowemu charakterowi i — tak jak ich opisał Grillparzer — są wiecznie opóźnieni o myśl, o rok, o armię...

Pan Seyss-Inquart, to już nie Austriak żółto-czarny ani czerwono-biało-czerwony, to alpejski Niemiec lub raczej Niemiec z Sudetów, zamieszkały w Wiedniu. Ten wyprzedził czas oraz dzieje o myśl, o armię, może nawet o kilka lat. Oto stał się w tej chwili panem swego wyboru: może sobie wybierać osobę swego wodza i pana. Nikt nie strzeże owych kilkorga drzwi, które wiodą do apartamentów prezydenta Miklasa. Przebywający za nimi prezydent uporczywie odmawia podpisu na kanclerskiej nominacji Seyss-Inquarta. Gniew jego wszakże okaże się daremnym. W ciągu trzech godzin od 20 do 23 naziści objęli wszystkie publiczne gmachy. Garnizon wcale nie ruszył się z koszar, policja zakłada opaski ze swastyką. Ratusz, siedziba p. Schmitza poddaje się z łatwością. Straż burmistrza rozbrojono, jego samego osadzono w więzieniu. Prowincja wita z zapałem upadek Schuschnigga i nadaje wiadomości o przebiegu zwycięstwa odniesionego bez walki. Niemieckie wojska już się ukazały na widnokręgu granicznym. Wezwał je do przybycia jedyny czynny minister, Seyss-Inquart, aby czuwały nad ładem i bezpieczeństwem, które ani przez chwilę nie zostały naruszone. Na koniec o północy, p. Miklas ulega naciskowi otoczenia. Mianuje kanclerzem Seyss-Inquarta, ten zaś dobiera sobie grono współpracowników, spośród nazistów czystej krwi. Glaise-Horstenau oraz Neumayer, minister skarbu przechodzą ze starego ustroju do nowego. Sprawy zagraniczne czyli raczej ich likwidację powierzono Wollfowi, który podobnie jak p. Glaise zaliczał się do „chartystów",

był poza tym długi czas szefem gabinetu Perntera, ministra oświaty (dzisiaj znajdującego się pod nadzorem policji) i na koniec, współpracownikiem pułkownika Adama, wodza schuschniggowskiej propagandy, również osadzonego pod kluczem. Oświata przypadła p. Menghinowi, b. rektorowi wiedeńskiego uniwersytetu. Wszyscy ci panowie popierali przez okres jednego pięciolecia idee Dollfussa oraz Schuschnigga i wszyscy uchodzili w oczach ogółu za katolików i to praktykujących. *Tempora mutantur et nos mutamur in illis.* Powyższe przykłady, wzięte z doborowego grona członków Frontu Patriotycznego, dowodzą, do jakiego stopnia kanclerz Schuschnigg mógł polegać na swoich rzekomych stronnikach.

Można zatem poniekąd wytłumaczyć owe płynne masy, które tworzyły zwartą większość Austriaków, że w mgnieniu oka dokonały zmiany frontu. Śpiewano i wykrzykiwano bojowe hasła nazistów, niegdyś zakazane. Zniszczono godła Frontu Patriotycznego. Przyłączono się do chóru autentycznych nazistów, przybyłych do stolicy, aby święcić swój własny triumf. Uroczystość trwała przez całą noc (z 11 na 12 marca) bez przerwy. Przedmiotem podziwu i uwielbienia stały się oddziały SS i SA, chociaż przeważnie nieumundurowane niemniej przeto maszerujące miarowym krokiem i w ściśniętych szeregach. Niezliczone wiwaty *Heil Hitler!* przeplatały się z przekleństwem *Juda verrecke!* Zakłady gastronomiczne, od wielkich restauracyj na Ringu aż do najmniejszych i najmarniejszych szynków, zarabiały tej nocy „złote góry".

I jeszcze nie minęła ta noc, błoga dla jednych, rozpaczliwa dla drugich, kiedy pierwsi żołnierze niemieccy przekroczyli austriacką granicę. Stało się to w sobotę, dnia 12 marca, o godz. 5 z rana. Nie będziemy tu opisywać przejmującego pochodu wojsk Rzeszy w głąb Austrii, ani kolejnych aktów, przygotowujących końcowe rozwiązanie. Przyjrzyjmy się za to uroczystemu przebiegowi ostatnich chwil niepodległej Austrii. Zgodnie z konstytucją 1 maja 1934 sprawowanie zastępczych funkcyj w czasie wakującej prezydentury państwowej wchodziło w zakres obowiązków związkowego kanclerza. A zatem w dniu 13 marca 1938 r. tj. w dniu niedoszłego

plebiscytu, Seyss-Inquart kanclerz związkowy, pełniący funkcję prezydenta, podpisał, przedstawiony mu przez tegoż Seyss-Inquarta, kanclerza związkowego, prawny dekret, którego legalne ogłoszenie poświadczał — wedle brzmienia wyżej wymienionej konstytucji — również Seyss-Inquart, kanclerz związkowy.

Dekret powyższy ogłaszał Austrię za integralną część Rzeszy niemieckiej. Wspaniałe samobójstwo zostało dokonane i rzekomy nieboszczyk wstawał z martwych w odmienionej postaci — jako „kraj" niemieckiej Rzeszy.

W następnym tygodniu Wiedeń szalał jak w gorączce. Miasto dosłownie tonęło w powodzi flag oraz sztandarów. Zwycięska swastyka docierała wszędzie, brała w posiadanie zarówno butonierki jak wystawy sklepowe, fasady domów i całe ulice. Wiedeń, już niepamiętny chwalebnej przeszłości, czasów cesarstwa i wolnej republiki, oświadczał bujnie i wylewnie swą przynależność do nazistowskiego ruchu, stając się nagle jego nadspodziewanym adeptem. Ślady dawnego „niewolnictwa" szybko ustąpiły miejsca godłom nowej „wolności". W oknach księgarskich przeważały dotąd pisma nieszczęsnego ostatniego kanclerza, zatytułowane: *Trzykroć Austria.* Teraz główną ozdobą wystaw stał się *Mein Kampf* Hitlera, *Mit XX w.* Rosenberga, prócz nich jeszcze dzieła Goebbelsa. Siedziby Frontu Patriotycznego przemieniały się w ogniska SS i SA. Pomiędzy poczciwymi policjantami austriackimi, tzw. *Sicherheitswachleute* można było dojrzeć przybyłych z Niemiec członków Schupo. Armia związkowa skromnie usuwała się w cień przed najeźdźczymi oddziałami, wysłannikami Rzeszy. Kawiarnie, przed tym gęsto zaludnione przez Żydów, wywieszały teraz na widocznych miejscach afisze, zabraniające Żydom wstępu do lokalu. Pisma, których kierownictwo do połowy marca spoczywało w żydowskich rękach, teatry, zalewane przez publiczność nie-aryjską, banki oraz bazary (cz. domy towarowe, tzw. *Warenhäuser*) — wszystko teraz odmieniało swe oblicze, wszyscy bowiem prześcigali się w okazywaniu oraz wykazywaniu czystości swej rasy. Tak, zatem, szanowna *Neue Freie Presse* oraz firmy Krupnika i Gerngrossa polecały się publiczności jako odtąd wolne od elementów żydowskich. Brakowało już

teraz jedynie ze strony izraelickiej *Kultus-gemeinde* zapewnienia, że na przyszłość nie będzie już przyjmować semitów w poczet swych członków.

Największa wszakże niespodzianka czekała nas przy końcu owego historycznego tygodnia. Hierarchia katolicka w Austrii przeszła na stronę zwycięzców z dziwną skwapliwością i zapałem. Fakt powyższy ujawnił się podczas bytności, *Führer*'a w stolicy. Na próżno sililibyśmy się na znalezienie równoznacznych wyrażeń, którymi dałaby się opisać frenezja przyjęcia zgotowanego przez Wiedeń twórcy *Anschluss*'u. Ci co byli obecni przy powitalnych ceremoniach, nie zapomną nigdy szczytowego momentu uroczystości, to jest mowy, którą Hitler wygłosił do tłumu liczącego kilkaset tysięcy ludzi a zgromadzonego na placu Bohaterów. Z balkonu, na którym stał *Führer* roztaczał się widok jedyny w swoim rodzaju. Na dole tłumy, pogrążone w nabożnym skupieniu, to znów obwieszczające donośnym wyciem swą radość, względnie nienawiść do wczorajszych przywódców. Kamienna biel Hofburgu odcinała się osobliwym kontrastem od ognistych i czarnych fałd niemieckich sztandarów, spływających po fasadach wspaniałego budynku. Brunatni i czarni Austriacy roili się u stóp władcy, podobni do jakiegoś olbrzymiego i nieprzeliczonego mrowiska. Za nimi młodziutka zieleń Volksgarten'u a dalej jeszcze, pałace, które niegdyś gościły w swym wnętrzu władcę cesarstwa Habsburgów, parlament, którego progu nigdy żaden narodowy socjalista jako przedstawiciel narodu nie przekroczył, Kancelaria Związkowa, przedtem Ministerstwo Spraw Zagranicznych, a jeszcze dawniej — siedziba Metternicha oraz Kongresu Wiedeńskiego, ostatnio zaś — miejsce męczeńskiej śmierci Dollfussa. W nadzwyczajnym pośpiechu nie zdołano usunąć z miejsca fundamentów pomnika, którego odsłonięcie miało nastąpić w rocznicę śmierci biednego Małego Kanclerza. Wzrok Hitlera ogarniał jednym spojrzeniem ludzi, gmachy — oraz wspomnienia najzacieklejszych walk stoczonych przez wyznawców jego idei. Oczy *Führer*'a zatrzymują się wreszcie na zamykającej horyzont ścianie Wienerwald'u. Następca cesarzy a potomek ubogich chłopów, czy będzie — w tej podniosłej godzinie — pamiętał

o słowach, które w *König Ottokars Glück und Ende* Grillparzer kieruje do Rudolfa Habsburskiego, protoplasty zdetronizowanej dynastii: *Es ist ein gutes Land, wohl wert, dass sich ein Fürst sein unterwinde?*

Adolf Hitler po raz pierwszy przemawia do Austriaków, toteż wzruszenie tamuje zwykłą jego swadę. Łzy tłumią głos potężny, twardy, o nieco ochrypłym brzmieniu: „W obliczu dziejów ogłaszam powrót mojej ojczyzny do Rzeszy niemieckiej"! Czy to jeszcze Hitler mówi do Austriaków? Ach, nie, to Mahomet-prorok obwieszcza swym „seidom" nadejście złotego wieku, apogeum islamu i przestąpienie wrót raju. Potem zaś muzyka wojskowa poczyna grać melodię haydnowskiego hymnu. Tłum śpiewa wprawdzie słowa: *Deutschland, Deutschland über Alles...* ale śpiewa je na niezmienioną, starą nutę austriacką, inaczej mówiąc wita nowy porządek rzeczy dźwiękami dawnego hymnu *Gott erhalte...* Obok mnie płacze jakiś staruszek: nie z radości, lecz z żalu za przeszłością, pogrzebaną na wieki. Ale młodzież oraz olbrzymia większość obecnych odczuwa jedynie radość z powodu wschodzącej w tej chwili ery błogiej szczęśliwości.

Nadzieja ożywia wszystkie serca i umysły. Ona to jest przyczyną powszechnego znieczulenia wobec zmian, które w innych warunkach byłyby wyrwały z licznych piersi i ust okrzyk protestu i buntu. Ona też powoduje obojętność na głęboką niedolę pół milionowej rzeszy ludzkiej, tej rzeszy, która w wirze radosnych obchodów i odradzającej się ogólnej pomyślności, ujrzała nagle, że pozbawiono ją wszelkich dotychczasowych praw i środków do życia. Długi szereg samobójstw okrwawił koła zwycięskiego rydwanu. Panowie Hitler, Goering oraz Goebbels chełpią się własną szlachetnością oraz tym, że nie mają na sumieniu żadnego morderstwa ani czynu okrutnej zemsty. Jest to słuszne o tyle, o ile trzymać się będziemy ściśle litery prawa, nie odpowiada wszakże wcale rzeczywistości, jeżeli sięgniemy do źródeł ducha.

Uwięzienie takich ludzi jak pułkownik Adam, oraz pp. Hornbostel i Wiesner, którzy jedynie wypełnili swój obowiązek, jest faktem godnym pożałowania. Samobójstwa: generała Zehnera, b. ministra wojny; barona Frelichsthal'a,

p. v. Neustätter-Stürmera, b. naczelnika heimwehry; p. Kunwalda, wielkiego przyjaciela śp. msg. Seipla; kilkuset pracowników umysłowych wyrzuconych na bruk bez możności ponownego stworzenia sobie egzystencji — tworzą na nowym ustroju plamy, których można było uniknąć. Niestety, bogowie łakną krwi, bóstwa rewolucji żądają dla siebie całopalnych ofiar, krew zaś „nieczysta" musi osobliwie smakować bożyszczom przewrotu, dokonanego w imię nieubłaganego prawa rasy. A wszystko to dzieje się w kraju tzw. *Gemütlichkeit* i w kraju, gdzie popularna piosnka głosi: *Menschn, Menschn, san ma alle...* (Wszyscy jesteśmy ludźmi, tak jedni jak i drudzy...).

Powyższe bezstronne sprawozdanie pisał świadek współczujący z Austrią i głęboko przywiązany do jej wielkich i pięknych tradycyj. Ktokolwiek przeczyta i przemyśli te słowa, nie będzie wątpił, że ostateczne rozwiązanie w postaci *Anschluss*'u było nieuniknione. Gdy jakiegoś kraju pożądają sąsiedzi nieskończenie odeń potężniejsi i liczący na własnym jego terenie zwolenników młodych, oddanych i na wszystko gotowych — może on ostać się tylko o tyle, o ile inni, równie potężni, sąsiedzi przeciwstawią się ewentualnemu zaborcy oraz o tyle, o ile większość obywateli będzie broniła niepodległości swego państwa z przekonaniem i odwagą. Otóż obca pomoc zawodziła Austrię już od roku 1936, wola zaś samych Austriaków godziła się równie dobrze z niepodległością, *Anschluss*'em jak z restauracją Habsburgów. Naród to bowiem ludzi miłych lecz słabych; już w roku 1918 przetrącono mu stos pacierzowy. Odtąd przestał żywić jakiekolwiek pragnienia poza samym tylko pragnieniem bytowania, częstokroć sprowadzonego nieledwie do poziomu wegetacji. Czyż można przytoczyć fakt bardziej charakterystyczny? Austriacy nie znali tekstu swego własnego hymnu narodowego. Utwór ten wyszedł spod pióra srogiego pangermanisty, Kernstocka. Nikt nigdy nie nauczył się jego słów, chociaż drukowano go w podręcznikach dla szkół powszechnych. Toteż zdarzało się nieraz, przy różnych uroczystych okazjach, że na surową melodię haydnowskiego hymnu część publiczności śpiewała *Gott erhalte,* reszta zaś *Deutschland, Deutschland...* Przed mieszkańcami naddunaj-

skiego Piemontu stanął dylemat i nakaz w jednej postaci: legitymista czy wielkoniemiec? Europa zaś, która nie chciała się zgodzić na przywrócenie monarchii, dzisiaj musi przystać na rzekomy powrót Wschodniej Marchii do Trzeciej Rzeszy.

Wbrew wszelkim wątpliwościom oraz pewnym pozorom, plebiscyt z dnia 10 kwietnia 1938 był wyrazem rzeczywistej woli ludu. Większość głosów, wynosząca dokładnie 99,75% nie przedstawia wyniku ani sfałszowanego ani też chwilowego i przemijającego. Zapewne, że wszyscy ci, którzy teraz obdarzyli zaufaniem *Führer*'a a którzy do niedawna jeszcze podtrzymywali Schuschnigga albo pragnęli powrotu cesarza, albo wierzyli w marksistowską ewangelię lub wreszcie wyznawali przebrzmiałe hasła liberalizmu — wszyscy oni nie mogli w mgnieniu oka przedzierzgnąć się w nazistów z przekonania. Odpowiedzą nam jednak, ze swą nieporównaną, rozbrajającą prostotą i naiwnością austriacką, że inne wyjście było niepodobieństwem i że trzeba było pogodzić się z rzeczywistością. Lub lepiej, użyjmy tu zwrotów, tak często słyszanych: *Was wollns, uns hams zerstickelt* (cóż pan chce, rozkawałkowali nas), i dalej: *Die Deitschn ghörafen her* (ot Niemców by nam tu potrzeba!) I Niemcy przyszli. A mądrość mądrości narodu austriackiego mówi koniec końców: *Do lossf si nix mochn.*

Dr F. Bitnicki.

Złoto, pieniądz i ustrój.

Kampania antydeflacyjna.

Walka z kryzysem na Zachodzie osiągnęła względne powodzenie. W większości państw zdołano zahamować grozę śmiertelnego paraliżu, która nad życiem gospodarczym świata zawisła w r. 1933, gdy obroty handlu międzynarodowego spadły do $^1/_3$.

Powodzenie to osiągnięto w wyniku pewnych zabiegów czynnych i pewnych okoliczności współdziałających. Zabiegi nosiły charakter wybitnie radykalny i silnie zmodyfikowały ustrój ekonomiczny, z którego wyłonił się kryzys. Pierwsze pośród nich miejsce zajęły dewaluacje monetarne, towarzyszyła im równoległa reglamentacja handlu międzynarodowego, ujmująca jego obroty w sztywne ramię kontyngentów i regulująca wypłaty zagraniczne. Od wewnątrz państw zaznaczyła się silna tendencja do scentralizowania dyspozycji kapitałami w ręku władzy rządzącej i planowania gospodarczego. Tu i ówdzie, jak w Niemczech i w krajach anglosaskich podnoszono również bariery celne. W pewnym stopniu zabiegi te „nakręciły" koniunkturę, jak się z przekąsem wyrażali liberałowie. Nie zdołałyby jednak zahamować kryzysu w takim zakresie, jak się to rzeczywiście stało, gdyby nie pomoc współczynników biernych, natury żywiołowej, lub żywiołowo-społecznej. Dopomogło naprzód kilkoletnie „błogosławieństwo nieurodzaju", redukując nadmierne amerykańskie zapasy zbóż i poprawiając ceny rolne. Później dopomógł niemniej poważnie powszechny „wyścig zbrojeń", wzmagając zapotrzebowanie surowców i obroty ciężkiego przemysłu.

Poprawa tymi środkami i w takim zakresie osiągnięta, nosi charakter wyraźnie przejściowy i nietrwały. Siły społeczne na Zachodzie zajęły też wobec niej stanowisko niejednolite i niesolidarne. Rządy skłaniają się na ogół ku dalszemu konsekwentnemu pogłębieniu zabiegów czynnych, przekształcających liberalny ustrój ekonomiczny. Tak jest szczególnie w Ameryce i w Niemczech, częściowo również we Francji. Społeczeństwa jednak skłonne są raczej do zadowolenia poprawą osiągniętą i nie kłopotania się o niebezpieczeństwa, jakie jej zagrażają. Stawiają więc w demokracjach zachodnich skuteczny opór inicjatywie zapobiegawczej rządów. W Ameryce utrącono reformy Roosevelta, zaledwie pomyślnie zapoczątkowane. We Francji drobnomieszczańscy radykałowie, woleli raczej zerwać „front ludowy" niż dopuścić do dalej sięgających reform ustrojowych kapitalizmu. Obawiają się ich jak ognia mogącego pożreć oszczędności ich wyborców. Obawa zresztą całkowicie słuszna, gdyż Blum to nie Roosevelt, a przebudowa społeczna w wykonaniu klasowców mogłaby wypaść o wiele mniej konstrukcyjnie niżli przebudowa obiektywna.

Na powyższym tle rozwinęła się już także na Zachodzie bogata literatura, usiłująca teoretycznie naświetlić problemat wielkiego kryzysu, doraźnej z nim walki oraz następstw ustrojowych, jakie stąd wyniknąć mogą. Literatura ta ma przed sobą zadanie trudne nie tylko merytorycznie, ale i metodycznie. Punktów wyjścia jej wywodom dostarcza wzburzona powierzchnia zjawisk, którą się pragnie uspokoić, oraz wykolejone funkcje urządzeń, które by trzeba przekształcać. Aparatura wiedzy ekonomicznej, którą się posiłkują teoretycy została wykształtowana w atmosferze subiektywnych nałogów myślowych liberalizmu lub socjalizmu, oraz w przeroście analitycznej obserwacji objawów życia gospodarczego nad dociekaniem jego głębinowych podstaw. Objawy te w przekwitowym stadium kapitalizmu są tak bogate i złożone, że absorbują umysł badacza, wiążą go, maskują dostęp do socjologicznych podziemi gdzie pozostają w ukryciu nieustannie czynne motory. Myśl teoretyczna zdaje sobie z tego sprawę i usiłuje przedzierać się w głąb, ale przychodzi jej to z trudem. Wynik bywa tym mniej wystarczający,

że nie tylko metoda badawcza szwankuje, lecz również zasięg obserwacji, ograniczony do sfery ekonomii, niedostatecznie uwzględnia wręcz rozstrzygające na nią wpływy rozwoju społecznego, państwowo-ustrojowego i polityczno-międzynarodowego.

Tak jest na Zachodzie, w Polsce zaś częściowo podobnie, ale częściowo i odmiennie. Natężenie kryzysowej grozy było i pozostało dla nas jeszcze niebezpieczniejszym aniżeli dla mocarstw zachodnich, ze względu na katastrofalne zacofanie społeczne i gospodarcze. Stany świadomości i postawa sił społecznych wobec walki z kryzysem, względnie przebudowy ustrojowej, kształtowały się też u nas inaczej. Państwo zajęło stanowisko liberalnego konserwatyzmu i odpowiednim torem poprowadziło swoją politykę gospodarczą. Społeczeństwo zajęło stanowisko dynamiczne i opozycyjne, ale tylko pod kątem pytania, czy „sanacja" się utrzyma, lub nie utrzyma przy władzy. W zakresie kryzysu gospodarczego i metod walki z nimi, społeczeństwo wykazało już to skłonności konserwatywnie liberalne, równoległe do rządowych, już też pewien dynamizm żywiołowych odruchów według również konserwatywnego szablonu ideologii klasowej lub rasowej. W gruncie rzeczy, o ile chodzi o realną ocenę rzeczywistości i przystosowaną do niej inwencję twórczą dróg gospodarczego ratunku i ustrojowej przebudowy, społeczeństwo polskie wykazało daleko posuniętą obojętność, niezrozumienie i martwotę myślową.

Jednakże nie stuprocentową. Owszem począł się także budzić pewien ruch obiektywny w postaci rzeczowej opozycji przeciwko konserwatywnej polityce gospodarczej państwa. Jej zasady w szeregu artykułów sformułował jesienią 1935 r. były min. skarbu płk I. Matuszewski. Prawie równocześnie b. ambasador w Waszyngtonie p. T. Filipowicz rozwinął silną kontragitację za podjęciem przez państwo walki z bezrobociem przy pomocy wielkich robót publicznych. Sedno tej agitacji zawierało się jednak nie tyle w samych robotach publicznych, ile w tym, że wobec braku kapitałów, finansowane miały być te roboty w drodze emisji znaków obiegowych. Myśl to była o tyle oryginalna, że na Zachodzie wysuwano ją wprawdzie, zwłaszcza ze strony marksistowskiej,

lecz jej w ten sposób nie realizowano, ponieważ bogate państwa zachodnie, były w stanie pokrywać inwestycje w drodze kredytowej. U nas myśl Filipowicza znalazła poparcie dwu autorytetów: b. ministra prof. Stanisława Grabskiego i b. ministra p. Hipolita Gliwica. Pierwszy rozwinął ją w szeregu artykułów, drugi w książce.

Ten ruch pierwotny wkrótce potem przycichł, gdyż na wiosnę r. 1935 deflacyjna „sanacja gospodarcza" rządu premiera Kościałkowskiego dała wyniki pozytywne w postaci zrównoważenia budżetu, a także i ceny rolne zaczęły się od lata poprawiać. Później przyszła zapowiedź pożyczki francuskiej i wpływy poprawiającej się koniunktury światowej, które pozwoliły tymi samymi drogami rozwijać dalej politykę „odbijania od dna". Zachodziła silna obawa, że w atmosferze „poprawy gospodarczej" zatoną i ścichną wszelkie radykalniejsze dążenia w zakresie środków tej poprawy, jako już nieaktualne. Temu „niebezpieczeństwu poprawy" przeciwstawiło się jednak kilku upartych publicystów polskich, pośród nich również niżej podpisany. Od wiosny r. 1936 *Przegląd Powszechny* zaczął wychodzić w Warszawie, poczem zaraz w zeszytach czerwcowym, lipcowym i wrześniowym tegoż roku ukazała się obszerniejsza rozprawa polemiczna przeciwko deflacyjnej teorii p. Matuszewskiego. Rozprawa ta uzasadniała zarazem pozytywnie konieczność przebudowy systemu pieniężnego, jako jedyne wyjście z polskiego impasu i podstawową dźwignię przełomu ustrojowego. O ile mi wiadomo była to pierwsza, w języku polskim opublikowana próba szerszego, niźli pod kątem robót publicznych, ujęcia problematyki pieniądza i kapitału; niechętna przy tym długoterminowej inwestycji emisyj pieniężnych w robotach publicznych. Z tego założenia wychodząc prowadzona była dalej w *Przeglądzie,* w licznych artykułach związanych z oceną położenia kraju, systematyczna kampania antydeflacyjna.

Trwa ona blisko dwa lata. W kampanii tej nie byliśmy odosobnieni. Jesienią 1936 r. ukazała się książka p. G. Olechowskiego traktująca również reformę pieniądza w perspektywie zasadniczej zmiany ustroju, oraz książka pana St. Majewskiego. Prof. St. Grabski wystąpił w tymże czasie z drugą serią artykułów przeciwko walucie złotej, stawiając

zagadnienie na gruncie rozszerzonym. W styczniu zaś 1937 r., może nie bez związku z powyższym ruchem publicystycznym, tezy jego podniósł i poparł w sejmie zasłużony przedstawiciel obozu legionowego, poseł, generał Żeligowski.

Potem na dłuższy czas zaległa cisza, bo wzmogło się „niebezpieczeństwo poprawy gospodarczej" z tytułu koniunktury; polityka zaś deflacyjna, w związku z nią, podjęła heroiczny „wielki plan" inwestycyjny oraz budowę Centralnego Okręgu Przemysłowego. W *Przeglądzie* zajęliśmy wobec tych zamierzeń stanowisko oczywiście zasadniczo życzliwe, ale konsekwentnie krytyczne w zakresie metod i widoków realizacyjnych. Wtórowały nam niektóre poczytne pisma codzienne.

Myśl sama coraz bardziej dojrzewała także w sferach najwyższej inteligencji zawodowej. W końcu ub. r. ujawniła się nareszcie ze strony bardziej niż kiedykolwiek autorytatywnej.

Wyszły z druku dwie książki, [1]) którym niniejszy artykuł poświęcić pragnę. Ich autorowie są pierwszymi w Polsce (z pewnym zastrzeżeniem na korzyść St. Grabskiego) czołowymi specjalistami w zakresie polityki gospodarczej, walutowej i skarbowej, którzy opowiadają się za reformą systemu pieniężnego nie dorywczo tylko, dla finansowania robót publicznych, lecz zasadniczo. W reformie tej upatrują jedno z najważniejszych narzędzi przekształceń ustrojowych przebudowy społecznej, wszędzie nieuniknionych, w Polsce bardziej niż gdziekolwiek nieodzownych.

Mamut liberalizmu.

Dobrze, że się te dwie książki ukazały prawie równocześnie. Oświetlają ten sam problemat z dwóch różnych stron. Zdziechowski, od strony bardziej faktycznej i praktycznej, Młynarski zaś od strony teoretycznej i ustrojowej. Równoległe i zbliżone, choć nie identyczne koncepcje obu

---

[1]) Jerzy Zdziechowski: *Mit złotej waluty*. Warszawa 1937. Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska".

Feliks Młynarski: *Proporcjonalizm ekonomiczny*. Zagadnienie nowego kierunku. Warszawa 1937. Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska".

autorów rozwijane są w najściślejszym oparciu o stan doświadczeń rzeczowych na Zachodzie i tamtejszą naukową literaturę przedmiotu. Rozwijane są też według typowych metod argumentacji przyjętych obecnie, w nauce ekonomicznej zachodniej lub w dyskusjach parlamentów i ich komisyj budżetowych.

Ton i poziom obu prac idealnie jest zatem przystosowany do mentalności środowiska rządzącego obecnie Polską, z sejmem i senatem włącznie. Obie one warte są ze wszech miar zainteresowania tych sfer, zarówno jak i tzw. sfer gospodarczych, niemały wywierający wpływ na konserwatywną polską politykę ekonomiczną. Powinnyby tam zyskać poczytność i wywrzeć wpływ tym snadniej, że mimo rozległych zasadniczych perspektyw, są w swych praktycznych i doraźnych zaleceniach dość powściągliwe. Nie domagają się eksperymentów zbyt silnie wyprzedzających doświadczenia Zachodu, raczej dążą do podciągnięcia polskiej polityki ekonomicznej na poziom dawno już na Zachodzie osiągnięty. W szczególności stosuje się to do Zdziechowskiego, którego myśl pracuje w płaszczyźnie bardzo konkretnej i realnej. Młynarski znów nadaje się, jak nie można lepiej, by zwolenników polityki gospodarczej, prowadzonej „z podręcznikiem ekonomii w ręku" przekonać, iż treść owego „podręcznika" na Zachodzie wykazuje tendencję do głębokich zmian i gruntownie przerobionych nowych wydań. Poczytność tedy w kołach parlamentarnych i w ogóle rządzących, książki te zdają się mieć zapewnioną tym bardziej, że u Zdziechowskiego nie brak akcentów aktualnie i taktycznie politycznych. Jego praca wywiera wrażenie tezy kandydackiej do teki ministra skarbu, nie tylko w swej zasadniczej treści, lecz także w pewnych rysach ubocznych, o charakterze taktycznym. Zaliczyłbym do nich sztandarowe hasło nacjonalizmu gospodarczego, ciepłe zwroty wobec totalizmu, wysunięcie roli personalnej autora w przedmajowej polityce ekonomicznej polskiej oraz dyskretną kurtuazję wobec głównego teoretyka deflacji, ale zarazem najwybitniejszego spośród byłych pomajowych ministrów skarbu i niemniej wybitnego sławkowca (legionowy nacjonalizm i totalizujący kult państwa) pułkownika Matuszewskiego.

U Młynarskiego akcentów takich nie widać, jednak nie jest może przypadkiem, że w bardzo wysokich sferach ujawniły się niedawno żywe sympatie dla idei spółdzielczej, którą Młynarski propaguje.

Obaj autorowie zapożyczają bezpośrednie impulsy i cele swoich wywodów od Zachodu. Osią zainteresowań odnośnej literatury na Zachodzie jest wielki kryzys, jego źródła i katastrofalne objawy. Za źródło, obok następstw wielkiej wojny, poczytywaną bywa „cykliczna" periodyczność przesileń gospodarczych nieodłączna dotąd od ustroju kapitalistycznego, a wynikająca organicznie z wahań wolnej gry między popytem i podażą. Tej właściwości ustroju kapitalistycznego przypisano na Zachodzie również kryzys ostatni, przeceniając na ogół jej w tym wypadku wpływ, a raczej niedoceniając przyczyn innych, głębszych, wynikłych z wojen, a zwłaszcza ze strukturalnych zwyrodnień gospodarstw narodowych i gospodarstwa światowego. Ponieważ zaś najdotkliwszy bezpośredni objaw kryzysu stanowi spadek cen i bezrobocie, czyli równoległa klęska kapitału i pracy, przeto główny wysiłek myśli teoretycznej zachodniej skierowany został ku opanowaniu „cyklizmu" przesileń za pomocą trwałej stabilizacji cen, co gdyby się powiodło i przesileniom zapobiegło, tym samym usunęłoby również klęskę bezrobocia. Problemat stabilizacji cen na pozór zdaje się należeć wyłącznie do zakresu techniki monetarnej, względnie polityki walutowej, od tej więc przede wszystkim strony został poddany rozważaniom teoretyków. Nie wyłącznie jednak, gdyż bliższa analiza szybko ujawniła pod powierzchnią problematyki monetarnej nurt zjawisk głębszych warunkujących go strukturalnie. Tu należy zwłaszcza stosunek podaży i popytu, wytwórczości i spożycia, oraz podziału dochodu społecznego między kapitał i pracę. I te więc zagadnienia wciągnięte zostały w dyskusję, jednak na ogół raczej drugorzędnie wobec kwestyj bezpośrednio dotyczących pieniądza i kapitału. Nie mogło zresztą inaczej być skoro Zachodem rządzi wielki kapitał, a kryzys niszczył go wprowadzając zamieszanie w cenach i walutach.

Zdziechowski i Młynarski rozwijają swe prace w tym samym porządku zainteresowań, jednak poprzez gąszcze

techniki oraz polityki walutowej głębiej może niźli teoretycy zachodni przedzierają się ku zagadnieniom strukturalnym. Obaj uznają, że pierwiastek „cykliczny" w przesileniu ostatnim odegrał rolę raczej podrzędną, że natura tego przesilenia jest głęboko strukturalna i że jego opanowanie wymaga zasadniczej przebudowy ustrojowej gospodarstw narodowych, a nawet gospodarstwa światowego. Na czoło tej przebudowy obaj autorowie wysuwają racjonalizację podziału dochodu społecznego między kapitałem i pracą, względnie między wytwórczością a spożyciem, gdyż najważniejszą dysharmonię ustrojową kapitalizmu stanowi właśnie upośledzenie konsumcji na rzecz produkcji. Obaj autorowie poczytują przy tym oderwanie pieniądza od złotego pokrycia za nieodzowny środek, który poprzez pełną swobodę manipulacji walutą zapewnić może do pewnego stopnia stabilizację cen, tym samym zaś opanować cykliczne przesilenia i wynikające z nich bezrobocie. Obaj wreszcie uznają konieczność gospodarki planowej. Poza tym wywód w obu pracach idzie odmiennym torem, wnioski zaś dotyczą odmiennych dziedzin: u Zdziechowskiego przede wszystkim praktyczno-politycznej i polskiej, u Młynarskiego przede wszystkim zasadniczo ustrojowej.

Zdziechowski w szeregu rozdziałów żywo, barwnie i dosadnie maluje obraz wewnętrznej i międzynarodowej ewolucji ekonomicznej wielkich mocarstw. Podkreśla „mamonistyczne" zwyrodnienia kapitalizmu, które konsumcję oddały w niewolę produkcji, a produkcję finansjerze i które poprzez potworne „bramy" wiodą do niemniej potwornych krachów. Przedstawia mechanizm finansowo-międzynarodowy powstawania kryzysu, a następnie metody walki z nim zastosowane w Anglii, Ameryce, Niemczech i Francji. Najważniejszym doświadczeniem jakie ta walka przyniosła jest fakt bankructwa waluty złotej o sztywnej, niezmiennej wartości własnej, jako środka mającego regulować wewnętrzną i zewnętrzną harmonię produkcji i spożycia, podziału i wymiany. Jeśli pieniądz ma popierać wytwórczość, zatrudnienie i kapitalizację wewnątrz krajów, jeśli ma być zdolnym do przeciwdziałania zbyt ostrym wahaniom cen, na zewnątrz zaś zapewniać ich zdolność konkurencyjną, to waluta nie

może się opierać na sztywnym parytecie wobec złota, lecz na elastycznym parytecie gospodarczym. Zawartość złota w jednostce monetarnej winna być od czasu do czasu regulowana do takiego poziomu, by zewnętrzny kurs pieniądza zapewniał dostatecznie niskie ceny eksportowe w złocie, równocześnie zaś ceny wewnętrzne w walucie krajowej, dostatecznie wysokie dla zapewnienia rentowności produkcji. Taki jednak poziom cen krajowych wymaga dostatecznej w kraju ilości kapitału obrotowego oraz środków płatniczych, czyli pieniądza. Dlatego obieg pieniężny przy każdej zmianie parytetu gospodarczego winien być ilościowo do niej przystosowany, niezależnie od wysokości posiadanego złotego pokrycia.

Proceder ten, na tle walki z kryzysem znalazł zastosowanie nie tylko w krajach anglo-saskich, lecz literalnie we wszystkich większych państwach. Wszędzie dał pożądane a niezawodne wyniki, za wyjątkiem Francji, gdzie go zastosowano za późno i bezplanowo oraz Niemiec i Polski, gdzie go nie zastosowano wcale. Za koniecznością oderwania pieniądza od złota przemawia również inny, silnie przez autora podkreślany fakt, iż $^3/_4$ światowego zasobu złota monetarnego skupiły w swej dyspozycji 3 wielkie mocarstwa: Ameryka, Anglia i Francja. Jeśli wziąć przy tym pod uwagę, że zewnętrzne kursy walut w obecnych warunkach zależą nie tyle od wyniku obrotów handlowych (jak powinno być przy liberalizmie), ile od ruchu wielkich mas „kapitału koczującego", który przenosi się z kraju do kraju w zależności od stopy procentowej, spekulacji walutowej, bezpieczeństwa politycznego lub innych względów — to stwierdzić wypada, że złoto nie nadaje się już jako regulator obrotu gospodarczego zarówno wewnętrznego, jak międzynarodowego. Tak jest zwłaszcza w krajach, które złota nie produkują i nie posiadają go w dostatecznej ilości. O ile trzymają się przy tym waluty złotej, to wynika stąd dla nich jedynie uzależnienie od wielkich mocarstw, które złoto u siebie niemal zmonopolizowały.

Końcowe rozdziały tej książki, poświęca autor zwięzłej historii polityki walutowej, skarbowej i gospodarczej polskiej. Dowodzi, że zasada wysoko pokrytej względnie wysoko-

parytetowej waluty złotej zaciążyła bardzo szkodliwie nad całym rozwojem gospodarczym Polski odnowionej. Jedyny moment jaśniejszy w tej ewolucji stanowi dewaluacja z r. 1925/6, którą przeprowadził Zdziechowski jako minister skarbu, realizując parytet gospodarczy złotego. Było to pierwsze tego rodzaju posunięcie dokonane w świecie, a wynik był niemniej pomyślny niźli osiągany później tą samą metodą w innych krajach. Zastosowanie jej zaleca autor w ostatecznych wnioskach i obecnie. Proponuje taką zniżkę kursu zewnętrznego naszej waluty w stosunku do złota, która uwzględniając nieuchronny wzrost cen nominalnych wewnętrznych, zapewniłaby zniżkę cen eksportowych w złocie o mniej więcej 15%; wskaźnik zaś cen hurtowych w walucie nominalnej doprowadziłaby do poziomu około 85, przy 100 w r. 1929 a 62 w r. 1937. Na tych mniej więcej podstawach może być — zdaniem Zdziechowskiego — w nowym systemie pieniężnym osiągnięta w Polsce gospodarcza równowaga, czyli konkurencyjność cen na zewnątrz, a rentowność przedsiębiorstw, wzrost produkcji i zatrudnienia na wewnątrz państwa. Oczywiście wzrost cen i kosztów produkcji wymagałby proporcjonalnego rozszerzenia zbyt szczupłych zasobów kapitału obrotowego w kraju. Zanim by się on wytworzył w drodze normalnej kapitalizacji, musiałby być zastąpiony (antycypowany) obrotowym kredytem emisyjnym, czyli rozszerzeniem obiegu pieniężnego. Gdyby rozszerzenie normalne, czyli proporcjonalne do stopnia dewaluacji okazało się niewystarczające, bank emisyjny powinien otrzymać swobodę redukcji stosunku obiegu do złotego pokrycia w miarę zachodzącej potrzeby.

Punkt wyjścia tych propozycyj czyli jednorazowa dewaluacja o 15% nie ma sam w sobie nic przerażającego ani rewolucyjnego, gdyż wymaga właściwie tylko wstąpienia Polski w ślady większości państw świata. Nie ma też żadnych podstaw do obawy, ażeby nie miał w Polsce dać równie dodatniego wyniku, jaki osiągnięto prawie powszechnie, czyli zrówna tempo dźwigania się z kryzysu w Polsce z tempem innych krajów. Jednakże strukturalne zacofanie gospodarcze Polski, w szczególności zaś nasza nędza kapitalistyczna jest tak wielka, że jednorazowy zabieg niewątpli-

wie by nie wystarczył. Zdziechowski postuluje więc zasadniczą zmianę całego systemu gospodarki narodowej, w szczególności pieniężnej. Domaga się ruchomego kursu złotego w stosunku do złota, swobody emisji banknotów niezależnie od pokrycia złotego, przymusowego wykupu złota przez państwo z rąk obywateli, podobnie jak walorów ulokowanych przez nich za granicą, odbudowy rynku pieniężnego i finansowania inwestycyj dopiero w oparciu o ten odbudowany rynek; wreszcie zaś planowej gospodarki narodowej obejmującej przede wszystkim politykę surowcową, kontrolę kredytu, rozprowadzenie wytwarzanej przez państwo siły nabywczej i handel zagraniczny.

Te postulaty wykraczają już w pewnej mierze poza fakty dokonane w tej dziedzinie za granicą. Zastosowane w rzeczywistości niewątpliwie i szybko posunęłyby Polskę znacznie dalej na drodze przebudowy ustroju gospodarczego niż to miało dotąd miejsce w krajach obcych. Musiałoby się tak stać siłą rzeczy, ponieważ zacofanie i nędza nasza są tak wielkie, iż muszą być dźwigane forsowniej i radykalniejszymi środkami niźli na Zachodzie.

Konieczność wejścia na tę drogę umotywowana jest w książce Zdziechowskiego w ogóle, a w końcowych rozdziałach w szczególności bardzo mocno. Jako atak przeciwko deflacji rozwijają one siłę wręcz druzgocącą. Polemiki ze strony deflacjonistów z pewnością nie wywołają, gdyż byłaby nie tylko trudna, ale wręcz beznadziejna. W huraganowym ogniu argumentów Zdziechowskiego, Polska zdaje się sterczeć między narodami jak zabytkowy mamut liberalizmu, albo osobliwy asceta wycieńczony fanatycznym postem ku czci złotego cielca.

Rzeczpospolita spółdzielcza.

Rozleglejsze pole dla dyskusji otwiera praca p. Młynarskiego. W wykładzie jest suchsza, w ujęciu bardziej teoretyczna, w wywodzie i wnioskach bardziej sporna. Zarazem jednak rozwija głębszą perspektywę ustrojowo-konstrukcyjną.

Za punkt wyjścia przyjmuje autor opanowanie cyklicznych przesileń przez stabilizację cen. Stwierdza podobnie

jak Zdziechowski „kryzys waluty złotej". Pieniądz może się nadawać jako narzędzie walki z nadmierną zwyżką lub spadkiem cen towaru jedynie wtedy, jeśli zostanie oderwany od sztywnego parytetu złota, jeśli przestanie być wartością niezmienną ujawniającą zmiany wartości towarowych, stanie się zaś wartością ruchomą, zdolną elastycznie przeciwstawiać się niepożądanym zmianom cen towarów. Jest to więc zasada waluty manipulowanej, odwrotna wobec zasady waluty złotowej.

Manipulacją walutową przeciwdziałać można zmianom poziomu cen towarowych w trojaki sposób: 1^0 dewaluować lub waloryzować czyli zniżać lub podnosić złotą wartość (parytet) jednostki monetarnej, 2^0 zwiększać lub kurczyć obieg pieniężny za pomocą zmian stopy dyskontowej (polityka dyskontowa), wreszcie zaś 3^0 można kombinować obie te metody. Każdy z tych trzech sposobów ma swoich zwolenników między uczonymi Zachodu. Jednak Młynarski idzie drogą odmienną, bardziej konstruktywną. Stwierdza, że manipulacja walutowa jest wprawdzie nieodzowna jako narzędzie stabilizacji cen, jednak nie zawsze bywa niezawodna; a przy tym zasadniczo dążyć należy nie do stabilizacji na jakimkolwiek poziomie cen, lecz do stabilizacji na poziomie zdolnym zapewnić opłacalność a więc rozwój produkcji, oraz zatrudnienia. Zawodną bywa manipulacja walutowa wtedy, gdy, jak to miało miejsce podczas wojny i kryzysu, podaż danego towaru silnie przewyższy lub silnie niedociągnie do rozmiarów popytu. Manipulacją bowiem walutową można podnosić lub zniżać ogólny poziom cen, trudniej jest jednak regulować stosunek poszczególnych cen w obrębie danego poziomu.

Ten punkt zaznaczyłem tu może nieco wyraziściej niż autor, który główną uwagę zwraca na zagadnienie opłacalności produkcji przy stabilizacji cen na danym poziomie. Ażeby ceny mogły być opłacalne, winny pokrywać koszta produkcji oraz dawać pewną nadwartość, zwaną zyskiem czyli rentą. Jest to możliwe tylko pod następującymi warunkami: 1^0 ażeby ceny dóbr i usług (pracy) wchodzące w skład kosztów produkcji były również ustabilizowane i to na takim poziomie, który by we właściwej proporcji utrzymywał wza-

jemny stosunek ich wartości. 2°. Taki proporcjonalizm wymiany dóbr i usług wymaga ścisłego przestrzegania wzajemnie proporcjonalnych rozmiarów i tempa produkcji w poszczególnych gałęziach, w obrębie zaś każdej z nich produkcja musi być rentowną, czyli pokrywać koszty i wytwarzać zysk. 3°. W tym celu musi być systematycznie i planowo utrzymywana właściwa proporcja ogólna między produkcją a konsumcją, między podażą a popytem dóbr i usług. 4°. Powszechna rentowność może być pokrywana tylko przez stały coroczny przyrost dochodu społecznego, który Młynarski nazywa postępem gospodarczym. 5°. W obrębie całokształtu narodowego gospodarstwa dochód społeczny winien być dzielony między produkcję a konsumcję tak, by ich natężenia pozostały we właściwej wzajemnej wobec siebie proporcji. Jest to zasada gwałcona jaskrawo przez jednostronny produkcjonizm kapitalistyczny, głównie powodujący kryzysy. 6°. W obrębie tej zasady najważniejszy jest podział dochodu między kapitałem a pracą, oraz dodajmy, miastem a wsią. 7°. Według Młynarskiego i niektórych uczonych zagranicznych dla osiągnięcia stabilizacji cen należałoby nie tylko sprawiedliwie podzielić dochód społeczny istniejący, lecz również systematycznie podnosić co roku zarobki robotnicze proporcjonalnie do „postępu gospodarczego". 8°. W tym punkcie autor upatruje zasadniczą trudność natury teoretycznej w tym, że systematyczne podnoszenie stopy zarobków (co by można nazwać „rentownością pracy") podnosi koszty produkcji a więc przeciwdziała stabilizacji cen. Zespołowi tych zasad p. Młynarski nadaje nazwę „proporcjonalizmu ekonomicznego".

Rozważając dalej środki za pomocą których można by te zasady realizować, autor zaczyna od waluty i manipulacji walutowej. Opowiada się bezwarunkowo za oderwaniem pieniądza od złota. Posuwa się jednak na tej drodze mniej pewnym krokiem, z większymi zastrzeżeniami niż Zdziechowski. Stwierdza, iż pieniądz w swej historycznej ewolucji stopniowo się dematerializuje, a złote jednostki monetarne coraz bardziej zmniejszają swą wagę. Mimo to upatruje autor niebezpieczeństwo w nieograniczonej swobodzie emisyj pieniężnych i pragnie ją związać jakąś nową normą gwarancyjną,

zdolną do zastąpienia funkcyj pokrycia złotego, odeń elastyczniejszą. Normę taką widzi w wysokości świadczeń publicznych. Ich zespół nie powinien przekraczać proporcji 40% w stosunku do dochodu społecznego, obieg zaś pieniężny nie powinien przekraczać 40% sumy budżetów państwa i samorządów. Nawiasowo zauważmy, iż w Polsce pozwoliłaby ta zasada zwiększyć obieg pieniężny najwyżej o jakieś 50%, czyli nie wiele więcej niż można by uczynić także na podstawie prawideł waluty złotej, jej bowiem pokrycie u nas jest wyższe od ustawowego i posiada jeszcze pewną „markę emisyjną". Wyjściowa propozycja Młynarskiego jest zatem powściągliwsza niż nawet „parytet gospodarczy" Zdziechowskiego.

Spośród pozamonetarnych środków realizacji „proporcjonalizmu gospodarczego" zaleca p. Młynarski przede wszystkim „budżet dynamiczny", to znaczy zwaloryzowany według wskaźnika cen hurtowych; z tym jednak zastrzeżeniem, że wysokość wydatków publicznych winna zmieniać się nie w stosunku prostym, jak dochody, lecz odwrotnym do zmian w poziomie cen towarowych. Gdy więc ceny rosną, to rosną również i dochody skarbu, wydatki jednak powinny być raczej kurczone. I na odwrót, jeśli ceny spadają, to spadają także dochody skarbu, ale wydatki powinny raczej wzrastać. Wymaga to gromadzenia rezerw skarbowych w latach „tłustych" i wydatkowania ich w latach „chudych"; zabieg ten ma na celu działanie hamujące lub pobudzające na poziom cen. Poza tym zaleca jeszcze autor ruchomą stopę procentową kredytu długoterminowego i ograniczającą kontrolę obrotu czekowego.

Najważniejszy jednak środek realizacyjny „proporcjonalizmu ekonomicznego" dostrzega p. Młynarski gdzie indziej, mianowicie w przebudowie ustroju według zasady, której daje miano „federalizmu społecznego". Ustrój ten opiera się na uznaniu równości praw między światem kapitału i światem pracy do udziału w spożyciu owoców produkcji. Ma się on rozwinąć szlakami odrębnymi zarówno od liberalnej anarchii ekonomicznej, jak elastycznej tyranii marksizmu. Jego przewodnią myśl stanowić ma „społeczne władanie własnością prywatną". Najistotniejszą cechą ustroju kapitalistycznego ma być, według p. Młynar-

skiego, wolna umowa najmu, dająca przewagę kapitałowi nad pracą w podziale owoców produkcji. Doniosłą cechą drugorzędną jest wytwarzanie nie dla spożycia, lecz na sprzedaż na wolnym rynku. To pociąga za sobą tzw. ryzyko rynkowe, czyli prawdopodobieństwo strat skutkiem niedopasowania produkcji do konsumcji przez prywatną inicjatywę wytwórczą.

Nowy ustrój ma temu zapobiec uspołeczniając umowę najmu. To oznacza nie tylko zbiorowość umów między związkami pracobiorców i pracodawców, lecz także ustawową gwarancję udziału w zyskach przedsiębiorstwa dla jego robotników. Wysokość tego udziału mógłby określać np. stosunek między kapitałem zakładowym przedsiębiorstwa, a kwotą robocizny wypłaconej w ciągu roku.

Udział ten nie byłby jednak wypłacany łącznie z robocizną lecz przechowywany przez przedsiębiorstwa w specjalnej kasie centralnej. Kasę tę administrowałby zarząd związku spółdzielni spożywczych, do których należeć by musiał cały świat pracowniczy z mocy prawa o powszechnej powinności spółdzielczej. Fundusz mógłby być obracany zarówno na potrzeby spółdzielni, jak na asekurację robotników przed bezrobociem. W razie zamykania fabryk, fundusz mógłby interweniować i ewentualnie przejmować je na własność. Zarówno tym sposobem, jak i dlatego że spółdzielnie spożywcze nieraz przechodzą do organizacji własnych warsztatów wytwórczych, mogłaby się rozpowszechniać spółdzielcza forma własności i produkcji. Przedsiębiorstwa indywidualne i kapitalistyczne, a więc niespółdzielcze miałyby wprawdzie stanowić zasadniczą formę organizacyjną produkcji w chwili powstawania nowego ustroju, jednak bierze się w rachubę, poczytuje za pożądane i prawdopodobne, iż z czasem stałyby się raczej zjawiskiem wyjątkowym w pośród rozkwitającej spółdzielczości. Wreszcie, co najważniejsza autor sądzi, że jedynie poprzez spółdzielczość obowiązkową i powszechną, da się skutecznie opanować destrukcyjne ryzyko rynkowe kapitalizmu, gdyż spółdzielczość organizuje spożycie, więc może określać popyt i pozwala przystosować doń wytwórczość. Tą więc drogą

miałoby się osiągnąć harmonię między produkcją a konsumcją od której zależy stabilizacja cen.

Tak się przedstawia projekt przebudowy społecznej zarysowany w książce p. Młynarskiego. Jego zdaniem taki ustrój byłby logicznym odpowiednikiem waluty manipulowanej podobnie jak ustrój liberalno-kapitalistyczny odpowiada walucie złotej. W ustroju p. Młynarskiego uderza absolutne oderwanie od kwestii ustroju politycznego, z którym ustrój społeczno-gospodarczy nierozdzielnie zawsze się kojarzył. Domyślać się tylko można, że wspomniana przezeń „rzeczpospolita spółdzielcza" byłaby przeniknięta duchem syndykalistycznym i zapewnie zbliżona organizacyjnie do demokracji parlamentarnej. Uderza także fakt, że autor usiłuje upragnioną stabilizację cen osiągnąć dwiema drogami, od strony manipulacji pieniądzem i od strony organizacji dołu społecznego, czyli mas pracowniczo-konsumenckich. Krytycznie też usposobiony jest p. Młynarski wobec korporacjonizmu, ze względu na jego ustrojowo-polityczną tendencję hierarchiczną i autorytatywną.

Nowy podział.

Praca p. Młynarskiego zawiera wiele poglądów głębokich, interesujących i trafnych, ale budzi też wiele zastrzeżeń. Dlaczego i w jakich punktach?

Weźmy pod uwagę naprzód nie powierzchnię zjawisk lecz ich głębinę, nie stabilizację cen i manipulację pieniądzem, lecz zagadnienie produkcji i konsumcji, podaży i popytu. Jasną jest rzeczą, że o stabilizacji cen rozstrzygać musi w pierwszym rzędzie i właściwie wyłącznie stabilizacja równowagi pomiędzy wytwórczością a spożyciem, oraz równomierne ich finansowanie. Libero-kapitalizm stosunek ten doszczętnie zanarchizował ponieważ produkował bez planu, pod żywiołowym naciskiem żądzy zysku. Dzięki temu w Ameryce z jednej strony zdołano nagromadzić nadmiar kapitału w wysokości 50 miliardów dolarów wkładów bankowych, podczas gdy w konsumcji powstał straszliwy niedobór w postaci 15 milionów bezrobotnych. Na tym polegał kryzys. Ażeby takich katastrof uniknąć nie tylko doraźnie, lecz zasadniczo i trwale należy istotnie zorganizować i pla-

nować zarówno produkcję, jak konsumcję, oraz podzielić między nie równomiernie dochód społeczny.

Tego zadania żadną miarą nie da się uskutecznić za pomocą akcji organizowanej od dołu, a w szczególności w takim tempie i zakresie jakieby mogło rozwinąć upowszechnienie spółdzielczości. Właściwą po temu instancją i właściwym szlakiem rozwojowym jest jedynie ten, na który wkroczyła Ameryka w dziele zapoczątkowanym przez Roosevelta. Inicjatywę i kierownictwo musi tu objąć centralna władza państwowa i to władza silna, swobodna w decyzjach, mało zależna od rządzonych. Władza prezydenta Stanów aczkolwiek większa niż w innych demokracjach, okazała się, dla przeprowadzenia dzieła przebudowy, niedostateczna. Rządzeni stawili skuteczny opór, gdy tylko Roosevelt zdołał osiągnąć doraźną poprawę. Przyszłość przebudowy społecznej w Stanach zależy też niewątpliwie w dużej mierze od ewolucji ustroju politycznego w kierunku autorytatywnym.

Zasadnicza tendencja reform Roosevelta wprowadzona była przezeń niewątpliwie na tor właściwy. Planowanie produkcji według wskaźnika konsumcji musi obejmować całokształt gospodarstwa narodowego i być prowadzone konsekwentnie. Planować więc musi centralna władza państwowa, względnie jej ekonomiczne ciało doradcze (centralna rada korporacyj). Kto zaś ma wykonać plan? Nikt bardziej do tego powołanym być nie może jak organizacje producentów. Każda gałąź gospodarki narodowej musi być w tym celu zorganizowana, jako korporacja obejmująca cały kraj i oczywiście podzielona wewnętrznie na grupy terytorialne przedsiębiorstw wielkich, średnich i drobnych, oraz kapitału i pracy. Zadaniem korporacji jest rozdzielać przyznany jej według szacunku spożycia kontyngent towaru, który ma być wytworzonym, między grupy i przedsiębiorstwa, podobnie ma ona rozdzielać odpowiedni kontyngent surowców, kalkulować koszty i ceny, a nawet płace i czas pracy, o ile by nie były uregulowane ustawowo. W tym kierunku działał Roosevelt, usiłując za pomocą „kodeksów pracy" zorganizować całą gospodarkę Ameryki w zrzeszeniach branżowych, pracodawców i pracobiorców. Nie jest to nic innego jak ustrój korporacyjny, który też nie może funkcjonować dobrze jeśli

nie będzie równocześnie ustrojem autorytatywnym. Prowadzi on do równowagi między wytwórczością a spożyciem dużo prościej i prędzej niźli ewolucyjnie hodowana „rzeczpospolita spółdzielcza". Zapewniając zaś, przynajmniej w ogólnym zarysie, ilościowe przystosowanie produkcji do konsumcji tym samym stwarza najgłębszą, zasadniczą podstawę stabilizacji cen.

Ma słuszność p. Młynarski gdy twierdzi, że taki ustrój korporacyjny sam przez się jeszcze nie rozwiązuje innego, niemniej podstawowego zagadnienia, mianowicie podziału dochodu społecznego między wytwórczością a spożyciem, kapitałem a pracą. Równomierny zaś podział tego dochodu jest równoznaczny z równomiernym finansowym uruchomieniem obu członów obrotu gospodarczego. Manipulując walutą, a jeszcze bardziej inflacją kredytową, Roosevelt mobilizował produkcję zwyżką cen, podnosił siłę nabywczą rolnictwa ograniczeniem jego podaży, tym samym więc zwiększał stan zatrudnienia. Doraźny wynik okazał się wystarczającym, ażeby dalej prezydentowi pójść nie pozwolono. Jednakże w kodeksach pracy zamierzał on posunąć się dalej. Ich tendencją była antycypacja wzrostu zatrudnienia, która by z kolei pociągnęła za sobą wzrost spożycia i wytwórczości. Dążono do skracania czasu pracy, przy niezmniejszonej produkcji, co by wymagało zwiększenia załóg robotniczych. Płace również miały być utrzymywane w poprzedniej wysokości, ceny zaś możliwie nie podwyższane. Gdyby ten system wszedł w życie to nieuniknionym by się okazał wzrost kosztów produkcji, który by musiał albo podnieść ceny, albo spowodować deficytowość, czy zniżkę rentowności.

Deficytowość w Ameryce mogła być łatwo przez czas jakiś pokrywana kredytem. W ostatecznym wyniku miała nastąpić całkowita absorpcja bezrobocia i odrodzenie pełnej siły nabywczej rynku spożywczego. W ich obrębie spodziewano się osiągnąć równowagę produkcji i konsumcji oraz prawidłowość funkcyj całego narodowego gospodarstwa. Nadzieja ta była uzasadniona, z tym jednak zastrzeżeniem, że w Ameryce zdolność wytwórcza przerasta miejscową zdolność spożywczą, nawet przy pełnym jej uruchomieniu, o ile by nie nastąpił sprawiedliwszy podział dochodu spo-

łecznego, podnoszący stopę życiową świata pracowniczego. Ażeby ją podnieść należałoby podwyższyć zarobki ustawą o minimum płacy, oraz skrócić czas pracy ustawą określającą dlań maksimum niższe od dotychczasowego. To by znów podniosło koszty produkcji i ceny. Czy na tej drodze mogła być osiągnięta równowaga produkcji z konsumcją przez zniżkę pierwszej oraz wzrost drugiej?

Sądzę, że tak. Problemat jest zasadniczo ten sam, który porusza p. Młynarski pisząc o stałym podnoszeniu zarobków robotniczych proporcjonalnie do „postępu gospodarczego" czyli wzrostu dochodu społecznego. Większe koszty produkcji muszą się wyrazić w zwyżce cen. P. Młynarski zaś w ślad za Keynesem jest zdania, że zarobki robotnicze powinny wzrastać na rachunek postępu gospodarczego bez zwyżki cen. Sądzę, że nie jest to ani możliwe ani potrzebne. Wzrost dochodu społecznego rozkłada się równomiernie w społeczeństwie w pewnej mierze właśnie przez zwyżkę zarówno płac jak i cen. „Poprawa bytu" robotnika wyraża się wówczas w tym, że robocizna stanowi tylko część kosztów produkcji, więc wzrost ceny towaru kalkuluje się stosunkowo niżej od wzrostu płac. Jeżeli może przy tym być rozszerzony ilościowy stan zatrudnienia tak znacznie jak do tego dążono podczas dwuletniej akcji N. I. R. Y. w Ameryce, to wchodzi w grę jeszcze zniżka kosztów produkcji i cen na skutek tańszej kalkulacji przy masowo rozszerzonym zbycie. Jeżeli zdolność produkcyjna przy pełnym zatrudnieniu przerasta zdolność spożywczą rynku, to należy produkcję zmniejszyć skracając czas pracy, a uniknie się strat z powodu zniżki cen na skutek nadmiernej podaży. Jeśli chodzi o wzrost siły nabywczej rynku przy pełnym zatrudnieniu, to należy podnieść zarobki i ceny zgodnie z kalkulacją, pierwsze więcej a drugie mniej.

Są to czynniki automatyczne, które zapewniają osiągnięcie równowagi między wytwórczością a spożyciem oraz stabilizację cen na pewnym trwałym poziomie naturalnym, określonym właśnie przez tę równowagę.

Inna rzecz, iż poziom ten nie może być identyczny z tym chwiejnym poziomem równowagi przypadkowej jaką określa stosunek popytu do podaży przy upośledzeniu finan-

sowym pracy i konsumcji przez kapitalistyczny hiperprodukcjonizm i hiperkapitalizację. Ten poziom równowagi naturalnej i trwałej musi być wyższy i to znacznie od poziomu cen i płac istniejącego w warunkach liberalnej anarchii. Wynikają stąd dwie konsekwencje. Pierwsza ta, że przy racjonalnym podziale dochodu społecznego między produkcją a konsumcją potrzebna będzie dla prowadzenia przedsiębiorstw znacznie większa ilość kapitału obrotowego niż obecnie. Druga konsekwencja to, że ów poziom stabilizacji naturalnej nie może być osiągnięty przez żadne manipulacje walutą, lecz jedynie w drodze „r ó w n a n i a w g ó r ę" cen i płac.

Nie stabilizacja zatem powinna być najbliższym przedmiotem zainteresowań teoretyków, lecz to co ją koniecznie poprzedzić musi: wyrównywanie istniejących dysproporcyj przez nie tyle równomierny, ile celowo regulowany wzrost zarobków i cen. W krajach gdzie istnieje nadmiar kapitału, zaoszczędzonego na skutek dotychczasowego upośledzenia pracy i spożycia, koszty równania w górę mogą być pokryte przynajmniej częściowo kredytem nie zwaloryzowanym, a więc odpowiednią redukcją tego nadmiaru czyli dekapitalizacją. W krajach zaś tak ubogich w kapitał zaoszczędzony jak Polska, koszty równania w górę mogą być pokryte jedynie w drodze a n t y c y p a c j i kapitału obrotowego przez emisje pieniądza. Dostatecznie szerokie rozwinięcie tych emisyj nie jest jednak możliwe inaczej, jak przy zupełnym oderwaniu waluty od złota. Nie na to bowiem tylko jest nam ono potrzebne, byśmy mogli wykorzystać „parytet gospodarczy" według systemu Zdziechowskiego. Nasze konieczności życiowe są o wiele tragiczniej napięte niźli przez sam tylko nierównomierny podział dochodu społecznego i perturbacje międzynarodowe, jak na bogatym Zachodzie. Musimy przede wszystkim dochód ten potężnie podnieść, a ponadto jeszcze wyrównywać otchłań nierównowagi między miastem a wsią, czyli inwestować!

Nieodzowne w tym celu całkowite oderwanie waluty od złota da się pogodzić z systemem Zdziechowskiego, a nawet zostało weń włączone. Z koncepcją Młynarskiego jest niezgodne. Obawia się on nieograniczonej swobody emisji, usunąwszy więc złoto pragnie je zastąpić określonym

stosunkiem obiegu do sumy świadczeń publicznych na rzecz państwa i samorządów. Przekreśliłoby to z punktu dla Polski wszelkie możliwe wyjścia z matni. Zasadniczo zaś i teoretycznie stanowisko Młynarskiego jest, według mnie, mylne. Żadna wewnętrzna norma ograniczająca obieg pieniężny nie jest potrzebna, lecz przeciwnie byłaby, zwłaszcza w naszych warunkach, szkodliwa. Jedyną, a najzupełniej dostateczną normą zabezpieczającą przeciwko nadmiernemu rozszerzaniu obiegu są realne potrzeby obrotu gospodarczego. Najzupełniej wystarczającym czynnikiem, który zabezpiecza walutę oderwaną od złota przed deprecjacją we wzroście cen jest oględność, która nie dopuści ażeby pieniądza w obiegu znalazło się więcej niźli go istotnie potrzeba.

Powyższy pogląd pozostaje w całkowitej zgodzie tak z historyczną ewolucją jak z samą naturą pieniądza, którą analizuje P. Młynarski. Przyznaje, iż pieniądz w ciągu wieków dematerializował się stopniowo, że ciąży coraz bardziej do roli abstrakcyjnej jednostki rozrachunkowej, mimo to jednak przyznaje mu nadal pewną wartość własną w postaci „wymienialności na usługi publiczne", czyli mocy prawnej gaszenia zobowiązań wobec skarbu państwa. Dzięki niej pieniądz nawet gdy faktycznie utracił materialną wartość kruszcu w monecie złotej, zachował jednak nie tylko prawną, lecz i rzeczywistą moc gaszenia zobowiązań również w obiegu gospodarczym. Dlatego pragnie go p. Młynarski związać ilościowo z wysokością budżetu.

Że „wymienialność na usługi publiczne" stanowi nieodzowny element wartości pieniądza, temu oczywiście trudno przeczyć. Nie jest to wszakże element jedyny. Najzupełniej równorzędną jest wartość własna banknotu jako znaku wyobrażającego wartość złota, a więc zdolnego służyć do miary wartości towaru, oraz jako nieodzownego środka, względnie dokumentu wymiany. „Wymienialność na usługi publiczne" stanowi konieczną podporę i sprawdzian wymienialności ogólnej na inne usługi i towary, ale ta druga wymienialność nie traci przez to bynajmniej swojej wartości własnej. Pieniądz jako taki jest potrzebny, istnieje więc nań popyt taki sam jak na inne usługi czy towary. To było w gruncie rzeczy najistotniejszym elementem jego wartości

nawet wówczas, gdy materialnie krążył w obiegu jako moneta złota. Tę nieodzowną swą właściwość zachowuje również jako jednostka rozrachunkowa wyobrażona w banknocie. Pieniądz przestał być materialnym towarem złotym, ale nie tylko zachował wymienialność na usługi publiczne, lecz sam był i pozostał usługą publiczną. Ta przeto usługa może i powinna być dostarczana w podaży ilościowo normowanej jedynie przez rzeczywisty popyt gospodarczy.

Wreszcie jedna jeszcze sprawa ważna wymaga tu zaznaczenia. Droga do stabilizacji cen przez równanie w górę, czyli ich znaczny i względnie długotrwały wzrost — zużywa kapitał zaoszczędzony, redukuje jego wartość realną. W Ameryce może to być w pewnych granicach nawet pożądane, w Polsce byłoby nie tylko szkodliwe, lecz w ogóle nie do wytrzymania. Dlatego nieodzownym współczynnikiem antycypacji pieniężno-emisyjnej kapitału obrotowego musi być waloryzacja wszelkich zobowiązań prywatnych i świadczeń publicznych według wskaźnika cen hurtowych. Niemniej nieodzowną jest waloryzacja wszelkich zarobków i płac według wskaźnika kosztów utrzymania. Gdyby chodziło o hamowanie zbyt szybkiego wzrostu cen można by zastosować waloryzację częściową a także inne środki. Jest to zgodne z zasadą „dynamicznego" budżetu. Przy nieograniczonej swobodzie emisyj pieniężnych jest też najzupełniej wykonalne. W najprostszy sposób prowadzi ten zabieg do realizacji „proporcjonalizmu ekonomicznego", do udziału pracy w postępie gospodarczym, racjonalniejszego podziału dochodu społecznego, oraz równocześnie przyśpieszonej kapitalizacji.

Tezy powyższe łącznie z zagadnieniem zewnętrznego kursu waluty i obrotu międzynarodowego, wyłożyłem nieco obszerniej w czerwcowym, lipcowym i wrześniowym zeszycie naszego miesięcznika w r. 1936. Są one radykalniejsze od wysuniętych obecnie w omawianych książkach. Mogą się jednak przydać kiedyś gdyby zaniechaną została polityka deflacyjna i zastosowano system p. ministra Zdziechowskiego. Życie wkrótce przegalopowałoby zapewne jego dewaluacyjny punkt wyjścia i zmusiłoby do posunięcia się znacznie dalej.

St. Szczutowski.

Pojednanie dwu imperiów.

Od trzech blisko lat zogniskowały się na Śródziemnomorzu źródła europejskich niepokojów. Abisyński zatarg W. Brytanii i Włoch, oraz zasilane przez całą Europę walki w Hiszpanii groziły nieustannie wybuchem powszechnej wojny. Wojenna aktywność Japonii, jak i rozmaite „pokojowe" poczynania Niemiec, zawdzięczają tym właśnie śródziemnomorskim niepewnościom w jednakowej mierze swe dotychczasowe osiągnięcia. Nic więc dziwnego, że w takich warunkach kwietniowa ugoda dwu główniejszych na Śródziemnym Morzu rywali wywołała powódź komentarzy i zrodziła masę najrozmaitszych przypuszczeń. Wielka istotnie waga tego porozumienia, oraz daleko idące możliwe jego konsekwencje całkowicie jednak usprawiedliwiają poświęcenie temu zdarzeniu baczniejszej uwagi.

Morze Śródziemne, leżące u styku trzech kontynentów, stale uaktywniających swą działalność, z konieczności stać się musiało ich głównym łącznikiem i jednym z ważniejszych komunikacyjnych szlaków świata. W. Brytania, największa przemysłowa i kolonialna potęga Europy, przez bardzo długi szereg lat była czynnikiem dominującym na całym tym śródziemnomorskim szlaku. Bieżące stulecie, zmniejszając brytyjski potencjał w przemyśle i żegludze świata, z natury rzeczy uszczuplało również brytyjski udział w gospodarczym ruchu na drogach Śródziemnomorza. Lata wojny, wzmagające rozwój techniki, a szczególnie techniki środków bojowych, oraz polityczne w niej osiągnięcia państw tego morza, radykalnie zmieniły polityczne i strategiczne

jego stosunki. Zespół tych zmian nie przyczynił się jednak do spotęgowania znaczenia W. Brytanii.

Niezmiernie wydłużona linia brzegowa Italii, oraz nadbrzeżne położenie wielu ośrodków jej gospodarczego życia, uzależniły jej bezpieczeństwo od dobrych stosunków z W. Brytanią. Dopóki technika wojny znała nawodne tylko środki walki, gospodarcze zasoby Italii uniemożliwiały jej przeciwstawienie się potędze floty brytyjskiej. Nie zachodziła zresztą tego potrzeba. Dopóki bowiem rozwój techniki wojennej gwarantował Brytyjczykom bezpieczeństwo ze strony Włoch, Londyn popierał ich aspiracje, przeciwstawiając je bądź resztkom dynamizmu Francji, bądź śródziemnomorskim i wschodnim, za pośrednictwem Austro-Węgier, planom Niemiec. W tych warunkach miało pewne swe podstawy ironiczne wprawdzie powiedzenie Palmerston'a o Anglii, witającej terytorialny wzrost Włoch, ułatwiający brytyjskiej flocie ich morską kontrolę, oraz podporządkowujący ich politykę brytyjskim interesom.

Brak własnych zasobów naturalnych, oraz szeroko otwarte drogi zaoceanicznej emigracji, przez długie lata ograniczały poczynania Italii do wegetacyjnego zagospodarowywania kraju i zasilania w nieoszacowane siły robocze obcych kontynentów i państw. Przeszło jedenasto milionowa masa emigrantów włoskich stała się tą klapą śródziemnomorskiego bezpieczeństwa nienaruszalnej na tym morzu brytyjskiej hegemonii. Zamknięcie tych dróg zmusiło do poszukiwań nowych sposobów wyżywienia i zatrudnienia wciąż przybywającej ludności półwyspu. Stąd to wyłoniły się konieczności uprzemysłowienia kraju, imperatywne potrzeby obfitych źródeł surowcowych i stałego bezpieczeństwa morskich komunikacyj, którymi przybywa przeszło 85% włoskiego przywozu. Stąd również zarysowało się pierwsze przeciwstawienie się rywalizujących w tej dziedzinie interesów, oraz ich gwałtowne spotęgowanie w okresie, gdy w celu zdobycia własnych terenów osadniczych i własnych źródeł surowcowych, przymuszana żywiołowymi koniecznościami życia rozpoczęła Italia swą abisyńską wojenną ekspedycję.

Uaktywnienie gospodarczego życia Italii, stworzyło podstawy do zużytkowania przez nią technicznych osiągnięć

w dziedzinie broni podwodnej i lotnictwa, dających większą swobodę jej polityki, a organizacyjne scementowanie sił narodu, wytyczyło wyraźniejsze linie gospodarczej i politycznej jego ekspansji. Powolnemu wzrostowi międzynarodowego potencjału Italii nie towarzyszyło jednak jego przychylne uznanie ze strony głównych na Śródziemnomorzu potęg. Polityka brytyjska szczególnie opornie reagująca na przemiany w kontynentalnej Europie, przez długie jeszcze lata chciała uważać Italię za mniej lub więcej powolne narzędzie własnych śródziemnomorskich celów. W tym krył się też najprawdopodobniej główny powód tak gwałtownej brytyjskiej reakcji na przebieg i rezultaty abisyńskiego zatargu. Jeżeli brytyjski tradycjonalizm nieraz prowadził politykę W. Brytanii na manowce, racjonalizm brytyjskiego umysłu zawsze i słusznie doradzał uznawanie stwierdzonych faktów i dostosowywania do nich własnych postępowań.

Kwietniowa ugoda W. Brytanii i Włoch, zrodzona ze śródziemnomorskich doświadczeń trzech ostatnich lat, jest właśnie dowodem brytyjskiego uznania dokonanych na Śródziemnomorzu przemian. Stwierdzenie tej nowej rzeczywistości znajdujemy też na łamach *Times*'a (6/IV), mówiącego, że ugoda ta „wyraźnie uznała specjalną sytuację Italii, jako jedynego wielkiego mocarstwa, całkowicie zamkniętego w Morzu Śródziemnym". [1]) Francuski do niej komentarz (*Temps,* 19/IV) wyraża opinię, że przyzwolenie W. Brytanii na śródziemnomorski i czerwonomorski parytet z innym mocarstwem, oznacza zakończenie brytyjskiej hegemonii na całej przestrzeni pomiędzy Gibraltarem a Bab-el-Mandeb'em. [2]) Względy kurtuazji międzynarodowej nie pozwalają Italii na tak wyraźne podkreślanie ostatniego tego faktu, dlatego też *La Stampa* (17/IV), poruszająca to zagadnienie i mówiąca o przywróceniu dawnej przyjaźni, wyraźnie za-

[1]) Italy's special position is clearly recognized; she is only major Power entirely enclosed in the Mediterranean.

[2]) L'Angleterre reconnait la parité à une autre puissance en Mediterranée et en Mer Rouge. Le nouvel accord comport donc tacitement la fin de l'hegemonie anglaise entre Gibraltar et Bab-el-Mandeb.

znacza, że przyjaźń ta kultywowaną być musi w innej niż dawniej skali.[1])

Analizując postanowienia aktu ugody, możemy powtórzyć za londyńskim korespondentem *Völkischer Beobachter* (22/IV), że brytyjskie odpowiedzialne koła uważają je jedynie za środek do dalszych celów.[2]) Rozwiązując bowiem ręce W. Brytanii na Śródziemnomorzu, pozwalają one na uaktywnienie jej polityki na innych odcinkach. O tych innych natomiast odcinkach mówi tokijska korespondencja *Times'a* (19/IV), stwierdzając, że w Japonii dokładnie uświadamiają sobie ścisły związek możliwości zwolnienia brytyjskich sił flotowych od czatowania na Morzu Śródziemnym z możliwościami ich użycia na wodach Pacyfiku. Ta właśnie troska o możliwość pozostawienia na śródziemnomorskim i czerwonomorskim szlaku możliwie najmniejszych sił W. Brytanii wyraźnie występuje w szczegółowym uregulowaniu najbardziej palących brytyjsko-włoskich spraw na tych właśnie szlakach.

Wymiana informacyj wojskowych, mająca zapobiec niespodziankom wojennego zaskoczenia, służyć ma przede wszystkim takim właśnie celom. Obejmuje ona natomiast dane, dotyczące stanu sił lądowych, morskich i powietrznych, stacjonujących w posiadłościach obu mocarstw, położonych na Morzach Śródziemnym i Czerwonym, oraz w zatoce Adeńskiej.

Jeżeli metropolitalne terytoria Italii nie zostały objęte tym ogólnym zobowiązaniem, to traktat londyński z 1936 r. — do którego, w myśl nowej tej ugody, zobowiązała się ona przystąpić — nałoży na nią ścisły obowiązek udzielania

---

[1]) Il richiamo all'amicizia tradizionale é giusto; ma é una nuova amicizia quella di cui salutiamo l'alba: diversa é la statura dell'Italia di oggi da quella di ieri; ma non per questo le possibilita di collaborazione tra Italia e Inghilterra sono minori. Si trattava di mettersi sui piano giusto di valutazione, sul piano imperiale.

[2]) Indem er mit Italien den gewünschten Ausgleich schafft, gibt er Grossbritannen einen Teil der verlorenen Handlungsfreiheit wieder. Es ist für ein Reich mit lebenswichtigen Interessen und Verpflichtungen in verschiedenen Gegenden der Erde auf die Dauer unmöglich, seine Politik auf einen Punkt konzentrieren zu müssen.

informacyj o stanie całości jej sił morskich, jak również projektów ich rozbudowy.

Odnośnie do śródziemnomorskich i czerwonomorskich rejonów, leżących na wschód od krańcowego południka Italii, zobowiązania obu mocarstw są znaczniej rozszerzone. Usiłując bowiem zachować równowagę istniejących tu baz morskich i lotniczych, klauzule ugody postanawiają, że zakładanie nowych nie może być dokonywane bez uprzedniego o tym powiadomienia partnera.

Ponieważ bezpieczeństwo tych dróg i przylegających do nich terytoriów zależne jest nie tylko od ich militarnych stanów posiadania, lecz także i od nastrojów rasowo-obcej ich ludności, przeto oba mocarstwa zobowiązują się do zaprzestania wzajemnie sobie wrogiej propagandy.

W świetle tych klauzul ugody, ustanawiających technikę wzajemnych gwarancyj bezpieczeństwa, wyraźniej występują zobowiązania deklaracji, odnawiającej „dżentelmeńskie" tych mocarstw porozumienie z r. 1937. Ono to bowiem w formułach ogólnych, podjęło pierwszą po okresie tarć próbę wzajemnego przez oba te mocarstwa zagwarantowania swobody użytkowania dojść i dróg śródziemnomorskich.

Sprawom tych właśnie śródziemnomorskich dojść akt ugody poświęca najbardziej starannie opracowane swe postanowienia.

Wspólna obu mocarstw deklaracja, stwierdzająca ich zamierzenia stałego respektowania postanowień konwencji konstantynopolitańskiej z r. 1888, oraz podporządkowania się wypływającym z niej obowiązkom, łagodzi obawy Włoch o możliwości zamknięcia przed nimi sueskiej drogi kanałowej. W myśl bowiem postanowień konwencji, droga ta winna być otwartą dla wszystkich mocarstw i we wszystkich bez wyjątku czasach.

W ścisłym niewątpliwie związku z bezpieczeństwem kanałowej drogi Suezu pozostają klauzule ugody, mówiące o wojennym reżimie sąsiadujących z nią terytoriów. Wśród nich figurują przede wszystkim deklaracje Italii o jej garnizonach w Libii i Abisynii. W pierwszej z tych kolonii zostaną one zmniejszone przynajmniej do połowy ich obec-

nego stanu, w drugiej natomiast ilość tubylców, zaciąganych do służby wojskowej nie może przekraczać liczby, koniecznej dla zepewnienia lokalnej obrony tych terytoriów oraz publicznego ich bezpieczeństwa.

Brytyjsko-włosko-egipskie porozumienie, w kwestii dobrych sąsiedzkich stosunków tych państw, podpisane równocześnie, uzupełnienia postanowienia ugody W. Brytanii z Włochami i wzmacnia stan bezpieczeństwa tych przykanałowych rejonów. Decydując o konieczności szczegółowszego uregulowania nadgranicznych ich stosunków, artykuły porozumienia zakazują jak najkategoryczniej stronom popierania wrogich zamierzeń przeciwko reżimowi sąsiadujących z nimi terytoriów, oraz wspominają o potrzebie zacieśniania ich współpracy w tej dziedzinie.

A dziedziny takiej właśnie współpracy znaleźć się mogą w gospodarczych przede wszystkim sprawach. Włoska deklaracja o jeziorze Tana użyźniającym bawełniane pola Sudanu i Egiptu nasuwa przypuszczenia takich właśnie możliwości. Jeżeli bowiem włoskie jej zapewnienia gwarantują W. Brytanii stały dopływ wód tego jeziora, ich racjonalne i gospodarczo dla wszystkich korzystne zużytkowanie nie może być osiągnięte bez zorganizowania stałej i ścisłej tych mocarstw współpracy.

Śródziemnomorskie odprężenie, prawdopodobny skutek brytyjsko-włoskiej ugody, przyczynić się może do rozstrzygnięcia innego niemniej zaognionego zagadnienia tegoż przykanałowego rejonu. Mówiąc o wyjeździe do Palestyny nowej, wyznaczonej do zbadania jej spraw komisji, *Times* (21/IV) czyni nie pozbawioną uzasadnienia uwagę, że „międzynarodowe określenie celów i obowiązków we wschodnim basenie Morza Śródziemnego przyśpieszy niewątpliwie prace tej komisji".

Wąski a długi korytarz Morza Czerwonego jest naturalnym przedłużeniem kanałowej drogi Suezu, to też stan bezpieczeństwa żeglugi na jego wodach decyduje o istotnej wartości norm prawa, otwierającego ten kanał dla powszechnego użytku.

Jeżeli swoboda żeglugi na Morzu Czerwonym, jeszcze przed paru laty zależała jedynie od W. Brytanii, dominu-

jącej niewątpliwie w całym tym basenie, to obecnie wszystko uległo radykalnym przemianom. Nic dawniej nie znacząca włoska kolonia tego morza dzięki abisyńskiej zdobyczy rozrosła się w olbrzymie imperium liczące 1,700.000 km kw przestrzeni i nieobliczalne zasoby wszelkich bogactw i możliwości. Ongiś porty tej kolonii pozbawione zaplecza skazane były na wegetację, dziś otwierają się przed nimi szerokie perspektywy rozwoju. Rozbudowane w czasie abisyńskiej wyprawy dwie włoskie bazy tego morza, wypełnione łodziami podwodnymi, przybywającymi niespostrzeżenie z metropolii, okazały się dostatecznie groźną przeciwwagą brytyjskich tu umocnień.

Konsekwentne do tych przemian ustosunkowanie się W. Brytanii do Italii spowodowało iż czerwonomorskie postanowienia ugody nasuwają przypuszczenia tworzenia się podstaw przyszłego brytyjsko-włoskiego kondominium w tych rejonach. Wyczuwając niejako wspólne ich interesów zagrożenie, prasa Francji i Niemiec zgodnie stwierdza wielkie znaczenie, przypisywane tej ugodzie w sprawach Morza Czerwonego. Podług rzymskiego korespondenta *Temps'a* (19/IV) „Morze Czerwone jest ośrodkiem całego tego porozumienia", a jak sądzi przedstawiciel *Berliner Tageblatt'u* nad Tybrem, w porównaniu do innych postanowień ugody, „artykuły dotyczące Środkowego Wschodu i Czerwonego Morza posiadają w oczach Włochów daleko większą wagę" (19/IV). Niemniej wyraźnie wypowiada się w tej sprawie londyński korespondent *Völkischer Beobachter* (22/IV), w opinii którego, „samo już powierzchowne tylko zbadanie aktu ugody, szeroko wykazuje, że jej punkt ciężkości leży w Arabii, Afryce Wschodniej i na Morzu Czerwonym".

Brzmienie artykułów i ogólne nastawienie, brytyjsko-włoskiego porozumienia, dotyczącego krajów Środkowego Wschodu, dostatecznie usprawiedliwia te wnioski. Jeżeli bowiem mocarstwa te zobowiązują się do szanowania terytorialnej całości Saudii i Yemenu, to równocześnie mówią one o wspólnym ich interesie przeciwstawienia się każdemu innemu mocarstwu, dążącemu do uzyskania specjalnych przywilejów w tych państwach Arabii. Przeciwstawienie się takim tendencjom państw trzecich staje się interesem

podstawowym obu mocarstw w wypadku, gdy będzie chodziło o rejony pobrzeżne lub wyspy tego morza. Postanowienia, mówiące o obowiązkach tych mocarstw pośrednictwa w ewentualnych zatargach Saudii z Yemenem podkreślają jeszcze wyraźniej przyszłą dominującą ich rolę na półwyspie Arabskim, zdecydowanie bowiem wykluczają one każdą obcą w tej dziedzinie interwencję.

Artykuły tego porozumienia przypominając aż do złudzenia dawne traktaty o „sferach wpływów" i „opiece" wielkich mocarstw nad państwami słabszymi, dały dziennikowi *Manchester Guardian* uzasadniony powód do stwierdzenia wyraźnego nawrotu do metod przedwojennej dyplomacji. Wobec aktualnych gospodarczych i politycznych warunków państw Arabii pozostawienie ich sam na sam w obliczu brytyjsko-włoskiego porozumienia w praktyce oznaczać będzie całkowite ich podporządkowanie tym właśnie mocarstwom. Realizacja zaś szerokich zamierzeń wymagać będzie oczywiście nieustannej i nie zawsze łatwej koordynacji arabskich i muzułmańskich polityk obu tych mocarstw. Zapoczątkowaniem niejako tej koordynacji jest ustanowienie wspólnej, lub indywidualnie wydzielonej, sanitarnej, rybackiej i żeglugowej administracji na szeregu wysp tego morza. W celu zademonstrowania ducha ugody, szczególnie koniecznego dla scementowania brytyjsko-włoskiej przyszłej w tych rejonach współpracy, W. Brytania przyjmuje określone ograniczenia jej wojskowych uprawnień w arabskich jej protektoratach, leżących na wschód i południe od granic Yemenu i Saudii. W myśl postanowień ugody wojskowe urządzenia tych krajów mogą służyć wyłącznie defensywnym tylko celom obrony komunikacyj pomiędzy poszczególnymi częściami brytyjskiego imperium. Wojskowe zaciągi tubylców w tych protektoratach nie powinny przekraczać norm, niezbędnych dla lokalnej ich obrony i publicznego w nich porządku.

Wschodni wylot Śródziemnomorza i przedłużający go korytarz Morza Czerwonego są więc dziś wspólną drogą obu imperiów. Swobodna możność jej użytkowania oznacza dla W. Brytanii szybsze dostawy żywności i surowców, dla Italii natomiast jest to zasadnicza sprawa istnienia jej no-

wozdobytego imperium. Jeżeli wspólne te brytyjsko-włoskie zainteresowania umożliwiły przytłumienie ich antagonizmów i ułatwiły dojście do porozumienia w tych zagadnieniach, to niemniej zdecydowana wspólnota ich interesów w swobodzie użytkowania wylotu zachodniego napotyka jednak w swym uregulowaniu na inne niż na wschodzie warunki. O ile bowiem lokalne zainteresowania wielkich mocarstw nie są tak potężne w kanale Sueskim, żeby zahamować rozwój brytyjsko-włoskiego dwuporozumienia, to w Gibraltarskim przesmyku interesy Francji i jej strategiczna pozycja uniemożliwiają rozstrzygnięcie tych spraw bez jej w nich udziału.

Wspaniałe bazy Toulon'u i Ajaccio, a szczególnie Bizert'y u Sycylijskiego przepływu i Mesr'-el-Kebir'u w Gibraltarskiej cieśninie, tworzą w tych rejonach potężną przeciwwagę brytyjskich i włoskich baz i zmuszają do poważnego liczenia się z ich strategicznymi walorami. Zbliżone wojenne wartości morskich baz trzech tych mocarstw nasuwają przypuszczenia, że każdy ich zatarg zbrojny uniemożliwi żeglugowe użytkowanie całego tego basenu. Powstrzymanie się natomiast któregoś z nich od przystąpienia do aktu, regulującego pokojowy statut tego basenu, zawiesi nad nim nieustanną groźbę takiego właśnie zatargu. Nic więc dziwnego, że w takich warunkach prasa brytyjska nawołuje do włosko-francuskiego porozumienia, a prasa francuska i włoska niemniej przyjaźnie traktują tę sprawę.

Poza tymi czynnymi składnikami polityki śródziemnomorskiej, które rozporządzają materialnymi środkami, umożliwiającymi nadawanie tej polityce tych lub innych kierunków, jest jeszcze w zachodnim basenie Śródziemnomorza bardzo ważny bierny tej polityki składnik. O wpływy na ten czynnik toczy się właśnie walka między mocarstwami. W samej bowiem rzeczy, zdobycie przez któreś z wielkich mocarstw przeważających wpływów na półwyspie Iberyjskim zaważy decydująco na wzroście jego znaczenia na Śródziemnomorzu i Atlantyku. Strategiczne i geopolityczne walory półwyspu Iberyjskiego w możliwościach opanowania tych oceaniczno-morskich szlaków należycie ocenia ogół zainteresowanych. Rzymska *Politica* uważa np., że „rola Gibral-

taru jako brytyjskiej bazy morskiej jest całkowicie podporządkowana dobrej woli Hiszpanii"; *Journal des Debats* (22/IV) sądzi natomiast, że z licznych baz Hiszpanii łatwo można zagrodzić francuskim komunikacjom z Afryką i uniemożliwić tym samym wojenne transporty arabskich i murzyńskich oddziałów do metropolii.

W świetle tych zachodnio-śródziemnomorskich rzeczywistości nabierają istotnego swego znaczenia postanowienia brytyjsko-włoskiej ugody, regulujące ich stosunki w tym także rejonie. Posiadając bowiem zapewnienia Italii, [1]) że nie zamierza ona naruszać terytorialnego i politycznego *status quo* Hiszpanii oraz jej posiadłości, W. Brytania nie tylko sama zdobyła gwarancje swego na tych drogach bezpieczeństwa, lecz zarazem stworzyła faktyczne jego warunki dla Francji. Jeżeli bowiem ugoda ta nie mogła oczywiście rozstrzygnąć szeregu spraw, zaogniających stosunki Italii z Francją, to jednak, jak wyraża się R. La Bruyere, francuski spec w sprawach morskich, „poruszyła ona całość strategicznych zagadnień morza Śródziemnego oraz rozwiązała je zadowalniająco, tak że Francji nie pozostaje nic innego jak położyć swój podpis na tym szczęśliwym dokumencie dyplomatycznym, ustanawiając tym samym definitywny pokój na tym morzu". Ścisłe uzależnienie przez W. Brytanię legalizacji całej tej ugody i wejście w życie jej postanowień od uprzedniego załatwienia sprawy hiszpańskiej, wskazuje tym wyraźniej na zdecydowaną chęć wciągnięcia Francji do tego, regulującego statut Śródziemnomorski, porozumienia.

Do tego jednak, żeby położyć swój podpis pod określoną umową, potrzebną jest zgoda państw tę umowę zawierających. Otóż „gdy rozpoczynały się rozmowy pomiędzy hrabią Ciano a lordem Perth, rząd francuski wyraził chęć wzięcia czynnego w nich udziału, uważając iż jest on wysoce zain-

---

[1]) ...desidero ripetere la mia precedente assicurazione che il Governo italiano non ha alcuna mira territoriale o politica e non cerca alcuna posizione economica privilegiata nella Spagna metropolitana, nelle isole Baleari, in alcuno dei possedimenti spagnoli d'oltremare o nella zona spagnola del Marocco, o nei riguardi dei suddetti territori, e che non ha alcuna intenzione di mantenere qualsiasi forza armata in alcuno dei territori suddetti. (Tekst italskiej noty do W. Brytanii z 16/IV 1938 r.)

teresowany w rozwiązaniu spraw Morza Śródziemnego i Czerwonego, Etiopii, Hiszpanii oraz Afryki. Rząd włoski wypowiedział się jednak, iż uważa za bardziej wskazane prowadzenie pertraktacyj odrębnych, najpierw z W. Brytanią a potem z Francją". [1]) Włoska ta niechęć do łącznych z brytyjsko-francuskim porozumieniem pertraktacyj, datuje się już od dawna. Obawy zmajoryzowania przez oba te mocarstwa usprawiedliwiają ją w zupełności. Stąd też skłonność do dwustronnych porozumień.

Taktyka ta nie jest również dowodem wielkiego przywiązania do politycznej współpracy na osi Rzym—Berlin. Jeżeli bowiem słuszne są obserwacje rzymskiego korespondenta *Times'a* (16/IV) o prasie włoskiej, usiłującej wykazać, że zbliżenie do Londynu w niczym nie osłabiło związków z Berlinem, niemniej słuszne są i spostrzeżenia korespondenta *Temps'a* (20/IV) sądzącego, że ugoda ta powinna być uważaną za przeciwwagę *Anschluss'u*. Jak bowiem zaznacza on dalej „związanie Austrii z Niemcami nikomu w Italii nie sprawiło przyjemności, a przeciwnie, wywołało bardzo duże rozgoryczenie".

W swej polityce pomiędzy blokiem brytyjsko-francuskim a potężnym i nowym swym sąsiadem z północy, Italia zmuszoną będzie do stałego lawirowania. Również i w przedwojennym okresie włoska przynależność do środkowo-europejskiego porozumienia nie przeszkadzała ścisłym kontaktom z W. Brytanią i Francją. Podobną politykę „asekuracyj" i „kontr-asekuracyj" z powodzeniem stosował również i Bismarck w okresie, gdy Niemcy dopiero zaczynały gromadzić swe siły. Polityka taka nie może być również traktowaną jako wynalazek tego lub innego z narodów, jest ona tylko skutkiem geograficznej sytuacji kraju, wystawionego na grożące mu z rozmaitych stron niebezpieczeństwa i dysponującego względnymi tylko w porównaniu do swych potężnych sąsiadów siłami. Rozważając założenia polityki Italii, *Journal des Debats* (16/IV) przeciwstawia się publicystom, uważającym, że jej zbliżenie do W. Brytanii i Francji ma na celu uśpienie ich czujności i ułatwienie osiągnięć berlińskiego jej

[1]) *Temps*, 22/IV. 38.

sojusznika. „Trwałe bowiem porozumienie na Zachodzie, ułatwi Italii przeciwstawienie się niemieckim tendencjom do hegemonii na kontynencie Europy". Takie właśnie założenia włoskiej polityki równowagi, znalazły jeszcze głębszą brytyjską ocenę.[1]) Jak wyraża się *Times* (2/V) w swej polityce dobrych stosunków z państwami Zachodu i przyjaźni z Niemcami „może spodziewać się Italia zdobycia maksymalnych wpływów na bieg spraw Europy".

Jeżeli nowe po-*Anschluss*'owe polityczne i strategiczne rzeczywistości zbliżają Italię do mocarstw Zachodu, gospodarcze jej potrzeby doradzają to tym bardziej. Rozległe i całkowicie zaniedbane przestrzenie jej nowego imperium wymagają dla swej rozbudowy olbrzymich nakładów pracy i kapitału. Najściślejsza nawet współpraca z Niemcami mogąca dostarczyć pomocy technicznej, nie zasili jednak Italii w zasoby finansowe, których gospodarka niemiecka łaknie nie w mniejszym stopniu. Stąd też zachodnio-europejskie kapitały spoczywające przeważnie bezczynnie w swych metropoliach, zacieśnić mogą więzy Italii z Zachodem, umożliwiając jej należyte zagospodarowanie imperium, którego zdobycie naraziło i ją i Europę na tyle rozmaitych niebezpieczeństw.

Dla rozpoczęcia tego dzieła waloryzacji z pomocą niezastąpionych kapitałów Zachodu konieczne jest uprzednie przez Zachód zaakceptowanie dokonanego w Abisynii podboju. Dlatego to właśnie spełnienie tego warunku stało się włoskim zastrzeżeniem, wprowadzającym w życie postanowienia ugody. Ponieważ w powojennym systemie świata Liga Narodów zdobyła w tej dziedzinie określone uprawnienia, z których korzystając zaleciła nieuznawanie dokonanych

[1]) In spite of her excellent relations with Germany, Italy cannot be unaffected by the threat to her interests which a further expansion of German power in southern and central Europe would represent. This explains her new orientation towards Great Britain and France. Her present policy would seem to be to cultivate good relations with these two Powers while retaining her friendship with Germany intact. In this way she may hope to exercise the maximum influence on the course of European affairs. Acting on these lines she would naturaly wish to avoid undertaking any definite military commitments with Germany and to pledge herself solely to diplomatic support.

w Abisynii faktów, przeto na jej forum rozegrać się musi jeden z aktów tych śródziemnomorskich przemian. Stąd też zastrzeżenia Francji, która podług *Temps'a* (22/IV) uważa, że „nadszedł moment, by rozpocząć z rządem włoskim badanie pewnych problemów, które należy przestudiować, zanim nastąpi zebranie Rady Ligi Narodów". Nie oznacza to oczywiście nic innego, jak uzależnienie ligowej postawy Francji od uprzedniego włoskiego uznania szeregu jej postulatów.

Podwójny ten warunek brytyjsko-włoskiej ugody, uzależniający jej legalizację od załatwienia spraw Hiszpanii i Abisynii, wprowadza ją od razu technicznie nawet na szersze pole międzynarodowych stosunków. Tak bowiem zakończenie rzezi hiszpańskiej nie zależy wyłącznie tylko od Italii, jak również decyzje Ligi Narodów nie są zawsze i jedynie wykładnikiem tylko brytyjsko-francuskiego porozumienia. Jeżeli więc okazać się może, że mocarstwa, pragnące odwlec legalizację ugody, zwiększą swą pomoc dla Hiszpanii, a nawet być może zaczną uważać za bardziej wskazane popieranie innej niż dotychczas strony, również i w Lidze Narodów, interesy rozmaitych państw przeciwstawić się mogą najbardziej jednolitej postawie W. Brytanii i Francji.

Ścisłe powiązanie europejskich przede wszystkim spraw z legalizacją kwietniowej ugody W. Brytanii i Włoch, oraz niewątpliwy jej wpływ na dalszy układ stosunków w Europie, nie znaczy bynajmniej, że wejście w życie jej postanowień będzie równoznaczne z nawrotem do koncepcji martwo-urodzonego „paktu czterech". Jeżeli ogólna sytuacja dnia dzisiejszego jest całkowicie inną niż w roku urodzenia tego paktu, to obecna sytuacja Italii w szczególności jak najmniej sprzyja takiej koncepcji. Italia przeciwstawiająca się naówczas jedynie tylko Francji, mogła liczyć, że stając się pośrednikiem pomiędzy trzema rywalami tego zespołu, będzie mogła wyciągnąć jak największe korzyści z ich antagonizmów. W nowym natomiast układzie indywidualnych sił członków tego zespołu oraz ich wzajemnym ustosunkowaniu, jej interesy mogłyby napotkać największą ilość rywali. Od tego czasu nie poprawiły się bowiem jej stosunki z Francją;

zajęcie Abisynii, zwiększyło niewątpliwie brytyjskie obawy o Egipt i Suez; *Anschluss* natomiast, jeżeli nie dziś to w przyszłości może zaognić jej stosunki z Niemcami. Stąd też w rezultacie tych przemian mogłoby się okazać, że będąc materialnie najmniej zasobnym członkiem tej „wybranej" grupy, Italia musiałaby zadowalniać się najmniejszymi z jej poczynań korzyściami, jeżeli już i nie opłacać rachunków jej porozumienia. Mamy podstawy do przypuszczeń, że nie zapomniano jeszcze w Rzymie nauk, nabytych w Wersalu, gdzie Italia wchodziła przecież w skład „wielkiej piątki" niewielkie odnosząc z tego korzyści.

Ostatnie przemiany w Europie ściślej niż dawniej związały bezpieczeństwo Zachodu, a Italii specjalnie, z należytym rozwojem i wzrostem potęgi państw, podporządkowywanych w koncepcji „paktu czterech" dyrektywom areopagu wielkich mocarstw Europy. Ponieważ wyrazicielem tego areopagu mocarstw w dzisiejszych warunkach mogłyby zostać przede wszystkim Niemcy, nie leży więc to ani w interesie Zachodu, ani tym bardziej Italii. Stąd też można sądzić, że przyszła, realistycznie pomyślana, polityka Italii będzie musiała oprzeć się na ścisłej i lojalnej współpracy z bliższymi i dalszymi współzawodnikami jej nowego północnego sąsiada. Komentując głosy prasy włoskiej,[1]) rzymski korespondent *Temps*'a (7/IV) już dziś wskazuje na pewne nowe ustosunkowanie się Italii do takiej np. Jugosławii. W świetle bowiem nowych europejskich rzeczywistości we włoskim już interesie leży konieczność wzmocnienia międzynarodowego znaczenia Jugosławii na Bałkanach.

Przeciwieństwa interesów w grupie tzw. wielkich mocarstw Europy, oraz mniej więcej równe indywidualne ich siły, utrudniają znalezienie właściwych i gwarantujących pokój podstaw politycznej równowagi. Imperatywne nato-

[1]) Retenons de tous ces commentaires que l'Italie semble portée desormais a reconnaître à la Yougoslavie une fonction prédominante dans l'Europe sud-orientale. Elle agit, en tout cas, comme si le royaume yougoslave etait devenu la clef de voute de tout le système balkanique... L'Italie ne songe nullement a abandonner ses positions dans cette direction de l'Europe. Elle envisage, au contraire, de les élargir et de les consolider.

miast konieczności dania Europie pokojowych warunków pracy, zmuszają każde z tych mocarstw do poszukiwań czynnika jego przewagi poza tą grupą i wzmacniają potencjalne walory Polski przede wszystkim, stającej się coraz bardziej widomym języczkiem europejskiej wagi pokoju. Dla istotnego zwaloryzowania tego potencjalnego, a dziś specjalnie wielkiego, międzynarodowego znaczenia Polski, koniecznym jest jednak stałe zmniejszanie rażących dysproporcyj pomiędzy wygłaszanymi deklamacjami a smutną rzeczywistością w dziedzinie społecznej konsolidacji państwa i gospodarczej jego rozbudowy.

Roman Piotrowicz.

Niespodziewany zwrot w wojnie japońsko-chińskiej.

Kiedy po raz ostatni, blisko cztery miesiące temu, omawialiśmy sytuację na frontach i tyłach wojny japońsko-chińskiej, przedstawiała się ona pod znakiem wyraźnej przewagi Japonii. Po upadku Szanghaju i Nankinu, po opanowaniu olbrzymiego obszaru pięciu prowincyj północnych i zaniku niemal wszelkiej nadziei na jakąkolwiek skuteczną interwencję obcą, właściwie chodziło już tylko o to — jaką drogę obiorą Japończycy celem zadania ostatecznego, druzgocącego ciosu rządowi chińskiemu. Ciosem tym mógł być dalszy forsowny marsz na Han-kou, wzdłuż wybrzeży rzeki Jang-dzy, który by zmusił Chińczyków do opuszczenia ostatniej ważnej placówki w Chinach Środkowych i niewątpliwie musiałby wpłynąć bardzo deprymująco na stan duchowy armii chińskiej. Istniała też możliwość ataku na Kanton celem wstrzymania dowozu artykułów wojennych, dostarczanych przez państwa cudzoziemskie i przeszkodzenia w ten sposób powstawaniu nowych chińskich formacyj zbrojnych. Wysuwała się wreszcie kwestia połączenia w jedną całość obszarów zdobytych przez wojska japońskie na północy kraju i w dorzeczu Jang-dzy-dziangu drogą dwustronnego ataku od północy i południa na dzielący je szeroki pas ziemi, zawierający ważną pod względem strategicznym linię kolejową Lung-hai oraz jej skrzyżowania z kolejami Pekin-Hankou i Tientsin-Pukou (Nankin). Nie było również wykluczone, że wszystkie te trzy sposoby szybkiego zakończenia wojny zostaną przez Japończyków zastosowane równo-

cześnie, aby tym skuteczniej steroryzować armię chińską. Z powodów jednak, które szczegółowiej omówimy niżej, wybór sztabu japońskiego zatrzymał się na ataku mającym na celu połączenie zdobytych obszarów.

Walki o Żółtą Rzekę i kolej Lung-hai.

Akcja ta z początku rozwijała się pomyślnie. Kolumny wojsk północnych, nie napotykając na poważniejszy opór Chińczyków, w prowincji Szan-si zbliżyły się do Rzeki Żółtej, a w prowincji Szan-dungu znalazły się na kilkadziesiąt km od miasta Siu-dżou, węzłowej stacji kolei Lung-hai w miejscu jej skrzyżowania z koleją Tientsin-Pukou, a równocześnie głównej bazy obronnej armii chińskiej. Tu jednak atak japoński został gwałtownie odparty przez znaczne siły chińskie, które pomimo ogromnej przewagi technicznej wojsk przeciwnika potrafiły osadzić go na miejscu i oto już czwarty miesiąc nie tylko utrzymują linię frontu, ale i w niektórych punktach zmieniają ją na własną korzyść, dokonując kontrataków udanych dzięki przeważającej liczbie.

Ten sam los spotkał ofensywę japońską od południa. Zatrzymała się ona obok stacji Peng-pu kolei Tientsin-Pukou i wyładowała swoją energię w krwawych walkach na brzegach rzeki Huai, której wojska japońskie sforsować nie były w stanie. Ostatnio na tym odcinku panował względny spokój i walki przeniosły się na południe od rzeki Jang-dzy, gdzie wojska chińskie, wspomagane przez liczne oddziały partyzantów, od których aż roi się południowy teren okupacji japońskiej, usiłują przerwać komunikację kolejową między Nankinem i Szanghajem oraz Szanghajem i Hang-dżou, stolicą prowincji Dże-dziang. Japończycy na tym froncie ograniczają się na razie do defensywy, co miało ten skutek, że niedawno znaczne oddziały partyzanckie ukazały się w pobliżu Szanghaju, wywołując w mieście przygotowania obronne, a późniejsze depesze doniosły o walkach, odbywających się w odległości jedenastu km (?) od Nankinu. Pomimo to, wydaje się zupełnie jasnym, że losy obecnej fazy wojny zostaną rozstrzygnięte na froncie północnym, gdzie też panuje największe nasilenie bojowe. Kilka tygodni temu zaszedł tam wypadek, który jeszcze niedawno zostałby przez naj-

wybitniejszych rzeczoznawców wojskowych świata uznany za zgoła nieprawdopodobny. Mianowicie w czasie gwałtownego ataku na Siu-dżou, dwie dywizje japońskie, znajdujące się pod komendą jednego z najzdolniejszych generałów Itagaki — zostały niemal doszczętnie rozbite przez Chińczyków, dzięki czemu linia frontu na tym odcinku znacznie wygięła się ku północy. Nowe posiłki japońskie po pewnym czasie zdołały ją mniej więcej wyrównać, ale zanim się to stało, niedobitki tych dwóch dywizyj zostały otoczone przez wojska chińskie w mieście I-sien, a w rezultacie powstałego zamieszania, w odległym od terenu walk mieście Ci-nan-fu, od dawna już opanowanej przez Japończyków stolicy Szandungu, wybuchnął bunt garnizonu chińskiego, który w swoim czasie przeszedł na stronę japońską. Żołnierze ci, pod wpływem wiadomości o zwycięstwie Chińczyków, napadli na nieliczną załogę japońską i przy pomocy krążących w pobliżu oddziałów partyzanckich, opanowali większą część miasta.

Lokalne te sukcesy wojsk chińskich nie miały wprawdzie większego wpływu na ogólną sytuację strategiczną, ale za to moralne ich znaczenie było ogromne. Echa „pierwszego zwycięstwa" nad potężnym przeciwnikiem, rozeszły się po całym niezmierzonym kraju, krzepiąc na duchu słabych i pogrążonych w zwątpieniu i zachęcając do dalszego oporu zarówno wojska, jak i masy ludności. Armia chińska przekonała się, że „Japończyków można pokonać", co jeszcze niedawno ani jej samej, ani nikomu z Chińczyków nawet nie przychodziło do głowy. Prawda, że sukces został osiągnięty tylko dzięki przewadze liczebnej, ale przecież poniekąd równoważyła ją przewaga techniczna wojsk japońskich, a poza tym czyż niewyczerpane źródła materiału ludzkiego w Chinach nie mogą utrzymać tego stanu przewagi liczebnej aż do końca wojny?

Przyczyny niepowodzeń japońskich.

Rzeczoznawcy cudzoziemscy poważnie zajęli się zbadaniem powodów czasowego załamania się japońskiej akcji zbrojnej w Chinach. Jest ich kilka, zazębiających się wzajemnie i tworzących problem trudny do rozwiązania. Przede

wszystkim chodzi o to samo lekceważenie przeciwnika, które krótką „ekspedycją karną" zmieniło w wielką i długotrwałą wojnę. Błąd ten został już przez dowództwo japońskie zrozumiany, ale jego naprawienie napotyka na poważne trudności, gdyż w związku z naprężoną sytuacją na granicy mandżursko-sowieckiej, znaczne siły japońskie nie mogą opuścić Mandżurii. Takie wyeliminowanie kilkuset tysięcy wyborowych wojsk z rozgrywki chińskiej nie mogło nie utrudnić kwestii zasilania frontu nowymi formacjami i przez pewien czas zmuszało dowództwo japońskie do operowania w Chinach niedostatecznymi siłami, które nie były w stanie równocześnie obsadzić długiej linii frontu i stworzyć potężnych kolumn szturmowych w miejscach ataku. Rozwiązać kwestię mogła tylko powszechna mobilizacja narodowa, na którą wreszcie się zdecydowano. Tym samym jednak dowództwo japońskie widziało się zmuszone do uznania stanu wielkiej wojny, wymagającej zastosowania wszystkich sił państwa, co znowu nie było pożądanym ze względu na opinię publiczną kraju. Wiadomo bowiem, że sfery gospodarcze nie życzyły sobie długotrwałej wojny z Chinami, zagrażającej żywotnym interesom Japonii, a i wśród sfer wojskowych istniało potężne stronnictwo, które uważało, że przede wszystkim należy przeciąć gordyjski węzeł stosunków japońsko-sowieckich. Nadzwyczajny patriotyzm i dyscyplina narodowa, cechujące Japończyków, wykluczają możność jakichkolwiek wystąpień wewnętrznych w chwili gdy ważą się losy ojczyzny, ale pretensje do inicjatorów akcji przeciwko Chinom, wyrosłej z drobnego incydentu do stanu wielkiej wojny, niewątpliwie istnieją i każde najmniejsze niepowodzenie nadaje im coraz większą wagę.

Obecnie sytuacja japońska na froncie północnym znowu uległa poprawie. Przybyły nowe dywizje z kraju, a podobno i z Mandżurii, inicjatywa znowu przeszła do Japończyków i krwawe walki toczą się zarówno na drogach wiodących do Siu-dżou, jak i w górach Szan-si. Decydujących jednak wyników dotąd nie ma, a gdyby wreszcie i nastąpiły, to w warunkach obecnych trudno przewidzieć, czy oznaczałyby one koniec wojny, czy tylko przeniesienie walk na inne fronty wewnątrz kraju. Opierając się bowiem na doświad-

czeniu z lat poprzednich, kierownicze sfery wojskowe Japonii widocznie nie doceniły głębokiej ewolucji patriotycznej, która w czasach ostatnich dokonywała się w Chinach pod wpływem energicznej propagandy rządzącej partii Guo-mindang, jak również nie wyczuły, że właśnie agresja obca stanie się tym cementem, który ostatecznie spoi w jedną bryłę rozluźnione, a nierzadko i wzajemnie wrogie części olbrzymiego kraju, wywoła dyktaturę marszałka Dziang Kai-szeka, której ulegną wszyscy jego przeciwnicy polityczni i ideowi i stworzy nastrój, wykluczający dawną korupcję, ambicje osobiste i zdradę. Przecież dowódcą wojsk, które odniosły „pierwsze zwycięstwo" nad Japończykami, jest generał Li Dzung-żen, jeden z leaderów „faszystowskiej partii wojennej prow. Guang-si", do niedawna zawzięty wróg i rywal Dziang Kai-szeka. Drugi przywódca tejże partii, młody generał Bai Dzung-si, również wróg marszałka, stoi na czele wyszkolenia nowej armii, która ma zasilić wojska walczące na froncie północnym lub obsadzić nowy front w razie porażki. Prasa amerykańska podaje ponadto liczne nazwiska działaczy politycznych i członków Guo-min-dangu, którzy pod wpływem obecnej wojny ze stronników kompromisu z Japonią zmienili się w jej zdecydowanych wrogów. Nawet czołowi chińscy działacze komunistyczni podobno zupełnie lojalnie współpracują z rządem chińskim, odkładając na później realizację swojego programu i podporządkowując się całkowicie rozkazom Dziang Kai-szeka zarówno na polu bitwy, jak i wewnątrz kraju. Znana VIII armia komunistyczna pod dowództwem pupila Moskwy, generała Dżu-De, od początku wojny rozwija energiczną działalność partyzancką w prow. Szan-si i organizuje ożywiony ruch partyzancki wśród ludności na tyłach armii japońskiej. Według ostatnich wiadomości, wojska japońskie zadały jej dotkliwą porażkę, ale formacje tego rodzaju zazwyczaj szybko zbierają się znowu, tym bardziej, że góry Szan-si dostarczają im niedostępnych dla wojsk regularnych kryjówek.

Kwitnący kraj zmienia się w pustynię.

Ten ruch partyzancki, rozwijający się niemal wszędzie na tyłach wojsk japońskich, a szczególnie ożywiony w prow.

Szan-si, w okolicach Pekinu i w trójkącie między Szanghajem, Nankinem i Hang-dżou, sprawia dużo kłopotu Japończykom, ale bodaj że jeszcze więcej szkodzi spokojnej ludności chińskiej, na którą przeważnie spadają retorsje japońskie. W Chinach nigdy nie było dostatecznej ilości nowoczesnych dróg, a i te które istniały, obecnie zostały zburzone przez cofające się wojska chińskie i partyzantów. Na kilkadziesiąt więc km od linij kolejowych leżą okolice prawie niedostępne dla wojsk zmotoryzowanych i partyzanci po dokonaniu napadu na posterunki japońskie łatwo mogą tam znaleźć bezpieczne schronienie. Nie noszą oni zresztą uniformu, tworzą nieduże oddziały i w razie niebezpieczeństwa spokojnie wracają do swoich wiosek, gdzie zmieniają się w chłopów-rolników, zajętych swoją pracą. W tych warunkach nie podobna odróżnić spokojnego rolnika od partyzanta i wojska japońskie, rozdrażnione ciągłymi napadami, w czasie ekspedycyj karnych obracają w perzynę całe wsie. Z drugiej strony sami partyzanci prześladują i teroryzują ludność chińską, usposobioną bardziej ugodowo, a i wojska chińskie z zasady nie pozostawiają za sobą nic oprócz gruzów i zgliszcz. Pozbawiona więc domów, dobytku i zasiewów, ludność spokojna gromadnie opuszcza swoje siedziby i dąży na zachód, do prowincyj nie objętych jeszcze władzą japońską. Według obliczeń, oczywiście przybliżonych, kilkadziesiąt milionów ludzi bierze udział w tym ruchu „dokąd oczy poniosą" i ogromne połacie kraju zostały całkowicie wyludnione. Ta „polityka rozpaczy", usankcjonowana przez rząd chiński, z jednej strony jest korzystna dla Japończyków, pozbawiając ich potrzeby karmienia umierających z głodu mas ludzkich oraz ułatwiając im administrację zajętych obszarów. Z drugiej jednak — nie zasiane pola pozbawiają ich możności zorganizowania aprowizacji wojsk na miejscu i uzależniają w ten sposób od dowozu żywności z Japonii, co wobec ciągłego burzenia torów kolejowych przez partyzantów, jest dosyć utrudnione.

Ogromnych spustoszeń dokonały strony walczące wraz z partyzantami w miastach oraz na liniach kolejowych. Wszystkie miasta, gdzie toczyły się boje, zostały obrócone w kupy gruzów i zgliszcz. Szczątki pozostały z dawnego

wspaniałego Nankinu, z wielkiego Ci-nan-fu, ze zbudowanego jeszcze przez Niemców Cing-dao, z ośrodka przemysłu jedwabniczego Wu-si i innych miast i miasteczek, przez które przeszła żelazna stopa wojny i nienawiści narodowej. Atakujące wojska japońskie burzyły mosty i inne obiekty kolejowe i miejskie, bronione przez wojska chińskie, te zaś w razie cofnięcia się pozostawiały za sobą tylko ziemię i wodę. Korespondenci cudzoziemscy podają, że wojska chińskie przed wycofaniem się z jakiegoś osiedla palili wszystkie domy wraz z inwentarzem żywym, o ile nie mogli go zabrać ze sobą. Straty poniesione w ten sposób przez chiński majątek narodowy wynoszą według powierzchownych obliczeń cudzoziemskich — z górą półtora biliona dolarów, a przecież bilans tych strat jeszcze nie został zamknięty. W czasie forsowania przez wojska japońskie większych rzek, żołnierze chińscy powysadzali dynamitem kosztowne tamy, które przynajmniej w pewnym stopniu chroniły kraj od zgubnych powodzi. Wynikiem tego w najbliższej przyszłości mogą być katastrofalne wylewy, które dokonają dzieła zniszczenia kraju i w związku z obfitością trupów, dostarczanych przez wojnę, mogą wywołać zarazę, która całym ciężarem spadnie przede wszystkim na bezdomne i głodujące masy chińskie.

Administracja terenów okupowanych przez Japończyków.

Obszar Chin, zdobyty przez wojska japońskie podczas pierwszych miesięcy wojny, nie uległ większym zmianom. Zwiększyły go nieco pomyślne kampanie japońskie w Szan-si i Szan-dungu, ale jak widać z załączonej mapki, ułożonej przez korespondenta *New York Times,* wojska chińskie w ostatnich czasach zdołały uczynić w tych nowych zdobyczach znaczne wyrwy, chociaż oczywiście nie wiadomo na jak długo. W każdym razie zaznaczyć należy, że pomimo niezdecydowanej sytuacji na frontach i nie ustającej akcji partyzanckiej, w kwestii administracji okupowanych terenów ostatnio daje się zauważyć pewien postęp. Oprócz bowiem rządu w Pekinie, który w dalszym ciągu, skromnie trzyma

się w cieniu i jedynie manifestuje swoją dobrą wolę w sprawie współpracy z Japonią, powstał nowy rząd w Nankinie, znacznie bardziej śmiały i przedsiębiorczy. Na czele jego

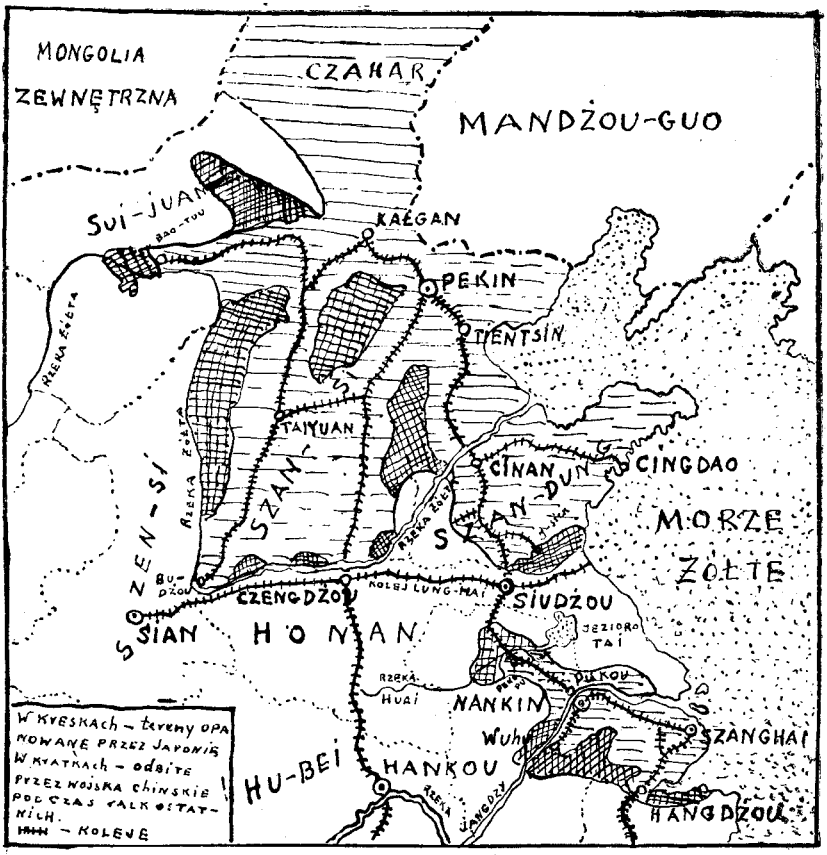

stanął Liang Hung-czi, podobno b. minister jednego z poprzednich rządów chińskich, resort finansowy objął Czi Dzing-tao, a resort pacyfikacji kraju — Żuan Juan-tao — wszyscy ludzie nieznani w szerszych sferach politycznych, ale o ile wiadomo — nie tak starzy, jak członkowie rządu pekińskiego. Zresztą zadanie ich jest znacznie łatwiejsze niż tamtych, gdyż obszar zdobyty w Chinach Środkowych wynosi tylko około 90.000 km kw i rządzić nim łatwiej, niż olbrzymią połacią Chin Północnych. Pierwszym krokiem

obu rządów była emisja banknotów dla okupowanego terenu, opartych na jenie, co podobno spowodowało duże straty dla rządu Chin niepodległych. Następnie w Chinach Północnych rozpoczęto dużą akcję gospodarczą. Przystąpiono do budowy nowych linij kolejowych, mających ułatwić dostęp do źródeł surowców i nowo powstałe towarzystwo chińsko-japońskie zamierza rozpocząć ich planową eksploatację. Są to na razie tylko posunięcia przedwstępne, przygotowujące grunt dla nowego stanu rzeczy w Chinach Północnych, niemniej jednak symptomatyczne, gdyż wyraźnie wskazują, że niezależnie od rozwiązania zagadnienia całych Chin, losy pięciu prowincyj północnych są już definitywnie przesądzone. Pomimo bowiem zapału, który ogarnął Chiny po pierwszych przebłyskach zmiany fortuny, trudno przypuścić, aby najbardziej bohaterska akcja wojsk Dziang Kaiszeka mogła doprowadzić do czegoś więcej, niż do uznania niepodległości kraju na południe od Żółtej Rzeki z całkowitym pozostawieniem Chin Północnych, a prawdopodobnie i Szanghaju w rękach japońskich.

Stosunki japońsko-sowieckie.

Przykre i ostre tarcia, które po zdobyciu Szanghaju prawie nieustannie wynikały pomiędzy armią japońską a przedstawicielami dyplomatycznymi państw cudzoziemskich na tle zamachów na prawa i własność cudzoziemców, obecnie ustały zupełnie. Państwa cudzoziemskie do pewnego stopnia pogodziły się z nowym stanem rzeczy w Szanghaju, a i dowództwo japońskie niejednokrotnie dało dowody dobrej woli, energicznie likwidując samowolę żołnierską i nieodpowiedzialne wystąpienia młodych oficerów. Straciła również swoją ostrość i kwestia dostawy oręża Chinom, prawdopodobnie z powodu swojej beznadziejności. W każdym razie nic się już o niej nie mówi na forum publicznym. Natomiast niezmiernie zaostrzyła się kwestia stosunków japońsko-sowieckich, chociaż obie strony zachowują całkowicie zimną krew.

Zaczęło się od tego, że działalność lotnictwa chińskiego, sprowadzona w pierwszych miesiącach wojny prawie do

zera, znowu się znacznie ożywiła. Według enuncjacyj chińskich sfer urzędowych, powodem tego były duże postępy osiągnięte przez Chińczyków w dziedzinie szkolenia kadr wykwalifikowanych pilotów, którzy na nowo nabytych aparatach potrafili przeciwstawić się lotnictwu japońskiemu. Japończycy byli jednak innego zdania w tej sprawie, gdyż wszystkie aparaty, które wpadły do ich rąk nosiły znaki produkcji sowieckiej, a i wśród wziętych do niewoli lotników znalazło się kilku Rosjan. W związku z tym ambasador japoński w Moskwie — Szigemitsu — złożył rządowi sowieckiemu ostry protest, na co komisarz Litwinow odpowiedział, że dziwi się dlaczego Japonia ma o to pretensję tylko do Sowietów, podczas gdy w wojnie biorą udział i lotnicy innych narodowości. Poza tym zaznaczył, że rząd sowiecki nikogo do Chin nie posyłał i że znajdujący się tam lotnicy widocznie działają w charakterze ochotników. Na to znów Szigemitsu zareplikował, że w warunkach sowieckich wyjazd ochotnika za granicę i w dodatku z aparatem, jest bez wiedzy rządu zupełnie wykluczony i ponowił swój protest.

Na tym na razie sprawa utknęła, ale równocześnie Sowiety zaproponowały Japonii uregulowanie kilku spraw spornych, dotyczących wymiany aresztowanych obywateli, wznowienia komunikacji paczkowej między Japonią i ZSRR oraz wypłaty przez rząd mandżurski ostatniej raty należności za kolej wschodnio-chińską. W tej ostatniej sprawie Japończycy poradzili rządowi sowieckiemu zwrócić się bezpośrednio do rządu mandżurskiego, co mówiąc nawiasem nie odniosło żadnego skutku, sami zaś sprecyzowali swoje żądania, dotyczące kwestyj zasadniczych, jak to — zawarcia konwencji rybołówczej, uregulowania sprawy koncesyj naftowych w Sachalinie północnym i zamknięcia konsulatów japońskich w Chabarowsku i Władywostoku, dokonanego na żądanie Sowietów. Dalsze pertraktacje w tych sprawach są obecnie w toku, ale prawie nie ma nadziei, aby zostały pomyślnie zakończone. Główna różnica polega na tym, że Japończycy domagają się załatwienia spraw bardziej istotnych do przyszłej pokojowej współpracy obu państw, a Sowiety pragną na razie ograniczyć się do załagodzenia tarć drobniejszych

i do pewnego stopnia przypadkowych. Zresztą na przeszkodzie do osiągnięcia zupełnej harmonii, nie mówiąc już o tym czy byłaby ona możliwa w ogóle, stoi fakt okazywania przez Sowiety wydatnej pomocy Chinom w postaci dostawy aparatów lotniczych, sprzętu wojennego i instruktorów. Trudno zaś przypuścić, aby Sowiety zechciały z tego zrezygnować. O ile można sądzić z urzędowych enuncjacyj japońskich, stan obecny nie wywołuje obaw co do możliwości wybuchu wojny z Sowietami, których stan wewnętrzny nie bardzo sprzyja ryzykownym posunięciom, naprężenie jednak na pograniczu widocznie będzie trwało w dalszym ciągu, powodując konieczność dla obu stron utrzymywania tam znacznych sił zbrojnych. Skoro zaś tak jest — za nic ręczyć nie można, gdyż okoliczności niekiedy silniejsze są od woli ludzkiej i potrafią pokrzyżować najsumienniej opracowane plany.

Dalszy rozwój akcji japońskiej w Chinach.

Zachodnia opinia publiczna, zaskoczona ostatnimi wypadkami w Chinach, z tym większym zainteresowaniem usiłuje przewidzieć jaką taktykę obierze Japonia celem ostatecznego złamania oporu przeciwnika. Korespondenci wielkich dzienników europejskich i amerykańskich wskazują na ostre tarcia, powstałe między rządem tokijskim i naczelnym dowództwem. Premier książę Konoye miał rzekomo zażądać od władz wojskowych bardziej energicznej akcji w Chinach, wskazując na trudności finansowo-gospodarcze, które mogą wyniknąć dla kraju w rezultacie długotrwałej wojny. Na tym tle podobno nawet czas jakiś groziło przesilenie gabinetowe, obecnie już zażegnane dzięki pewnym ustępstwom uczynionym przez kierownicze sfery wojskowe. Na ogół jednak w kołach cudzoziemskich nie sądzą, aby dowództwo japońskie w najbliższej przyszłości rozpoczęło jakąś nową akcję zbrojną na szerszą skalę. Opanowany i ostrożny sztab japoński po popełnieniu jednego błędu, polegającego na niedocenieniu sił przeciwnika, nie chce popełnić drugiego, nadmiernie rozszerzając front walk. „Druzgocący" bowiem atak na Hankou, którego rzekomo domagają się sfery rzą-

dowe i gospodarcze, o ile by nawet zakończył się powodzeniem, doprowadziłby do konieczności opanowania nowych ogromnych obszarów, których należyte obsadzenie przez garnizony japońskie przyniosłoby zwycięzcom więcej kosztów i kłopotu, niż pożytku. To samo — z dodatkiem możliwości komplikacyj międzynarodowych — groziłoby Japończykom w razie ataku na Kanton. Widocznie więc akcja japońska skoncentruje się w Chinach Północnych celem przerwania linii frontu na Rzece Żółtej i kolei Lunghai, co doprowadzi do połączenia obszarów zdobytych w Chinach Północnych i Środkowych i odda w ręce japońskie szeroki pas wybrzeża morskiego od Mandżurii do Jang dzy-dziangu. Wówczas uwaga wojsk japońskich zwróci się ku oczyszczeniu kraju od partyzantów i stworzeniu odpowiedzialnego rządu centralnego, w stosunku zaś do reszty Chin zastosowana będzie taktyka obronna, mająca na celu przekonanie rządu marszałka Dziang Kai-szeka o bezcelowości dalszych prób odzyskania straconych prowincyj.

Podobno w kierowniczych sferach wojskowych przeważa zdanie, że taktyka tego rodzaju niewątpliwie zmusi Chińczyków do zaprzestania zbrojnego oporu i zgodzenia się na kompromis. Czynniki odpowiedzialne przestrzegają wprawdzie, że zanim to nastąpi — upłynie sporo czasu, w każdym jednak razie droga ta wydaje się bezpieczniejsza i pewniejsza od ryzykownego zaangażowania się w zdobywaniu coraz większych obszarów, których faktyczne opanowanie przechodziłoby możliwości Japonii.

Są to oczywiście tylko przypuszczenia, co do których nie ma nawet zupełnej pewności czy rzeczywiście odzwierciedlają dalsze plany japońskie. Widoczna jednak niechęć dowództwa japońskiego do uwikłania się w nowych zdobyczach terytorialnych, nadaje im wszelkie cechy prawdopodobieństwa. Inna rzecz, że rozmaite wypadki nieprzewidziane w każdej chwili mogą je zmienić, zwłaszcza zaś trudno o nich mówić, dopóki front północny nie został przez Japończyków przerwany. W walkach tych bierze udział ponad milion żołnierzy i obie strony otrzymują coraz nowe posiłki. Niewyczerpane rezerwy ludzkie Chin szeroką falą wypełniają luki, powstające w szeregach wojsk Dziang Kai-

szeka, dziesiątkowanych przez artylerię przeciwnika, ale i Japończycy niewątpliwie zdobędą się na większy wysiłek, celem zrealizowania tak ważnego dla nich planu. Po stronie Chin jest zapał i przewaga liczebna, a może i świadomość, że „lepiej może być, a gorzej już nie będzie", po stronie Japonii — wyższość sztuki wojennej, żelazna wytrzymałość i przeważająca technika. Wynik starcia tych czynników zdecyduje o kierunku dalszego rozwoju wojny.

Konstanty Symonolewicz.

Warszawa 15. V 1938.

Ostatnie depesze agencyjne, nadesłane z terenu walk w Chinach Północnych już po napisaniu niniejszego artykułu, powodują potrzebę uzupełnienia go nowymi, nie pozbawionymi sensacji szczegółami, dotyczącymi dalszego rozwoju akcji japońskiej, mającej na celu połączenie armii północnej i południowej na linii kolei Lung-hai. W rezultacie gwałtownego ataku, przypuszczonego przez wojska japońskie równocześnie od północy i południa, kolej Lung-hai została przecięta w kilku miejscach i w jednym z nich, w pobliżu miasta Li-czuang, odległego 80 km od Siu-dżou, armia północna generała hrabiego Terauczi nawiązała 16 maja łączność z armią południową generała Hata. Wskutek tego główne siły chińskie, skoncentrowane w Siu-dżou, znalazły się pod groźbą oskrzydlenia i na dany rozkaz wycofały się z tego miasta, które zostało zajęte przez Japończyków. Tak brzmią wiadomości stwierdzone przez obie strony wojujące. Co do dalszych jednak szczegółów oraz samego znaczenia odniesionego przez Japończyków zwycięstwa, informacje japońskie znacznie różnią się od chińskich. Japończycy twierdzą, że z 66 dywizyj chińskich zdążyło wycofać się tylko 16, pozostałe zaś 50 zostały otoczone i bronią się w warunkach bardzo ciężkich, nie mając nadziei na wydostanie się z matni. Ponadto wojska chińskie w obronie Siu-dżou miały ponieść ciężkie straty zarówno w ludziach, jak i w materiałach wojennych oraz taborze kolejowym i wskutek tego znajdują się obecnie w stanie zupełnej dezorganizacji. Opanowanie wschodniej części kolei Lung-hai jest równoznaczne z likwidacją zbrojnego oporu Chińczyków w prowincjach Szan-dung, Dziang-si i An-huei, czego wyrazem miało być zerwanie miejscowych władz z rządem Dziang Kai-szeka.

W oświetleniu chińskim sprawy przedstawiają się nieco inaczej. Siu-dżou zostało oddane prawie bez walki i w chwili wkroczenia wojsk japońskich znajdowało się tam tylko tysiąc żołnierzy chińskich. Przecięcia linii kolejowej na zachód od Siu-dżou miały charakter przypadkowy i nietrwały, zostały więc zlikwidowane

przez wojska chińskie, które znajdują się w posiadaniu całego zachodniego odcinka kolei i wycofują się w zupełnym porządku. Poza tym dowództwo chińskie od dawna liczyło się z możliwością straty kolei Lung-hai i okoliczność ta w najmniejszym stopniu nie wpłynie na osłabienie dalszego oporu.

Prawda, jak zwykle w takich wypadkach, znajduje się gdzieś pośrodku i Japończycy niewątpliwie ze względów polityki wewnętrznej trochę przecenili odniesione zwycięstwo. Również jednak nie ulega wątpliwości, że zwycięstwo to znacznie ich zbliża do realizacji nakreślonego planu stopniowego „przyswojenia" Chin, gdyż połączenie w jedną całość dotychczasowych zdobyczy terytorialnych ułatwi prowadzenie dalszej akcji przeciwko Han-kou, do czego nawołuje japońska opinia publiczna, rozentuzjazmowana odniesionym tryumfem. Zasługują przy tym na uwagę duże walory strategiczne ostatniej operacji japońskiej. Jak się bowiem okazuje, Japończycy potrafili skoncentrować całą uwagę dowództwa chińskiego na walkach w zachodnim Szan-dungu, a w tym czasie przygotowali decydujące uderzenie w innym miejscu, nieco dalej ku zachodowi.

Tak czy inaczej — front Lung-hai nie został jeszcze całkowicie zlikwidowany i brak wszelkich stamtąd wiadomości od czasu zdobycia Siu-dżou, wskazuje, że opór chiński na tym odcinku trwa w dalszym ciągu. Wobec tego trudno przewidzieć w jakim kierunku rozwijać się będą dalsze wypadki i wydaje się pewnym tylko jedno — że nawet opanowanie całej kolei Lung-hai — wojny nie zakończy, a tylko zmieni jej charakter, zmuszając Japończyków do dalszego rozszerzenia frontu.

Przegląd piśmiennictwa.

Ignazio Silone: Chleb i wino. Powieść. Wydawnictwo „Rój". Warszawa 1937.

Wśród ostatnich nowości beletrystycznych powieść Silone nosi specjalny charakter. Maluje on środowisko włoskich *cafone* — małorolnych i bezrolnych, pod rządami faszystowskimi. Pietro Spina, ideowiec-rewolucjonista, pełen współczucia dla ich ciężkiego położenia, chce ich pobudzić do akcji konspiracyjnej przeciwrządowej. Bohater napotyka na przeróżne przeszkody nie tylko ze strony policji i urzędników faszystowskich, tropiących i prześladujących każdy objaw opozycji, ale uniemożliwia mu akcję bierność, apatia, godzenie się choćby z najstraszniejszą rzeczywistością ze strony samych *cafone*.

Na samym początku książki uderza nas obraz nędzy wsi włoskiej, w rozpaczliwie czarnych malowany kolorach. Śmiertelność dzieci „jest rodzajem masowej rzezi niewiniątek" (str. 77), „kobieciny bose, przyodziane w łachmany... przypominają wydojone kozy" (str. 74), domy są ruinami; *cafone,* przygnieciony nadmiernymi podatkami, karmi się chlebem ze śliną (str. 107, III i inne).

Ale widzimy dalej, że cały reżim faszystowski przedstawiony jest, jako system skrajnej deprawacji moralnej. Kobieta nie może marzyć o otrzymaniu posady bez zapłacenia za nią swą czcią (str. 89). Przywódcy partii faszystowskiej, o których się mówi: „Łajdak całą gębą" (str. 88), „geniusz, de facto dureń" (str. 173) łatwo otrzymują rozwody oficjalne „z powodu niezgodności charakterów" (str. 88), prostytucja jest niemal uznana, jako zjawisko konieczne. — Wszystko to przypomina nam znane i stwierdzone fakty upadku moralnego... ale w Rosji Sowieckiej, o której mówi nawet prasa sowiecka (patrz CILACC — *Centre International de Lutte Active Contre le Communisme* nr 21, listopad 1937).

System rządów faszystowskich — to system nieludzkiego terroru. Faszyści zadają uwięzionym tortury, godzące przede

wszystkim w godność ludzką (policzkowanie przez godzinę, plwanie w twarz — str. 304, 370). Nawet na śledztwie nie wyjmują oskarżonym knebla z ust, a studenci biją na ulicach przeciwników faszyzmu do utraty przytomności, za co otrzymują pochwały (str. 503).

Nawet czytelnik nie zorientowany w literaturze sowieckiej i komunistycznej wykryje w powieści *Chleb i wino* wyraźne sympatie bolszewickie. Niejednokrotnie wspomina Autor wielki kraj na wschodzie Europy „skąd słońce przychodzi", a który wygnał króla (str. 131, 139). A po tym całkowicie wyraźnie komunista, wypuszczony z więzienia pyta się: „Co tam słychać w Rosji, w Chinach, w Barcelonie?" i cieszy się, słysząc, że „jego" sprawy w Rosji i w Chinach stoją dobrze (str. 365).

Stosunek Autora do wiary, do katolicyzmu jest całkowicie wyraźny. W całej książce bije w oczy zjadliwa krytyka kleru katolickiego, biskupów, co zachowują się jak kupczyki (str. 288) prałatów, osiągających stanowiska dzięki protekcji (str. 286), misjonarzy, którzy służą „dwóm panom: Ewangelii i kapitalizmowi kolonialnemu", są pośrednikami „przy układach pomiędzy Kościołem, a mocarstwami imperialistycznymi" (str. 101). Autor mówi ciągle o „przepaści między praktyką Kościoła, a słowami głoszonymi w kazaniach" (str. 97). Bluźnierczym, świętokradczym jest obrazek na stronie 372, kiedy ojciec skazanego na śmierć komunisty Muriki, na zebraniu rodzinnym bierze do ręki chleb ze zboża, nad którym jego syn pracował i wino, koło którego się trudził i daje współbiesiadnikom ze słowami: „Bierzcie i spożywajcie, to jego chleb, bierzcie i pijcie, to jego wino".

Bohater powieści Pietro Spina — organizator „grup", czyli jaczejek komunistycznych we Włoszech, dochodzi do jakiegoś wewnętrznego oczyszczenia, ale nie jest to oczyszczenie w duchu katolickim, jeśli zostało sformułowane w ten sposób: „zmartwychwstało w mej duszy wszystko to, co zostało tam nietknięte i nienaruszone z chrześcijańskiego podejścia do życia. Było to chrześcijaństwo wyzute z wszelkiej mitologii, wszelkiej teologii, wszelkiej kontroli kościelnej" (str. 336). A chyba nie może być uważany za przedstawiciela katolicyzmu ks. Benedetto, nauczyciel Pietra Spiny, który u schyłku swego życia mówi do niego:„ Powiem ci też, że jeśli odprawiam nadal mszę, to tylko dlatego, żeby oszczędzić proste dusze, które mnie otaczają, żeby im nie sprawiać na próżno zgryzot" (str. 293).

Czy to „chrześcijańskie podejście do życia" pana Silone nie przypomina jaskrawo nowej taktyki komunistycznej, uchwalonej w r. 1935 na VII kongresie Kominternu, nakazującej głoszenie sympatii do chrystianizmu, a zażartą nienawiść do Kościoła? Toć p. José Bergamin również pisze w komunistycznym piśmie młodzieży *Courrier universel de la jeunesse* (nr 17, 1937 r.): „My chcemy tylko krzyża Chrystusowego, my chcemy prawdziwego

pokoju, my chcemy sprawiedliwości", tylko że zaraz dodaje „teraz my chcemy i mamy nadzieję wydobyć się z szalbierstwa klerykalizmu, Gomy i Spółki, Towarzystwa Jezusowego, twórców i spólników usutannionych i usatanionych faszystowskiej, międzynarodowej zbrodni". A dla rozwiania wszelkich wątpliwości co do tego „religijnego nastawienia" tenże sam p. Bergamin dodaje: „Z Madrytu, a nie z Rzymu, z Madrytu przeciw władczemu Rzymowi, oczekuję, moi przyjaciele, nowego, katolickiego, duchowego odrodzenia".

W zestawieniu z podobnymi oświadczeniami książka Silone nabiera specjalnego oświetlenia. Jest przeniknięta propagandą komunistyczną, antyreligijną, jest szkodliwa i niebezpieczna. Jest tym bardziej niebezpieczna, jeśli uprzytomnimy sobie brak znajomości u szerokich warstw naszej inteligencji nowej taktyki komunistycznej, łatwe poddawanie się sugestywnym twierdzeniom o rzekomych przeobrażeniach programu Kominternu, o zaprzestaniu walki z religią itp. chwytom. Książka Silone posłuży takim właśnie celom.

Dr M. Śliwińska-Zarzecka.

Maria Kasterska: Na Zamku Milczenia — Opowieść. Warszawa. Hoesick 1938, str. 134.

Forma opowieści zwalnia autorkę od troski o artyzm budowy, jakiego krytyka wymaga od powieści, noweli, czy pastel literackich. *Na Zamku Milczenia* jest tylko wspomnieniem z paru miesięcy spędzonych przez Polkę, podlasiankę w latach wielkiej wojny w starej arystokratycznej siedzibie francuskiej rodziny. W opowiadaniu Kasterska ukazuje nam trzy damy: matkę, córkę i kuzynkę a w dalszej perspektywie syna, któremu duma rodowa matki nie pozwala na związek z pochodzącą z mezaliansu kuzynką. O jakiejkolwiek akcji, o psychologicznym zarysowaniu charakterów nie ma mowy w tym utworze. Autorka poprzestaje na kilku rysach charakteryzujących usposobienia spotykanych w jadalni i w salonie osób. Każda z nich kryje milczeniem jakąś tragedię życia i szuka siły i oparcia w pełnym poddaniu się woli Bożej, płynącym z katolickiego przeświadczenia. Jakaś anhelliczna czysta ofiara własnego szczęścia, by nim okupić zwycięstwo dobra, unosi się jako tchnienie w *Zamku Milczenia*. Wszystko jednak ukazuje się z dala, przysłonięte wielkopańskim chłodem i pozorną obojętnością. Wskutek tego opowieść nie budzi większego zainteresowania. Styl też nie jest nowy, impresjonistyczny, jest pozbawiony emocjonalnych czynników, a chociaż poprawny, tkwi jednak w literackiej powszedniości. Raz tylko Autorka pofrunęła ponad rzeczywistość leksykografii, kiedy *Stat crux dum volvitur orbis* tłumaczy: „Krzyż stoi w miejscu, podczas gdy fruwa wszech-

świat". Prawdopodobnie przez roztargnienie *volvitur* szukała w słowniku pod *volo* zamiast pod *volvo*, i tak przypięła skrzydełka wszechświatu.

Ks. Władysław Rejowicz T. J.

Julian Krzyżanowski: Władysław St. Reymont, twórca i dzieło. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Lwów 1937. Str. 209.

Dzięki inicjatywie Zakładu im. Ossolińskich ukazała się bardzo dobra monografia o twórczości Reymonta. A był już najwyższy czas. Autor *Chłopów* nie jest jeszcze nam daleki, jeszcze żyją ci, którzy go znali i tym samym on zdaje się dotąd żyć wśród nas — później pozostanie już tylko jego dzieło. I wtedy zbyt łatwo ulegnie się pokusie traktowania twórczości Autora w zupełnym oderwaniu od jego osoby, wtłoczy się tę twórczość w ramy uświęconej i raz na zawsze ustalonej krytyki literackiej według zwykłej recepty: *Hermann und Dorothea* zrodziła *Pana Tadeusza*, *La Terre* zrodziła *Chłopów*. Jest to znane drzewo genealogiczne klasycznych dzieł literatury świata, drzewo wyrosłe na gruncie wpływologii. Autor zwykle traci na tym poszukiwaniu stopni pokrewieństw jego utworów z rodziną starych, poważnych, szanowanych dzieł.

Przy omawianiu twórczości Reymonta można bardzo łatwo skrzywdzić go w ten właśnie sposób, pomijając jego bogate życie. Tym łatwiej, że dotąd nie mamy jeszcze dobrze opracowanej jego biografii. Na ten brak i na te trudności zeń wypływające wskazuje p. Krzyżanowski zaraz we wstępie swej pracy — czytelnik jest już więc przygotowany na to, że zetknie się tutaj raczej z dziełem, niż osobą wielkiego pisarza. Dzieło to jednak zostało omówione naprawdę po mistrzowsku, poddane sumiennej analizie, mogącej służyć za wzór podobnym pracom, a przede wszystkim zostało uporządkowane. I to jest jedna z największych zalet monografii: uszeregowanie dzieł Reymonta według ich wartości. Dotychczas na tym polu panował prawie zupełny chaos. (Sam Reymont zresztą posługiwał się dziwnymi kryteriami w ocenianiu własnych utworów). Autor oddał też wielką usługę krytykom i historykom literatury przez obalenie legend o wielkich różnicach między dwoma tekstami *Ziemi obiecanej* — pierwodrukiem w *Kurierze Codziennym* i wydaniem książkowym. Różnice te powstały tylko z poprawek stylu i kompozycji (zwłaszcza w końcowych rozdziałach obydwu tomów) a nie z przyczyn ubocznych i czysto zewnętrznych.

Odkładając tę bardzo interesującą monografię, czytelnik będzie żałował, że nie ma ona pierwszego tomu o Reymoncie-człowieku.

Ks. Bronisław Wójcik T. J.

Dr Mieczysław Skrudlik: Maria z Magdali w Ewangelii, legendzie i sztuce. Naczelny Instytut Akcji Katolickiej. Poznań 1937. Str. 144.

Książka ta jest jakby stwierdzeniem słów Chrystusa: „Gdziekolwiek będzie opowiadana Ewangelia i to, co ona uczyniła, będzie opowiadane na jej pamiątkę". (*Mat. XXVI, 13*). Widzimy bowiem, jak Maria Magdalena weszła w życie rosnącego Kościoła, w życie wiernych, którzy swój kult do niej zaznaczyli we wszystkich dziedzinach sztuki. Widzimy, jak na marginesie opowiadania ewangelicznego powstaje dziwna legenda o przybyciu Łazarza z siostrami Marią i Martą do południowej Francji, jak ta legenda kuta jest na portalach kościołów, rzeźbiona na głowicach kolumn, układana z barwnych szkiełek w witrażach katedr. Niezależnie jednak od tej legendy postać Marii Magdaleny zajmowała zawsze jedno z poczesnych miejsc w sztuce religijnej. O tym więc bardzo zajmująco a równocześnie głęboko i fachowo pisze dr Skrudlik. Trzeba pamiętać, że mamy przed sobą nie tak hagiografa, jak raczej historyka sztuki a zwłaszcza sztuki religijnej; najlepiej więc ocenią tę książkę artyści i znawcy. Dla artystów katolików będzie ona wskazaniem granicy, poza którą nie ma już postaci świętej pokutnicy, ale tylko zwykły portret wyzywająco pięknej kobiety. Autor zbadał ikonografię odnoszącą się do Marii Magdaleny, ikonografię bardzo obfitą, obejmującą wszystkie okresy, wszystkie szkoły i kierunki. Pokazał, jak często w twórczości artystów postać Marii Magdaleny odbiegała daleko od Ewangelii, ile w niej było pierwiastków zaczerpniętych ze świata pogańskiego, ze świata zamków ponurych *raubritter*'ów lub pałaców pięknych wenecjanek. Zwrócił też uwagę czytelnika na często powtarzający się błąd mieszania dwóch postaci — Marii Magdaleny i Marii Egipcjanki; będą mu za to wdzięczni ci wszyscy, którzy całą znajomość sztuki religijnej czerpią z Künstla.

Znawcy i zwykli czytelnicy będą wdzięczni Autorowi za bezpośredniość i wdzięk, z jakim przedstawił pielgrzymkę świętej na polu sztuki. Bezpośredniość ocenią zwłaszcza stali bywalcy muzeów, a jeżeli chodzi o legendę pobytu Magdaleny we Francji to przede wszystkim ci, którzy znają wszystkie kościoły od Maguelonne poprzez Arles, Tarascon aż do Marsylii. Przypomną oni sobie ze wzruszeniem, jak to zakrystian ubogiego wiejskiego kościółka twierdził, że kiedyś głosił tutaj kazanie sam św. Łazarz, a przynajmniej jeden z jego towarzyszów. I nie radzę, by wtedy uśmiechać się z powątpiewaniem, nie radzę też tłumaczyć właścicielowi zbiorów prywatnych, zaciekłemu ateuszowi, że kawałek zbutwiałej deski nie jest częścią łodzi, w której Maria Magdalena przybyła do brzegów Francji. Tak więc często w sercu, z którego usunięto Ewangelię pozostała jeszcze święta pokutnica.

Ks. Bronisław Wójcik T. J.

Ks. Józef Winkowski: W g ł ą b i w z w y ż. Wybór artykułów z 17 roczników (1920—1937) miesięcznika *Pod Znakiem Maryi*. Zakopane 1938. Str. 433.

W roku przyszłym 1939 upływa dwudziestolecie istnienia Związku Sodalicyj Mariańskich Uczniów Szkół Średnich. Zapowiedziane uroczystości jubileuszowe niewątpliwie uprzytomnią społeczeństwu olbrzymi dorobek ideowy i wychowawczy tej zasłużonej organizacji, która — poczęta z gorącego umiłowania idei sodalicyjnej oraz głębokiego wniknięcia w duchowe potrzeby młodego pokolenia — rzuciła silne podwaliny pod zręby zrzeszeń katolickiej inteligencji, w pierwszym rzędzie Sodalicyj Mariańskich. Ktokolwiek miał w ręku wydane ostatnio XVIII sprawozdanie roczne Związku, ten sobie może uświadomić, ile potężnych, odrodzeńczych impulsów, ile niezmordowanej, mrówczej pracy organizacyjnej, ile prądów prawdziwie nadprzyrodzonych, bożych przez tak długi okres czasu wypływało rokrocznie ze skromnego poddasza domu na Łukaszówce na całą Polskę, kształtując ducha młodego pokolenia, urabiając jego katolickie poglądy i stając wolę do podjęcia twórczego dzieła przebudowy Polski rękami sodalisów.

W głąb i wzwyż — to jakby przekrój dotychczasowego dorobku ideowego Związku, ukazujący poszczególne nawarstwienia i słoje myśli, których ucieleśnieniem jest dzisiejszy ruch sodalicyjny wśród młodzieży męskiej szkół średnich. Poza tą swoją wartością dokumentarną i historyczną, książka przedstawia również niemałą pomoc praktyczną w pracy nad młodzieżą, ponieważ przynosi bogaty i z dużym talentem literackim opracowany materiał do przeszło stu pogadanek na tematy religijne, apologetyczne, organizacyjne itp. Materiał ten może być wyzyskany w pracy organizacyjnej także w postaci czytanek, a i prywatnie będzie stanowił wyjątkowo zajmującą lekturę młodzieży, w niczym nieustępującą dziełom renomowanych i tak skwapliwie tłumaczonych pisarzy zagranicznych w rodzaju ks. Tótha. Najlepszym zresztą dowodem jego poczytności jest owych kilkanaście tysięcy czytelników i prenumeratorów, pozyskanych dla czasopisma *Pod Znakiem Maryi* mistrzowskim piórem jego redaktora, twórcy i dotychczasowego prezesa Związku Sodalicyj Mariańskich Uczniów Szkół Średnich.

Ks. Wacław Zajączkowski T. J.

Schaeder Hildegard: G e s c h i c h t e d e r P l ä n e z u r T e i l u n g d e s a l t e n p o l n i s c h e n S t a a t e s s e i t 1386. („Deutschland und der Osten", Band 5), Lipsk, Hirzel 1937, str. VIII i 92 — z tablicą i z mapami.

Nowe „źródło rozbioru Polski" wykrył tutaj p. Schaeder, który analogicznie do niniejszego studium kontynuować wyraźnie je zamierza na przestrzeni czterech co najmniej stuleci. Ośrod-

kiem obchodzącej nas rozprawy jest projekt Władysława Opolczyka z roku 1392, zatem o równe lat 400 wyprzedzający rozbiory. Niezwykłą „pikanterię" ma dla nas fakt, że partnerem Opolczyka w jego zdrożnej robocie jest nie kto inny, jeno... Konrad Wallenrod. Sztafaż, tło historyczne tej opowieści wygląda istotnie jak fragment z Mickiewiczowskiego romansu: ten śląski Piast, co nocą, w przebraniu zakonnym, wślizguje się na zamek malborskiego „gada".

Co połączyło wielkiego mistrza i sławnego księcia? Von Wallenrode (bo tak brzmiało właściwe jego nazwisko) nie był Litwinem, nie był zdrajcą zakonu, owszem był *Polenfresser*'em (*„er war feindlich gegen die Polen, mehr als man glauben kann"* — powiada o nim jedna z kronik późniejszych). Był jednak mistrz Konrad (w początku lat dziewięćdziesiątych wieku XIV — o intuicjo Sienkiewiczowska w *Krzyżakach!*) kacerzem wcale nielepszym od swojego spadkobiercy Albrechta. Nie darmo widziała go świątobliwa wizjonerka Dorota Kwidzyńska, gdy pomarł nagle w roku 1393, „w czarnej postaci" wleczonego do piekieł przez pięciu demonów.

A teraz — Opolczyk. Był on — obok Ziemowita mazowieckiego — najdostojniejszym w tym czasie przedstawicielem wygasających Piastów. Po kądzieli płynęła w nim krew Łokietka, po babce, która poślubiła była Bolka Opolskiego. To też „panowie krakowscy" chętnie byliby widzieli tego wnuka Łokietkowego królem, jak później byliby się zgodzili na jego kuzyna i imiennika Władysława Białego.

Rojnie zjechali się Piastowie na koronację swojego krewniaka Ludwika. Przybył Opolczyk, stawił się szwagier jego, Ziemowit Mazowiecki; przybył też z dalekiego Szczecina — Kazko, wnuk Kazimierzowy, i szwagier cesarza Karola IV. Ale z tych wielmożów tylko Opolczyk stał się „centralną figurą" za rządów Ludwika, a także podczas burzliwego bezkrólewia po jego śmierci, które wysunęło kandydatury Semka mazowieckiego i Zygmunta brandenburskiego i wstrząsało umysłami mało- i wielkopolskich magnatów. *Coadiutor Regni*, Opolczyk pozostał, jak się zdaje, wiernym Andegawenom, a nawet kiedy polska ich latorośl na małżonka wybrała sobie Jagiełłę, do chrztu go trzymał i imienia swojego przy tym chrzcie mu użyczył.

Więc co się stało w kilka lat później? Oto jedyny ten lennik korony polskiej stanął oko w oko z potężniejącą dynastią Jagiellonów i sekundującą im oligarchią magnacką i poczuł się po prostu zagrożony w swoim stanie posiadania. Więc, jak XVIII-towieczny wielmoża, jak Sułkowski czy Branicki, zareagował na to planem podziałowym.

Rozwińmy jedną z map p. Schaedera! Widzimy na niej ciało Polski przeszyte strzałami, które godzą od strony jej sąsiadów: wskazany jest kierunek zamierzonego przez Opolczyka

rozbioru. Swobodną od nich jest ściana wschodnia *Regni*, ale bo też, w braku niegroźnej naówczas Moskwy — widnieje tam jeszcze niespojona z Polską Litwa i luźnie związane, lecz też na łup zaborców przeznaczone Mazowsze. Za to groźne owe strzały idą od strony Malborga, Branibora i Budy. Po Ruś Czerwoną chciwie wyciąga ręce Zygmunt luksemburski, jak je wyciągać będzie — w cztery stulecia później — Maria-Teresa habsburska (ówczesna Austria w osobie wzgardzonego przez Jadwigę arcyksięcia Wilhelma przyłącza się zresztą do tego antypolskiego frontu). „Nie jest przypadkiem — pisze w końcu p. Schaeder — że granice podziału, które, po latach czterystu, w roku 1795, istotnie zostały wytyczone, pokrywają się niemal z granicami zamierzonego podziału z roku 1392". Boć przecie — po owych 400 latach — Brandenburgia zlała się z Zakonem, a oboje, wsiąknąwszy w „Prusy", stały się głównym promotorem rozbioru.

K. M. Morawski.

Ks. Julian Ataman: W. H. Sierakowski i jego rządy w diecezji przemyskiej. („Studia historica-ecclesiastica" 3), Varsaviae, str. XVII i 329.

Leży przed nami trzeci tom studiów z zakresu polskiej historii kościelnej, wydawanych przez adeptów seminarium warszawskiego pod kierunkiem ks. Zdzisława Obertyńskiego. Dwa wydane poprzednio — to biografia słynnego humanisty Erazma Ciołka (pióra H. Folwarskiego) i innego, starszego humanisty, ucznia Kallimachowego, królewicza-prymasa Fryderyka Jagiellończyka.

Od brzasków i blasków renesansów przenosi nas wydana świeżo monografia ks. Atamana w czasy saskie. Mówi nam wszakżeż o męczenniku za wiarę i wolność, ofierze brutalności rosyjskiej, ale z doby późniejszej, barskiej. To jakby monografia kolegi Sierakowskiego, Sołtyka, kiedy tamten był tylko biskupem kijowskim i tępił „mord rytualny".

Późniejszy zasłużony arcybiskup lwowski zmarł w roku 1780, więc w połowie już rządów Stanisława-Augusta, monografia jednak ks. Atamana obejmuje pierwsze tylko sześćdziesięciolecie życia biskupa, dobę saską. Lecz i tak wypełnia lukę w naszej eklezjastycznej literaturze historycznej, skoro z monografii biskupa mieliśmy dotąd właściwie tylko, jak wykazuje autor, „panegiryk" Maurycego Dzieduszyckiego („Rychcickiego"), biografa Oleśnickiego i Skargi.

Studia archiwalne i biblioteczne ks. Atamana (uwzględnił on zbiory krajowe w Warszawie, Lwowie, Przemyślu, a musiał pominąć m. i. ważne archiwum biskupa w Waplewie) dały w sumie rezultat dość obfity. Osiemnastolecie rządów Sierakowskiego w diecezji przemyskiej, która nie zawsze miała w tym stuleciu

szczęście do swoich pasterzy (Betański!), rysuje się nam jako pasmo pracy apostolskiej z jego strony, zadziwiające w erze Augusta III, Brühla i zeświecczonego częściowo kleru wyższego. Wizytacje biskupie w latach 1743—47 i 1753—57 (ciężkich latach wojen i zamętu — inni biskupi sascy: Jan Szembek czy Aleksander Fredro wizytowali tę diecezję swoją raczej tylko przez delegatów) zajmują blisko 30 stron w dziele ks. Atamana, malując dobitnie gorliwość pasterską Sierakowskiego, opieszałość zaś niektórych jego podkomendnych, jak np. tego kanonika Gedymina w Tyczynie, co wcale nie zjawił się na wizytację arcypasterską. „W międzyczasie" — jak mawiało się w Galicji — spełniał biskup-wizytator inne też funkcje pasterskie, błogosławiąc np. w Mościskach, w październiku 1753 r., niefortunny zresztą związek małżeński księcia „Panie-kochanku" z Rzewuską. A docierał w wizytacji swojej wszędzie, nawet do odległych i trudno dostępnych parafij podkarpackich.

Administrator i organizator znakomity swojej diecezji, wróg zaś „absenteizmu" i niekarności, dbały o poziom duchowy podległego sobie kleru (kreował domy seminaryjne i rekolekcyjne w Przemyślu i Brzozowie), był Wacław Sierakowski, ten przyszły więzień i wygnaniec — w spokojnych czasach wtórego Augusta — „Leszczyńszczykiem" zrazu, potem wiernym „Augustowcem", ale nie „Brühlowcem", patriotą niewątpliwym, nade wszysko zaś „kapłanem Bożym".

K. M. Morawski.

Zdzisław Kaczmarczyk: Immunitet sądowy i jurysdykcja poimmunitetowa w dobrach Kościoła w Polsce do końca XIV wieku. Poznań. Nakładem Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Józef Matuszewski: Immunitet ekonomiczny w dobrach Kościoła w Polsce do roku 1381. Poznań. Nakładem Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Sekcja Historyczna Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk wydała kolejne tomy 9 i 10 swych prac. Wydawnictwo tej Sekcji zawiera w sumie blisko 40 rozpraw i prac z dziedziny historii Polski, szczególnie jej ustroju. Ostatnie przez nas omawiane pozycje, są bodaj najobszerniejsze z dotychczas wydanych. Opracowano je na seminarium historii Polski Uniwersytetu Poznańskiego pod kierunkiem prof. Zygmunta Wojciechowskiego. Zajmują się obie tematem sobie pokrewnym — zagadnieniem immunitetu kościelnego, pierwsza — sądowego, druga — ekonomicznego. Stąd też w obu pracach widzimy ten sam sposób podejścia do tematu, tę samą metodę badania źródeł i ich przytaczania, ten sam schemat konstrukcyjny. Prace swe dzielą Autorowie na dwie części. W pierwszej ogólnej, syntetycznej wprowadzają czytelnika w trudności stojące przed badaczem, w pojęcie immunitetu, jego zakres

rzeczowy, osobowy, terytorialny, czas trwania, stosunek do kolonizacji na prawie niemieckim. Poza tym Autor pracy o immunitecie sądowym przedstawia zakres sądownictwa kościelnego poimmunitetowego, jego kompetencję, organizację, środki karne. W drugiej części, szczegółowej znajdujemy wykaz dokumentów nadania lub rozszerzenia immunitetu odnoszących się do poszczególnych jednostek immunizowanych, oraz krótkie ich streszczenie. Na końcu pracy znajdujemy dosyć obfitą (szczególnie w pracy Matuszewskiego) bibliografię oraz francuskie streszczenie. Język w obydwu pracach dosyć ciężki, prawdopodobnie pod wpływem źródeł łacińskich. Brak wyjaśnienia ściśle fachowych wyrażeń utrudnia czytanie laikowi.

Ks. A. Światopełk-Mirski T. J.

Julianus Groblicki: De scientia Dei futurorum contingentium secundum S. Thomam eiusque sequaces. Wydawnictwo Wydziału Teologicznego U. J. Kraków. 1938, str. 144.

Nie wiemy jaki jest osobisty sąd autora tej doktorskiej rozprawy odnośnie do omawianego w książce zagadnienia. Wyraźnie zresztą zaznacza, że chodzi mu tylko o historyczne przedstawienie problemu bez wprowadzania oceny wartościującej. I właśnie w tym stanowisku autora chcemy widzieć trafną wskazówkę metodologiczną, obowiązującą wszystkich, którzy chcą coś pisać czy mówić na ten temat. Musimy bowiem wyznać, że ta próba jak najwierniejszego odtworzenia problemu, owiana historycznym wyczuciem, więcej nam dała pożytku, niż najsubtelniejsze dociekania spekulatywne. Z rekonstrukcji bowiem klasycznej myśli św. Tomasza z Akwinu wynika niedwuznacznie, że problem wiedzy Bożej odnośnie do warunkowych spraw przyszłych został przez epigonów myśli tomistycznej sformułowany i rozwiązany nie tomistycznie. Doktor Anielski uniknął — świadomie czy nieświadomie — niewłaściwego postawienia zagadnienia; uniknął mianowicie daremnego trudu rozwiązywania problemu z istoty swej absolutnego w kategoriach przestrzenno-czasowych, czego nie uniknęli późniejsi scholastycy, którzy wskutek właśnie prób podejmowanych w celu rozwikłania problemu przy pomocy nie nadających się do tego kategorii, stworzyli fikcyjny *crux philosophorum*. Sprzeczność bowiem między poznaniem a wolnością istnieje tylko w świecie uwarunkowanym czasowo i przestrzennie. Otóż w Bogu tego uwarunkowania nie ma, a zatem nie istnieje i samo zagadnienie. I na tym stwierdzeniu braku sprzeczności przy odrzuceniu czasowo-przestrzennego uwarunkowania zatrzymuje się myśl ludzka. To, co pozytywnie możemy orzekać o poznaniu Bożym, ogranicza się do orzeczeń, nadających się również do orzeczeń absolutnych: a więc np. *scientia* (a nie *praescientia*), *motio* (a nie *praemotio*), *causatio*

(a nie *determinatio*). I z takimi jedynie orzecznikami spotykamy się u św. Tomasza. Późniejsze wyrażenia, jak wspomniana *praemotio* (wyrażenie zresztą tautologiczne z *motio* — jak przyznaje sam Gredt — nieznane św. Tomaszowi) lub *infuitio* (w odróżnieniu od *scientia*) czy *scientia media*, nie należą do klasycznego tomizmu i jako wynikłe z nieporozumienia są ciekawym przyczynkiem historycznym, lecz nie nadają się do traktowania merytorycznego. Janssens, który zastosował sumienną analizę historyczną tekstów św. Tomasza, dochodzi do podobnych wyników, choć nie stawia kropki nad „i". Banezjanizm i molinizm czy skotyzm zdradzają cechy późno-scholastyczne, obce scholastyce klasycznej. Są to dociekania, którym nie odpowiada żaden problem faktyczny, i dlatego — w myśl współczesnej logiki — choć sprzeczne między sobą, mogą być jednocześnie prawdziwe (formalnie), a są jednocześnie fałszywe (treściowo), gdyż orzekają o nieistniejącym przedmiocie. I trzeba to poczytać za dowód szczególniejszej opieki Bożej, że Kościół św. powstrzymał się od wypowiedzenia swego zdania w tak głośnej ongiś i tak namiętnie dyskutowanej kwestii. Wypowiedziałby się bowiem w sprawie czysto logicznego problemu, w sprawie — fikcji.

Przyznajemy, że autor nie wyprowadza takich wniosków, jak myśmy to uczynili. Ale jesteśmy przekonani, że właśnie jego praca uprawnia nas do takiego postawienia rzeczy. A jeżeli kto ma jakie zastrzeżenia, najlepiej zrobi, jeżeli sam zapozna się z omawianą rozprawą.

Ks. A. Kisiel T. J.

Sappok Gerhard: Die Anfänge des Bistums Posen und die Reihe seiner Bischöfe von 968—1498. („Deutschland und der Osten" — Band 6), Lipsk, Hirzel, 1937, VI i 153.

Książka ta w części swojej pierwszej jest niepozbawionym tendencji rozważaniem zależności stolicy biskupiej poznańskiej od Magdeburga, a — ściślej mówiąc — Polski Mieszkowej od Cesarstwa; w drugiej wszakżeż — obszerniejszej — czymś w rodzaju „Korytkowskiego" czy „Łętowskiego" poznańskiego, tj. katalogiem miejscowych arcypasterzy w okresie przeszło lat pół tysiąca, tj. od Mieszka do Olbrachta.

Na podstawie nieprzebranej literatury (zajmuje ona w książce $10\,^1/_2$ stron druku) ustalić się stara p. Sappok listę czterdziestu przeszło zwierzchników „wyspy tumskiej", poprawiając, gdzie uważa to za stosowne, katalog odwieczny Długosza. Czy ma jednak rację, kiedy kwestionuje np. autorytet sędziwego dziejopisa, podając w wątpliwość pochodzenie italskie najstarszego z biskupów poznańskich, co przybył z Dąbrówką, Jordana — wydaje się nam nie całkiem uzasadnione.

Wiek XI — to burzliwy okres w egzystencji młodego biskupstwa, które pada ofiarą reakcji pogańskiej lat trzydziestych, która poniekąd była też zapewne reakcją narodową — dość przyjrzeć się imionom pierwszych owych biskupów: Ungerów, Ederammów, Franków, aby zrozumieć, że ci benedyktyni niemieccy nie zawsze konweniować musieli poddanym wcześniejszych Piastowiców.

Wiek XII przynosi wszakże ze sobą spolszczenie diecezji poznańskiej. Na piętnastu jej w tym stuleciu pasterzy dwóch, trzech jest zaledwie „Dinderów"; poza tym — to Michały, Bogufały, Radwany, Świętosławy, Mrokoty i jak się tam jeszcze zowią — to prawe, szlacheckie Adwańce, Różyce, Sulimczyki, Leszczyce, Grzymality; poza tym czy przed tym — w niejednym wypadku wysocy dygnitarze książęcy, kanclerze, jak ten Michał „Habdank", któremu Gallus dedykował dwie pierwsze księgi swojej kroniki; jak Peanus i Radwan, kanclerze zapewne Mieszka Starego; jak dziwacznie nazywający się Cherubin; jak Mrokota, kanclerz „Sprawiedliwego" i Bogufał, kanclerz Przemysława itd.

Wchodzimy w wiek XIII. Register Sappokowy wykazuje za ten okres dziesięciu stwierdzonych w Poznaniu pasterzy: są to heroiczne czasy walki między Kościołem a państwem polskim, między Kietliczem a Laskonogim. Kościół wychodzi z walk tych zwycięsko: Paweł Krakowianin (?) (1211—42), jako pierwszy z biskupów poznańskich do godności swojej dochodzi na drodze wolnego kanonicznego wyboru. Smutna to dla Polski epoka, ale zarazem czas największego rozkwitu Kościoła. Narodowość cofa się tu na rzecz niemczyzny i nie bez przyczynienia się ówczesnych biskupów poznańskich — kolonizatorów. Serię tych biskupów XIII-towiecznych zamyka właściwie Jan Herburt, jeden z koronatorów Przemysława; on też w pół roku po tej szczęśliwej dacie grzebie zamordowanego podstępnie przez Niemców króla w swojej katedrze.

Trecento otwiera na stolicy poznańskiej biskup Andrzej, który kontynuuje politykę germanofilską niektórych ze swoich poprzedników i zwalcza Łokietka. Zmienia tę politykę następca jego, Grzymalita Domarat, przeciwstawiając się Krzyżakom; tegoż zaś następca — Jan Doliwczyk, Małopolanin, pochodzi z rodu, sprzyjającego już wielkiemu Łokietkowi, bierze też udział w koronacji syna. Spomiędzy dziewięciu bezpośrednich jego następców — Jan IV — to przedstawiciel godny Kazimierzowego prerenesansu i świadek koronny w procesie warszawskim Polski z Zakonem; Andrzej z Wiślicy — nominat Awinionu, który go później przesunąć miał do Meklenburga, kiedy kapituła poznańska wybrała anty-biskupa z rodu lojalistów-Pałuków; drugi Doliwczyk na stolicy poznańskiej, Jan V, był dobrym nade wszystko administratorem; następca jego, Mikołaj z Kurnika (?), mało budujący prałat — kanclerzem Ludwika. Ten ostatni nie zatwierdził wyboru jego następcy Mikołaja herbu Nałęcz i kazał go nawet

uwięzić w drodze do Rzymu, w Treviso; papież zaś zgodził się tymczasem, na prośbę królewską, mianować w jego miejsce Piasta-Opolczyka, Jana „Kropidłę", nazwanego tak z powodu bujnej czupryny, typowego „nepota". Zamykają w Poznaniu wiek XVI: Dobrogost, kanclerz Ziemowita Mazowieckiego, późniejszy prymas i — po nowym, przelotnym „intermezzu" z niestałym „Kropidłą" — późniejszy również prymas, Mikołaj Śreniawita, „protonotariusz" Jagiełły.

Praca p. Sappoka kończy się przeglądem ostatnich siedmiu biskupów średniowiecznych. Są to — Wojciech Jastrzębiec, późniejszy prymas, protegowany Jadwigi, kanclerz Jagiełły, do którego król osobnego słał gońca z wieścią o zwycięstwie grunwaldskim, przedstawiciel królewski w Pizie, a legat papieski na Litwie i Rusi, poza tym — ambitny *corfegiano.* Po nim przychodzi rywal jego, Piotr Wysz z Radolina, długoletni biskup krakowski, wysadzony przez Jastrzębca, jako zapewne słabszy od niego dyplomata; po Wyszu — Andrzej Laskarz, koncyliarysta konstancjański; po nim — kolega soborowy i faworyt — kanonik Mirosław (nie obejmuje wszakże stolicy); aż wreszcie nastało tu trzech ostatnich biskupów średniowiecza: pierwszy z nich — to Ciołek (Stanisław), podkanclerzy i ulubieniec Jagiełły i Witolda, surowo potępiany przez Papieża dla swojej rozwiązłości, dzielny dyplomata, koncyliarysta bazylejski, poeta — satyryk czy raczej paszkwilant: słowem humanista *avant la lettre.* Po nim zaś, Mazurze z rodu, następują dwaj rodowici Wielkopolanie: Andrzej z Bnina i Uriel z Górki (zdawać by się mogło, że po śmierci Jagiełły rozkwitnął już na dobre w Wielkopolsce partykularyzm). Bniński — w przeciwieństwie do Ciołka — to ortodoks-rygorysta: „ultramontanin" w przeciwieństwie do „gallikanizującego" Oleśnickiego, wróg zaciekły husytyzmu, jeden przy tym z najzaufańszych doradców Jagiellończyka.

Z krwi i kości Wielkopolaninem — był także kanclerz Uriel z Górki, którego piękną płytę grobową dłuta Piotra Vischera mieści po dziś dzień tum poznański.

K. M. Morawski.

M. T. — L. Pinedo: La conscience religieuse. Essai systématique suivi d'illustrations. Pierre Téqui. Paris. Str. 250.

Autor, profesor uniwersytetu fryburskiego (Szwajcaria) wydał pod jednym tytułem pięć rozdziałów ze swych wykładów o psychologii religii. Zaraz na wstępie zaznacza, jak zawiły jest problem określenia ścisłego przedmiotu tego działu badań naukowych i jak różnymi drogami można przynajmniej zbliżyć się do jego rozwiązania. Trudność pochodzi stąd, że na akt religii można patrzeć z punktu widzenia empirycznego, filozoficznego i teologicznego. I właściwie trudno określić, gdzie kończy się rola

empiryka lub filozofa a zaczyna teologa — a jeszcze trudniej powiedzieć, bo tutaj zaczyna się już krążyć koło tajemnicy, gdzie znajduje się granica między działaniem łaski a udziałem człowieka w każdym poszczególnym akcie religii. Zagadki te rozwiązywano w różny sposób, zwłaszcza gdy akt religii zaczęto badać w terenie psychologii nawrócenia. Tutaj najwyraźniej wystąpiły główne rysy teorii Janeta, Schelera, Jamesa, Bergsona i wielu innych a szczególnie sławna teoria Freuda o sublimacji popędów seksualnych. Autor mówi też o patologicznych objawach niezdrowej ascezy ale równocześnie wykazuje, że teoria Janeta, zaliczająca stany mistyczne wielkich świętych do objawów chorób umysłowych wyższej klasy, jest nie tylko krzywdząca ale i nienaukowa. W ostatnim rozdziale M. Pinedo analizuje przeżycia religijne mistyczki siedemnastego wieku, Marii Guart.

Ks. Br. Wójcik T. J.

Gredt J., O. S. B., Elementa philosophiae aristotelico thomisticae. 2 tomy: I Logica, Philosophia naturalis. II Metaphysica, Ethica. Str.: I—XXII+501; II—XVI+470. Freiburg 1937. Herder.

Przeciętny uczony dzisiejszej doby, który chciałby się zaznajomić z filozofią ściśle tomistyczną, niemało napotkałby może trudności. Wobec rozpowszechnienia się t. zw. szerszego tomizmu, stosunkowo mało jest dzieł, które by systematycznie przedkładały zawiłe głębie „wieczystej filozofii". Do niewielkiej tej liczby zaliczyć należy przede wszystkim pracę ks. J. Gredta.

O wybitnym jej znaczeniu świadczy choćby fakt, że już siódmy raz zjawia się ona na półkach księgarń europejskich. Za każdym razem ukazują się w literaturze rozliczne o niej wzmianki, zawsze niemal zaszczytne dla autora.

Na pierwszym miejscu rzuca się w oczy oryginalny układ dzieła, zgoła odmienny od układu reszty podręczników, a występujący jako cecha charakterystyczna we wszystkich innych poprzednich wydaniach. Cały szereg zagadnień, które bywają na ogół omawiane w ontologii lub krytyce, w podręczniku Gredta uwzględnione są już w logice t. zw. „predikamentalnej". Na tym ujęciu dzieło, zdaje się więcej traci niż zyskuje. Niektóre bowiem tezy wychodzą rozbite albo zbyt powierzchownie narzucone.

Mimo to nie podobna nie przyznać autorowi niezwykle szerokiej i głębokiej wiedzy odnoszącej się nie tylko do wszystkich niemal tez filozoficznych św. Tomasza i Arystotelesa, w których ujęciu nie pomija subtelnych nawet momentów, ale również do najnowszych odkryć na polu nauk świeckich, jak fizyki, chemiii. Z tych względów dzieło Gredta należy bez wątpienia do najwybitniejszych. Wypadałoby może jednak, by wobec mnóstwa problemów interesujących dziś nowoczesnego filozofa-fizyka, więcej

zagadnień z tej dziedziny poruszyć i z punktu widzenia tomizmu należycie oświetlić. Wtedy wartość filozofii św. Tomasza, jej aktualność w dobie obecnej wystąpiłaby jeszcze wyraźniej.

Podobnie niektóre z zagadnień metafizycznych, jak problem prawa przyczynowości, nad którym tak dużo dysputowano i dyskutuje się dotychczas, choć autor wspomina, że więcej mu poświęcił miejsca niż w innych wydaniach, nie znajduje mimo to należytego oświetlenia. Za kategorycznie też i za ubocznie poruszona jest może kwestia przedmiotu właściwego poznaniu zmysłowemu. Ale poza tymi i innymi mniejszego znaczenia momentami, praca J. Gredta ma same niemal zalety. Wartość jej powiększa duża przejrzystość i jasność stylu, do której zapewne przyczynia się niemało forma scholastyczna od początku do końca konsekwentnie stosowana. Dzięki niej dzieło nadaje się nie tylko dla studentów już zaawansowanych, ale również dla tych, którzy stawiają pierwsze dopiero kroki na tej drodze.

Ks. Stefan Kwiatkowski T. J.

Alphonse de Parvillez S. I.: Les Sacrements. Richesses méconnues. Éditions Spes — Paris 1937. Str. 93.

Krótkie pogadanki radiowe o. de Parvillez, nie stanowią oczywiście rozważań dogmatycznych, mających głębiej wyjaśnić naturę sakramentów św., gdyż celem Autora nie były dociekania teologiczne, lecz bezpośrednie działanie na wolę słuchaczy. W siedmiu rozdziałach ujawnia Autor zasadniczy charakter poszczególnych sakramentów świętych, akcentuje zwłaszcza ich wielkie znaczenie w życiu człowieka, podnosi ich bogactwa zbyt często nieznane lub niedoceniane, oraz przypomina obowiązki jakie sakramenty św. wkładają na wiernych.

Sposób ujęcia jest łatwy, język urozmaicony, niepozbawiony pewnego piękna oratorskiego, co jest zupełnie zresztą zgodne z wymaganiami francuskich słuchaczy.

Ks. Jan Rosiak T. J.

Notatki bibliograficzne.

K. J.: Wychowanie chrześcijańskie według encykliki Ojca św. Piusa XI „O chrześcijańskim wychowaniu młodzieży". Katolicki Związek Kobiet. Poznań 1937. str. 68.

Książeczka niniejsza omawia w sposób prosty i przystępny dla szerokich warstw czytelników zagadnienie wychowania poruszone w encyklice. Poszczególne rozdziały są tak ujęte, że stanowią gotowy wykład. Dla rozpowszechnienia myśli encykliki odda ona wielkie usługi.

Mariali: Przez Maryję Dzieło Boże. Nakładem *Głosu Karmelu.* Kraków. 1938, str. 63.

Utwór poetyczny liturgiczno-mistyczny zakrojony na szerszą skalę. Niesie ze sobą nowość ujęcia znanej osobom religijnym treści i harmonijnego skojarzenia uczuć mistycznych z tekstami liturgicznymi. Tę nowość i świeżość uchwyci łatwo dusza zżyta z liturgią i kontemplująca często tajemnicę Wcielenia, natomiast inni niezbliżeni do tych tajemnic mniej znajdą upodobania w tych wierszach.

Dr Andrzej Krzesiński: Badania nad kulturą Dalekiego Wschodu na tle podróży dokoła świata. Księgarnia Gebethnera i Wolffa, Warszawa-Kraków. 1938, str. 37.

Jest to zapowiedź obszerniejszej pracy, jaką autor zamierza wydać w związku z odbytą przez się podróżą po Dalekim Wschodzie. Otrzymujemy tu krótkie sprawozdanie z podróży, poprzedzone krótką wiązanką refleksji na temat potrzeby badań kultury Dalekiego Wschodu.

Ks. dr A. Fajęcki: Biskupi z naszej Almy. Katalog biskupów polskich spośród b. wychowanków Rz.-Kat. Akademii Petersburskiej od r. 1842—1918. Warszawa. 1938, str. 17.

Warto odszukiwać porozrzucane nieraz daleko ogniwa przeszłości i utrwalić w ludzkiej pamięci, co pozostało z minionych czasów. Ta myśl przyświecała autorowi przy wydawaniu katalogu, który jest jednocześnie przyczynkiem do dziejów Akademii.

Piękno Warszawy. IV. Kościoły Katolickie. Warszawa. 1937.

Tekst dziejów kościołów katolickich w Warszawie, opracowany na podstawie aktów Archiwum Archidiecezji Warszawskiej z uwzględnieniem nowszych prac w tym zakresie, służy jednocześnie jako przewodnik po kościołach, a także jako wyznacznik szlaków historycznego rozwoju Warszawy, których nie może zatrzeć wzmagające się tętno życia stołecznego. Reprodukcje utrzymane w dobrze dobranym kolorze, artystyczne i starannie wykonane, składają się na całość tego zbioru, który niewątpliwie zainteresuje miłośników sztuki.

Stanisław Adamski, biskup katowicki: Podstawy pracy stowarzyszeń Akcji Katolickiej. Nakładem Nacz. Inst. Akcji Katolickiej. Poznań. 1937, str. 58.

Broszura, pisana wytrawnym piórem Pasterza katowickiej diecezji, zawiera następujące rozdziały: Odrębność Stowarzyszeń Akcji Katolickiej, Obowiązki Zarządu Stowarzyszenia, Stosunek Stowarzyszeń Akcji Katolickiej do Kościoła, Istota hierarchicznego apostolstwa świeckich, Apostolstwo naczelnym zadaniem Akcji Katolickiej, Kształcenie apostołów świeckich, Apostolstwo w stosunku do innych celów i zadań Stowarzyszenia.

Ks. Biskup Stanisław Adamski: Parafialna Akcja Katolicka. Nakładem Nacz. Inst. Akcji Kat. Poznań, 1938, str. 45.

Po skreśleniu ogólnych uwag o istocie i ustroju Akcji Kat. dostojny Autor przechodzi do omówienia właściwego tematu, o roli i zadaniu Parafialnej Akcji Kat., o pracach wewnętrznych i wystąpieniach na zewnątrz, o stosunku Akcji do polityki, o apostolstwie zbiorowym i osobistym. Broszura niezbędna dla działaczy na terenie parafij.

Józef Milenkiewicz: Komunizm a chrześcijaństwo. Wydawnictwo „Dobra Prasa". Wilno 1938, str. 30.

W serii pożytecznych wydawnictw „Dobrej Prasy", odznaczających się aktualnością poruszanych zagadnień i przystępnością ceny, niniejsza broszura w szczególniejszy sposób nadaje się do masowego rozpowszechniania wśród proletariatu miejskiego, choć z pożytkiem przeczyta ją każdy, komu nie są obce sprawy Boże na ziemi.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem T-wa Wiedzy Chrześcijańskiej, Lublin-Uniwersytet:

O. Marian Pirożyński C. SS. R., Stanisław Szczęch: Rocznik Statystyczny Kościoła Katolickiego w Polsce. Rok pierwszy. 1937. Lublin 1938, str. 318.

Bolszewizm. Praca zbiorowa. 1938, str. 318.

Ks. Marcin Wojciechowski: Nieomylność Kościoła Chrystusowego według A. Chomiakowa i jego zwolenników. 1938, str. 179.

Mieczysław Stanisław Popławski: Oktawian August. 1938, str. 46.

Ks. prof. dr Józef Pastuszka: Filozoficzne i społeczne idee A. Hitlera. 1938, str. 91.

Nakładem Książnicy Atlas, Lwów-Warszawa:

Juliusz German: Amaranty. Powieść z lat 1803—1813. T. I, str. 338. T. II, str. 302.

John Worby: Pamiętnik wiejskiego ptaka, 298.

Dr Jan Sztaudynger: Marionetki. Z 39 rycinami, str. 139.

Henryk Gaertner: Gramatyka współczesnego języka polskiego. Część III, 2: Słowotwórstwo. 1938, str. 343—424.

Ferdynand Zweig: Przemiany. Zmierzch czy odrodzenie liberalizmu. 1938, str. 318.

M. Billiżanka i Tommy: Robinson Kruzoe. Sztuka dla dzieci w 4 obrazach. 1938, str. 63.

Kazimiera Jeżewska: Podanie o Piaście. Trzy obrazy z muzyką Franciszka Izbickiego (Maklakiewicza). 1938, str. 81.

Nakładem „Biblioteki Polskiej", Warszawa:

Alina Świderska: Królowie. Powieść z życia i epoki Ryszarda Wagnera. Cz. II, Król z bajki. 1938, str. 338.

Jaroslav Maria: Król. Przełożył Henryk Leśniewski. 1938, str. 1—611.

Joseph Conrad: Opowieści zasłyszane. Wydanie drugie, str. 140.

Tenże: Sześć opowieści. 1938, str. 302.

Wacław Filochowski: Cierpkie pobratymstwo. Książka o Czechosłowacji. 1938, str. 303.

Juliusz Znaniecki: Ziarno z głębiny. Poezje. 1938, str. 61.

Nakładem Naukowego T-wa Pedagogicznego z zasiłku Funduszu Kultury Narodowej im. Józefa Piłsudskiego. Skład główny: „Nasza Księgarnia", Warszawa:

Jan Henryk Pestalozzi: Matka i Dziecko. Przełożył i wstępem poprzedził Z. Mysłakowski, 1938, str. 121.

Tenże: Jak Gertruda uczy swoje dzieci: Przełożył z języka niemieckiego Włodzimierz Szewczuk. 1938, str. 241.

Prace psychologiczne. Pod redakcją prof. dr St. Szumana. T. I. Zeszyt 1, 2, 3, 4, str. 1—270.

Włodzimierz Szewczuk: Psychologia postaci. 1937, str. 222.

Nakładem Instytutu Śląskiego. Skład główny „Nasza Księgarnia" Warszawa:

Marek St. Korowicz: Górnośląska ochrona mniejszości 1922—1937 na tle stosunków narodowościowych. Z 3 mapkami. Katowice 1938, str. 208.

Zbigniew Miłobędzki: Przemysł w województwie śląskim Katowice 1938, str. 95.

Paweł Rybicki: O badaniu socjograficznym Śląska. Katowice 1938, str. 40.

Janusz Staszewski: Przeszłość wojenna Śląska. Z 4 mapkami. Katowice 1938, str. 44.

Julian Krzyżanowski: Podania i baśni śląskie. Katowice 1938, str. 25.

Nakładem Wydawnictwa Ks. Salwatorianów, Mikołów:

O. Ferdynand Baumann T. J.: Oto przychodzę... Rozmyślania o Najśw. Sercu Jezusowym, przeznaczone szczególnie na pierwszy piątek miesiąca. 1938, str. 91.

Wincenty Danek: Z niedoli obecnej ku źródłom szczęścia, 1938, str. 112.

Ks. Alfred Grabowski: Pamiątka Pana. Liturgiczno-ascetyczne rozważania o Mszy św. 1938, str. 53.

Nakładem Wydawnictw zagranicznych:

Carolus Boyer S. I.: Tractatus de gratia divina. Romae, apud Aedes Universitatis Gregorianae. 1938, str. 418.

Hans Mortensen, Gertrud Mortensen: Die Besiedlung des nordöstlichen Ostpreussens bis zum Beginn des 17. Jahrhunderts. Teil II. Verlag von S. Hirzel in Leipzig. 1938, str. 246.

P. Croisier, S. J.: Devant l'ordre nouveau. Responsabilité et devoirs des catholiqus. Action Populaire. Editions Spes. Paris. str. 211.

Chanoine P. Magaud: Les Évangiles du dimanche. Expliqués et commentés. P. Téqui et Fils. Paris 1938, str. 397.

Gerhard Zimmermann: Das Breslauer Domkapitel im Zeitalter der Reformation und Gegenreformation (1500—1600. Verlag Herman Böhlaus Nacht. Weimar 1938, str. 599.

Nakładem różnych:

Organon. International Review. Published by the Mianowski Institute for the Promotion of Science and Letters. Warsaw. I. 1936, str. 304. II. 1938, str. 302.

Przegląd Ekonomiczny. Kwartalnik poświęcony badaniu podstawowych i aktualnych problemów gospodarczych i społecznych. T. XVII—XXII, Lwów 1938.

M. Tarnawski: Un Evêque polonais, Mgr Joseph Bilczewski. Traduction du polonais revue par Bernard Hamel. Libraire Lecoffre, J. Gabalda et C-ie. 1937, str. 278.

Ks. dr K. Wilk. — Dr C. Wilczyński: Gwiazdy katolickiej Polski. Żywoty wielkich sług Bożych. T. I. Mikołów 1938. Nakładem i drukiem K. Miarki, str. 571.

Feliks Jabłczyński. 1865—1928. Monografia zbiorowa. Warszawa 1938, str. 66.

Ks. dr Witold Klimkiewicz: Wybór nuncjusza Mieczysława Ledóchowskiego na stolicę gnieźnieńską i poznańską w r. 1865. Nakładem autora. Kraków 1938, str. 309.

Reginald Campbell: W dolinie tygrysa. Powieść. Przekład J. B. Rychlińskiego. Nakładem Wł. Michalaka. Warszawa 1938, str. 335.

Ks. dr Franciszek Zbroja: Etyczne poglądy Świętochowskiego. Nakładem autora. Łomża, str. 156.

Ks. Arcybiskup Józef Teodorowicz: Kuszenie Chrystusa. Wielkopostne konferencje radiowe. Kraków. Nakładem Katol. T-wa Wydawniczego. 1938, str. 87.

Ks. dr Ferdynand Machay: Gazda Piotr Borowy. Życie i pisma. Nakładem Związku Górali Spisza i Orawy. Kraków 1938, str. 110.

Polityka gospodarcza III Rzeszy. Cz. I. Leopold Caro: Przewrót gospodarczy w III Rzeszy. Antoni Żabko - Potopowicz: Rolnictwo w III Rzeszy. Nakładem Pol. T-wa Ekonomicznego we Lwowie. Lwów 1938, str. 143.

Ks. Stanisław Kuźnar T. J.: Św. Andrzej Bobola Tow. Jez. Męczennik i Patron Polski. Nakładem Wydawn. Apostolstwa Modlitwy. Kraków 1938. str. 190.

Mieczysław Haiman: Ślady polskie w Ameryce. Szkice historyczne. Chicago, Illinois, 1938, str. 294.

Paweł Rybicki: Problem uspołecznienia. Warszawa 1938, str. 31.

Leon Halban: Na straży kultury i ducha. Nakładem Diec. Inst. Akcji Katol. w Płocku. Płock 1938, str. 21.

Stefan Kaczorowski: Przeobrażenie ustroju gospodarczo-społecznego. Nakł. Diec. Inst. Akcji Katol. w Płocku. Płock 1938, str. 43.

Pamiętnik ósmego Zjazdu w Częstochowie. 15—17/IV. 1936 roku. Związek Zakładów teologicznych w Polsce. Kraków. 1937, str. 379.

Stanisław Krokowski: Wschodzący dzień. Nakładem Koła Filistrów „Chrobria". Skład główny: Księgarnia św. Wojciecha, Poznań 1938, str. 66.

Korespondencja Adama Asnyka oraz materiały do życiorysu i twórczości poety. Wydał Antoni J. Mikulski. Nakładem T-wa Szkoły Ludowej. Lwów. 1938, str. 225.

Krystyna Sinko-Popielowa: Kościół w Niepołomicach. Kraków 1938, str. 61.

Ks. dr Józef Smoczyński: Świątobliwy Sługa Boży Stanisław Hozjusz. 1504—1579. Nakładem Funduszu Hozjańskiego. Pelplin 1938, str. 54.

Ks. Michał Rękas: Radio w szpitalu. Warszawa—Lwów. 1938. Wyd. Apostolstwo Chorych, str. 19.

Tenże: Chory pracuje dla parafii... Wydawnictwo: Apostolstwo Chorych — Radio dla Chorych. Lwów 1937.

Tenże: Apostolstwo Chorych w Polsce. Poznań—Lwów. Nakładem Naczeln. Inst. Akcji Katol. i Polskiego Sekr. Apost. Chorych, str. 18.

Słowo Boże w programach Polskiego Radia. Nakładem Społecznego Komitetu Radiofonizacji Kraju. Warszawa 1938, str. 32.

Śpiewajmy wszyscy razem Zbiorek najbardziej rozpowszechnionych pieśni procesyjnych. Wydawnictwo Instytutu Różańcowego. Toruń, str. 31.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Echa rzymskiej wizyty Hitlera. — Potępienie rasizmu. — Kongres Euch. w Budapeszcie.

Jakkolwiek majowa wizyta Hitlera w Rzymie miała oczywiście za główny cel polityczny manewr umocnienia osi Rzym—Berlin, to jednak można było się łudzić, iż tak osobisty wpływ Mussoliniego jak cała atmosfera świętego miasta wywrą dodatni wpływ na *Führer*'a i przyczynią się do złagodzenia tragicznych konfliktów między Kościołem a Trzecią Rzeszą. Można się było łudzić..., jak łudził się metropolita wiedeński Ks. Kard. Innitzer a z nim prawie cały episkopat austriacki. Dziś złudzenia minęły, została twarda rzeczywistość dziejowej rozprawy dwóch ideologij: rasizmu i chrześcijańskiego uniwersalizmu.

Toteż wszystkie wspaniałości triumfalnego pochodu Hitlera poprzez miasta faszystowskiej Italii, wszystkie rewie lądowe, morskie i powietrzne, którymi *Duce* zapragnął olśnić, może i nieco zastraszyć, dyktatora Rzeszy, nie zdołały zagłuszyć ostrego zgrzytu jaki w te uroczystości padł z wyżyn Watykanu. Stojący nad grobem starzec Pius XI, podejmuje tradycje Leonów, Grzegorzów, Innocentych... i zbrojny jedynie w nadprzyrodzoną misję obrony prawdy staje oko w oko naprzeciw zbrojnej i butnej potęgi „potentatów dnia", by rzucić im w twarz Janowe *non licet*...

Wbrew wszelkim pogłoskom i politycznym intrygom Autor natchnionej encykliki: *Mit brennender Sorge,* nie ustąpił ani na krok z raz zajętej pozycji, bo ustąpić nie pozwala mu sumienie. Pius XI, który z ojcowską dobrocią czeka na przygarnięcie marnotrawnego syna, nie może pójść na polityczne targi oraz ludzkie kompromisy. Na brak dobrej woli odpowiada pełną godności nieustępliwością, której nic zastraszyć nie zdoła. W perspektywie historii bę-

dzie to niewątpliwie jeden z najwspanialszych dowodów nieśmiertelności Kościoła, zbudowanego na opoce... a kierowanego przez Króla królów, Władcę wszystkich panujących.

Wyjazd Ojca św. do Castel Gandolfo w przededniu rzymskich uroczystości miał swą wymowę, którą zrozumiał i której przyklasnął świat cały. Zamknięcie muzeów watykańskich starczyło za wszelkie komunikaty, a pełne bólu słowa Papieża o panoszeniu się parodii krzyża *(Hackenkreuz)* nad miastem, w którym Chrystusowy krzyż niepodzielnie winien władać, wstrząsnęło sumieniami wszystkich.

...„Ból Ojca św., tak pisał katolicki dziennik *L'Avvenire d'Italia* w okresie pobytu Hitlera we Włoszech, zranił jakby cierniem przede wszystkim serca synów Italii, którzy najbliżej znajdują się Ojca św. i dlatego najbardziej dzielą z nim jego troski i niepokój o niemieckich braci". Włoscy jednak katolicy nie zadowolili się biernym podzielaniem troski... stanowisko bowiem włoskiej młodzieży, zwłaszcza uniwersyteckiej, miało swą niedwuznaczną wymowę a za kulisami oficjalnych toastów, sławiących jedność ideologiczną faszyzmu oraz hitleryzmu, rozbrzmiewał pomruk szerokich mas, które pamiętają Piawę i dla których katolicyzm jest świętością większą niż przemijające koniunktury politycznych osi.

Wprawdzie wiadomość londyńskiego *Evening Standard* o rzekomym ataku *Popolo d'Italia* na Watykan okazała się bezczelnym falsyfikatem, mimo to nie ulega wątpliwości, iż jak z jednej strony stanowisko Papieża wobec wizyty *Reichsführer*'a nie mogło się podobać pewnym faszystowskim grupom, tak z drugiej strony zrozumiałym jest w całej pełni rozgoryczenie i niesmak jaki w szerokich katolickich kołach pozostawiła po sobie w Italii wizyta Hitlera. I o tych nastrojach wie doskonale Berlin.

Toteż wyrazem tylko źle maskowanego odwetu było wystąpienie dra Dietricha, szefa biura prasowego Rzeszy, który w swym przemówieniu, transmitowanym kurtuazyjnie przez radio, wystąpił w gwałtownej filipice przeciw wolności niezależnej prasy, upatrując w niej źródło międzynarodowego zła i sławiąc metody stosowane pomyślnie w zwalczaniu tego zła na terenie Trzeciej Rzeszy.

I znowu fakt symptomatyczny, iż oficjalny organ Watykanu *Osservatore Romano,* który całkowicie zignorował pobyt Hitlera i jego adiutantów w Italii, zareagował ostro i zdecydowanie na przemówienie narodowo-socjalistycznego dygnitarza. W dłuższym artykule podkreślił ten dziennik przemilczane perfidnie przez Dietricha tępienie prasy katolickiej w Niemczech. A przecież prasa ta mogłaby właśnie służyć obiektywnej prawdzie, zwalczając istotne zło, jakim

jest fałszowanie informacyj, mogłaby też skutecznie przeciwstawiać się tym wszystkim, którzy zadają gwałt sumieniu milionów obywateli niemieckich. Metody tępienia niezależnej prasy, sławione z emfazą przez dra Dietricha, doprowadziły jedynie do niebywałej korupcji opinii publicznej, utrzymywanej świadomie w błędzie przez narodowo-socjalistyczne dzienniki. Tylko dzięki tym metodom, które z całą perfidią stosują kłamstwo jako broń publicystyczną, można było rozpowszechnić w Niemczech z gruntu fałszywe i absurdalne twierdzenia, iż Papież i Kościół działają jedynie dla celów politycznych, iż popierają nawet komunizm, byle tylko zwalczać narodowy socjalizm.

A przecież, jak podkreśla znamiennie, *Osservatore Romano,* istnieje w Watykanie cały szereg dokumentów, o których katolickie społeczeństwo w Niemczech nie ma i najmniejszego pojęcia. Opublikowanie tych dokumentów przez niezależną prasę obaliłoby w jednej chwili całą tę sztucznie wzniesioną i starannie podtrzymywaną barierę nieufności, niezrozumienia i nienawiści, która ma na celu odseparowanie narodu niemieckiego od Kościoła. Usunięcie tej bariery nie leży jednak oczywiście w interesie narodowego socjalizmu i dlatego knebluje prasę, by opinię publiczną w Niemczech celowo utrzymywać w błędzie.

Tak więc rzymska wizyta Hitlera zamiast przynieść pożądane odprężenie, zamiast stać się krokiem naprzód w kierunku porozumienia nie tylko politycznego ale i kulturalno-ideowego dwu potężnych i dynamicznych państw oraz narodów, stała się tylko źródłem tym głębszego konfliktu duchowego, który może zaciążyć poważnie nawet na politycznej trwałości osi Rzym—Berlin. Faktu tego nie zdoła zaciemnić nawet genueńska mowa Mussoliniego...

Ponieważ więc odwiedziny *Führer*'a były z punktu widzenia religijnego całkowicie negatywne, przeto przewidywać należy z jednej strony zaostrzenie w Rzeszy kampanii antykatolickiej z drugiej zaś formalne potępienie przez Kościół narodowego socjalizmu jako herezji. Można przypuszczać, iż datowany 13 kwietnia br. a rozesłany niedawno do wszystkich rektorów uniwersytetów katolickich w całym świecie okólnik św. Kongregacji Seminariów i Uniwersytetów stanowi jakby przygotowanie do tego właśnie decydującego kroku. A oto tekst okólnika:

Rzym, 13 kwietnia 1938.

Wasza Magnificencjo!

W ubiegłym roku, w wigilię święta Narodzenia Pańskiego Najwyższy nasz Pasterz i szczęśliwie nam panujący Papież mówił do prześwietnego Kolegium kardynałów i prałatów Kurii

Rzymskiej w słowach nabrzmiałych smutkiem o poważnych prześladowaniach, które — jak każdy wie — godzą w Kościół katolicki w Niemczech.

Co zaś najbardziej i najboleśniej dotknęło serce naszego Ojca św., to fakt, że dla usprawiedliwienia, przytacza się przy tym bezwstydne oszczerstwa i że, szerząc dookoła najzgubniejsze poglądy, przedstawia się je jako naukowe, choć niesłusznie to miano noszą, by tylko wykolejać umysły a z dusz usuwać prawdziwą religię.

Św. Kongregacja zachęca przeto uniwersytety i wydziały katolickie, by użyły wszelkich trudów i wysiłków ku obronie prawdy przed czyniącymi postępy błędami.

W tym celu muszą profesorowie zaczerpnąć, o ile możności, broni z biologii, historii, filozofii, apologetyki i nauk prawa oraz moralności, aby mocno i rzeczowo obalić następujące całkowicie fałszywe twierdzenia:

1. Rasy ludzkie przez swą wrodzoną i nieodmienną naturę tak dalece różnią się między sobą, iż przedział dzielący najniższą z ras ludzkich od wyższej jest większy, niż między najniższą rasą ludzką a najwyższym gatunkiem zwierząt.

2. Siła rasy i czystość krwi muszą we wszelki możliwy sposób być zachowane i pielęgnowane; wszystko zatem, co do tego celu zmierza, jest tym samym dobre i dozwolone.

3. Z krwi, w której zawarta jest istota rasy, wypływają wszystkie duchowe i moralne właściwości człowieka jako z najdoskonalszego źródła.

4. Najgłówniejszym celem wychowania jest rozwijać istotę rasy i rozpalać dusze gorącą miłością dla własnej rasy, będącej dobrem najwyższym.

5. Religia podporządkowana jest prawu rasy i musi do niego się dostosować.

6. Pierwszym źródłem i najwyższą miarą całego porządku prawnego jest instynkt rasowy.

7. Nie ma nic prócz jednego kosmosu lub jednego wszechświata, jednego żywego bytu; wszystkie rzeczy, łącznie z człowiekiem, są niczym innym, jak różnorodnymi formami przejawiania się tego żywego wszechświata, zjawiskami, które rozwijają się w ciągu długich okresów.

8. Jednostki ludzkie istnieją tylko przez państwo i dla państwa; wszelkie prawo, które one posiadają, wyprowadza się wyłącznie z faktu, że prawo to udzielonym zostało przez państwo.

...Nasz Ojciec św., prefekt św. Kongregacji, jest przekonany, że Wasza Magnificencja niczego nie zaniecha, by to, co przez św. Kongregację w niniejszym liście zostało przepisane, do całkowitego doprowadzone było sukcesu.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż wyżej zestawione dogmaty rasizmu jak z jednej strony nie wytrzymują żadną miarą naukowej krytyki, tak z drugiej niektóre z nich pozostają w jawnej sprzeczności z wiarą i etyką katolicką. Wszak w pierwszej tezie zawarte jest zaprzeczenie duchowej natury człowieka. Każdy człowiek, choćby należał do najniższej rasy, posiada duszę nieśmiertelną, posiada więc inteligencję, jest twórcą pewnej kultury, wyznawcą pewnej religii, a tego wszystkiego żadną miarą nie można przyznać nawet najwyżej rozwiniętym człekokształtnym małpom. Jest to pewnik naukowy równie jak dogmat katolickiej wiary. Uznanie rasy za najwyższe dobro człowieka (teza 4), za najwyższą normę jego moralności, której tak religia jak etyka podporządkować się muszą (tezy 2, 5, 6), jest najoczywistszą herezją. Teza siódma zawiera herezję panteizmu, a teza ósma stoi w jaskrawej sprzeczności z katolicką filozofią i etyką.

Już z tego najpobieżniejszego zestawienia najważniejszych tez rasizmu jasno wynika, iż doktryna ta może i musi być potępioną przez katolicki Kościół. Ponieważ zaś rasizm stanowi dziś istotną podbudowę ideową narodowego socjalizmu, przeto o jakimkolwiek pogodzeniu hitleryzmu z katolicyzmem nie może być mowy. Przed milionami Niemców coraz groźniej i coraz tragiczniej rysuje się konflikt między sumieniem i wiarą a wiernością dla państwa, sprzągniętego w swoich istotnych wiązaniach z neopogańską ideologią.

Na tle tych ponurych perspektyw tym jaśniej i tym radośniej występuje potężna manifestacja wiary, której widownią była w ostatnich dniach maja stolica katolickich Węgier. Trzydziesty czwarty międzynarodowy Kongres Eucharystyczny zgromadził w tym malowniczym naddunajskim mieście reprezentantów całego katolickiego świata, ożywionych jedną wspólną ideą hołdu dla Eucharystycznego Króla. Ojca św. reprezentował sekretarz stanu, Legat Kard. Pacelli, obok niego stanęło 14 kardynałów, 40 arcybiskupów, 290 biskupów i wielotysięczne rzesze wiernych wszelkich narodowości i wszelkich stanów; tym boleśniej uderzał brak pielgrzymki i reprezentantów hierarchii Niemiec.

Przebieg uroczystości był imponujący. Budapeszt daje niezrównane ramy a katolicy węgierscy umieją mistrzowsko organizować gigantyczne manifestacje. Wzruszał oficjalny udział regenta, admirała Horthy'ego. Dostojny ten i na wskróś szlachetny żołnierz oraz mąż stanu, jakkolwiek sam katolikiem nie jest, umie godnie reprezentować tradycje bohaterskich i z katolicyzmem jak najściślej związanych Węgier. Zaimponował i rozentuzjazmował wszystkich głęboką wiarą

przepojony referat premiera Imredi'ego, w którym wykazał czym jest Eucharystia dla życia rodziny i społeczeństwa. Oficjalny udział całego rządu, parlamentu, uniwersytetów węgierskich, elity społecznej obok najszerszych warstw miejskich i wiejskich świadczył niezbicie, iż katolickie Węgry nie myślą odstąpić od tysiącletniej tradycji świętych Stefana i Emeryka.

Prawdę tę podkreślił w swej wspaniałej inauguracyjnej mowie Kardynał Legat. Wybitny mąż stanu, głęboki teolog i porywający mowca zamknął w swym przemówieniu nie tylko głęboką ideologię Eucharystycznych Kongresów, ale i całą treść Tajemnicy Ołtarza, będącej skrótem wiary, szkołą świętości i węzłem chrześcijańskiej miłości. Nie brakło jednak i akcentów na wskróś aktualnych, które niewątpliwie nie wzbudziły entuzjazmu ani w Moskwie ani w Berlinie.

Obok licznych posiedzeń plenarnych, grupowych czy narodowościowych, w których królowała katolicka myśl, obok licznych nabożeństw ekspiacyjnych, w których uczestniczyły wielotysięczne rzesze pielgrzymów przyjmując Komunię św., potężne wrażenie wywarły na wszystkich publiczne manifestacje eucharystyczne. Prym zdobyła niewątpliwie wspaniała procesja eucharystyczna na falach Dunaju. Początek procesji naznaczono na godz. 8.

Majowy wieczór zapadał powoli. Zabłysły pierwsze światła na potężnym moście św. Małgorzaty. Brzegi Dunaju mienią się od różnobarwnych strojów, dygocą i jakby się chwieją od niezliczonych tłumów, które w cichym rozgwarze zajęły miejsca na bulwarach, tworząc zbite grupy według narodowości, czy też węgierskich powiatów.

W szarzejącym zmroku płynie potężny głos dzwonów, które nawołują się harmonijnie z przeciwległych brzegów; św. Stefan odpowiada koronacyjnej bazylice, której wieżyce ozłacają ostatnie promienie gasnącego słońca. Całe miasto zamienia się powoli w olbrzymią mroczną bazylikę; firmament niebieski jej sklepieniem, milionowy tłum rozpiera jej mury; główną nawę stanowią majestatyczne nurty Dunaju.

Nagle rozlega się huk armatniego wystrzału, jeden, drugi, trzeci... To sygnał, iż procesja z Najśw. Sakramentem opuściła mury wspaniałej bazyliki św. Stefana. Nad Dunajem poczyna płynąć potężny chorał, wtórują mu akordy niewidzialnych organów. Dreszcz wzruszenia udziela się słuchaczom, zdziwione źrenice wznoszą się ku niebu. Skąd płynie ta cudna muzyka? To radiowa transmisja z koronacyjnej bazyliki. Wtórują jej nowe potężne wystrzały armatnie. Zebrany tłum się ożywia, kieruje wzrok swój ku łańcuchowemu mostowi. Tysiące światełek chybotliwych świec i pochodni iskrzą się na nadbrzeżnych bulwarach; cudowna kolia elektrycz-

nych świateł zdobi kościoły i publiczne gmachy. Na falach Dunaju mieni się blada poświata. Nagle królewski zamek i cytadelę na wzgórzu św. Gerarda zalewa potężny snop światła; silne reflektory dają bajeczne wprost oświetlenie, a na ciemnym już firmamencie tysiące gwiazd migocą w tej czarownej nocy.

Procesja z Najśw. Sakramentem już na salonowym statku i oto rozpoczyna się jedyny w swoim rodzaju korowód.

Na czele wojskowe kanonierki, tajemnicze, ciemne, korzące się tuż nad powierzchnią fal przed Bożą potęgą, którą mają w tym uroczystym orszaku zwiastować. Załoga w paradnych mundurach stoi na pokładzie w równiutkim szeregu, to honorowa kompania ku czci Władcy panujących.

Za kanonierkami płyną strojne jachty; pierwszy wiezie na swym dzióbie olbrzymi krzyż, stworzony z nanizanych na druty elektrycznych lampek, na pokładzie klęczą setki sióstr zakonnych. Na następnym pomieszczono wyższe duchowieństwo.

Ale oto nadpływa salonowy statek, na którym widnieje nasamprzód zalana światłem korona św. Stefana, za nią wznosi się olbrzymia monstrancja utkana z elektrycznych lampek, wreszcie wyłania się złocisty baldachim, a pod nim tron Króla wieków, który dzisiaj odbywa swój triumfalny objazd. Kardynał-Legat Pacelli klęczy przed Najśw. Sakramentem, dookoła niego wieniec purpuratów, w kornej postawie adorują ci dostojnicy Kościoła swego Mistrza, Wodza i Arcykapłana.

Potężny chorał katedry, płynący na falach radia, bije ku niebieskiemu sklepieniu, zlewa się z majestatycznym pluskiem torujących sobie drogę na wodnym szlaku okrętów. Światła elektrycznych lampek mienią się w fosforyzujących falach Dunaju, uderzają ostre dźwięki kapeli, grającej papieski hymn — wzruszenie głębokie ogarnia tłumy, zginają się kolana, cichnie świecki gwar...

A oto suną dalsze salonowe statki, kolumna kilku pokaźnych okrętów, uwieńczonych girlandami elektrycznych lampek, parę mniejszych parowców zamyka ten wspaniały orszak. Na pierwszym statku znajduje się społeczna elita katolickich Węgier. Następny statek mieści na swym pokładzie członków senatu oraz izby posłów. Dalsze statki wiozą licznych pielgrzymów, delegatów, zagranicznych gości...

Procesja dosięgła już malowniczej wyspy św. Małgorzaty. Barwy, tony i światła bratają się w powietrzu, zlewają się z magnetyczną atmosferą przepięknej stolicy. Doczesność ginie gdzieś w przestrzeni, nad wszystkim króluje świetlisty krzyż, jaśniejąca korona, złota monstrancja — to triumf Chrystusa Króla...

Szerokim łukiem okrążają statki tonącą w zieleni wyspę św. Małgorzaty, równają się w świetlisty rząd, w pośpiesznym tempie zdążają w dół rzeki ku miastu. Tym razem procesja płynie bliżej bulwarów starożytnej Budy. Zadumany gród królewski spogląda w ciszy na cudne zjawisko, zamek zalany potokami światła, a na jednym z jego balkonów stał z swą rodziną regent Węgier, admirał Horthy. Rozlega się salwa armatnia.

Statki dobijają do brzegu; J. E. Kardynał-Legat udziela po raz ostatni błogosławieństwa Najśw. Sakramentem; procesja kieruje się powoli ku bramom bazyliki św. Stefana... W katedrze brzmią ostatnie akordy uroczystego *Te Deum,* a ulicami miasta poczyna płynąć olbrzymia, żywa, ludzka rzeka.

Tak minął niezapomniany Eucharystyczny dzień w stolicy katolickich Węgier.

Nazajutrz Budapeszt przeżywał nowe wrażenia imponującej, nocnej adoracji mężczyzn.

Niedziela, ostatni dzień Kongresu, zgromadziła około 800 tysięcy pielgrzymów, którzy wśród modłów i pieśni uczestniczyli w pontyfikalnej Mszy św., celebrowanej przez Kardynała Pacelli'ego przed imponującym ołtarzem, na prześlicznie ozdobionym placu Bohaterów. Wśród najwyższego napięcia i powszechnego wzruszenia tłumów rozległy się zaraz po Mszy św. słowa Ojca św., transmitowane przez radio z Castel Gandolfo.

Jak iskra elektryczna przeszły po setkach tysięcy Węgrów słowa Namiestnika Chrystusa, w których nie tylko wyraził swoje wspomnienia o ich pięknej stolicy, nie tylko nawiązywał do ich bohaterskiej, historycznej tradycji, ale zapewniał, iż na „ukochane swe dzieci węgierskie skierowuje najpierw swój zwrok i błaga Boga nie tylko o pokój cichy, ale i o pokój g o d n y, który należy się narodowi węgierskiemu..."

W tych sympatiach dla szlachetnego narodu łączy się z Ojcem św. cała katolicka Polska. Wzruszający wyraz naszej wielowiekowej przyjaźni dał J. E. Ks. Kardynał Hlond w swym przemówieniu; o tej przyjaźni świadczył dwutysięczny zastęp polskich pielgrzymów z polskim Episkopatem na czele. Miłość Chrystusa, wierność Jego prawom, umiłowanie katolickiej tradycji złączyły nowym węzłem dwa bratnie narody w tych niezapomnianych dniach.

A potężna wymowa Kongresu, krystalizującego treść katolickiej ideologii, Kongresu jednoczącego dokoła tej ideologii całe narody i państwa, może być przestrogą dla „potentatów dnia i triumfatorów chwili", iż i dla nich nadejdzie dzień zamknięty w okrzyku: *Galilaee vicisti!*

Ks. E. Kosibowicz T. J.

Sprawy Państwa.

Zjazdy i plany dyktatorów. — Rumuński czy polski szlak na Ukrainę. — Oś, Ententa, Czechy i wojna. — Londyn, Warszawa i pokój.

Przyznać trzeba, że patos form, towarzyszący zjazdom dyktatorów Niemiec i Włoch, nie jest tylko propagandową dekoracją. Odpowiada on rzeczywistej dynamice politycznej. Podobnie jak jesienią w Berlinie, tak z początkiem maja w Rzymie rozmowy w cztery oczy między Mussolinim a Hitlerem nie omieszkały spowodować groźnych powikłań międzynarodowych.

Wówczas na zjeździe berlińskim, mocarstwa totalne wznowiły ostry kurs przeciwkomunistyczny. Ze stanowiska Włoch miał on dać odpór czerwonej interwencji w Hiszpanii, ale ze strony Niemiec zwracał się wprost przeciw Sowietom, licząc, iż się one uwikłają w wojnę na Dalekim Wschodzie. Stąd w listopadzie, gdy powstawał antykomunistyczny blok japońsko-niemiecko-włoski, pokój światowy zawisnął na tak cienkiej nitce, że zdawało się, iż z trudem dotrzyma do obecnej wiosny. Ocaliła go głównie demonstracyjna jawność tych zaczepnych zamiarów. Zaszachowana w Europie Moskwa powstrzymała się od wystąpienia w Azji przeciwko Japonii, odebrała więc Niemcom nadzieję otwartej drogi na wschód. Poparcie mocarstw zachodnich przez Amerykę wzmocniło je przeciwko Włochom w Hiszpanii. „Gwiazdka" przyniosła odprężenie pokojowe.

Stało się ono pomostem do dalszej ewolucji wydarzeń, ku nowemu zjazdowi dyktatorów i nowemu groźnemu naprężeniu. Unieruchomiona chwilowo w swych ekspansyjnych dążnościach oś rzymsko-berlińska poczęła się skłaniać do ugody z zachodnimi demokracjami według koncepcji „paktu czterech" (względnie pięciu, wraz z Polską) mocarstw. Mogło to niepokoić Moskwę widmem europejskiego „bloku przeciwsowieckiego". Nie ustawał więc Komintern na przełomie roku w zabiegach o przewagę marksizmu w rządach Francją, gdyż ta przewaga gwarantowała odrazę Francji do paktu z faszyzmami, wierność jej dla paktu z Sowietami, oraz pomoc dla czerwonej Hiszpanii, tej nieocenionej Hiszpanii, która służy Sowietom zarówno do kłócenia Włoch z Niemcami, jak ich wspólnej „osi" z anglo-francuską ententą.

Nie Hiszpania jednak odegrała rolę decydującą w rozwoju wypadków podczas zimowego odprężenia. Owszem w pewnym okresie nawet same Sowiety uznały za stosowne sprawę jej nieco przytłumić. Lord Halifax, wysłany imieniem ententy z Londynu do Berlina na zwiady co do warunków Hitlera, powrócił z wynikiem dla Zachodu trudno strawnym: Kamerun, Kongo, Angola, pomoc gospodarcza w surowcach, oraz wolna ręka wobec Austrii i Czech. O pomocy gospodarczej i surowcach Zachód pomyślał w projekcie van Zeelanda, jednak nie bez obawy, że jeśli się Niemcom za-

pewni gospodarczy *modus vivendi,* to je wyzyskają dla dalszych zbrojeń.

Ponieważ Włochy zaczęły się uginać wobec angielskiej przewagi w Hiszpanii, oraz zdradzać niepokój z powodu zwrotu ekspansyjnych dążeń niemieckich od Moskwy do najbliższych sąsiedztw południowo-wschodnich, przeto w Londynie postanowiono przeprowadzić naprzód ugodę z Italią, nadwyrężyć lub rozerwać jej „oś" z Berlinem, a dopiero odosobniwszy go należycie, wszcząć z nim rokowania w nowej sytuacji, która by Zachodowi pozwoliła dyktować warunki. Kalkulacja była prawidłowa, ale próby rzeczywistości nie wytrzymała. Wywołała nieoczekiwane reakcje: naprzód ostre przesilenie wewnętrzne w stosunku reżimu do armii w Niemczech, a w parę tygodni później — uprzedzający izolację — zamach na Austrię. Tak się skończyło gwiazdkowe odprężenie.

Cokolwiek by Mussolini później o tym głośno mówił, nie uda mu się zatuszować prawdy, że *Anschluss* go zaskoczył i że niezmiernie ciężkim ciosem ugodził w geopolityczny fundament italskiej racji stanu. Skompensować lub zrównoważyć mogłyby ten cios tylko jakieś bardzo wielkie korzyści i odpowiedni przyrost potęgi, albo też obronne przeciwniemieckie przymierza. Mussolini zabiegał o nie u Anglii, za drogą cenę hiszpańską, już przed *Anschluss*'em, lecz dyktator północy zdołał go w Austrii ubiec. Co więcej „ten drogi przyjaciel", gorąco uścisnąwszy prawicę Mussoliniego nie tylko zapewnił go, że „mu tego nigdy nie zapomni", lecz równocześnie ze zdobytych austriackich wrót, gotował się do dalszej ekspansji na Węgry, Bałkan i Turcję; Włochom oferował na Bałkanie tylko Jugosławię i Grecję, a wzywał je natomiast do wielkiej ofensywy imperialistycznej na bliskim Wschodzie z ponętnymi lecz odległymi widokami na Egipt i Sudan angielski.[1]) Mussolini trafnie ocenił, że prędzej niźli do triumfu nad Anglią, doprowadziłby ten plan Italię do wasalizacji wobec Niemiec. Ponieważ mógł się zarazem obawiać, że usadowiony o 100 km od Triestu i przy otwartej granicy jugosłowiańskiej Hitler zechce mu ten plan narzucić, przeto żadną miarą nie chciał podejmować z kolegą-dyktatorem nowych rozmów mając za plecami wroga w Anglii. Nie leżało to również w interesie brytyjskim, gorączkowo przeto poczęto forsować układy anglo-włoskie i nawiązano układy włosko-francuskie, ażeby sojuszami ufortyfikować Rzym na przyjęcie drogiego gościa.

Nie chciał jednak Mussolini przeciągać wobec niego struny. Gdyby przed przybyciem Hitlera do Rzymu sfinalizował układy z obu mocarstwami zachodnimi, to w zasadzie byłby gotów front

[1]) Patrz w majowych Sprawach Państwa: von Papen i widnokręgi bliskiego Wschodu.

Stresy, czyli formacja maksymalnego przeciwniemieckiego odporu. Mogłaby ona uniemożliwić rewizytę niemiecką i przeobrazić niebezpiecznego sąsiada Włoch w zdeklarowanego wroga. Tempo więc układów Italii z Francją oraz termin rzymskich odwiedzin unormowano w ten sposób, że naprzód doszedł do skutku układ anglo-włoski, następnie przyjazd Hitlera; układy zaś z Francją zatrzymał Mussolini w rezerwie, jako groźbę i argument obronny wobec spodziewanego koleżeńskiego nacisku.

Układ z Anglią oznaczał, iż Włochy odrzucają niemieckie sugestie walki z nią na bliskim Wschodzie, wespół zaś z nią gotowe są niedopuścić Niemiec nie tylko do Turcji lecz i na sąsiednią część wschodnią Bałkanu, przynajmniej do Bułgarii, dynastycznie z Italią związanej. Zawieszenie zaś układów z Francją przed rzymską rewizytą oznaczało, że na inne tematy, które (jak naddunajskie) bliżej obchodzą Francję niż Anglię, Mussolini gotów był jeszcze do koleżeńskiej dyskusji.

Tak się też stało. Hitler przystosował się częściowo do postawy swego italskiego gospodarza, uznał jego układ z Wielką Brytanią, a zamierzony kierunek niemieckiej ekspansji i austriackich wrót, przesunął bardziej na północ. Według wyjątkowo prawdopodobnej informacji dziennikarskiej z czasu rzymskich odwiedzin, Niemcy zrezygnowały z Turcji i Bułgarii, ograniczając się do aspiracyj środkowo-naddunajskich na Czechosłowację, Węgry i Rumunię. Pobieżny rzut oka na mapę wystarcza by stwierdzić, że jest to ten sam szlak, który z Wiednia prowadzi przez Budapeszt na rozdroże rumuńskie. Tamtejsza „brama mołdawska" otwiera dostęp równie szeroki do Azji Mniejszej i nafty w Iraku jak na ukrainny brzeg Morza Czarnego, do żelaza w Taganrogu i nafty w Baku. Hitler więc zaoferował początkowo Mussoliniemu w Rzymie obietnicę, że owładnąwszy rumuńskim węzłem dróg, nie będzie korzystał z jego południowego wylotu, lecz zwróci się na północo-wschód, na upragnioną ojcowiznę staro-germańskich Gotów i niedoszły łup pokoju brzeskiego, na Ukrainę.

Tak określony kierunek dążeń niemieckich sam przez się nie koliduje z interesami Wielkiej Brytanii, ani z jej układem z Italią, jednak dotkliwie na niekorzyść Włoch przesuwa linię podziału ziem naddunajskich, projektowaną przed *Anschluss*'em między Berlinem a Rzymem. Wyłączając ze sfery włoskiej, a oddając pod przewagę Niemiec, Węgry i Rumunię, równocześnie kwestionuje on w dalszej przyszłości bezpieczeństwo nawet tych ziem lewantyńskich, które na razie omijał jako sferę interesów anglo-włoskich. Gdyby Niemcy opanowały cały brzeg Dunaju i zdobyły Ukrainę, to przez bramę mołdawską przy pierwszej sposobności, mogłyby się pokusić również o południowy brzeg Morza Czarnego. Siły sojuszu anglo-włoskiego mogłyby nie wystarczyć dla powstrzymania zaborczego naporu z dwóch stron, przez Bałkan i Kaukaz, prawdopodobnego z tym naporem współudziału

Turcji, którą zawsze skusić można — Irakiem. W tej przeto perspektywie trwałe bezpieczeństwo włosko-angielskiej sfery interesów na bliskim Wschodzie pozostawałoby w zależności od przyszłego układu sił na północ od niemieckiej strefy naddunajskiej na obszarze polsko-rosyjsko-bałtyckim. Ten wszakże układ, po opanowaniu przez Niemcy Dunaju i Ukrainy, pozostawałby co najmniej wielką niewiadomą.

Dlatego to nie wydaje się prawdopodobnym, ażeby Mussolini „odstąpił" w Rzymie bez zastrzeżeń Niemcom Węgry i Rumunię. Włoska racja stanu zbyt silnie przemawia za przeprowadzeniem naddunajskiej linii podziału z Niemcami na północ od tych państw, wzdłuż obecnej granicy czesko-węgierskiej, albo łańcucha Karpat. Według tej racji ekspansja Niemiec na Ukrainę nie powinna iść przez bramę mołdawską w Rumunii, aczkolwiek mogłaby ewentualnie pójść przez „bramę morawską" Czechosłowacji i dalej na Małopolskę. Nawiasowo zauważmy, że również na południowym szlaku dunajsko-mołdawskim Ukraina nie byłaby dla Niemiec dostępna w dostatecznej mierze bez wciągnięcia w orbitę odpowiednich działań — Małopolski Wschodniej.

Niemcy zdają sobie z tego dobrze sprawę. Od czasu *Anschluss'u* podwoili więc wysiłki, ażeby utorować sobie dostęp do Ukrainy przede wszystkim przez Czechosłowację i jej podkarpacki korytarz, ale także przez Węgry, Rumunię, a nawet Małopolskę. Wobec Czechosłowacji zastosować mogli metodę mieszaną, nacisku zewnętrznego i rozsadzania tego państwa od wewnątrz propagandą separatystyczną wśród mniejszości niemieckiej, pociągającą jednak również mniejszości inne. Moment szczególnie dla celów niemieckich użyteczny stanowi przy tym totalistyczny charakter hitlerowskiego nacjonalizmu oraz jego skłonność do tworzenia formacyj zbrojnych. Autonomie ze szturmowskimi pułkami w Sudetach a narodowymi słowackimi na Podkarpaciu rychło by sprowadziły państwowość czeską na tych ziemiach do fikcji.

Narodowy socjalizm niemiecki przystosował się jednak do działania także w trudniejszych warunkach jednolitych państw innej niżli niemiecka narodowości jak Węgry i Rumunia. Aczkolwiek dotąd jeszcze nie istnieje w Trzeciej Rzeszy równie jawnie i oficjalnie urząd analogiczny do moskiewskiego Kominternu, a który by nazwać można *Nazinternem*, to jednak działalność w tym duchu osiągnęła takie natężenie po *Anschluss'ie* austriackim na Węgrzech, iż cała wewnętrzna polityka Węgier musiała być nastawiona na odpór wobec grożącego ze strony madziarskich rasistów totalistycznego przewrotu. Hitleryzacja zaś Węgier oddałaby nieocenioną usługę *dem Drange nach Osten* wzdłuż Dunaju; bo nawet gdyby Niemcy nie opanowały bezpośrednio słowackiego korytarza Czech, lecz zmuszone zostały odstąpić go Węgrom, to za to miałyby do dyspozycji całe Węgry wraz z przyłączonym

do nich korytarzem. Podobnym celom służyła rasistowsko-rumuńska „żelazna gwardia", dla zlikwidowania której musiała Rumunia porzucić parlamentaryzm na rzecz ustroju autorytatywnego, faktycznie dyktatury królewskiej.

W Polsce te objawy działalności *Nazinternu* wystąpiły najłagodniej, bo głównie w postaci prób organizacyjnych w stylu Henleina pośród Niemców polskich, oraz ukraińskiego ruchu autonomicznego. Po *Anschluss'ie* bowiem ofensywa polityczna Niemiec skoncentrowała się na południu od Karpat. My leżymy na uboczu od tego szlaku, ale go flankujemy. Niemcy nie chcieli nas zbytnio drażnić, owszem pragnęli pozyskać, ażebyśmy im nad Dunajem nie przeszkadzali.

Tak więc Niemcy ruszyli wzdłuż Dunaju głębiej niźli na to pozwalał interes Włoch, nawet Hitler cofnął się od Turcji a zwrócił ku Ukrainie. Jakim tedy sposobem, według jakiego planu, dla jakiego celu doszło do skutku równoległe i solidarne wystąpienie Niemiec i Włoch wobec Czech i Hiszpanii po rewizycie rzymskiej?

W przeddzień jej na Zachodzie przeważała nadzieja, że Mussolini wznowi front Stresy, ażeby osłonić przed Niemcami Czechosłowację. Korzyść stąd mógłby osiągnąć taką, że nie dopuściłby do podmurowania czesko-morawskim zapleczem i spotęgowania przeto w dwójnasób, groźnej dla Włoch pozycji Niemiec w Austrii. Być może, iż front Stresy unieruchomiłby Niemcy tak dalece, iż dałoby się im następnie narzucić dogodne dla Zachodu warunki paktu czterech. Dla Włoch jednakże oznaczałaby taka polityka również pełne unieruchomienie w biernej pozycji żandarma europejskiego i kolonialnego *status quo*. Stan taki nie odpowiada ani naturze faszyzmu ani italskiej racji stanu. Dlatego zamiast rozwinąć swój układ z Anglią w pełną antyniemiecką Stresę, skłonił się Mussolini raczej do użycia go za podstawę nowej ofensywy imperialistycznej podjętej wespół z Niemcami wbrew komplikacjom *Anschluss'owym*, a w myśli ich rozwikłania przez przebudowę europejskiego układu sił. Nie bez wagi była tu zapewne również presja ze strony osadzonych w Tyrolu Niemiec, z którymi dyktator Italii wolał szukać ugody niźli zwady.

Treść nowego porozumienia między Mussolinim a Hitlerem w Rzymie została utrzymana w tajemnicy dyplomatycznej. Mimo to z posunięć, które szybko potem nastąpiły, oraz z geopolitycznej taktycznej natury sytuacji treść ta daje się odcyfrować z wysokim prawdopodobieństwem. Hitler zrezygnował z ekspansji na „Bizancjum i Bagdad" i uznał układ anglo-włoski poniekąd jako wyraz angielskiej gwarancji równowagi między Niemcami a Italią — po *Anschluss'ie*. W zamian otrzymał od Mussoliniego nie tylko wolną rękę wobec Czechosłowacji, lecz nawet zobowiązanie poparcia, co najmniej dyplomatycznego i przynajmniej przeciwko głównej czeskiej protektorce — Francji. W szerokiej perspekty-

wie otwarte przy tym pozostawały dwie doniosłe kwestie: 1^0 jak się ustosunkuje Wielka Brytania do nowego układu włosko-niemieckiego, zwłaszcza do opanowania przez Niemcy Czech, oraz 2^0 jak zostanie przeprowadzona nad Dunajem linia podziału między Niemcami a Włochami, w razie zaboru przez Niemcy Czechosłowacji?

Ta druga kwestia dałaby się rozwiązać dla obu stron pozytywnie tylko wtedy, gdyby uprzednio pomyślnie została rozwiązana pierwsza. Byłoby to bowiem równoznaczne z zasadniczą przebudową europejskiego układu sił i pozwoliłoby inaczej wykreślić szlaki ekspansji Niemiec i Włoch. Momenty statyczne, z dziedziny geopolityki, kojarzą się w tej przebudowie nierozerwalnie z momentami dynamicznymi zbieżności lub przeciwstawności dążeń. Po *Anschluss'ie* Austrii Czechosłowacja stała się węzłem całego tego splotu czynników, które rozstrzygają o zachowaniu lub przekształceniu wersalskiej równowagi międzynarodowej. Chcąc proces ten skierować do określonych celów należy więc przeniknąć naturę i przewidzieć następstwa ewentualnego zaboru Czech przez Niemcy.

Dokonać by tego zaboru można jedynie wówczas, gdyby się powiodło ubezwładnić sojuszniczą pomoc Zachodu dla Czechosłowacji. *Viribus unitis* Niemcy i Włochy mogłyby unieruchomić Francję, lecz Anglii — nie. Od niej więc wszystko zależy. Jeżeli przypuścimy, że Anglia zachowałaby się wobec niemieckiego zamachu na Czechosłowację podobnie jak wobec *Anschluss'u* Austrii, to czy i jaką by to oznaczało zmianę w europejskim układzie sił? Oznaczałoby zmianę wielką i to podwójną: 1^0 zerwaną by została do głębi nie zawsze i dotąd pewna solidarność polityki europejskiej zachodniej ententy poza linią Renu, 2^0 niemoc osamotnionej Francji i obojętność Anglii otwierałyby nieograniczoną swobodę ruchu przed niemieckim *Drang nach Osten*. Inaczej mówiąc, prysłoby automatycznie przeciwniemieckie przymierze obronne Francji z Polską. Polska stanęłaby w poprzek niemieckiej ekspansji sama jedna, albo musiałaby przyjąć protektorat sowiecki; który wszakże, przy neutralności Anglii i bezwładzie Francji nie wytrzymałby prawdopodobnie starcia z Niemcami, i uległby mu wraz z Polską.

Otóż ta perspektywa pociąga za sobą także innego rodzaju ważką konsekwencję. Tę mianowicie, że owładnąwszy Czechosłowację Hitler mógłby swobodnie przesunąć swój główny szlak ekspansyjny jeszcze bardziej na północ, wycofać się z dorzecza Dunaju, „odstąpić" Węgry i Rumunię Włochom, a wszystkie swe siły i cały impet *Drang nach Osten* skoncentrować przeciwko Polsce; o ile by się dobrowolnie nie rozpłaszczyła jako pomost dla wielkiej ofensywy hitlerowskiej na Sowdepię.

Czy i co przyszłoby stąd Włochom oraz Anglii? Włochy zyskałyby odwrót groźnego prądu *Drang nach Osten* z pobliskiego

łożyska Dunaju na odległą Wisłę i Bałtyk. Przejęłyby, wespół z Anglią, protektorat nad całym dawnym imperium otomańskim bodaj aż po Karpaty i mogłyby tam montować ekonomicznie i politycznie potężny bastion równowagi z północną ekspansją Niemiec.

To byłby zysk wielki lecz bierny. Dynamicznej polityce faszyzmu takie widoki nie wystarczają. Dąży ona za wszelką cenę do stworzenia wielkiego imperium kolonialnego. Na tę drogę próbował po *Anschluss*'ie Hitler wciągnąć Mussoliniego przeciwko Anglii w kierunku na Irak i Sudan. Mussolini ten projekt odrzucił, ażeby pozyskać angielską gwarancję równowagi z Niemcami. Czy w tej konstelacji nie otwiera się żadne inne, zastępcze pole dla kolonialnej ekspansji włoskiej? Owszem otwiera się ono logicznie na koszt Francji, jako tego mocarstwa, które należy izolować w Europie, by Niemcy mogli zawładnąć Czechosłowacją. Osiągnąwszy izolację Francji w Europie łatwiej by ją było rozszerzyć i na kolonie. Gdyby się Wielka Brytania nie sprzeciwiła zamachowi na Czechy, możeby uwierzyła także, że w jej leży interesie, by konieczności ekspansyjne Włoch zostały zaspokojone nie kosztem Imperium Brytyjskiego, lecz francuskiego. Jako ważkie pomocnicze narzędzie dwustronnej, europejskiej i kolonialnej presji na Francję nadaje się zasadniczo Hiszpania, opanowana przez Włochy lub z nimi solidarna. Gdyby już została zjednoczona pod władzą generała Franco, to można by ją pozyskać widokami na Marokko Francuskie.

Pośród takich to widnokręgów wielko-imperialistycznych poruszać się musiały rozmowy Mussoliniego z Hitlerem, o ile pragnęli dojść do porozumienia i uaktywnić oś rzymsko-berlińską — po *Anschluss*'ie. Zachodzi wszelkie prawdopodobieństwo, iż między dyktatorami stanęła umowa warunkowa, mocą której najpoważniejsza kość niezgody, Węgry i Rumunia, zostały „przyznane" Mussoliniemu, w zamian za poparcie przezeń czechosłowackich zamiarów Hitlera, i o tyle, o ile ono się okaże skutecznym.

Działo się to w chwili gdy Wielka Ententa zachodnia ze swej strony dokładała usiłowań, ażeby pozyskać Mussoliniego na rzecz Stresy. W Genewie na wiosennej, lecz melancholijnej, radzie Ligi Narodów wygodzono mu formalnym pogrzebem politycznych zwłok Abisynii, oraz wynikającą stąd swobodą uznania przez Wielką Brytanię i Francję tytułu imperium Italii. Co ważniejsza (może nie bez nadziei na pociągnięcie Włoch, a w każdym razie ażeby przeciwdziałać presji Hitlera via Rzym) Wielka Ententa umocniła się porozumieniem wojskowym w Londynie i podjęła dyplomatyczne pośrednictwo w Berlinie i Pradze, w sprawie Niemców sudeckich.

Mussolini odpowiedział mową w Genui. Potwierdził w niej układ z Anglią, lecz stwierdził śmierć Stresy. Zawiesił rokowania

z Francją, podając jako powód rozbieżność dążeń w Hiszpanii, oraz francuskie poparcie dla Barcelony. Silnie uderzając w ton ideologiczny podkreślił na tym tle solidarność obu totalizmów nacjonalistycznych oraz ich antagonizm z demokracjami. Posunął się wreszcie aż tak daleko, że zadeklarował gotowość do wojny u boku Niemiec, w razie gdyby demokracje podjęły przeciwko nim zbrojną „krucjatę".

Mowa ta była posunięciem dyplomatycznym głęboko obmyślonym i doniosłym. Pod osłoną frazeologii ideowej przemycał Mussolini namiastkę sojuszu wojskowego włosko-niemieckiego, o którym mówiono zarówno na jesiennym, jak na wiosennym zjeździe dyktatorów, nie angażując się jednak weń formalnie. Poruszona w Genui myśl ta mogła być uważana jako równoważnik świeżego wojskowego porozumienia Wielkiej Ententy w Londynie. Przede wszystkim jednak, pod pretekstem hiszpańskim, zwracała się ona przeciwko Francji na wypadek, gdyby ośmieliła się wystąpić zbrojnie w obronie Czechosłowacji — w odosobnieniu. O ile bowiem już sam „pojedynek" wiosenny Francji z Niemcami byłby dla Francji bardzo ryzykowny a dla Czechosłowacji zapewne mało pomocny, o tyle wojna Francji izolowanej z obu mocarstwami osi rzymsko-berlińskiej byłaby przedsięwzięciem wręcz beznadziejnym. Znaczy to, że nie zostałaby wcale podjęta, że więc groźba Mussoliniego zdolna była zapewnić Niemcom wolną rękę wobec Czech — od strony Francji.

Taki był główny sens i cel taktyczny mowy w Genui. Wolnej ręki Niemcom wobec Czech od strony Anglii zapewnić ona nie mogła i nie zamierzała, jednakże i na Anglię wywierała pewną presję w dwóch zwłaszcza kierunkach, hiszpańskim i chińskim. Była to presja i dla samych Włoch ryzykowna, stawiała bowiem znak zapytania nad wejściem w życie układu anglo-włoskiego. Ma to nastąpić po wycofaniu wojsk włoskich z Hiszpanii. Wojska te zaś wycofane być mają po upływie trzech miesięcy dwojakim trybem: albo od razu, jeżeli w tym czasie Franco powali czerwonych, albo stopniowo i równolegle z usuwaniem obcych posiłków strony czerwonej, jeżeli wojna domowa trwać będzie nadal. Gdy w Rzymie podpisywano układ z Anglią, liczono się realnie tylko z ewentualnością szybkiego zwycięstwa Franco. Tymczasem zaszły w Hiszpanii nowe komplikacje.

Spowodowała je Moskwa. Podejrzliwym okiem spoglądała ona na układy anglo-włoskie przed *Anschluss*'em, bo mogły doprowadzić do paktu czterech i bloku przeciwsowieckiego. Tym bardziej zaalarmował ją układ już zawarty, którym Włochy pragnęły posłużyć się jako tamą odpychającą napór ekspansyjny Niemiec ze swego sąsiedztwa jak najbardziej na wschód i północ a jak najprościej przeciwko Moskwie. Dołożyła więc Moskwa starań ażeby niedopuścić do wejścia w życie układu anglo-włoskiego. Stałoby się to najłatwiej gdyby Franco nareszcie zgniótł czerwo-

nych w Hiszpanii. Moskwa przeto postanowiła ponownie ich wesprzeć. Wyzyskała do tego celu raz jeszcze organiczną niezdolność Francji wobec siły lewicy francuskiej do biernego nawet poparcia Franca. Lewo-centrowy rząd Daladier'a, na skutek nalegań Litwinowa w Genewie, a nawet wcześniej, patrzał przez palce na nowe transporty materiału wojennego sowieckiego i czeskiego przez Francję do Barcelony. Opór czerwonych znacznie się wzmógł. Tym samym kwestia wycofania wojsk włoskich, a więc i wejścia w życie układu anglo-włoskiego znacznie się skomplikowała.

Podniósł to Mussolini w Genui i zawrócił ostrzem przeciwko Francji. Ale i nad układem anglo-włoskim zawisnął znak zapytania, niepokojący dla obu stron. Dla Włoch dlatego, że po *Anschluss*'ie sąsiedztwo i współdziałanie z Niemcami, bez angielskiego oparcia, stało się niezmiernie „żenujące". Dla Wielkiej Brytanii dlatego, że bez układu z Włochami nie może być pewna ani bezpieczeństwa Gibraltaru wobec prawej czy lewej Hiszpanii, ani też nie może ruszyć floty z Morza Śródziemnego na Daleki Wschód. Tam zaś również sytuacja się ostatnio zaostrzyła. Po dużym zwycięstwie japońskim pod Suczou zanosi się na opanowanie Chin przez Japonię, albo przez Sowiety, co zarówno jest dla Zachodu niebezpieczne. Moskwa dozbraja się tam forsownie, a naprężenie w Europie między „osią" i ententą dodaje jej odwagi.

Na takim złożonym tle nastąpiła wreszcie najświeższa wielka rozgrywka dookoła czeskiego centrum europejskiej równowagi. Linie taktyczne boju ukształtowały się bardziej niż kiedykolwiek monumentalnie, dotyczyły bowiem zasadniczych podstaw międzynarodowego układu sił. Stanęły przeciwko sobie oś i ententa. Ententa wzięła sobie za cel oderwać od osi Włochy, uformować z nimi Stresę, osaczyć nią Niemcy i powstrzymać niemiecki napór na pozostałą resztę wersalskiej Europy wschodniej. Oś rzymsko-berlińska przeciwnie podjęła próbę czy nie uda się rozerwać ententy, stawiając na ostrzu miecza sprawę Czech, przy równoległej włoskiej dywersji w Hiszpanii. Gdyby się to powiodło, to *eo ipso* przesuniętoby Wielką Brytanię na stronę totalistycznej osi, odosobniłoby to i ubezwładniło Francję, napór zaś ekspansyjny włoski, odwrócony od Imperium Brytyjskiego, skierowałoby ku Afryce francuskiej. Podrzędny lecz znamienny rys potwierdzający taką linię wytyczną włosko-niemieckiego planu stanowi bezpośrednia próba zaagitowania Anglii na rzecz Niemiec w konflikcie czeskim, podjęta w Londynie przez Henleina przed mową genueńską.

Generalna próba sił pomiędzy zachowawczym i rewizjonistycznym, wersalskim i antywersalskim obozem w Europie została przeprowadzona wobec najwyższego sprawdzianu jakim jest bezpośrednia gotowość do wojny. Zadeklarowała ją Wielka Brytania

przeciwko Niemcom po stronie Francji, a w obronie Czechosłowacji. Odrzuciła więc oferowane jej przez oś rzymsko-berlińską perspektywy. Postąpiła tak nie tylko dlatego, że więcej sympatyzuje z demokratyczną Francją niż z totalizmami, i nie tylko dlatego, że ma z nią silne poczucie wspólnoty interesów zachowawczo-kolonialnych, że więc bardziej ufa obronnej polityce francuskiej niźli zdobywczym planom Berlina i Rzymu, nawet kiedy ją omijają. Postąpiła tak Wielka Brytania, ponadto i konkretnie również dlatego, że dopuściwszy do ubezwładnienia Francji, mogłaby się z czasem znaleźć sam na sam wobec Niemiec w Holandii i Belgii, a wobec Włoch i Hiszpanii w Tunisie i Gibraltarze. To są dla W. Brytanii zbyt ważne punkty newralgiczne jej potęgi, ażeby mogła w nich ryzykować osamotnienie. Dlatego nie mogła dopuścić do osamotnienia Francji wobec Niemiec w Czechosłowacji.

Postawiona więc w obliczu wojsk niemieckich przysuwanych do granic tego kraju, W. Brytania rzuciła na szalę, równą niemieckiej, determinację natychmiastowego dobycia miecza u boku Francji. Mieczem tym ocaliła pokój. Ponadto przeprowadziła stwierdzenie faktu o niezmiernej wadze politycznej: że wielkie demokracje zachodnie są silniejsze od centralnych totalizmów, obóz wersalski od antywersalskiego.

Od czasu pogromu cesarskich Niemiec nigdy jeszcze (ani nawet jesienią po zjeździe berlińskim) decyzja o wojnie i pokoju nie stanęła w obliczu mocarstw w tak naglącej postaci, jak ostatnio z powodu Czechosłowacji. Rozstrzygnięcie padło w Londynie na rzecz pokoju i Wersalu. Co dalej? Nastąpił przełom, który grubo przekreśla całą dotychczasową międzynarodową grę obojga faszyzmów. Zlikwidowana została sytuacja dotychczasowa. Jak się ukształtuje nowa?

Być może, że Włochy będą jeszcze próbowały coś politycznego wyczynić w dotychczasowym kierunku w Hiszpanii. Zdaje się o tym świadczyć zapowiedź nowej mowy Mussoliniego na temat solidarności narodowej włosko-hiszpańskiej. Generałowi Franco nie może się uśmiechać forsowana przez ententę anglo-francuską, w odpowiedzi na mowę w Genui, perspektywa powstrzymania pomocy obcej, następnie zaś wycofywania posiłków równolegle z Hiszpanii czerwonej i białej. Na tym tle Franco może znowu zbliżyć się do Włoch. Układ anglo-włoski pozostałby w takim razie na papierze, a flota angielska na morzu Śródziemnym, ku największej satysfakcji Japończyków, zresztą coraz silniej zagrożonych przez Moskwę. Niemcy znów wobec Czechosłowacji próbują stosować taktykę akcentowania bezpośredniego nad tym krajem protektoratu angielskiego, może nie bez nadziei, że się to w końcu Anglikom sprzykrzy.

Na ogół jednak szanse zdają się przeważać raczej na rzecz reakcji pokojowej wobec świeżo przeżytego, bezpośredniego niebezpieczeństwa wojny. Niewątpliwie leży to w intencji mocarstw

zachodnich, podobnie jak podczas odprężenia gwiazdkowego. Tym bardziej, że na zachodzie daje się odczuwać poważna recydywa kryzysu gospodarczego, a ze strony Niemiec należałoby się teraz spodziewać złagodzenia warunków politycznych, wysuniętych zimą wobec lorda Halifaxa w Berlinie. Zapewne teraz Niemcy nie domagałyby się już nie tylko wolnej ręki wobec sąsiadów wschodnich, lecz nawet Angoli i Konga w Afryce. Może zadowolniłyby się jakimś kawałkiem Kamerunu, a główny punkt ciężkości dałoby się przesunąć na surowcowy projekt van Zeelanda.

Weszlibyśmy wówczas zapewne w kilkuletni okres nowej próby ratowania kapitalizmu światowego, logicznie odpowiadający konserwacji Wersalu w Europie oraz imperiów kolonialnych Zachodu. Nieraz wyrażałem na tym miejscu zdanie, że taka próba jest zasadniczo beznadziejna, jednak mogłaby zapewnić nową falę „dobrej koniunktury" i tymczasowego pokoju. Zyskać by na tym mogła również Polska oraz uzyskać prolongatę dotychczasowa jej zachowawcza polityka gospodarcza. Stać by się to mogło tym snadniej, że w czasie ostatniego wielkiego wstrząsu międzynarodowego rola Polski dość wysoko została oceniona przez mocarstwa zachodnie. Zapewne więc byłyby skłonne wznowić pod naszym adresem, oraz innych państw środkowo-wschodnich, projekty finansowo-polityczne z czasu podróży min. Delbosa.

Z wszystkiego co powiedziano wyżej wynika jasno, że w tym tak dramatycznym przesileniu, jakie Europa świeżo szczęśliwie przebyła, Czechy stanowiły wprawdzie najsilniej zagrożone ognisko, ale zaraz na drugim planie niebezpieczeństwa znalazła się Polska. Niebezpieczeństwo to było wręcz straszliwe, śmiertelne i choć jeszcze niebezpośrednie, jednak nieuchronne i bardzo bliskie. Jeśliby bowiem Zachód okazał w sprawie czeskiej taki sam bezwład, jak w austriackiej, to dopuściłby do łącznego wzrostu potęgi niemieckiej o $^1/_3$ przy równoczesnym jej współdziałaniu z Włochami, oraz pośrednim z Anglią. Zgodnie z tą konstelacją, przewidzianą w Rzymie na zjeździe dyktatorów, a zgodnie także z geopolityczną naturą rzeczy, napór całej potęgi tych wielkich Niemiec zwróciłby się przeciwko nam, ponieważ znaleźlibyśmy się na linii najmniejszego dlań oporu i najbliższego dostępu do Rosji.

Jakże w tych warunkach zachowała się polityka polska? Zachowała się tak jak dotąd zawsze tj. mierząc zamiary według sił i starannie unikając podejmowania zadań „przerastających wytrzymałość instrumentu" jakim rozporządzamy. Ograniczyła się naprzód do działań przystosowawczych, defensywnych. Opierały się one na domniemaniu, iż Zachód nie rozwinie dostatecznej energii, by Czechy ocalić przed Niemcami, tym samym zaś nie zdoła tego uczynić i Polska. W takim razie nasuwały się dla Polski dwie możliwości. Pierwsza stawałaby się aktualną na wy-

padek, gdyby Niemcy wbrew nie tylko Zachodowi ale i Włochom, siłą nabytego przez *Anschluss* rozpędu, zdołały opanować całą Czechosłowację, lub shitleryzować i zwasalizować Węgry. W takim razie niezadługo przyszłaby zapewne kolej i na Rumunię, Polska zatem zostałaby przez obszar niemieckiej przewagi całkowicie opasaną i odciętą od południa.

Na ten wypadek zdaje się, że przygotowywano u nas coś w rodzaju polskiej „orientacji północnej", ku pobrzeżu i państwom nadbałtyckim. Na pierwszym planie znajdowała się tutaj Litwa, odpowiada tej linii również podróż p. min. Becka do Sztokholmu, przez Berlin, Szczecin, w związku z nią pozostawała również podróż do Polski i konferencja z p. ministrem, gdańskiego hitlerowskiego *gauleitera* i właściwego wielkorządcy Forstera. Niemcy widocznie popierali tę orientację polityki polskiej, ofiarowując nam w zamian swoje *placet* na Litwę, a może i jakieś ustępstwa dla polskiej mniejszości w Gdańsku i w Niemczech.

Na tej drodze współzawodniczyliśmy z Włochami. W zamian za naszą neutralność w zatargu niemiecko-czeskim usiłowaliśmy utrzymać *Drang nach Osten* w basenie Dunaju i odwrócić go od nas, gdy Włosi przeciwnie, w zamian za swe czynne polityczne poparcie niemieckiego zamachu na Czechosłowację usiłowali *Drang nach Osten,* rozpędzony z Austrii na Dunaj, odeprzeć bardziej na północ, a więc przeciwko nam. Niemcy, jak się zdaje, swą ostateczną decyzję co do kierunku odkładali na *post factum* zaboru Czechosłowacji i uzależniali od nowej konstelacji jaka by wówczas powstała. Nie wyłączone, żeby może usiłowali pozyskać Rzym i Warszawę dla swego szlaku naddunajskiego do Ukrainy, argumentując, iż Polska i Włochy mogą sobie nawzajem gwarantować utrzymanie *Drangu* w granicach między Karpatami a Dunajem.

Z polskiego jednak stanowiska „orientacja północna" kalkuluje się ujemnie, bo wszystkie państwa nadbałtyckie wraz ze Szwecją niewiele przewyższają liczbą ludności samą tylko Czechosłowację ,nawet bez Austrii. Ponadto figura strategiczna naszej granicy z Prusami Wschodnimi i Gdańskiem pozostałaby dość fatalną nawet w razie naszej unii z Litwą. Wreszcie, co najważniejsze, flota niemiecka tak niepodzielnie panuje nad całym Bałtykiem (faktycznie zamkniętym nawet w cieśninach duńskich), że o jakimkolwiek tutaj „oknie na świat" dla Polski marzyć nie podobna inaczej, jak w ścisłej zależności od Berlina. Gdyby więc równocześnie i Dunaj był przezeń kontrolowany aż po Morze Czarne, to osaczenie nasze stałoby się kompletnym.

To też polityka Polska operowała także, dawniej już nawet zarysowaną, „orientacją południową". Wychodzi ona bardziej naprzeciw dążeniom Włoch, a ostrzej krzyżuje dążenia niemieckie. Jej zasadnicza myśl polega na tym, ażeby w razie skutecznego zamachu Niemiec na Czechy, niedopuścić do opanowania przez

nich również Słowaczyzny, lecz ubiec tę ewentualność równoległą akcją czynną tak, ażeby zapewnić unię Słowaczyzny z Koroną Węgierską. O ile by same Węgry nie zostały zhitleryzowane i uzależnione od Berlina, to mogłaby powstać w ten sposób nowa bariera dla *Drang nach Osten* nad Dunajem, zdolna przeciwstawić mu się solidarnie z całym blokiem bałkańskim, Polską i Włochami.

Koncepcja ta posiada duże zalety zasadnicze, gdyż zaspokaja Niemcy etnicznie i dynamicznie kosztem Czech, daje satysfakcję narodowej ambicji Węgier, przywraca historyczną granicę polsko-węgierską, nade wszystko zaś znacznie upraszcza i harmonizuje strukturę polityczną „zbałkanizowanego" przez Wersal, środkowego wschodu Europy. Składał się on dotąd z okaleczonego tułowia Węgier, które od pokoju w Trianon, rozsadzały swą irredentą i zezowaniem ku Berlinowi zdolność obronną Małej Ententy wobec Niemiec, oraz z monstrualnie wyprężonej ku Sowietom „ślepej kiszki" czechosłowackiej, która rozcinała solidarność obronną z Polską i Rumunią wobec Rosji. Wielkie Węgry zaś, złączone ze Słowaczyzną, stanowiłyby twór państwowy geopolitycznie zwarty i silny, zdolny do obrony oraz do łączenia nie zaś rozsadzania.

Obie te perspektywy, północna i południowa, ale zwłaszcza ta ostatnia, stały się godne studiów pod kątem ustalenia równowagi wschodnio-europejskiej po *Anschluss*'ie Austrii. Na szczęście jednak utraciły one swą aktualność naglącą, gdyż zapadło rozstrzygnięcie doraźne na rzecz *status quo*. Aczkolwiek jest to rozstrzygnięcie — z natury rzeczy położenia Czech — tylko prowizoryczne, to jednak z polskiego stanowiska cieszyć się należy, iż zapadło. Gdyby bowiem stało się inaczej, gdyby Niemcy opanowali Czechosłowację to o losach Polski rozstrzygnąłby bezapelacyjnie fakt rozerwania jej przymierza z Francją i kompletna (jeśli nie liczyć Sowietów) izolacja wobec Niemiec. W takim położeniu mogłaby Polska myśleć o budowie nowej samoistnej równowagi wobec Niemiec, gdyby dynamiką swej potęgi gospodarczej i wojskowej dorównywała Francji, Włochom, lub przynajmniej Czechosłowacji. Dopóki tak nie jest dopóki przymierze z Francją stanowi kamień węgielny bytu państwowego Polski, cieszyć się należy z odroczenia rozstrzygnięć zasadniczych oraz życzyć, ażeby prowizorium potrwało choć kilka lat i należycie zostało przez nas wyzyskane w rozwoju wewnętrznym.

Do tego prowizorycznego rozstrzygnięcia Polska przyczyniła się również czynnie i bezpośrednio. Sposób w jaki to nastąpiło podlega tajemnicy dyplomatycznej, lecz daje się zrekonstruować z szansą prawdopodobieństwa na podstawie natury położenia, fragmentarycznych komunikatów, oraz informacyj prasy zagranicznej. Według depesz z Paryża, w pewnym momencie francuski min. spr. zagr. p. Bonnet zwrócił się do ambasadora

Polski p. Łukasiewicza z zapytaniem, czy Polska wystąpi zbrojnie przeciwko Niemcom, jeżeli uczyni to Francja w obronie Czechosłowacji. Przymierze polsko-francuskie formalnie Polski do tego nie zobowiązuje, ponieważ *casus foederis* przewiduje tylko wypadek bezpośredniego ataku Niemiec na Francję lub Polskę. Amb. Łukasiewicz wyruszył więc do Warszawy po instrukcje. Zdaje się, że musiały one ustalić odpowiedź polską mniej więcej tak: „Zasadniczo nie jesteśmy skłonni mieszać się do zatargu niemiecko-czeskiego, a nie jesteśmy nawet dość silni na to i nie moglibyśmy tego uczynić skutecznie w wypadku, gdyby Francja zaatakowała Niemcy z powodu Czechosłowacji — w odosobnieniu. Tym mniej moglibyśmy z nią współdziałać, gdyby miała przeciwko sobie Italię. Gdyby jednakże gotowość do wojny z Niemcami zadeklarowała, obok Francji, również Wielka Brytania, a przy tym ZSRR zapewniłby nam swoją życzliwą neutralność, to Polska zbrojnego współdziałania z Zachodem nie odmówi".

Jeżeli tak brzmiała odpowiedź Polski to zakomunikowana w Londynie mogła wywrzeć wpływ nawet decydujący na tę wojenną decyzję angielską, która ocaliła niepodległość Czech, przymierze polsko-francuskie, niepodległość Polski i — pokój. Może więc zawierać część prawdy entuzjastyczny głos francuskiego publicysty, że dwie stolice rozstrzygnęły o wojnie i pokoju, Londyn i Warszawa.

Polska w najkrytyczniejszej chwili powojennych dziejów zaszczytnie spełniła swój narodowy i międzynarodowy obowiązek. Oby umiała niemniej skutecznie wypełnić równie doniosłe zadanie potrojenia swej potęgi do czasu, gdy za lat parę znów może stanąć przed nią i pokojowo może już nie dać się rozstrzygnąć ten sam groźny problem.

Andrzej Prawdzic.

Ze świata filmu.

Sytuacja filmu polskiego. — Film niemiecki w Polsce. — Polski przemysł filmowy. — Sztuka i „sztukamięsa". — Zadania ideowe filmu. — O niezależną krytykę filmową. — Kinofikacja Polski. — Wynalazek wąskiej taśmy. — Instytut Filmowy. — Najlepsze filmy miesiąca. — Francuski dramat psychologiczny. — Eksperymenty René Clair'a. — Komedia amerykańska. — Humor absurdalny na ekranie. — *Wrzos* i Rodziewiczówna. — Wyciskacz łez. — W Trzeciej Rzeszy na polskie tematy. — Skandal z *Panią Walewską*. — Filmy rozrywkowe. — Film sensacyjny i wojenny. — Wznowienia.

Zacznijmy od liczb. W okresie, jaki obejmuje obecne pierwsze sprawozdanie filmowe *Przeglądu Powszechnego*, w czasie od 1 do 23 maja br., w Warszawie, w tzw. kinach zeroekranowych, tj. grających filmy po raz pierwszy (kina premierowe), wyświetlono 31 obrazów. Z tej liczby na film amerykański przypada 20, po 3

na produkcję polską i produkcję niemiecką, po 2 na film angielski i film francuski, i wreszcie 1 obraz na film włoski. Tak więc w stolicy, w centrum naszej produkcji filmowej, polski film stanowił zaledwie 10 procent filmów, jakie przewinęły się przez ekrany w ciągu mniej więcej trzech tygodni. Ten procentowy stosunek jest zresztą zbyt pomyślny i nie oddaje istotnego, groźnego stanu rzeczy, liczba bowiem 31 filmów powstała przy uwzględnieniu nie tylko premier, ale także i tych obrazów, których premiery odbyły się w kwietniu i wcześniej, które jeszcze przynajmniej przez kilka dni maja utrzymywały się na ekranie. Natomiast jeżeli wziąć pod uwagę same premiery, zaledwie jedna premiera polska (*Za zasłoną*) wypadnie na 23 premiery filmów zagranicznych, dając niespełna 5 procent w stosunku do filmu importowanego. Wiemy przy tym, że do końca maja przybędzie kilka premier amerykańskich, jedna francuska i stosunek ulegnie dalszemu pogorszeniu. W martwym sezonie *letnim* będzie jeszcze gorzej, ponieważ jest to okres, kiedy z reguły nie gra się filmów krajowych.

W porównaniu z państwami zachodnimi pozycja filmu krajowego w stosunku do zagranicznego jest w Polsce najgorsza. Wobec przewagi filmu amerykańskiego na naszych ekranach, ulegamy złudzeniu, że tak jest wszędzie. Nie znając prawie bogatej kinematografii zachodnio-europejskiej, zapominamy o jej istnieniu, o potężnej produkcji angielskiej, francuskiej, niemieckiej i ostatnio włoskiej, która potrafiła już przeciwstawić się zalewowi filmu amerykańskiego. Wystarczy przejrzeć programy kinowe w jakimkolwiek dzienniku paryskim, berlińskim, czy londyńskim, aby przekonać się że film obcojęzyczny został tam zepchnięty na trzecie miejsce. Pierwsze zajmuje film krajowy, a drugie albo odpowiednia wersja językowa filmu zagranicznego, albo też film dubbingowany, czyli mający podłożone w drodze dubbingu dialogi w języku kraju, w którym film wyświetlają. W zestawieniu nie tylko z Londynem, Berlinem, Paryżem, Wiedniem, Rzymem, lecz choćby z Pragą czeską — Warszawa znajduje się na ostatnim miejscu. Ilościowo produkcja polska jest znikoma, jakościowo zaś zależy od kapitału nie-polskiego.

Szczególnie charakterystycznie wygląda w Polsce przewaga filmu niemieckiego, bijącego ilością i jakością film krajowy. Niemcy, korzystając z polsko-niemieckiej umowy, mają prawo wprowadzić rocznie do Polski kilkadziesiąt swych filmów, nagranych oczywiście w języku niemieckim. Ponieważ i biura eksploatacyjne i kina w Polsce znajdują się przeważnie w rękach żydowskich, a żydzi utrudniają zbyt niemieckiego filmu, stworzono w Warszawie przedstawicielstwo interesów produkcji niemieckiej pod nazwą „Polski Tobis", której brzmienie może nieraz zmylić naszą publiczność. Filmy importowane przez „Polski Tobis" są

stale grane w warszawskim kinie „Studio". Kino to spełnia rolę wylansowania filmu, ażeby w oparciu o reklamę stołeczną mógł zdobywać rynek prowincjonalny, głównie zaś kina wielkopolskie i pomorskie. Tam film niemiecki spełnia zadanie propagandowe: przypomina dźwięk niemczyzny, pokazuje przykłady odwagi, ofiarności, poświęcenia dla *Vaterlandu*, przedstawia w pośredni sposób potęgę Rzeszy i wartość Niemca. Są to filmy zrobione bardzo starannie, przez ludzi zdolnych i doświadczonych, artystycznie skomponowane i sfotografowane; dyskretnie przeprowadzona tendencja działa o wiele skuteczniej, niż jaskrawa propaganda.

Film niemiecki nie tylko ma u nas ilościową i jakościową przewagę nad filmem polskim, ale daje nawet lekcję... opracowania polskich tematów. Taka np. *Cytadela warszawska* (Tobis), obraz z czasów przedniepodległościowych, odpowiadający naszym ponurym dramatom typu sybirsko-kozackiego, mógłby śmiało być wzorem jak stworzyć film interesujący, szlachetny w treści ideowej, a wolny i od kozacko-żandarmskiej szmiry i od ckliwego patosu. Cóż możemy dziś przeciwstawić kinematografii niemieckiej? Oto mniej więcej równocześnie z trzema filmami niemieckimi: *Tango Notturno, Tygrys z Esznapuru* i wspomnianą wyżej *Cytadelą warszawską*, grano w maju trzy filmy polskie: nudny i cierpiętniczy *Wrzos* (według Rodziewiczówny), *Kobiety nad przepaścią* — ordynarno-sensacyjny obraz o handlu żywym towarem i, zrealizowany wprawdzie sumiennie przez młodego reżysera T. S. Chrzanowskiego, film o niebezpieczeństwie chorób wenerycznych pt. *Za zasłoną*, z którego jednak, pomijając już inne względy etyczne, widz mógł wyjść pod wrażeniem, że to właściwie... nic groźnego.

Tyle na razie o polskim filmie. A teraz kilka danych o czynniku, pośredniczącym między filmem, a widzem, o kinie. W Polsce jest około 780 kin, niewiele więcej niż w Berlinie (całe Niemcy posiadają około 6.000 kin szerokotaśmowych i kilkanaście tysięcy kin na wąską taśmę), a dwa razy mniej, niż w małej Czechosłowacji, gdzie gra 1500 kinoteatrów. Gdy jeszcze zwrócić uwagę na rozmieszczenie kin w Polsce, okaże się, że np. województwo poleskie posiada tyleż kin, co Poznań, tj. — 14, ale w kinach poznańskich jest 7.600 miejsc, w kinach zaś poleskich zaledwie 3.374. Film nie dociera więc na Kresy Wschodnie, gdzie mógłby spełniać wielką rolę oświatową i propagandową. Szczupła liczba kin czyni niezmiernie wąskim nasz rynek filmowy. Film polski eksportowany jest bardzo słabo i producent może liczyć na eksploatację obrazu tylko w kinach krajowych, co oczywiście z góry ogranicza sumę, jaką można przeznaczyć na wyprodukowanie filmu i odbija się na jego jakości.

Wystarczy chyba ta garść informacji dla przekonania, że stan naszej produkcji filmowej jest kompromitujący. Doszło do niego

głównie wskutek niedocenienia kulturalnego, społecznego i politycznego znaczenia filmu. Echa błędnego stosunku do spraw filmowych błąkają się do dziś dnia — przykładem może być choćby tragikomiczna klasyfikacja kin w tzw. małej reformie podatkowej, gdzie teatry i wszelkiego rodzaju przedsiębiorstwa widowiskowe, z wyjątkiem kin, włączono do jednej kategorii, kina zaś i... restauracje — do drugiej. To niezwykłe rozgraniczenie opinia publiczna ochrzciła ironicznie, jako podział na „sztukę" i „sztukamięsę".

Tymczasem film jest obok radia i prasy najsilniejszym środkiem propagandowym, jest narzędziem oddziaływania na społeczeństwo. Dość porównać ilość abonentów w czytelniach i liczbę biletów sprzedanych do kin, frekwencję widzów w teatrach i milionową frekwencję w kinach, dość powołać się na sukces filmu *Znachor,* który w samej Warszawie obejrzało paręset tysięcy osób, a co najmniej drugie tyle obejrzy na prowincji. Nie może być obojętne dla opinii publicznej, dla kultury narodowej, dla religii, dla państwa — jaki film Polska ogląda, czego ten film uczy, jakie ideały i przekonania wpaja widzom.

Jeżeli dotąd odnoszono się do filmu z pewnym lekceważeniem, był to wynik oryginalnego wypadku ścisłego zazębienia się sztuki z przemysłem, skomercjalizowania produkcji filmowej i na koniec — zalewu filmem amerykańskim. Kiedy film nawet służył celom wychowawczym, były to amerykańskie cele, amerykańskie potrzeby — pod wpływem obcości tych filmów z za oceanu, które posiadały tendencję, dalej — pod wpływem nudy filmów sowieckich, gdzie tendencja przytłaczała czynnik artystyczny i rozrywkowy, pogardzono filmem, jako środkiem ekspresji idei.

Najniesłuszniej! Dziś odbywa się odwrót — uwierzono, że film jest czymś więcej, niż wizualnym brukowcem, wzrokowym odpowiednikiem odcinka powieściowego w bulwarowym dzienniku, przekonano się też — najprędzej w Sowietach i w Niemczech — jak doniosłe zadanie można powierzyć filmowi, uwierzono, że film należy najpierw do dziedziny sztuki, do dziedziny myśli, a potem dopiero do dziedziny przemysłu, na koniec stwierdzono, że „film z tezą" może być równie artystyczny, jak film bezideowy.

Te wnioski należy u nas czym prędzej zamienić w praktykę. Stworzenie warunków rozwoju dla polskiego filmu wymaga 1) powiększenia liczby kin, 2) wprowadzenia taryf, obciążających film zagraniczny na rzecz funduszów produkcyjnych filmu krajowego, 3) stworzenia niezależnego polskiego ośrodka filmowego, który by czuwał nad całokształtem spraw filmu i wpływał na właściwe użycie uzyskanych zasobów pieniężnych i 4) rozwinięcie niezależnej krytyki filmowej z niezależnym filmowym organem prasowym na czele.

Nie da się bowiem naprawić filmu w Polsce, dopóki nie będzie się o nim głośno wypowiadać prawdy. Jest publiczną tajemnicą, że większość recenzji filmowych znajduje się pod komendą ogłoszeń. Niezależnych sprawozdawców filmowych łatwo policzyć na palcach, a na wyliczenie pism, omawiających zagadnienia filmowe w sposób wolny od pobocznych wpływów wystarczyłyby i palce jednej ręki. Krzykliwa reklama i podporządkowana reklamie recenzja napędzają wprawdzie doraźnie widzów do kina, ale w działaniu na dalszą metę wyrządzają szkodę filmowi, jako sztuce. Widz, oszukany reklamą i rozczarowany w kinie, zniechęca się do filmu — poczyna go uważać za błahą rozrywkę, za środek zabijania czasu, albo i jeszcze gorzej — za sposób wyciągnięcia złotówki z jego kieszeni.

Czytając opłacone zachwyty nad filmem i przekonując się wciąż, iż rzekome arcydzieła są kiczami, niesposób nie klasyfikować w końcu filmu w czambuł, jako zwykłego *businessu*. Na szczęście frazesy w rodzaju „epokowy, niezwykły, stwarzający nową erę, rewelacyjny superfilm" przestają robić wrażenie. Publiczność zwraca się ku recenzji filmowej, która niewątpliwie w ciągu kilku najbliższych lat dojdzie do równouprawnienia z recenzją teatralną. *Przegląd Powszechny* otwierając stały miesięczny przegląd spraw filmu, daje wyraz przekonaniu, że film stanowi część dorobku kultury narodowej, że kulturalne i społeczne oddziaływanie filmu wymaga niezależnej oceny artystycznej i ideowej. Równocześnie możemy zanotować dobrą wiadomość o powstaniu Towarzystwa Rozwoju Filmu Polskiego, które stawia sobie za cel opiekę nad prawdziwie polskim filmem.

W zakresie dwóch pozostałych jeszcze terenów walki o rozwój polskiej kinematografii tj. w sprawie kinofikacji kraju i powiększania produkcji istnieje projekt obłożenia filmów importowanych podatkiem w wysokości 1 złotego od metra taśmy. Z sum osiągniętych w ten sposób powstałby Fundusz Filmowy, udzielający kredytu produkcji polskiej i zastrzegający sobie w zamian za kredyt kontrolę nad produkcją oraz zatrudnianie i szkolenie polskich reżyserów, operatorów, mechaników itp. przy produkcji filmu, finansowanego dzięki pomocy Funduszu.

Ostatnia sprawa — kinofikacja Polski — znajduje się w punkcie zwrotnym wskutek wprowadzenia wąskiej taśmy. Stosowana dotąd taśma szeroka jest kosztowna i łatwopalna, taśma wąska (16 mm) nie przedstawia niebezpieczeństwa pożaru i wobec tego przepisy porządkowe dla wyświetlania filmów wąskotaśmowych nie wymagają już osobnej, izolowanej przeciw ogniu kabiny projekcyjnej, co w skutku dalej obniża koszt posługiwania się wąską taśmą. Nie trzeba urządzać specjalnej

sali kinowej, wystarczy gdziekolwiek, gdzie tylko da się wstawić krzesła czy ławki, zawiesić ekran i uruchomić aparat.

Aparat projekcyjny wąskotaśmowy jest przenośny — zapakowany w walizce waży zaledwie 47 kg., czemu podoła jeden człowiek. Zmienne obiektywy i regulacja głośnika pozwalają przystosować projekcję do rozmiarów sali, począwszy od obrazu szerokości 1 metra i głosu na zwykłą klasę szkolną, aż do obrazu na ekran 12 metrowy i salę na 1000 osób. Jeżeli nawet w miejscu wyświetlania filmu nie ma prądu (szczególnie doniosłe dla wsi), można uruchomić aparat, otrzymując prąd z wytwarzającego energię elektryczną agregatora benzynowego. W ciągu godziny agregator zużywa benzyny za 50 groszy, w momentach zaś przerwy między projekcją poszczególnych części filmu, dostarczy prądu do oświetlenia sali 40 żarówkami po 25 watt każda. Przy czerpaniu prądu z sieci elektrycznej koszt wyświetlania filmu dźwiękowego wynosi 16—20 groszy za godzinę.

Te zalety wyraźnie przeznaczają aparat wąskotaśmowy i wąskotaśmowy film dla kina małomiasteczkowego, kina prowadzonego w świetlicy przez szkołę, czy organizację społeczną i dla kina wędrownego. Podczas gdy normalny aparat na taśmę szeroką kosztuje ok. 11.000 zł nie licząc wysokich kosztów założenia odpowiedniej instalacji, budowy kabiny, wyposażenia widowni, cena aparatu wąskotaśmowego — to zaledwie 2480 zł.

Akcję kinofikacji kraju prowadzi Instytut Filmowy PAT'a. PAT, zawarłszy odpowiednie umowy z firmą AEG i amerykańską wytwórnią aparatów projekcyjnych (polski typ aparatu wąskotaśmowego jest w opracowaniu), sprzedaje aparaty na 24 raty miesięczne, starając się umieszczać je w świetlicach i organizacjach społecznych i w szkołach. W Anglii, Francji i Niemczech aparat wąskotaśmowy używany jest przede wszystkim do celów szkolnych, w naszych skromnych warunkach wąska taśma powinna na wsi i w miasteczku z a s t ą p i ć taśmę normalną. Obecnie około 130 aparat. wąskotaśm. pracuje w szkołach i ok. 120 w organizacjach społecznych (LOPP, LMK, Strzelec), na jesieni liczba ta powinna dojść do 300 aparatów łącznie. Z chwilą gdy dosięgnie tysiąca, sprawa rynku dla polskiej produkcji filmowej zostanie rozwiązana: producent będzie mógł obok zwykłego filmu na taśmie szerokiej, wypuszczać film wąskotaśmowy, a łączny dochód pokryje dostatecznie koszty nakręcania filmu. Każdy bowiem film z taśmy szerokiej można przenieść na taśmę wąską. Instytut Filmowy PAT'a, wobec braku polskiej produkcji wąskotaśmowej, systematycznie p r z e b i j a filmy na wąską taśmę, tworząc k i n o t e k ę, która dostarcza filmów dla sprzedanych aparatów. Kinoteka Instytutu jest pospiesznie rozwijana i uzupełniana; plan przewiduje dojście do ilości 2000 filmów wszelkiego typu: długo- i krótkometrażowych, rozrywkowych, szkolnych, propagandowych itd.

Reszty powinna dokonać propaganda i pomoc z Funduszu Filmowego. Zresztą propagandą najlepszą jest wyświetlenie filmu. Kiedy LOPP białostocka wysłała ekipę z aparatem wąskotaśmowym do Grajewa, małego miasteczka na pograniczu Prus Wschodnich, w ciągu jednego dnia 1800 osób odwiedziło zaimprowizowane kino. W jednej ze wsi poleskich, omal nie doszło do zabawnej filmowej „rewolucji", bo chłopi najpierw jednego dnia dwa razy obejrzeli cały program, a nazajutrz siłą zagrodzili drogę odjeżdżającemu „kinu". Dopiero perswazja wójta i solenne przyrzeczenie przyjazdu z nowymi filmami wyswobodziło walizę z aparatem. Jeśli na Kresach szkoły powszechne wędrują po 10 km do wsi, w której gra wędrowna wąskotaśmówka, doprawdy warto na te Kresy pójść z dobrym polskim filmem, krzewiącym katolicką etykę, rozwijającym uczucia narodowe i solidarność społeczną. Choćby zwykłe zdjęcia z Częstochowy, Ostrej Bramy, choćby sfilmowana w PAT-owskim tygodniku aktualności wojskowa rewia w Warszawie na 11 listopada — ileż tam może to zdziałać!

* * *

Trzy obrazy wysuwają się na czoło filmów, granych w maju w Warszawie przez tzw. zeroekrany: *Zbłądziłem* — jako film z najlepszymi kreacjami aktorskimi, *Świat mówi o nas* — jako film najciekawszy w konstrukcji i reżyserii oraz *Ósma żona Sinobrodego,* jako najweselsza i najzręczniej zrobiona komedia.

Zbłądziłem (tytuł oryginalny *Le Venin*) jest dziełem francuskiej produkcji. Nakręcony według sztuki Henri Bernsteina *L'orage (Burza)* przez inteligentnego reżysera Marc'a Allegret'a, z dialogami znanego autora dramatycznego — M. Acharda, uderza film niebanalnością ujęcia banalnego tematu. Niezwykły efekt poetycznego i subtelnego opracowania owego banału sprawia, że dopiero po wyjściu z kina widz zaczyna zdawać sobie sprawę, że miał do czynienia z pewnym bluffem psychologicznym, że jednak nie było tu głębi, nie było arcydzieła, a jedynie świetna gra aktorów i uchwycony sekret filmowego wyrazu.

Treść pozornie prosta — nowa miłość w życiu żonatego mężczyzny. Konflikt rozgrywa się w społeczeństwie laickim, gdzie nie razi sam fakt rozwodu, i sprzeciw sumienia, jaki odczuwa mąż, ogranicza się do świadomości krzywdy, wyrządzonej żonie. To też co innego wysunęło się na pierwszy plan: kontrast psychiki kobiecej i męskiej, studium nastrojów miłości, w której obie strony przyciągają się z takim magnetyzmem, że muszą dążyć do siebie, choć podświadomie zgadują, że wzajemnie niosą sobie zgubę. Jeśli gdzie można we właściwym znaczeniu użyć określenia: namiętność, to właśnie tu.

O n a należy do typu *femme fatale*, o n — reprezentuje męski egoizm, ambicję zdobycia, posiadania, owładnięcia. Jej zmienne

nastroje muszą wywoływać konflikty w zetknięciu z monomanią jego usposobienia. Romans kończy się samobójstwem dziwnej dziewczyny — dlaczego je popełniła? — właściwie nie wiadomo. Możemy przypuszczać, że była to ofiara, usunięcie się na wiadomość, że jego żona oczekuje dziecka. Wolno też sądzić, że przyczyną samobójstwa była niemożność pogodzenia miłości z ciągłą walką charakterów, czy może tragicznie przekorna chęć dania dowodu wierności aż do śmierci akurat wówczas, gdy podejrzewano o niewierność. Na dnie wszystkiego jest tajemnica przeszłości, neurastenia istoty, wobec której życie nie spełniło jakiejś najważniejszej nadziei i odtąd może być tylko nudą, przerywaną chwilowym ożywieniem pod wpływem przejściowych nastrojów.

Studentkę zagrała z niezwykłym talentem i szczerością młoda artystka francuska — Michelle Morgan. Partnerem był Charles Boyer. Dwie wspaniałe role — prawie nie sposób ich analizować, są tak skończone, piękne, dojrzałe, a zarazem naturalne i proste. Sukces filmu zależał od wydobycia drobnych odcieni uczuciowych, od podłożenia pod teraźniejszość nieznanej dramatycznej przeszłości — nie wiem, jak wygląda sztuka Bernsteina w teatrze, ale przypuszczam, że film dał więcej. Nastrój leży blisko najprostszej reakcji instynktów, jest to odczuwanie jakby wegetatywne i dlatego tak łatwo nastroje zmieniają się pod wpływem przyrody, a przyroda znów tak dobrze je wyraża, film zaś bardziej niż teatr, może sugestywnie odtworzyć zjawiska przyrody. Widokiem świtu na wsi, złączonego we wspomnieniach z osobą zmarłej, kończy się obraz, przypominając film *Peter Ibbetson* tym nawrotem do wizji przeszłości.

Z filmu tchnie smutek. Gorzki pesymizm upadku — ugięcie się pod uderzeniem losu, związanie człowieka tylko z doczesnością. Sztuka Bernsteina i powstały z niej film, są bezbożne, gdyż nie ma w nich Boga, nie ma żadnej nadziei i pociechy w nieszczęściu, a jedyną ucieczką jest śmierć.

Świat mówi o nas — nowy obraz René Clair'a, jest, jak zawsze, zdarzeniem artystycznym w świecie filmu, choć tym razem w stopniu słabszym, niż poprzednio. René Clair, twórca *Miliona*, *Niech żyje wolność*, *14 lipca* ma zasługę wyjścia z filmem dźwiękowym z atelier na plener, podniesienia dźwięku z roli ilustracji muzycznej do znaczenia samodzielnego czynnika, wprowadzenia do filmu tzw. „szarych ludzi" o twarzach wprawdzie nieurodziwych, ale charakterystycznych, wreszcie — w zakresie kompozycji filmu René Clair wzmocnił pozycję scenarzysty, dając swoim obrazom treść ideową.

Świat mówi o nas (produkcja angielska — General Film London) najbliższy jest z poprzednich filmów Clair'a *Upiorowi na sprzedaż*. Ten sam groteskowy humor, satyra — niby mimowolna, kpiący ton i wyzyskanie komizmu sytuacyjnego z ogra-

niczeniem równoczesnym znaczenia gry aktorskiej. Jest to droga, na której końcu znajduje się teatr marionetek. Już w interesującym filmie *Sachy Guitry (Perły Korony)* działanie aktora zostało zmniejszone do funkcji żywej ilustracji anegdoty historycznej, snutej przez autora i reżysera w jednej osobie; w filmie René Clair'a sceny z fikcyjnej bałkańskiej rewolucji są wyraźnie marionetkowe, wystarcza bowiem świadomość sytuacji i schematyczny gest aktora dla wywołania śmiechu. Jeżeli trafiają się mimo to sceny aktorsko popisowe, są one tylko epizodami — aktor nie g r a c a ł e j roli, lecz właściwie służy do zaakcentowania kilku momentów, w których potrzebna jest ekspresja jego twarzy. Oczywiście poza tym aktor spełnia podstawową funkcję łączenia fragmentów filmu identycznością swej postaci. Grać prawie nie potrzebuje, wystarczy, że jest ciągle tym samym panem X, a o resztę troszczy się już autor scenariusza i reżyser.

René Clair zaangażował do swego filmu dwóch znanych aktorów: Maurice Chevalier'a i głośnego komika angielskiego — Jack'a Buchanana. Jak wynika z charakterystyki clair'owskiego filmu, nie mogli oni mieć wiele pola do popisu, jednak Chevalier i tak jest doskonały w roli rewiowego aktora, który dla zdobycia popularności udaje mordercę, a później, gdy reklamowy figiel zmienił się w makabryczny żart, oczekuje szubienicy. Wszystko razem jest satyrą na kulisy przedsiębiorstwa teatralnego. Dowcipne pomysły doprowadzają groteskę do granic szaleńczego absurdu, wywołują istne paroksyzmy śmiechu — Clair osiąga swoje: wyzwala w widzu spontaniczną wesołość, film działa jak kąpiel gazowa — orzeźwia i podnieca, daje bodźca systemowi nerwowemu do żywszej pracy.

Ósma żona Sinobrodego (prod. amerykańska — Paramount) jest wprawdzie również filmem wesołym, ale pozostającym w granicach komediowego konwenansu. Ta amerykańska komedia filmowa powstała z przeniesienia na ekran sztuki Savoira-Poznańskiego, znanego dostawcy komediowego paryskich scen. Francuski dowcip i zręczność pomysłu złączyły się z amerykańskimi gagami i typowym naiwno-sentymentalnym yankesowskim humorem. Czołową parę grają: Claudette Colbert i Gary Cooper. Wydaje się, jakby rolę Claudette napisał Savoir, a rolę Gary'ego scenarzyści z Hollywood, trudno bowiem przypuszczać, żeby francuską inwencją było wypoliczkowanie się małżeństwa, lub kąpiel multimilionera w wannie Ludwika XIV. Błaha treść — poskramianie zbyt pewnego siebie męża-bogacza przez żonę bez posagu — ma swój morał, że „pieniądz nie jest wszystkim". Gary Cooper nie nadaje się jednak do roli zarozumialca i dlatego też furia Claudette Colbert nie ma w filmie usprawiedliwienia. Raczej ciągle czekamy, kiedy się skończą jej fochy i zgodzi się wreszcie przyznać do miłości. W tych warunkach akcja odsuwa się na

plan dalszy, a pierwsze miejsce zajmuje dowcip dialogu i gagi sytuacyjne. Całość przypomina nastrojem poprzedni film Coopera *Pan z milionami*. Oczywiście — wszystkie wydarzenia tej komedii możliwe są tylko na tle Ameryki, tak, jak tylko tam możliwa jest seria sześciu rozwodów (jedna żona umarła). Bohater, który w filmie uważany jest za miłego mężczyznę i porządnego obywatela, musiałby u nas mieć opinię hochstaplera małżeńskiego. Reżyserował Ernest Lubicz.

Z innych filmów amerykańskich warto jeszcze wymienić film trzech humorystów — braci Marx, pt. *Dzień na wyścigach* (Metro Goldwyn). Z galerii komików filmowych, jaką otwiera Max Linder i Fatty-grubasek, bracia Marx zajmują najświeższe miejsce po Charlie Chaplinie, Harold Lloydzie, Buster Keatonie, Pacie i Patachonie, Flipie i Flapie. Wyszli z music-hallu i cyrku i wnieśli na ekran styl klowna. Pokraczni, groteskowi, robią wrażenie psotnych krasnoludków, złośliwych duszków z satysfakcją wywracających na nice plany zarozumiałych ludzi. Doskonali w charakteryzacji i grotesce gestu popisują się nowymi gagami, a że przy tym są wysoce muzykalni, mogą dać żywy pokaz jakby występów cyrkowych wplecionych w akcję filmu. Akcja jest właściwie zbędna — nikogo nie obchodzi, co stanie się z zakochaną parą (Allan Jones i Maureen O'Sullivan): film byłby o wiele lepszy, gdyby zrobić z niego po prostu średnio-metrażówkę braci Marx. Ten wniosek jest znamienny — czysty humor filmowy należy coraz częściej do rodzaju humoru absurdalnego, obywającego się bez komizmu sytuacji.

Polska produkcja pokazała w maju trzy filmy: *Kobiety nad przepaścią, Za zasłoną i Wrzos*. Pierwszy z nich można od razu skreślić, gdyż wystawiony w marcu, w początku maja zeszedł z ekranu; notujemy go tylko z obowiązku sprawozdawczego. Jest to zresztą obraz obliczony na najtańszą sensację, epatujący tematem handlu żywym towarem, a pod względem techniki filmowej wykonany niemal po amatorsku. Kompromitujący kicz, którego oby nie zobaczył w Polsce żaden cudzoziemiec.

Warto natomiast pomówić o *Wrzosie*. *Wrzos* (wg. powieści Marii Rodziewiczówny) wywołał sporą dyskusję w kołach filmowych i wśród publiczności. Zebrał nawet pochwały i rozeszła się fama: oto nareszcie dobry film polski. Tę legendę trzeba usuwać. Wychwalanie *Wrzosu* jest utratą miary oceny i roztkliwianiem się nad zaściankową przeciętnością, jest krzewieniem kultu banału. Przede wszystkim *Wrzos* jako obraz filmowy, jako zespół zdjęć, jest filmem nieudolnym. Brak w nim ruchu, przeważają dialogi, nuży wolne, nienaturalne tempo scen, istne celebrowanie gry w pseudo patetycznych momentach, ciemna fotografia... Jeżeli mimo to znalazły się pochlebne głosy, wynikły one po prostu

stąd, że *Wrzos* wolny jest prawie zupełnie od najgorszej wady polskich filmów: od błazenady aktorów, którym nasi — z tych „naszych" — reżyserzy filmowi każą karykaturować każdą rolę. Szczegóły codziennego życia, sztafaż tła, pokazany jest we *Wrzosie* względnie rozsądnie — panie nie plączą się w balowych sukniach, lokaj nie ma twarzy kryminalisty, a pokojówka nie zaczepia gości.

Ideowo treść filmu jest niekonsekwentna i niemoralna, co tym przykrzejsze, że film związano z nazwiskiem Marii Rodziewiczówny. Oczywiście — bohaterzy filmowego *Wrzosu* nie są podobni do bohaterów powieści; krytyka ideowej strony filmu nie obciąża autorki *Dewajtisa*. Utwory Rodziewiczówny prawie zawsze mają tendencję — autorce idzie nie o analizę psychologiczną bohaterów, ale o uformowanie ich możliwie jednolite, jednoznaczne, o zaakcentowanie tych cech charakteru, które są w zgodzie z tendencją i mogą jej służyć. Są to typy literackie, często odbiegające od rzeczywistości i przenoszenie ich na ekran jest ryzykowne. Film wymaga potocznego realizmu, naturalności i postać papierowa staje się na filmie marionetką. Dlatego też we *Wrzosie* nie przekonywa nas ani główna bohaterka — Kazia z wiejskiego dworku, ani jej mąż, jedna więcej wersja „namiętnego" mężczyzny według recept z powieści Mniszkówny.

Wrzos sfabrykowano licząc na pokaźne zyski. Jest to film drobnomieszczański, film dla kucharek, filmowy odpowiednik romansu w gazecie, sentymentalny „wyciskacz łez". *Wrzos* z pewnością obejrzą setki tysiące widzów w Polsce, bo popularność oprze się na tych samych czynnikach, które zdobyły rekordy powodzenia dla *Trędowatej* i *Znachora*. Nie może być jednak obojętne co film niesie masom. Otóż ideologia *Wrzosu* jest szkodliwa i niemoralna. Apoteozuje się fałszywą ofiarę i wątpliwą szlachetność, krzewi się snobizm zamożności, ideał „łóżka pod baldachimem" i pluszowych mebli, przecenia się wartość pieniądza i tzw. pozycji w świecie.

Przekona o tym krótki przegląd treści: Kazia, dziewczyna z wiejskiego dworku, ustępując przed macochą, zgadza się wyjść za mąż. Dawny narzeczony Kazi, zesłany na Syberię, od trzech lat nie daje znaku życia. Kazia w przekonaniu, że jej przyjaciel dzieciństwa umarł na wygnaniu, poślubia — na życzenie rodziny — syna bogatego adwokata. Przed ślubem jednak narzeczeni zrobili układ: będą tylko małżeństwem pozornym — on żeni się, gdyż jest to warunek otrzymywania pensji od ojca, ona wychodzi za mąż, aby ustąpić z domu i zapewnić sobie przyszłość. Ta nienormalna i niemoralna sytuacja może jednak ulec zmianie z chwilą, gdy mąż Kazi zakocha się w niej naprawdę. Lecz Kazia deklamuje „przysięgłam innemu", nie chce być dla męża żoną, równocześnie zaś, spotkawszy zwolnionego z zesłania

dawnego narzeczonego odpowiada mu tak samo „przysięgłam innemu". Konflikt rozwiązuje śmierć Kazi, będąca kryptosamobójstwem, ponieważ Kazia, pełniąc samarytańskie obowiązki i odwiedzając biednych podczas epidemii tyfusu, umyślnie zaniedbywała środków ostrożności i szukała choroby.

Wyidealizowane w filmie postępowanie Kazi budzi niesmak. Już sam pomysł pozornego małżeństwa (nie mieszać ze ślubem czystości, jaki bywa niekiedy czyniony przez małżonków) i związek dla pieniędzy, ma w sobie coś z oszustwa i handlowania świętością. Następnie trudno też uznać za ofiarę postępowanie Kazi, zawiązujące życie mężowi i łamiące życie dawnego przyjaciela. Nikt z tych trojga nie będzie szczęśliwy, a jeśli idzie o wartość moralną decyzji wydaje mi się, że „lepsze posłuszeństwo niźli nabożeństwo". Z chwilą gdy mąż pokochał Kazię, prawdziwym poświęceniem byłoby tylko przyjęcie miłości męża, przekreślenie względnie uregulowanie niemoralnego układu przedślubnego. Wreszcie — najgorszy cień rzuca na poły samobójcza śmierć.

Poza omawianymi już trzema najlepszymi filmami miesiąca: poza interesującą nas ze szczególnych względów produkcją polską, wyróżnia się film niemiecki. *Warszawska cytadela* (Tobis) była przykładem, jak można dać film interesujący, wolny od deklamacyjnego patosu — przecież mocny w wyrazie ideowym. Wytwórnia niemiecka, niemiecki reżyser i aktorzy, pracowali z wyraźną sympatią dla polskiego tematu — walki niepodległościowej młodzieży akademickiej w okresie przedwojennym. Kilka błędów rzeczowych, jak np. ubranie warszawskich studentów w rosyjskie rubaszki, wynagradzają piękne i wzruszające sceny: zawieszenie chorągwi polskiej, poświęcenie matki dla Polski i syna.

Film zamyka okrzyk: „Niech żyje ojczyzna!" Możliwe, że Niemcom było nieco trudno powtórzyć te słowa w naturalnym brzmieniu „Niech żyje Polska!", możliwe, że chodziło im, aby miały one znaczenie także dla publiczności niemieckiej, w każdym jednak razie finał jest podniosły i dla Polaków zaszczytny, niewątpliwie musi budzić kult polskiego patriotyzmu. Co Niemców skłoniło do zrealizowania tego tematu? Poza demonstrowaniem sympatii dla Polski, co jest pożyteczną propagandą układu polsko-niemieckiego, gdy film taki wyświetla się w Polsce, kryje się intencja wzbudzenia sentymentu dla Niemców, którzy p o t r a f i ą ocenić nasze zalety. Jest także słuszna myśl, że polski temat nagrany w języku niemieckim najlepiej przyczyni się do popularyzacji niemczyzny tam, gdzieby filmu nie dopuszczono z racji samego dialogu niemieckiego. Patriotyczna polska tendencja otworzy drzwi. Wreszcie Niemcom jest w tej chwili na

rękę budzenie w Rzeszy wrogich uczuć dla Rosjan, przedstawianych w *Warszawskiej cytadeli,* jako ciemięzcy i półazjaci.

Drugi dobry film niemiecki — to *Tango Notturno* (Terra-Film) z Polą Negri w głównej roli. Nie obeszło się bez banałów „staczania się", „upadłej kobiety" narkomanii itp., całość jednak została zrobiona inteligentnie, ma interesującą kompozycję, staranność w oddaniu psychologii postaci, a na specjalną uwagę zasługuje zakończenie: filmu nie zamyka *happy end* wydarzeń, lecz *happy end* ideowy. Wprawdzie szczęście osobiste stracone, lecz dwaj przyjaciele mówią sobie: „nie ma tak mizernego człowieka na ziemi, który by jeszcze nie potrafił się na coś przydać innym" i postanawiają rozpocząć nowe życie w pracy dla dobra społecznego. Kiedyż doczekamy się polskich filmów o podobnej ideologii!

Przed podaniem krótkich informacji o filmach, które nie mają większego znaczenia artystycznego, lub ideowego i mogą służyć tylko celom rozrywkowym, trzeba ostrzec przed obrazem bardzo rozreklamowanym, jaki jednak w niezależnej krytyce zdobył sobie określenie: „skandal". Idzie o *Panią Walewską* z Gretą Garbo i Charles Boyer'em. Film, zrealizowany z niewątpliwym rozmachem w scenach zbiorowych, jest kiczem, jako film historyczny. Mało tego — jest kompromitujący dla Polaków, posądzając ich o ordynarne stręczenie Walewskiej Napoleonowi. Odbrązowiony Napoleon, Napoleon w życiu prywatnym, nawet w wykonaniu tak utalentowanego aktora, jak Charles Boyer, stał się groteską. Greta Garbo nie wiedziała co począć z rolą Walewskiej i na koniec wybrała najwłaściwszą drogę dyskrecji i powściągliwości w grze. Straciła na tym kreacja aktorska, ale przynajmniej nie obrażono dobrego smaku. Film może obejrzeć tylko ten, kto chce zirytować się Polską „made in Hollywood" i uśmiać z amerykańskich wyobrażeń historycznych.

Na czele f i l m ó w r o z r y w k o w y c h idzie przemiła *Pensjonarka* (Universal) z Deanną Durbin, znaną z *Penny* i *Ich stu i ona jedna,* przemiłą 16-letnią gwiazdką. Partnerem Deanny jest Herbert Marshall, akcja zaś rozgrywa się w środowisku szkolnym. Film interesujący, wdzięczny, odpowiedni dla młodzieży. Obok niego trzeba postawić bardzo dobry obraz z życia amerykańskiego świata aktorskiego *Obcym wstęp wzbroniony* (RKO) z Katarzyną Hepburn na czele doskonałej obsady. Komedię francuską reprezentuje dość cyniczna satyra *Król się bawi* według komedii Flersa i Caillaveta, w wykonaniu zespołu świetnych francuskich aktorów teatralnych, Annabella gra w filmie barwnym *Księżniczka cygańska* (Fox), B. Stanwyck i H. Marshall w komedii *Zakochani wrogowie* (RKO), popularny Wallace Beery w *Groźnym Billu* (Metro Goldwyn).

Film sensacyjny reprezentują następujące obrazy: *Tajemniczy przeciwnik* (Warner Bros) z Wiliamem Powellem, o dość interesującej akcji, *Prawda zwycięża* (Warner Bros) — przeciętny film gangsterski z Pawłem Muni, *Nancy Steele zaginęła* (Fox) — również temat kryminalny i *Alarm na morzu* (Warner Bros), którego akcja rozgrywa się w łodzi podwodnej.

Do filmów interesujących wyłącznie dla publiczności amerykańskiej należy obraz *Za cudze winy* (Fox) — na tle wojny domowej Stanów Północnych z Południowymi i procesu o zabójstwo prez. Lincolna, oraz obraz *Mocni ludzie* (Paramount), przedstawiający postępy kultury gospodarczej na tzw. Dalekim Zachodzie.

Dobrą anegdotę historyczną daje film *Przygoda pod Paryżem* (Warner Bros), opowiadający o słynnym aktorze angielskim.

Przeciętnym dramatem psychologicznym jest *Grzech młodości* (Metro Goldwyn), do filmów śpiewanych należy słaba amerykańska *Błękitna parada* — obraz z życia marynarzy (piosenki w wykonaniu Dicka Powell'a) i również słaby film włoski *Wróć moja maleńka* (APPIA) z tenorem Tito Schipa. Znów modny ostatnio film wojenny ma dwa obrazy: dobry angielski *Ostatni alarm* i marny amerykański *Po wielkiej wojnie* (Metro Goldwyn).

Osobną serię filmów stanowią nowe wersje obrazów, popularnych w okresie filmu niemego. Tak więc niemiecki Tobis efektownie sfilmował pamiętny w dziejach filmu *Indyjski Grobowiec* (Konrad Veidt grał wówczas główną rolę), którego pierwsza część ukazała się obecnie na ekranie pt. *Tygrys z Esznapuru*, a amerykańska wytwórnia „Republic" nagrała w filmie barwnym również bardzo niegdyś popularnego *Szeika* z Ramonem Novarro i film *Zorro* — przed laty sukces Douglasa Fairbanksa. Niestety, obydwa wznowienia, które mogły być interesujące, a szczególnie miłe dla starszych widzów, są rażąco nieudane i niedołężne.

Zdzisław Broncel.

NACZELNY REDAKTOR: *KS. EDWARD KOSIBOWICZ T. J.*

Druk ukończono dnia 3 czerwca 1938 r.

Spis rzeczy tomu 218.

Artykuły:

Str.

Kazimierz Smogorzewski: Pokój czy wojna? 3
Dr Andrzej Niesiołowski: Zmierzch materializmu . . 14
Janusz Pajewski: Racja stanu a ideologia 31
Teodor Parnicki: Literatura piękna katolickiego humanizmu 40
J. Skaliński: Po Kongresie ludowców 55
Dr F. Bitnicki: Droga do katastrofy 68
St. Szczutowski: Pochwała parlamentu 88
Ks. J. Pawelski: Bohater, prorok i patron narodu 161
Teodor Parnicki: Humanizm katolicki Zofii Kossak . . 172
Dr F. Bitnerowa: Wartości ascezy chrześcijańskiej na tle współczesnych poglądów medycyny 190
Roman Piotrowicz: Zagadnienie osadnictwa kolonialnego 206
Prof. dr Otto Forst Battaglia: Gabriel d'Annunzio . 221
H. J. Korybut-Woroniecki: Ochrona lokatorów i budownictwo mieszkaniowe 235
Aleksander Klisiecki: Ludzie bezdomni 297
Dr F. Bitnicki: Katastrofa Austrii 314
St. Szczutowski: Złoto, pieniądz i ustrój 332
Roman Piotrowicz: Pojednanie dwu imperiów 355
Konstanty Symonolewicz: Niespodziewany zwrot w wojnie japońsko-chińskiej 370

Przegląd piśmiennictwa.

Stefania Zahorska: Korzenie. — Wanda Miłaszewska: Święty wiąz. — Agnieszka Osiecka: Krzyż na piaskach. — Piotr Choynowski: Opowiadania szlacheckie. — Jerzy Marlicz: Dzicy ludzie. — Madelon Lulofs: Guma, guma. — M. Rudnicki: Żydzi. — R. L. Stevenson: Wyspa skarbów. — J. Surynowa-Wyczółkowska: Egoizm we dwoje. — Basil Carey: Niebezpieczne wyspy (Zofia Starowieyska-Morstinowa) 105
Zofia Nałkowska: Niedobra miłość (Ks. E. Kosibowicz T. J.) 116
Tadeusz Katelbach: Ta litewskim murem (Ks. E. Kosibowicz T. J. 117

Str.

Ks. arcybp Józef Teodorowicz: Herold Chrystusa na tle epoki (Ks. J. Rosiak T. J.) 117
Sól polskiej ziemi (Ks. B. Wójcik T. J.) 119
Ks. dr Franciszek Sawicki: Życie ludzkie (Ks. K. Werbel) . 120
Ks. J. Wołek-Wacławski: Będziemyśl i klęczany (Ks. A. Kisiel T. J.) 121
Ks. St. Marchewka: Konferencje i kazania misyjne i rekolekcyjne (Ks. J. Pawelski T. J.) 121
Zabiegi pielęgniarskie (B.) 122
Leopold Caro: Liberalizm i kapitalizm (St. Szczutowski) . 154
Ludwik Górski: Wytyczne programu wiejskiego w świetle zasad katolickich (Ks. J. Rosiak T. J.) 256
O sprawiedliwości społecznej (Ks. J. Rosiak T. J.) 256
Ks. W. Staniszewski: Kościół jako mistyczne ciało Chrystusa według św. Augustyna (Ks. J. Brodowski T. J.) 257
Émile Mersch S. I.: Moral et Corps mystique (Ks. W. Zajączkowski T. J.) 259
Émile Mersch S. I.: Le Corps mystique du Christ (Ks. W. Zajączkowski T. J.) 260
S. Maria Renata: U źródeł łaski (M. L.) 260
Matthias Joseph Scheeben: Die bräutliche Gottesmutter (Ks. W. Zajączkowski T. J.) 262
Dr Tihamér Tóth: Der Sieg Christi (Ks. W. Zajączkowski T. J. 263
Artur Górski: Niepokój naszego czasu (Ks. E. Elter T. J.) . 263
Theodor Grentrup: Volk und Volkstum im Lichte der Religion (Ks. W. Zajączkowski T. J.) 264
Ks. dr Z. Goliński: Pius XI jako nauczyciel i obrońca moralności chrześcijańskiej (Ks. J. Rosiak T. J.) 264
Lew Trocki: Zbrodnie Stalina. — Victor Serge: Losy pewnej rewolucji. — Jacques Bardoux: Oskarżam Moskwę. — Jacques Doriot: Pieniądze płyną z Moskwy. — Georges Lakhovski: Od Moskwy do Madrytu (Ks. A. Kisiel T. J.) 265
Rudolf Allers: Das Werden der sittlichen Person (Ks. K. Werbel) 267
Ks. Stefan Sydry: O. Stanisław Papczyński i jego dzieło w świetle dokumentów. — Ks. dr Fr. Śmidoda C. M.: Ks. Gabriel Baudouin i jego dzieło w latach 1732—1768 (Ks. Cz. Sejbuk T. J.) 269
Jan Dąbrowski: Historia dla kl. I gimnazjów (Dr M. J. Łojowska O. S. U.) 270
J. Kleiner: W kręgu Mickiewicza i Goethego (Ks. J. Mikuła T. J.) 273
Leo Weismantel: Die guten Werke des Herrn Vinzenz (Ks. W. Zajączkowski T. J.) 273
Ignazio Silone: Chleb i wino (Dr M. Śliwińska-Zarzecka) 384
Maria Kasterska: Na Zamku Milczenia (Ks. W. Rejowicz T. J.) 386
Julian Krzyżanowski: Władysław St. Reymont, twórca i dzieło (Ks. Bronisław Wójcik T. J.) 387
Dr Mieczysław Skrudlik: Maria z Magdali w Ewangelii, legendzie i sztuce (Ks. Bronisław Wójcik T. J.) 388
Ks. Józef Winkowski: W głąb i wzwyż (Ks. W. Zajączkowski) 389
Schaeder Hildegard: Geschichte der Pläne zur Teilung des alten polnischen Staates seit 1386 (K. M. Morawski) 389

Str.

Ks. Julian Ataman: W. H. Sierakowski i jego rządy w diecezji przemyskiej (K. M. Morawski) 391
Zdzisław Kaczmarczyk: Immunitet sądowy i jurysdykcja poimmunitetowa w dobrach Kościoła w Polsce do końca XIV wieku
Józef Matuszewski: Immunitet ekonomiczny w dobrach Kościoła w Polsce do r. 1381 (Ks. A. Światopełk-Mirski T. J.) 392
Julianus Groblicki: De scientia Dei futurorum contingentium secundum S. Thomam eiusque sequaces (Ks. A. Kisiel T. J.) . . . 393
Sappok Gerhard: Die Anfänge des Bistums Posen und die Reihe seiner Bischöfe von 968—1498 (K. M. Morawski) 394
M. T. — L. Pinedo: La conscience religieuse. (Ks. Br. Wójcik T. J.) 396
Gredt J., O. S. B.: Elementa philosophia aristotelico thomisticae (Ks. Stefan Kwiatkowski T. J.) 397
Alphonse de Parvillez S. I.: Les Sacrements (Ks. Jan Rosiak T. J.) 398
Notatki bibliograficzne 123, 398

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła:

Kwiecień: Zagadnienie ukraińskie (Ks. Edward Kosibowicz T. J.) 128
Maj: Katolicka Austria po *Anschluss*'ie. — Inicjatywa ks. kardynała Innitzera. — Jej dotychczasowe skutki oraz perspektywy (Ks. Edward Kosibowicz T. J.) 276
Czerwiec: Echa rzymskiej wizyty Hitlera. — Potępienie rasizmu. — Kongres Eucharystyczny w Budapeszcie (Ks. Edward Kosibowicz T. J.) 403

Sprawy Państwa:

Kwiecień: Katastrofa europejska. — Poszkodowani i benefisanci. — Perspektywy Jagiellońskie. — Wymarsz na Wileńszczyznę. — Litewskie rozmowy z sąsiadami (Andrzej Prawdzic). 141
Maj: Niemcy po *Anschluss*'ie. — Von Papen i widnokręgi bliskiego Wschodu. — Renesans Stresy. — Praga kluczem równowagi. — Dobra koniunktura litewska (Andrzej Prawdzic) . . 284
Czerwiec: Zjazdy i plany dyktatorów. — Rumuński czy polski szlak na Ukrainę. — Oś, Ententa, Czechy i wojna. — Londyn, Warszawa i pokój (Andrzej Prawdzic) 411
Jubileusz twórcy etnologicznej szkoły wiedeńskiej (Ks. E. Bulanda T. J.) 153
Wielkanocna transmisja z Watykanu (Ryszard Solecki) . 290
Ze świata filmu (Zdzisław Broncel) 424